

Diane Johnson

# Romans

Przełożył  
Jarosław Mikos



CZEŚĆ PIERWSZA

# HOTEL

*Les Affaires? C'est bien simple.*

*C'est l'argent des autres.*

- Aleksander Dumas syn

## ROZDZIAŁ 1

Cała Europa jak urzeczona wpatrywała się przez poprzednie kilka dni w pojawiające się na ekranach telewizorów obrazy lawin, które w następstwie gwałtownych opadów śnieżnych zakłóciły życie niektórych alpejskich wiosek i malowniczych ośrodków narciarskich. Śnieżne pióropusze, fotografowane przez kamerzystów z bezpiecznej odległości, wydawały się równie piękne jak wodospady albo chmury i nie mniej ekscytujące, ponieważ widok destrukcyjnej potęgi sił natury zawsze głęboko porusza ludzkie serca.

Mimo stosowanych zwykle środków zapobiegawczych, takich jak eksplozje dynamitu i badania sejsmograficzne, żywioł całkowicie pochłonął kilka starych górskich domków oraz kilka współczesnych betonowych konstrukcji, które zapadły się pod jego naporem w osobiwy sposób, jakiego nigdy wcześniej nie obserwowano. W jednym miejscu mieszkańcy zginęli w mgnieniu oka, porwani przez lawinę uderzającą z siłą tsunami albo wybuchu wulkanu; w innych, w obliczu możliwości, że w powietrznych poduszkach powstałych pod nawisami tli się jeszcze życie, podejmowano intensywne akcje ratunkowe, organizowane przez austriackie, włoskie i szwajcarskie, a także lokalne francuskie służby ratownicze. Mimo to niestrudzone wyciągi narciarskie pracowały nieprzerwanie, jeśli tylko mogły, a narciarze, którzy wykupili wcześniej swoje cenne *vacances d'hiver*, odważnie ruszali na stoki, które pozostały otwarte.

Nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństw grożących w wyższych partiach gór, Amy Ellen Hawkins, menedżerka z branży informacyjnej z Palo Alto w Kalifornii, zignorowała tego dnia zwyczajowe

przykazania, by nigdy nie jeździć samotnie. Chciała sprawdzić swoje nowe paraboliczne deski, nowinkę, jaka pojawiła się, odkąd ostatni raz próbowała sił na stokach. Uznała, że ma dość czasu na jeden zjazd albo dwa, dopóki jest jeszcze widno, chociaż zaczął już padać śnieg. Przez pierwsze kilka dni, jakie upłynęły od jej przyjazdu, okropna pogoda najczęściej w ogóle uniemożliwiała jazdę na nartach i Amy, która przestała już odczuwać silnie skutki zmiany czasu, nie mogła dłużej usiedzieć spokojnie w pensjonacie.

Była doświadczoną narciarką, ale ponieważ chciała poprawić swoje umiejętności, postanowiła spędzić kilka tygodni w hotelu Croix St. Bernard w Valmeri we Francji. Miało to być częścią jej osobistego programu samodoskonalenia, do którego podchodziła z niemal zaboronną powagą, pragnąc w ten sposób zaskarbić sobie przychyłność bogów po odniesionych niedawno sukcesach. Z całą pokorą pragnęła opanować kilka powszechnie szanowanych umiejętności, jak jazda na nartach, gotowanie oraz mówienie po francusku, i nie widziała żadnych powodów, czemu nie miałyby się do tego zabrać z tą samą dyscypliną i skutecznością, jaka cechowała jej karierę w ciągu minionych dziesięciu lat po ukończeniu college'u.

Kiedy Amy dojeżdżała na szczyt wyciągu krzesłkowego wspinającego się na zbocze ponad hotelem, w telefonach komórkowych pracowników obsługi jeszcze wyżej położonych wyciągów już od dawna rozlegały się niepokojące ostrzeżenia, widoczność się pogorszyła, nowe narty Amy najwyraźniej miały ochotę skręcać samodzielnie, niezależnie od jej woli, co sprawiało, że zapanowanie nad nimi wymagało nadzwyczajnego wysiłku, a samo zbocze okazało się o wiele bardziej strome niż trasa oznaczona w Squaw Valley jako średniotrudna/trudna. Momentami ogarniało ją dziwne poczucie, że nie potrafi powiedzieć, czy jedzie w górę, czy w dół - nawet jeśli to jeszcze nie była kompletna zamieć, miała wrażenie, że znalazła się w jakimś niesamowitym jednowymiarowym krajobrazie, pozbawionym jakichkolwiek zarysów lub rzeźby terenu. Jako osoba rozsądna nie wpadła w panikę, pamiętając, że istnieje coś takiego jak siła grawitacji. Jeśli posuwa się naprzód, to znaczy, że zjeżdża na dół - i spokojnie pozwalała nartom, by same niosły ją przed siebie. Była jednak zadowolona, gdy z twarzą

zacerwienioną od śniegu i wiatru zdołała w szybko zapadającym zmroku dotrzeć wreszcie na dół trudnego zbocza i odstawić narty obok wejścia do pomieszczenia narciarskiego w hotelu Croix St. Bernard. Była wstrząśnięta, gdy nagle zdała sobie sprawę z dobiegających z oddali odgłosów, które przypominały wybuchy dynamitu.

Mimo że było wczesne popołudnie, wiele osób wróciło już tego dnia do hotelu i około czterdziestu par nart stało w drewnianych stojakach z kijkami wbitymi obok w coraz głębszy śnieg. (Udogodnienia dla turystów oferowane przez hotel obejmowały transport minibusem ze stacji, pomieszczenie, w którym przechowywano buty w temperaturze pokojowej, pomoc technika od sprzętu oraz obyczaj ustawiania nart gości na zewnątrz następnego ranka obok ścieżki narciarskiej). W odróżnieniu od Amy pozostali goście jako Europejczycy najwyraźniej wiedzieli na temat pogody coś, co umknęło jej uwagi. Spojrzała jeszcze raz na zbocze, które niedawno pokonała z takim wysiłkiem, teraz ledwo widoczne w gęstniejącym śniegu, i przyszło jej na myśl, że o mały włos uniknęła śmierci.

- Panna Hawkins! - odezwał się do niej na powitanie mężczyzna, przez innych tytułowany „baronem”, i ocierając ośnieżone spody swoich butów narciarskich o wiązania, spojrzał na nią krytycznie. Wiedziała, kto to jest, ale była zdumiona, że zna jej nazwisko. Jako osoba obdarzona dobrą pamięcią do twarzy zaczęła już rozpoznawać ludzi, którzy jechali razem z nią hotelowym mikrobusiem z Genewy albo których widywała w pomieszczeniu narciarskim, szykując się do wyjścia. To był Austriak, a może Niemiec, baron. W pokoju narciarskim tego ranka widziała także jakiegoś angielskiego wydawcę z rodziną i pewnego Amerykanina o imieniu Joe oraz dwie starsze kobiety z Paryża i dwie pary Rosjan, z którymi nie rozmawiała. Większość gości w hotelu stanowili Francuzi albo Niemcy, z racji języka obcy i tajemniczy, co przyjmowała z wielkim zadowoleniem.

- Wszyscy wrócili dziś wczesnie - powiedziała, oblewając się rumieńcem pod baczny spojrzeniem tego człowieka.

Amy nie była nieśmiała, ale czasami nie miała ochoty wdawać się w rozmowy. Jej sukcesy w świecie korporacji przypominały karierę niektórych aktorów, którzy jękają się i rumienią w życiu prywatnym,

choć na scenie emanuje z nich moc i pewność siebie. W prywatnych kontaktach jej słodki uśmiech wydawał się uroczy i uległy. Była także osobą towarzyską i skromną, a do tego teraz zaskakująco bogatą, co nie przytrafiło się znowu aż tak wielu jej kolegom z tego samego roku na Uniwersytecie Stanforda.

- W rzeczy samej. Ostrzeżenia widać na każdym kroku. - Baron wyrzucił oczami, słysząc jej beznadziejnie naiwne spostrzeżenie, a jednocześnie zrobił minę, jakby się zastanawiał, czy dla dobra miejscowego przemysłu turystycznego nie powinien wziąć tej kobiety pod swoją opiekę. - Nie widziała ich pani? Sformułowano je po angielsku i po francusku.

- A tak, oczywiście, widziałam, ale się spieszyłam, nie byłam pewna trasy... - powiedziała.

Amy nie zdążyła jeszcze ochłonać po swojej dzisiejszej przygodzie, a teraz wstrząsnęło nią to, że nie zauważyła ostrzeżeń, choć skrupulatnie przeczytała informacje na temat godziny zamknięcia wyciągu, żeby nie przegapić ostatniego kursu na górę. Zwykle nie popełniała błędów, to do niej niepodobne. Poza tym trochę zirytowała ją sugestia, że informacje muszą być podawane po angielsku, by mogła je zrozumieć.

Choć oczywiście tak właśnie było. Chciała już zaprotestować, mówiąc, że: A) potrafi czytać po francusku - trochę, oraz B) dziękuje bardzo, ale mimo swojej skłonności do odrzucania autorytetów nie ma zwyczaju ignorować ostrzeżeń o zagrożeniu lawinami, podobnie jak nie lekceważy informacji o rekinach albo przypływach. Po prostu ich nie zauważyła. Jednak nie powiedziała ani słowa więcej, tylko posłała mu swój śliczny szczery uśmiech.

- Trasy narciarskie są wyraźnie oznakowane - nadal mówił do niej tonem nagany.

Całkiem ładna, pomyślał, tą specyficznie amerykańską urodą promieniejącą optymistycznym usposobieniem. Nawet jeśli nie ma podstaw do optymizmu. Widział, że to osoba, które wiele oczekuje od życia. Równie dobrze mogłaby być austriacką *Madchen*, z tym swoim grubym warkoczem karmelowej barwy, zaróżowionymi policzkami i z dołeczkami w niezwykle słodkiej, uroczej twarzy. Pewna ostrożność w jej zachowaniu niewątpliwie wiązała się ze świadomością,

że oczekiwania nie muszą się spełnić. Jako człowiek zajmujący się handlem nieruchomościami umiał trafnie odczytywać ludzkie twarze i dostrzegać niespełnione nadzieje.

Hotel Croix St. Bernard, rodzinne przedsiębiorstwo oferujące pogodną atmosferę, modne wnętrza urządzone z prostotą oraz ceny godne wielkiego hotelu, był miejscem cichym i dyskretnym. Stał nieco na uboczu głównych szlaków narciarskich, przy drodze wśród prywatnych górskich domków, z dala od centrum miasteczka, w którym toczyło się życie *apres-ski*. Po lekturze broszury reklamowej hotelu Amy doszła do wniosku, że z jego usług chętnie korzystają dyplomaci urywający się na parę dni z Genewy, czasem jakaś para kochanków lub zamożne rodziny z małymi dziećmi, które chętnie kładą się wcześniej spać. Ponadto rozmaici ekscentrycy i bogaci Amerykanie mieszkający w Europie, znudzeni niespokojnym rytmem życia w wielkich hotelach, a nade wszystko ci, którzy pragną wziąć udział w głośnych lekcjach sztuki kulinarnej prowadzonych przez sławnego szefa miejscowej kuchni. Wszystkiego tego dowiedziała się ze zdjęć oraz materiałów promocyjnych i dlatego wybrała właśnie to miejsce na swoje kilkutygodniowe wakacje, nie zapominając o rozrywce, jaką będzie dla niej obracanie się wśród ludzi zupełnie jej nieznanego rodzaju. Ścisłe biorąc, nie tyle sama wybrała ten hotel, ile się na niego zgodziła - za namową pewnej paryżanki, madame Chastine, znajomej przyjaciółki Amy o imieniu Patricia; ciotka Pat i Geraldine Chastine studiowały kiedyś razem w Wellesley. Amy była niepokieszona, gdy okazało się, że jej dwie przyjaciółki, Pat Davis i Marnie Skolnik, które miały razem z nią jeździć na nartach i brać lekcje gotowania, odwołały przyjazd, każda z innych powodów, i w rezultacie musiała przyjechać sama. Jednak musiała przyznać, że na dłuższą metę tak było nawet lepiej, ponieważ bez nich będzie mogła się lepiej skupić i więcej się nauczyć. A poza tym skoro nikt jej tutaj nie znał, ewentualne krytyczne uwagi innych gości, gdyby zrobiła coś, co mogłoby wydawać się szokujące w domu, nie będą miały znaczenia.

Cieszyła się także na myśl, że nikt nie będzie wiedział, jak bardzo jest teraz zamożna. Chociaż uwielbiała to, że ma pieniądze, czuła się

z tego powodu zakłopotana; w Palo Alto, a nawet do pewnego stopnia w San Francisco, stała się swego rodzaju lokalną sławą i nie chciała, by i tutaj prześladowało ją dziwne uczucie, że ludzie rozpoznają ją nawet w restauracji, w której nigdy wcześniej nie była.

Samo Valmeri stanowiło konglomerat górskich domków, luksusowych hoteli, kolejek linowych i wyciągów poma, rozsianych wzdłuż wąskiej doliny u podnóża alpejskich szczytów o zdumiewającej wspaniałości. Architektura miejscowych ośrodków narciarskich oferowała różnicowanie, od surowych prostokątnych budowli w stylu międzynarodowym po kiczowate pseudoszwajcarskie domki, wyżej cenione, droższe i przyciągające lepszą klientelę. Valmeri zostało zbudowane w stylu szwajcarskim przez Anglików w latach trzydziestych XX wieku.

Amy i baron, tupiąc ciężko, weszli do pomieszczenia narciarskiego. Pracownik obsługi, marszcząc brwi, z uwagą wysłuchiwał wiadomości przez telefon, a pozostali narciarze stojący wzdłuż ławek, przy których zdejmowali buty, najwyraźniej czekali w milczeniu na jakiś komunikat i wpatrywali się w ekran wiszącego w rogu telewizora. Twarze ratowników, z którymi przeprowadzano wywiady, wyrażały nieśmiały heroizm - wiedzieli, że ich życie jest w niebezpieczeństwie z racji wciąż utrzymującego się zagrożenia lawinowego i nadal silnych opadów śniegu. Mężczyźni w czerwonych kurtkach stojący obok helikopterów głaskali uspokajającym gestem rottweilery trzymane na smyczach. W innych alpejskich dolinach podczas tego feralnego tygodnia zginęło, jak podawano, czterestu Austriaków oraz nieznaną bliżej liczbą Szwajcarów. We Francji lawiny pochłonęły dotąd trzy osoby, a tysiące turystów zostało przypuszczalnie uwięzionych w austriackich Alpach z powodu warunków atmosferycznych i zablokowanych dróg.

Amy zaczekała uprzejmie, aż jakaś dostojna Rosjanka z westchnieniem ulgi uwolni się ze swoich ogromnych pomarańczowych butów narciarskich, które zaniósła następnie do podgrzewanego stojaka. Baron nachylił się lekko w stronę pracownika obsługi rozmawiającego przez telefon, jakby w nadziei, że interesująca go wiadomość rozlegnie się głośno i usłyszą ją stojący obok. Amy dopiero teraz zorientowała się, że w pomieszczeniu narciarskim panuje napięta atmosfera



oczekiwania na jakiś wyrok losu dotyczący ich wszystkich, zupełnie jak podczas meczu futbolowego. Poczwała przypływ radości i zdumienia na myśl o tym, do jak cudownych aktów społecznego współdziałania byli zdolni Europejczycy w tych okropnych okolicznościach, dzięki swojej rozwiniętej administracji, nastawionej na zaspokajanie ludzkich potrzeb, oraz poczucia *noblesse oblige*. Nie znaczy to oczywiście, że chciała, aby socjalizm zapanował w Ameryce. Niemniej z podziwem patrzyła, jak ci wszyscy ludzie, porozumiewający się trzema językami, ściszym głosem rozmawiali zaniepokojeni o los kierowców na drodze prowadzącej do Valmeri; rzecz jasna Amerykanie w tych samych okolicznościach także byłiby zatroskani.

- Obawiają się, że droga może się zawalić po drugiej stronie Les Menuires - powiedział wreszcie pracownik obsługi.

Amy spojrzała za siebie przez okno, ale niebo wyglądało niczym spokojna tafla, na której tle wirowały duże pojedyncze płatki śniegu porywane przez wzbierający wiatr, zanim zdążyły opaść na i tak już dość wysokie zasy.

- Czy śnieżycą się nasila? Czy można coś zrobić? - spytała barona.

- Nie, nie. Na drodze pracują ekipy. Ale muszę dziś wieczorem dostać się do Paryża, pociągami o szóstej.

Zmarszczył brwi. Pracownik obsługi, który zwracał się do barona per „Otto”, wzruszył ramionami w typowo galijski sposób. Przez chwilę toczyła się ogólna rozmowa na temat warunków panujących na miejscowych drogach, co sprawiło, że Amy ogarnęła fala radości z bezpiecznego powrotu do hotelu.

W drzwiach pojawiła się postać młodego kierownika hotelu, Christiana Jaffe'a. Coś w wyrazie jego twarzy pogłębiło ściszony nastrój oczekiwania, który tego dnia zastąpił radosną energią, jaką zwykle emanowali narciarze po powrocie ze stoków, zadowoleni, że przeżyli kolejny dzień, mocno zaczerwieniem z zimna i wysiłku, roześmiani. Jego blada twarz zwróciła uwagę zarówno Amy, jak i wszystkich obecnych, jak gdyby była rozświetlona jakimś złowróbnym światłem, ostro kontrastująca na tle opalonych policzków narciarzy. Być może to wrażenie potęgował jego ciemny garnitur, w którym wyglądał jak

przedsiębiorca pogrzebowy wśród barwnych papuzich strojów narciarzy: żółtych, czerwonych, niebieskich, albo jak w wypadku Amy srebrzyście jasnoszarego.

Głosy narciarzy ucichły na moment, ale gdy Jaffe nie dostrzegł wśród obecnych osoby, której szukał, pospiesznie wyszedł i rozmowa ponownie ożyła. Padały pytania na temat pogody... coś trzeba naciągnąć... kłopoty z butem; kakofonia języków. Stok został teraz zamknięty, wyciągi stanęły i rozeszły się plotki o kolejnych lawinach w sąsiedniej dolinie Meribel. Narciarze stali teraz w holu, przed pomieszczeniem narciarskim i obserwowali przez okna coraz gęściej padający śnieg. Dwie młode Rosjanki, mówiące z dziwnym gardłowym akcentem, odezwały się błagalnym tonem po angielsku do pracownika obsługi, jakby pragnęły wyprosić u niego lepszą prognozę pogody na jutro. Zastanawiając się nad postacią barona, który, jak się okazało, był Austriakiem, Amy postanowiła, że kiedy już nauczy się francuskiego, weźmie się do niemieckiego. W końcu to język spokrewniony z angielskim, ciekawe, czy może być trudny?

## ROZDZIAŁ 2

Do hotelu Croix St. Bernard dotarła wiadomość, podana przez członka włoskich służb ratowniczych biorącego udział w poszukiwaniu ofiar lawiny, że przyczyną dzisiejszego kataklizmu były wibracje spowodowane przez nisko przelatujące amerykańskie samoloty wojskowe. Chodziło o odrzutowce zmierzające do baz w Niemczech w celu nabrania paliwa, przypuszczalnie przed kolejną misją na Bliskim Wschodzie, bombardowaniami jakiegoś nieszczęsnego kraju na Bałkanach albo inną awanturą spośród tych, w jakie wdawało się podirytowane supermocarstwo. Teoria upatrująca w samolotach przyczyny lawin wydawała się prawdopodobna. Niebo nad milczącymi szczytami i śnieżnymi graniami Valmeri często było porysowane śladami pary wodnej powstającymi po przelocie odrzutowców, a odgłosy ich silników huczały czasami w skalistych rozpadlinach, pobrzmiwając niczym echo wybuchów dynamitu aż po najniższej położone partie doliny. Zjawisko wibracji, intensywnie badane przez sejsmologów zajmujących się lawinami, choć nadal nie potrafili lepiej przewidywać zachowania się konkretnych pól śnieżnych, doskonale pasowało do tej pogłoski. W końcu często zachęcano narciarzy, by zachowywali ciszę przy pokonywaniu jakiegoś zdradliwego zbocza pod niezbyt stabilnym nawisem śnieżnym. Jeśli narciarz swoim szepcetem mógł wprowadzić w ruch masy śniegu, o ile poważniejsze skutki wywołałby huk potężnych silników odrzutowców? Samoloty stanowiły więc główny temat rozmów w hotelowym holu, obok pogłoski, że wśród ofiar dzisiejszej lawiny znalazła się para gości hotelu Croix St. Bernard.

Zgodnie ze zwyczajem w każdą niedzielę kierownictwo hotelu zapraszało wszystkich gości przed kolacją na kieliszek szampana. Amy, jako weteranka niezliczonych przymusowych korporacyjnych seminariów na temat roli właściwego stroju w oficjalnych kontaktach, dawno pozbyła się wszelkich niepokojów co do stroju na przyjęcia koktajlowe. Włożyła czarne spodnie i bluzkę, która nie była ani zbyt uwodzicielska, ani zbyt nudna, po czym przeczesła włosy i zaplotła warkocz. Nie chciała, aby na podstawie nazbyt starannego ubioru sądzono, że rozgląda się za mężczyznami, ponieważ zdecydowanie nie miała takich zamiarów. Z drugiej jednak strony troska o właściwy wygląd stanowiła pożądaną formę społecznej współpracy, zjawiska, które darzyła szczególnym zainteresowaniem.

W holu podano napoje; stały na długim stole przykrytym białym obrusem albo były roznoszone przez kelnerów z sali jadalnej, chodzących między gośćmi z małymi tacami. Gorące płomienie wielkiego kominka skłaniały obecnych do przesuwania się w stronę drzwi, gdzie właściciel hotelu, pan Jaffe, oraz jego żona, w tyrolskim stroju barwy lodenowej zieleni, witali wchodzących i wesoło do nich zagadywali, pomagając gościom poznać się i starając się rozpraszać niepokoje dotyczące lawin.

To było pierwsze ogólne spotkanie towarzyskie w nowym tygodniu i większość gości nie znała się nawzajem; stali, uśmiechając się życzliwie, z wyrazem oczekiwania na twarzach. Amy rozejrzała się wokół. U jednej lub dwu starszych dam dostrzegła błysk diamentów, co przypomniało jej filmy o dżentelmenach włamywaczach. Zobaczyła jakąś Rosjankę, bardzo pokaźnej tuszy, której obfita pierś zdobiła zdumiewająca liczba medali. Amy podczas takich spotkań zwykle zachowywała pogodną ciekawość, świadoma, że wśród przybyłych znajdzie się zapewne równie wielu głupców i nudziarzy jak na każdym przyjęciu. Nigdy jednak nie traciła nadziei, że akurat w tym gronie osób spotka kogoś obytego w świecie, sympatycznego i przyjaźnie nastawionego oraz że pojawiają się jakieś bratnie dusze. Czemu dziś miałyby być inaczej? Starła się opanować nagły przypływ miłości do ludzi - nie akurat tych konkretnych osób, ale do potencjału ludzkości jako takiej, zwłaszcza z powodu towarzyskiej natury naszego

gatunku i szlachetności odruchów, skłaniających człowieka do dzielenia się z innymi pożywieniem i rozmową oraz do pielęgnowania uroczego zwyczaju wkładania ładnych ubiorów. Czasami dostrzegała w tych zachowaniach przejaw walki o władzę, jak mógłby powiedzieć Darwin, a przynajmniej Herbert Spencer, ale tego wieczoru poruszyła ją myśl o ludziach, którym zależało na sympatii innych i zadali sobie trud, żeby przygotować dla bliźnich smaczne potrawy.

Amy traktowała to koktajl party, i przyjęcia w ogóle, jako pewien aspekt zjawiska wzajemnej pomocy, którym interesowała się namiętnie od czasów szkoły średniej. Wstąpiła wtedy do Klubu Wzajemnej Pomocy stanowiącego formę zajęć pozalekcyjnych. Tak naprawdę miało to po prostu pomóc w dostaniu się na studia w dobrym college'u - w jej wypadku dzięki wyprowadzaniu na spacer małych zwierząt, małych dzieci oraz przynoszeniu odtwarzaczy CD do domów starszych osób, aby wprowadzić nieco radości w ich życie. Szkolny psycholog, panna Steinway, w swojej młodości znalazła się pod wpływem dzieł dawnego rosyjskiego anarchisty Piotra Kropotkina, który, wbrew Darwinowi, uważał, że źródłem postępu gatunku ludzkiego nie jest rywalizacja, ale wzajemna pomoc. Według niego odnosiło się to również do innych gatunków: mrówek, szympansov oraz wszelkich stworzeń. Powiadała także, że nawet jeśli jednostki rywalizują o pożywienie, to gatunki, które odniosły ewolucyjny sukces, zawdzięczają swoje przetrwanie rozwijaniu niezwykle złożonych form współpracy. Darwin, według którego wszystkie stworzenia toczą ze sobą bezwzględną walkę o przetrwanie, po prostu się pomylił albo został niewłaściwie zinterpretowany.

Amy już wcześniej postanowiła, że po zakończeniu tego okresu europejskich wojaży poświęconych narcystycznemu samodoskonaleniu się założy fundację, której celem będzie propagowanie idei księcia Kropotkina. Ale to była odległa przyszłość. Na razie wzięła sobie jajko na miękko - nie, to była skorupka jajka wypełniona jakąś kremową masą o barwie żółtka, ozdobioną odrobiną kawioru - i uśmiechnęła się do współbiesiadników.

- Jak królowa Wiktoria - odezwał się do niej jakiś człowiek mówiący z akcentem prosto z Kentucky, patrząc wraz z nią na obwieszoną medalami Rosjanę. Amy rozpoznała w nim Amerykanina, który jechał

minibusem z Genewy, widywała go także w pomieszczeniu narciarskim, ale zdaje się, że sam nie jeździł na nartach. Tak czy inaczej jego obecność rozwiązywała inny koktajlowy problem: do kogo się odezwać, ponieważ nie można przecież stać samotnie i milczeć. Najwyraźniej ta zasada nie była mu obca, gdyż przysunął się bliżej. Był przystojny i wyglądał sympatycznie, więc Amy pomyślała, że ujdzie.

- Joe Daggart - przedstawił się.

Uśmiechnęła się.

- Przychodząc tutaj, przysięgam sobie, że nie będę rozmawiała z innymi Amerykanami. Mam złamać przysięgę?

- A co ma pani przeciwko Amerykanom? - spytał.

- No cóż, oczywiście nic. Chodzi tylko o to, że już ich znam - powiedziała Amy; zauważyła, że rzucił szybkie spojrzenie na jej buty.

- Sama jestem Amerykanką, więc chciałabym poznać innych ludzi. Ale mogę zaliczyć pana do obcokrajowców.

Pracował w Genewie, lecz zatrzymywał się często w tym hotelu, aby pojeździć na nartach i skorzystać z dobrodziejstw miejscowej kuchni. Wspólnie zanurzyli się w tłum - przedstawiali się sami, uśmiechali i przyznawali, że wszyscy mieli za sobą niezwykły dzień. Amy z lekkim niezadowoleniem spostrzegła, że inni przechodzą na angielski, kiedy ona albo Joe Daggart odzywali się do nich, mimo że wcześniej prowadzono rozmowę w jakimś innym języku. Ale oczywiście to było nieuniknione, jeśli miała w ogóle z kimkolwiek rozmawiać; Joe potrafił mówić po francusku. W obliczu tej niedogodności z jeszcze większym zdecydowaniem postanowiła popracować nad nauką języków.

Ogólnie rzecz biorąc, wszyscy byli sympatyczni i mili, choć zdarzyły się jeden czy dwa momenty, które ją zaskoczyły, a nawet wprawiły w lekkie zdumienie.

- Czy to nie straszne, że wszyscy tu tyle palą? - powiedziała w pewnym momencie półgłosem do Joego. - Jakby wszyscy chcieli pomierać.

- Typowa francuska brawura. Ponieważ Amerykanie uważają, że palenie jest niezdrowe, Francuzi muszą nam pokazać, jakimi jesteśmy mięczakami. - Powiedział to wystarczająco głośno, by wszyscy mogli go usłyszeć, i rozejrzał się wokół wojowniczo.

Jakaś kobieta stojąca obok nich podjęła wątek.

- Nie wiem, czy pan o tym wie, ale francuskie papierosy nie powodują raka. wywołują go środki dodawane przez amerykańskie koncerny tytoniowe. Wszyscy o tym wiedzą. Ale oczywiście amerykańskie koncerny blokują publikowanie informacji na ten temat w Stanach Zjednoczonych.

- Naprawdę? - zdziwiła się Amy, zastanawiając się, czy to może być prawda.

Ich rozmówczyni była elegancką kobietą o ciemnokasztanowych włosach, w butach na wysokim obcasie i wąskich wieczorowych spodniach. Przedstawiła się jako Marie-France Chatigny-Dove. Ta rozmowa doprowadziła bezpośrednio do kolejnego *fata pas* ze strony Amy.

- Myślę, że dobrze państwo zrobili, przychodząc tu, jakby nic się nie stało. Oczywiście to nie jest wasza wina - powiedziała do nich madame Chatigny-Dove.

Amy w pierwszej chwili zupełnie nie zrozumiała, o czym ona mówi, i najwyraźniej było to widać na jej twarzy.

- Czy chodzi o perfidię amerykańskich koncernów tytoniowych?

- Chodzi o amerykańskie samoloty, które znowu niby przypadkiem zrzucają coś na ziemię, zupełnie nie dbając o to, co stanie się z ludźmi tam na dole - wyjaśniła inna kobieta ze środkowoeuropejskim akcentem. - Jak na ironię jedną z osób, które zostały przysypane przez lawinę, jest Amerykanka. Jestem pewna, że wasi piloci wcześniej o tym nie pomyśleli.

- Lawina - powiedział ktoś inny tonem wyjaśnienia, widząc, że Amy nadal nie wie, o czym mowa.

Amy z jakiegoś powodu uznała, że najwyraźniej żartują, i roześmiała się dobrodusznie. W tej samej chwili ujrzała całą gamę oznak zdumienia na twarzach osób stojących w pobliżu. Amerykanie śmieją się na wieść o tym, że zabili niewinnych narciarzy! Można by dodać: znowu, ponieważ nie zapomniano jeszcze incydentu we Włoszech sprzed kilku lat. Rudowłosa kobieta odwróciła się i pospiesznie podeszła do barona Ottona, jak gdyby poczuła lęk w towarzystwie kogoś tak cynicznego jak Amy.

- *Mon Dieu* - odezwał się ktoś inny.

Amy szybko pojęła swoją gafę. Ci ludzie na serio wierzyli, że amerykańskie samoloty spowodowały lawinę.

- To nie może być prawda - zaprotestowała. - Nikt, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o fizyce, nie uwierzyłby, że... Ja w każdym razie w to nie wierzę. - Niemniej uświadomiła sobie, że głośne dźwięki rzeczywiście wykorzystywano do sztucznego wywoływania lawin.

- Nigdy nie było tutaj lawin tak wcześnie, już na początku sezonu. Jak może pani to wyjaśnić?

- Sama to widziałam. Sama widziałam, jak śnieżny nawis drżał tuż po przelocie samolotów.

- To nie może być prawda - upierała się Amy, ale pozostali goście odwrócili się i wycofali. Usłyszała, jak jej serce głośno bije, całkiem irracjonalnie. Czemu się tak głupio roześmiała?

- Jeśli pożyjemy tu trochę dłużej, w końcu zaczniemy cenić towarzystwo innych Amerykanów - odezwał się tuż obok Joe Daggart. - Nasze dowcipy, wspólny status pariasów.

Odrzuciła się do niego z wdzięcznością, jednak coś, co zapowiadało się na pouczającą i obiecującą rozmowę, zostało wkrótce przerwane, lub raczej wzbogacone, przez pojawienie się innego mężczyzny, który powoli szedł w ich kierunku. Widywała go w hotelowym holu i na podstawie jego wzrostu, mocno zaczerwienionych policzków i kłębowiska różowawobiałych włosów na głowie trafnie wywnioskowała, że ma do czynienia z Brytyjczykiem.

- Robin Crumley - przedstawił się. - Nie mogłem się powstrzymać, słysząc, że mówią państwo po amerykańsku. Jak wiecie, dzieli nas wspólny język.

Amy usiłowała domyślić się jego wieku - grubo po czterdziestce, może nawet pięćdziesiątka. Miał na sobie jakiś obwisły garnitur w drobne prążki i mówił wysokim, nieco drżącym głosem. Powiedział, że jest poetą, a może powiedział nawet „tym poetą”, ale trudno było wyobrazić sobie, że mógłby takim głosem recytować swoje utwory. Crumley lekceważąco zbył nieprzyjemny drobny incydent, jaki rozegrał się przed chwilą.

- Proszę nie zwracać na nich uwagi, moja droga. Mimo opinii racjonalistów przeciętni Francuzi to prawdziwa kopalnia komunałów.



Nie potrafią myśleć samodzielnie. - Amy uśmiechnęła się z wdzięcznością na tę uwagę. - Znam Vennów - dodał. - To znaczy jego, przełotnie. Straszna sprawa. On jest Anglikiem.

- Och! - odezwała się Amy. Nie słyszała o Vennach.

- Sam byłem dość zaskoczony, że ich tu widzę. Podróżuję z państwem Mawlesky. Książę de Mawlesky. O tam, poznała ich pani?

Dyskretnie skinął w stronę pary stojącej przy stole z napojami; każde z nich miało włosy ufarbowane na lśniąco czerni. Amy nie spotkała ich wcześniej, ale pokazywano ich sobie - pozostali goście nie omieszkali wspomnieć o wszystkich książętach i baronach, jacy zatrzymali się hotelu. Oboje sprawiali na Amy wrażenie postaci scenicznych, budzących skojarzenia z *Masterpiece Theatre*. Ale oczywiście to nie byli aktorzy; ci ludzie istnieli naprawdę. Oblała ją fala zadowolenia na myśl, że znalazła się w tym samym miejscu co ludzie utytułowani, którzy samymi sobą potwierdzali istnienie europejskiej historii. Dowodzili niezbicie istnienia alternatywnych struktur społecznych oraz przypadkowości tego, że ktoś jest akurat Amerykaninem. Gdyby nie poczucie niezadowolenia jakiegoś odległego przodka, każdy z Amerykanów równie dobrze mógł przecież mówić teraz po francusku, rumuńsku albo holendersku.

Ona sama mówiłaby pewnie po holendersku. Niektórzy jej przodkowie wyemigrowali z Holandii w czasach Petera Stuyvesanta, choć trudno powiedzieć, w jakie od tamtej pory wchodził koligacje. W jej rodzinie nie kultywowano pamięci o europejskiej przeszłości, a w kręgu jej znajomych w Palo Alto posiadanie europejskich przodków było wręcz źle widziane. Pomysł odnajdywania swoich europejskich korzeni traktowano jako błąd eurocentryzmu i zbyteczny kult minionej cywilizacji niegodziwych osadników. A jednak Amy chętnie by się czegoś o nich dowiedziała. Miała nadzieję, że uda jej się przezwyciężyć tę narodową skłonność do nieinteresowania się historią, choć w głębi duszy czuła, że podobna postawa ma sens: po co zajmować się historią, skoro i tak nie ma ona żadnego wpływu na teraźniejszość?

Uznała, że to byłoby fascynujące poznać jakiegoś księcia, ale co mogłaby do niego powiedzieć?

- Gdzie pan dzisiaj jeździł? - spytała Crumleya.

- Jeździłem? *Moi*? Nie jeżdżę na nartach, moja droga, ale lubię śnieg, lubię magię gór i doceniam zdrowotne zalety górskiego powietrza.

Przyszło jej do głowy, że może jest chory. Ta myśl stawiała go w romantycznym świetle: poeta przebywający w Alpach w trosce o swoje zdrowie. Ale wyglądał całkiem zdrowo, nawet jeśli był nieco podstarzały. Zastanawiała się, czy pije, ponieważ zauważyła, że wszyscy Anglicy nieźle pociągają, a przynajmniej tak było z tymi, którzy przyjeżdżali do Palo Alto. Robin Crumley porwał dwa kieliszki szampana z tacy przechodzącego kelnera i podał jej jeden z nich.

- Pani oczywiście jest Amerykanką. Co panią tu sprowadza?

- Cóż, narty.

- J a k i e to męczące, szkoda. To oznacza, że nie będzie pani przez cały dzień i nie zje pani ze mną lunchu. Ale któregoś wieczoru musi pani usiąść ze mną i państwem Mawlesky do kolacji. Jakie to straszne, mam na myśli Vennów. Ale żyją, mimo wszystko, nawet jeśli są w ciężkim stanie. To już coś. Oczywiście nikt nie wie, jak długo byli żywcem pogrzebani. Coś takiego zawsze budziło we mnie szczególne przerażenie. Narciarstwo naprawdę jest dla głupców.

## ROZDZIAŁ 3

Kip Canby, jeszcze jeden Amerykanin wśród hotelowych gości, przystojny czternastoletni chłopiec, nie zwracał uwagi na padający śnieg ani kolor nieba. Czuł się schwytany w pułapkę, ponieważ musiał zajmować się półtorarocznym siostrzeńcem Harrym, w czasie gdy rodzice Harry'ego jeździli na nartach. Kip nie miał cienia talentu do opieki nad dziećmi. Uważał, że w takim miłym hotelu jak Croix St. Bernard powinny być jakieś zabawki albo kojec, cokolwiek, co nadawałoby się dla dziecka, ale niczego takiego nie było. Oczywiście sam o to nie spytał.

Tamci ciągle nie wracali. Obiecał, że będzie pilnował małego, ponieważ wiedział, że jego szwagier Adrian zachował się wspaniało-myślnie, zabierając go razem z nimi na tę wycieczkę. Dobiegała już czwarta, Adriana i Kerry wciąż nie było, a mały Harry płakał i był znudzony. Kip pokołysał go trochę na kolanie, powtarzając „Już dobrze, dobrze, kolego” albo „Tak jedzie farmer”, ale bez powodzenia. W końcu założył słuchawki walkmana i postanowił zignorować płacz malca, jednak w miarę upływu kolejnych godzin musiał zmierzyć się z kwestią butelki i jakichś płatków dla Harry'ego, a w końcu także go przewinać. Ohyda.

O czwartej czterdzieści pięć wciąż ani śladu Adriana i Kerry. Kerry była siostrą Kipa, Adrian jej mężem, człowiekiem w starszym wieku, ale zdumiewająco energicznym jak na kogoś, kto miał tyle lat - nadal jeździł na nartach i najwyraźniej spłodził Harry'ego. Kip uważał, że Adrian jest skupiony na sobie i wymagający, jak wielu starych ludzi, ale poza tym był dla niego miły i Kip potrafił to docenić.

Pokój Kipa, wilgotny od pary z prysznicza, pachniał teraz brudnymi pampersami i talkiem do przewijania niemowląt. Adrian i Kerry mieli dla siebie i dziecka osobny apartament, ale Kip czuł się tam nieswojo pośród ich porozrzucanych rzeczy. Harry równie dobrze bawił się w jego pokoju, podczas gdy on sam czytał albo robił coś innego. Telefon siostry nie odpowiadał. Kip nie miał jakichś szczególnych obaw, był raczej zaskoczony niż zmartwiony. Kiedy nadszedł zmierzch i zaśnieżone niebo przybrało szarobłękitną barwę, w jego pokoju zrobiło się ciemno.

Później znowu założył słuchawki walkmana i wziął Harry'ego na spacer po korytarzach. Harry dopiero niedawno zaczął chodzić i od czasu do czasu opierał się o ściany albo nagle siadał na podłodze, dzięki czemu tył jego kombinezону robił się coraz bardziej wilgotny od siadania w miejscach, gdzie dywany były mokre od śniegu z butów i śniegowców. Kip nie bardzo potrafił iść tak wolno jak Harry. Ludzie uśmiechali się na widok Kipa, dając mu do zrozumienia, że miły z niego chłopiec, skoro zajmuje się takim małym brzdącem.

Pokręcili się trochę po korytarzach wyłożonych zielonym dywanem na piętrze hotelowego holu. Harry pędził przed siebie, przewracał się i zaśmiewał z szaloną radością małych dzieci. Przed salą do gry w karty Kip zauważył, że Christian Jaffe, syn szefa tutejszej kuchni i właściciela hotelu, zwykle siedzący w recepcji, siedł teraz za nimi, jakby nie mógł się na coś zdecydować, z poważnym wyrazem twarzy dorosłego, który wie, że musi jakoś zdyscyplinować niesforne dzieci. Christian Jaffe był niewiele starszy od Kipa, mógł mieć jakieś dziesięćnaście lat. Z tyłu za Christianem szła jedna z córek państwa Jaffe'ów, ta bardziej nijaka. Kip zorientował się, że stało się coś złego, coś, co ma jakiś związek z nim i z Harrym. Wziął Harry'ego na ręce i zaczekał.

- Monsieur Canby, niestety mamy niedobre wiadomości - odezwał się wreszcie Christian. - Proponuję, żebyśmy poszli na górę, do biura.

Kip posłuchał go, nie pytając, co to za zła wiadomość; na razie nie chciał jej usłyszeć. Poczł skurcz niepokoju w żołądku. To musi mieć coś wspólnego z Kerry i Adrianem. Córka pana Jaffe'a wzięła od niego Harry'ego i bez słowa poszli na górę, mijając stół bilardowy

i salę barową, po czym weszli do małego pomieszczenia za recepcją. Córka właściciela pokazała Kipowi, gdzie ma usiąść, i wyszła, unosząc Harry'ego ze sobą.

- To jest bardzo zła wiadomość - zaczął Christian. Usiadł za biurkiem i spojrzał Kipowi w twarz. - Pan i pani Venn zostali zabrani przez lawinę. Dostaliśmy właśnie telefon.

- Zabrani?

- Porwani. Proszę mi wybaczyć moją angielszczyznę.

Kip słuchał go, nie bardzo rozumiejąc, co do niego mówi. Zabrani czy porwani?

- Ale przecież niedawno ich widziałem. Mieli zjeść lunch, byli niedaleko, tam na La Grange - proste zbocze ponad skupiskiem kilku domów w dole zachodniego zbocza doliny. No tak, to było kilka godzin temu.

Nigdy nie wiadomo, kiedy jakaś lawina albo inne boże dzieło może przypadkiem lub celowo na nas spaść, mówiła mina Christiana Jaffe'a.

- Oni nie żyją? To chce mi pan powiedzieć?

- Nie, nie! - zawołał Jaffe, nagle uszczęśliwiony, że może znaleźć coś pozytywnego w tej ponurej wiadomości. - Dzięki Bogu wciąż żyją, ale ich stan jest nie najlepszy. Ma przylecieć po nich helikopter, żeby zabrać ich do szpitala w Moutiers. To znaczy już przyleciał.

Kip poczuł teraz, jak twarz oblewa mu rumieniec ulgi. Kerry żyje. Uświadomił sobie, że podświadomie całe popołudnie spodziewał się złych nowin, a jego niepokój potwierdzało każde odległe echo wybuchów dynamitu rozlegające się wzdłuż śnieżnych grani. Ale myślał tylko o połamanych nogach.

- Gdzie? - spytał, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

- Tego nie wyjaśniono. Znaleźli ich kilka godzin temu, lecz nie zawiadomiono nas wcześniej, ponieważ członkowie ekipy ratunkowej nie mieli pojęcia, w którym hotelu się zatrzymali. Oni nie jeździli *hors piste* - zawsze doradzamy, żeby brać ze sobą urządzenia pozwalające człowiekowi zlokalizować, kiedy się jeździ *hors piste*... Po prostu ich porwało, słyszałem tylko, że nie jeździli *hors piste*. - Niepokój w jego głosie wskazywał, że obawia się ewentualnych roszczeń prawnych.

- Ale wszystko będzie z nimi dobrze?

- Jeśli chodzi o ich stan... myślę, że stan monsieur Venna jest... poważny. Nie wiadomo, jak długo znajdowali się pod śniegiem, ile minut... może godzinę.

Kip poczuł szczypanie w oczach. To brzmiało niedobrze. Nie wiedział, co ma czuć ani jak reagować. Zdawało mu się niedorzeczne, żeby Adrian i Kerry mogli leżeć zakopani w śniegu jak trupy. Czy to na pewno oni? Może powinien pojechać i na nich popatrzeć? Znowu skurcz w żołądku - pewnie będzie musiał zidentyfikować Adriana i Kerry. Usiadł, odczuwał jedynie zamęt myśli i zdumienie. Ale przynajmniej Kerry żyje.

- Chyba powinienem pojechać do szpitala - powiedział wreszcie.  
- Jeśli oni tam są.

- Tak, myślę, że tak byłoby dla pana najlepiej. Spróbujemy jakoś dotrzeć do Moutiers. Moja siostra zajmie się dzieckiem. - Christian najwyraźniej był gotowy wyrecytować całą listę rzeczy, jakie są gotowi zrobić, żeby mu pomóc; dobrze przyswojona lekcja w szkole hotelarskiej na temat usług, troski, współczucia.

W samochodzie Kip co chwila prosił Christiana Jaffe'a, żeby opowiedział mu, co się stało, i starał się wyłuskać z jego słów jakieś dodatkowe informacje, ale Jaffe nie wiedział nic więcej ponad to, co mu przekazano. Zostali odkopani spod śniegu, Adrian jest bliski śmierci, Kerry w nieco lepszym stanie; było jakieś opóźnienie w zawiadomieniu hotelu, ponieważ początkowo nie wiadano, gdzie się zatrzymali.

- Ale znaleziono nartę, tylko jedną, z numerem wypożyczalni, i dzięki temu można było ustalić, kto ją wypożyczył.

Szpital znajdował się w niewielkim dziewiętnastowiecznym budynku, w którym równie dobrze mogła mieścić się szkoła albo jedno z dawnych sanatoriów dla chorych na gruźlicę. W holu kilka osób siedziało na rozkładanych krzesłach. Na ścianie wisiała wielka trójwymiarowa mapa regionu. W przeciwnym końcu korytarza Kip dostrzegł światła i usłyszał rytmiczne pikanie, odgłosy oddziału intensywnej opieki medycznej, dobrze znane z telewizji i ze szpitala, w którym umarła ich matka.

Razem z Christianem Jaffe'em podeszli do drzwi i zatrzymali się w progu. Postać leżąca bliżej nich, owinięta w prześcieradła, mogła być Kerry. W rogu sali druga maszyna wydawała rytmiczne odgłosy obok drugiej sterty ciemnych koców. Weszli do środka. W pomieszczeniu nie było żadnych lekarzy, jedynie kilka pielęgniarek, które obserwowały monitory i manipulowały przy plastikowych rurkach. Wyglądało na to, że lekarze zrobili już, co do nich należało. Zastosowano odpowiednie środki i ofiary wypadku znalazły się pod rutynową opieką nocnej zmiany personelu medycznego.

Kiedy podeszli bliżej, Kip poznał Kerry w pierwszej z leżących postaci. Wpatrywał się uporczywie w jej zamknięte oczy, jak gdyby miał nadzieję, że obudzi ją sama temperatura jego narastającej paniki. Czuł, że coś, jakieś otepiające oszołomienie, nie pozwala mu tego wszystkiego pojąć. Nie mógł uwierzyć, że jej oczy za chwilę się nie otworzą, że nie mrugnie porozumiewawczo, gdy uświadomi sobie, że to on na nią patrzy. Ale leżała nieruchomo jak kamień; stojące wokół niej urządzenia wydawały dziwne dźwięki. Ta druga osoba pod stertą koców była pewnie Adrianem.

Może nie powinien na nią patrzeć. Ludzie nie znoszą, kiedy się na nich patrzy, gdy śpią. Kilka pielęgniarek wchodziło i wychodziło z sali. Spoglądały na niego, ale nie pojawił się żaden lekarz, aby z nim pomówić. Kip zastanawiał się, co powinien zrobić; może usiąść koło siostry i zostać tak przez całą noc? Ale już po kilku minutach pielęgniarka poprosiła go, żeby wyszedł.

Christian Jaffe palił na korytarzu. Postawił kołnierz i ruchem głowy, który najwyraźniej dotyczył Kipa, wskazał w stronę wyjścia na końcu korytarza. Przymuszczałnie chciał jak najszybciej wrócić do Valmeri.

- Niedługo zacznie się wieczorny posiłek. Powiniennem tam być - powiedział. - Goście na pewno już usłyszeli o wypadku.

Takie wiadomości z reguły wywoływały zbiorowe podniecenie i obawy, co przekładało się na dodatkowe skargi związane z jakością posiłków, odsyłanie wina i ogólną podwyższoną drażliwość.

Kip zastanawiał się, gdzie jest jakiś lekarz i czemu nikt z nim, bratem ofiary, jeszcze nie porozmawiał. Rozejrzał się wokoło, szukając lekarza albo kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Nie mówił po francusku.

- Ale chyba ona nie umrze? - spytał Christiana Jaffe'a. - Może się pan spytać, jak ona się czuje?

Jaffe zamienił kilka słów z pielęgniarką, która właśnie wychodziła z sali.

- *Non, non* - powiedziała kobieta. Kip tylko tyle zrozumiał, i czekał, aż Jaffe mu przetłumaczy resztę zdania.

- Ona mówi, że pana siostra jest w stabilnym stanie śpiączki, ale nadal jest bardzo wychłodzona.

Kip miał wrażenie, że to jakaś sprzeczność, ale co on tam może wiedzieć. Potem pielęgniarka powiedziała, że Kerry nie umrze i że nie ma sensu tutaj siedzieć. Jakiś lekarz pojawił się na korytarzu i przywitał się z Jaffe'em uściskiem dłoni. Zwracając się do Kipa, rzekł po angielsku:

- Monsieur Venn jest w nie najlepszym stanie. Jego mózg wykazuje bardzo niewielką aktywność. Ale chory jest bardzo wyziębiony, więc jest jeszcze za wcześnie, żeby móc wyrokować. Madame Venn jest znacznie młodsza, a poza tym została uratowana jako pierwsza, mamy więc co do niej więcej nadziei.

Kip poczuł, że skurcz w jego żołądku nieco ustępuje. Ulga. Z Kerry nie jest tak źle. Prawdę mówiąc, niezbyt przejmował się Adrianem. Christian Jaffe jeszcze raz porozmawiał z lekarzem.

- Madame Venn jest twoją siostrą? - spytał lekarz.

- T a k .

- A więc przypuszczalnie możesz wiedzieć, kto byłby odpowiednią osobą do tego, żeby podjąć decyzję - hm, to znaczy decyzje - w sprawie monsieur Venna? Ktoś z jego najbliższej rodziny?

Kip nie miał pojęcia i dopiero później w samochodzie uświadomił sobie, o jaką decyzję tu chodzi. Ale kiedy Kerry poczuje się lepiej, sama będzie mogła takową podjąć.

W drodze powrotnej pytania kłębiące się w głowie Kipa, równie liczne jak tańczące w mroku płatki śniegu, które nieustannie przylepiały się do szyby samochodu i traciły kształt, pozostawiając jedynie białą pustkę niepokoju i biernej rezygnacji zimnej jak zbrocze śniegiem. Dotarło do niego, że osobą, na którą spada teraz odpowiedzialność, jest on sam, Kip. Nie miał tu nikogo, do kogo



mógłby się zwrócić, i nie wiedział, co ma zrobić. Ich rodzice nie żyli i oboje z Kerry mieli tylko jednego krewnego, wuja, który mieszkał w Barstow w Kalifornii. To znaczy Kerry miała jeszcze Adriana i Harry'ego, ale on, Kip, miał tylko ją. A teraz był także odpowiedzialny za Harry'ego, który prawdopodobnie będzie płakał przez całą noc. Co mają ze sobą zrobić? Christian Jaffe z ponurą miną prowadził samochód wspinający się w ciemnościach i coraz gęściej padającym śniegu w górę wąskiej krętej drogi i Kip zrozumiał, że będzie musiał sam postanowić, co ma teraz zrobić.

Wreszcie Jaffe się odezwał: jeśli są jakieś osoby, które należałoby wezwać w razie potrzeby, hotel może się tym zająć albo zorganizować im nocleg.

- Ich lekarz domowy... albo może prawnik.

Ale oczywiście Kip nie znał tych ludzi. Christian Jaffe podsunął Kipowi pomysł, żeby zajrzał do dokumentów Adriana. Kip obiecał to zrobić, choć wiedział, że będzie się czuł bardzo dziwnie w tej sytuacji.

## ROZDZIAŁ 4

Maida Vale, Londyn, W9. Przyjemne mieszkanie na parterze w dużym domu w stylu regencji, z białymi kolumnami od frontu, z widokiem na leżący od tyłu owalny ogród, wspólny dla kilku domów. Duże wygodne fotele w luźnych beżowych pokrowcach, sofa lekko poplamiona herbatą na oparciach, czasopisma i książki porozkładane wokół w pewnym nieładzie, ale wskazującym na dążenie do wygody. Niewielka rzeźba z brązu, na oknie schludne doniczki ozdobnej papryki i fiołków afrykańskich, zestaw stereo, głos spikera BBC odczytującego prognozę pogody dla statków, leniwy łaciaty kot, lekkie drżenie szyb pod uderzeniami silnego wiatru. Typowo angielska sceneria połączenia elegancji i ubóstwa.

Z kuchni dobiegają mile drażniące nozdrza zapachy gotowania. Posy i Rupert mają właśnie zjeść kolację ze swoją matką Pamelą, co starają się robić dość często, od czasu gdy Pam została sama, co nie znaczy, że ona tego wymaga; jest bardzo zajęta. Wędzona szynka, kalafior, brukselka, puree z ziemniaków; najbardziej pachnący obiad w repertuarze Pam, na ich wyraźne życzenie, ponieważ tak bardzo przypominał im przyjemne czasy dzieciństwa, zanim zaczęły się rodzinne kłopoty. Zawsze ją o niego proszą, bo choć tyle dziś w Londynie modnych restauracji, nigdzie nie można dostać takich tradycyjnych potraw. Pamela sama zaczęła teraz hołdować modzie i przygotowywała potrawy na podstawie przepisów Prue Leith oraz *River Cafe Cookbook*, ale w czasach ich dzieciństwa umiała przyrządzać tylko gotowane potrawy i miała swoje poglądy na to, jak należy karmić dzieci.

Posy Venn była wysoką, piękną, dwudziestodwuletnią młodą kobietą, o zdrowej, zaróżowionej cerze i kaskadzie lśniących, kasztanowych, kręconych włosów. Miała typowo angielski kolor skóry i budowę kostną. Otaczała ją aura nieco bezwzględnej pewności siebie, jaka bywa udziałem osób dobrych w sporcie, nauce, prowadzeniu samochodu, amatorskim teatrze oraz w pracy menedżera do spraw kredytów w sieci butików, jaką podjęła w czasie letnich wakacji, i w każdej innej sprawie, do której się zabrała. W porównaniu z nią jej brat Rupert uważał samego siebie za zwykłego śmiertelnika. W oczach innych oboje wydawali się bardzo podobni: przystojni, ironiczni, ambitni. Rupert, który bez większego entuzjazmu pracował w City, był o trzy lata starszy od siostry.

Posy, mimo że młodsza, pierwsza wyprowadziła się z domu i zamieszkała z dwiema koleżankami. Rupert pozostał z matką. Wkrótce zamierzał się wyprowadzić, ale pewna inercja oraz przeszkoda w postaci nowej pracy stanęły na drodze jego zamiarów. Pam nie miała nic przeciwko temu, że wciąż mieszkają razem, choć zaczęła lekko się zżymać, że jej świeżo odzyskana wolność, nawet jeśli o nią nie prosiła, napotyka przeszkodę w postaci macierzyńskich obowiązków, i to akurat teraz, gdy mogła wreszcie zacząć nowe życie.

Nie traktowali tego jednak jako sekretu, ale raczej źródło żartobliwych uwag w rodzaju: „Rupe, mógłbyś przynajmniej skosić trawę w ogrodzie” albo „Zarób, chłopcze, na swoje utrzymanie i wynieś to do śmietnika”. Na szczęście Pam i Rupert dobrze się czuli w swoim towarzystwie, ponieważ syn stanowił uosobienie spokoju i jego matka zawsze była głęboko przekonana, że w głębi duszy skrywa namiętne uczucia oraz talent artystyczny. Pisał wspaniale, całkiem nieźle grał na fortepianie i najwyraźniej nie miał żadnych ambicji. Po skończeniu uniwersytetu, za radą Adriana, który opłacił jego naukę, zapisał się na kurs biznesu i obecnie pracował w firmie Wigget's na stanowisku, sądząc z tytułu, średniej rangi i zajmował się sprzedażą obligacji. Na nieszczęście dla niego samego szło mu w tym całkiem dobrze, toteż rodzina wkrótce zaczęła traktować to zajęcie jako element jego tożsamości. Utrzymywał liczne kontakty towarzyskie, ale nie miał narzeczonej i zawsze zapraszano go,

gdy brakowało mężczyzny do kompletu, co najwyraźniej całkiem mu odpowiadało.

Posy i Rupert podeszli z wódką z tomkiem do stołu ustawionego w rogu salonu, w tym czasie Pam kończyła gotowanie w kuchni. W pewnym momencie usłyszeli dzwonek telefonu, rozległ się jej wysoki donośny głos, zabrzmiały tony ekscytacji, przerywane wykrzyknikami, a potem przeszła w niższe i cichsze rejestry. Odgłosy, które także przywoływały w nich wspomnienia dzieciństwa. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Ich matka łatwo się ekscytowała. Pam weszła do salonu. Jej oczy rozjaśniała jakaś bliżej nieokreślona emocja. To było wilgotne spojrzenie, jakie pamiętali z czasów, gdy byli mali, a ona miała dla nich jakąś niespodziankę albo wspaniałą wiadomość.

Usiadła, dotknęła swojej szklanki, ale jej nie podniosła, poprawiła włosy (typowo angielskie, przedwcześnie posiwiałe włosy, które nosiła do ramion, żeby podkreślić świeżość cery). Widzieli, że coś ją nurtuje.

- Wasz ojciec. Nieomal zginął, albo raczej rzeczywiście zginął - odezwała się stłumionym głosem nabrzmiałym od emocji. Rupert i Posy popatrzyli przed siebie nieruchomo, zbyt wstrząśnięci, by cokolwiek powiedzieć; może nie całkiem uwierzyli w jej słowa. - W szpitalu, we Francji, ale nie spodziewają się... nie spodziewają się... - Głos jej się załamał.

Przerwała, upiła trochę swojego drinka i opanowała się. Oficjalnie los Adriana Venna nic ją już nie obchodził. Szybko powtórzyła to, co usłyszała przez telefon. Lawina w Alpach Francuskich. Został pogrzebany żywcem i odkopany w stanie bliskim śmierci. Przypuszczalnie był razem ze swoją nową żoną - osoba, która dzwoniła, nic nie wspomniała na ten temat. Ogromne lawiny. Nadal poszukują ofiar. Spojrzała za okno na ogród spowity w mroku. We Francji była godzina później, więc musieli już wstrzymać akcję ratunkową.

- Mój Boże - odezwał się Rupert, zdając sobie sprawę, jak banalnie zabrzmiała ta prosta uwaga, ale co jeszcze mógł powiedzieć? Zastanawiał się nad ostatecznym charakterem i pewną malowniczością tego aktu sprawiedliwości, złośliwą naturą losu. Widział, że Posy także zmaga się z przerażającą wizją ojca pogrzebanego żywcem

w lodowatym grobie. Ich ojciec był uosobieniem witalności i energii, wybuchowy i nieprzewidywalny, w tym ostatnim wypadku jak we wszystkim, co robił w życiu.

Posy pociągnęła nosem, czując, że powinna się rozpłakać.

- Kto to był? Ten ktoś, kto zadzwonił? - spytała.

- Ktoś... z alpejskich służb ratowniczych. Mówił po angielsku.

- Skąd się o nas dowiedzieli? - dopytywała się dalej Posy. Praktyczna Posy, jak zawsze nazywał ją Adrian. Poczowała u nasady nosa jakiś skurcz nadsciągającego łkania.

- Nie wiem - powiedział Pamela. - Ktoś spytał, czy jestem madame Venn. - Już nie, ale kiedyś nią była.

- No dobrze! - odezwała się po chwili, przerywając milczenie swoich zdumionych dzieci. - Nie macie ochoty czegoś zjeść? Moglibyśmy zacząć. Możemy porozmawiać. Będziecie musieli tam natychmiast pojechać, chyba rozumiecie. Nic wam nie jest?

Posy poczuła, że mimo narastającego wewnętrznego oporu łzy napływają jej do oczu. Czy nic jej nie jest? Jeszcze nie uporała się ze swoją złością na ojca. Spojrzała na opanowanego Ruperta, który także wyglądał, jakby miał się zaraz rozpłakać. Wszyscy troje mieli mieszane uczucia na temat Adriana Venna, ale żadne z nich nie życzyło mu śmierci, zwłaszcza tak przerażającej. Trudno było uwierzyć, że jakiś wypadek, albo coś gorszego, mógł się przytrafić ich nieco groteskowemu, podstarzałemu ojcu, że zginął w lawinie! Historyjka jak z anegdoty.

Słyszeli, że wybierał się na narty ze swoją młodą żoną i nowym dzieckiem. Poczuli wtedy rozbawienie zaprawione goryczą. A teraz siedzieli w ponurym zdumieniu. Wszyscy troje myśleli o pięknym *chateau* ojca, w którym mieściła się jego drukarnia i wydawnictwo, oraz o winnicy - *vignoble* - o tej całej stronie ich życia, jakie toczyło się we Francji. Rozmawiali o tym, jak w dzieciństwie uwielbiali spędzać lato w Saint-Gond, i przypominali sobie, choć nie mówili o tym, jak zawsze ignorowali nieprzystojne wygłupy ojca z dziewczętami z college'u, które przyjeżdżały na winobranie - wśród nich pewnego roku Kerry Canby z Eugene w Oregonie.

- W tych czasach, kiedy myśleliśmy o Francji, to zawsze znaczyło lato i życie - zawołała Posy.

- Teraz najwyraźniej oznacza zimę i śmierć - powiedział Rupert. Zastanowiło ich to brutalne sformułowanie. Posy wkrótce pojechała do siebie, żeby się spakować. Rupert posiedział nieco dłużej z matką, po czym poszedł do siebie na górę, żeby zrobić to samo.

## ROZDZIAŁ 5

Hotel Croix St. Bernard słynął z bardzo dobrego jedzenia. Zimą, gdy padający śnieg zatrzymywał gości w hotelu oraz latem, ambitny szef tamtejszej kuchni, monsieur Andre Jaffe, prowadził lekcje gotowania. Posiłki podawano bardzo starannie, z pomocą młodych ludzi, który sposobili się do zawodu profesjonalnych kelnerów, ubrani w marynarki i fraki przekazywane z pokolenia na pokolenie miejscowych *stagiaires*, bez wprowadzania jakichkolwiek większych poprawek, przez co młodzi ludzie wyglądali, jak gdyby niezbyt wygodnie czuli się w swoich strojach.

Mimo niezwykłych wydarzeń tego dnia oraz emocji związanych z katastrofą i odległych odgłosów eksplozji trotylu kelnerzy zaczęli jak zawsze przygotowania do kolacji, czyszcząc kieliszki i umieszczając sery, wciąż jeszcze zapakowane, na wózku, a goście powoli napływali do sali jadalnej. W tym momencie wszyscy słyszeli już pogłoskę o tym, że jeden z tutejszych gości padł ofiarą lawiny tego popołudnia, i z uwagą przysłuchiwali się rozmaitym wersjom wydarzeń, jakie krążyły w hotelowym holu podczas koktajlu. W tym czasie inni w skupieniu oglądali w sali barowej na ekranie podwieszonego odbiornika telewizyjnego relację z akcji ratunkowej w Meribel; sceny zalane dziwnym światłem, wyraźnie jaśniejszym niż mroczne niebo na zewnątrz.

- Zważywszy na to, że narciarstwo nigdy nie obywa się bez jakiegoś dramatu, ta katastrofa wydaje mi się jedynie nieco bardziej pouczającym napomnieniem niż zwykłe zwichnięcia, złamania i nadwreżenia kończyn, jakimi zwykle to się kończy - mówił Robin Crumley do *princesse*, gdy zmierzali do swego stołu. Wśród gości, którzy zatrzymali

się tu na dłużej, część prędzej czy później pojawi się w jadalni w gipsowych opatrunkach i o kulach, stając się obiektem ukradkowego współczucia i lekko triumfalnych spojrzeń pozostałych biesiadników. - Zauważam jednak, że nic nie potrafi ich odwieść od wspaniałego jedzenia - dodał.

W sali jadalnej drogą eliminacji wkrótce ustalono, potwierdzając napływające wiadomości, że chodzi o pana Venna i jego małżonkę, brytyjskiego wydawcę, który został przysypany przez lawinę na zboczu zwykle uważanym za całkiem bezpieczne. Przypuszczalnie masy śniegu zostały wprowadzone w ruch przez odgłosy przelatujących samolotów. Vennowie w żadnym wypadku nie jeździli *hors piste*, wracali właśnie do domu i zostali porwani przez niespodziewane niewielkie osunięcie się śniegu w stronę dobrze widocznego zagłębienia terenu, znanego jako Hilary's Hole, od imienia niefortunnej Angielki, którą kilka lat wcześniej przysypało w tym samym miejscu i która została odkopana po dramatycznej akcji ratunkowej. Chociaż Amy Hawkins, jako osoba podróżująca samotnie, siedziała przy jednoosobowym stoliku, zdążyła już poznać te wszystkie szczegóły w rozmowie z Joem Daggartem, kiedy szli do jadalni, i od krążących kelnerów - wydawało się wręcz, jakby wieści unosiły się w powietrzu - i co oczywiste, czuła naturalne ludzkie współczucie.

Venn, mężczyzna po siedemdziesiątce, był bliski śmierci. Jego znacznie młodsza żona znajdowała się w stanie śpiączki, ale także wciąż żyła. Oboje przetransportowano helikopterem do Moutiers. Młody człowiek siedzący przy tamtym stole z małym dzieckiem należał do ich towarzystwa, ale najwyraźniej nie jeździł dzisiaj razem z nimi, na swoje szczęście. Kelnerki krążyły niespokojnie wokół niego, postawiły dla dziecka wysokie krzeselko i podgrzewały mu butelkę z mlekiem. Młodzieniec siedział jak w transie, najwyraźniej był w szkolu. Mocno zbudowany czternasto-, piętnastoletni, o przyjemnej twarzy - może jakiś krewny albo syn starszego pana z innego małżeństwa? Miał na sobie nieco podniszczoną sportową marynarkę i wyraźnie używany krawat, co wskazywało, że chodził do szkoły z internatem.

Pojawiły się dalsze informacje na temat ofiary, ponieważ Venn był postacią stosunkowo dobrze znaną, głośnym wydawcą i człowiekiem



zamożnym, może nawet bogatym, chyba dwukrotnie ożenionym. Anglik, który założył w Luberon drukarnię Icarus o profilu artystycznym i po raz pierwszy zasłynął w latach pięćdziesiątych XX wieku, drukując książki, które nie mogły ukazać się wówczas w Anglii, publikowane przez Maurice'a Girodiusa w Olympia Press w Paryżu. Później wprowadził na rynek pamiętne faksymile sławnych rzadkich edycji dzieł Blake'a, Dalego, Bretona, a nawet Gutenberga.

Ofiarę znalaziono dzięki rękawiczce, która leżała na powierzchni masy zbitego śniegu. Nie miał przy sobie portfela, ale zidentyfikowano go na podstawie karty kredytowej Barclaya znajdującej się w zasuniętej na suwak kieszeni jego kurtki. Informacje uzyskane za pośrednictwem całodobowej linii informacyjnej banku pozwoliły ratownikom ustalić jego tożsamość oraz angielski adres, dzięki czemu krewni Venna w Anglii dowiedzieli się o całym zdarzeniu jako pierwsi i znajdowali się już w drodze. Braclay nie mógł podać żadnych informacji na temat tego, w jakim hotelu Venn się zatrzymał w Valmeri, ale na szczęście jego narty, choć znalaziono tylko jedną, były oznakowane logo sklepu narciarskiego Jean Noir, skąd wypożyczył swój sprzęt. Problem polegał jedynie na tym, że wiele hoteli w okolicy korzystało z usług tej firmy, więc upłynęło trochę czasu, nim pracownicy sklepu zdołali ustalić, kto wypożyczył akurat tę parę nart...

I tak dzięki magii komputerów krewni gdzieś w Anglii jako pierwsi usłyszeli o nieszczęściu, jakie przytrafiło się Vennom.

Mówiono, że Venn ma także starsze dzieci; był już wcześniej żonaty. Co za tragedia dla nich wszystkich. I jakie to nierozsądne, żeby człowiek w jego wieku jeździł na nartach!

Padały inne szczegóły przekazywane od jednej grupy gości do drugiej.

- Miał twarz pokrytą skorupą lodu, jaka uformowała się z jego zamarzającego oddechu; udusił się własnym oddechem.

- Trzymał ręce wyciągnięte przed siebie jak grzesznicy w Pompejach, którzy usiłowali ochronić się przed ognistym popiołem; a może usiłował przebić się przez gęstą masę śniegu, w którą wbiła go siła lawiny.

- Pod lodowatą maską na jego twarzy malowała się spokojna rezygnacja mumii.

Kip zabrał Harry'ego na górę do pokoju Kerry i Adriana, gdzie stała kołyska, i wepchnął jego małe kończyny w jakąś najwyraźniej za małą piżamkę ze stópkami. Nie wiedział, czy Harry nie jest za mały na bajkę. Zaczął mu opowiadać o trzech niedźwiadkach, ale Harry wolał zejść z jego kolan i nie chciał słuchać bajek, tylko zaczął biegać po pokoju. Kip wsadził go do łóżeczka, gdzie mały płakał przez chwilę, ale bez przekonania, i w końcu zasnął, ssąc kciuk. Kip obawiał się, że włączając telewizor, może go zbudzić, więc siedział przez jakiś czas w półmroku w całkowitej ciszy. Jednak nie chciał zostać sam na sam ze swoimi myślami o Adrianie i Kerry, o tych przerażających maskach tlenowych i płataninie rurek. Czując, że życie pulsuje na dole albo odpływa w szpitalu, wyslizgnął się cicho z pokoju i poszedł do wygodnej sali klubowej o kamiennych ścianach, położonej jedno piętro poniżej hotelowego holu.

Wokół stojącego na środku pomieszczenia okrągłego baru, przy którym kelnerzy odbierali zamówione napoje, stały niskie stoliki do kawy oraz kanapy zachęcające gości, by się na nich rozsiadali i wdawali w towarzyskie pogawędki. Na ścianach wisiały jeszcze sosnowe gałązki, wspomnienie niedawnych świąt Bożego Narodzenia. Goście hotelu chętnie schodzili się tam po kolacji, popijając kawę, brandy albo whisky z wodą sodową, przy dźwiękach koktajlowych melodii i dawnych kawiarnianych szlagierów granych przez niewielki zespół muzyczny lub pianistę.

Kip czuł wokół siebie przyjazne, współczujące uśmiechy.

- Smutna sprawa - zawołał na widok Kipa jakiś człowiek.  
- Reinhard Kraus z Bremy - powiedział inny, mocno opalony łysy mężczyzna stojący obok niego. - Moja żona Berthilde. To straszne.

Wszyscy chcieli wiedzieć, co się stało, nawet jeśli najwyraźniej i tak już wiedzieli, a kiedy Kip zaczynał im opowiadać, co sam wiedział, inni podchodzili bliżej.

- Nadal są w szpitalu. Muszą ich rozmrozić, bardzo powoli. Moja siostra jest wciąż nieprzytomna, ale przypuszczalnie nic jej nie będzie. Swagier nie jest w najlepszym stanie...

Poczuł się nieco lepiej, widząc ich zainteresowanie, ale jednocześnie był zakłopotany. Może kierowała nimi tylko ciekawość, ale wydawało mu się, że ich uśmiechy ożywiła prawdziwa życzliwość. Zupełnie jak gdyby on sam dokonał jakiegoś wielkiego, heroicznego czynu. Pan Kraus spytał go, czy ma ochotę na piwo, i Kip powiedział, że tak. Ale kiedy je przyniesiono, nie chciał pić. Wolał stać niedaleko kominka, którego ciepło kojarzyło mu się z emanacją uczuć ludzi znajdujących się w pomieszczeniu. Słyszał wokół gwar niezrozumiałych języków. Choć mówili do niego po angielsku, między sobą rozmawiali po niemiecku lub po francusku albo w językach słowiańskich, których nigdy wcześniej nie słyszał. Prawdziwa wieża Babel sympatii i współczucia. Czasami dobiegały do niego angielskie słowa układające się we frazy - nadal w śpiączce, niesumienne zaniedbanie ze strony zarządców nartostrad i służb ratowniczych. Nagle przyszło mu do głowy, że ze szpitala nie będą mogli do mego zadzwonić, gdyby się coś stało! Czy oni wiedzą, jak on się nazywa? Gdzie jest?

Dostrzegłszy zmierzającego w jego stronę Christiana Jaffe'a, zadał mu te wszystkie pytania.

- Wiedzą, że pan jest tutaj. Jesteśmy wszyscy w kontakcie - wyjaśnił Jaffe. - Członkowie rodziny pana Venna są już w drodze.

Tonem osoby dobrze poinformowanej młody Jaffe odpowiadał na pytania gości, którzy tłoczyli się wokół niego. Kip słyszał, że Adrian miał już dzieci przed Harrym i był wcześniej żonaty, ale nie wiedział z kim. Poczuł pewną ulgę na myśl, że przyjadą tutaj jacyś inni ludzie, żeby mu pomóc, i częściowo wyręczą go w czuwaniu przy dwu zimnych, zmartwiałych postaciach. Nie zostawia go samego.

Ale w głowie kręciło mu się od nowych problemów. Będzie musiał dziś w nocy spać w pokoju Kerry albo zabrać Harry'ego na dół do siebie, co oznaczało, że powinien przenieść wszystkie rzeczy dziecka. W tym momencie, zupełnie jakby poruszył akurat tę jedną myśl, która podtrzymywała w równowadze całą piramidę innych kłopotliwych myśli, wszystkie spadły na niego jednocześnie - co z ubrankami Harry'ego i jak zapłacić pokojówce, jeśli uda mu się ją namówić, żeby mu pomogła jutro? Czy będzie mógł to dopisać do hotelowego rachunku? Ile dni Kerry będzie w szpitalu? Na dnie tego wszystkiego

krył się jednak przede wszystkim lęk o Kerry, i oczywiście o Adriana, dwa nieruchome ciała leżące w otoczeniu gulgotzących plastikowych rurek, w jakiejś niesamowitej błękitnej poświacie, w dziwnym alpejskim szpitalu, a do tego w kraju, w którym nie potrafił się z nikim porozumieć w miejscowym języku.

Poczuł więc prawdziwą ulgę, gdy okazało się, że następną osobą, jaka się do niego odezwała, jest śliczna blondynka z długim zaplecionym warkoczem, którą widział wcześniej w jadalni siedzącą samotnie przy stoliku. Wydawało mu się to dość zabawne. Zwykle kiedy ludzie siedzieli sami, czytali książkę albo robili cokolwiek innego, ale ona po prostu siedziała, roztaczając wokół jakąś aurę niezwykłego spokoju, która mu się podobała i zwracała na nią uwagę. Inni ludzie też spoglądali w jej stronę. Pomyślał, że być może to jakaś cudzoziemka, ale kiedy się do niego odezwała, jej głos zabrzmiał kojąco po amerykańsku.

- Cześć, jestem Amy - powiedziała. - Właśnie się zastanawiałam, czy mogłabym ci jakoś pomóc.

## ROZDZIAŁ 6

Amy Hawkins zajmowała się właśnie odmienianiem swojego życia. U mężczyzny nazywałoby się to kryzysem wielu średniego, ale ona była na to za młoda. Poza tym w jej wypadku chodziło bardziej o przygodę oraz całą serię przemyślanych filozoficznych decyzji dotyczących tego, co się naprawdę liczy w życiu, na przykład jaki jest sens wszystkiego i jak można wykorzystać swoje pieniądze dla dobra innych. Dotąd jej głównym przeżyciem egzystencjalnym było zaangażowanie się w życie firmy, którą pomogła założyć. Kiedy to sobie uświadomiła, dotarło do niej, że życie przepływa obok, a ona sama ma do zrobienia jeszcze wiele innych rzeczy, tym bardziej że wkrótce przekroczy trzydziestkę.

Podobnie jak wiele tego rodzaju odkrywczych myśli owo poczucie ogarnęło ją w chwili, gdy w jej życiu zaszła istotna zmiana: nagle okazało się, że nie ma pracy. Jej ukochana firma została sprzedana, a ona dostała ogromną masę pieniędzy i musiała teraz znaleźć sobie jakieś inne zajęcie. Dla dwu z jej kolegów - geniuszy informatycznych Chrisa i Neala - znalazły się nowe stanowiska w Dootelu, koncernie, który ich wykupił, ale jej wkład w istnienie ich firmy - nadzór administracyjny, pisanie przemówień, proponowanie polityki - trudno było wyraźnie zdefiniować, a nawet znaleźć dla niego odpowiednik w nowej strukturze. Kiedy ich dobry pomysł chwycił, bez wątpienia pomogły im jej organizacyjne strategie, jakie zawdzięczała swoim dwuletnim studiom prawniczym i kursowi MBA. Nie wspominając o jej początkowej inwestycji w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Pomysły i twórcze rozwiązania były domeną jej przyjaciół, ale

pieniądze na start należały do niej, podobnie jak praktyczna taktyka kierowania firmą, a także, od czasu do czasu, sugestie w sprawie projektów, które podchwytywali o wiele częściej, niż sobie zdawali z tego sprawę. Czuła, że jest ważna, i wraz z rozwojem firmy jej rola stawała się coraz bardziej odpowiedzialna.

Wiedziała, że w pewnym sensie znalazła się lata świetlne od miejsca, w którym zaczęli, jednak pod innym względem miała poczucie, że zaszła donikąd. Na początku sama była wciąż równie niezdarna jak jej jajogłowi koledzy, niecierpliwie czekała na piękno i władzę, które pragnęła osiągnąć. Teraz, kiedy już to wszystko miała, wydawało się, że jest za późno na to, by - jak przystało osobie zaczynającej prawie od zera - mogła pozbyć się powagi i zdrowego rozsądku, dzięki któremu dobrze poruszała się w sprawach praktycznych. To dzięki zdrowemu rozsądkowi roztropnie zawczasu zamieniała na gotówkę swoje opcje i akcje, w chwili gdy giełdowy indeks NASDAQ osiągał szczytowe wartości, a ich firma została kupiona przez Dootel za prawie pół miliarda dolarów.

Początkowo między nią a pozostałą dwójką założycieli, Chrisem i Nealem, doszło do pewnych niesnasek w sprawie wielkości jej udziału w zyskach ze sprzedaży firmy. Zgodnie z kontraktem był ogromny, ale oni uważali, że jest moralnie nieuzasadniony. Zresztą jej stosunki z Nealem i tak były trochę napięte, odkąd przez pewien czas próbowali żyć ze sobą; ot, jeden z kilku poważniejszych romansów, które nie wypaliły, ale nie pogrzyżyły jej w jakiejś głębszej rozpacz. Ostatecznie wszyscy dostali tyle pieniędzy, że żadne z nich nie mogło narzekać. Jednak Amy, w odróżnieniu od Chrisa i Neala, musiała pogodzić się z faktem, że nie wie, co będzie dalej robić w życiu. Co co dwójki pozostałych partnerów, to Ben już wcześniej zainwestował w ogromne tereny Patagonii, zamierzając przekształcić je w rezerwat przyrody, a Forrest zajął się sportami ekstremalnymi.

Amy trochę podróżowała - na greckie wyspy na przykład - ale dość szybko się zorientowała, że takie wycieczki stanowią jedynie rozrywkę odwracającą uwagę od ważniejszych rzeczy i nie wprowadzają trwałszych zmian w jej charakterze - a przynajmniej takich, które sama potrafiłaby dostrzec. To prawda, że potrafiła teraz na przykład

odróżnić styl joński od doryckiego, ale to samo mogłaby osiągnąć na podstawie książek i fotografii. Sama się nie zmieniała, a w każdym razie nie bardziej niż w następstwie kilku związków z niezwykle miłymi ludźmi, które jednak z jakiegoś powodu nie zdołały jej głębiej poruszyć. Amy była zakłopotana swoimi pieniędzmi i ciągle nie wiedziała, co właściwie ma o nich myśleć. Jednocześnie nie potrafiła zapomnieć, że wyrażenie *nouveau riche* brzmiało tak pogardliwie, iż na użytek osób posługujących się językiem angielskim zostawiono je w oryginalnym, francuskim brzmieniu, podobnie jak słowa oznaczające inne nieprzyjemne pojęcia: *coup de grace* albo *savoir-faire*.

Przypuszczała, że kiedyś w końcu nauczy się, jak być bogatą, ale na razie chciała po prostu wyrosnąć z korporacyjnej mrówki i przeobrazić się w lepszą i bardziej świadomą istotę ludzką, bardziej twórczą w działaniu. Stanie się lepszą kobietą, jeśli chodzi o domowe umiejętności, na które nie miała czasu wcześniej, ale teraz być może jej się spodobają. Nabierze wprawy w takich dziedzinach, jak na przykład narciarstwo, w którym zawsze pragnęła osiągnąć wyższy poziom. Będzie poświęcała więcej uwagi przyjaciołom i krewnym, wprowadzi więcej dyscypliny w osobiste nawyki i być może będzie miała dziecko (wielki znak zapytania).

Niektórzy znajomi zarzucali jej niefrasobliwe marnowanie czasu na głupstwa, gdy oświadczyła, że zanim podejmie nową pracę jako dyrektor własnej fundacji, zamierza spędzić trochę czasu w Europie, aby nauczyć się gotować i mówić po francusku. Ale tego właśnie potrzebowała. Nie martwiła się płytkością tych zamierzeń. Z jednego punktu widzenia wszystko jest płytkie, z innej perspektywy we wszystkim kryje się coś ciekawego i wszystko może człowieka wzbogacić. Na razie Amy znalazła się w stanie idealnej otwartości na nowe doświadczenia. Przede wszystkim postanowiła, że skupi się na przyswajaniu wiedzy, czy też raczej kultury w jej najszerszym znaczeniu, choć nie miała złudzeń, że może liczyć jedynie na przyspieszony kurs.

Nie było dla niej całkiem jasne, czemu właściwie ogarnęło ją to poczucie, że brakuje jej zrozumienia dla bardziej wyrafinowanych form życia, ale dążenie do samodoskonalenia wiązała z przypadkową uwagą, jaką podsłuchiwała w pewnym sklepie ze starociami. Była

właśnie w Seattle, miała trochę czasu przed odlotem samolotu i chodziła po starych uliczkach niedaleko muzeum sztuki. Ta część miasta znajdowała się w trakcie przemian - eleganckie księgarnie sąsiadowały z lombardami i sklepami z bronią, angielskie antyki były obok sprzedawców zegarów i instrumentów nawigacyjnych albo butików miejscowych projektantów mody. W jednym ze sklepów ze starociami właścicielka rozmawiała z klientką. Amy nie mogła się powstrzymać, by nie przysłuchiwać się ich rozmowie.

- Dlaczego te rzeczy są tak grubo pokryte werniksem? Są kompletnie zniszczone - spytała kobieta, która weszła kilka minut wcześniej. - Macie tu trochę ładnych angielskich rzeczy, ale są całkowicie zniszczone.

- Ale właśnie tak muszą tutaj wyglądać. To dla ludzi z branży informatycznej. Nie mają o niczym pojęcia i uważają, że powinny być błyszczące. Dlatego jeszcze raz powlekamy je werniksem.

- To straszne - powiedziała ze zgrozą kobieta. - Nie może pani im tego wyjaśnić? Powiedzieć, co to znaczy oryginał i na czym polega restauracja?

- Nikt ich niczego nie nauczył. Gdyby nie Martha Stewart, całą kulturę trafiłby szlag. Aż trudno uwierzyć, do jakiego stopnia nie wiedzą. Nie mają pojęcia o prasowaniu i nie wiedzą, jak nakryć do stołu. Matki ich niczego nie nauczyły, bo same pracowały. Ich matki same nie miały o niczym pojęcia!

- Ale stać ich na to, żeby ktoś inni ich nauczył. Mogą zatrudnić konsultantów, dekoratorów.

- Oni nie mają pojęcia o tym, czego nie wiedzą, więc nie przychodzi im do głowy, żeby zapytać.

Amy nie doznała wtedy jakiegoś objawienia, ale ta rozmowa skłoniła ją do zastanowienia się, kim właściwie są ci „oni” - przypuszczalnie ludzie w jej wieku, którzy, podobnie jak ona, dorobili się pieniędzy w świecie internetu i komputerów. Bardziej niepokojące było pytanie o wiedzę, której oni, czyli ona, nie mieli; o pytania, których nigdy nie zadali. W pewnym sensie niezbyt się tym wszystkim przejmowała - niewątpliwie jest mnóstwo rzeczy, o których nic nie wie, i pytań, których nigdy nie zadała. Wiedziała, że powinna się wiele nauczyć.



Ale ciekawe było pytanie o to, co takiego wiedzą te dwie siwowłose kobiety, a raczej co im się wydaje, że wiedzą, a ona nie. Jakieś sprawy związane z dawnymi meblami, tak, ale ich ton i wzmianka o guru w sprawach prowadzenia domu, czyli Marcie Stewart, wskazywały na pewien szerszy zasób umiejętności, zwykle przekazywanych przez matki, umiejętności, które były tożsame z samą kulturą, narażoną w tym momencie na upadek. Tymczasem Amy nie miała o tym wszystkim zielonego pojęcia.

Od tej chwili świat co dzień przynosił nowe dowody jej braku kultury, ignorancji i braku doświadczenia - co oczywiście odnosiło się także do jej kolegów. Pomyślała, że są nawet od niej gorsi, ponieważ w ogóle nie przychodzi im do głowy, by zadawać jakieś pytania. Zrozumiała wtedy, że spoczął na niej patriotyczny obowiązek zakwestionowania na podstawie własnego przykładu powszechnego przekonania na temat Amerykanów, że są zbyt zaabsorbowani sobą i nie mają głowy do historii ani do, prawdę mówiąc, w ogóle żadnej kultury.

To właśnie stąd zrodził się jej pomysł propagowania idei wzajemnej pomocy, zarówno samej koncepcji, jak i wielkiej książki noszącej ten tytuł. Proste spostrzeżenie księcia Kropotkina zawsze budziło jej wielką ekscytację, niezależnie od jego implikacji politycznych. Jej nauczycielka, panna Steinway, nie zwracała na nie większej uwagi albo po prostu nie zauważyła protosocjalistycznych idei, które mogłyby zaalarmować rodziców miłych młodych panien znajdujących się pod jej opieką. A może nie. W końcu jeśli autor książki *Pomoc wzajemna* był księciem, Piotrem Kropotkinem, to czy jego myśli mogły być wywrotowe? Oczywiście idea wzajemnej pomocy nie ograniczała się do działalności dobroczynnej albo zwykłej współpracy. Obejmowała całą filozofię, zespół głęboko zakorzenionych zachowań. Czego dowody dawali amerykańscy pionierzy przy stawianiu stodół lub karczowaniu lasów. (Książę Kropotkin nie wspominał o tych wspianiałych amerykańskich przykładach, dzięki którym jej przodkowie zdołali pokonać wszystkie przeszkody, a potem w ogóle wszelkie przeciwności losu).

Jako osoba wychowana w przekonaniu, że należy dawać coś od siebie innym, już od czasów szkoły średniej myślała często o tym, że pewnego dnia poświęci swoje osobiste zasoby - zwłaszcza pieniądze

- propagowaniu idei wzajemnej pomocy poprzez udostępnienie pism Piotra Kropotkina szerszej publiczności. Myślała o czymś na wzór Gideon Bibie, marząc, żeby egzemplarz jego wielkiego dzieła leżał w każdym pokoju hotelowym. Tym właśnie i wieloma innymi podobnymi rzeczami miała się zajmować założona przez nią fundacja, którą osobiście poprowadzi po powrocie do Kalifornii, kiedy już sama stanie się kimś lepszym.

Uważała, że propagowanie idei wzajemnej pomocy, podobnie jak dążenie do osobistego rozwoju, to zadanie, które można łatwo określić i zrealizować. Jednocześnie jest to cel szlachetny i godny wysiłku, w który sama wierzyła, odkładając na bok całkowicie niedorzeczną filozofię polityczną Piotra Kropotkina, skądinąd być może sensowną tylko w jego czasach i w jego kraju. Amy żywiła bowiem nieograniczony entuzjazm dla amerykańskiego kapitalizmu, który nagrodził jej inteligentnych i twórczych przyjaciół, a nawet ją samą, za jej pożyteczną, choć bardziej prozaiczną rolę w ich działalności. Ameryka bezapelacyjnie była najlepszym krajem na ziemi, co nie znaczy, że jest w niej wszystko. Dlatego człowiek mógł śmiało przyswajać sobie niektóre spośród wspaniałych osiągnięć Europejczyków, jak choćby długie, bardzo długie trasy narciarskie. Czegoś takiego nie sposób znaleźć w Aspen.

- Powiedz mi, co się stało - powiedziała rzeczowo do Kipa. - Dotąd słyszę tylko plotki.

Kiedy skończył opowieść o Kerry, Harrym i Tamarze, niezadowolonej dziewczynie z miasteczka, oświadczyła:

- Po pierwsze, potrzebujesz kogoś do opieki nad dzieckiem.

Kip był lekko rozczarowany, że sama nie zamierzała zająć się dzieckiem, ponieważ emanowała pewnością siebie i kompetencją. Mimo to w oczach zakręciły mu się łyzy wdzięczności na myśl, że w tym samym hotelu spotkał swoją rodaczkę, która będzie wiedziała, co zrobić. Miał ochotę się rozpłakać, ale wiedział, że jest już na to za duży.

## ROZDZIAŁ 7

Amy zjadła właśnie śniadanie i przebierała się w strój narciarski, gdy zadzwonił telefon. To była jej światowa życzliwa doradczyni Geraldine Chastine, przyjaciółka ciotki jej koleżanki Pat. Madame Chastine dzwoniła z Paryża, wyraźnie podekscytowana. Przed chwilą przeczytała w porannej gazecie, że Adrian Venn został przysypany przez lawinę. Adrian Venn był jakimś starym znajomym Geraldine. Czy Amy zna jakieś szczegóły?

Geraldine Chastine nigdy by nie przypuszczała, że któryś z jej znajomych mógłby zostać porwany przez lawinę, a tym bardziej że jakaś lawina mogłaby odmienić życie jej córki Victoire. Ale gdy tego ranka włączyła telewizor, żeby obejrzeć wiadomości, przeżyła prawdziwy szok. Z kilku osób, które tego dnia padły ofiarą alpejskich katastrof, Adrian Venn był na tyle sławny, by jego nazwisko pojawiło się w informacyjnym nagłówku: „Znany angielski wydawca wśród ofiar alpejskiej lawiny”. Poczuła pulsowanie jakiejś dziwnej satysfakcji.

Zaskoczyła ją jej reakcja. Nagle zorientowała się, że z płonącymi policzkami, oddychając płytko, pospiesznie, jak jakieś zwierzę, zaczęła wpatrywać się w ekran telewizora i poszukiwać bardziej szczegółowych informacji na innych kanałach. W jednej chwili wróciły do niej wspomnienia krótkiego związku z Adrianem Vennem - z tą samą bolesną udreką, jaką niegdyś czuła. Przez Venna jeden jedyny raz w życiu była kobietą znienawidzoną, obrażaną, wystawioną na sarkazm i szyderstwo, upokorzoną i poranioną. Mimo że wszystko to działo się trzydzieści lat temu, miała wrażenie, jakby stało się wczoraj, chociaż

przez cały czas leżało ukryte głęboko w jej pamięci. Jeszcze raz usłyszała, jak Adrian tym swoim głosem Anglika szyderczo naśladuje jej akcent i pozwala sobie na okrutne uwagi na temat prowadzenia przez nią domu, na temat jej osoby.

Była zadowolona, że jej mąż Eric jest teraz w biurze; musiałby zauważyć, jak bardzo jest wstrząśnięta, nie samą śmiercią, ale tym, że coś, co jak sądziła, dawno już zostawiła za sobą, mogło tak bardzo wytrącić ją z równowagi. Nosiła to w sobie przez te wszystkie lata; przypuszczalnie owe myśli sączyły swój jad i będzie miała od nich raka, który, jak wiadomo, jest następstwem tłumienia złych emocji. W pewnym sensie jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie, jeżeli nie zdoła się jakoś pozbyć tych złych emocji. Postanowiła zapanować nad nimi do razu.

Geraldine nie mogła wybaczyć Vennowi tego, że wzbudzała w nim odrazę. Raz poprosił ją, żeby się wykapała, choć właśnie przed chwilą wyszła z kąpieli. „Wszystkie kobiety pachną okropnie”, powiedział kiedy indziej. „Nie tylko ty. Nie zauważyłaś? Samice. Mężczyźni nie zwracają na to uwagi, nie mają innego wyjścia”. Inne zapachy także budziły jego irytację - ta cała niewypowiedziana agresja materialnego świata, który atakował jego świadomość, skupioną poza tym na słowach, pięknie, sztuce albo książkach. Już wtedy był głęboko zafascynowany kaligrafią i wierszami w kształcie słów oraz dziwnymi formami egzotycznych alfabetów.

Nigdy nikomu nie powiedziała o tym wstydzie i znosiła Adriana tylko przez kilka miesięcy. Nigdy nie wybaczyła mu tej prośby o to, żeby się wykapała; nawet teraz te słowa wywoływały bolesny skurcz w jej piersi. A jednocześnie z powodu tego etapu w swoim życiu zawsze czuła, że ma za sobą jakąś wstydliwą przeszłość. Czuła cień dystansu między sobą a innymi kobietami w jej wieku, z tej samej klasy i z tych samych kręgów społecznych. Nie, to nie przyjście na świat Victoire było przyczyną tego wstydu, ale fakt, że mogła się tak bardzo pomylić i zadała się z Adrianem Vennem.

A teraz, choć zwykle nie uważała siebie za osobę mściwą, przytapała się na myśli: Dobrze, jeśli on umrze, przynajmniej Vee odziedziczy trochę pieniędzy.

Ponieważ jej ojciec pracował w Ameryce jako dyplomata, Geraldine chodziła w Stanach do college'u i rozwinęła teraz swego rodzaju profesjonalną działalność, występując w roli osobistej organizatorki i doradczynie wielu Amerykanek, które przyjeżdżały do Paryża z nadzieją, że uda im się odmienić swoje życie. Zamierzały chodzić na lekcje gotowania, nauczyć się francuskiego albo po prostu poznać jakiegoś Francuza po nieprzyjemnym i/albo lukratywnym rozwodzie, jaki miały za sobą w ojczyźnie. Było ich wiele, wliczając jakieś wdowy na dokładkę, a ponieważ wszystkie potrzebowały pomocy w znalezieniu paryskiego fitnessklubu, osobistego trenera, nauczycieli języka i szkół gotowania, Geraldine potrafiła skutecznie im pomóc. Cieszyła się obecnie szacunkiem i zaufaniem zarówno w kręgach amerykańskiej społeczności żyjącej w Paryżu, jak i wśród Francuzów.

Początkowo doradzała ludziom w odruchu sympatii - miała duży krąg znajomych i lubiła pomagać innym. Nic więc dziwnego, że coraz częściej zaczęły ją odwiedzać koleżanki ze studiów w Wellesley albo przysyłać do niej swoje przyjaciółki. Geraldine zawsze chętnie służyła im pomocą, a poza tym miała głębokie zrozumienie dla osobistych niepowodzeń i dla specyfiki związanych z Paryżem nadziei na nowe życie, które co roku sprowadzały do stolicy Francji wiele Amerykanek pragnących rozpocząć wszystko od nowa. Kiedy jednak wizyty i telefony stały się zbyt częste, by sama mogła się z nimi uporać, zaczęła stopniowo wprowadzać opłaty za swoje usługi. Początkowo niektóre z jej podopiecznych były trochę zaszokowane tym, że ktoś prosi o pieniądze za życzliwą poradę, na jaką można liczyć u przyjaciół, ale z czasem uznały, że ma to sens.

Kiedy interes się rozwinął, Geraldine wciągnęła do współpracy niektóre Amerykanki mieszkające w Paryżu. Znała Amerykanów, którzy na czas wyjazdu z Paryża byli gotowi wynająć swoje mieszkanie, znała dyrektorów szkół kucharskich, dekoratorów wnętrz, zarówno Francuzów, jak i Amerykanów, oraz nauczycieli francuskiego bez grosza, i tak dalej. Z czasem ukształtowała się wokół niej niewielka mafia Amerykanek, które miały swoje sklepy albo oferowały pomoc przy robieniu zakupów czy przy dekoracji wnętrz, lub też uczyły świeżo przybyłe rodaczki, nieumiejące mówić po francusku, ćwiczeń

gimnastycznych w systemie pilates. Dzięki tej aktywności Geraldine miała zawsze dużo zajęć i wielu przyjaciół. Kontaktowanie ludzi z innymi, których powinni poznać, dobrze pasowało do jej macierzyńskiej natury i towarzyskiego usposobienia, a jednocześnie przynosiło niewielki dochód, choć Eric był człowiekiem zamożnym jako jeden z dyrektorów w firmie kosmetycznej L'Oreal.

Geraldine często wysyłała swoje podopieczne od szkoły gotowania prowadzonej latem przez monsieur Jaffe'a w hotelu Croix St. Bernard - na przykład całkiem niedawno wysłała tam kolejną Amerykankę, która chciała pojeździć na nartach i świetnie się bawiła. Wiedziała więc, że hotel będzie idealnym miejscem dla Amy. Geraldine miała pewne wyobrażenie o sytuacji Amy dzięki swojej szkolnej przyjaciółce, która przez telefon wypowiadała się z pewną rezerwą na temat tej *l'Americaine*, w sposób, który wiele mówił: „To dziewczyna, która zrobiła naprawdę bardzo, bardzo duże pieniądze i zdaje się, ma ochotę spędzić w Europie jakieś sześć miesięcy, albo coś koło tego. Najwyraźniej jest tak bogata, że... przypuszczalnie sądzi, że zasłużyła sobie na trochę wolnego...”. Oczywiście żadna z nich tak naprawdę nie wiedziała, co to znaczy w tym wypadku duże pieniądze, a przede wszystkim, co ważniejsze, jaki dziewczyna ma gust.

Jeszcze przed pierwszym spotkaniem z Amy Geraldine poleciła swojej grupie dekoratorek i kobiet zajmujących się nieruchomościami, żeby zaczęły przygotowywać dla Amy mieszkanie w Paryżu, ponieważ Geraldine spodziewała się, że to właśnie w paryskiej fazie podróży dziewczyny będzie miała okazję zrobić dla niej najwięcej. Przede wszystkim zadzwoniła do swojej przyjaciółki Tammy de Bretteville, która prowadziła biuro konsultacyjne do spraw nieruchomości służące Amerykanom głównie za pośrednictwem internetu.

- Zaczynij rozglądać się za jakimś apartamentem *de standing*, z kilkoma sypialniami. Pewna moja amerykańska przyjaciółka przysyła do mnie uroczą dziewczynę! Jestem pewna, że jest urocza i będzie chciała coś ładnego.

- Chce wynająć czy kupić? Jeśli znajdziemy coś od razu, pan Albinoni już w marcu zrobi kuchnię - powiedziała Tammy. - Zaznacz marzec w kalendarzu.

- Ludwik który? - Wendi Le Vert, projektantka wnętrz, zastanawiała się nad ogólnym charakterem wystroju wnętrz.

- *Tous les Louis*, jak przypuszczam - powiedziała Geraldine - ze współczesnymi akcentami.

Ale kiedy w końcu, na krótko, spotkała się z Amy na Aeroport Charles de Gaulle, gdzie Amy miała przesiadkę na samolot do Genewy, zrozumiała od razu - choć dziewczyna wyglądała ujmująco z tymi swoimi dołeczkami w policzkach i świeżą cerą - że Amy nie ma zielonego pojęcia o dobrym smaku i że przede wszystkim tym trzeba będzie się zająć. Amy budziła jej zainteresowanie - taka bezpretensjonalna, najwyraźniej inteligentna i z pewnymi brakami wykształcenia, prawdziwa tabula rasa czekająca na europejskie doświadczenia i przypuszczalnie jakieś przeżycia natury emocjonalnej. Klientki Geraldine najczęściej miały nadzieję na przygody miłosne, jednak nie wyczuwała u Amy zwykłego w takich sytuacjach niepokoju, który wskazywałby na podobne potrzeby.

Geraldine wiedziała, że Adrian Venn opublikował książkę kucharską monsieur Jaffe'a w swojej wspaniałej serii poświęconej francuskiej kuchni regionalnej, łatwo więc wydedukowała, że Venn zatrzymał się w hotelu Croix St. Bernard. Dzięki temu miała wymówkę, że dzwoni do Amy, żeby się upewnić, czy nic jej się nie stało. Amy, zdumiona tym, że wszyscy Europejczycy najwyraźniej znają się nawzajem, szybko opowiedziała Geraldine to, co sama słyszała na temat katastrofy. Potwierdziła, że dwoje z gości hotelu, państwo Vennowie, zostali porwani przez lawinę i znajdują się teraz w szpitalu, i opowiedziała o przygnębiającej atmosferze, jaka zapanowała w całej dolinie.

- *Oh, mon Dieu* - powtarzała raz po raz Geraldine.

W końcu, skupiając się bardziej na sprawach i samopoczuciu swojej podopiecznej, Geraldine spytała o jej życie *apres-ski*, ponieważ zwykle to najbardziej interesowało samotne kobiety, które pragnęły odmienić swoje życie. Czy spotkała kogoś atrakcyjnego albo sympatycznego? Jednak Amy zbyła ją niczym. Tak, poszła na przyjęcie koktajlowe, widziała kilku najwyraźniej samotnych mężczyzn, ale w najmniejszym stopniu nie jest zainteresowana poznawaniem nowych osób, a już na pewno nie mężczyzn. To ostatnia rzecz, jakiej jej teraz trzeba.

- Mój obecny męski przyjaciel ma czternaście lat - oświadczyła i opowiedziała o losie brata poszkodowanej, nastoletniego chłopca, który został kompletnie sam i któremu zamierzała pomóc w miarę swoich możliwości.

Nieco później tego samego ranka światowa i ustosunkowana Geraldine dowiedziała się trochę więcej na temat alpejskiej katastrofy od barona Ottona von Scheussla, który po przyjeździe do Paryża poinformował ją, że w pozostałej części Haute Savoie, na zachodnim zboczu doliny ponad miasteczkiem Bellegarde lawina pochłonęła cztery z ośmiu domów, choć ich mieszkańcy, przyjeżdżający tam tylko na weekendy, szczęśliwie byli nieobecni i nikt nie zginął. Ponieważ baron znajdował się w tym czasie w pociągu, nie słyszał najnowszych wiadomości o losie gości hotelu Croix St. Bernard. Wiedział natomiast, że troje stałych mieszkańców zginęło niestety w Pralong, cztery kilometry dalej - w lawinie, którą można było oglądać na kanale Antenne Deux w momencie jej *declenchement*. Cała Francja obserwowała niezwykłą chwilę, gdy potworna masa śniegu z jakąś niesamowitą gracją, jakby w zwolnionym tempie, oderwała się od wyniosłego podłoża i zsunęła ku niefortunnej dolinie w jednoczesnym ruchu całej płaszczyzny niczym szklana fasada budynku w filmowej scenie katastrofy. Gigantyczny pióropusz śnieżnego pyłu, naśladujący obłok wyziewów jakiegoś wspaniałego pojazdu, wzbiał się na wysokość pół kilometra.

- Nic na temat Vennów? Monsieur Venna? - spytała.

- Nie, nie, gdy wyjeżdżałem, nic.

Mimo wszystkich zakłóceń spowodowanych przez burze, poprzedniego wieczoru baron szczęśliwie dotarł do Paryża i przyszedł tego ranka na umówione spotkanie do Geraldine, na kawę i rozmowę o nieruchomościach. Był wysokim, postawnym blondynem o pogodnej zaróżowionej twarzy, mówiącym dobrze po francusku z brytyjskim akcentem, bez śladów niemczyzny. Wcześniej przysłał jej liścik z tymi wszystkimi podejrzanie brzmiącymi austriackimi tytułami, jak graf, baron i co tam jeszcze - nie wierzyła w żaden z nich, ale wyglądały wspaniale na wizytówce. Podczas swoich dość częstych paryskich



wizyt w interesach Otto zawsze niezawodnie podejmował z państwem Chastine kwestię pewnej nieruchomości. Pracował dla jakiejś wielonarodowej firmy deweloperskiej i co jakiś czas pisał do nich o planowanym luksusowym kompleksie rekreacyjnym, jaki jego firma zamierzała zbudować w Belregarde. Rodzina Erica, męża Geraldine, miała w tej wiosce nieduży domek i Otto przyjechał teraz z kolejną propozycją zakupu, w nadziei, że pod wpływem wiadomości o lawinach, które na początku tygodnia wdarły się do samego Belregarde, zmienili zdanie w tej sprawie.

Geraldine naturalnie była stosownie zaniepokojona, mimo że nie jeździła na nartach i nigdy nie interesowała się tym miejscem zimą, choć niektórzy uważali je niezwykle malownicze. Dym wydobywający się z kamiennych kominów ponad skutymi lodem dachami, sople zwisające z okapów, do tego trawa i psie gówna zamarznęte w lodzie na ścieżkach, ludzie w grubych fioletowych kurtkach... Uwielbiała góry latem, spacerować stromymi ścieżkami wśród dzikiej roślinności. Firma, dla której pracował Otto, wykupiła już tam kilka domków, w tym część tych, które zmiotła z powierzchni ziemi wczorajsza lawina. Baron entuzjastycznie rozprawiał o przyszłości.

- Oczywiście zachowacie prawo do zarezerwowania sobie jednego z najlepszych luksusowych apartamentów z widokiem na góry w nowym kompleksie - powtarzał.

Sytuacja przypominała Geraldine stare westerny, jakie widziała w Ameryce, o farmerach, którzy nie chcieli opuścić swojej ziemi i ginęli z rąk łotrów reprezentujących kompanię budowy tamy, linii kolejowej albo kopalni.

Baron Otto chętnie wypił drugą filiżankę kawy, po czym, wspominając o innym spotkaniu, wstał, szykując się do wyjścia. Miał nadzieję, że jeszcze tego popołudnia zdoła się spotkać z kilkoma ewentualnymi klientami i zdąży wrócić do Valmeri późnym pociągiem TGV dzięki czemu uniknie konieczności spędzenia kolejnej nocy w paryskim hotelu.

- Naturalnie styl miejscowej architektury zostanie uszanowany. Nie ma mowy o żadnych betonowych potwornościach, jakie widuje się w innych alpejskich ośrodkach. Pozwól, że zostawię wam te broszury.

Na ilustracjach widać było ostre szczyty dachów, drewniane balkony z ażurowymi ozdobami, kaskady kwitnącego geranium zwisającego z doniczek u okien we wszystkich budynkach składających się na kondominium. Bez wątplenia zobaczą się ponownie w górach około Świąt Wielkanocnych, wtedy jeszcze raz o tym wszystkim porozmawiają, pozdrów Erica. Geraldine przekazała najlepsze życzenia zonie Ottona, Fennie.

Baron Otto jako człowiek doświadczony w szybkim ocenianiu potencjalnych klientów i inwestorów zawsze nieomylnie wysoko ocenił Geraldine, zadbaną kobietę mocno po pięćdziesiątce, a może już na progu sześćdziesiątki, mimo dość wczesnej pory elegancko ubraną w zimową beżową garsonkę; nosiła włosy ufarbowane na czerwony blond i okulary na łańcuszku. Najwyraźniej miała wrodzony talent do interesów, ale nie był pewien, co tak naprawdę ją napędzało lub mogło wyjaśnić cechujące ją napięcie, zadziwiające przy jej pozycji osoby należącej do zamożnej burżuazji. Tego dnia wydawała się nieco bardziej pobudzona niż zwykle, choć wyraźnie starała się zachować spokój i opanowanie, stwarzając uprzejme pozory zainteresowania dla jego słów, które, jak widział, nie robiły na niej żadnego wrażenia.

- Dotąd lawiny wyraźnie nas oszczędzały - zauważyła. - Nigdy nie byliśmy na ich szlaku.

- Ale pod wpływem globalnego ocieplenia przypuszczalnie będzie ich coraz więcej - ostrzegł ją Otto.

- Na pewno nie za mojego życia. - Geraldine nie przejmowała się globalnym ociepleniem. Przestała interesować się polityką, zanim pojawił się ruch ekologiczny, i nie potrafiła nadażyć za tymi nowymi ideami.

- Wydaje mi się, że w hotelu Croix St. Bernard zatrzymała się w tym tygodniu jedna z twoich młodych amerykańskich przyjaciółek. Jak sądzisz, czy miałyby ochotę kupić mały domek w Alpach albo gdzieś indziej? Czy to byłoby w zasięgu jej... możliwości? - spytał Otto.

Chociaż Geraldine uwielbiała pomagać ludziom w nawiązywaniu kontaktów, stykać ze sobą kupców i sprzedających, uprzytamniać ludziom ich pragnienia i potrzeby, tym razem poczuła się jeszcze

bardziej zirytowana na myśl, że Otto mógłby pokusić się o próbę wywierania wpływu na jej protegowaną Amy. Nadal nie miała pojęcia, skąd pochodziły jej pieniądze, to była pewna zagadka, ponieważ dziewczyna nie miała w sobie nic z dziedziczki wielkiej fortuny ani jakiegoś określonego zawodu, który mógłby wyjaśnić pochodzenie fortuny. Przypuszczalnie chodziło o lukratywny rozwód, jak zwykle. Ale niezależnie od wielkości jej majątku Geraldine uważała za swój obowiązek chronić Amy przed rekinami, które zaczynały już wokół niej krążyć. I oczywiście doradzić jej, w jaki sposób powinna wydawać pieniądze.

- Zdaje się, że miałem okazję ją poznać. Wydaje się niezbyt obeznana z warunkami panującymi w Alpach - mówił dalej baron Otto.

- Rzeczywiście ma ochotę spędzić trochę czasu w Europie - przyznała Geraldine i peoniowa twarz barona pojaśniała jeszcze bardziej. - Ale musisz wiedzieć, że poczyniłam już w jej sprawie pewne przygotowania w Paryżu. Nie sędzę, abyś musiał się o nią martwić.

- Może miałyby ochotę mieć coś zarówno w Paryżu, jak i w górach? - Przyszło mu do głowy, że madame Chastine zawsze wydawała mu się jak na *Francaise* nietypowo otwarta w sprawach pieniędzy i byłby wdzięczny za jakąś informację, na wypadek gdyby mógł okazać się pomocny pannie Hawkins.

- Mademoiselle Hawkins bardziej skorzysta, mając mieszkanie w Paryżu niż domek w Valmeri, Otto - powiedziała Geraldine zdecydowanie - i będę ci wdzięczna, jeśli nie będziesz próbował przekonywać jej, że jest inaczej. - Ujęła sprawę jasno.

Po wyjściu barona szybko pobiegła do telewizora obejrzeć kolejne wiadomości i z niepokojem patrzyła na ekran, czekając na telefon. Ale nie sądziła, by któraś z ruin wystających spod zwałów śniegu mogła być pozostałością ich domku, i nikt nie zadzwonił z Belregarde z nie dobrą wiadomością. Choć, prawdę mówiąc, wcale by się nią tak bardzo nie przejęła, ubezpieczyli przecież domek. Nie było żadnych nowych wiadomości na temat Adriana.

## ROZDZIAŁ 8

Geraldine czasami żałowała, że jej córka Victoire (nazywana także „Vee”, jak we francuskim słowie *vie*, „życie”, albo jak w angielskim *victory*, „zwycięstwo”) jako jedyna wśród dzieci jej znajomych zdecydowała się zawrzeć związek małżeński. Najwyraźniej małżeństwo wyszło z mody wśród młodych Francuzów. Niektórzy z nich korzystali z dogodności quasi-małżeństwa zwanego PACS, jakie obecnie oferowało francuskie państwo, ale Vee chciała prawdziwego ślubu, w białej sukni i weselnego zgromadzenia przyjaciół. Być może jej narzeczony Emile także tego pragnął i zależało mu na związku z solidną, mieszczańską, francuską rodziną. Jego rodzice przyjechali do Francji zaledwie miesiąc albo dwa przed jego narodzinami. Oboje byli lekarzami z Tunezji, chrześcijanami, którzy mieszkali w południowym Senegalii do chwili, gdy na skutek wybuchu walk między miejscowymi plemionami musieli stamtąd uciekać, żeby uniknąć masakry. Emile często musiał dokładnie wyjaśniać, skąd pochodzi, aby uniknąć nieporozumień na temat jego religii.

Geraldine nieustannie martwiła się o córkę, choć ta uważała się za osobę, której los bardzo sprzyja. Przede wszystkim niedawno zamieszkała na jednym z osiedli zaprojektowanych za rządów Mitterranda przez sławnego architekta. Był to swego rodzaju społeczny eksperyment dowodzący, że publiczne osiedla mieszkaniowe nie muszą być ponure: dziedziniec pełen zieleni rosnącej w donicach, przycięta wierzba, wielkie słoneczne okna, chronione wejście, winda z kodem. Victoire i Emile mieli dwoje dzieci, Salome i Nike. Mieszkanie składało się z trzech wygodnych pokoi, kuchni i łazienki, choć bez

wanny, jedynie z prysznicem, i było dogodnie ulokowane w pobliżu bulwaru General Brunet, niedaleko stacji metra Bozaris. Prawda, było to publiczne osiedle, ale wielu, jeśli nie większość, jej przyjaciół z uniwersytetu, mieszkało w gorszych warunkach. Na dziedzińcu budynku nieustannie kręcili się studenci architektury, którzy rysowali i fotografowali to cudowne miejsce.

Vee czuła się szczęśliwa dzięki swojej słodkiej naturze i łagodnemu usposobieniu; odczuwała wdzięczność wobec losu, nawet jeśli rzeczywistość wyglądała inaczej, niż jej się wydawało. Wprawdzie zdarzały się chwile, gdy powątpiewała w swoje szczęście, ale z całą pewnością była szczęśliwa, jeśli chodzi o mieszkanie i dzieci; może nieco mniej z powodu nieustannych bólów w plecach - co jednak zdaniem jej lekarza powinno z czasem ustąpić - oraz, najczęściej, z powodu problemów z Emile'em. Ogólnie rzecz biorąc, Vee była zwykle zbyt zajęta, by mieć czas na chandrę. Jako osoba dwujęzyczna, prowadziła anglojęzyczną grupę zabaw dla małych dzieci dwujęzycznych oraz dla dzieci, których rodzice chcieli, aby nauczyły się angielskiego. Poza tym grała na flecie w małym zespole kameralnym i brała aktywny udział w pracach stowarzyszenia rodziców w *ecole maternelle* swojej córki Salome.

Miłość do dzieci i namiętność, jaką darzyła męża, stanowiły jej świadomy życiowy wybór. Nie znaczy to, że była młodą kobietą, która się poświęca, żywiąc się złudzeniami; w żadnym wypadku, mówiła sobie. Człowiek swobodnie decyduje, jakimi wartościami chce się kierować, a gdy robi to, na co ma ochotę, jest wolny. Ceniła wolność, zarówno pod wpływem swego intelektu, jak i temperamentu. Z własnej, nieprzymuszonej woli prowadziła grupę zabaw dla dzieci, dzięki czemu mogła odpędzać złe myśli i dostawała niewielkie finansowe wsparcie od władz w ramach ubezpieczenia społecznego. Poza tym od czasu do czasu zarabiała parę groszy za występ muzyczny, grając na flecie, więc nawet najgłębsze westchnienia jej skonsternowanych rodziców nie potrafiły wzbudzić w niej poczucia, że powinna się nad sobą użalać. Miała pogodne usposobienie, a do tego miłą powierzchowność, jak tańczące kobiety z plakatów Chereta.

Ołśniewający Emile właściwie porzucił Vee i dzieci, choć oficjalnie nie żył w separacji. Rzadko teraz wpadał do domu. Skupiając

się na swojej pączkującej, choć nieprzynoszącej zbyt wiele pieniędzy karierze publicznego intelektualisty, Emile, który dobrze prezentował się w telewizji, ostatnio zaczął przyglądać się swoim związkom z islamem mimo chrześcijańskiego wychowania - z Victoire wzięli ślub w kościele St. Roche - i niedawno powiedział nawet ponoć, że zastanawia się nad zagadnieniem posiadania czterech żon. Obwieścił to przed kamerami TF 1, jak jej opowiadano, z tym swoim czarującym uśmiechem świadczącym o tym, że nie mówi serio. Czasami, kiedy zjawiał się w domu, robił się wybuchowy i przypominał Victoire, że powinna się cieszyć, że jeszcze nie wypowiedział tych słów: „Rozwodzę się z tobą”. Wystawiało to pogodną naturę Vee na poważną próbę, ale nie zdołało jej złamać. Wiedziała, że Emile nie może się powstrzymać, by nie wygłaszać tych wszystkich olśniewających i przerażających rzeczy; jego umysł pędził jak oszalały ponad dzwonnica i minaretem, nie zniżając się do wyjaśnień lub wskazywania logicznych zależności. Błyskotliwy intelekt i czarne kręcone loki sprawiały, że większość ludzi i tak nie potrafiła mu się oprzeć. Ją samą na myśl o Emile'u oblewała fala gorącego uczucia, a kiedy przypominała sobie, jak się kochali, krew zaczynała jej pulsować w przyspieszonym tempie, jak gdyby ktoś przesuwiał magnesem nad jej skórą.

Czasami, kiedy jednak wpadał do domu - zwykle działo się to w ciągu dnia, gdy dzieci były w szkole - łączył ich szybki seks. Zawsze czuła się później szczęśliwa przez godzinę albo dwie i śpiewała, chodząc po mieszkaniu. Jak właśnie tego dnia.

Victoire wyszła po dzieci, a Emile został jeszcze chwilę; siedział ubrany i pił właśnie herbatę, gdy zadzwoniła Geraldine, matka Victoire, ze zdumiewającą wiadomością, że ojciec Victoire miał wypadek w Alpach i jest umierający. Najwyraźniej nie miała na myśli Erica Chastine'a, ale kogoś zupełnie innego, o kim Emile nigdy nie słyszał. Emile zaczekał, aż Victoire wróci do domu z dziećmi, by przekazać jej zaskakującą wiadomość o tym, że jakiś jej biologiczny ojciec, o którym nie słyszał nigdy dotąd, leży na łożu śmierci.

Victoire sprawiała wrażenie, jakby niezbyt ją to obeszło czy nawet zainteresowało.

- Nigdy mi nie mówiłaś, że twoja matka była z kimś przed ślubem - powiedział Emile charakterystycznym tonem, jakby sam siebie parodiował. Victoire nigdy nie wiedziała, czy właśnie wyszydza jakieś religijne przekonania, czy mówi serio.

- Przypuszczalnie byli już po ślubie - odparła, dość zdumiona tym nagłym pojawieniem się jakiegoś ojca, o którym przez całe życie nie słyszała. - To nie są sprawy, o które mogą ich wypytywać.

- Twoja matka sądzi, że powinnaś tam pojechać, dopóki on jeszcze żyje, żeby się z nim pożegnać - wyjaśnił Emile, który zawsze mówił tak, jak gdyby opatrywał każde swoje słowo cudzysłowem, żeby podkreślić swoją niezgodę lub potępienie albo wyrazić rozbawienie i zastrzeżenia. - Powiedzieć *adieu*.

- Nigdy go dotąd go nie widziałam, dlaczego miałabym się spotykać z nim teraz - powiedziała Vee. - Jeśli *maman* tak zależy na tym, żebym go poznała, czemu nie wspomniała o nim wcześniej?

- J e s t twoim ojcem, „najwyraźniej”.

- J e s t mi to całkowicie obojętnie. Oczywiście żal mi go - dodała. - Lawina, jakie to straszne. Ale nie jestem hipokrytką, żeby pojawiać się u łóża śmierci kogoś, kogo nigdy dotąd nie widziałam.

- Może chodzi o to, żebyś spełniła prośbę matki? To prawdopodobnie ona chciałaby uporządkować swoje sprawy, nadać im jakiś ostateczny charakter. Podoba jej się myśl, że jej córka „widziała swojego ojca”, że on zobaczył swoją piękną córkę, że pewne „wspomnienia ożyły”...

- *Oh, sil vousplait*, Emile - roześmiała się Vee, którą Emile zawsze potrafił rozśmieszyć. - Oczywiście zostaniesz z dziećmi, kiedy ja wyruszę do narciarskiego kurortu?

Emile zmarszczył brwi, słysząc tę praktyczną uwagę.

- Twoja matka z nimi zostanie.

Geraldine powiedziała do Emile'a przez telefon, że Vee powinna pojechać i pożegnać się ze swoim ojcem. Później, gdy Vee przywiozła do niej dzieci na tradycyjną wizytę we wtorkowe popołudnie, Geraldine jeszcze raz wróciła do pomysłu, że córka powinna spotkać się ze swoim rodzicem, póki jeszcze pora.

- To wykluczone, *maman*. Jak mogłabym interesować się kimś, kto nigdy nie widział mnie na oczy i nie interesował się mną, nawet jeśli, formalnie rzecz biorąc, jest moim ojcem? Nigdy nie odgrywał żadnej roli w moim życiu i ja nie zamierzam być obecna przy jego śmierci. Pomyśl o tym, jak bardzo zraniłoby to papę. Erica - mojego prawdziwego papę.

Oczywiście Vee zawsze wiedziała, że Eric nie jest jej biologicznym ojcem, ale nigdy nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ Eric był cudownym rodzicem dla Vee, a ona oddaną mu, kochającą córką. Oboje przeszli wszystkie stosowne i zdrowe etapy relacji między córką a ojcem prowadzące do momentu, w którym Vee, jak należy, przeniosła swoje uczucia na męża. (Eric był mniej zadowolony niż Geraldine z tego, że Vee wybrała na męża Emile'a Abbouda. Geraldine potrafiła przynajmniej docenić jego niezaprzeczalny urok). Geraldine rozumiała także, że lojalność odgrywa ważną rolę na liście cnót cenionych przez Vee, zwłaszcza ostatnio, z powodu problemów z Emile'em. Vee nie omawiała swoich małżeńskich problemów z matką, ponieważ była na to zbyt dumna, ale bez wątpienia uważała, że lojalność jest cnotą przewyższającą wszystkie inne, a ona ostatecznie zostanie nagrodzona przez Niebiosy.

- Pewnego dnia będzie ci przykro, że się z nim nie pożegnałaś, że nigdy nie widziałas go na oczy - upierała się Geraldine. - Ericowi to nie przeszkadza. Uważa, że powinnaś jechać. A dziewczęta także powinny zobaczyć swojego dziadka.

- Mam nadzieję, że wszystkie moje nieślubne dzieci zbiorą się wokół mego łoża śmierci - powiedział Eric, wchodząc do pokoju; częściowo przysłuchiwał się ich rozmowie.

Ale Vee nie widziała w tej uwadze nic zabawnego. Na jej twarzy pojawił się wyraz anielskiej pustki, jaki zawsze okazywała światu, gdy podejmowała jakąś decyzję albo już się na coś zdecydowała. Miała jasne loczki i duże niebieskie oczy *putti* z obrazów i w ten sam sposób jak one spoglądała gdzieś w bok, poza przestrzeń wyznaczoną ramą, nie patrząc na główną scenę malowidła.

- A poza tym są dzieci. I grupa zabaw. W dodatku gram na festiwalu Rameau. Swoją drogą, jak mogłabym nazywać się Vee Venn?



To brzmi jak nazwa herbaty ziołowej. Zresztą nie mam ochoty narażać samej sobie na smutek, stając u łóżka śmierci jakiegoś kompletnie obcego mi człowieka. Poza tym na pewno miał jeszcze inne dzieci. Pomyśl, jak będą się czuły, kiedy się tam pojawię i zakłócę ich żałobę.

- Myślę, że są jakieś inne dzieci. To twoje przyrodnie rodzeństwo, bracia i siostry. Jeszcze jeden powód, dla którego powinnaś ich poznać. - Zupełnie jakby mówiła o jakimś nieznanym, którego nigdy nie widziała na oczy.

Vee zawsze ze zdumieniem słuchała takich wypowiedzi kobiet w wieku jej matki, które z obojętnością opowiadały o swojej biologicznej przeszłości, jak gdyby w ogóle nie pamiętały, że były z kimś w łóżku, i jak gdyby nie pamiętały, że rodziły dzieci.

- *Non, maman, pourquoi?* - powiedziała Vee zdecydowanym tonem.

Kiedy Vee pożegnała się i wróciła do domu, Geraldine zadzwoniła do biura Emile'a. Nie wiedziała, gdzie teraz mieszka, ale na szczęście zastała go w gabinecie. Lubiła Emile'a, mieli dobry kontakt i rozumieli się nawzajem. Poprosiła go, żeby pojechał do Valmeri i zorientował się, jak wygląda sytuacja, a on z zaskakującą ochotą się zgodził.

## ROZDZIAŁ 9

Zaraz po przebudzeniu się we wtorkowy poranek Kip przypomniał sobie swój sen. Śniło mu się, że jego rodzice w czasach jego dzieciństwa nakrzyczeli na Kerry za coś, co on zrobił. We śnie to była czerwona plama na dywanie, jakby po rozlanym winie, i matka patrzyła na niego zagniewana, w chwili gdy ojciec powiedział: „Tak czy inaczej, Kerry, powinnaś była na niego uważać”. Powinien uważać na nią - czy takie było przesłanie tego snu? Kip był dobrym sportowcem, należał do snowboardowej drużyny w swojej szkole i pragnął pewnego dnia wziąć udział w igrzyskach olimpijskich, więc kiedy jeździli na nartach, nie włókł się razem z nimi, z Adrianem i Kerry, w ich statecznym tempie. Ale teraz widział, że powinien był wtedy z nimi zostać. Mógłby dostrzec lawinę i zawołać: „Uważajcie!”. Wyobrażał ich sobie, jak stoją skamieniali z przerażenia, patrząc na pędzącą w ich stronę bestię, a on sam krzyczy do nich, żeby uciekali w bezpieczne miejsce.

Kiedy otworzył oczy, na moment ogarnęło go uczucie ulgi, że to tylko sen, ale już po chwili poczuł nagłą falę mdlącego strachu, bo uprzytomnił sobie, że rzeczywistość jest o wiele gorsza. Rano Harry'ego nie było w łóżeczku. Kip jak oparzony wyskoczył ze swojego postania na sofie, ale natychmiast usłyszał jakiś hałas w łazience i pobiegł w tamtą stronę. Pokojówka, Australijka imieniem Tamara, trzymała Harry'ego nad umywalką i obmywała mu pupę. Harry wierzgał tłustymi, małymi nogami.

- Nie słyszałaś go? Wrzeszczał jak oszalały - powiedziała. - Dlatego weszłam.

- Boże, nie nic nie słyszałem.

- No tak, widać, że nie jesteś jego mamą. Każdy inny by usłyszał.

Tamara z wyraźnie niezadowoloną miną pomogła mu ubrać Harry'ego - pielucha, frotowe śpioszki, mały kombinezon, malutkie buty, które trzeba było wsunąć mu na nogi - i poszli na śniadanie. Kip zorientował się już, że najłatwiej można sobie poradzić z Harrym podczas posiłków. Siedział wtedy unieruchomiony na wysokim krzesełku i skupiając się na jedzeniu, które mógł rozmazywać po talerzu, wydawał się radosnym, słodkim dzieckiem, wywołującym wokół przyjazne uśmiechy. Tego ranka nikt nie rozmawiał z Kipem na temat stanu Kerry, ale ludzie patrzyli na niego tak samo jak poprzedniego wieczoru, z sympatią i podziwem.

Powinien był dostać jakiś numer telefonu, pod który mógłby zadzwonić, chyba że Christian Jaffe ma dla niego jakieś wiadomości. Kip czuł się trochę nieswojo, widząc, że życie w hotelu toczy się normalnie; w jadalni ludzie w strojach narciarskich zamawiali kawę i napełniali talerze przy bufecie śniadaniowym. Na swój nałożył trochę szynki i jogurtu - to mogli jeść obaj z Harrym - i wziął dwie szklanki soku pomarańczowego. Postanowił, że najpierw zje śniadanie, zanim spróbuje się czegoś dowiedzieć na temat Kerry. Gdyby jej stan się pogorszył, na pewno by mu o tym powiedziano jeszcze w nocy. Mimo to nie mógł pozbyć się uczucia mdlącego lęku.

Kip zamarudził możliwe jak najdłużej przy śniadaniu, ale w końcu zdjął Harry'ego z wysokiego krzesełka i poprowadził go w stronę holu. Miał nadzieję, że spotka tam swoją nową przyjaciółkę Amy, może z opiekunką do dziecka, o której wspominała. Już w sali jadalnej usłyszeli mocne głosy z foyer, kategorię tonem zadające pytania po angielsku. Przy kontuarze recepcji pojawiła się sterta nowych bagaży. Obok sofy stała para wysokich, przystojnych ludzi, którzy najwyraźniej czekali, aż pokój dla nich będzie gotowy. Christian Jaffe szedł właśnie do Kipa, machając ręką w stronę nowych gości.

- Panie Canby, są tutaj monsieur i mademoiselle Venn. To jest pan Canby, brat pani Venn.

Słyszając swoje nazwisko, Vennowie spojrzeli na Kipa, a zwłaszcza na Harry'ego. Zmusili się do uśmiechów i młody mężczyzna wyjaśnił,

że są dziećmi Adriana Venna. Ten termin najwyraźniej nie obejmował Harry'ego.

- Miło cię poznać - powiedzieli nieprzekonująco z odruchową uprzejmością. - To jest dziecko? - spytał mężczyzna.

Na moment Kipa ogarnęła nadzieja, że ci ludzie przyjechali tu, żeby mu pomóc w opiece nad Harrym.

- Nasz mały braciszek! - dodała kobieta lekko zgryźliwym tonem.

Kip pomyślał, że jest trochę niepokojąca, wysoka, niewątpliwie piękna, ze wzdorliwym spojrzeniem. Kiedy przyprowadził ku nim Harry'ego, w pierwszym odruchu nieświadomie odsunęli się nieco, patrząc z niesmakiem na to małe, słodkie dziecko, symbol zdrady ich ojca.

- Przepraszam, ale kim właściwie jesteś? - spytał Kipa mężczyzna.

- Jestem bratem Kerry.

Kip zauważył teraz, że są bardzo wzburzeni i wcale nie chcieli być niegrzeczni. Przy kontuarze recepcji dopytywali się Christiana Jaffe'a, dlaczego nie mogą pójść jeszcze do swoich pokoiów. Posy zaczęła zadecydowanie. Jechali przez całą noc. Nadal byli w szoku po odwiedzinach u nieprzytomnego ojca w tym strasznym małym szpitalu - u ojca, który przypominał trupa. Jak to się stało? Christian Jaffe wymamrotał jakieś zapewnienia, że pokoje zostały przygotowane... albo zaraz tak się stanie, wszystko będzie w porządku.

- Czy wiecie, jak czuje się moja siostra dziś rano? - odważył się spytać Kip, ale wyniosła, onieśmielająca Posy nie miała pojęcia, nikt jej nic nie mówił.

Czy to możliwe, że nie żyje? Ale i tego nie wiedzieli. Ale na pewno ktoś by im o tym przecież powiedział.

Posy teatralnie rozejrzała się wokół, mówiąc jęczącym tonem:

- To wszystko jest po prostu nie do wiary. Nie do wiary. Nie do wiary.

Vennowie wrócili po swój bagaż - Christian Jaffe zaniósł im go osobiście, najwyraźniej nie miał Kipowi nic do powiedzenia. W swoim pokoju Posy rozpakowała walizkę i ostrożnie ułożyła rzeczy w szufladach jak ktoś, kto spodziewa się, że zatrzyma się na dłużej.

Początkowo pomyślała, że powinni zamieszkać bliżej szpitala, ale teraz była zadowolona, że znalazła się w bardziej przytulnym otoczeniu, z optymistycznie uśmiechniętą kobietą w recepcji i dobiegającymi z dołu zdrowymi odgłosami otrzepywana śniegu z narciarskich butów, grzechotu nart wystawianych na zewnątrz, narciarzy wracających z radością na śnieżne stoki. Oboje z Rupertem dopilnują, żeby zajęto się ojcem.

Była zmęczona. Jechali przez całą noc, prowadząc na przemian; w Boulogne musieli zmienić pas ruchu na niewłaściwą stronę. Francuskie drogi są takie proste, ten sam problem co z francuskim charakterem, zdradzającym galijski brak wyobraźni i odstręczającą dosłowność. Kłócili się z Rupertem o to, co przypuszczalnie zastaną na miejscu. Ojciec obudzi się albo się nie obudzi; będzie zadowolony albo nie będzie zadowolony, że ich zobaczy; będzie tam jego nowa dziewczyna-żona (w wieku Posy) i ten kłopotliwy brzdąc. Poruszyli też pewną szczególnie delikatną sprawę: gdyby ojciec miał umrzeć, to czy zdążył zmienić testament tak, by uwzględnić w nim owo dziecko, czy też może zmienił go całkowicie na rzecz nowego potomka i swojej nowej żony? Jednak poczuli się zakłopotani tą rozmową i z poczuciem winy porzucili temat niemal natychmiast.

Pojechali bezpośrednio do szpitala, dzięki czemu wiedzieli już, jak się sprawy mają. Ojciec w stanie śpiączki, nie ma szans, żeby ich rozpoznał, w każdym razie w nie najbliższym czasie. Do tego nastoletni chłopiec, jako jedyna osoba opiekująca się dzieckiem, i nowa dziewczyna-żona, sama także w śpiączce. Posy wiedziała, że oboje z Rupertem będą musieli podjąć decyzję, co należy zrobić, ale czuła, że jest to narzucone jej postępowanie, i z trudem opanowywała gniew. Ojciec bez skrpułów oddalił się ze swoim amerykańskim ptaszkiem i wykreślił ich wszystkich ze swojego życia, a teraz znowu ich potrzebował. Ale oczywiście zrobią, co do nich należy.

Z dwojga dzieci Pameli Posy była bardziej krytyczna wobec ojca, bardziej zbuntowana i budziła jego większą irytację. Może dlatego teraz czuła się bardziej przygnębiona i przestraszona. Nigdy nie potrafiła go zadowolić. Całkowicie natomiast aprobował wszystkie poczynania Ruperta, na przykład jego obecną pracę w City polegającą

na sprzedawaniu obligacji. „To dobrze mieć kogoś w rodzinie, kto praktycznie zna się na pieniądzach”, mówił ojciec, wyrażając zaskoczenie, że tą osobą okazał się Rupert. Dawał tym do zrozumienia, że to raczej po niej spodziewał się wyboru takiej przyziemnej, interesownej kariery. Rupert studiował historię i filozofię i wyglądało na to, że czeka go kariera akademicka, nauczanie albo pisanie; jednocześnie jednak za bardzo lubił londyńskie przyjęcia i londyńskie życie. W pewnym momencie Pamela martwiła się nawet, że Rupert może okazać się gejem, ale Adrian wyśmiewał jej niepokoje, oświadczając, że był dokładnie taki sam w jego wieku. Mimo to poczuli ulgę, gdy Rupert zaczął się spotykać z jakąś Henriettą Shaw, a potem z innymi miłymi dziewczętami.

Żadne z nich nie wiedziało dokładnie, czym właściwie Rupert się zajmował, ale miało to coś wspólnego z obligacjami i z siedzeniem przez cały dzień przy komputerze. Naprawdę tego nienawidził, powinien był spróbować studiów prawniczych, pojechać do Australii i pracować na ranchu, hodować owce albo zaciągnąć się na frachtowiec. Pamela powiedziała kiedyś, że taki silny młody mężczyzna jak jej syn powinien prowadzić życie na świeżym powietrzu, ale gdy ojciec spytał go raz, jak sobie wyobraża swoje życie - miał wtedy siedemnaście lat albo niewiele więcej - Rupert nie był w stanie w ogóle niczego wymyślić. Venn roześmiał się na to i powiedział, że przypuszczalnie Rupert napisze jakąś powieść, ale on wcale nie miał ambicji literackich. Posy potrafiła sobie wyobrazić samą siebie w roli powieściopisarki, lecz wiedziała, że ojciec, wielki wydawca, nigdy nie potraktowałby jej poważnie.

Siedziała teraz na łóżku i rozmawiała przez telefon z matką.

- Lekarz mówi, że nie ma zbyt wiele nadziei i że przypuszczalnie ojciec się nie obudzi, ale jeszcze nie przestali go rozgrzewać.

- Na czym to polega?

- Przykryli go kocami i chyba podają mu ciepły roztwór soli fizjologicznej do żył... czy jakieś inne okropieństwo w tym rodzaju. Niezbyt rozumiałam lekarza, jego angielski był dość...

- Mój Boże - powiedziała Pamela, myśląc jednocześnie, że nie ma sensu źle życzyć komuś, kto miewa się tak marnie. Wrodzona dobroć

i wspomnienia z przeszło dwudziestu lat małżeństwa złagodziły ton jej głosu.

- Dziecko jest słodkie, ale w ogóle nie przypomina ojca - mówiła Posy. - Jest jeszcze chłopiec, który się nim opiekuje, młodszy brat żony. To bardzo dziwna sytuacja.

- Chyba powinnam zadzwonić do jego adwokata - powiedziała Pamela, choć miała wiele za złe temu osobnikowi Trevorowi Osworthy'emu, który działał przeciwko niej w imieniu Adriana w czasie rozwodu. - Albo przynajmniej jakiegoś brytyjskiego lekarza.

- Możesz, mamó? Gdybyś mogła ich tutaj przysłać jeszcze dzisiaj. Boję się, że może być... no wiesz. Po wszystkim. - Głos jej się załamał i zrozumiała w tym momencie, że naprawdę jest jeszcze zdolna do odczuwania jakichś przywoitych ludzkich uczuć poza ogarniającym ją powierzchownym zmęczeniem.

- Zadzwońię do pana Osworthy'ego. Daj mi wasz tamtejszy numer.

Posy skończyła rozpakowywać walizkę i jeszcze raz poszła na dół. Wydało jej się dziwne, że bierze udział w jakiejś tragedii, gdy tymczasem świat na zewnątrz hotelu najwyraźniej emanował zdrowiem i radością. W holu gromadzili się narciarze w butach i kolorowych kurtkach z goreteksu. Młodzi pracownicy hotelu sprawnie sprząтали korytarze albo przenosili narty gości. Razem z Rupertem Posy musiała jeszcze raz spełnić ponury obowiązek i wrócić do szpitala w chwili, gdy inni będą szusować po śnieżnych zboczach. Zazdrościła opalonym na brązowo narciarzom emanującej z nich aury zdrowia i radości. To były te same kobiety, które widywało się latem w bikini - dwukrotnie była w Nicei i w Cannes w czasach szkolnych i zawsze miała poczucie, że to niesprawiedliwe być bladą, wysoką Brytyjką, która ma tylko krótkie wakacje, wśród tych wszystkich szczupłych, beztroskich ludzi, najwyraźniej niemających nic innego od roboty i radośnie odających się rozrywkom.

Podczas ponownej wizyty w szpitalu Posy i Rupert zorientowali się, że w stanie ojca nie zaszły żadne zmiany. Po prostu leżał tak samo jak rano, zupełnie bez ruchu, jak gdyby był martwy, zakonserwowany jak Mao albo Lenin, jeśli nie liczyć syczącej maszyny i niemal

niedostrzegalnego ruchu unoszenia się i opadania klatki piersiowej. Jego skóra miała niezbyt żywą barwę, ale i nie całkiem martwą, oczy były spokojnie zamknięte. Posy nie mogła uwierzyć, że w głębi jego umysłu nie płyną żadne myśli.

Ha, czy to nie ironiczne - wyobraziła sobie jego wewnętrzny głos - leżę tutaj całkowicie zdany na łaskę tych wszystkich, których zraniłem i którzy teraz zgromadzili się przy mnie, by wspólnie wyrzucić na mnie swoją zemstę, ponieważ jestem bezbronny i znalazłem się w innej krainie. Kochali mnie, widzę to teraz, i wiem, że nie powinienem być ich porzucać. Nie żal ci, Venn, głupi durniu, że opuściłeś biedną Posy, biedną Pam? Och, i biednego Ruperta, oczywiście.

- Myślę, że dziś późnym popołudniem albo jutro sytuacja trochę się wyjaśni - lekarz przerywał jej rozmyślenia. - Ale muszą państwo być przygotowani. Chętnie porozmawiałbym z rodziną pana Venna dziś po południu, powiedzmy o piątej - oświadczył.

Kip wpadł na pomysł, aby zabrać Harry'ego do szpitala, żeby mały zobaczył swoją matkę - w nadziei, że głos dziecka przeniknie jej śpiączkę jak w serialu *General Hospital*. Głos synka mógłby roztopić lód skuwający jej mózg. Zastanawiał się tylko, czy przerażenie Harry'ego na widok leżącej w bezruchu mamy nie okaże się czymś bardziej szkodliwym niż ewentualny dobroczynny skutek tej wizyty, ale doszedł do wniosku, że Harry jest mały i nawet jeśli rozpozna matkę, to szybko zapomni o dziwnym widoku plastikowych rurek. Tak czy inaczej musiał zabrać Harry'ego ze sobą, ponieważ nie mógł korzystać z pomocy Tamary, bo nie miał już pieniędzy, żeby jej zapłacić. Nie chciał także prosić Christiana Jaffe'a o podwiezienie do szpitala, ale na szczęście do Moutiers często kursował wahadłowy autobus. Harry wyglądała słodko w swoim zimowym ubranku z uszami króliczka i ludzie śmiali się, gdy gonił za psem na przystanku autobusowym.

Czekając na autobus i starając się trzymać Harry'ego z dala od jezdni, Kip był jeszcze bardziej przestraszony niż poprzedniego dnia. Coś w widoku chłodnego alpejskiego poranka powoli rozjaśniającego szare niebo, słabych promieni słońca przebijającego się przez chmury, potężnych szczytów wyrastających groźnie



ponad dolinami, na których tle ludzkie osiedla wydawały się jeszcze mniejsze, sprawiało, że ogarnęła go rozpacz, choć wczoraj był jedynie wstrząśnięty.

Szpital w świetle dnia okazał się nieco podniszczoną dziewiętnastowieczną budowlą, w której wprawdzie wymieniono okna i drzwi, ale poza tym wydawała się niezbyt zachęcająca i mało nowoczesna. Wewnątrz jednak Kip poczuł pokrzepiający, kojarzący się z profesjonalizmem zapach leków i środków dezynfekcyjnych. Tym razem nikt nie zatrzymywał go przed wejściem na oddział intensywnej opieki medycznej, na którym nic się nie zmieniło. W świetle dnia zauważył, że koce, jakimi przykryto Adriana, są brzydkie, jasnozielone. Kerry była nieco lżej przykryta złożonymi prześcieradłami. Na łóżku stojącym między dwojgiem Vennów umieszczono jakąś trzecią osobę i jedna z pielęgniarek robiła coś przy urządzeniach podtrzymujących jej życie. Spojrzała na Kipa i powiedziała *bonjour*. Czwarte łóżko także było zajęte, zastanawiał się, czy również przez ofiary lawiny.

Kip pocieszał się, że Kerry jest nieco zaróżowiona i w większym stopniu przypomina kogoś żywego, choć nic nie wskazywało, by miała się obudzić. Leżała równie nieruchomo jak poprzednio. Za to bardziej przerażające wydały mu się teraz odgłosy stojących wokół niej urządzeń: syczały i pikały, świszczały i brzęczały, do tego dochodziło blade światło monitorów jak w starych czarno-białych telewizorach. W nogach łóżka Kerry ktoś położył część jej ubrań, zupełnie jakby była na biwaku. Kip uniósł Harry'ego i powiedział:

- Powiedz: „Cześć, mamó”. - Harry popatrzył na nią, ale się nie odezwał. - „Cześć, mamó” - powtórzył Kip. Po kilku kolejnych zachętach malec powiedział „Cześć” cieniutkim głosikiem.

Kerry nie zareagowała, nie ruszyła się.

- Cześć, Kerry, to ja, razem z Harrym przyszliśmy cię zobaczyć. - Mówił dalej w ten sposób, dopóki nie poczuł się tak, jak gdyby robił jej wyrzuty. Nadal leżała kompletnie nieruchomo, jakby nie chciała słuchać ani reagować. Kiedy pielęgniarka nie patrzyła w ich stronę, podniósł Harry'ego bliżej, włożył jego małą rączkę w swoją dłoń i wspólnie pogładzili Kerry po ramieniu. „Cześć, mamó”, pisnął Kip, naśladowując głos Harry'ego.

- Nie ma dzisiaj większych zmian - powiedziała pielęgniarka. - Jednak na pewno jej się nie pogorszyło.

Kip próbował postawić Harry'ego na podłodze, ale musiał ponownie wziąć go na ręce, gdy zobaczył zwisające torebki na mocz oraz wózki na kółkach i wiele innych rzeczy, które Harry mógł popchnąć albo pociągnąć. Kiedy uznał, że wystarczająco długo wpatrywali się w nieruchome ciało Kerry, postanowił wyjść, przy czym poczucie obowiązku walczyło w nim z pragnieniem, by uciec stamtąd jak najszybciej. Ale co jeszcze mógł zrobić w szpitalnej sali i na co mogło się przydać siedzenie u jej łóżka? Co zresztą i tak nie wchodziło w grę ze względu na Harry'ego. Choć z drugiej strony słyszało się opowieści, że mówienie do ludzi w śpiączce im pomaga.

- Tak więc, na razie, Kerry, wrócę później. Harry mówi pa, pa. Harry mówi, że lepiej byłoby, żebyś się szybko obudziła, mamó. Aha, cześć, Adrian - dodał, przypominając sobie, że Adrian nie ma nikogo, kto mógłby do niego mówić, na wypadek gdyby miało to jakieś znaczenie. Ci Anglicy, brat i siostra, mogliby to zrobić, ale czy wiedzieli, że tak trzeba?

Na korytarzu podszedł do niego lekarz. Kip poczuł niepokój; wcześniej lekarz nie próbował się z nim skontaktować.

- Gdybyś mógł tu być, kiedy ponownie przyjadą dzieci monsieur Venna, chciałbym porozmawiać z wami wszystkimi, może dziś późnym popołudniem? Powiedzmy o piątej? - Kip już chciał zaprotestować, że nie jest członkiem rodziny, ale uprzytomnił sobie, że w pewnym sensie jest, w imieniu Kerry, a może nawet w imieniu Harry'ego, na wypadek gdyby musiał wyrazić opinię Harry'ego w jakiejś sprawie. Obiecał, że przyjdzie.

W drodze do wyjścia natknął się na rodzeństwo Vennów, którzy właśnie przyjechali. Pomyślał, że skoro Harry jest ich przyrodnim bratem, powinni się nim trochę zająć, ale ich ponure, przygębione twarze mówiły mu, że nie mają takiego zamiaru. Widząc ich chłodne, obojętne spojrzenia rzucone w stronę Kerry, poczuł, że jest sam, podobnie jak jego siostra. Ci ludzie w ogóle nie przejmowali się losem Kerry, była jedynie jakimś ubocznym skutkiem katastrofy, a on sam samotnym emisariuszem malutkiego państwa, którego los nikogo

nie obchodził. Nikt poza nim nie ruszy palcem w jej sprawie ani nie zainteresuje się jej stanem. Nikt nie spyta, czy jego siostra ma tutaj dobrą opiekę albo czy nie należy jej przewieźć gdzieś indziej. Nikt nie spyta, jaka była jako siostra... czasami miła, czasami okropna, jak wszystkie siostry, o których kiedykolwiek słyszał. Zrozumiał, że będzie musiał walczyć w imieniu Kerry, ale nie miał pojęcia jak.

Przespacerował się z Harrym po Moutiers. Sklep z gazetami, kilka małych restauracji i niewiele więcej. Zastanawiał się, ile trzeba mieć lat, żeby mieć prawo jazdy we Francji. Sam nie miał go jeszcze, ale potrafił prowadzić. Co ma teraz robić z Harrym przez cały dzień? Szkółka narciarska? Ile trzeba mieć lat, żeby zacząć uczyć się jeździć na nartach? Widział dzieci w szkółce narciarskiej, ledwo stojące na nogach, z małutkimi nartami, trzydziestocentymetrowymi, pędzące przed siebie jak oszalałe, ale żadne z nich nie było takie małe jak Harry.

W końcu wrócili autobusem do hotelu. Przez całe popołudnie myślał o niepokojących i niejasnych słowach lekarza, nawet wtedy, gdy udało mu się wepchnąć Harry'ego pokojówce Tamarze na czas drzemki po lunchu, dzięki czemu mógł kilka razy zjechać *boucle blanc*. Powiedział sobie, że nie pomoże Kerry, jeśli oszczędzi sobie tych kilku zjazdów. Śmigając na swojej desce w dół zbocza, czuł się wolny i swobodny; pędził szybciej niż nadciągająca tragedia. Raz zobaczył swoją nową przyjaciółkę Amy, która podobno miała mu pomagać, ale pochłonięta intensywną rozmową z instruktorem narciarskim u dołu wyciągu nawet go nie zauważyła. Kip pomyślał, że jest szalenie seksowna. Pewnego dnia sam zostanie instruktorem narciarskim. Wiadomo, że kiedy jesteś instruktorem narciarskim, kobiety zrobią dla ciebie wszystko, czego zapragniesz.

- Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? - powiedziała Posy do Ruperta podczas lunchu, mając na myśli prośbę lekarza, żeby przyszli o piątej.

- Oczywiście. Będziemy musieli zdecydować, czy wyciągnąć ojcu wtyczkę - odparł Rupert.

- Oczywiście, jak sądzę, nie możemy.

- Skąd mamy wiedzieć? Nie znamy wszystkich szczegółów medycznych. Może to będzie akt miłosierdzia, a może... - Słyszała w jego głosie słabo maskowaną panikę, jaka ogarniała również ją samą. Widziała, że Rupert ogolił się już po przyjeździe i że się zaciął; przykleił na to miejsce odrobinę bibułki.

- To jest takie... takie niezwykle. Że też coś takiego mogło się zdarzyć! - powiedziała Posy. - Ojciec zawsze sprawiał same cholerne kłopoty.

Otarła oczy, żeby się nie rozpłakać, i usiłowała zachować spokój. To była prawda. Kiedy dorastali, ich życie zawsze toczyło się wokół jego przyjazdów i wyjazdów, wycieczek do Francji, zakupów - nowy samochód, nowy dom na wsi, raz to był nawet koń wyścigowy - rzeczy, które potem nagle sprzedawał. Kiedy rozwiódł się z Pam, w ich życiu nastąpił okres jakiegoś nudnego, przygnębiającego bezruchu. Wydawało jej się wtedy, że to była tęsknota za ojcem, ale przypuszczalnie chodziło jedynie o ekscytujące, ciekawe życie.

- Ten ser jest wyśmienity. - Rupert westchnął, nie chcąc rozmawiać więcej na ten temat. - We Francji robią lepsze sery.

- Lubię Francję, zawsze mi się tutaj podobało. - Posy rozglądała się po ładnie urządzonej sali jadalnej z różowymi obrusami i kwiatami na stolikach, porcelanowymi figurkami i wiszącymi na ścianach szklanymi gablotkami, w których umieszczono szczególnie cenną chińską porcelanę szefa kuchni, pana Jaffe'a.

- Z wyjątkiem Francuzów - powiedział Rupert. To była obowiązkowa uwaga Anglika.

- Lubię nawet Francuzów - upierała się Posy, nagle w nieco lepszym nastroju, pod wpływem wina, które przepędziło gdzieś smutek i ból, jakie czekały na nich we Francji. - Ten lekarz był całkiem miły. - Choć na ogół nie lubiła lekarzy.

- Lekarze zawsze są mili, to ich obowiązek, nawet francuscy - oświadczył Rupert.

- Myślę, że lekarze są paskudni - stwierdziła Posy.

O czwartej Kip wrócił z nart i sprawdziwszy, co u Harry'ego, który spał pod czujnym okiem Tamary, jeszcze raz wyruszył w niewygodną

podróż autobusem w dół, do Moutiers. Na próżno miał nadzieję, że angielskie rodzeństwo zaproponuje mu podwiezienie. Był zbyt nieśmiały, by przypomnieć im, że on także został wezwany, a oni nie podeszli do niego w porze lunchu. Usiedli przy stoliku koło okna i najwyraźniej mieli sobie niewiele do powiedzenia, choć Kip widział, że czasami wymachują rękami i potrząsają głową w nagłym ożywieniu. Nawet nie spojrzeli w jego stronę ani w stronę ich brata Harry'ego.

## ROZDZIAŁ 10

Spotkanie wyznaczono w pokoju doktora Lammy, który spóźnił się nieco, przypuszczalnie coś go zatrzymało po drodze. Jego gabinet był małym, pozbawionym okna pomieszczeniem położonym za dyżurką pielęgniarek, skąd przyniesiono dodatkowe krzesła. Na miejscu było już rodzeństwo Vennów, a obok nich jakiś człowiek, którego Kip widział pierwszy raz w życiu i który położył swój płaszcz Burberry starannie złożony na oparciu krzesła podszewką do góry, oraz inny mężczyzna w zielonym szpitalnym stroju. Lekarz zdjął swój biały fartuch, co sprawiało wrażenie, jakby się spieszył do domu, choć mówił spokojnie, dostojnym i poważnym tonem. Posy oraz Rupert usiedli, skinąwszy nieznacznie pozostałym, po czym jak zaczarowani wpatrywali się w lekarza, nie spoglądając na siebie nawzajem. W pokoju było ciepło.

- A pan, kim jest, monsieur, jeśli mogę? - spytał po francusku lekarz człowieka w płaszczu Burberry.

- Nazywam się Jacques Delamer i przyjechałem z Saint-Gond. Zajmuję się interesami monsieur Venna; pewnie mówicie na to „menedżer”, tak? Kieruję winnicą i ogólnie jego sprawami. Uważam go także za swojego bliskiego przyjaciela. Przeczytałem dziś rano wiadomość w *journal* i natychmiast tu zadzwoniłem, a gdy podano mi wszystkie ponure szczegóły, wskoczyłem do swojego samochodu. *Voilà*. Mieszkamy zaledwie dwie godziny stąd, na południe.

Lekarz skinął i bez dalszych wstępów zaczął mówić po angielsku.

- Muszę powtórzyć państwu to, co już wiecie, czyli że nie jesteśmy zadowoleni ze stanu monsieur Venna. Monsieur Venn nie odzyskał

przytomności. - Powiedział to samo po francusku, być może na użytek nieznanego. - Ogrzano jego ciało do normalnej temperatury, ale nadal musimy podawać mu bardzo silne leki, aby podtrzymywać ciśnienie krwi i rytm serca. Bez leków same nie wróciły do normalnego stanu, a co najgorsze, nadal nie obserwujemy żadnych funkcji mózgu. W ogóle żadnych. Jego mózg nie wykazuje oznak aktywności, co powinno było nastąpić w tym momencie, gdy temperatura ciała wzrosła. Szczerze mówiąc, obawiamy się, że chory już nigdy nie odzyska przytomności. To jest możliwość, na którą muszą się państwo przygotować. - Starał się zabarwić swoje słowa tonem współczucia.

- Nie odzyska przytomności? - zawołali Posy i Rupert. Posy nie ufała współczuciu i trosce w głosie tego lekarza, ale zdawała sobie sprawę z własnej niewiedzy w sprawach medycznych. O czym on mówi?

- Mamy duże doświadczenie z tego rodzaju obrażeniami, ale żeby mieć absolutną pewność, musimy poczekać następne dwadzieścia cztery godziny, zanim będziemy mogli sformułować dalsze rokowania.

- Ale on spokojnie oddycha! - zawołała Posy ponownie.

- Jak państwo wiecie, utrzymujemy go przy życiu za pomocą *respirateur*. Wydaje się, że oddycha, ponieważ maszyna podtrzymująca oddech wtłacza powietrze do jego płuc i wysysa je z nich. Serce nie potrafi samo utrzymać odpowiedniego ciśnienia krwi, a więc bez pomocy nie mogłoby samo bić, jego płuca zaś nie mogłyby pracować. W takich wypadkach ostatecznie możemy jedynie odłączyć pacjenta od urządzeń podtrzymujących życie. Zawsze podejmujemy taką decyzję w ostateczności i tylko wówczas, gdy mamy pewność, że pod względem medycznym jest to decyzja słuszna. Ale proszę się przygotować na taką ewentualność i zrozumieć ją oraz zaakceptować, jeśli dojdziemy do wniosku, że dla chorego nie ma już nadziei.

Posy pomyślała, że w pewnym sensie była przygotowana na słowa lekarza, ale była także przygotowana na to, by stawić im opór. Świat medycyny znał liczne przypadki cudów i zaskakujących niespodzianek. Spojrzała na Ruperta. Widziała, że on także chciał wyrazić swój sprzeciw wobec pesymistycznych wniosków lekarza, ale zapewne bał

się, że nie zrozumiał medycznych sformułowań na tyle, by wyrazić swoje zastrzeżenia wobec tak ostatecznych rozstrzygnięć.

- To znaczy, że pan Venn żyje jedynie w sensie technicznym? - spytał po francusku nieznamy w płaszczu Burberry.

- Można tak powiedzieć. Ale musimy poczekać następne dwadzieścia cztery godziny.

- Przecież zawsze jest jakaś szansa! Skąd może pan mieć pewność? - spytał Rupert.

- Szanse są bardzo niewielkie - odparł doktor Lamm. - Ale musimy poczekać. Oczywiście zdarzają się cuda i robimy wszystko, co w naszej mocy.

- To się zdarzyło nie dalej jak wczoraj wieczorem! - zaprotestowała Posy. - Chyba za wcześnie, żeby mówić w ten sposób. Musimy zasięgnąć opinii innego lekarza. Tyle się słyszy o ludziach w śpiączce, którzy się budzą nawet po wielu miesiącach...

Kip ucieszył się, słysząc jej wojowniczy ton. Jemu także wydawało się czymś nie w porządku powiedzieć po prostu: No dobrze, zatem wyłączamy maszynę. Jeśli chcieli zrobić coś takiego z Adrianem, mogliby tak samo postąpić z Kerry.

- A co z moją siostrą...? - zaczął.

- Właśnie, co z panią Venn? - spytał Rupert.

- Jej stan się nie pogorszył, może nawet odrobinę polepszył - powiedział lekarz.

- A l e o n a...

- Nie, jest całkiem żywa, jeśli zachować pewne zróżnicowania. Szanse pańskiej siostry są znacznie większe - powiedział doktor do Kipa, uśmiechając się przyjaźnie. - Monsieur Venn, choć urządzenia utrzymują go przy życiu, znajduje się w stanie wegetatywnym. Jego organizm nie wykazuje żadnych oznak zasadniczej aktywności. W wypadku pani Venn mamy o wiele więcej nadziei, choć oczywiście nie zawsze można wszystko przewidzieć. Kiedy ktoś znajduje się w stanie hipotermii, czasami wystarczy jedynie przywrócić temperaturę jego ciała do normalnego poziomu. Jej mózg pracuje, więc liczymy, że się obudzi, choć może potrwać kilka dni, a nawet tygodni, zanim w pełni dojdzie do siebie.



W tym momencie mężczyzna w płaszczu Burberry uniósł się nieco ze swojego krzesła, jak podczas jakiegoś publicznego spotkania, spojrzął za siebie na pozostałych i powiedział:

- Mam kilka pytań, jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu.  
- Mówił po angielsku z wyraźnym francuskim akcentem, dzięki któremu jego narodowość była oczywista. - Czy to wszyscy członkowie rodziny?

- Sądzę, że to cała rodzina, nie licząc małego chłopca - potwierdził lekarz. - Oczywiście madame Venn jest obecna, ale zarazem nieobecna.

- Harry jest tutaj, lecz został w hotelu - dodał Kip.

- Tak... więc nie ma Harry'ego i nie ma... żony monsieur Venna - stwierdził nieznajomy. - Prawdę mówiąc, jedynie połowa rodziny. Jestem pewien, że wolałby... żeby cała rodzina wyraziła zgodę... żeby była razem z nim, przypuszczalnie...

- Rodzinna zgoda w tej kwestii nie jest problemem natury medycznej, monsieur - powiedział lekarz. - Rzecz jasna chcemy, żeby wszyscy członkowie rodziny zostali poinformowani i wykazali jedność w kwestii sytuacji medycznej, ale uprzedzenia pojedynczych osób nie mogą stać na przeszkodzie temu, co najlepsze dla pacjenta. Jednakże nie bardzo rozumiem, jaka jest pańska rola w tej sprawie...

- Pod względem prawnym lub moralnym żadna, jestem jedynie jego współpracownikiem w interesach, a także przyjacielem - rzekł monsieur Delamer.

- Rozumiem, że przypuszczalnie chciałby pan zgromadzić całą rodzinę - oświadczył lekarz. - To jest całkowicie zrozumiałe i rozsądne, ale ściśle biorąc, nie należy do naszych obowiązków. Poza tym oczywiście madame Venn i małe dziecko nie mogą uczestniczyć w podejmowaniu żadnych decyzji. To już należy do państwa albo do pozostałych członków rodziny, żeby skontaktować się z innymi zainteresowanymi osobami.

- Chodzi o sprawę *coffre* - powiedział Delamer.

- Och, doprawdy! - zawołała Posy. - Chyba trochę za wcześnie, prawda? Ojciec przecież zaraz umrze.

- Nie chodzi o trumnę, ale o *coffre* - wyjaśnił pan Delamer.

Rupert, który lepiej niż Posy znał francuski, szepnął:

- Myślę, że chodzi o skrytkę bankową.

- Byłoby bez porównania łatwiej, zważywszy na to, że jesteśmy we Francji, gdyby udało się otworzyć *coffre* jeszcze za życia pana Venna. Naprawdę mi przykro. Z pewnością nie spodziewałem się, że będziemy musieli o czymś takim rozmawiać. Możemy wrócić do tego później, jeśli zgodzilibyśmy się na... hm, pewne opóźnienie... odłożenie poważniejszych decyzji, może do jutra. Chciałbym wyjaśnić formalne zagadnienia rodzinie pana Venna.

Lekarz otworzył i zamknął usta. Na czym tu może polegać problem?

- Tak, oczywiście nie proponowałem, żeby cokolwiek przyspieszać. Całkowicie rozumiemy, że każdy musi mieć czas, żeby się z tym oswoić, powiedzieć swoje *adieu*. Chciałem tylko państwa na to przygotować. - W jego głosie pobrzmiwał ton lekkiej irytacji, jaką odczuwa człowiek, który widzi, że program spotkania, zwłaszcza w tak poważnych sprawach, został niepotrzebnie rozbudowany o jakieś dodatkowe elementy. - Po prostu zależało mi, żeby państwo wiedzieli, jak wygląda sytuacja. A zatem do jutra, wtedy porozmawiamy o tym jeszcze raz i zastanowimy się, co należy zrobić.

## ROZDZIAŁ 11

Nieco przed godziną kolacji do pokoju Ruperta zadzwonił monsieur Delamer, menedżer kierujący firmą jego ojca, mówiąc, że chciałby porozmawiać z nim i z jego siostrą. Jak wyjaśnił, sam ulokował się w sąsiednim hotelu, ale wybiera się na kolację do sławnej restauracji hotelu Croix St. Bernard i chętnie spotkałby się z nimi w jakimś wygodnym miejscu, najlepiej w pokoju Ruperta albo u panny Venn. Bar nie wydawał mu się najlepszym miejscem dla tego rodzaju spotkania.

Rupert zgodził się i zaproponował swój pokój, ponieważ Posy słynęła z bałaganiarstwa i rozrzucania rzeczy po całym mieszkaniu. Chciał się dowiedzieć, jakie właściwie interesy łączyły ojca z tym Francuzem. W Londynie od trzydziestu lat pracował dla ojca jego prawnik Osworthy, ale odkąd ojciec zaczął spędzać coraz więcej czasu w swoim francuskim *chateau*, gdzie mieściła się siedziba Icarus Press, wydawało się rozsądne, że mógł powierzyć jakiemuś Francuzowi zajmowanie się francuskimi sprawami. Czy Pam rzeczywiście zadzwoniła do Osworthy'ego? Bo jeśli tak, to którego z nich - Osworthy'ego czy tego mężczyzny, pana Delamera - powinni słuchać na wypadek, gdyby ich porady różniły się od siebie? Rupert odnosił się do Francuzów dość nieufnie, ale powiedział sobie, że skoro są we Francji, Delamer przypuszczalnie jest na bieżąco w sprawach ojca i cieszył się jego zaufaniem.

Posy pojawiła się przed umówioną godziną, w sukience z wyraźnym dekoltem, zbyt eleganckiej jak na tę okazję, i usiadła na łóżku.

- Rozumiem, że mogę zapalić?

- Wołałbym, żebyś nie paliła - odparł Rupert.

Prychnęła na tę jego świętoszkowatość - to był jeden ze stałych punktów ich kłótni. Zmierzył krytycznym spojrzeniem jej dekolt.

Pan Delamer zastukał dyskretnie do drzwi pokoju i wsunął się do środka, jakby przemycał jakąś kontrabandę. Miał na sobie sportową marynarkę i futrzane buty *apres-ski*, w których przyszedł ze swojego hotelu. Rupert zaproponował mu, żeby usiadł na krześle, a sam usadowił się obok Posy na łóżku.

- Mówi się - zaczął Delamer - że proponowane przez szefa tutejszej kuchni Jaffe'a połączenie *ris de veau* i *homard* to coś prawdziwie niezwykłego. Monsieur Jaffe słynie ze swoich oryginalnych pomysłów - sam próbowałem jego równie wspaniałych *gnocci z courgette*. Są państwo *en pension* czy zamawiacie *a la carte*?

- Bierzemy potrawy wliczone w cenę noclegu - powiedziała Posy.  
- Czy to jest *pension*?

- *Demi-pension*, prawdę mówiąc, chyba że zamówią państwo pełne wyżywienie, ale wtedy muszą państwo schodzić na lunch, a szczerze mówiąc, osobiście nie poradziłbym sobie z trzema takimi posiłkami dziennie, choć moja żona... Zatrzymywaliśmy się w tym hotelu przez kilka lat, ale nie mieliśmy w tym roku takich planów. A teraz, proszę, jestem tutaj, zupełnie niespodziewanie, i pogrążony w smutku.

- Chciałby pan porozmawiać...?

- Tak. Chciałem kontynuować naszą rozmowę z dzisiejszego popołudnia. *Coffre*. Mówicie „skrytka bezpieczeństwa”?

- „Skrytka”, po prostu „skrytka”.

- Aha, więc chciałbym wam doradzić, że niezależnie od tego, co się wydarzy, zalecałbym otworzenie... hm, skrytki bezpieczeństwa znajdującej się w banku, dopóki monsieur Venn jeszcze żyje. Możliwie jak najszybciej. Chodzi o to, że nie będą mogli państwo tego uczynić, gdyby umarł. Po jego śmierci francuskie państwo wszystko zapieczętuje, a następnie oszacuje zawartość *coffre* z myślą o podatku spadkowym, jaki będziecie musieli zapłacić. Znajduje się tam kilka cennych rzeczy, których łatwiej będzie się... pozbyć, jeśli nie będą wchodziły w skład jego majątku. Osobiście dysponuję pełnomocnictwem do tego, by w razie konieczności sprzedać... pewne rzeczy.

Mam jednak tylko częściowe pełnomocnictwo, wspólnie z kimś innym, uprawniające do otworzenia skrytki i nie wiem, kto w tej chwili ma klucz. Z całą pewnością to zostało gdzieś zapisane w naszych księgach, ale przyjechałem tu tak szybko, gdy tylko usłyszałem wiadomość.

Na kolejną wzmiankę o cennych przedmiotach znajdujących się w *coffre* jego słuchacze najwyraźniej zaczęli poświęcać mu coraz większą uwagę.

- Wydaje mi się, że klucz oraz drugie pełnomocnictwo do tego, by wspólnie ze mną otworzyć skrytkę, ma madame Hyack, jego sekretarka, ale to oczywiście może być także madame Venn.

- A zatem co znajduje się w skrytce ojca?

- Głównie pierwsze wydania, bardzo piękne wydania, niektóre rzeczywiście bardzo cenne. Myślę, że francuskie państwo może bardzo wysoko oszacować ich wartość w celu nałożenia podatku spadkowego. Mogę was zapewnić, że myślenie o takich sprawach zawczasu... zanim coś się stanie, jest całkowicie legalne. W innym razie nie doradzałbym wam podobnego kroku. Pozwól państwo, że zadzwonię do madame Hyack.

- Oczywiście - powiedział Rupert i spojrział na Posy, jakby chciał się przekonać, czy dostrzeże w jej twarzy oznaki protestu, ale niczego takiego nie znalazł.

- Może także trochę złota i biżuteria madame Venn - dodał monsieur Delamer. - Niewykluczone, że również jego mały Bonnard. Radzono mu, żeby chował go za każdym razem, gdy wyjeżdża z domu, i od czasu do czasu o tym pamiętał.

- A co z jego testamentem? - spytał Rupert.

- Nie sądzę, żeby tam był jego testament - odparł Delamer.

Poczuli ponowny przypływ nadziei. Prawdopodobnie testament znajduje się w Anglii u pana Osworthy'ego. Byli właściwie pewni, że ojciec nic im nie zostawił, powodowany gniewem na ich matkę, która nie chciała się zgodzić na rozwód. Jednak jeśli nie ma żadnego testamentu we Francji, to być może ojciec, który najwyraźniej wierzył, że będzie żył wiecznie, nie zdążył sporządzić nowego testamentu uwzględniającego prawa Harry'ego; w grę wchodziły także jakieś inne dziwactwa ojca. Tak więc nadal wydawało się całkiem

prawdopodobne, że ojciec całkowicie ich wydziedziczył i zamierzał zostawić wszystko nowej żonie i ich dziecku, ale mógł po prostu nie zdążyć tego zrobić.

- Musimy mieć nadzieję - odezwał się monsieur Delamer - że cokolwiek się wydarzy, nie nastąpi lada dzień. Wyjadę z samego rana i zajmę się sprawą *coffre* jutro po południu. Oczywiście najlepiej byłoby, gdyby państwo oboje pojechali razem ze mną, albo jedno z was.

## ROZDZIAŁ 12

Obok baru kawowego, na niższej kondygnacji hotelu, tuż za salą bilardową znajdowało się duże pomieszczenie wykorzystywane jako sala konferencyjna i tego popołudnia miało odbyć się tam pewne wydarzenie, o którym zawiadamiała dyskretna tabliczka stojąca na kontuarze recepcji. O szóstej, gdy goście zdążą wrócić już z nart, ale przed kolacją, doktor Franz Hoffmannstuck, wybitny kurator z Zurychu w Szwajcarii, przedstawi prelekcję zatytułowaną „Sztuka tkanin stołowych”, co Amy musiała sprawdzić w słowniku: chodziło o obrusy. Dostała także prywatne zaproszenie, które wsunięto przez drzwi do jej pokoju. Po powrocie ze stoków Amy odsłuchiwała na sekretarce kilka wiadomości od swojego instruktora narciarskiego, od Geraldine Chastine, z prośbą o telefon, i w sprawach interesów z Palo Alto.

O szóstej zjawiła się w sali barowej. Bo czemu nie? Obrusy i inne tkaniny od samego początku stanowiły element jej programu. „Nawet nie wiedzą, jak wyprasować obrus”, mówiła kobieta w sklepie ze starciami w Seattle.

W sali konferencyjnej zobaczyła ustawioną tablicę, stertę ulotek oraz kilka ogromnych ozdobnych obrusów, nienagannie wykrochmalonych i oznaczonych monogramem, które udrapowano na specjalnie porostawianych sztalugach; podłogę pod nimi wyłożono muślinem, żeby uchronić brzegi zwisającego płótna przed kontaktem ze zwykłym dywanem.

Przyszło około dwudziestu osób, wśród nich jeden mężczyzna, poza tym matki, córki albo, jak Amy, kobiety podróżujące samotnie;

część z nich znała z pomieszczenia narciarskiego albo z lekcji gotowania i teraz uśmiechały się do siebie, odkrywszy wspólne zainteresowania. Doktor Hoffmannstuck osobiście krążył nieopodal, najwyraźniej trzymając na oku swoje płócienne skarby, choć z przyjazną miną i dyskretną powściągliwością, po czym dziesięć minut po szóstej podszedł do tablicy i zaczął opowiadać - po angielsku z tajemniczym kontynentalnym akcentem - o swojej życiowej pasji, zainteresowaniach i doświadczeniu eksperta od obrusów, ponieważ był opiekunem kolekcji w jakimś Schloss - Amy umknęła nazwa owego Schloss.

Temat obejmował dzieje obrusów od czasów koptyjskiego chrześcijaństwa, a może nawet starożytnych Greków. Obrusy renesansowe, osiemnastowieczne obrusy, dziewiętnastowieczne nakrycia stołu i obrusy współczesne. Sposoby usuwania plam, co stanowiło osobną dziedzinę wiedzy; w tej sprawie zamierzał przedstawić kilka szczegółowych rozwiązań. Następnie należało wspomnieć o przygotowywaniu, prasowaniu i przechowywaniu obrusów. Zapobieganiu pojawiania się żółtych plam, konieczności bielenia i niebezpieczeństwach związanych z bieleniem oraz właściwych metodach składania po *repassage*. Nie można też pominąć pewnych różnic między współczesnymi a dawnymi obrusami oraz kwestii jakości starodawnych płócien, a także zagadnienia cerowania starych obrusów. I wreszcie sprawa współczesnych urzędzeń służących temu celowi i właściwych metod prania cennych obrusów, zbyt dużych, by można było uporać się z tym w domowych warunkach.

Po zarysowaniu w ten sposób w skrócie treści wykładu, zaczął od plam, wywołując poruszenie ciekawości wśród słuchaczy, gdy wyjął małą serwetę stołową i wylał na nią trochę czerwonego wina. Amy zrobiła notatki na temat sposobu usunięcia tej palmy, ale jej uwaga osłabła nieco w trakcie części historycznej. Zapamiętała tylko jej ogólny sens, sprowadzający się do tego, że obrusy są formą sztuki cenioną od wieków i jako cenne dobro, przechowywane w specjalnych meblach do tego przeznaczonych, stanowiły podstawowy składnik wyposażenia pań stających na ślubnym kobiercu oraz element posagu. Przechodziły z pokolenia na pokolenie, cenione i podziwiane jak każde rodowe skarby, a kobiety miały je w swej pieczy. W tym



momencie Amy poczuła wyrzuty sumienia na wspomnienie muzeów, które pomijała obojętnie, wypełnionych witrynami, w których leżały sterty poskładanych koronkowych serwet i brzydkich koronkowych frywolitek. Żałowała teraz, że tak lekceważąco traktowała tę dziedzinę kobiecych osiągnięć i że w swoim mieszkaniu w Palo Alto nie miała choćby jednej płóciennej serwetki, dokładnie tak, jak to przewidywała skwaszona kobieta w sklepie z antykami w Seattle.

Amy pochodziła z rodziny, w której dbano o przedmioty przekazywane z pokolenia na pokolenie. Opowiadano jej o ich dziejach - ten kubek należał do ciotki Fan, a to należało do Bena Armstronga, kuzyna Dandy Churchill. Wszystkie te rzeczy czekały na nią w domu jej matki, ale zawsze wykręcała się od tego, by je zabrać, mówiąc: „Kiedy będę miała swój dom”. Chociaż miała mieszkanie w kondominium, było prawie puste i prawie wcale się nim nie interesowała. Ale w końcu kupi sobie piękny dom i wtedy weźmie wazę, różową misę na słodycze i komplet łyżek Watseka. Bez wątplenia będzie wtedy również potrzebowała obrusów.

- W osiemnastym wieku powszechnie stosowano praktykę bieleńcia obrusów przy świetle księżycy - powiedział doktor, przykuwając w tym momencie na powrót uwagę Amy. Przy świetle księżycy?

- Uważano, że promienie słońca są zbyt szkodliwe. W wielkich domach budowano specjalne stojaki, na których rozciągano płótno. W skromniejszych domach kobiety rozkładały obrusy nocą na krzakach, kiedy już opadła rosa i wzeszedł księżyc. Po czym zabierały je, nim pojawiała się poranna rosa, olśniewająco białe w magicznym świetle promieni księżycy.

- Te historyczne obrusy pochodzące z najważniejszych zamków Bawarii - wskazał na obrusy wystawione do oglądania - wybielano właśnie w ten sposób, o czym mogą się państwo przekonać, widząc, w jak doskonałym stanie się zachowały. Najwcześniejszy pochodzi z końca osiemnastego wieku i uważa się, że należał do kolekcji cesarzowej, choć nie ma cesarskiego monogramu; najwyraźniej oznaczono go jej panięńskim monogramem. Pozostałe dwa pochodzą z dziewiętnastego wieku, jeden z zasobów angielskiej rodziny panującej, drugi - ważnego rodu szwajcarskiego mieszczaństwa. Kolekcja Statlera, której

mam zaszczyt być kuratorem, posiada większość ocalałych egzemplarzy płócien stołowych ze zbiorów austriackiej rodziny cesarskiej oraz kolekcję europejskich obrusów należących niegdyś do innych rodów królewskich, jak choćby syjamskie i nepalskie obrusy sprowadzane pierwotnie z Holandii na początku szesnastego wieku.

Amy mimo woli poszybowała wyobraźnią ku romantycznemu obrazowi ubranych na biało kobiet rozkładających płachty płótna przy świetle księżycy. W jej mieszkaniu w kondominium w Palo Alto nie było oczywiście na to miejsca, ale kiedyś wreszcie kupi sobie dom z przestronną szafą kryjącą poskładane obrusy. Bez wątplenia obrusy miały jakieś zasadnicze znaczenie, z którego dawniej nie zdawała sobie sprawy, wiążące człowieka z historią ludzkości, a zwłaszcza z historią kobiet.

Biła się przez dłuższy czas z myślami, co oznaczało poważny wykład, jakiego sobie udzieliła na temat pieniędzy w ogólności, jej własnego okazałego zasobu tychże, a także planów, by poświęcić się kultywowaniu takich szlachetnych cnót, jak gościnność. W końcu kupiła trzy obrusy: jeden będący ogromną płaszczyzną śnieżnobiałego adamaszku, z osiemnastego wieku; drugi duży, wyszywany błękitną nicią i obrębiony w półokrągłe ząbki; oraz trzeci historyczny obrus w kolorze ecru, z koronkowym brzegiem, poprzednio znajdujący się w posiadaniu bawarskiej rodziny szlacheckiej. Kupiła też tuziny serwet do kompletu do każdego z nich, co w sumie kosztowało ją dziewięć tysięcy dolarów. Już sama suma dowodziła doskonałości wybranych przez nią obiektów i zapowiadała powodzenie przyjęć w jej domu, ale cena tych obrusów była szokująca dla praktycznej strony jej natury. Złożone razem płócienne skarby ważyły tyle, że pan Hoffmannstuck osobiście przydźwigał je do jej pokoju. Amy powiedziała sobie, że powinna być zachwycona, ale tak naprawdę czuła się przygnębiona swoją rozrzutnością, zwłaszcza jeśli się pomyśli, że w innych miejscach świata ludzie głodują; na szczęście nie w Valmeri. Cóż, będzie musiała uporać się z tymi paradoksalnymi reakcjami i nauczyć się z większą swobodą wydawać pieniądze.

Podczas kolacji, chociaż serce nadal biło jej ze zdenerwowania na wspomnienie pochopnych zakupów, usiadła zgodnie ze swoją

obietnicą przy stoliku młodego Kipa i jego podopiecznego Harry'ego. Choć nie miała żadnych doświadczeń w opiece nad dziećmi, najwyraźniej z większym wyczuciem niż Kip w odpowiednim momencie poprawiała malcowi śliniaczek i wycierała szpinak rozmazany na policzkach. Miejskowa sławna kuchnia wspaniałomyślnie przygotowywała dla Harry'ego puree i inne dziecięce potrawy. Mimo to wieczór ciągnął się niemiłosiernie, zarówno dla Kipa, jak i Amy.

Kip pomógł parę razy Harry'emu zjeść to, co miał na talerzu, ale potem czekało go kładzenie małego do łóżka - z pewnością nie będzie łatwiej niż poprzedniego wieczoru. Pomyślał, że sam nigdy nie zostanie rodzicem. Amy momentami pragnęła, aby przy stoliku znajdował się jeszcze jeden dorosły. Dowiedziała się, że Kip pochodzi z Oregonu i że od śmierci rodziców nie ma prawdziwego domu. Uczęszczał do szkoły z internatem w Squaw Valley w Kalifornii, gdzie poświęcano wiele czasu zajęciom z narciarstwa i jeździe na desce snowboardowej, ostatecznie przeprowadzając swoich podopiecznych przez egzaminy SAT. Za naukę w tej szkole płacił Adrian, mąż jego siostry, zdaniem Kipa bardzo miły facet. Adrian sfinansował także jego podróż do Europy w przerwie międzysemestralnej. Amy zapewniła Kipa, że bardzo dobrze zna Squaw Valley, sama jeździła tam na nartach kilka lat temu.

Gdy już omówili jego szkołę, nadzieje na przyszłość, los jego rodziców oraz obecny stan zdrowia Adriana i Kerry, rozmowa wyraźnie osłabła.

- Jutro, jeśli będzie ładnie i nie będzie padać, i uda się rozwiązać problem z opiekunką dla Harry'ego, możemy razem wybrać się na narty - zaproponowała.

Kip zgodził się uprzejmie, choć wiedział, że w hotelu, sądząc z tego, co zdążył zaobserwować, niewielu dorosłych jeździło na jego poziomie. Będzie musiał dostosować swoją prędkość do jej możliwości, a w dodatku jeździć na nartach, nie na snowboardzie, jednak nie przeszkadzało mu to i był zadowolony, że może porozmawiać z Amy, z kimś, kto przejmuje się jego sytuacją.

- Harry nie ma pojęcia, co się dzieje - wyznał Kip.

Oczywiście, że nie, chciała już powiedzieć, ale zorientowała się, że zaskoczyło go to dlatego, iż sam był bardzo młody. Dzieci pewnie

przypisują innym dzieciom różne odczucia w taki sposób, jak nie zrobiłby tego dorosły. Poruszyło ją własne spostrzeżenie, że ten wysoki, młody człowiek w istocie był jeszcze dzieckiem i dzieliło go mniej więcej tyle samo lat od Harry'ego co od niej, ponieważ zbliżała się do trzydziestki.

- Gość z obsługi hotelu chciał, żebym przejrzał rzeczy Adriana, zanim przyjadą ludzie z Anglii. Nie miałem na to ochoty, ale co by się stało, gdybym czegoś potrzebował, na przykład dla Harry'ego?

- Zrobiłeś to?

- Wziąłem trochę pieniędzy - przyznał. Widziała, że go to nurtuje.  
- Ale wszystko zapisuję.

- Tak, to jest w porządku, musisz mieć jakąś możliwość płacenia za różne rzeczy - przyznała Amy. - Czy Harry bardzo tęskni za swoją mamą?

- Dużo płacze w nocy. Budzi się.

Później Amy wypijała kilka drinków w miejscowym pubie z Paulem -Louisem, swoim nowym instruktorem narciarskim. Amy zapisała się do najprzystojniejszego instruktora, ponieważ nie było do końca prawdą, że nie miała ochoty spotykać się z mężczyznami, nie chciała jedynie poważnie się w nic angażować. Ale to nie wykluczało odrobiny zabawy i już wcześniej postanowiła, że instruktor, do którego zapisze się na dwutygodniowy kurs, przypuszczalnie także dotrzyma jej towarzystwa po nartach. Było to wpisane w zawód instruktorów narciarskich, więc na pewno będzie miał w tych sprawach odpowiednie doświadczenie i cała rzecz nie pociągnie za sobą żadnych komplikacji. Miała nadzieję, że pozna kogoś przystojnego, a do tego Francuza, co włączyłoby ewentualny romans do jej programu samodoskonalenia i rozwoju kulturalnego. W grę wchodził teraz również poeta Robin Crumley („dobrze znany w Anglii”, szepnęła *princesse*), wykluczyła natomiast Joego Daggarta, który choć przystojny, był Amerykaninem; mgliście opisywał swoją pracę w Genewie jako „negocjatora w sprawach ekstradycji”. Nie wykluczała także z góry barona Ottona, mimo że był nieco starszy, przypuszczalnie po czterdziestce, i był Austriakiem, co oznaczało: prawie Niemcem.

W dłuższej perspektywie mężczyźni nie odgrywali żadnej roli w jej planach. Kiedy jej rodzina się dowiedziała, że stała się kobietą zamożną (czemu mówili „poszczęściło jej się”, zamiast mówić o „wspaniałym osiągnięciu Amy?”), po sugestiach, iż mogłaby pomóc swojej siostrze Nan i kilku kuzynom, przysłała pora na ostrzegawcze opowieści o bogatych kobietach, które zawsze słynęły z fatalnego gustu, jeśli chodziło o mężczyzn. Przestrzegano ją też przed niebezpieczeństwami czekającymi na bogate dziedziczki w postaci rozmaitych żigolo i łowców majątku.

Ciotka Sarah wciskała jej biografie nieszczęsnej Doris Duke, załosnej Barbary Hutton albo Peggy Guggenheim, nie mówiąc już o Vanderbiltach i Rockefellerach. Mówiło się tam o starych pannach uwiedzionych przez młodych służących bez skrupułów - ogrodników i sekretarzy, którzy podstępnie wkradali się w ich łaski, żeby ostatecznie odziedziczyć ich majątek. O kobietach, które wielokrotnie wychodziły za mąż i roztrwoniły fortunę na alimenty i odprawy dla kolejnych przystojnych, ale nikczemnych mężów żeglujących wokół Europy na kosztownych jachtach. (Czy żadna z nich nie spotkała nigdy przyjemnego lekarza albo księgowego?) We wszystkich tych opowieściach była mowa o nałogu tytoniowym, alkoholizmie, samobójstwach i śmierci w podejrzanych okolicznościach. O miłych amerykańskich dziedziczkach wielkich fortun, poślubionych angielskim lordom, którzy następnie je zdradzali i pozbawiali majątku; albo o dziewczętach, które zostawały w Europie z gołymi rękami z powodu seksistowskich i konserwatywnych europejskich praw małżeńskich. O delikatnych i wrażliwych aktorkach przeżywających załamania nerwowe oraz o wiecznie zestresowanych kobietach interesu. Najwyraźniej nie było ani jednego przykładu zwykłego ludzkiego szczęścia

„Popatrz, kochanie, znalazłam to gdzieś i pomyślałam, że mogłoby cię zainteresować”, mówiła jej matka i powtarzały ciotki. Amy nie czytała tych książek, poza ostatnią stroną okładki, ale kartkowała je na tyle, by zorientować się, o co w nich chodzi. Opowieści te nie zaszczepliły w niej jednak nieufności do mężczyzn - dobrze sobie z nimi radziła - lecz wzbudziły wzdrganie dla kobiet, które pozwalały zmarnować sobie w ten sposób życie. Rozumiała stojące za tym historyczne

powody - to były głównie kobiety, które nie miały własnego zawodu ani interesującej pracy, wychowywane w czasach, gdy uważano, że ich powołaniem jest zamążpójście. Nawet kobiety genialne, jak Georgia O'Keeffe, nie mogły wyzwolić się spod wpływu tego powszechnego przekonania. Poza tym kobiety pochodzące z bogatych rodzin przypuszczalnie miały okropne dzieciństwo i były przesadnie chronione przed światem. Wszyscy wiedzieli, że nie można urodzić się bogatą i być potem dobrze przystosowaną do życia.

Niemniej, choć nie zamierzała na razie wychodzić za mąż, nie widziała powodu, by zrezygnować z towarzystwa mężczyzn. Miała nadzieję, że potrafi rozpoznać nieszczerłość, kiedy się na nią natknie. Jednak chodziło jej przede wszystkim o to, by zachować ciekawość ludzi, nie stracić zdolności odczuwania radości i nie zamienić się w podejrzliwą paranoiczkę. Na szczęście nie była z natury osobą podejrzliwą, chyba nie groziło jej więc, że na własnej skórze doświadczy jednej z tych nieszczęsnych odmian kobiecego losu. A poza tym, jak dobrze wiedziała, jej serce nie poddawało się łatwo emocjom.

Nie była z tego powodu zachwycona. Podświadomie pragnęła, żeby ktoś złamał jej serce albo w jakiś inny sposób odmienił jej życie, tak by mogła zanurzyć się w świat uczuć i namiętności, które na pewno kryły się gdzieś pod powierzchnią jej praktycznej, zdroworozsądkowej natury. A przynajmniej miała nadzieję, że tak jest. Ale przychodziło jej do głowy, czy przypadkiem jednak się nie myli i czy w rzeczywistości nie jest jedynie zrównoważoną, zadowoloną z siebie, przyziemną osobą pozbawioną jakiegokolwiek głębi. To była jej największa obawa.

Nie pamiętała kto z nich, ona czy Paul-Louis, zaproponował, żeby poszli na drinka. Opowiadał o Valmeri tonem przewodnika wycieczek. Zachowano tu drewnianą architekturę, piętrowe budynki, w których na dolnej kondygnacji niegdyś zimą trzymano krowy - ich ciepło i unoszące się odory ogrzewały w chłodnych miesiącach zziębniętą rodzinę mieszkającą na górze. W większości domów na parterze znajduje się teraz mieszkanie dla teściowej albo pokoje wynajmowane narciarzom w sezonie zimowym. W miasteczku było kilka małych hoteli, galerii sztuki i sklepów sprzedających towary przeznaczone

dla zamożnych klientów - zegarki, futra, wyszukane kombinezony narciarskie, buty. Poczta, stacja meteorologiczna, biuro turystyczne, gdzie można było kupić bilety kolejowe, punkty wynajmu nart, kino, sala koncertowa, lodowisko, kilkanaście restauracji i rozległy budynek, w którym na noc znajdowały schronienie gondole wyciągu narciarskiego, poskładane niczym wielkie łyżki. We wszystkich barach panowała atmosfera beztroski, wśród lekkiego zapachu, który Amy przypominał woń trawki - ale równie dobrze mógł tak pachnieć miejscowy tytoń, a nawet elementy wystroju wnętrz. Tutejsze nocne życie nie wydawało się dzikie i szalone - na pewno o wiele więcej kokainy zażywano w Dolinie Krzemowej - ale atmosfera była relaksująca i Amy czuła się tu mniej napięta niż w nowoczesnych lokalach w Ameryce, pełnych ludzi grających o wysokie stawki.

Poszli do ulubionego lokalu Paula-Louisa, gdzie wypili kilka piw i pokrzyczeli w rytm marnego europejskiego hip-hopu. Odprowadził Amy stosunkowo wczesnie, wypili jeszcze jedno piwo w barze hotelu Croix St. Bernard i pożegnali się. Amy odrobiła swoje lekcje francuskiego, a potem poszła spać, zmęczona i rozbawiona. Wszystko potoczyło się tak, jak sobie to wyobrażała; lub prawie tak. Spotkała w Valmeri całkiem interesujących ludzi, wchłaniała pewną abstrakcyjną wiedzę i zbierała doświadczenia. Wprawdzie jeśli nie liczyć ozdób w sali jadalnej, może nie była to kultura dokładnie w takim sensie, w jakim tego oczekiwała, jako synteza sztuk przekazywana w starych europejskich językach z wielkim znanstwem i smakiem - ale tego rodzaju kultura na pewno czekała na nią w Paryżu.

Uznała, że prelekcja na temat obrusów także była zgodna z programem, ale Paul-Louis stanowił lekkie rozczarowanie. Podczas nocnych rozmów telefonicznych jej doradczyni finansowa Sigrid ze śmiechem przekonywała Amy, by śmiało wdawała się w romanse w swobodnej atmosferze europejskiego narciarskiego kurortu. „Bo inaczej po co tam jechać?”. Sigrid uważała, że mężczyźni na ogół nadają się tylko do jednego, ale Amy często lubiła ich dla nich samych. Nie chodziło o to, że nie był przystojny, bo był, i to jak, ze swoją głęboką opalenizną i solidnie sklepionym europejskim nosem. Mimo to, choć z przyjemnością odnotowywał jej wyraźne zainteresowanie swoją osobą, przez

cały wieczór opowiadał jej o procedurach, jakie musiał przejść, żeby dostać się do szkoły farmaceutycznej; o tym, ile egzaminów już zdał albo oblał za pierwszym razem i jak niepewna będzie jego przyszłość, jeśli nie zdoła zaliczyć następnego. Mówił o niedogodnościach mieszkania w Aix, jeśli człowiek jest przyzwyczajony do Savoie; i o tym, jak wielu jego przyjaciół po prostu postanowiło zostać w Alpach, wybierając zawody związane z narciarstwem, co jego zdaniem stanowiło raczej ślepą uliczkę. Wielu z nich ostatecznie ginęło pod lawinami albo w innych wypadkach, jak choćby brat jego przyjaciela. Udało jej się zadać mu kilka pytań na interesujące ją tematy, jak nowe narty paraboliczne lub przenoszenie równowagi przy skręcie w lewo, ale nie zanośliło się na to, by ich spotkanie nabrało bardziej romantycznego charakteru. Niemniej, powiedziała sobie, lody zostały przełamane i wszystko powoli będzie zmierzało we właściwą stronę, jeśli w ogóle do czegoś rzeczywiście miało między nimi dojść.

Europejczycy zdecydowanie robili na niej wielkie wrażenie - ich wykształcenie, szerokość horyzontów, kultura; nawet Paul-Louis wiedział więcej na tematy ogólne niż ona. Amy była zdezorientowana. Tyle miała do zrobienia i tak mało czasu, jak powiedział Winston Churchill przy jakiejś okazji. Może i znała się na przejęciach korporacyjnych, ale co wiedziała o poezji, metrum i formach wersyfikacji, o muzyce, o tradycji, o arcydziełach? Albo o światowych religiach, hinduizmie i buddyzmie? O kieliszkach do białego wina i kieliszkach do czerwonego? I co to jest *godet*? Gdzie przebiega granica między rozpaczą a cynizmem, między dobrym smakiem a wulgarnością - słowo, które często słyszała w kontekście domów, jakie budowali sobie jej przyjaciele. Jak zrobić suflet podobny do tego wspaniałego zrobionego z sera i anchois, jaki podawano im podczas kolacji? Docierało do niej, że to nie takie proste być osobą bogatą. Wiedziała, że musi teraz być ostrożna i wystrzegać się kapryśnej lekkomyślności, która często opanowuje ludzi w jej położeniu. Widziała, jak jej przyjaciele nagle zaczynają pasjonować się lataniem balonami albo kupować drogie inkunabuły. O ileż szlachetniejsze były jej cele i o ileż trudniej było je osiągnąć.



## ROZDZIAŁ 13

Po kolacji złożonej z *omble* w winie i *pommes dauphine*, którą zjedli w nastroju przygnębienia i rozproszenia, Posy i Rupert Venn poszli posiedzieć do sali barowej, gdzie goście hotelowi zbierali się na kawę i drinki, a pianista i basista przyjmowali zamówienia na stare amerykańskie przeboje rewiowe i coraz częściej rosyjskie ludowe piosenki. Usiedli na kanapie stojącej pod ścianą w końcu sali, możliwie daleko od baru, wokół którego krążyli rozbawieni goście, i z dala od muzyków, którzy improwizowali rosyjskie piosenki. Posy rozpoznała melodię *Pieśni burłaków znad Wołgi*. Jacyś ludzie śpiewali płaczkliwie, niskimi głosami Borysa Godunowa - na pewno Rosjanie. Rupert wypił piwo, po czym nagle powiedział, że idzie się położyć, gdyż musi rano wstać, pojechać do banku w sprawie skrytki ojca. Zrobił minę męczennika, która bardzo zirytowała Posy.

- Nie mam najmniejszej ochoty tam jechać. Boję się, że ojciec umrze, jeśli nie będę przy nim czuwał - powiedział.

- Będę czuwała za nas oboje - zapewniła go Posy.

- Tak, ale jeśli umrze, kiedy mnie tu nie będzie?

Oboje przyznali, że to całkiem możliwe, ale żadne z nich nie wierzyło, że do tego dojdzie. W głębi serca Rupert był przekonany, że Posy w jakiś sposób schrzani sprawę i nie wywiąże się jak należy z zadania siedzenia przy ojcu. Z drugiej strony tylko on na tyle dobrze mówił po francusku, by móc porozumieć się z panem Delamerem.

Posy siedziała samotnie w barze, ludzie przyjaźnie się do niej odzywali, ona odpowiadała, ale nie wywiązywała się z tego żadna rozmowa, czym zbytnio się nie przejmowała. Widziała, że w pewnym momencie

przyszedł Kip, zamówił colę i usiadł przy drugim końcu baru. Mogła by z nim porozmawiać, ale nie zrobiła tego - wiedziała, że zachowuje się wobec niego niezbyt miło, ponieważ jest zła z powodu istnienia Harry'ego i nowej żony ojca - co akurat nie było winą Kipa. Nie mogła się zmusić, by zacząć z nim w rozmowę, podobnie jak nie zdecydowała się pojechać jeszcze raz po południu do szpitala, choć powinna była tak zrobić. Do baru weszła teraz amerykańska blondynka z długim warkoczem, która przy kolacji siedziała razem z Kipem. Towarzyszył jej jakiś opalony jegomość, chyba instruktor narciarski. Posy podziwiała pewność siebie i elegancję w ruchach amerykańskich dziewczyn - czasami wręcz wydawały jej się bezczelne - i podziwiała ich chłopiące ubrania. Ta zamieniła kilka słów z Kipem i zaprosiła go, by usiadł razem z nimi. Posy zastanawiała się, co ich właściwie łączy. Pewnie ich amerykańskość.

Podobał jej się ogarniający ją nastrój czegoś pośredniego między żałobą a biernym i zarazem dość wygodnym pogodzeniem się z tym, że musi czekać w tym hotelu. Nie miała nic innego do roboty, wystarczało jedynie siedzieć w wygodnym alpejskim schronieniu i palić papierosy. Ogarnęło ją uczucie anonimowości i wolności, jakiego doświadczają ludzie na wakacjach, a przecież nie była tu na wakacjach, lecz przeżywała bolesny rodzinny dramat. Starając się nie myśleć o tych sprawach, rozejrzała się wokoło i zauważyła przystojnego mężczyznę, który usiadł koło niej i zaczął czytać gazetę przyniesioną ze stojaka z gazetami.

Posy ogarnął nagle jakiś dziwny zamęt i nie wiadomo skąd w jej wyobraźni pojawił się obraz jej samej przykładającej wargi do jego brązowej szyi, w miejscu, gdzie miał rozpięty kołnierzyk koszuli i na pewno można było wyczuć jego puls; gdzie mogła wyczuć pulsowanie jego życia swoimi wargami. Zadrżała; to przecież był obraz jej samej jako wampira. Czy wpatruje się w niego? Jego ciemne oczy spotkały się na moment z jej błękitnymi... Spuściła wzrok, starając się ukryć fakt, że te przerażająco niestosowne myśli odebrały jej dech. To musi mieć coś wspólnego z ojcem, na pewno, takie myśli o pulsowaniu życia, o sile witalnej... Śmierć i... to... były jakoś powiązane. To wszystko jest u Tomasza Manna, cała ludzka natura.

Jakoś udało się jej opanować i uśmiechnęła się. Skinął jej uprzejmie i jeszcze raz popatrzył na swoją gazetę, najwyraźniej niepewny,

czy uda mu się uniknąć rozmowy, po czym spojrział na nią ponownie, dostrzegając jej pusty kieliszek.

- Chciałaby się pani czegoś napić? Zamierzam zamówić dla siebie koniak - powiedział po francusku.

Pomyślała, że jest zdumiewająco przystojny.

- *Non, merci* - powiedziała.

- Może brandy? - ponowił pytanie po angielsku. - Proszę mi pozwolić.

- No dobrze, dziękuję - powiedziała po namyśle. Uznała, że ta prosta wymiana zdań, istota klasycznego podrywania w barze, znaczy, że wda się z nim w rozmowę i zostanie nieco dłużej na nogach, choć prawdę mówiąc, była śmiertelnie zmęczona po poprzedniej nocy spędzonej za kierownicą. Podszedł do małego baru i wrócił z dwoma pękatymi kieliszkami koniaku.

- Nazywam się Emile Abboud - przedstawił się z uśmiechem przystojny mężczyzna.

Jego twarz w jakiś sposób harmonijnie łączyła kwadratową męską szczękę z pełną wdzięku linią brwi, rzęs, przedziałka na brodzie porośniętej lekkim zarostem i uniesionych kącików warg odsłaniających uśmiech zdumiewająco białych zębów. Usłyszała, że nazywa się Abbot, a może Booth, wypowiedział swoje nazwisko z pewną swadą, jak gdyby spodziewał się, że powinna je słyszeć wcześniej.

- Jestem Posy - powiedziała.

- *Anglaise ou Americaine?*

- Angielka. - Z całą pewnością nie zmierzała dalej zмагаć się ze swoją francuszczyzną. Jak zauważyła, mówił doskonale po angielsku, prawie w ogóle bez akcentu.

- Tak myślałem. Właśnie przeczytałem słowa waszego premiera, jest taki słuźalczy w swoich proamerykańskich wypowiedziach. Czy zgodzi się pani z tym? Słuźalczy i proamerykański? Lokaj amerykańskiego prezydenta, a do tego kłamca i arogant?

- Myślę, że taki właśnie jest - przyznała Posy. - Przystałam interesować się polityką. Politycy są potwornie nudni.

Choć nie miała wprawy w podrywaniu mężczyzn w barach, niemal odruchowo, z jakąś pierwotną, wrodzoną wiedzą pomyślała, że skoro

mają jeszcze spędzić sporo czasu na rozmowie, nim osiągną właściwy stan podsycającej alkoholem wzajemnej sympatii, towarzyskiej bliskości, wzajemnego zainteresowania, wstępnej zgody, która zaprowadzi ich dalej albo i nie - to na razie są dopiero w okresie inkubacji i równie dobrze mogą porozmawiać o polityce. Tyle że polityka nie była jej mocną stroną. Na przykład jak się nazywał obecny premier Francji? Nie miała zielonego pojęcia.

- Przyjechał pan dzisiaj? - spytała.

- Tak, niecałe pół godziny temu.

- Idzie pan jutro na narty?

- Nie. A pani?

- Przypuszczalnie nie. Prawdę mówiąc, nie jestem dobrą narciarką - przyznała Posy. - Ostatnim razem, kiedy jeździłam na nartach kilka lat temu w Val d'Isere, już pierwszego dnia skręciłam kolano. Jestem tutaj w interesach. Razem z bratem - dodała na wypadek, gdyby widział ją przedtem z Rupertem.

- Tak, jestem w podobnej sytuacji. „Niespodziewany wyjazd w interesach”. Na szczęście zdążyłem dotrzeć tu na kolację, która bardzo zachęciła mnie do pozostania na kilka dni w Alpach. Tutejsza kuchnia jest naprawdę wyśmienita.

- Musi pan być prawdziwym Francuzem, skoro już rozmawiamy o jedzeniu - powiedziała Posy.

Mówił tak dobrze po angielsku, właściwie bez akcentu. Pomyślała, że może wcale nie jest Francuzem, ale jakimś szejkiem. Szejkowie zawsze byli doskonale wykształceni i jeździli do Oksfordu albo do Cambridge, albo Harvardu, co nie znaczy, że kiedykolwiek któregoś z nich spotkała.

- Moglibyśmy porozmawiać na inne tematy. Jest pani bez wątpienia najpiękniejszą dziewczyną w całej sali.

- Nie sądzi pan chyba, że będę rozmawiała z panem o moim wyglądzie.

- Nie, myślę, że nie. Ale kobieca uroda to kolejny punkt zainteresowań Francuzów.

- My, angielskie dziewczęta, jesteśmy bardzo czułe na punkcie Francuzek. Wszystkie są takie śliczne i takie szykowne.

- A nie sądzi pani, że są raczej chude, wyrachowane i bardzo stonowane?

- Cóż, Anglicy nie potrafiliby opisać czyjogoś wyglądu ani powiedzieć, czy jest stonowany, czy zgoła przeciwnie. W ogóle nie zauważają, co kobiety mają na sobie.

- A zatem to coś, co różni nasze narody - powiedział Emile.

Posy ogarniał coraz lepszy nastrój, zupełnie jakby chmury zaczęły odpływać i powoli przebijał się przez nie promień słońca i obejmował ją swoim światłem, jak gdyby chciał ogrzać przed nią ścieżkę radości i zapomnienia, przeznaczoną tylko dla niej. Jutro rano wszystko znowu będzie nie do zniesienia, ale teraz wszystko może się zdarzyć. Tak właśnie wygląda życie w narciarskich kurortach.

Odłożył gazetę z miną człowieka, który nie zamierza stawiać oporu nieoczekiwanym zmianom w programie.

- Może zatańczymy? - zaproponował. - To mniej niebezpieczne niż jazda na nartach.

Posy nie była wcale tego taka pewna, ale zgodziła się. Wstali i ruszyli w stronę niewielkiej przestrzeni wolnej od krzeseł, na której, tuż przed zespołem muzycznym, tańczyło kilka par, ale właśnie w chwili gdy na nią weszli, muzycy skończyli grać tyrolską polkę i ogłosili przerwę. Wziął ją pod ramię i usiedli z powrotem. Nawet jego lekki dotyk zapierał jej dech w piersi.

- Czy jest pan... bo ja wiem, piłkarzem? - spytała.

Był silny i poruszał się bardzo zdecydowanie, gdy prowadził ją na parkiet. Wyglądało na to, że nie mogłaby powiedzieć niczego, co sprawiłoby mu większą przyjemność. Przez moment na jego przystojnej twarzy zajaśniał wyraz niezaprzeczalnej próżności, jakby usłyszał jakiś komplement, ale zaraz przybrał minę pełną skromności.

- Jestem nauczycielem - powiedział - i w pewnym sensie dziennikarzem.

Nigdy nie powie mu, że sama jest menedżerem do spraw kredytów w sieci sklepów sprzedających bieliznę. Nie powie mu nawet, jak ma na nazwisko.

- Jakiego rodzaju nauczycielem?

- Uczę na paryskim uniwersytecie zwanym Sciences Po.

- Sama właśnie skończyłam w zeszłym roku studia na uniwersytecie.

Wydawał się zauroczony jej opowieścią o Cambridge, gdzie interesowała się głównie literaturą. Poczowała sympatię do mężczyzny, który potrafił docenić kobiety poważnie zajmujące się studiami, w przeciwieństwie do tego, co się dzieje obecnie na rynku pracy w Londynie, a także, prawdę mówiąc, na rynku małżeńskim. Była zaskoczona, że jakiś Francuz może aż tyle wiedzieć na temat tradycji Oxbridge. Ciekawiło go, czy kiedykolwiek pływała na łódkach i czy każdy student ma służącego oraz czy to prawda, że nie ma tam łazienek, czy jedzenie jest rzeczywiście takie okropne, a sery naprawdę podają po deserze. Był miły, nawet jeśli najwyraźniej miał jakieś fatalne wyobrażenia na temat Anglii. Opowiadając o tradycjach Cambridge, nie mogła się powstrzymać, by się nie pochwalić, że całkiem dobrze jej tam szło i wszyscy byli tym cholernie zaskoczeni.

- Sporo wiesz na temat Anglii. Musisz pewnie czytać dużo angielskich książek - powiedziała.

Trochę kręciło jej się w głowie. Była absolutnie pewna, że to się skończy w łóżku. Właściwie pozostawało jedynie pytanie, w jaki sposób mają spędzić przyzwoitą ilość czasu, zanim się tam znajdą. Podoobała jej się elegancka myśl o spaniu z jakimś nieznanym szejkiem pierwszej nocy po przyjeździe z Anglii - to byłaby zemsta na losie, który tyle razy kapryśnie ją zwodził. Całkiem niezależnie od poruszenia, jakie czuła w podbrzuszu, i fali ciepła między nogami sam pomysł miał jakiś abstrakcyjny urok, pewien filozoficzny wdzięk, co nie znaczy, że znała się na filozofii (ale Rupert się znał). Idea *actegratuit*, czynu bez motywu (jeśli nie liczyć przyjemności), czegoś między dwójgiem zupełnie obcych sobie ludzi, zupełnie ze sobą niezwiązanych, aktu bez przeszłości i bez przyszłości, będącego wyrazem czystej woli i czystego dążenia do przyjemności, pochodziła od Gide'a. A może to był Sartre?

Emile, albo jakoś podobnie, jakkolwiek się nazywał, dał barmanowi znak, że wezmą następne drinki. Prowadzili dalej tę banalną, w pewnym sensie nudną konwersację, która, jak oboje dobrze wiedzieli, służyła jedynie zabiciu czasu.

- Och, nie potrafimy się oprzeć pięknym angielskim dziewczętom - rzeki w pewnym momencie. - To nawet pewna cecha naszej pornografii, perwersyjne marzenie o tym, żeby zbrukać błądy, rozkoszny pudding naszą mroczną namiętnością.

Posy wierzyła mu i chociaż nie powiedziała tego na głos, pomyślała, że ta prawda działa także w drugą stronę. Pociągała ją myśl o szejkach i paszach, choć jedyni, jakich widziała w rzeczywistości, na przykład u Harrodsa, albo w towarzystwie pękatych kobiet spowitych w czarne szaty u Marksa i Spencera, byli nieatrakcyjni i zazwyczaj tędry. Bardziej pociągała ją seksualnie sama idea szejków. A może mówiąc „nasza”, miał na myśli Francuzów? Francuzów czy szejków, nieważne; pociągająca siła przeciwieństw stanowiła kolejne prawo życia, może nawet jakąś zasadę fizyki - to wszystko było u D.H. Lawrence'a.

Myśl o D.H. Lawrensie dodała jej odwagi, ponieważ u niego ludzie zawsze ulegają seksualnym impulsom. Łatwiej było pomyśleć o czymś takim poza Londynem, choć i tam pokusiła się o kilka szaleństw, ale nigdy z kimś absolutnie nieznanym i głównie wtedy, gdy była nastolatką i czuła się nieszczęśliwa. Ten związek z nieszczęściem obowiązywał także teraz - biedny ojciec - jednak jej obecny nastrój lepiej opisywało słowo „pożądanie”, poczucie rozkoszne i bardzo nagłace, które oznacza nade wszystko, że jesteś panem samego siebie, a nie pionkiem w rękach losu. Nikt jej nie znał w tym odległym Valmeri, a po to są kurorty narciarskie, żeby sypiać z nieznanymi. Poza tym była jeszcze myśl o afirmacji. Czy jest coś bardziej wyzwalającego i pozytywnego w obliczu śmierci - śmierci rodzica symbolizującej i uprzedzającej twoją - niż zwykłe kochanie się? Logicznie rzecz biorąc, powinno obejmować także powoływanie nowego życia, ale nie ma co się tym przejmować. Tyle się czyta o ludziach kochających się w więzieniach albo uprawiających seks podczas zarazy.

Odpowiedział na jej pytanie: idea *acte gratuit* pochodziła od Gide'a. Najwyraźniej jego myśli biegły podobnym torem, ponieważ uczynił teraz jakąś uwagę na temat niezręcznego momentu między pożądaniem a *passage a l'acte*.

Ani ona, ani on nie mieli kondomów, których poszukiwanie mogło zakłócić ich radosny nastrój, ale na pewno powinny się jakieś znaleźć

się wśród artykułów pierwszej potrzeby przechowywanych w biurze kierownika na wypadek nadzwyczajnych okoliczności. O tym, że młody Jaffe dobrze przyswoił sobie lekcje pobierane w szkole hotelarskiej, świadczyła kompletnie beznamiętna mina, z jaką wręczył Emile'owi niewielki pakunek w odpowiedzi na jego pytanie. W tym czasie Posy czekała niewidoczna w głębi korytarza.

Kiedy znaleźli się w jego pokoju, Posy przeżyła chwilę zakłopotania, ponieważ poczuła się niezbyt świeża, mimo że kąpała się przed kolacją, i żałowała, że nie ma na sobie ładniejszej bielizny. Poza tym słyszała, że Arabowie przywiązują wagę do depilacji, choć to był Francuz, nie szejk, a niektóre francuskie dziewczęta, które widywała na plaży, miały kępki włosów pod pachami, mimo że chodziły topless. No cóż, pocieszyła się, nawet jeśli kobieta pragnie szukać przygód w międzynarodowym towarzystwie, w skali globalnej, nie może przewidzieć wszystkich erotycznych upodobań mężczyzn na całym świecie.

Jak się okazało, Emile najwyraźniej doskonale czuł się w swojej roli i niepotrzebnie się martwiła. Wszystko poszło gładko, nawet błyskotliwie, choć bez skomplikowanych pozycji rodem z *The Arab Art of Love*, która zresztą, być może, wcale nie była prawdziwą książką, lecz jedynie tytułem wymyślonym przez Anthony'ego Powella w jednej z jego powieści, jakie niedawno czytała. Wróciła do swojego pokoju koło drugiej, płonąc z podniecenia na myśl o tej przygodzie i zadowolona, że nie natknęła się na nikogo, kto mógłby od razu dostrzec na jej twarzy „wyraz zaspokojonego pożądania” (Blake).



CZEŚĆ DRUGA

# SZPITAL

*L'hypocrisie est un hommage que le vice rend à la vertu.*

- La Rochefoucauld (*Maximes*)

## ROZDZIAŁ 14

Drukowany biuletyn rozkładany każdego ranka na stolikach sali jadalnej oprócz prognozy pogody obejmował program projekcji obu miejscowych kin oraz krótkie streszczenie najważniejszych wiadomości dnia. W środowy poranek goście - ku swemu wyraźnemu rozczarowaniu - dowiedzieli się, że amerykańska ambasada w Paryżu zdecydowanie odrzuciła oskarżenia, jakoby to amerykańskie samoloty wojskowe były odpowiedzialne za ostatnie lawiny w Alpach. W relacji znajdowała się nawet wzmianka, że rzecznik amerykańskiej ambasady po prostu wyśmiał podobną sugestię, zupełnie tak samo jak Amy. Z podobną reakcją spotkali się dziennikarze biorący udział w konferencji prasowej w Waszyngtonie. Pytanie, czy przynajmniej zostanie wdrożone śledztwo, amerykańscy urzędnicy zwyczajnie wyszydzili.

Amerykańska obojętność wobec uczuć mieszkańców Valmeri została źle przyjęta przez gości hotelu. W pomieszczeniu narciarskim od rana szeroko komentowano ten kolejny przykład typowej arogancji jankesów. Joe Daggart, jedyny obok Amy Amerykanin w tym towarzystwie, posłał jej współczujące spojrzenie. Amy wolała skupić się na wkładaniu butów narciarskich, chociaż wszystko się w niej buntowało, kiedy tego słuchała, i najchętniej powiedziałaby tym Europejczykom, że niezależnie od przytaczanych faktów jest pewna, iż piloci nie mogli zdawać sobie sprawy z tego, co się stało. Wiedziała jednak, że jej protesty i tak nikogo nie przekonają, a poza tym w świecie prawa intencje miały niewielkie znaczenie. Mimo to serce bilo jej mocniej przez cały ranek, ilekroć przypomniała sobie te niesprawiedliwe

oskarżenia. Na szczęście intensywna radość z jazdy na nartach uchroniła ją od dalszych rozmyślań. Poczucie krzywdy powracało jedynie w chwilach, gdy siedziała na wyciągu, ale nie, gdy zjeżdżała na dół, ponieważ wtedy ogarniała ją bezbrzeżna radość i uniesienie.

- *Tres, tres bien* - mówił zachęcająco Paul-Louis i kilka razy poprowadził ją nartostradą oznaczoną czarnym kolorem!

Posy obudziła się wolna od przygnębiającego uczucia opresji, winy i gniewu, jakie dławiło ją od chwili, gdy dowiedziała się o wypadku ojca. Nie ulegało wątpliwości, że ulotne rozkosze miłości przekładają się na jakieś istotne przemiany w chemii mózgu i układu krążenia, i mogła śmiało powiedzieć, że seks jest czymś zdecydowanie dobrym i niezbędnym, nawet jeśli się go praktykuje, jak to czyniła poprzednio, ze spoconymi byłymi szkolnymi kolegami cierpiącymi na lekką nadwagę. Ale teraz to był ogromny jakościowy skok, prawdziwe objawienie. Rozkoszowała się rozmyślaniami o zaletach swojego nowego kochanka - jego urodzie, energii, pewności siebie, a nade wszystko umiejętności traktowania całej sprawy taktownie, z właściwą aurą zaangażowania, podziwu i pewnej naturalnej lekkości, jak na francuskim filmie. Co za ulga i jakie szczęście. Dobry nastrój na moment zepsuła jej wizyta w miejscowym sklepiku, gdy w drodze do szpitala chciała kupić jakąś koronkową czerwoną bieliznę i usłyszała, że jej rozmiar tutaj nie występuje. Mimo to perspektywa spędzenia ranka u łóżka ojca, a nawet zasnuć chmurami szare niebo, nie zdołały popsuć jej radosnego oczekiwania na drugie *rendez-vous* z przystojnym Francuzem jeszcze tego popołudnia.

W szpitalu uczuciami Posy ponownie zawładnęły twarde realia stanu, w jakim znajdował się jej ojciec. Miała nieco za złe Rupertowi, że będzie musiała siedzieć tutaj samotnie przez cały dzień, podczas gdy on pojechał z monsieur Delamerem do banku, gdzie ich ojciec miał skrytkę. Niemniej zgodnie uznali, że nie pomogą ojcu, jeśli oboje będą siedzieli przy nim w szpitalu. Prawdę mówiąc, nawet jedno z ich nie mogło wiele mu pomóc, kiedy tak leżał nieruchomo, a jego pierś poruszała się lekko w takt rytmicznych syków maszyny. Na ręce

wystającej spod koców widniały fioletowe ślady, cały był naszpikowany igłami przymocowanymi do rurek biegnących do ustawionych obok łóżka stojaków, na których zawieszono liczne butelki; inna odstręczająca butelka zbierająca żółtawy płyn wisiała poniżej kołdry po jednej stronie łóżka. No i ten okropny, duszący zapach lekarstw i ciała.

Zagłębiła się w książkę *Józef i jego bracia* Tomasza Manna, którą wzięła ze sobą, żeby odpędzić niepokojące myśli o swoim nowym francuskim przyjacielu. Od czasu do czasu unosiła głowę, żeby powiedzieć parę słów do ojca. Postanowiła jeszcze raz spytać lekarza, czy rzeczywiście zrobiono dla niego wszystko, co możliwe. Dręczyła ją sprawa skrytki bankowej ojca; może nie powinni w niej szperać, ale przecież niczego nie zamierzali stamtąd zabrać, po prostu wyjmowali rzeczy ze skrytki na wypadek, gdyby... Całą sprawą zajmie się jego godny zaufania współpracownik, człowiek od interesów, jakkolwiek nazywała się ta rola we Francji, monsieur Delamer.

Czasami spoglądała w stronę leżącej nieruchomo żony ojca, Kerry, która wydawała się fioletowa w biało-niebieskim świetle szpitalnych lamp umieszczonych na suficie. Kerry leżała równie bezwładnie jak ojciec, ale coś w jej stanie sprawiało, że pielęgniarki kręciły się wokół niej z bardziej aktywnym zainteresowaniem, coś wtykały, coś przesuwały, coś przyklejały. Powoli zaczynało ją ogarniać pewne współczucie dla Kerry. To w końcu nie jej wina, że została uwiedziona przez sympatycznego starego podrywacza. Nie była pierwsza, choć Posy nie całkiem potrafiła zrozumieć, jak mu się to udało, z tą jego pomarszczoną twarzą i żabią posturą. Jej matka zawsze mówiła, że to energia ojca przyciąga do niego ludzi.

W ciągu tych godzin czuwania przy ojcu Posy wychodziła co jakiś czas na mały spacer wokół szpitala albo szła na drugą stronę ulicy wypić kawę, zapalić i rozejrzeć się po okolicy. Zauważyła, że francuskie psy są takie małe, śnieg sięga im do brzuchów, odmrażając im małe fiutki; powinno się trzymać w domu te biedactwa. Małe psy, wszędzie cudowny zapach pieczonego chleba i ani śladu książek po angielsku. Miała aż nazbyt dużo wolnego czasu, by przyjrzeć się sytuacji ze wszystkich punktów widzenia. Musiała przyznać, że wcale nie żałowała, że nie jest teraz w Londynie i nie szuka pracy; wszystko

wskazywało na to, że jest skazana na powrót do swojego nudnego zajęcia specjalisty do spraw kredytów w Rahni Boutiques - pończochy i majtki przez resztę życia.

W zamęcie myśli i erotycznych marzeń oraz nadziei, że ojciec nie umrze, pojawiła się inna nadzieja, lśniąca jak moneta w zaroślach: a gdyby ojciec jednak umarł i okazałoby się, że nie zapomniał o niej i o Rupercie? Oczywiście należało się także liczyć z tym, że zauroczony swoją nową żoną, swoim odmłodzonym życiem, bez wątpienia napędzanym viagrą, zapisał wszystko tej Amerykance, zostawiając jej i Rupertowi tylko niedużą sumę, ale był taki zły na nich oboje, gdy stanęli po stronie matki! Ojciec i Pam byli małżeństwem przez dwadzieścia pięć lat, więc ich dzieci w naturalny sposób spodziewały się, że coś po nim odziedziczą, jak to się zwykle dzieje. Ale Posy bez wątpienia sama wystawiła ich szanse na szwank - zarzuciła nawet ojcu, że zachowuje się jak świnia; powiedziała mu to prosto w twarz: „świnia”. Strasznie teraz tego żałowała. Wtedy nic mu się w niej nie podobało, krytykował jej fryzurę (dobra, była trochę punkowa, kiedy dziś na to patrzy, ale tylko przez jedną zimę) i jej wagę, kilka kilo więcej niż teraz, zielone paznokcie; to był najgorszy moment w jej życiu. Niemniej skończyła Cambridge z dobrymi wynikami, co w ogóle go nie zainteresowało. Teraz, w szpitalu, miały ją wściekłość, nadzieja, chciwość, troska i inne gwałtowne emocje; siedziała ze wzrokiem wbitym w *Józefa i jego braci* - czytała wszystkie książki Manna. Jednak motyw braterskiej rywalizacji działał na nią przygnębiająco.

Z rana w pewnym momencie pojawił się brat Kerry i przez kilka minut, stojąc przy łóżku, mówił coś do swojej siostry. W pierwszej chwili wydawało się, że jest zawstydzony, tym, że nie ściszył głosu ze względu na Posy siedzącą w tym samym pomieszczeniu, ale stopniowo przestał na to zważać i zaczął namawiać siostrę, żeby się jak najszybciej obudziła, jakby mobilizował kolegę z drużyny. Jak na Amerykanina był dobrze wychowany i Posy zastanawiała się nawet, czy nie ma jakichś nowych jankeskich informacji medycznych na temat porozumiewania się z ludźmi w śpiączce. Ona sama nie potrafiłaby chyba mówić teraz do ojca, żeby mu nie powiedzieć przy okazji, co o nim myśli.

Koło jedenastej na oddziale intensywnej opieki medycznej pojawił się lekarz z jakimś innym mężczyzną. Ten drugi był przystojny, śniady, dobrze zbudowany, w rozpiętej koszuli i skórzanej kurtce lotniczej, trochę zbyt lekko ubrany jak na narciarza. Posy patrzyła na niego jak zaczarowana. Jej wczorajszy kochanek. W pierwszej chwili on także nie był pewien, czy to ona. Spojrzał na nią nierozumiejącym wzrokiem, po czym popatrzył na oba łóżka i powiedział coś po francusku do lekarza. To był ten sam znany jej lekarz i cokolwiek powiedział do Emile'a, Francuz spojrział na nią jeszcze raz z widocznym wyrazem kompletnego zaskoczenia, a potem uśmiechnął się uprzejmie, nawet ciepło, i znowu zwrócił wzrok ku jej ojcu. Jego zaskoczenie, może nawet zdumienie, było aż nadto widoczne dla Posy, może też dla lekarza. Jednak w tym momencie - jakie to dziwne - uświadomiła sobie, że przecież wczoraj nie powiedziała mu ani słowa o ojcu, więc musiał się tu pojawić w związku z jakąś zupełnie inną sprawą. Mówił, że w pewnym sensie jest dziennikarzem - czy przyszedł tu jako dziennikarz zainteresowany losem jej ojca? Czy ojciec był aż tak dobrze znany we Francji, że dziennikarze będą się nim interesować? Teraz zauważyła, że lekko się zaczerwienił, kiedy ponownie spojrzął w jej stronę.

Każde z nich ze zdumieniem uświadomiło sobie niefortunną okoliczność, że anonimowy partner z poprzedniego wieczoru, z którym wiązali pewne nadzieje na ponowne erotyczne uniesienia jeszcze tego popołudnia, jest związany z pozostającym w śpiączce Vennem, a tym samym istnieje jakiś związek między nimi. Kiedy to dotarło do niej, poczuła jeszcze silniejsze pożądanie. Mimo to nadal nie miała pojęcia, z jakiego powodu interesował się ojcem.

Emile, widząc Posy z książką przy łóżku Venna, szybko zrozumiał, że musi być ona jakąś jego krewną, przypuszczalnie córką, a zatem jest przyrodnią siostrą jego żony i stanowi potencjalne źródło kłopotów i komplikacji. Naturalnie to jeszcze bardziej pobudziło jego pożądanie i z niechęcią pomyślał, że będzie musiał z niego zrezygnować, ponieważ oczywiście wszystko musi się między nimi skończyć.

- Zetknęła już się pani oczywiście z monsieur Abboudem? - spytał lekarz.

W tym momencie wszystkie seksualne konotacje tego zwrotu, jakie usłyszała w jego słowach, przeszły ją nagłym lękiem, że lekarz skądś dowiedział się o wypadkach ostatniej nocy i że w jakiś sposób może to zaszkodzić leczeniu jej ojca.

- Panna Venn i ja spotkaliśmy się w hotelu.

Posy uśmiechnęła się do niego uprzejmie, starając się, by wypadło to możliwie jak najbardziej neutralnie, ale nadal nie miała pojęcia, po co tu przyszedł. W zdenerwowaniu oboje nie byli w stanie spoglądać ku sobie. Abboud przypatrywał się leżącemu ojcu, Posy wbiła wzrok w czubki swoich butów.

- Przypuszczam, że istnieje jakaś specjalna sfera pośrednia dla dusz ludzi, który zginęli podczas uprawiania sportu - odezwał się w końcu Abboud. - Może to nie jest śmierć heroiczna, ale też nie jałowa, los nie całkiem godny wzgardy. Ale proszę mi wybaczyć, panno Venn. Nie mam prawa wypowiadać się na temat losu pani rodzica.

- To miło z pana strony, że interesuje się pan jego losem - powiedziała.

- Właściwie on jest martwy, tak? - spytał lekarza monsieur Abboud.

- T a k .

- Pograżony w śmiertelnym śnie? Czy coś widzi? Coś słyszy?

- To pusty, jałowy sen - odparł lekarz. - Niektórzy wierzą, że człowiek w tym stanie coś słyszy, ale nigdy nie widziałem niczego, co by potwierdzało to mniemanie.

- *Reveillez-vous, monsieur* - powiedział Abboud poważnie do ojca Posy.

- Panno Venn, chciałbym, abyśmy ponownie porozmawiali dziś o piątej po południu - rzekł lekarz, biorąc Abbouda za ramię gestem przewodnika wycieczki.

- Czy wraca pani, panno Venn, do hotelu? - spytał Abboud.

- Nie, myślę, że jeszcze tu zostanę - odpada, pragnąc z całej duszy pojechać razem z nim.

Skinął jej głową.

- A zatem do popołudnia - powiedział i wyszedł z lekarzem, nie starając się wyjaśnić Posy, co właściwie wiąże go ze szpitalem albo z jej ojcem.

Natychmiast poczuła, że zrobiła błąd. Pod wpływem lęku, że coś może się stać z ojcem, jeśli nie będzie tu siedziała przy nim przez cały dzień, postanowiła, że nie wróci do hotelu mimo gwałtownej potrzeby porozmawiania z panem Abbotem - ponieważ nie była pewna, jak się nazywa, zaczęła nazywać go w myślach „monsieur Abbot”. Pan Abbot naruszył idealną anonimowość ich spotkania, pojawiając się w jej realnym życiu. Jednocześnie pomyślała, że zasłużyła sobie na to osobiste cierpienie, jakim było siedzenie tutaj w pomieszaniu i niewiedzy.

Popołudnie ciągnęło się otępiająco powoli, jednak zagadka tożsamości Emile'a dała jej dodatkowy temat do rozmyślań oprócz stanu zdrowia ojca. Rozważała wszystkie możliwe warianty jego obecności w życiu ojca, ale żaden z nich nie wydał jej się prawdopodobny. Jednak jej serce biło mocniej na myśl o tym, by znaleźć się w jego ramionach. Czy popełniła jedynie drobny błąd - rzecz całą można było jeszcze naprawić, nie stało się nic nieodwracalnego - czy też naprawdę wplątywała się w poważne kłopoty? Czemu siedzi tutaj jak kamień i zatruwa ojca swoimi skomplikowanymi wibracjami, kiedy powinna wrócić do hotelu, odnaleźć monsieur Abbota i po prostu z nim porozmawiać?

Posy nie podobało się także to, że na umówionym przez lekarza spotkaniu o piątej było ich tak niewielu. Rupert i monsieur Delamer, którzy pojechali do Luberon otworzyć bankową skrytkę ojca, jeszcze nie wrócili. W jakimś sensie zazdrościła Rupertowi, że pojechał na południe Francji z misją, która przynajmniej wydawała się całkiem sensowna. Zawsze miał talent do unikania nieprzyjemnych obowiązków. Wiedziała, że nie powinna myśleć o siedzeniu u szpitalnego łóżka ojca jako o nieprzyjemnym obowiązku. Z trudem jednak opanowała narastającą irytację, jak zawsze, jeszcze od czasów dzieciństwa, gdy Rupert szczypaniem zmuszał ją, by pozbierała swoje rzeczy albo wytarła naczynia, chociaż te zajęcia należały do jego obowiązków. Ogarnęła ją złość z powodu kolejnego naruszenia przez Ruperta zasad sprawiedliwości w stosunkach między rodzeństwem. Jej racjonalne ja potrafiłoby zapamiętać nad tymi uczuciami, ale kiedy tak siedziała obok nieprzytomnego ojca, nie miała żadnego dostępu do swojego racjonalnego ja.

Próbowała się dodzwonić do Ruperta na jego komórkę, lecz nie mogła go złapać. Zadzwoiła więc do biura pana Osworthy'ego,



adwokata ojca, i dowiedziała się, że pospiesznie wyjechał do Valmeri, ale jeszcze nie dotarł na miejsce. W gabinecie lekarza zjawili się więc poza nią tylko Kip i monsieur Abboud. Dopiero teraz zapamiętała właściwe brzmienie jego nazwiska, jednak nadal nie wiedziała, co łączy go z ojcem. Bez wątplenia ciężar podejmowania decyzji spadał obecnie na nią, lecz nie miała pojęcia, co ma zrobić. Zawsze robiło jej się słabo na myśl o chorobie albo wypadku i była wściekła na każdego, kto mógłby ściągnąć na nią taką udrękę. Ojciec i - nagle ogarnęło ją takie przeczucie - pan Abboud. To było beznadziejne.

Usiedli obok siebie na krzesłach stojących w rzędzie.

- Panno Venn - zaczął Emile, z powagą akcentując jej nazwisko, jak gdyby wcześniej podała mu fałszywą tożsamość, i rzucił na nią nieszczęśliwe, nawet gniewne spojrzenie. Miał zamiar powiedzieć coś jeszcze, ale właśnie w tej chwili do gabinetu wszedł lekarz, wnosząc ze sobą powiew rześkiej normalności. Zdjął biały płaszcz i sięgnął po marynarkę wiszącą na oparciu krzesła. Wkładając ją, skinął w ich stronę.

- *Bonjour*.

- *Bonjour* - odpowiedzieli.

Lekarz bez dalszych wstępów przypomniał jeszcze raz to, co mogli sami zobaczyć na własne oczy: w stanie monsieur Venna nie zaszły żadne zmiany. Madame Venn czuje się nieco lepiej, ale monsieur nadal potrzebuje leków podtrzymujących ciśnienie krwi i nie wykazuje żadnych, nawet najmniejszych neurologicznych oznak powrotu do przytomności. Doktor Lamm z przykrością poinformował ich, że personel medyczny i rodzina przypuszczalnie staną wobec konieczności podjęcia decyzji, czy nie należy zakończyć tego daremnego leczenia.

- „Wyciągnąć wtyczkę”, tak? - spytała Posy, używając gorzkiego, szokującego zwrotu, którym, jak sądziła, poprzednio posłużył się ten sam bezlitosny lekarz. - Nawet jeśli nie zawsze można przewidzieć, co się stanie?

- „Wtyczkę”? - Doktor Lamm najwyraźniej nie znał tego wyrażenia. - Chciałbym prosić, aby zawiadomili państwo wszystkich zainteresowanych, zgoda członków rodziny jest bardzo ważna.

- Czy to konieczne, aby zebrała się tu cała rodzina? - spytał Emile. - Moja żona została w domu.

- Nie, nie. Niemniej ludzie często pragną być obecni podczas tego zdarzenia. Inni wolą tego unikać.

- A co z moją siostrą... - zaczął Kip.

- Nieco lepiej.

- To znaczy chodzi mi o to, czy to nie do niej powinno należeć ostatnie słowo, jeśli trzeba podjąć jakąś decyzję w sprawie Adriana?

Jednak lekarz uważał, że być może będzie lepiej dla madame Venn, jeśli po przebudzeniu usłyszy, że jej mąż nie żyje i nie będzie musiała przeżywać dramatu związanego z podejmowaniem decyzji.

- Nie możemy sami decydować o czymś takim. To należy do jego żony - Posy popada Kipa.

- Kiedy Kerry się obudzi, może powiedzieć, czego by chciała - mówił dalej Kip, czując wdzięczność dla Posy, że tak dobrze zrozumiała, co miał na myśli. To byłoby straszne, gdyby się obudziła i dowiedziała się, że inni zdecydowali za nią i pozwolili Adrianowi umrzeć. - Gdybyśmy trochę zaczekali, Adrian żyłby jeszcze w chwili, kiedy ona się obudzi i powie, czego sama by chciała - usiłował dokładniej wyjaśnić lekarzowi swoje argumenty.

- Może ojciec jej powiedział, czego sam by sobie życzył w tej sytuacji: „Zrób wszystko, co w ludzkiej mocy” albo „Nie pozwól, żebym się tak męczył” - dodała Posy.

- Myślę, że na pewno chciałyby wiedzieć - ponownie odezwał się Kip, ale pozostali popatrzyli na niego wymownie; ich spojrzenia mówiły: jesteś tylko chłopcem.

- Moglibyśmy oczywiście poczekać następne dwadzieścia cztery godziny, a nawet dłużej, jeśli dzięki temu nabraliby państwo pewności, że naprawdę nie ma już żadnej nadziei - zgodził się lekarz. Po czym, zwracając się do Emile'a, powiedział: - Monsieur Abboud, pańska żona miałaby wówczas czas tu przyjechać.

- Proszę mi wybaczyć, ale czy mogę spytać - zwróciła się Posy do Emile'a - kim jest pańska żona?

- Moja żona? Nazywa się Victoire i jest - spojrzał na Posy, widziała w jego oczach, że przypomina sobie ich intymne momenty i miała nadzieję, że lekarz tego nie zauważył - najstarszą córką pana Venna. Nie mogła tu przyjechać, więc występuję w jej imieniu.

Posy patrzyła na niego zdezorientowana. W życiu nie słyszała o kimś o imieniu Victoire. Najstarsza córka, Victoire? To znaczy jej siostra? Lekarz popatrzył na ich lekko zdumiony, że jedno z rodzeństwa Vennów nie ma pojęcia o istnieniu drugiego.

- Ach tak - powiedziała, w głębi ducha wściekając się na Ruperta, że ciągle go nie ma.

- A zatem do jutra - rzekł lekarz i pożegnał się z nimi.

Posłusznie wstali.

- Chciałby pan, żebym podwiozła pana do hotelu? - spytała Emile'a.

- Chętnie - odparł.

Wiedziała, że powinna to samo zaproponować Kipowi, ale wtedy nie miałyby szans na chwilę szczerzej rozmowy z Emile'em. Jednak chłopiec przez cały czas trzymał się tak blisko nich, że po prostu nie mogła go nie zabrać. Kip usiadł na tylnym siedzeniu i zawiozła ich do hotelu, rozmawiając o ojcu oraz o ponurych prognozach lekarza. W głębi serca dojrzywało w niej postanowienie, by zostawić za sobą ten mały potencjalny dramat i skupić się na dobru ojca, o czym powinna była pamiętać przez cały czas.

Przed szpitalem Emile podał jej ramię na oblodzonym chodniku, ale nie odezwał się ani słowem. Dopiero gdy znaleźli się kilka kroków przed Kipem, powiedział półgłosem:

- Szkoda. *Genant*. Nieoczekiwane komplikacje.

- Naprawdę miałam nadzieję na następny raz - przyznała Posy.

- Podobnie jak ja.

- Och, zawsze tak jest w moim życiu - zawołała Posy namiętnie, rozżalona. - Zawsze wszystko musi się popsuć.

- Naprawdę? A więc to pani jest tą mroczną siostrą?

- Victoire. Zwycięstwo - powiedziała Posy. - Jak przypuszczam, jej nic nie potrafi zrujnować życia.

- Tak, moja żona to dziecko światła - potwierdził Emile.

Potem nie zamienili już prawie ani słowa. Posy myślała o ojcu i nieznannej siostrze, a także o znaczeniu imion. Dwie siostry. Jedna nazywa się Posy, to znaczy nieznaczący, skromny, przelotny kwiatek, jak w *The Flower Beneath the Foot* Ronalda Firbanka. Druga Victoire

- potężny marmurowy posąg, wprawdzie bez głowy, ale triumfujący, ze skrzydłami.

Pomyślała o tym, jak bardzo nie ma w życiu szczęścia. Jak wszystko, w co się zaangażuje, skazane jest na klęskę. Jak łatwo złamać jej serce. Jej przelotny romans z Emile'em zaczął nabierać dla niej ogromnego znaczenia, zgoła nieproporcjonalnego, zważywszy na jego krótkotrwałość czy intensywność.

Kiedy dotarli do drzwi hotelu, zdołała powiedzieć najłżejszym tonem, na jaki ją było stać:

- Widzi pan teraz, że w każdej rodzinie jest jakaś czarna owca.

- *Lequel?* Które z nas dwojga ma pani na myśli? - odpad Emile.

Kip podziękował Posy i poszedł do hotelu. Emile zatrzymał się na moment.

- W niektórych społeczeństwach uważa się, że mężczyzna powinien poślubić siostrę swojej żony - zauważył wesoło. - Nie wszędzie spotyka się to z potępieniem, ale oczywiście, niestety nie żyjemy w jednym z tych społeczeństw.

- No cóż... - Stali przez chwilę w niezręcznym milczeniu. - Może spotkamy się na drinka po kolacji? - powiedział.

- Dobrze - zgodziła się Posy.

## ROZDZIAŁ 15

W środowe popołudnie Geraldine Chastine, jak często miała w zwyczaju, umówiła się na herbatę ze swoimi przyjaciółkami Wendi Le Vert i Tammy de Bretteville, dwiema Amerykankami, które wyszły za Francuzów i były jej lojalnymi przyjaciółkami, a jednocześnie współpracowały z nią w sprawach nieruchomości i wystroju wnętrz. Tego dnia u Wendi jak zwykle kontynuowały wątek swoich dzieci. Geraldine, Wendi i Tammy potrafiły przekazywać sobie nawzajem nowości z życia swoich dzieci niemal tak jak bohaterowie znanej historyjki, w której ludzie opowiadali sobie dowcipy, wymieniając jedynie przypisany im numer. Za krótką, niemal stenograficzną frazę „Victoire miała wizytę u lekarza” kryła się cała konstelacja niedobrych wiadomości natury ginekologicznej, bólów w dolnej partii kręgosłupa, jakichś przykrości w Hôpital des Femmes Malades.

Wszystkie trzy znały nawzajem problemy swoich dzieci - zamężnej córki Wendi imieniem Laure, która trochę zbyt szybko miała trochę za dużo dzieci. Vincenta, syna Tammy, wciąż niemogącego znaleźć pracy, i jej córki Corinne, która potrafiła być niemal komicznie nietaktowna i wyszła za utracjusza. Córki Geraldine, Victoire, dziewczyny powszechnie uwielbianej ze względu na osobisty urok i energię oraz poetycki stoicyzm w znoszeniu jej obecnej sytuacji. Los tej dziewczyny był dla nich wszystkich źródłem niepokoju, ponieważ uważały ją za uosobienie wszystkiego, co francuskie, oraz właściwego sposobu myślenia - choć paradoksalnie stanowiła żywy przykład tego, w jaki sposób wszystkie te zalety mogą zaprowadzić kobietę donikąd. A nawet gorzej niż donikąd, ponieważ w wypadku Victoire było to mieszkanie

w osiemnastej dzielnicy, w domu komunalnym, z kłopotliwym mężem Tunezyjczykiem i dwójką smagłych dzieci; do tego dochodziły niekończące się problemy z opieką nad dziećmi, kłopoty z macią i słabo płatna praca.

Obie przyjaciółki głęboko współczuły Geraldine jako osoby wtajemniczone w istnienie pewnej sekretnej skazy we krwi Victoire, nieustannie rzucającej cień na życie biednej młodej kobiety, która w istocie była w trzech czwartych Anglosaską, ponieważ matka Geraldine pochodziła z Australii. Victoire stanowiła bowiem owoc przelotnego romansu Geraldine z jakimś Anglikiem, bardzo krótkiego związku, z którego kaprysem losu urodziło się dziecko, zaadoptowane następnie przez Erica Chastine'a, poznanego i poślubionego przez Geraldine wkrótce po narodzinach Victoire, trzydzieści lat temu. Ponieważ Victoire urodziła się we Francji, została wychowana jako Francuzka, zawsze mieszkała w Paryżu i miała francuski paszport, ani przez moment nie uważała sobie za kogoś innego niż Francuzkę. Wendi i Tammy, znające tę historię od dawna, po cichu przypisywały część kłopotów Victoire okolicznościom jej poczęcia. Jako Amerykanki nie rozumiały, czemu coś takiego mogło wyprowadzać Geraldine z równowagi, ale przyjmowały do wiadomości jej macierzyński niepokój.

Tego dnia rozmowa toczyła się wokół śmierci. Madame Arias, konsjerżka, straciła właśnie męża, w opinii trzech pań odętego leniwego człowieka, który pozwalał na to, by jego żona wykonywała wszystkie ciężkie prace, poza wyciąganiem pojemników na śmieci, i nigdy nie patrzył mieszkańcom kamienicy prosto w oczy. Mimo to madame Arias była załamana i niewątpliwie wszystkie trzy potrafiły zrozumieć głębię jej rozpacz, zwłaszcza Wendi, która sama była wdową. Geraldine oraz Tammy także potrafiły to sobie wyobrazić, same bowiem miały już pewne obawy, normalne dla fazy życia, w jaką właśnie wkroczyły. Wszystko się kiedyś dla nich skończy, z czasem coś się przydarzy Ericowi oraz mężowi Tammy Marcowi i każdej z nich również - tak, wszystko się kiedyś skończy, to nieuchronne.

- Czy coś można zrobić dla madame Arias?
- Oczywiście pójdziemy na nabożeństwo. Będzie wdzięczna.

- Czuję się zawstydzona z powodu moich wszystkich niemiłych myśli na jego temat - powiedziała Geraldine. - Nie wiedziałam, że ma kłopoty z sercem.

- *Obseques* będą w Ivry. Mam nadzieję, że ona nie ma nic przeciwko Ivry. Czasami woła, żeby ich pochowano w Portugalii - powiedziała Tammy.

Ponownie napełniły swoje filizanki *the vert*, która, jak niedawno stwierdzono, ma właściwości chroniące przed rakiem. Udało im się jednak powiedzieć kilka dobrych rzeczy o monsieur Ariasie - o tym, jak szybko potrafił uporać się z pojemnikami na śmieci, o jego gotowości przed operacją przepukliny do pomagania przy przenoszeniu ciężkich przesyłek. Jednak przygnębiała je sama natura śmierci, niczym chłodne krople spływające wzdłuż kręgosłupa. Geraldine nie potrafiła powstrzymać się od myśli o Adrianie Vennie.

Przeszły do tematu swojego spotkania, czyli mieszkania dla młodej przyjaciółki Geraldine, która przyjechała z Kalifornii. Tammy szybko znalazła coś idealnego i niedużego - z dwiema sypialniami przy Quai Malaquais - mogłoby jej się spodobać, ale Amy musiałaby wziąć je od razu, zanim oferta oficjalnie pojawi się na rynku. Geraldine obejrzała mieszkanie pewnego wieczoru, w porze przed kolacją, i zadzwoniła do Amy, żeby z entuzjazmem opisać jej rozpościerający się z jego okien widok na Sekwanę; wysokie, ponad cztery metry, z ładnymi boazeriami, dwie nieduże sypialnie, idealna kuchnia, świeżo wyremontowana, czynsz raczej dość wysoki, czterdzieści dwa tysiące franków miesięcznie, siedem tysięcy euro, lecz kiedy je zobaczy, za nic nie będzie chciała się stamtąd ruszyć. Jest nieumeblowane, ale zwykle tak jest lepiej i Amy będzie mogła sama dopilnować wystroju wewnątrz po przyjeździe do Paryża, albo, jeśli tak będzie jej wygodnie, Geraldine poprosi jedną ze swoich przyjaciółek, żeby już teraz zaczęła pewne przygotowania.

Chodziło o Tammy, która z ożywieniem opowiadała o postępkach, jakie poczyniła w tej sprawie.

- Znalazłam kilka wspaniałych krzesel, Jean-Marie Fred, podpisane, ale nie wiem, jaki jest jej stosunek do art deco? Chciałabym też mieć jakieś wyobrażenie o wielkości jej budżetu. To jest okazja,

ale kosztują jednak pięć tysięcy euro za sztukę, a będziemy potrzebowały co najmniej dwu, żeby się zgrabnie stopiły z ogólną *tendance* Louis Seize.

- Nie wspomniała słowem o pieniądzach - powiedziała Geraldine znacząco. Jedyne osoby, które znały ją tak dobrze jak Wendi i Tammy, mogły dosłyszeć w jej głosie nutę matczynej dumy. Bogata Amy o wiele lepiej nadawała się na idealną córkę niż Victoire, biedna dziewczyna, która nie interesuje się stylowym wyglądem, byciem *maquillee* panią domu.

- Znalazłam także cudowną kobietę od zasłon - powiedziała jej przyjaciółka. - Z Antyli, pracuje za grosze i robi doskonałe marszczenia. Nikt już dzisiaj nie zna się na zasłonach. Widzę tam ciężki jedwabny brokat, żółty, z jedwabnym brzoskwinowym obszyciem.

Każdego wieczoru po zapadnięciu zmroku w godzinach przed kolacją centrala telefoniczna w hotelu Croix St. Bernard zdradzała niezwykle ożywiony ruch na liniach, wskazujący na niezbędne podsumowania dnia, pytania niecierpiące zwłoki, pilne prośby, wymówki, rozmowy z maklerami giełdowymi rozsiyanymi w różnych częściach planety, gdzie rynki były jeszcze otwarte, albo konsultacje z Kalifornią, niemożliwe przed siódmą po południu czasu francuskiego.

Posy pobiegła do swego pokoju zadzwonić do matki, ale nie zastała jej w domu. Była wściekła i sfrustrowana, że nie może opowiedzieć Pam o istnieniu nieznannej siostry, i nie potrafiła odgadnąć, czy matka kiedykolwiek słyszała o tym dziecku. Czy to był mroczny sekret jej ojca, czy też może oboje rodzice o nim wiedzieli? Nie mogła się powstrzymać, żeby nie powtarzać ciągle tego imienia. Victoire. Victoire. Emile i Victoire.

Rupert Venn zadzwonił do Posy z Saint-Gond z wiadomością, że nie wrócą dziś na noc do hotelu. Okazało się, że drugi klucz od bankowej skrytki ojca ma jego sekretarka, madame Hyack, ale do jutra jest nieuchwytna. Westchnął, uzalając się nad sobą. Monsieur Delamer zaprosił go do swojego domu na kolację, co Rupert postrzegał jako przykry obowiązek. Posy zarzuciła mu, że nie potrafi



docenić tej niebywałej szansy - Anglicy tak rzadko mają okazję zjeść prawdziwy obiad we francuskim domu. Rupert czuł się ospały i rozmarzony po przyjemnym lunchu z Delamerem, choć nie przyznał się do tego przed siostrą, której przypadł w udziale obowiązek czuwania przy ojcu. Zawsze, a przynajmniej odkąd był na tyle dorosły, by to rozumieć, martwił się o skłonność Posy do wplątywania się w różne nieszczęścia, pamiętając, jak łatwo traciła panowanie nad sobą.

- Mamy siostrę - zawołała Posy i opowiedziała mu najświeższe nowiny. Rupert poczuł zdumienie i dziwne podniecenie na myśl, że życie, obok nieuchronnych złych wiadomości, przynosi także równie nieoczekiwane niespodzianki.

Emile Abboud zadzwonił do swojej teściowej Geraldine, żeby ją poinformować, że perspektywy Wenna są marne i że sam niewiele może zrobić, toteż mógłby równie dobrze wrócić do Paryża - za dzień albo dwa. Na razie powinna jednak spróbować, czy nie uda się przekonać Victoire, żeby przyjechała i rzuciła okiem na swojego rodzica leżącego w sypialce, choć wiedział, że przypuszczalnie nie będzie miała na to ochoty.

- A zatem on umrze? Zostań jeszcze przez kilka dni, dla mnie, kochany. Myślę, że Victoire mogłaby do ciebie dołączyć.

- A nie jest czasem na mnie zła, że przyjechałem tutaj zamiast niej?

- Oczywiście. Mówi: „To jedyny mężczyzna we Francji, który poświęca więcej uwagi swojej teściowej niż swojej żonie”.

- To niech przyjedzie i zobaczy, że „jej dobro leży mi na sercu” - roześmiał się Emile.

- Są tam jakieś inne dzieci? Jakie one są?

- Był dość płodny - jest angielskie rodzeństwo i mały chłopiec o imieniu Harry z amerykańskiej matki, która także leży w sypialce, a do tego jakiś chłopak około czternastu lat. Kto wie, czy jeszcze się ktoś nie pojawi?

- Żona jest w stanie śpiączki? Przykro mi w imieniu Vee, że nie ma mniej dzieci. - Geraldine roześmiała się, gdy uświadomiła sobie, że brzmi to raczej dość cynicznie. - Miejmy nadzieję, że jest strasznie bogaty.

- Wygląda na to, że nikt nie troszczy się szczególnie o jego „duszę” - zauważył Emile. - Nikt nie wezwał księdza. Ale może dusze Anglików są odprawiane na tamten świat inaczej niż dusze pozostałych śmiertelników?

Geraldine pomyślała, że ten argument mógłby zrobić pewne wrażenie na nieco świętoszkowatej Victoire: troska o duszę łajdaka Venna. Victoire lubiła wyobrazać sobie, że na świecie panuje pewna duchowa równowaga. Jej matka nie wiedziała, skąd wzięły się u niej te zainteresowania duchowością, ponieważ światopogląd rodziny był całkowicie świecki.

- Musisz koniecznie przedstawić się mojej młodej przyjaciółce Amy Hawkins. Jeździ tam samotnie na nartach - powiedziała Geraldine do Emile'a. W normalnych okolicznościach zawahałaby się, zanim przedstawiłaby go atrakcyjnej samotnej młodej kobiecie, ale Amy i tak prędzej czy później go spotka. Byłoby więc dziwne, gdyby wcześniej nie wiedzieli o swoim istnieniu, skoro zatrzymali się w tym samym hotelu. Victoire wkrótce do nich dołączy.

Następnie Geraldine zadzwoniła do Amy, żeby sprawdzić, czy nadal dobrze się bawi, i opowiedzieć jej o pewnych szczegółach dotyczących mieszkania, jakie znalazła dla niej Tammy, po czym z pewnymi obawami wspomniała, że zbiegiem okoliczności w hotelu Croix St. Bernard zatrzymał się także jej zięć.

- Dość dobrze znany, czasami występuje w telewizji, wyrobił już sobie nazwisko...

Amy pomyślała, że zauważyła jego obecność.

## ROZDZIAŁ 16

Po kolacji Posy, podobnie jak pozostali goście, poszła do sali barowej. Siedząc na kanapie, rozmyślała o Emile'u oraz, z pewną zazdrością, o Rupercie, który jadł kolację z prowincjonalnym biznesmenem, co prawda nie tak dobrą jak goście hotelu Croix St. Bernard, ale szczęśliwie z dala od jej kłopotliwych odkryć. Poczwała mocniejsze bicie serca, gdy przysiadł się do niej (tak jak się spodziewała) Emile, mąż jej domniemanej siostry. Kolejna kusząca zagadka. Ucieszyła się, że będzie miała okazję wreszcie dowiedzieć się o nim więcej, choć na łączące ich związki padał teraz cień wyrzeczenia i niezręczności sytuacji. Mimo to Emile wydawał się całkowicie swobodny, przezwyciężył wcześniejsze zakłopotanie i przeszedł do naturalnej familiarności roli szwagra.

- *Bonsoir*. Cześć - powiedział. - *Copains de la tempete*. - Natychmiast zrozumiał, że Posy nie ma pojęcia, o czym on mówi. - Towarzysze w czasie burzy. Nie macie takiego wyrażenia po angielsku? Zamówić ci coś? Może koniak?

Zniknął na chwilę i wrócił, siadając koło niej z dwoma kieliszkami brandy. Zapalił jej papierosa. Opowiedziała mu o wyprawie Ruperta do banku, mając nadzieję, że zwróci w ten sposób jego uwagę na nieobecność brata.

- I jakież to skarby znalazły się w sławnym *coffre*? Czy złożyli ci relację?

- Wrócą dopiero jutro.

- Ach. Nieszczęśnik ma zatem przed sobą kolejny dzień życia.

- Życie ojca nie zależy od tego - powiedziała wyraźnie zirytowana obojętnym tonem jego głosu i kryjącym się w nim niejasnym oskarżeniem o cynizm i przyziemny pragmatyzm.

- Nie? Szczęściarz z niego, *alors*. Moja żona nie chce przyjechać, wiesz. To dlatego tu jestem.

- Zastanawiałam się nad tym - powiedziała Posy. - Nigdy nie słyszeliśmy o twojej żonie. To była dla nas spora niespodzianka. Jak ona się nazywa?

- Victoire.

- Miałam na myśli jej matkę.

- Ach, niezłomna - jeśli to właściwe słowo - Geraldine Chastine.

- Opowiedział jej to, co wiedział o okresie wczesnego małżeństwa, czy też niemałżeństwa, a może jednorazowej przygody Geraldine i Venna.

- Czy mój ojciec widział o istnieniu Victoire?

- Tak myślę... Ale prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

- Czy jest do mnie podobna?

- Raczej nie. Może ten jasny kolor włosów. My, ciemni faceci, krążymy jak ćmy wokół jasnych płomieni. Jest od ciebie starsza, może trochę szczuplejsza. Powiedziałbym, że nie ma twojej zmysłowej urody.

Ich spojrzenia spotkały się. Jeszcze raz poczuła niemal nieprzyjemny skurcz pożądania.

- Może ojciec coś jej zostawił - powiedziała Posy.

- Wiesz, we Francji ojciec nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie. Oczywiście, że coś jej zostawił, o ile w ogóle jest coś do zostawiania. Czy wiesz cokolwiek na temat jego sytuacji materialnej?

- Nie bardzo. Byłam zaskoczona, kiedy dowiedziałam się o złotych monetach i małym Bonnardzie.

- Choć niewykluczone, że dzieci pozamałżeńskie nie dziedziczą dokładnie w tym samym stopniu, co pochodzące z legalnego związku.

- Oprócz mnie jest jeszcze Rupert i oczywiście niemowlę Harry. Ale przypuszczamy, że mógł zostawić wszystko swojej nowej żonie. Na pewno by tak zrobił, prawda? - Nie mogła jakoś się zmusić, żeby wymówić to imię, „Kerry”. Ale ten człowiek był w końcu jej

sojusznikiem i na pewno zrozumie. - Bardzo mu na niej zależało... - Przypomniała sobie nieprzyjemne sceny między jej ojcem a matką, do których dochodziło z powodu Kerry.

- Madame Venn czuje się dzisiaj lepiej - powiedział. - Ale nie, nie może odziedziczyć wszystkiego, jesteśmy we Francji. Dzięki „wspaniałomyślnym” poglądom Napoleona spadek otrzymują głównie dzieci.

- Cóż, tak czy inaczej ojciec jeszcze nie umarł - powiedziała z poczuciem winy.

Chwila milczenia.

- On jest martwy, dobrze o tym wiesz, Posy.

Z bijącym sercem wpatrywała się w swój kieliszek, ale nie z powodu myśli o śmierci ojca, ale raczej obecności Emile'a. Nagle poczuła, dokąd fizyczna bliskość, rozmowa i odrobina brandy mogłyby ich znowu zaprowadzić, i powiedziała sobie: czemu nie? Co ją mogła obchodzić domniemana przyrodnia siostra, której zresztą i tak tu nie było? Jeśli człowiek nie może zachowywać się zupełnie nieodpowiedzialnie w takim stresującym, nienaturalnym momencie jak ten, to kiedy? Właśnie dziś wieczorem był idealny moment. Rupert przyjedzie dopiero jutro... Poczowała pustkę w głowie i usiłowała wymyślić, co mogłaby teraz powiedzieć.

- Cudownie było kochać się z tobą - oświadczyła nagle, sama zaskoczona elegijnym, błagalnym tonem własnego głosu. - Czy nie sądzisz, że moglibyśmy ostatni raz... to znaczy...?

Później zastanawiała się nad wyrazem jego twarzy w tym momencie. Czy zamierzał powiedzieć „tak”, czy „nie”? Niestety znowu ją dopadło jej kaprawe szczęście i już nigdy się tego nie dowie, ponieważ podszedł do nich Christian Jaffe i schylając się do niej, zawiadomił ją szeptem o przybyciu pana Osworthy'ego. Czy mogłaby pójść teraz za nim?

- Tak, oczywiście, dziękuję - powiedziała Posy z westchnieniem. Wstała. - Pan Osworthy to prawnik mojego ojca, zdaje się, że muszę z nim porozmawiać.

Emile skinął i podniósł się razem z nią. Mógł jakoś zasugerować, że zaczeka, dopóki ona nie skończy sprawy z panem Osworthym, ale powiedział jedynie:

- Dobranoc. Jestem pewien, że spotkamy się jutro. - I cokolwiek sam zamierzał powiedzieć, na jego twarzy malowała się w tym momencie całkowita obojętność na nieoczekiwane odrodzenie jej erotycznych nadziei.

Po wyjściu z baru Posy natychmiast ujrzała ten moment w bardziej sensownym świetle - co jej chodzi po głowie? - ale po namyśle wybaczyła sobie, ze względu na stres, w jakim wszyscy się teraz znajdowali, ten nagły przypływ pożądania wobec przyrodniego szwagra, czy jak tam można nazwać łączące ich pokrewieństwo.

Pan Osworthy stał przy kontuarze recepcji pochylony nad walizką. Jego białe włosy i miejski strój natychmiast zdradzały Brytyjczyka; zupełnie nie pasował do otoczenia w swoim płaszczu mokrym od śniegu. Miał chmurną minę i surowe, krytyczne spojrzenie niczym jakiś urzędnik sądowy. Gdy ujrzał Posy, ucisnął jej dłoń, po czym marszcząc brwi, spytał:

- A gdzie jest Rupert?

- Dobry wieczór, panie Osworthy. Rupert jest teraz razem z francuskim współpracownikiem ojca, wyjmują jakieś rzeczy ze skrytki bankowej ojca, dopóki ojciec jeszcze żyje.

- Naprawdę? Francuzi nigdy nie przestaną mnie zdumiewać. - Znowu zmarszczył brwi. - Muszę się napić whisky, a potem padam. Porozmawiam o tym z Rupertem jutro. O której godzinie wraca?

- Chyba jutro po południu.

Opowiedziała mu wszystko, co wiedziała w tej sprawie, zauważając przy tej okazji, że najwyraźniej Osworthy uważał Ruperta za jedyną odpowiedzialną osobę w rodzinie. Pan Osworthy wręczył swoją walizkę mademoiselle Jaffe.

- *Poovez voo deposer ma valise?* - powiedział z wyraźnym angielskim akcentem. - *Je vais au bar.* No dobrze, Posy, nie będę cię zatrzymywał. Wiem, jakie to wszystko dla ciebie trudne.

Posy poczuła się, jakby ktoś ją odesłał do łóżka, ale posłuchała. Chyba powinna była powiedzieć panu Osworthy'emu o istnieniu jeszcze jednej siostry, ale może dawno już o tym wiedział. Dręczyło ją, że Osworthy potrafi przeniknąć jej serce i domyśli się, że miała ochotę pójść do łóżka z Abboudem oraz że stanie na drodze jej wszystkich

innych pragnień. Długo przewracała się na łóżku, nie mogąc zasnąć, z nadzieją, że Emile zastuka do jej drzwi, choć oczywiście wiedziała, że nie znał numeru jej pokoju. Jednak gdyby mu zależało, mógłby się w jakiś sposób tego dowiedzieć.

Amy siedziała w barze z Kipem i Joem Daggartem. Zauważywszy przy Posy ciemnego, przystojnego mężczyznę, spytała Kipa, czy wie, kto to jest.

- Był w szpitalu - odparł Kip.

- Emile Jakiśtam. Widziałem go w telewizji - dodał Joe Daggart.

Emile Jakiśtam był nowym gościem hotelu. Tego wieczoru podczas kolacji Amy usiadła przy stoliku księcia, nawet jeśli był rumuńskim księciem, i księżniczki, nawet jeśli była Amerykanką; jej narodowość nie rzucała się w oczy i była na drugim planie. Książę i *princesse*, ci arystokraci, byli pomarszczonymi ludźmi po siedemdziesiątce, z włosami ufarbowanymi na czarno, i rozprawiali po angielsku z niezwykłą energią. Joe Daggart także jadł z nimi kolację tego wieczora. Amy cieszyła liczbą jej nowych znajomych. W tym momencie mogła już wymieniać uprzejme uśmiechy i skinienia z kilkoma innymi gośćmi hotelu, co dawało jej przyjemne poczucie, że jest osobą znaną i światową. Naturalnie nie robiło to na niej zbyt wielkiego wrażenia - wiedziała, że nie zawdzięcza tych przejawów sympatii żadnej swojej szczególnej zalecie prócz tej, że stać ją na pobyt w tym hotelu. Mimo to zdumiewała ją łatwość, z jaką człowiek może wejść w zupełnie inną rzeczywistość otoczoną bajkowym nimbem. Zupełnie czym innym było pytanie, czy ona sama może w niej pozostać i czy miałyby na to ochotę.

Na pewno mogłyby zatrzymać się nieco dłużej w świecie alpejskiego narciarstwa. Lekki niepokój unoszący się nad całą doliną od czasu ostatnich lawin wyraźnie osłabł i Amy na powrót poczuła przypływ energii i niezmaconej radości, jakie zwykle towarzyszą jeździe na nartach. Swego czasu jako studentka pasjonowała się narciarstwem i akurat wtedy zaprzyjaźniła się - jakże szczęśliwie, jak się miało okazać - ze studentami fizyki i matematyki, którym później zawdzięczała swoją fortunę, równie zapałonymi narciarzami. Wiele razy nocowała wśród porzrzucanych twardych dysków w ich mieszkaniu zastawionym

komputerami i przesyconym zapachem lutowania, po to żeby wstać razem z nimi o trzeciej i dzięki temu być już o dziewiątej na stokach w Tahoe. Ale od tamtej pory nie miała wiele czasu na takie rozrywki i dlatego teraz chciała ponownie poczuć towarzyszące jeździe na narciach rozkoszne uczucie szybkości i wolności.

Przypomniała jej się rozmowa tocząca się tego wieczoru się przy kolacji.

- Słyszeliśmy o twoim dobrym uczynku - powiedziała *princesse* z idealnie amerykańskim akcentem.

Przez ułamek sekundy Amy nie potrafiła sobie przypomnieć, co to za uczynek. Przypuszczalnie chodziło o to, że zapłaciła za opiekunkę zajmującą się Harrym. Ciekawe, skąd się o tym dowiedzieli.

- Co za szlachetny uczynek! - zawołał księżę.

- Zachowałaś się niezwykle troskliwie - oświadczyła *princesse*.

Amy, wdzięczna, że poruszyli ten temat, opowiedziała im, co wiedziała od Kipa na temat stanu jego siostry.

- Strasznie to przeżywa - powiedziała. - Jego siostra znajduje się w stanie śpiączki i nie mają żadnych innych krewnych ani w ogóle nikogo.

Pozostali goście siedzący przy stoliku księżnej spojrzeli w stronę Kipa, który przy swoim właśnie karmił malucha.

- Ruchy powiek są przypuszczalnie bardzo dobrym znakiem - mówiła dalej Amy. - Lekarze mają nadzieję, że w końcu wróci do zdrowia.

- Robin mówi, że podobno jesteś z Kalifornii, moja droga.

Amy poczuła się niezręcznie, widząc, że ich uwaga skupiła się teraz na niej. Wiedziała, co inni naprawdę myślą o mieszkańcach Kalifornii i ludziach z Silicon Valley.

- Byli tam państwo? - spytała, żeby zmienić temat rozmowy.

Tak, byli w Carmel i w Monterey, gdzie księżę grał w golfa na polach Pebble Beach.

Przy okazji tej rozmowy Amy przypomniała sobie o czymś, co Francuzi nazywają *l'esprit de l'escalier*. Chodzi o to wszystko, co człowiekowi przychodzi do głowy później, a co powinien był powiedzieć



wcześniej. Coś, co prześladowało ją przez całe życie, choć nie wiedziała, że to się tak nazywa. Właśnie z tego powodu nie mogła teraz zasnąć, wracały do niej całe fragmenty rozmowy przy kolacji, w których najwyraźniej się nie popisała.

- Ile języków powinien znać wykształcony człowiek? - spytała w pewnym momencie, pragnąc zainicjować żywą dyskusję (technika kierowania zespołami ludzkimi propagowana szeroko w Dolinie Krzemowej; Amy pogardzała nią, ale zdawała sobie sprawę z jej istnienia).

- W mowie czy na piśmie? - spytał Robin Crumley.

- A czy to nie to samo? (Oczywiście że nie, teraz widziała to wyraźnie. Głupia).

- W żadnym wypadku - powiedziała *princesse* Mawlesky.

- Prawdę mówiąc, nie zaczęłam jeszcze lekcji francuskiego. Zamierzam zająć się tym w Paryżu, ale zaczęłam trochę czytać - powiedziała Amy. (Dwa błędy: jedno nie wynika z drugiego, a poza tym mówiła o sobie).

- Powinien władać czterema, tak sądzę - odpad Robin Crumley. - Mówić płynnie dwoma i czytać swobodnie w dwu innych to minimum, ale my, Anglosasi, znajdujemy się w niekorzystnym położeniu, jesteśmy tacy słabi w nauce języków.

- Jakimi językami pan mówi? Jakiego „zna”, powinienam powiedzieć - poprawiła się Amy. - Jakiego języki pan zna?

- Angielski, francuski, trochę wiojski. Zawsze chciałem czytać Dantego w oryginale, ale ze wstydem muszę przyznać, że nigdy mi się to nie udało. Oczywiście znam trochę walijski, ale to się nie liczy. Ludzie mówią, że kataloński... To zabawna historia, w jaki sposób nauczyłem się katalońskiego....

O Boże, pomyślała Amy, wątpiąc, czy kiedykolwiek nauczy się choćby dwóch języków.

A potem, czego teraz bardzo żałowała, zaczęła opowiadać im o metodzie Crakesa, polegającej na tym, by uczyć się czterech języków jednocześnie. Miała nadzieję, że znajdzie we Francji kogoś, kto się nią posługuje.

- Dobry Boże, a to na co? - powiedział Robin Crumley.

- Tak, czterech naraz. Kiedy uczy się pan francuskiego słowa oznaczającego, powiedzmy, drzewo, może pan równie dobrze uczyć się, jak drzewo nazywa się po niemiecku, po włosku i po grecku. - A może ten czwarty język to była łacina?

- *Albero? Baum?* - powiedział książę z zadumą, jak gdyby te słowa tkwiły w jego umyśle od momentu narodzin i nie mógł sobie przypomnieć chwili, w której ich nie znał, albo wyobrazić sobie istoty tak nieszczęsnej, że musiałaby zmagać się z nauką tych prostych, podstawowych rzeczowników.

A potem, to było najgorsze, w pewnym momencie wspomniała o Darwinie.

- Czy Europejczycy wierzą w teorię Darwina? - Wyobrażała sobie, że to dobry wstęp do rozmowy o idei wzajemnej pomocy.

Spojrzeni na nią, jakby chcieli powiedzieć: wierzą? W sensie religijnym?

- Nie słyszałem o tym, żeby idee Darwina były kwestią wiary - odezwał się Robin Crumley. - Czyż nie istnieje co do nich powszechna zgoda? Dobór naturalny przeżywają najlepiej dostosowani.

- Może, ale nie w Ameryce - powiedziała Amy. - Oczywiście, zważywszy na naszą tradycję nonkonformizmu, w żadnej sprawie nie istnieje u nas powszechna zgoda. Wiele osób kwestionuje idee Darwina. Zarówno z lewej, jak i z prawej, ci ostatni to fundamentaliści, ale to zupełnie inna kwestia. Rzecz w tym, że wszyscy zapamiętali sformułowanie, że przeżywają najlepiej dostosowani. Jak przypuszczam, uważają państwo, że to nadrzędna zasada organizacji społecznej.

- Oczywiście. Zdaje się, że Darwin był doskonałym psychologiem, nawet jeśli miał pewne braki jako biolog.

- Nie, nie - zawołała - jest dokładnie na odwrót! Był doskonałym biologiem, ale o wiele gorszym badaczem ludzkich zachowań. Nigdy nie zauważył, że gatunki najlepiej przystosowane przeżywają dzięki strategiom kooperacji.

- Jak widzieliśmy ostatnio wśród plemion w Afryce albo w Kosowie. - Księżna się roześmiała.

- Dobry przykład. Ludzie, którzy na pewno przetrwają, to mocarstwa NATO, które współpracują ze sobą, starając się opanować

konflikty rozmaitych ugrupowań i grup etnicznych, które wyniszczają się nawzajem zamiast kooperować...

Strasznie teraz żałowała swojego poważnego tonu, rumieńców zaangażowania, które czuła na policzkach.

Ale jednocześnie pogardzała teraz sobą za to, że w ogóle cze­gokolwiek żałuje. Czemu miałyby przejmować się opiniami bandy podstarzałych Europejczyków, których mogłaby bez trudu kupić i sprzedać, choć to akurat może nie jest najlepsze kryterium. Nie znosiła jednak poczucia, że na własnym przykładzie potwierdziła ich przesady na temat naiwnych i niewykształconych Amerykanów. Nie była jakąś prostaczką, lecz inteligentną, ciężko pracującą kobietą, która dzięki własnym wysiłkom odniosła ogromny sukces, nawet jeśli jej doświadczenia w sprawach związanych z kulturą były dotąd w następstwie zbiegu różnych okoliczności trochę ograniczone. Musiała co jakiś czas sobie o tym przypominać.

## ROZDZIAŁ 17

Trevor Osworthy z wyraźnym wzburzeniem i niepokojem przyjął wiadomość, że Rupert Venn dał się skusić namowom i wziął udział w jakimś brzydko pachnącym przedsięwzięciu, które polegało na otworzeniu skrytki bankowej Venna bez wyraźnych instrukcji właściciela lub choćby jego żony. Do tego miał w tym uczestniczyć jakiś podejrzany francuski biznesmen. Niepokojąca była zwłaszcza myśl, że ów osobnik miał upoważnienie do otwierania skrytki, co podważało same fundamenty zgodnego z prawem postępowania, jakiego należało się spodziewać w razie ewentualnej śmierci właściciela. Mimo trzech whisky wypitych w barze hotelu Croix St. Bernard Osworthy bezsensownie przewracał się z boku na bok, rozmyślając nad tym, co powinien zrobić, aż w końcu doszedł do właściwego wniosku.

Zaraz po śniadaniu pojechał prosto do szpitala, sam, bez Posy i przed powrotem Ruperta, żeby osobiście się zorientować, jak wygląda sytuacja pod względem medycznym. Dzięki temu zjawił się w szpitalu dość wcześnie, w porze porannego obchodu.

- Proszę nie zwracać na mnie uwagi, *ne me regardez pas* - poinformował zdumionych lekarzy.

Odsłonięto koce przykrywające chorych i pan Osworthy zobaczył nieruchome ciało pani Venn w żółtej koszuli szpitalnej powiązanej troczkami, tak krótkiej, że musiał odwrócić wzrok, ale i tak zaraz wyproszono go z sali. Nigdy wcześniej nie spotkał nowej pani Venn i musiał przyznać, że chwilowo nie dostrzegał śladu jej sławnego uroku i świeżości. Spod nieapetycznie pachnącego, pomiętego szpitalnego

stroju wystawały sinawe, chude nogi, do spoconej głowy przylegały posklejane włosy nieokreślonej barwy, wszędzie biegły plastikowe rurki. Przez owalne okno w drzwiach Osworthy widział z korytarza, jak dwaj lekarze delikatnie kłują ją w stopę, podczas gdy inna para, niczym zespół oprawców, małą latarką świeci jej w źrenice. Kiedy lekarze przeszli do następnego chorego, Osworthy jeszcze raz wdarł się do środka i podszedł do czegoś, co przypuszczalnie było Vennem. Biedak; istota jakiegoś straszego koloru, plastikowe rurki wystające z nosa i ust, mnóstwo innych rurek przyczepionych do nadgarstków i kostek oraz, sądząc z ich położenia, także jego genitaliów. Bolesny widok.

- Venn, dobry Boże - wymamrotał Osworthy.

Pam Venn miała rację, prosząc go, żeby tu przyjechał, nawet jeśli sama nie była osobiście zainteresowana. Osworthy widział testament Venna i wiedział, że nie zostawił Pam ani pensa. Swoją drogą, zawsze uważał, że Pamela Venn to piękna kobieta i w głębi duszy nie zgadzał się z niektórymi ostrymi posunięciami, do jakich potrafił posuwać się Adrian, żeby ją skłonić do rozwodu.

Teraz jednak nie ulegało wątpliwości, że pierwsza rzecz, jaką trzeba zrobić, to przewieźć tego człowieka do Anglii w nadziei, że uda się uratować mu życie.

Kiedy Posy, myśląc z pewną urazą o Rupercie, który już na całe dwa dni zdołał uwolnić się od obowiązku siedzenia przy ojcu (wyrzucała sobie takie myśli), zjawiła się wreszcie w szpitalu uzbrojona w swoją książkę i paczkę papierosów, trafiła akurat w sam środek awantury. Francuski lekarz, stojąc nad nieruchomym ciałem ojca, gwałtownie coś wyjaśniał panu Osworthy'emu, starając się przekrzyczeć odgłosy pracujących urządzeń. Prawnik z miejsca wciągnął Posy w dyskusję.

- Mówię temu człowiekowi, że chcemy go natychmiast przewieźć. Rozmawiałem z Londynem i z ludźmi od transportu medycznego. To ryzykowna operacja, ale na szczęście jego ubezpieczenie to pokryje; zdaje się, że wykupił ubezpieczenie narciarskie, jestem naprawdę zaskoczony.

- Do Londynu? - Posy spojrzała na okazałych rozmiarów urządzenia porzastawiane wokół ojca.

- Muszę przyznać, Posy, że Rupert powinien od razu o tym pomyśleć; a także ty, jeśli już o to chodzi. Należało go stąd zabrać już dwa dni temu. Ten szpital - tylko się rozejrzyj! Trudno się spodziewać, by mieli tu wszystkie najnowsze zdobycze techniki, nie było żadnej konsultacji specjalisty. Francuzi mogli przynajmniej coś takiego zaproponować, to niewyobrażalne, że nie ruszyli palcem... - mówił dalej w tym samym stylu.

Lekarz, który najwyraźniej spodziewał się, że znajdzie w Posy wsparcie osoby racjonalnej, przechodząc z namiętnej francuszczyzny na angielski, zwrócił się teraz do niej i zaczął wyjaśniać, dlaczego byłoby zupełnym szaleństwem ruszać jej ojca w tym momencie; zrobiono tu wszystko, co tylko można, a żaden samolot nie ma na pokładzie aparatury umożliwiającej transport człowieka w takim stanie.

- Nie jesteśmy w Arabii Saudyjskiej, mademoiselle, w naszych samolotach nie ma oddziałów intensywnej opieki medycznej.

- Chcemy tylko zrobić to, co należy - powiedziała niepewnie.

- Ten człowiek nie przeżyje podróży. Robimy wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby go uratować. Tu nie chodzi o najnowsze zdobycze techniki, ten człowiek jest prawie martwy i możemy tylko...

- Musi pan spróbować to zorganizować. Cokolwiek się wydarzy... - powiedział Osworthy.

- Ale ryzyko, koszty...?

- Cokolwiek się stanie, on sam chciałby, aby to się wydarzyło w Anglii - powiedział Osworthy i Posy nie potrafiła podać w tym momencie żadnych argumentów przemawiających przeciwko takiemu postawieniu sprawy.

- Jak mówiłem, nie istnieje samolot z oddziałem intensywnej opieki medycznej na pokładzie i nikt nie weźmie pacjenta w takim stanie...

- No to odpowiednio wyposażony ambulans - mówił swoje Osworthy. - Zajmę się tym. Może uda nam się przewieźć go do szpitala Brompton. Znam tam odpowiednich lekarzy.

- A co z madame Venn? I czy wszystkie dzieci się na to zgodzą? - spytał lekarz.

- Zgodzą? A czemu miałyby się sprzeciwić?

- No cóż, umrzeć w Anglii to najwyraźniej nie to samo, co umrzeć we Francji - stwierdził lekarz.

Posy nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi, podobnie jak w pierwszej chwili także Osworthy. Umilkli na moment i zaczęli się zastanawiać.

- Chodzi o to, żeby nie umarł - powiedział wreszcie Osworthy z wielką pewnością siebie. - Jadę do hotelu. Kiedy możemy się spodziewać Ruperta, Posy?

Posy siedziała przy ojcu, prawie przekonana przez pana Osworthy'ego, że angielscy lekarze znajdą być może jakieś rozwiązanie, a po części zaszokowana tym, że sama wcześniej o tym nie pomyślała, ona, zwykle taka dobra w sprawach praktycznych. Chciała, żeby Rupert tu już był, choćby po to, aby mogła go objechać, że ją zostawił, zmuszając do zajmowania się tym wszystkim. Zastanawiała się, czy ojciec nie czuje się tego dnia gorzej. Jego skóra przybrała bardziej siny odcień, pod oczami miał teraz ciemne plamy, których wczoraj nie było.

Znalazła fotografię ojca wetkniętą w swoją książkę; wycięła ją z jakiejś gazety kilka miesięcy temu. Ojciec brał wtedy udział w spotkaniu z członkiem komisji handlu reprezentującym w Brukseli wydawców książek, aby zaprotestować przeciw planowanemu wprowadzeniu podatku od książek znajdujących się w hurtowniach albo na półkach wydawnictw. Podczas gdy inni uczestnicy spotkania widoczni na zdjęciu wydawali się ożywieni, a przynajmniej udawali ożywioną dyskusję, ojciec patrzył w stronę fotografa pustym wzrokiem, nie szukając aprobaty obiektywu, obojętny na wszystko, co działo się wokół niego; nieobecny myślami, jakby przeczuwał cień nadchodzącej przyszłości albo przygnębiało go jakieś wspomnienie. Posy widziała podobne fotografie ludzi, którzy wkrótce potem zmarli. Gdyby zdjęcie było kolorowe, być może widać byłoby na nim aureę śmierci, jeśli ktoś wierzy w takie rzeczy. Kiedy pierwszy raz zobaczyli to zdjęcie, powiedzieli sobie z pewną złośliwością: „Wygląda na to, że jego życie z Kerry nie jest usłane różami”.

Była wstrząśnięta i wraz z upływem poranka czuła się coraz bardziej przygnębiona. Jeśli pomyśleć, z jaką łatwością byli gotowi podjąć

decyzję o tym, żeby ewentualnie wyciągnąć ojcu wtyczkę, może za kilka dni, i jak przyjmowali na wiarę słowa lekarza, to całe wysiadywanie przy łóżku ojca zaczęło wydawać się aktem złej woli i hipokryzji. Siedziała tu, mając nadzieję, że mu się poprawia, a jednocześnie planowała jego śmierć, zamiast aktywnie zrobić coś, żeby wyzdrowiał. Usiłowała na siłę znaleźć w sobie wiarę, że ojciec może wyzdrowieć - uczucie, które kłóciło się z jej mściwym przekonaniem, że sam ściągnął na siebie to nieszczęście, głupi dureń, z tą swoją dziewczyną-żoną i kilkunastoma innymi kochankami wcześniej. Sam ich wpakował w te wszystkie kłopoty, a zwłaszcza matkę.

Od czasu do czasu podczas tych godzin nudy Posy pozwalała sobie na marzenia o pokaźnym spadku. Oczywiście wiedziała, że ojciec nie jest aż tak bogaty, to było tylko marzenie. Gdyby odziedzyczyła dużo pieniędzy, mogłaby powiedzieć „pieprzcie się” butikom ze stanikami i majtkami i otworzyć coś własnego, na przykład sprzedawać stare szale i kufry z epoki parowców albo znaleźć sobie pracę researchera w BBC, z której wprawdzie nie byłoby żadnych pieniędzy, ale poznałaby różnych ludzi i coś by z tego wyniknęło. Albo mogłaby nic nie robić i kupić sobie dom, a potem go urządzić. Oczywiście wiedziała, że jej udział w spadku po ojcu nigdy nie wystarczy na finansową niezależność, ale gdyby mądrze zainwestowała...

W końcu wróciła do hotelu. Zanim wyszła, doktor Lamm zwrócił się do niej jeszcze raz, mówiąc z galijską pewnością siebie:

- To zupełnie daremne przenosić pani ojca, to błąd, to niemożliwe.

Tego dnia padał śnieg i widoczność była słaba, toteż większość narciarzy wróciła wcześniej albo w ogóle nie wychodziła z hotelu i jedli lunch w hotelowej jadalni. Rupert wrócił z Saint-Gond w chwili, gdy podawano do stołu, i przyłączył się do Posy oraz Osworthy'ego. Posy właśnie pokazywała Osworthy'emu Kipa i małego Harry'ego, którzy siedzieli nieopodal z amerykańską dziedziczką jakiejś fortuny, w każdym razie takie plotki na jej temat Posy usłyszała w barze. Osworthy przestał przyglądać się Kipowi i Harry'emu, by przywitać się z Rupertem, zachwycony, że wreszcie widzi jakiegoś odpowiedzialnego Venna płci męskiej.



- Skoro już tu jesteś, Rupert, muszę otwarcie powiedzieć parę słów. Byłem zaskoczony, gdy się dowiedziałem, w jakiej sprawie wyjechałeś. To może wyglądać jak przestępstwo. Chyba nie chciałyś, by ktoś pomyślał, że zamierzałeś coś zabrać dla siebie.

- Oczywiście, że nie - odpad Rupert - ale o ile wiem, tutaj to powszechny zwyczaj.

- Trzeba zdecydowanie trzymać się z dala od takich rzeczy. Poza tym powinieneś wiedzieć, że jeśli twój ojciec umrze, nie odziedziczysz wiele, choć coś oczywiście dostaniesz. Ty też, Posy. Jednak większość jego majątku, co rozumiałe, przypadnie żonie. Nie ma w tym nic nienormalnego.

- Wiemy o tym albo jakoś się tego spodziewaliśmy.

- I co tam rzeczywiście znalazłeś w tej skrytce bankowej?

- Mniej więcej to, o czym była mowa: trochę złotych monet, niewielki obraz podpisany przez Bonnarda, stare książki, trochę biżuterii. Wszystko wziął miejscowy *notaire* i zamknęliśmy to w sejfie w jego biurze. Wypisał mi pokwitowanie. Nie umiem powiedzieć, czy któraś z tych rzeczy ma jakąś wartość, ale wydawało się, że jest zadowolony, że francuskie służby podatkowe nie położą na tym swoich łap.

- Jestem pewien, że istnieje jakaś kara za ukrywanie rzeczy przed władzami skarbowymi. Choć trudno mi powiedzieć, jak daleko sięgają ręce francuskich urzędników skarbowych - odezwał się Osworthy.

Jego prychnięcie wskazywało, że z pogardą odnosi się do podejrzanych miejscowych zwyczajów otwierania prywatnych skrytek bankowych i urywania aktywów. Wstał.

- Pójdę teraz i rzucę okiem na małego Harry'ego, przedstawię się. Wygląda na to, że on się nim opiekuje, mam na myśli starszego chłopca. To brat pani Venn? A kim są te kobiety? Chłopiec pewnie potrzebuje pomocy w opiece nad tak małym dzieckiem. Posy, czy proponowałaś mu pomoc?

- Boże, nie, a niby czemu? - mruknęła Posy, patrząc na plecy odchodzącego Osworthy'ego.

- Prawdę mówiąc, Posy - powiedział Rupert - kiedy zobaczyłem rzeczy ojca, coś mnie ścisnęło w gardle, po raz pierwszy tam mocno, odkąd tu jesteśmy. W jakimś sensie on tam był obecny przy tych rzeczach,

czuło się osobę, która je wybrała, dbała o nie, kochała te stare książki; w każdym razie tak to sobie wyobrażam. Tak czy inaczej cenił je, zapłacił za nie i schował w bezpiecznym miejscu. Miał jakieś myśli, nadzieje - wiesz, o co mi chodzi? Nagle w środku tego wszystkiego przychodzi katastrofa i leży teraz jak warzywo. Czułem się, jakbym zaglądał do jego dziennika albo do szafy z ubraniami. Ogarnęło mnie jeszcze większe pragnienie, żeby przeżył. Mam nadzieję, że tak będzie, i mam nadzieję, że nie będzie bardzo zły, że zaglądaliśmy do jego skrytki.

Osworthy podszedł do stołu Kipa i Amy i przedstawił się.

- Prawnik Adriana Venna. Przyjechałem wczoraj wieczorem. Jak rozumiem, to jest Harry? Co za sympatyczny jegomość. Słyszałem o nim wiele od Adriana. Oczko w głowie, jak się domyślacie.

Kip, jako dobrze wychowany młody człowiek, chciał wstać, ale został wcisnięty z powrotem na miejsce przez przyjazny uchwyt dłoni Osworthy'ego.

- To jest Kip Canby, wujek Harry'ego. Jestem Amy Hawkins, przyjaciółka Kipa - odpada Amy. - A to jest panna... to znaczy mademoiselle Walther. Pomaga opiekować się Harrym.

Państwo Jaffe znaleźli jakąś nastolatkę z miasteczka, która pod okiem hotelowej pokojówki Tamary miała pilnować małego, dzięki czemu Kip będzie musiał zajmować się nim tylko w nocy. Amy powiedziała Christianowi Jaffe'owi, że zapłaci za pracę dziewczyny; cieszyła się, że może zrobić choć tyle, chociaż przyszło jej do głowy, iż był to obowiązek tego człowieka, jeśli rzeczywiście jest rodzinnym prawnikiem Vennów.

- Cześć, Harry - powiedział Osworthy, głaszcząc dziecko po głowie. - Widzę, że zadbałeś o Harry'ego, Kip. Chciałem tylko powiedzieć wam, jak sprawy stoją. Myślę, że ojciec Harry'ego będzie miał większe szanse, jeśli przewieziemy go do Anglii. Postanowiłem zabrać go do szpitala Brompton w Londynie, jeśli wszystko dobrze pójdzie. Mają tam zespoły specjalistów. Dobrze znany szpital; wszyscy szejkowie i mułłowie przyjeżdżają prosto do Anglii. Transport powietrzny z respiratorami i tak dalej jest skomplikowany, ale można to przeprowadzić. Będę nad tym pracował dziś po południu.

Kip wysłuchiwał nowiny ze zdumieniem i z ulgą, która ustąpiła jednak kolejnej fali obaw. Przypuszczalnie to dobry pomysł, żeby zabrać Adriana do większego szpitala, ale co z Kerry i co z nim, i z Harrym?

- A co z Kerry? - spytał.

- Mówią, że jej stan trochę się poprawił, więc skupimy się teraz na Vennie. Myślę, że lekarz powiedziała, że nie ma sensu podejmować ryzyka związanego z transportem, jeśli jej sytuacja nie jest rozpacзлиwa.

W głosie Osworthy'ego pobrzmiwały fałszywe uspokajające tony szkolnego psychologa. Kip nie dał się na nie nabrać. Mimo pocieszających opinii lekarzy nie widział, żeby stan Kerry poprawił się choć trochę. Czy i ona nie potrzebowała ratunku w szpitalu Brompton? Spojrzał na Amy. Była jedyną osobą, z którą mógł o tym porozmawiać, a do tego najwyraźniej znała się na prawie. Podobała mu się myśl, że wszyscy pojedą do Anglii, gdzie będzie rozmawiał z ludźmi po angielsku.

Osworthy zaprosił Kipa, żeby przyszedł do jego apartamentu tego wieczoru przed kolacją.

- Pani także, madame, jeśli ma pani ochotę. Myślę, że będę miał wtedy jakieś nowe wiadomości. Proszę zawiadomić wszystkich zainteresowanych - dodał autorytatywnym tonem kogoś, kto wreszcie przywołał do porządku tę bandę obiboków. Pożegnał ich skinieniem głowy i wrócił do swojego stolika.

Kip spojrzał na drugą stronę sali w kierunku Emile'a Abbouda. Choć tamten przychodził na spotkania w szpitalu, Kip nie wiedział, w jaki sposób pan Abboud był związany z całą sprawą ani czy powinien mu powiedzieć o spotkaniu u pana Osworthy'ego. Abboud czytał gazetę przy oknie, najwyraźniej czekając na swoją zupę. Kip miał wątpliwości, czy sam powinien pójść na spotkanie u pana Osworthy'ego, które dotyczyło bardziej Adriana. Jak zwykle nikt nie wspominał słowem o Kerry.

- Dopóki stan twojej siostry jest stabilny, pewnie lepiej będzie zostawić ją tu, gdzie jest - powiedziała Amy, zgadzając się z opinią Osworthy'ego. - Niełatwo jest zorganizować przewóz pacjenta z oddziału intensywnej terapii.

- Mówią, że jej stan jest dobry, ale według mnie nic się w nim nie zmieniło przez cały czas - powiedział Kip. - Po prostu tam leży.  
- Głos mu drżał.

Amy, jak zawsze zwracająca uwagę na praktyczny aspekt sprawy, pomyślała, że nie można wykluczyć, iż ci Anglicy próbują uwolnić się od problemu opieki nad siostrą Kipa i zrzucić na Kipa wszystkie decyzje oraz zapłacenie rachunków. Obiecała chłopcu, że otwarcie porozmawia z panem Osworthym na ten temat.

Głos Osworthy'ego niemal drżał z oburzenia, kiedy ten siadał z powrotem przy swoim stole.

- Nie powiedziałaś mi, Posy, że amerykański chłopak wynajął prawnika. Czy to naprawdę było niezbędne? Z całą pewnością działałam w interesie wszystkich zainteresowanych, zwłaszcza małego dziecka. W końcu to główny spadkobierca Adriana, razem ze swoją matką, więc naprawdę nie rozumiem...

- Wątpię, żeby była jego prawniczką, ale nic nie wiem na ten temat, panie Osworthy - powiedziała Posy możliwie najłagodniejszym tonem. - Skąd miałabym o tym wiedzieć?

- Amerykańscy prawnicy są znani są z tego, że kręcą się wokół szpitali. Pewnie zwietrzyła okazję do wytoczenia sprawy - rzekł Rupert.

- Nie rozumiem, czemu niby to ma być moja cholerna wina? - powiedziała Posy mocniejszym tonem.

- Doradzę jej, że powinna przenieść swoją klientkę do nowocześniejszego szpitala, jeśli nie są zadowoleni z opieki w Moutiers. Ale jak zrozumiałem, lekarze spodziewają się, że pani Venn wkrótce się obudzi - mówił dalej Osworthy tonem wskazującym na to, że czuje się głęboko urażony faktem, że Amy zaangażowała się w całą sprawę.

- Wydaje mi się, że Kerry jest pańską klientką - zauważyła Posy.  
- Nigdy nie słyszałam o tym, żeby Amerykanka była prawniczką.

- Czas pokaże - odpad pan Osworthy.

## ROZDZIAŁ 18

Po powrocie z nart Amy odrobiła najpierw lekcje z kursu języka francuskiego na CD-ROM-ie i zadzwoniła do Sigrid, która zajmowała się jej finansami w Kalifornii. Potem włączyła radio i postanowiła poleżeć w wannie, słuchając muzyki przerywanej zapowiedziami w nieznanym jej języku. Ponieważ po śnieżnym poranku wczesnym popołudniem roz pogodziło się i pokazały się promienie zimowego słońca, wybrała się na narty, ale nie włożyła swetra pod kombinezon (*combinaison*). Pod koniec dnia niebo ponownie się jednak zachmurzyło i zmarzła, ale była za daleko od hotelu, żeby szybko wrócić i się ogrzać. Przemarzła do kości, czuła się więc teraz cudownie, leżąc w gorącej wodzie. Pomyślała, jakie to przyjemne zmarznąć, a potem się ogrzać, czuć się zmęczonym i radosnym. Zrobiła postępy pod okiem Paula-Louisa, znakomitego francuskiego instruktora narciarskiego prowadzącego ją różnymi trasami, które wcześniej byłyby dla niej za trudne, mówiącego do niej w języku, którego nie rozumiała.

W pewnym sensie to przyjemne nie rozumieć, co ludzie w radiu do Ciebie mówią - jak przypuszczała, coś na temat Haydna. Czasem wyłapywała znajome słowo. Jakie to kojące nie rozumieć całej reszty i nie musieć rozumieć. Umysł od czasu do czasu potrzebuje takiej pustki, zupełnie tak samo, jak od czasu do czasu trzeba rozładować baterie w laptopie. Pustki, którą można następnie wypełnić mocniejszymi wrażeniami i bardziej skoncentrowanym programem złożonym z nowych składników. Haydn, literatura francuska, antyki pokryte patyną, geopolityka. Kiedy już człowiek zdecyduje się

odrzuć starą wiedzę - wylać dziecko razem z kąpielą - otwierają się możliwości nowych kombinacji o nieograniczonej liczbie smakowych połączeń.

Kip, dzięki pomocy panny Walther, która zajmowała się Harrym, miał teraz więcej czasu na narty i mógł sam odwiedzać Kerry w szpitalu - o co dbał bardzo sumiennie. Niemniej nadal wydawało mu się, że bardzo dużo czasu musi poświęcać Harry'emu, zwłaszcza w nocy. Odkrył, że jeśli potrzyma Harry'ego przed telewizorem, mały śpi dłużej. To było zdumiewające, że takie małe dziecko potrafi oglądać telewizję. Kip przypomniał sobie, że widział kiedyś w telewizji dokumentalny program o uczennicach szkolnych, w którym dziewczęta w jego wieku, choć z innej szkoły, musiały cały czas nosić ze sobą pięciokilowe worki z mąką, żeby uświadomić sobie, jak to będzie, kiedy będą miały dziecko. Kip z pewnością już dobrze wiedział, jak to jest. W sklepie w miasteczku kupił kilka bloków i innych rzeczy, posługując się kartą kredytową Adriana. Czuł się trochę jak przestępca, choć wiedział, że ma od tego prawo. Idąc do pokoju pana Osworthy'ego, pomyślał, że powinien mu to wyjaśnić.

Osworthy, zadowolony z pobytu w położonym na uboczu alpejskim miasteczku i mając do dyspozycji przyzwoity fundusz na niezbędne wydatki, zamówił do pokoju kilka *plateaux* ostryg i dwie butelki szampana, pragnąc nieco poprawić nastrój swoich klientów, a przy okazji samemu spróbować tutejszych specjałów, skoro już zatrzymał się w tak eleganckim hotelu. Ostrygi były francuskie, więc przyjechały Bóg wie skąd i w jakich warunkach, ale chyba będą świeże, w końcu jest zima. Kelnerka rozłożyła najpierw na szafce ręczniki, starając się ochronić cenny mebel, po czym rozstawiła na niej półmiski pełne tłuczonego lodu, otworzyła ostrygi i położyła je na ich lodowatych łożach. Potem umieściła dwie butelki w wiaderkach na chybliwych stojakach i wreszcie ustawiła pięć kieliszków. Czy nie wyglądało to nazbyt świąteczne jak na istniejące okoliczności? Miał nadzieję, że nie. Sześć tuzinów ostryg podzielone na pięć osób; pięć osób na siedemdziesiąt dwie... może amerykański chłopak nie będzie miał na nie ochoty, albo Posy. Kobiety często nie lubią ostryg.

Traktował to spotkanie z jak największą powagą. Poleciał wcześniej swoim pracownikom na wszelki wypadek przyjrzeć się niektórym sprawom Adriana, i z pewnym zaskoczeniem odkrył, że jego klient pod względem finansowym ma się całkiem dobrze, a nawet jest zaskakująco zamożny. Również jego winnica, sądząc na podstawie pobieżnego przeglądu dokumentów podatkowych we Francji, najwyraźniej osiągnęła zysk. Drukarnia przez lata działająca dla przyjemności właściciela i przynosząca straty, zaczęła ostatnio czasami dawać pewien dochód; do tego dochodziły nad wyraz korzystne inwestycje poczynione w okresie boomu lat osiemdziesiątych. Osworthy był zadowolony, ale jednocześnie czuł stojące przed nim wyzwanie. Oczywiście udzieliłby swoich porad najskromniejszemu robotnikowi, gdyby jegomość był jego klientem, jednak aura zamożności, jaka nagle zaczęła otaczać nonszalanckiego Venna, przydawała pewnego sakralnego znaczenia zaufaniu, jakim Venn go obdarzał, i sprawiała, że cała sytuacja miała w sobie coś poruszającego.

Spadkobiercy - myślał o nich jak o spadkobiercach, choć Adrian wciąż jeszcze żył - pojawili się w nieco zgaszonych nastrojach. Amerykański młodzik, nadal w ubraniu narciarskim i butach *apres-ski*, wszedł, emanując rześkim zapachem zimna i ruchu na świeżym powietrzu. Przyprowadził ze sobą kobietę, która siedziała z nim podczas lunchu, atrakcyjną Kalifornijkę, która może była, albo i nie była, jego prawniczką. Panna Hawkins włożyła do kolacji prostą czarną sukienkę, jakby już należało wdziac żałobę. Musiał przyznać, że jest ładna z tą swoją gładką prostotą, na której tle Posy wydawała się jeszcze bardziej niechlujna. Osworthy zauważył, że Posy zawsze miała na sobie coś źle dobranego - sukienki raczej dość obcisłe, z głębokim dekoltem. Niektóre kobiety, żeby nie wiem co na siebie włożyły, zawsze będą wyglądały jak dziwka i biedna Posy najwyraźniej była jedną z nich, choć miała przyzwoity dyplom Cambridge. Bez wątpienia zmienił się także styl i obyczaje. Zarówno panna Hawkins, jak i chłopiec podziękowali za ostrygi i na ich twarzach pojawił wyraz paniki, gdy zaproponowano je po raz drugi. *Tant mieux*, jak tutaj mówią, pomyślał Osworthy - tym więcej dla pozostałych.

Wyjaśnił, że nie zrobił tego popołudnia zbyt wielkich postępów w organizowaniu transportu pacjenta, co bez wątpienia będzie niełatwe wobec zastrzeżeń francuskich lekarzy oraz w sytuacji, gdy nie istniał absolutnie żaden środek transportu, którym można by przewieźć pacjenta znajdującego się na oddziale intensywnej opieki. Na szczęście Adrian trzymał się jakoś przy życiu i jego stan się nie pogorszył, więc mieli przed sobą jeszcze jutrzejszy dzień.

- Rozmawiałem przez telefon przez całe popołudnie i spodziewam się, że moje wysiłki przyniosą pewne owoce jutro, ale być może nie doceniliśmy skali trudności związanych z takim przedsięwzięciem. Francuscy lekarze przejawiają jakieś absurdalne poczucie terytorialności. W swojej próżności czują się urażeni na najłżejszą sugestię, że nie zrobili wszystkiego, co można było zrobić. Byłoby o wiele lepiej, gdyby zechcieli współpracować. Musimy, powtarzam, musimy zabrać go do domu - mówił Osworthy gorączkowo.

Osworthy zastanawiał się, czy amerykański chłopak zrozumiał, dlaczego trzeba koniecznie przewieźć Venna do Anglii. Oczywiście interesy chłopca były dokładnie przeciwne do interesów Ruperta i Posy. Siostra Kipa nie dostałaby praktycznie ani grosza, gdyby Adrian umarł tutaj, we Francji, pod rządami napoleońskich przesądów wobec żon, ale dostałaby wszystko, gdyby umarł w Londynie, gdzie sprawy uregulowano by zgodnie z jego testamentem. Czy dlatego Kip sprowadził tutaj amerykańską prawniczkę? Wydawał się za młody na taką kalkulację, więc to na pewno ta kobieta o wszystkim pomyślała. Osworthy spytał, czy mają jakieś pytania, po części po to, by się zorientować, jak dalece go zrozumieli. Usiłował wyjaśnić rzecz dokładniej.

- Zaprosiłem was wszystkich tutaj, ponieważ myślę, że wszyscy powinni dobrze zrozumieć sytuację. Nie ma tu żadnych tajemnic i chciałbym, żeby nikt nie żywił fałszywych oczekiwań. W wypadku swojej śmierci pan Venn pozostawił majątek żonie, Kerry Canby, oraz niewielką sumę swoim dzieciom, Rupertowi i Posy, kilka tysięcy funtów na głowę, jeśli dobrze pamiętam. Młody Harry nie został wymieniony, lecz prawo bez wątpienia uzna, że został uwzględniony w testamencie, ponieważ nie został wykluczony. Nie ma przecinka po słowie „dzieci” i nie wątpię, że sprawa będzie przedmiotem sporu, ale...



- Czy możemy przez chwilę porozmawiać o wydatkach? - przerwała mu Amerykanka, panna Hawkins, i na jej uroczej twarzy pojawiła się nagle poważna mina. - Kip i Harry są finansowo zależni od pana Venna, czy też jego majątku, skąd czerpią środki na pokrycie bieżących wydatków. W związku z tym mam pewne obawy co do przyszłości Harry'ego, zarówno jeśli chodzi o wydatki, jak i sprawę opieki.

- Lekarze spodziewają się, że matka Harry'ego dojdzie do zdrowia - powiedział Osworthy surowo.

- Czy będzie musiała pokryć koszty leczenia męża, jeśli zgodnie z literą francuskiego prawa nie odziedziczy jego majątku? I co z rachunkiem za hotel? - spytała Amy, zaglądając do swoich notatek.

- Ach, panno Hawkins, o to właśnie mi chodzi - odpad Osworthy, widząc, że otwiera się możliwość zyskania jej poparcia, ponieważ byli po tej samej stronie, jeśli szło o to, gdzie biedny Venn powinien umrzeć. - Właśnie dlatego, niezależnie od tego, co się ostatecznie wydarzy, jest takie ważne, aby stało się to w Anglii, gdzie Kerry Venn ma naturalne prawa i powinności wdowy zgodne z jasnymi intencjami pana Venna. Tutaj - nie mam jasności, ale jest chyba dokładnie na odwrót. Nie mogę wypowiadać się w imieniu Francji i nie potrafię od ręki rozstrzygnąć, którego kraju prawo przeważa w sytuacji śmierci Anglika we Francji i vice versa. Bóg jeden wie, co Francuzi sądzą na temat tego, kto powinien zapłacić rachunek za hotel.

- Kip nie może samodzielnie zatroszczyć się o swoje finanse - powiedziała Amy. - Pan Venn utrzymywał go i płacił za jego naukę w szkole.

- Niestety każda śmierć pociąga za sobą przykre konsekwencje. Nie możemy nic na to poradzić - westchnął Osworthy.

- Ale francuscy lekarze uważają, że i tak na pewno umrze, niezależnie od tego gdzie - odezwała się Posy wojowniczym tonem. - Jeśli to prawda, nie wiem, czy chcę, aby ojciec umarł w Anglii. Dlaczego miałabym tego chcieć? Z tego co słyszę, jeśli ojciec umrze w Anglii, Rupert i ja dostaniemy fię z makiem. Jeśli umrze tutaj, będziemy mieli pełen udział w spadku.

- Chyba to nie jest najlepszy moment, żebyśmy mieli dawać pierwszeństwo twoim osobistym motywom, Posy - powiedział Osworthy

głęboko zaszokowany. - Może istnieje szansa, że uda się go uratować. Chyba byś tego chciała?

Wobec takiej odpowiedzi wojowniczy wybuch Posy musiał zgasnąć.

- Oczywiście - powiedziała potulnie. - Ale nasza siostra może nie być taka uległa.

- Na miłość boską, jaka siostra?! - krzyknął Osworthy.

- Chce pan powiedzieć, że nikt panu o tym nie wspominał? - spytała Posy radośnie, widząc wyraz zdumienia, które na moment zmroziło jowialne oblicze Osworthy'ego.

Posy i Rupert podziękowali panu Osworthy'emu za wysiłki w sprawie ojca, powiedzieli, że spotkają się z nim przy kolacji, i poszli do baru napić się czegoś mocniejszego niż szampan.

- Jadę jutro na narty - oświadczył Rupert zaczepnie. - Zajrzę do szpitala z samego rana, a potem pod koniec dnia.

Humor nieco mu się poprawił, gdy okazało się, że w ponurej konferencji zorganizowanej przez Osworthy'ego niespodziewanie wzięła udział amerykańska prawniczka, czy kim tam ona była, która wydawała się zarazem urocza i rozsądna, a do tego najwyraźniej nie zamierzała sprawiać kłopotów. Powiedziała mu, że przyjechała tu na lekcje gotowania i jazdy na nartach, a następnie zaprosiła go, żeby rano przyłączył się do jej grupy narciarskiej. Będzie tam amerykański chłopak Kip, jacyś inni ludzie, których poznała w hotelu, i Robin Crumley, sławny poeta. Rupert nie czytywał wiele poezji, odkąd skończył szkołę, ale Crumley często występował w telewizji i pisał o życiu na wsi, różach kwitnących w żywopłotach oraz o cierniach. Zawsze był u niego jakiś cień lub robak. „Wydaje mi się, że to Robin Crumley”, powiedział wcześniej do Posy. Crumley wprawdzie nie jeździł na nartach, ale miał przyjechać samochodem, żeby spotkać się z nimi na lunchu w jakiejś wiosce, do której zaprowadzi ich przewodnik. Rupert spojrzął przelotnie na Posy, żeby sprawdzić, czy będzie totalnie wściekła z powodu jego jutrzejszej nieobecności, i jej mina powiedziała mu, że tak.

- Mogłabyś przyjechać samochodem razem z Robinem Crumleym - zaproponował. - Wyraźnie pojaśniała. - Dopilnuję tego.

- Czy po cichu myślisz, że żona ojca także umrze? - spytała Posy, którą najwyraźniej nurtował ten temat.

- Chyba nie.

- Mam nadzieję, że lekarze powiedzieliby nam prawdę, ponieważ jeśli mieliby umrzeć oboje, byłoby lepiej, gdyby ona umarła pierwsza - stwierdziła Posy.

Rupert ze smutkiem niestety natychmiast zrozumiał, co miała na myśli. Gdyby ojciec umarł pierwszy, żona odziedziczyłaby jego pieniądze i gdyby potem ona umarła, wszystko przeszłoby na dziecko. Ale gdyby ona umarła pierwsza, oni będą pierwsi w kolejce. To znaczy byłoby tak, gdyby tamci mieli umrzeć oboje.

- Ale to tylko w Anglii - powiedział.

- Nie do wiary, że mówimy takie rzeczy, ale jest oczywiste, że ojciec musi umrzeć we Francji. Zresztą i tak przypuszczalnie na tym się skończy - rzekła Posy. - Przecież to się nie stanie tylko dlatego, że o tym mówimy. Pan Osworthy nigdy nie znajdzie samolotu, by przewieźć ojca.

Podeszli do miejsca, gdzie siedział Emile. Wszyscy przyjaźnie skinęli sobie na powitanie, po czym Rupert razem z Posy usiedli obok niego na kanapie.

- Zajrzałem do szpitala koło piątej - powiedział. - W stanie madame Venn zaszła jakaś zmiana, która wyraźnie napawa ich optymizmem. Jeśli chodzi o waszego ojca, nic się nie zmieniło.

- Czy możemy mówić szczerze? - spytała Posy, bawiąc się papierosem, żeby ukryć zakłopotanie ogarniające ją za każdym razem, kiedy spotykała tego mężczyznę. - Słyszałeś, że prawnik ojca chce przewieźć go do Anglii w nadziei, że zdołają go tam uratować? To byłoby cudownie, ale czy można uwierzyć, że uda się go jeszcze uratować? W każdym razie tutejszy lekarz w to nie wierzy, to jest jasne. Uważamy, że pan Osworthy pragnie, by ojciec umarł w Anglii, ponieważ wtedy inaczej wyglądała sytuacja, jeśli chodzi o... no cóż, wszystko, *chateau* ojca i pieniądze.

Emile zastanowił się chwilę.

- Myślę, że istotnie tak by było. Zapewne prawo spadkowe bardzo się różni w obu krajach, choć nie wiem dokładnie, na czym to polega. Ale jestem pewien, że Anglia jest bardziej kapryśna.

- Czemu kapryśna? - spytali zaniepokojeni.

- Wydaje mi się, że Anglicy ulegają wobec kapryśnych umierających. Francja całkiem sensownie je ignoruje, aby zapobiec różnym głupim albo bezsensownym rzeczom, jakie ludzie robią w ostatniej chwili, próbując przytrzymać się życia.

- Nie sądzisz, że ludzie powinni móc robić ze swoimi pieniędzmi to, na co mają ochotę?

- Na pewno nie - powiedział Emile.

Rupert wtrącił się gładko.

- Chodzi o to, że ty - to znaczy twoja żona - Posy i ja jesteśmy w pewnym sensie po tej samej stronie. Byłoby dla nas wszystkich lepiej, gdyby ojciec, jeśli już miałby umrzeć, umarł we Francji. To ty powiedziałeś mi, że we Francji nie można wydziedziczyć swoich dzieci.

- Wiele osób uważa, że to bardzo niefortunne rozwiązanie - dodał Emile.

Emile niemal odruchowo lubił sprawiać kłopoty - po części dlatego, że był inteligentny i z rozkoszą wywoływał komplikacje, jakie potrafi sprowokować chwila uporu, gest odmowy współpracy albo jakiś impulsywny odruch. Po czym zawsze z przyjemnością obserwował skutki swoich poczynań, stopniowo poddając się coraz głębszemu cynizmowi, jaki w nim budziły, i doznając poczucia własnej, coraz większej doskonałości. Niewykluczone, że z czasem zostanie kompletnym cynikiem. Ale najpierw musiałyby opanować swoje skłonności do ulegania radości, miłości i innym podobnym emocjom, które zwykle stawały na drodze wyrachowanej kalkulacji. W tej chwili wahał się między pragnieniem, by dobrze się bawić w towarzystwie tych atrakcyjnych, ale najwyraźniej perfidnych Anglików, których interesy pokrywały się z interesami Victoire, a zaproponowaniem, aby po prostu wyciągnęli wtyczkę przy aparaturze podtrzymującej życie ich ojca, który skądinąd i tak był martwy, czego najwyraźniej nikt z nich nie potrafił przyjąć do wiadomości.

- Myślę, że Victoire powinna tutaj przyjechać - powiedział później Geraldine przez telefon. - Przypomnij jej może, że chodzi *opatrimoine* Nike i Salome.

Wyjaśnił jej, jakie są przypuszczalne motywy stojące za wysiłkami jego prawnika, by przewieźć umierającego Venna do Anglii.

- Vee nigdy nie pojedzie nigdzie wyłącznie dla pieniędzy. Będę musiała podać jej jakiś lepszy powód. Ale może przyjechałaby, żeby sprawić ci przyjemność, gdybyś jej powiedział, że chciałbyś pobyć z nią kilka dni.

- Czemu nie - odpad Emile. - *Pourquoi pas?*

Pobyt w górach zaczął się Emile'owi podobać i z mniejszą niecierpliwością myślał o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się z powrotem w Paryżu, choć i tak najpóźniej w poniedziałek będzie musiał wrócić do domu ze względu na swój cotygodniowy wtorkowy występ w telewizyjnej dyskusji przy okrągłym stole. Ale na razie znalazł w hotelu Croix St. Bernard zaciszny kąt w pokoju karcianym, gdzie mógł spokojnie pracować, a do tego międzynarodowe towarzystwo narciarzy, Anglików, wiele pięknych kobiet - choć przelotny romans z panną Venn musiał się skończyć - oraz bardzo dobrą kuchnię, która interesowała go jak każdego Francuza, nawet jeśli był intelektualistą. Rytm życia eleganckiego hotelu działał na niego kojąco, podobnie jak na większość hotelowych gości, którzy nie chodzili na dyskoteki w miasteczku albo nie moczyli się w swoich wannach w sali spa po całym dniu spędzonym na stokach narciarskich.

Zastanawiając się nad zamieszaniem wokół Venna i liczbą osób, które zaczęły pojawiać się w związku z nim w hotelu, zaczął powoli dochodzić do wniosku, że w grę wchodzi jednak znacznie większe pieniądze, niż początkowo przypuszczał. Nie pytał Geraldine o sumę - sam nie był chciwy. Ale Geraldine tak, więc z jej zainteresowania powinien być się tego domyślić. Niemniej Venn był Anglikiem, a wszyscy Anglicy najwyraźniej byli biedni jak mysz kościelna, jeśli sędzić po wystrzępionych rękawach marynarki i dziurawym swetrze, w jakim pojawiał się sławny angielski poeta Robin Crumley, który podobnie jak on sam nie jeździł na nartach i rano pracował w sali karcianej. Zawarli znajomość, gdy wymienili kilka słów na temat książki, którą Emile właśnie czytał, autorstwa P.G. Wodehouse'a. Emile znalazł ją na hotelowych półkach i wprawiła go w pewne

zdumienie. Emile słyszał o Crumleyu, a Crumley najwyraźniej sugerował, że słyszał o Emile'u.

Właśnie od tego poety Emile poznał niektóre hotelowe plotki, takie na przykład, że wśród gości są niekoronowane głowy europejskich domów panujących oraz pewna samotna, bardzo bogata Amerykanka - fortuna związana z elektroniką, a w każdym razie usługami lub innymi dobrami o wiele bardziej efemerycznej natury niż klasyczne źródła amerykańskich fortun, takich jak drewno, koleje czy ropa naftowa. Emile wątpił w domniemane rozmiary jej fortuny, podobnie jak powątpiewał w majątek Venna. Nie widział przy niej żadnych ochroniarzy ani dam do towarzystwa, ale ponieważ nie miał wątpliwości, że chodziło o dziewczynę, która była przyjaciółką Geraldine, łatwo mógł się dowiedzieć, jak jest naprawdę. Zgodził się z Crumleyem, że jest piękna.

- Wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby niezwykle bogate dziewczyny tak po prostu chodziły samotnie po świecie - wyraził swoją wątpliwość.

- A do tego jest taka urocza i radosna - zachwycał się Robin Crumley. - Nie wiem, czy kiedykolwiek zrobiła na mnie takie wrażenie czyjaś świeżość, i ten wdzięk - prawdziwa róża.

- Jak przypuszczam, jest pan żonaty - powiedział Robin podczas jednej z ich rozmów. Emile przyznał, że to prawda.

- Ja sam nigdy się nie ożeniłem. Nie miałem takich skłonności. Nigdy nie czułem zbyt dużego zainteresowania kobiecym ciałem. - W jego wyznaniu była pewna wyćwiczona gładkość, która powiedziała Emile'owi, że czynił je już wcześniej wielokrotnie i był przyzwyczajony do wypowiedzania tych słów. Dla Emile'a seksualne awanse, zarówno ze strony kobiet, jak i mężczyzn, nie były zaskoczeniem, i zwykle po prostu udawał, że ich nie słyszy, jeśli i tym razem o to chodziło.

- Zapewne pan się tego domyślił. Prawdę mówiąc, nigdy nie eksplorowałem mojej heteroseksualnej strony. Naprawdę wierzę, że każdy jest biseksualny, nie sądzi pan? I żeby teraz wreszcie się zakochać! Mam na myśli rozkoszną Amy.

- Zgadzam się, że jest bardzo ładna, ale to Amerykanka - powiedział Emile surowo.

- Lubię Amerykanów. Zachwyca mnie ich prostota i poczucie, że wszystko im się należy. Zwłaszcza ich prostota.

- A nie sądzi pan, że to odnosi się do wszystkich kobiet? - spytał Emile.

- Tak naprawdę coraz mniej myślę o fizycznej stronie. - Wyraz zatroskania na jego twarzy powiedział Emile'owi, że, *au contraire*, myślał o tym teraz coraz więcej i czuł się zakłopotany.

- Jestem gotów przyznać, że istnieje pewien teoretyczny albo arbitralny aspekt seksualności - powiedział Emile ostrożnie - ale ciało musi być gotowe podporządkować się temu, co mówi wola. - Miał na myśli Foucaulta, *pauvre type*.

- Niektórymi ludźmi rządzi ciało, ale to nigdy nie dotyczyło mnie - westchnął Robin Crumley.

Emile zignorował sugestię Geraldine, że powinien spotkać się z Amy Hawkins. Nie miał najmniejszej ochoty spotykać się z Amerykanami. Poświęcił niemało namysłu, atramentu i minut przy mikrofonie kwestii kulturowych różnic między oboma społeczeństwami i jak każdy szanujący się francuski intelektualista miał zwłaszcza jedno, dogmatyczne, niezachwiane i zasadniczo bezkrytycznie przyjmowane przekonanie, którego trzymał się z religijną żarliwością: wiarę w nienaprawialne zło Ameryki. Co naturalnie obejmowało także samych Amerykanów, choć znał tylko przerażające *decoratrice* przyjaciółki swojej teściowej. (Samą Geraldine lubił w taki sposób, w jaki mężczyźni zwykle lubią swoją teściową, to znaczy z pewną ambiwalencją, widząc w niej ucieleśnienie ostatecznej metamorfozy swojej żony). Geraldine najwyraźniej dobrze rozumiała, dlaczego Victoire ze swoją dobrocią i polityczną poprawnością potrafi czasami być nieznośna. Niemniej, paradoksalnie, choć lubił Geraldine - cenił powściągliwość, z jaką powstrzymywała się od komentarzy na temat sytuacji między nim a Victoire - nie ufał jej mieszaninie dobrego smaku i zmysłu do handlu.

Wszędzie znajdował przykłady odstręczających poczynań hałaśliwych, aroganckich, beczelnych, krzykliwe ubranych i agresywnych Amerykanów, którzy za nic nie potrafia zrozumieć innych kultur i absolutnie nie interesują się niczym poza sobą, troszcząc się jedynie

o hegemonię Ameryki. Dobrowolnie na pewno nie zmierzał nawiązywać znajomości z żadnym z nich i nie spodziewał się, że kiedykolwiek będzie musiał to zrobić.

Zauważył wprawdzie małą przyjaciółkę Geraldine o imieniu Amy, tak naprawdę nieco wyższą niż średniego wzrostu, którą widywał w barze po zamknięciu wyciągów albo podczas posiłków, zazwyczaj zawłaszczaną przez Crumleya i podstarzałego polskiego księcia oraz coraz częściej także przez innych gości. Dziedziczka fortuny? Gardził przyziemnym materializmem Anglika oraz innych, którzy krażyli wokół niej - coś, czego nie mógł nie zauważyć, choć nie wątpił, że zauroczenie Crumleya ma także inne podstawy. Ona sama z daleka wydawała się naturalna i pełna radości - jak wszyscy Amerykanie z tymi swoimi uśmiechniętymi maskami i nieprzeniknioną urodą pustych twarzy, być może odzwierciedlających ich pustkę wewnętrzną.

Trochę zbiło go z tropu, gdy zauważył w barze przed kolacją Kipa, chłopca, który opiekuje się małym przyrodnim braciszkiem Victoire, w towarzystwie tej samej amerykańskiej przyjaciółki Geraldine. Mimo nalegań Geraldine nie próbował jej się przedstawić, ale przewidywał, że coś w obecnej sytuacji sprawi, że będzie musiał to zrobić.

Czując na sobie jego - albo czyjeś - spojrzenie, Amy i Kip w tej samej chwili odwrócili się. Emile, przyłapany na tym, że się im przygląda, skłonił się lekko. Amy przeniknęła niemal nieprzyjemna fala niepokoju. Najwyraźniej ten mężczyzna także na innych działał w podobny sposób.



## ROZDZIAŁ 19

Ostatecznie usankcjonowano zwyczaj Amy siadania przy stole Kipa i zamiast podawać jej przy jednoosobowym stoliku, prowadzono ją teraz od razu do stołu Kipa i Harry'ego, gdy wchodziła do sali jadalnej. Na czas lunchów razem z Kipem zainstalowali przy stoliku także mademoiselle Walther, ale po jednej z kolacji Amy poczuła, że wyczerpał jej się zasób tematów, na które może rozmawiać z Kipem, i zaczęła zapraszać do ich stołu inne osoby. Tego wieczoru usiadł z nimi Joe Daggart, Amerykanin z Genewy, który, jak się okazało, mieszkał w sąsiednim pokoju. Chciała przede wszystkim spytać go, czy nie wie czegoś o możliwości skorzystania z pomocy szwajcarskich służb ratunkowych.

Nie wiedział wiele na ten temat.

- Jestem konsultantem w sprawach ekstradycji - wyjaśnił. - Można też nazwać mnie negocjatorem. Reprezentuję amerykańskie władze stanowe i federalne podczas rozmów na temat warunków ekstradycji. Rządy europejskie często nie chcą zgodzić się na ekstradycję amerykańskich przestępców, kiedy grozi im kara śmierci, więc moja praca polega na tym, żeby uzgodnić, na jakie ustępstwa możemy pójść - nowy proces, obniżenie wyroku, dożywocie zamiast kary śmierci - aby dostosować się do ich poglądów. Staram się ustalić, jakie gwarancje jesteśmy w stanie dać Europejczykom i na jaki kompromis oni są gotowi. Pracuję teraz nad strasznym przypadkiem faceta, który uduślił czterech dziesięcioletków koło lodowiska. Trzymają go w więzieniu w Deauville.

- Mój Boże, nie zamierza pan chyba pozwolić na to, żeby się wywinął - powiedziała.

- Nie całkiem, ale to zawiła sprawa, gdy w grę wchodzi kara śmierci - powiedział. - Staramy się namówić amerykańskich prokuratorów, żeby występowali zamiast tego o dożywocie bez możliwości warunkowego zwolnienia, ale to często trudne, ponieważ w swoim stanie stykają się z presją natury politycznej. Każdy chciałby usmażyć tego łotra. Czasami impas może się ciągnąć latami.

Amy, który niewiele wiedziała o prawie kryminalnym, uznała, że to fascynujące. Lubiła Daggarta. Miała zamiar zadać mu kilka ogólniejszych pytań na temat tego, co sądzi o życiu w Europie, czy tęskni za Ameryką i tak dalej, ale postanowiła trzymać się z dala od polityki, ponieważ wyczuwała, że ich poglądy mogą się bardzo różnić.

W tej chwili wiedziała już dość, by nie mieszać się w sprawę spadku, nawet jeśli dotyczyło to losu Kipa, i na pewno nie zamierzała wtrącać się w kwestie europejskiej etyki medycznej. Mimo to nie widziała powodu, dlaczego nie miałyby poprosić Daggarta o pomoc w wynajęciu jakiegoś ambulansu, który mógłby uratować siostrę Kipa i jej męża.

- Na pewno zna pan ludzi z Czerwonego Krzyża albo Medecins Sans Frontieres i innych organizacji tego rodzaju - nalegała.

Daggart rzeczywiście miał pewne znajomości. Ubezpieczenie ostatecznie pokryje koszty tego kosztownego przedsięwzięcia, o to się nie martwiła, ale dostrzegała od razu, że podobnie jak w Ameryce, agencje ratunkowe będą zachowywały nieufność tam, gdzie w grę wchodziły roszczenia ubezpieczeniowe. W Stanach łatwiej byłoby znaleźć samolot, gdyby mogła zaoferować zapłatę z góry - czy w Europie może być inaczej? Ustaliła w myślach przypuszczalny limit kosztów - ale jak można wyznaczyć cenę za ludzkie życie? Złożyła swoją propozycję panu Osworthy'emu po spotkaniu pod znakiem ostryg, na co z wdzięcznością odpowiedział, że się zastanowi.

- Chce pani powiedzieć, że dysponuje pewnymi środkami i może je z góry wyasygnować na pokrycie kosztów? - spytał ostrożnie, niepewny, czy mogą istnieć jakieś finansowe implikacje, jakieś wielkie pieniądze stojące za Kerry Venn. - Tutejsze służby są przyzwyczajone jedynie do organizowania transportu do Lyonu osób z nieskomplikowanymi złamaniami, rodzących kobiet albo ofiar

wylewu. Chorych bardzo często przewozi się samolotem do Anglii, ale najwyraźniej nie osoby podłączone do urządzeń podtrzymujących życie i tylko wtedy, gdy stan chorych jest stabilny. Moim zdaniem Venn wygląda całkiem stabilnie. Odkąd tu jestem, nie drgnęła mu nawet powieka.

- Spodziewam się, że pieniądze wyłożone z góry mogłyby pomóc. To kosztowne przedsięwzięcie. Firmy ubezpieczeniowe bardzo powoli wypłacają odszkodowania i nikt nie lubi mieć z nimi do czynienia.

- Pieniądze rzeczywiście pokonują wiele skrupułów. Dziękuję, panno Hawkins, wykazuje pani niezwykle zrozumienie sytuacji. Oczywiście to także w interesie pani klientki.

- Nie wiem, co ma pan na myśli. Po prostu przejmuję się losem pani Venn.

Teraz opowiedziała o całej sprawie Joemu Daggartowi.

- Jeśli potrzebują pieniędzy z góry, mogę je wyłożyć. Chciałabym pomóc.

- Nie mam pojęcia, kto mógłby się tym zająć, ale z powodu innej sytuacji, w której się znalazłem, rzeczywiście wiem coś na temat kosztów. To będzie około dwudziestu tysięcy dolarów. - Spojrzał na nią uważnie.

- W porządku. Stawką jest ludzkie życie. W końcu i tak dostanę je z powrotem.

- Victoire - powiedziała Geraldine. - Wezmę Nike i Salome na kilka dni do siebie, żebyś mogła pojechać do Valmeri pomóc Emile'owi. To nie w porządku z twojej strony, że cię tam nie ma i musi sam przez to wszystko przechodzić, wśród obcych ludzi i ich rodzinnego dramatu. Powinien mieć przy sobie swoją żonę.

- Wątpię, żeby tak powiedział, *maman* - odpada Vee. - To w ogóle nie przypomina słów Emile'a.

- Tak rozumiałam jego prostą uwagę: „Chciałabym, żeby Victoire tutaj była”. Interpretuj to sobie, jak chcesz. Ale myślę, że każdej parze dobrze robi kilka dni wspólnie spędzonych tylko we dwoje, w ładnym hotelu. - To była najbardziej bezpośrednia uwaga, jaką kiedykolwiek poczyniła na temat małżeńskich problemów córki.

Na takie dictum Vee nie mogła już dłużej protestować, zwłaszcza że Geraldine rozwiązała wszystkie jej wątpliwości: może odwołać jedno spotkanie grupy zabawowej i pojechać po występie swojego tria z okazji uroczystego otwarcia domu towarowego. W umyśle Vee rozpoczął się pewien subtelny proces refleksji nad całą sytuacją i zaczęła zadawać sobie pytanie, czy przypadkiem w sprawie swojego umierającego ojca nie była zbyt nonszalancka i nie zachowała się w sposób niegodny córki. Przypuszczalnie chodziło jedynie o jej urażoną dumę i rozczarowanie, że nigdy się nie pofatygował, by ją zobaczyć - dlatego wcześniej odmówiła wyjazdu i nie chciała go widzieć. Jednak teraz prawie żałowała pospiesznej reakcji i zaczęła dostrzegać, że było coś samolubnego w odmawianiu umierającemu człowiekowi satysfakcji z zobaczenia swojej dawno zapomnianej córki - o ile coś takiego by poczuł.

Może pozostałe dzieci przyniosły mu jedynie rozczarowanie i ucieszyłyby się na widok dziecka, które wiodło ciekawe, pożyteczne życie i samo miało śliczne dzieci. Być może powinna zabrać ze sobą Nike i Salome? Może iskra szczęścia i nadziei, jaka ogarnie go na ich widok, będzie właśnie tym, co w decydujący sposób poprawi jego szanse na przeżycie? Słyszała, że czasem tak bywa. Jak mogła do mego nie pojechać, jeśli istniała możliwość, by go uratować, bez względu na osobiste uczucia? Kiedy więc Geraldine jeszcze raz zaczęła namawiać ją na wyjazd, Vee sama prawie się już zdecydowała, a jej obowiązek stawał się dla niej tym bardziej oczywisty, odkąd się dowiedziała, że zależało na tym Emile'owi. Musi pojechać. Załatwiła inną flecistkę na zastępstwo, w piątkowe popołudnie odebrała ze szkoły Nike i Salome i zawiozła je do Geraldine, po czym wsiadła do metra i pojechała na Gare de Lyon.

Droga do tego, by ponownie znaleźć się w łóżku z Emile'em, okazała się znacznie prostsza, niż Posy ośmielała się marzyć. Jak sama sobie mówiła, to nie była kwestia świadomego planu, ale przeznaczenia kierującego ich impulsami. Najpierw okazja: po kolacji Rupert poszedł wcześniej do siebie, mając na względzie poranną wyprawę narciarską. Potem miły towarzyski nastrój, jaki ogarnął ich wszystkich

pod wpływem wina wypitego do kolacji - Emile jadł tego wieczoru z Robinem Crumleyem i elegancką parą namiętnych frankofilów z Monachium, który widzieli zarówno Crumleya, jak i Emile'a w programie poświęconym książkom *A Lire* na kanale Arte. A później jeszcze kilka drinków w barze po kolacji i rozmowa o wspólnych troskach związanych z narodowym spektaklem śmierci biednego Venna, dzięki czemu wkrótce osiągnęli nastrój porozumienia, które w naturalny sposób wykroczyło poza ten przygnębiający temat i przeniosło się w bardziej sprzyjające życiu obszary wzajemnego zainteresowania i pożądania.

W oczach Emile'a, który jak wszyscy intelektualiści o lewicowych poglądach w głębi serca był romantykiem, Posy wydawała się doskonałą wersją jego żony Vee - bardziej zaokrągloną, bardziej impulsive, absolutnie kipiącą seksem i nieznanymi możliwościami. Obdarzoną do tego dodatkowym urokiem jako przedstawicielka lodowatej rasy Brytyjczyków, dzięki czemu podbój przynosił także satysfakcję polityczną. Oto siostra, którą los po prostu mu przeznaczył.

Reakcje Posy były mniej teoretycznej natury, i nic właściwie nie skłaniało jej do dłuższych rozmyślań, jeśli nie liczyć związków łączących Emile'a z jej hipotetyczną przyrodnią siostrą. Jednak związki łączące ją samą z nieznaną Vee całkowicie wyparowały z jej pamięci pod wpływem gorącego pragnienia, by poddać się woli tego wspańskiego szejka/Francuza. Poszli oboje do pokoju Emile'a. Jak powiedzieli sobie, zasłużyli na odrobinę ostatniej przyjemności, zważywszy na to wszystko, przez co muszą przechodzić - przygnębienie, smutek, nudę. Spotkanie przyniosło oszałamiający sukces, prawdziwą zmysłową ucztę, pełną poczucia bliskości i energii, jakiej Posy nigdy nie zaznała w podobnych okolicznościach. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma w tej materii jakichś ogromnych narodowych różnic, o których nikt jej nigdy wcześniej nie wspomniął. Sprawa zdecydowanie zasługiwała na bliższe zbadanie. Entuzjastycznie postanowili, że muszą ponownie spotkać się jutro, gdy będą już mieli za sobą obowiązki przy łożu umierającego, może po lunchu albo tuż przed kolacją, co będzie wyglądało, jakby poszli się przebrać do swoich pokoiów.

## ROZDZIAŁ 20

W piątek padał tak gęsty śnieg, że trzeba było zrezygnować z wyprawy do Saint- Jean-de-Belleville. Z nieba zasnutego szarozółtymi chmurami na dachy domów wirującymi falami sypały się płatki śniegu, unoszone w podmuchach wiatru, który zmusił organizatorów do zamknięcia wyciągów. Porywisty wiatr tłumił odgłosy pługów śnieżnych szykujących się już do akcji, by oczyścić szlaki narciarskie. Poranny biuletyn śniadaniowy informował gości, że górne trasy są tego dnia nieprzejezdne, temperatura minus dwanaście stopni. Amy, choć nie miała wyczucia do temperatur podawanych w stopniach Celsjusza, wiedziała, że jest zimno.

Mimo to Rupert wdział swój strój narciarski i zdołał kilka razy zjechać tam, gdzie to było możliwe, w statecznym tempie człowieka, który raz na rok spędza tydzień na nartach, sprawnie, ale ostrożnie, z mocnym postanowieniem, że będzie dynamiczniej atakował muldy następnego dnia, kiedy widoczność się poprawi. W pewnym momencie śmignął koło niego na snowboardzie Kip Canby, rozpoznawalny z tyłu po kostiumie w kolorze khaki i niebieskim hełmie, i zniknął, zanim Rupert zdołał się zorientować, kto to taki.

Amy z ulgą przyjęła fakt, że tego dnia nie będzie jeździć na nartach, dzięki czemu nie miała sobie za złe, że została w hotelu, by popracować nad sprawą przewiezienia pana Venna do Anglii. Potem, o jedenastej, będzie mogła wybrać się na lekcję gotowania, na co do tej pory zabrakło jej czasu. Zjadła śniadanie samotnie - Kip i Harry nie zeszli jeszcze na dół - po czym zaczekała do dziewiątej, kiedy to, jak sądziła, rozpoczynają pracę biura w Szwajcarii. Po powrocie

do swojego pokoju zatelefonowała do kilku miejsc; tym razem nie miała problemów językowych, wszyscy mówili po angielsku.

Amy zwykle sprawnie stawiała czoło wyzwaniom i nie sądziła, że mogłoby się jej nie udać, nawet jeśli pan Osworthy nie dał sobie z tym rady. Sfinansowanie transportu Venna samolotem było także karmicznym gestem służącym idei wzajemnej pomocy. Szczęście nie- sie człowieka tylko tak długo, dopóki nie poczuje, że sam powinien zacząć dawać światu coś od siebie. W ten sposób można utrzymać minimalną równowagę w kosmosie, dzięki której zasługuje się na dar od losu. Była szczęśliwa, że los dał jej taką szansę i mogła poświęcić tej sprawie trochę wysiłku.

Szybko dostrzegła błąd Osworthy'ego: zrozumiała, że powoływanie się na tym etapie na ubezpieczenie przynosi skutek zgoła przeciwny do spodziewanego. Nawet jeśli przewiezienie Venna ostatecznie było sprawą jego ubezpieczenia, wiedziała, że każdy, od Czerwonego Krzyża po Lekarzy Bez Granic, zareaguje chętniej, słysząc o zapłacie za przelot w gotówce. A to akurat mogła zagwarantować swoją platynową kartą kredytową. De to może kosztować? Sprawy związane z wypłatą ubezpieczenia zostaną w końcu załatwione i nie martwiła się tym, ale na razie, kierując się ogólnymi instrukcjami Joe Daggarta, zadzwoniła do kilku agencji z listy, jaką ułożyła za pomocą minitelu w biurze Christiana Jaffe'a. Wkrótce mogła podzielić się z Osworthym wiadomością, że samolot do przewozu chorych, należący do szwajcarskiej alpejskiej powietrznej służby ratunkowej SAARM, może wylądować w Albertville jutro rano, w zależności od pogody i pod warunkiem, że nie będzie potrzebny w jakiejś pilniejszej misji humanitarnej. Przewiezienie Venna do samolotu czekającego w Albertville zajmie godzinę, lot do Anglii półtorej godziny, tak więc znajdą się w Stansted jutro w południe. Fascynował ją dramatyzm tej sytuacji - ambulanse, heroiczny pośpiech, sanitariusze w białych fartuchach czekający na lotnisku w Londynie.

- Bogu niech będą dzięki, świetna robota, panno Hawkins, sam nie byłbym w stanie zmobilizować tych ludzi. Wy jankesi! - powiedział Osworthy.

Podobała jej się także myśl, że sfinansowała całą akcję. Nie była obojętna na swoje pieniądze. Uwielbiała rozmyślać o tym, jak

zdziwieni byliby wszyscy, gdyby dowiedzieli się o rzeczywistych rozmiarach jej majątku. Ją samą to zdumiewało, ilekroć o tym pomyślała, co robiła jednak zaskakująco rzadko, mniej więcej raz na dzień, gdy sprawdzała swoje konta w biurach maklerskich albo rozmawiała z Sigrid. Jednak pieniądze nie miały nad nią władzy, wyzwoliły ją i od czasu do czasu małe przypomnienie, ile może zrobić dla innych dzięki dostępowi do dużych sum gotówki, przesywało ją dreszczem niczym po przytknięciu czegoś słodkiego lub zimnego do wrażliwego zęba.

Rozmawiała także przez telefon z Geraldine. Tego ranka Geraldine, Tammy i Wendi Le Vert spotkały się, by omówić sprawę mieszkania dla Amy, ale zanim zajęły się interesami, wysłuchały wiadomości o swoich mężach i dzieciach. Były lojalnymi matkami i lojalnymi przyjaciółkami, zżytymi ze sobą, do pewnego stopnia oczywiście - granice wyznaczały nadmierny krytycyzm lub wścibstwo. Uśmiechały się wyrozumiale, słuchając, co ostatnio przytrafiło się Victoire albo Laure, albo Corinne, i często potrafiły sobie nawzajem pomóc, jeśli mąż którejś znał akurat konsultanta w Hôpital Salpetriere, szukał księgowego lub znalazł malarza godnego zaufania. (Madame d'Argel z trzeciego piętra - Estelle - z którą także utrzymywały serdeczne kontakty, nie należała do najściślejszego kręgu przyjaźni, gdyż była nazbyt zajęta swoją karierą powieściopisarki, ale także z powodu skłonności do przechwalania się sukcesami dzieci, zwłaszcza córki Anne-Sophie, która niedawno wyszła za mąż). Zastrzeżenia, jakie Geraldine, Wendi i Tammy czuły na myśl o tym naruszeniu przez nią niepisanej umowy, były zbyt delikatnej natury nawet dla nich samych, by mogły na ten temat rozmawiać. Jednakże posiadanie przez jedną z nich nazbyt doskonałego potomstwa narażało na szwank zasadę lojalności i gotowości do pomocy przyjaciółkom, zasadę, którą każda lubiła pielęgnować u siebie. Ale oczywiście Geraldine miała Victoire, która na swój sposób także była idealna.

- Mam u siebie Salome i Nike na weekend. Victoire jedzie na południe, do Valmeri, żeby być razem z Emile'em. Jej ojciec nadal leży na oddziale intensywnej opieki. - Geraldine pokrótce opisała sytuację.



Wszystkie zgodziły się, że Emile zachował się niezwykle wspaniałomyślnie i że Victoire słusznie zapragnęła usiąść u łóża swojego ojca, co było także wyrazem jej roztropności.

Przechodząc od sprawy wystroju wnętrz, Tammy powiedziała:

- Wydaje mi się, że w salonie najlepszy będzie taki sam ciemny turkus, jaki mają w Sceaux. Czy widziałyście *chateau* w Sceaux? - spytała Tammy. - Wokół rozciąga się park, główny salon jest pomalowany na ten śliczny ciemnoturkusowy kolor, do tego jasnozielone boazerie, biały sufit oraz żyrandol. Pokój Amy wręcz domaga się prawdziwego kryształowego żyrandola. Zawsze mówię ludziom: jeśli cię na to stać, nie trać okazji.

- Mnóstwo ludzi korzysta z pomocy Wendi Le Vert. Bardzo trudno wszystko samemu załatwić, jeśli się nie mówi po francusku - Geraldine zapewniła Amy.

Amy z mieszanymi uczuciami myślała o wynajęciu kogoś takiego jak dekorator wnętrz, wierząc, że więcej skorzystałaby, gdyby zajęłaby się tym sama, nawet gdyby zrobiła przy tej okazji kilka błędów. Jednak z drugiej strony pomyślała, że miałyby pójść do francuskiego sklepu kupować coś takiego jak materac, wymagał o wiele więcej wysiłku i siły woli, niż to było w rzeczywistości warte. Wolałaby raczej wybrać się razem z Wendi po rozmaite ozdobne elementy wyposażenia. Kiedy Wendi będzie wynajdywać różne rzeczy i negocjować ceny, Amy mogłaby dawać wyraz swoim uczuciom lekko dostrzegalnymi skinięciami, stopniowo zdobywając doświadczenie i znajomości rzeczy. Ale na razie niech Wendi sama zajmie się sprawą łóżka, ręczników kąpielowych i innych podobnych drobiazków. Powiedziała więc, że mogą zaczynać.

Po rozmowie z Geraldine na moment ogarnęło ją uczucie osamotnienia, nie tyle tęsknota za domem, ile świadomość oddalenia od domu, trochę tak, jakby stała na kawałku góry lodowej, który właśnie oderwał się od masy lodu i unosił ją w głąb zimnego, mrocznego oceanu tajemnic i niepewności, w stronę nieprzeniknionych i trochę nieprzyjaznych nowych cywilizacji, które zmuszą ją do zmiany wszystkich przyzwyczajeń. Z jakiegoś powodu pomyślała o zwałistym ciele barona Ottona i o tym, że ona sama jeździ teraz na nartach lepiej

niż dawniej, oraz o tym, że każdy dzień przynosi jej nowe wyzwania i dowody ciągłego doskonalenia się. Z tymi myślami, w nieco lepszym nastroju zeszła na dół na lekcję gotowania.

Temat lekcji został zaanonsowany na tablicy ogłoszeń umieszczonej obok recepcji w hotelowym lobby: *bisque d'homard* oraz *timbale de saumon*. O jedenastej, w wyznaczonej porze, Amy zjawiła się przed drzwiami eleganckiej, nieskazitelnej kuchni - stalowe stoły, półki pełne lśniących miedzianych naczyń i kotły parującej zupy. Dostała fartuch, razem z dwiema Japonkami, jakąś niemiecką parą, przystojnym mężczyzną znanym z telewizji - który, jak się teraz domyślała, jest zięciem Geraldine - poetą Robinem Crumleyem, jakimś mężczyzną z Luksemburga oraz pulchną Rosjanką i jedną z jej córek. Szefkuchni, monsieur Jaffe, wkroczył do sali, roztaczając wokół siebie aurę majestatu. Będzie mówił po francusku, powiedział do nich przyjaźnie, a jego córka Christine przełoży jego słowa na angielski. Miał nadzieję, że dadzą sobie radę za pomocą tylko tych dwu języków. Wszyscy wyrazili zgodę. Za szefem kuchni, na ladzie leżały dwa ogromne homary, łypiąc zło-wrogo i wymachując szczypcami związanymi gumową taśmą.

Monsieur Jaffe wyjaśnił, że kursanci będą uważnie obserwować każdy etap procesu przygotowywania potrawy, a potem podzieleni na dwa pięcioosobowe zespoły powtórzą czynności, które właśnie zobaczyli w wykonaniu szefa kuchni. Dzięki temu Amy wkrótce musiała utoczyć kulę z mąki i masła, co nie okazało się zbyt trudne, i posiekać szalotki, co także zdecydowanie nie przekraczało jej możliwości.

- *A roux, a roux* - podśpiewywał Robin Crumley wprawiony w poetycki trans przez muzykę tych sylab, gdy niezgrabnie pracował obok niej. Obie Rosjanki znajdujące się w jej zespole najwyraźniej nie chciały wykonywać tych prostych czynności, ale uśmiechały się zachęcająco, gdy Amy przekazała nóż Crumleyowi, a on następnie drugiemu mężczyźnie, doradcy inwestycyjnemu z Luksemburga. Śmiejąc się i ustępując sobie nawzajem miejsca, ugotowali szalotki na parze i zrumienili *roux*, po czym zaczęli dodawać rybio pachnący wywar, który, jak wyjaśnił pan Jaffe, wykonano wcześniej, ale który sami zrobią wkrótce od podstaw, wykorzystując do tego skorupy homarów.

- A teraz przygotowujemy *monsieur homard* - ogłosił szef kuchni, podnosząc jedną ze swoich ofiar i pokazując swoim pełnym podziwu uczniom żywe stworzenie, które smętnie wymachiwało w jego stronę szczypcami i antenami. W jednej chwili pan Jaffe na ich oczach brutalnie rozerwał homara na kawałki. Szarpnięcie i chrzest. Oderwał mu głowę, potem szczypce, a następnie podzielił kręgosłup.

Amy wydawało się, że usłyszała wrzask nieszczęsnego stworzenia. Nawet Japonki, należące ponoć do okrutnej nacji, jeśli pamiętać o ich tradycji samurajów i Bataan, westchnęły głośno, zaszokowane.

Kiedy pierwszy homar został posiekany na kawałki, szef kuchni wręczył drugiego homara gwiazdzie telewizyjnej, panu Abboudowi. Mężczyzna wziął od niego stworzenie, popatrzył na nie, trzymając je możliwie najdalej od siebie, i po kilku sekundach oddał homara z powrotem.

- Nie potrafię tego zrobić - powiedział. - Wiem, wiem, jak w tej sytuacji mogę nazywać siebie Francuzem. A jednak... nie mogę. - Uśmiechnął się.

Amy pomyślała, że jest nieprawdopodobnie przystojny, jeśli lubiło się ten typ urody, i z pewnością poczuła szacunek dla jego niechęci do zabijania. Wszystkich pozostałych kursantów najwyraźniej ogarnął paraliżujący lęk, że zostaną wywołani do tablicy jako następni. Szybko, z nieco przeproszającym wyrazem twarzy, a jednocześnie ze wzgardliwym uśmiechem pod adresem swoich kolegów, Rosjanka wzięła homara i rozerwała go swoimi mocnymi rękami, szczypce oddzieliła od korpusu, głowę, ogon, i położyła wszystko na ladzie przed szefem kuchni, który zajął się wydobywaniem mięsa ze szczypiec i ogona oraz rozgniataniem skorup tylną częścią tasaka. W ciągu kilku sekund coś, co było żywe - choć Amy miała nadzieję, że pozbawione refleksji - zamieniło się w bezwładne składniki do produkcji zupy. To na pewno miało w sobie jakąś darwinowską ostateczność. Oto życie prawdziwie ulotne i brutalne; oto Francuzi, twardzi pragmatycy, pozbawieni współczucia dla pomniejszych ogniw łańcucha pokarmowego, zwłaszcza gdy w grę wchodziła kwestia honoru ich sławnej *cuisine*.

A w każdym razie coś takiego powiedział Robin Crumley, gdy po lekcji siedzieli nad małymi miseczkami *bisque* z homara i pojadali

*timbale* z łososia. Oba zespoły siedziały przy osobnych stołach w kuchni i podczas gdy kursanci jedli, szef kuchni Jaffe opowiadał im, jakie smaki powinni czuć w tym momencie. Amy zauważyła, że Robin jest najwyraźniej zaprzyjaźniony z panem Abboudem, i choć każdy z nich siedział z członkami swojego zespołu, obaj nieustannie komentowali do siebie przebieg lekcji.

- Oczywiście w Anglii mamy Royal Humane Society. Nie wiem, czy swoją aktywnością obejmuje także homary - szepnął Robin buntowniczo. - Nie mówiąc już o PETA, ludziach, którzy uwalniają szczury laboratoryjne. Myślę, że ten ruch powstał w Anglii, ale być może macie go także w Stanach.

- Może nie istnieje humanitarny sposób zabijania homarów - powiedziała Amy, która zawsze uważała, że wrząca woda także jest metodą straszliwie okrutną.

Wrócili do swoich stanowisk pracy. Amy uzupełniła swój notatnik. Każde zdanie padające z ust Christine przynosiło nowy dowód kompletnej ignorancji Amy w elementarnych zagadnieniach sztuki gotowania. Każdy Francuz wiedział więcej niż ona. *Roux. Relever* - podsmażyć odrobinę na brązowo. Kto by pomyślał, że trzeba potłuc skorupy homara, a następnie je ugotować? Poczwała przyjemne pulsowanie w żyłach na myśl o godzinach kolejnych odkryć, jakie ją czekały, oraz na myśl, że jej własne dłonie, jak się okazało, mogą wyrobić odpowiednie ciasto. Wszystko było jedynie kwestią wytrwałości. Co za objawienie! Wiedziała teraz, że może zostać doskonałą kucharką.

Pod koniec lekcji, gdy ich umysły i notatniki wypełniły się dostatecznie, szef kuchni Jaffe ogłosił koniec zajęć.

- Poznałeś już pannę Hawkins? - powiedział Robin do Emile'a, gdy szli w górę po schodach. - Amy, pozwól przedstawić sobie Emile'a Abbouda.

Ponieważ nie mogli w tym momencie uścisnąć sobie dłoni, wymamrotali, że znają się nawzajem i wiedzą o swoich związkach z Geraldine, Emile nieco nieobecny tonem, myślami błędząc już przy randce z Posy. Aż do tej chwili Amy sądziła, że mężczyzną, który najbardziej pociąga ją fizycznie w hotelu, w każdym razie na tyle, by pójść z nim do łóżka, jest albo jej instruktor narciarski Paul-Louis,

albo, jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało, baron Otto. Przypisywała to magnetyzującemu oddziaływaniu nazistowskich łotrów w filmach, jakie z przyjaciółmi oglądała w dzieciństwie, złowrogich blondynów w bryczesach z pejciami w dłoni; oczywiście ona i jej przyjaciele kibicowali amerykańskim więźniom i bohaterskim brytyjskim szpiegom. Teraz jednak pojawił się Emile Abboud. Nieważne, w tym momencie niewiele myślała o mężczyznach, choć rzeczywiście zastanawiała się przez moment, czy baron Otto zabiłby homara, i była pewna, że zabiłby to bez wahania.

Mimo że Emile wywarł na niej korzystne wrażenie, patrzył na nią z nieskrywaną niechęcią - coś, do czego nie była przyzwyczajona.

- Słyszałem, że przez nikogo nieproszona wtrąciła się pani w *affaire* Venna - powiedział. - Nie powinienem się dziwić. Pani naród jest znany z wtrącania się w nie swoje sprawy.

- Ma pan na myśli samolot czy opiekunkę do dziecka? - spytała Amy zaskoczona jego wojowniczą uwagą i nie do końca pewna, w jaki sposób zięć Geraldine może być powiązany z Vennami.

- Samolot. Maitre Osworthy powiedział mi, że zorganizowała pani transport pana Venna do Londynu - odpad. - Mogę spytać, czemu się pani tym tak interesuje? Czy też po prostu chodzi jedynie o typowo amerykańskie aroganckie wtrącanie się gdzie nie trzeba? - Jego głos był równie chłodny, jak jego spojrzenie.

- Rany! - skomentował to Robin Crumley.

- Mają nadzieję, że uda im się uratować go w Londynie... w nadziei że... - powiedziała Amy niepewna i zdumiona. Kto mógł się sprzeciwić się misji o tak jednoznacznie dobroczynnym charakterze?

- Ten człowiek jest martwy, mademoiselle, to jest porwanie trupa. Jak sądzę, chodzi jedynie o to, żeby formalnie ogłosić, że umarł w Angin, i w ten sposób uniknąć francuskich podatków. Jestem zdumiony, że jakaś firma zajmująca się transportem medycznym i kierująca się etycznymi zasadami mogła się na coś takiego zgodzić. - Albo że jakaś osoba kierująca się etycznymi zasadami mogła coś takiego zorganizować, mówił jego ton.

Amy poczuła się zaszokowana, słysząc, że sprawa samolotu była jedynie manewrem mającym na celu uniknięcie płacenia podatków.

Nikt nie powiedział jej nic na temat rzeczywistego stanu Venna, a na podstawie tego, co mówił Kip, wyobrażała sobie, że walczy o życie. Czy więc to wszystko było jedynie kolosalną stratą czasu i pieniędzy, daremnym wysiłkiem? Nie chciała brać udziału w czymś tak kontrowersyjnym.

- Staram się jedynie pomóc Kipowi, młodszemu bratu pani Venn. Wydaje mu się, że reszta rodziny najwyraźniej nie interesuje się losem jego siostry.

- Aha. No tak, oczywiście, że o to pani chodzi. Jeśli to, że ten człowiek jest martwy, zostanie formalnie ogłoszone w Anglii, będzie lepsze dla niego, a raczej dla jego siostry.

Amy od zrazu zrozumiała, że w tej sprawie są jakieś kwestie, których nie rozumie i którymi powinna była zawczasu się zainteresować. Osworthy aluzyjnie coś o nich wspominał, ale nie wydawały się wtedy istotne.

- Być może nie jestem dobrze poinformowana. Może umówimy się później na drinka? - zaproponowała. - Byłabym wdzięczna, gdyby mi to pan wszystko wyjaśnił. - Na razie pomyślała, że będzie musiała się rozmówić z panem Osworthym.

- Dobrze. Przed kolacją - odpad, spoglądając na zegarek. - Pójdźmy o ósmej w barze.

- Myślę, że mam trochę czasu na spacer do miasteczka - powiedziała nagle. - To takie przyjemne, spacerować, gdy pada śnieg. - Ogarnęło ją jakieś pomieszanie, którego nie potrafiła wyjaśnić.

- Pójdę z panią - zaferował Robin Crumley. - Muszę kupić kilka pocztówek. Może pójdziesz z nami, przyjacielu?

- W tej chwili nie mogę - odpad Emile, jeszcze raz spoglądając na zegarek. - Mam *rendez-vous*. - I pospiesznie się oddalił.

## ROZDZIAŁ 21

Gdy inni brali lekcje gotowania, Kip, nie zmieniając narciarskiego stroju, pojechał do szpitala. Mimo śnieżycy udało mu się rano zjechać kilka razy. Nie przeszkadzało mu specjalnie, że niewiele widział, ale kiedy warunki stały się zbyt uciążliwe nawet jak dla niego, wjechał na górę wyciągu Biovill i zjechał aż do miasteczka, gdzie zostawił snowboard w *garde-ski* i złapał wahadłowy autobus do Moutiers, żeby popatrzeć na Kerry. Dręczyło go o wiele więcej niepokojów niż jedynie troska o jej zdrowie. Ile będzie kosztował szpital? Czy Amy miała rację, mówiąc, że mogą mu kazać za niego zapłacić? Czy opiekunka do dziecka, mademoiselle Walther - strasznie oficjalny tytuł dla osoby niewiele starszej od niego, która zachowywała się raczej jak nastolatka - rzeczywiście właściwie zajmuje się Harrym? Co to znaczy, że Anglicy chcą zabrać Adriana do Londynu, ale nic nie mówią o Kerry? I co miałyby zrobić, gdyby umarła? Gdzie miałyby mieszkać?

Jednak najbardziej w tym momencie ciążyło mu co innego. Kiedy zastanawiał się nad powszechnym przekonaniem, iż to amerykańskie samoloty spowodowały lawinę, uświadomił sobie, że jeśli mogła to zrobić wibracja odgłosów lecącego samolotu, równie dobrze mógł ją spowodować on sam. Pamiętał to bardzo dobrze. Jechał na desce z boczem ponad Adrianem i Kerry i był wtedy niemal sam na trasie snowboardowej, pełnejgórek i dołków. Czując rozpierającą go energię i rozkosz samotnej jazdy, w pewnej chwili bardzo głośno zawołał z radości i po chwili okrzyk wrócił do niego echem z wielu stron odbity od ścian wąwozu. Przyszło mu teraz do głowy coś strasznego,

nie do pomyslenia: przypuszczalnie sam spowodował lawinę. Ludzie w końcu się tego domyślą. Nawet jeśli nie pójdzie do więzienia, wszyscy będą wiedzieli, że zabił swoją siostrę i jej męża, i nie dostanie żadnych pieniędzy, nie pozwolą mu kontaktować się Harrym i będzie musiał się gdzieś wynieść.

- *Bonjour, Kiiip* - powiedziała jedna z pielęgniarek, ta, która, zdaje się, lubiła go i cieszyła się, kiedy przychodził. Udoskonalił swoje „*Bonjour*” i „*A bientôt*”, podobnie jak jego przyjaciółka Amy, dzięki czemu pozdrawiali się teraz tym słowami w hotelu albo na stoku. Usiadł na krześle stojącym obok łóżka Kerry i zaczął jak zwykle do niej mówić.

- Cześć, Kerry, to ja, Kip. Jestem tutaj. Po prostu przyszedłem ci powiedzieć, że u Harry'ego wszystko w porządku. To wspaniały chłopiec. Ostatniej nocy nawet nie płakał tak dużo. Sam zjadł trochę przetartej marchewki. Je sam całkiem dobrze. - W mniej więcej podobny sposób opowiadał jej o wszystkim, co przyszło mu do głowy.

Posy Venn jak zwykle siedziała ze swoją książką, czuwając przy ojcu. Kip pomyślał, że jest szalenie seksowna, równie seksowna jak Amy, chociaż inaczej, i bardzo pragnął, żeby zachowywała się tak, jakby go dostrzegała. Tego dnia uśmiechnęła się do niego lekko, co stanowiło pewien postęp. Wydawała się łagodniejsza i przyjaźniejsza; poprzednio często miała gniewną minę.

- Hej, jak się miewa dzisiaj Adrian? - spytał Kip.

- Tak samo - westchnęła Posy. - Możliwe, że samolot będzie dzisiaj późnym popołudniem, jeśli przestanie padać śnieg, albo jutro rano. Nie wiem, czemu to ma jakieś znaczenie, czy pada śnieg. Sądziłam, że mają w samolotach odpowiednie urządzenia.

Kip pomyślał, że może porozmawiać o tym z Kerry.

- Zamierzają zabrać Adriana do Londynu - powiedziała. - Chciałabyś tam pojechać, Kerry? Chcesz pojechać do Londynu?

Nagle ogarnęło go poczucie, że Kerry go słucha. Najwyraźniej zaszła jakaś zmiana w jej głębokim bezruchu, może poruszyła się trochę albo zamrugnęła oczami. Zrozumiała go i odpowiedziała, był tego pewien.

- Hej! - zawołał. - Odpowiedziała mi.



Posy spojrzała na niego znad książki.

- Naprawdę?

- Popatrz. Hej, Kerry, chcesz jechać do Londynu?

Ale tym razem nie było żadnej reakcji ze strony Kerry.

- Kerry! Kerry? Chcesz zobaczyć Harry'ego? - Znowu wydawało mu się, że dostrzegł jakiś minimalny znak potwierdzenia, drgnienie odpowiedzi, jak gdyby gałki oczne poruszyły się pod jej zamkniętymi powiekami. Podekscytowany pobiegł powiedzieć o tym pielęgniarce, która przyszła i zaczęła ją szturchać i otwierać jej powieki. Ale nie zauważyła żadnej zmiany.

- *Rien. Desolee.* - Niemniej zaczęła przymocowywać do ramienia Kerry jakieś inne urządzenie.

Ale on widział jakiś ruch, był tego pewien i zamierzał powiedzieć o tym doktorowi Lammowi.

- Posy, powiedz im o tym, widziałem to - błagał Kip.

- Tak, oczywiście, ale... O Boże! - zawołała Posy. - Muszę lecieć, jestem spóźniona, to nie do wiary, że tak późno.

Z wyraźnym przerażeniem na twarzy wybiegła, nie spoglądając za siebie. Kip wiedział, że tak naprawdę wcale nie interesowała się tym, czy Kerry zaczyna wracać do przytomności. Błagał pielęgniarki, żeby wezwały lekarza i spróbowały jeszcze raz obudzić Kerry. Wiedział, że na chwilę wróciła do życia, i chciał podzielić się z innymi swoją ulgą i swoją radością.

Posy była spóźniona na randkę z Emile'em. Umówili się, że spotkają się przed kolacją, gdy nikt nie zauważy ich nieobecności. Dyskretnie zastukała do jego drzwi. Czekał już na nią, objął ją i zaprowadził od razu do łóżka; przy jego wprawie i energii godzina minęła im szybko. Posy podniosła się z pościeli i zostawiając po sobie aurę zmysłowych zapachów i sennego ciepła, ubrała się, a Emile'a pocałowała długo i namiętnie, po czym zrobiła szparę w drzwiach, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma na korytarzu.

- Za chwilę wstanę i spotkamy się w barze przed kolacją - powiedział Emile.

Wiercił się i układał wygodnie na łóżku, jakby się otrząsał z miłego postkoitalnego stuporu, i podziwiał pełne kształty Posy oraz dobrze

dobraną różowy sweterek. Na moment zapomniał o czekającym go spotkaniu w barze, gdzie umówił się z niebudzącą zaufania Amerykanką. Pomyślał, że Vee nie włożyłaby takiej spódnicy w kwiaty, ale Posy wyglądała w niej całkiem dobrze. Posy przyłożyła palec do warg i wymknęła się z pokoju.

Idąc z wyszukaną nonszalancją przez hotelowy hol w stronę schodów, zobaczyła, że przy kontuarze recepcji stoi kobieta, która mogła być tylko Victoire. Ubrana w ciemne dżinsy i biały sweter z golfem, była nieco drobniejszą, delikatniejszą, jasnowłosą, szczuplejszą i niezaprzeczalnie francuską wersją jej samej - Posy rozpoznała w niej samą siebie. Z początku ucieszyła się, ale po chwili przeszył ją nagły dreszcz paniki. Żona zaraz otworzy drzwi hotelowej sypialni i zastanie swojego męża w środku popołudnia przewalającego się na łóżku wśród unoszącego się zapachu perfum i seksu. Czy powinna pobiec szybko i ostrzec Emile'a? Ale było już za późno - Christian Jaffe właśnie wyszedł z recepcji i podnosił małą walizkę, zapraszając Vee, żeby poszła za nim. Kiedy poprowadził ją obok Posy w stronę pokoju Abbouda, przez umysł Posy przebiegły najróżniejsze możliwości: schować się, patrzeć przed siebie, zatrzymać się i przywitać się z nią. Instynktownie wybrała to ostatnie.

- Przepraszam, ale czy przypadkiem nie jesteś Victoire?

Victoire z wyrazem zaskoczenia na twarzy powiedziała:

- *Oui*. - Ostrożnie pozostała na gruncie języka francuskiego.

- *J e s t e m* Posy Venn. Chyba jestem twoją przyrodnią siostrą. Miałam nadzieję, że się spotkamy.

Vee popatrzyła na nieco wymiętą kobietę o mocno zaróżowionych policzkach. Tak, dostrzegała w niej coś z siebie samej, bardziej okrągłą, kasztanowowłosą, zaróżowioną wersję samej siebie. Poczuła przypływ sympatii, roześmiała się radośnie i objęła Posy z siostrzanym entuzjazmem.

- Nie chciałam przyjeżdżać - powiedziała - ale teraz już się cieszę. Mamy tyle do omówienia. Musisz mi opowiedzieć wszystko o moim ojcu. Dobrze, wstawię tylko walizkę do pokoju i zaraz wracam.

Christian Jaffe z jej walizką w ręku ruszył w stronę pokoju. Posy nie mogła ich dłużej zatrzymywać. Jeśli będą mieli szczęście, Emile zdążył

już wstać z łóżka, może bierze prysznic albo przebiera się do kolacji. Ale szczęście nigdy mnie nie rozpieszczało, pomyślała Posy.

- Ty i, hm, twój mąż powinniście spotkać się z nami przed kolacją, a potem zjemy wszyscy razem. To znaczy z Rupertem. Powiem obsłudze jadalni - zaproponowała Posy.

Nadal ścisnęły swoje dłonie. Victoire roześmiała się pięknym dźwięcznym głosem i zgodziła się na wszystkie jej propozycje.

Cholera, pomyślała Posy, biegnąc do swojego pokoju, zauroczona Victoire równie mocno jak Emile'em. Chociaż jej mały braciszek Harry nie budził w niej żadnego zainteresowania, ogarnęło ją podniecenie myśl o tym, że będzie miała siostrę. Prawdziwa siostra stanowiła swego rodzaju ekscytująca, wyidealizowaną wersję samej sobie; obie były porzuconymi małymi dziewczynkami, a do tego Victoire miała urocze defekty - na przykład jej nos był trochę zaczerwieniony od zimna i mogłaby nakładać więcej makijażu.

W szpitalu rozpoczynały się właśnie wieczorne rytuały. Niemal niepostrzeżenie Kerry Venn zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, że jest w jakimś łóżku. Wiedziała, kim jest, i słyszała kroki rozlegające się w pobliżu oraz ludzkie głosy... podobało jej się, że słyszy głosy. Dzięki nim nie zapadała się ponownie w niebyt. Łatwo było osunąć się w to coś, co czaiło się pod nią, ale każdy odgłos kroków sprowadzał ją z powrotem, nie do jej ciała, bo wcale go nie czuła, ale do pewnych słów, które przepływały przez jej umysł, kobiecych głosów, ciepła pomieszczenia. Było jej wygodnie i niczego jej nie brakowało, była zadowolona, że nie jest częścią szepcików i nerwowych śmiechów albo odgłosów kroków, które rozlegały się gdzieś poza nią. Uświadamiała sobie, że ktoś tuż obok powiedział:

- Myślę, że chłopak miał rację! - *Le garçon avait raison.*

Amy i Robin Crumley postanowili, nie zważając na wiatr i śnieżycę, ruszyć na przełaj ośnieżonym zboczem między hotelem a drogą, przedzierając się na skrót do miasteczka ścieżką zasypaną przez głęboki, padający przez cały dzień śnieg. Anglik miał na sobie bardzo niedobre buty do takiej eskapady, a do tego cienką kurtkę z kapturem,

która bardziej przypominała płaszcz od deszczu. Amy parę razy chciała wyciągnąć w jego stronę rękę i go wesprzeć, ale przypuszczała, że nie miałyby ochoty, by traktowała go jak dżentelmena w pewnym wieku. Przejawiał nieco wymuszoną wesołość, którą szanowała, tak jak zawsze szanowała ludzi pokonujących przeszkody bez względu na trudności. Na czym polegały jego trudności, nie miała pojęcia, ale przypuszczalnie chodziło o pieniądze. Bez wątpienia poeci są dziś słabo opłacani. Postanowiła, że przeczyta jego wieszę.

Jednak właśnie w chwili, gdy rozkoszowała się myślą, że jest samotną Amerykanką w Alpach, ze zdumieniem zobaczyła jakiś amerykański pojazd wojskowy - jeśli się nie myliła - który zaparkował przed sklepem Produits Savoyard. Wyszło stamtąd dwu mężczyzn w mundurach niosących jakieś papierowe torby, a razem z nimi Joe Daggart. Pomachała do niego, ale najwyraźniej jej nie poznał, co nie było zaskakujące, ponieważ miała na sobie ciepłą kurtkę z kapturem, czapkę, szalik i gogle ochraniające przed śnieżycą i wiatrem. W tym stroju nie sposób było jej odróżnić od jakiegokolwiek innego przechodnia, który ostrożnie dreptał oblodzonym chodnikiem w nasilającej się śnieżycy. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła na drzwiach jeepa skrót USAF. Mężczyźni wskoczyli do środka i odjechali. Zobaczyła jeszcze, jak siedząc na tylnym siedzeniu, wyciągają z toreb kiełbaski. Joe Daggart nie zabrał się razem z nimi. Powitał Amy i Robina, kiedy podeszli bliżej, i wreszcie ich rozpoznał, być może zwłaszcza wysoką, chudą postać Crumleya w starej zielonej kurtce.

- Amy, Crumley. Jeździliście w tej śnieżycy?

- Byliśmy na lekcji gotowania - wyjaśniła Amy. - Czy tu jest w pobliżu jakaś baza lotnicza?

- Co? A, nie. To oficerowie łącznikowi z Genewy. Sprawdzają tu coś w związku z lawinami. Usuwanie szkód.

W sklepie z gazetami powitały ich krzyżące nagłówki informujące o odmowie Amerykanów przyjęcia odpowiedzialności za śmierć ofiar niedawnych lawin. Rozjuszona europejska prasa nie skąpiła szczegółów, podkreślając zwłaszcza śmiech rzecznika prasowego. Amy kupiła „International Herald Tribune” oraz „Financial Times” i usiłowała, stojąc wśród innych klientów przeglądających gazety i kręcących

głowami, rozszyfrować tytuły francuskich i włoskich gazet leżących na stojakach. „Jankesi zaprzeczają śmiertelnym wibracjom”. Nawet prasa brytyjska rozpisywała się o godnej pożałowania skłonności Amerykanów do wypierania się wszystkiego i zastraszania innych, zanim prawda wyjdzie na jaw, jak to się zawsze w końcu dzieje. Cytowano wypowiedzi ministrów francuskiego rządu, którzy oświadczyli, że wystąpią w tej sprawie w Hadze, Brukseli, Strasburgu. Amy pomyślała, że to w najwyższym stopniu niesprawiedliwe, gdyż Amerykanie badają już sprawę tych zarzutów; sama to widziała. Była pewna, że w dobrej wierze podjęto odpowiednie kroki, aby ustalić, czy odgłosy przelatujących samolotów rzeczywiście mogą wywołać lawinę. Gazety zawsze wydają pospieszne wyroki, pomyślała wzburzona, a potem nigdy nie przepraszają, kiedy okazuje się, że nie miały racji.

Robin Crumley przeglądał tytuły na półkach z książkami w języku angielskim.

- Pomyślałem, że może znajdę tu coś z moich rzeczy, żeby dać ci w prezencie - powiedział. - Ale nic nie ma. Francuzi nie interesują się angielską poezją. Tymczasem my, Anglicy, zgoła przeciwnie, podziwiamy francuskich poetów: Verlaine, Baudelaire, Villon. Mamy o wiele bardziej nabożny stosunek do literatury. Oni są tak bardzo skupieni na swoim języku, który skądinąd jest bardzo ograniczony.

- Ograniczony? - spytała Amy, dostrzegając w tym promień nadziei, że jej wysiłki mają jakiś wyraźnie zakreślony kres.

- Stosunkowo nieduże słownictwo, więc muszą tym samym słowem nazywać wiele różnych rzeczy, co stanowi dodatkowy problem.

Stojąc w długiej kolejce okutanych klientów sklepu, doszli do stanowiska kasjerki.

- I co teraz zrobicie? - spytała kasjerka, spoglądając na ich gazety.

Z czym? Amy nie miała pojęcia.

- Co mamy zrobić?

- Ludziom należy się przynajmniej jakieś odszkodowanie - oświadczyła kasjerka zaczepnie, kręcąc głową na myśl o ludzkiej perfidii, a zwłaszcza Amy. - Nie możecie się zachowywać, jakby się nic nie stało.

Podobnie jak przy innych takich okazjach Amy poczuła, że została reprezentantką wszystkich Amerykanów, i nie bardzo wiedziała, jak opanować gniew z powodu tej osobistej krytyki. Nie miała nic wspólnego z lawiną, a jednak obarczono ją moralną odpowiedzialnością za katastrofę; za całą kategorię ludzi, za cały naród; za ludzi, którzy nie mają z tym nic wspólnego. To było posługiwanie się stereotypami. Mówili „wy, Amerykanie”, jak gdyby Kalifornijczycy byli tacy sami jak mieszkańcy Missisipi. Czy oni nie wiedzą, jak wielka jest Ameryka, jak zróżnicowana? Poza tym cóż mieli Amerykanie wspólnego z warunkami śniegowymi panującymi w Alpach! Nie zamierzała wypierać się tego, że jest Amerykanką, ale nie godziła się na traktowanie jej jako reprezentantki jej rodaków. Nawet nie głosowała na obecnego prezydenta. Z całą pewnością nie.

Jednocześnie wiedziała, że powinna wzniesć się ponad osobiste resentymenty. Skoro europejska krytyka była taka ogólnikowa, nie dotyczyła jej osobiście. Europejczycy winili wszystkich Amerykanów.

A teraz będzie musiała stawić czoło panu Abboudowi i bez wątpienia narazić się na dalszą krytykę.

- Może byś poszedł razem ze mną? - zaproponowała Crumleyowi, kiedy wracali z powrotem do hotelu z gazetami wetkniętymi pod kurtki, starając się ochronić je przed wciąż padającym śniegiem. - Wydaje mi się, że jesteś w lepszych stosunkach z panem Abboudem niż ja.

## ROZDZIAŁ 22

Amy miała wrażenie, że pan Abboud, który czekał na nią w barze, jest teraz w innym nastroju niż podczas ich spotkania na schodach po lekcji gotowania. Wydawał się zrelaksowany, wyciszony i od czasu do czasu spoglądał w stronę drzwi. Kiedy razem z Robinem weszła do baru, podniósł się na ich widok, uśmiechając się serdecznie. Czego się napiją, spytał, może kir? Albo whisky?

- Jaki właściwie ma pani interes w wysyłaniu umierającego pana Venna do Angin - spytał Amy, wracając do tego tematu, gdy tylko zostali obsłużeni. - Nadal się nad tym zastanawiam, ponieważ to jest sprzeczne z moim interesem.

- Amy po prostu jest aniołem i robi różne rzeczy z czystej dobroci - zawołał Crumley. - A szpital Brompton jest oczywiście znany na całym świecie.

- A czy muszę mieć w tym jakiś interes? - spytała Amy. - Do prawdy, co za cyniczny pogląd na życie! To pewnie bardzo francuskie. - Nie była pewna, czemu ten mężczyzna swoim prowokacyjnym zachowaniem zmuszał ją do takich obraźliwych uwag na temat innych narodowości. To było zupełnie do niej niepodobne.

- Ludzie zwykle mają jakieś interesy. Ja sam interesuję się tą sprawą po części z motywów egoistycznych, a po części pod wpływem nieegoistycznego pragnienia, aby racjonalne francuskie prawa przewały nad angielskim chaosem - powiedział.

- No nie, doprawdy! - odezwał się Robin Crumley. - A na czym właściwie polegają różnice prawne?

Abboud przybrał teraz minę człowieka, który mówi do kamery telewizyjnej, i lekko kaznodziejskim tonem zaczął swoje wyjaśnienia.

- To zasadnicza różnica. Jeśli chodzi o testament, Anglik, dorobiwszy się fortuny, może poddać się wszelkim kaprysom swojego gasnącego umysłu - wynagrodzić pokojówkę, zapisać wszystko na schronisko dla kotów. Może ukarać swoje niewdzięczne albo nieudane dziecko, nie zostawiając mu ani grosza.

- Całkiem słusznie - powiedział Robin Crumley.

- We Francji z góry wiadomo, co kto dostanie. Dzieci uczestniczą na równych zasadach w podziale majątku, a małżonek otrzymuje jedynie niewielki procent. Nawet rodzice dziedziczą częściej niż małżonkowie, jeśli nie ma dzieci. Uważamy we Francji, że własność powinna pozostać w rodzinie, dzieci powinny być traktowane sprawiedliwie i żadne pokolenie nie może skazać następnego na nędzę, co zapewnia niezakłócony postęp społeczny. Który system jest lepszy? Bez wątplenia francuski. Więcej osób korzysta w ramach systemu wymuszonej równości niż wtedy, gdy sprawy pozostawia się kaprysom ludzkiej woli.

- To brzmi dość przygnębiająco - zaprotestowała Amy. - Czemu ktoś miałby przejmować się dobrym traktowaniem swoich rodziców, jeśli i tak odziedziczy ich pieniądze?

- Ja właśnie to nazwałbym cynicznym poglądem na życie. To przerażający pogląd. Ludzie odnoszą się dobrze do swoich rodziców pod wpływem naturalnych uczuć, kochają ich. - Choć sam kochał swoich rodziców, w pewnym momencie czuł się nimi zawstydzony, ciemnoskórymi, niemodnymi mieszkańcami Maghrebu. Jego matka z trudem opanowywała odruch, żeby wkładać na głowę chustę.

- Często ich nienawidzą, nigdy się z nimi nie widują i nawet nie chcą z nimi rozmawiać - powiedziała Amy.

- Ale nie wtedy, gdy spodziewają się, że coś odziedziczą. W Anglii dzieci muszą stawać na uszach. We Francji w naturalny sposób szanujemy naszych rodziców. Jeśli człowiek nie może wpływać na zachowanie się swoich dzieci, grożąc im, że zmieni swój testament, może być pewny, że ich uczucia nie są udawane, ale stanowią spontaniczny wyraz naturalnej miłości.



Amy nigdy nie zastanawiała się nad takimi sprawami. Jej rodzice cieszyli się dobrym zdrowiem i mieszkali dwie godziny jazdy od niej w Ukiah. Wiedziała, że powinna częściej ich odwiedzać.

- Triumf francuskiego prawa polega na tym, że chroni Francuzów - mówił dalej Emile. - Czego nie można powiedzieć o prawach wielu innych narodów. Niektóre systemy prawne powstały po to, by ludzi gnębić i prześladować, niektóre po to, by niewielka grupa osób mogła się wzbogacić... - W tym momencie Emile spojrzął ponad nimi i nagle wstał. - Chciałbym przedstawić moją żonę Victoire - powiedział, kiedy podeszła do nich ładna eteryczna blondynka, będąca przypuszczalnie, jeśli Amy miała rację, kolejnym dzieckiem tajemniczego Venna.

- *Mais oui*, jesteś przyjaciółką *maman* - powiedziała Victoire do Amy. - Mówiła, że muszę się z tobą zobaczyć. Podobno znalazła ci cudowne mieszkanie.

Amy mogła wreszcie ułożyć sobie właściwy obraz sytuacji: Geraldine Chastine była matką Victoire, a Victoire kimś - pewnie przyrodnią siostrą - dla Vennów. Ten mężczyzna był mężem Victoire. Świat w tym momencie wydał się Amy rozkosznie mały, przybrał nawet przyjemnie bezpieczne rozmiary Doliny Krzemowej. Ale jakie to smutne, że sympatyczna córka Geraldine jest żoną tego wyjątkowo niesympatycznego, chociaż przystojnego mężczyzny.

Kiedy Abboudowie poszli na kolację, Amy została na chwilę w barze, żeby przejrzeć „Herald Tribune”, gdzie natknęła się na kolejną wzmiankę związaną z lawinami. Tym razem o niewielkim proteście przed amerykańskim Departamentem Stanu zorganizowanym przez grupę demonstrantów - nie mówiło się w mej o zacierzewanym ideologach - domagających się pociągnięcia winnych do odpowiedzialności i wyjaśnienia sprawy przelotów amerykańskich samolotów w obcych krajach. Przypuszczalnie owe przeloty stały się przyczyną katastrofy, tym razem w kraju naszych cennych sojuszników. Rzecznik demonstrujących powiedział dziennikarzom, że rząd naraża niewinnych amerykańskich turystów na niebezpieczeństwo, nie mówiąc im o narastającej wrogości w przyjaznych dotąd Amerykanom miejscach, w których Ameryka przyczyniła się do zniszczeń i śmierci. Amy

zastanawiała się, ale niezbyt serio, czy te słowa mogły także odnosić się do Valmeri.

Przy kolacji goście hotelu Croix St. Bernard zauważyli pojawienie się dwu amerykańskich wojskowych w mundurach, którzy usiedli przy jednym ze stolików. Część gości sądziła, że to mundury amerykańskiej armii, inni, że sił powietrznych; trudno było to rozstrzygnąć z drugiego końca sali.

- Myśle, że to armia - odezwała się Marie-France Chatigny-Dove.  
- Lotnicy mają chyba granatowe.

Księżę i *princesse* zgodzili się z jej opinią. W barze po kolacji słyssało się krytyczne opinie niektórych gości, że kierownictwo hotelu nie powinno było wpuszczać tych ludzi do jadalni.

- To są ci sami faceci, których widzieliśmy w miasteczku, jak przepytawali miejscowych sklepikarzy - poinformował obecnych Robin Crumley.

Wszyscy zgodzili się, że ich obecność na pewno ma coś wspólnego z lawinami. Na stołach wciąż leżał poranny biuletyn informacyjny:

*Amerykianie zaprzeczają obecności amerykańskich przelotów. Rzecznik Pentagonu oświadczył, że żadne amerykańskie samoloty nie przelatywały w pobliżu Alp, nie mówiąc już o rejonie Valmeri, gdzie niszczycielskie lawiny w minionym tygodniu ostatecznie pociągnęły za sobą śmierć dziewięciu osób.*

Kolacja Posy i Ruperta oraz ich nowej siostry Victoire i jej atrakcyjnego męża przebiegła bez większych problemów, choć mogło być inaczej, zważywszy na to, że Posy spędziła popołudnie w łóżku męża Victoire. Emile traktował zarówno Posy, jak i swoją żonę z obojętną uprzejmością, jednakowo obdarzając wszystkich swoim uśmiechem i dość cynicznymi uwagami w stylu ludzi nawykłych do publicznych wystąpień. Posy z najwyższym trudem zdołała powstrzymać się od tego, by nie dotykać swoją stopą pod stołem jego stopy albo nie muskać ręką jej dłoni.

Zarówno Rupert, jak Posy od razu pokochali Victoire. Rupert czuł prawdziwą bliskość ze swoją nową siostrą i widział, że to samo dzieje się z Posy. Wydawało się, że musiał stać za tym jakiś magnetyzm,

jakieś przyciąganie DNA przekraczające zwykłą znajomość i powodujące, iż rozpoznawali w Victoire swoją siostrę. Oczywiście rzucało się w oczy rodzinne podobieństwo, ale było w tym coś więcej. Rupert miał wrażenie, jakby jakiś platoński ideał siostry zajął w postaci (najwyraźniej dobrej) Victoire miejsce (złej) Posy. Może Posy nie była tak do końca zła, ale nawet podczas tej kolacji przejawiała niektóre ze swoich najgorszych cech - niepokój, napięcie, a nawet zaborczość. Przyłapał ją na tym, jak spoglądała na Emile'a, przechwycił przelotne spojrzenia, z których wywnioskował, że szykuje się jakaś awantura. Może chciała, żeby Emile sobie poszedł i pozwolił im spokojnie porozmawiać z Victoire, a może nie lubiła Francuza.

Opowiadali Victoire o swoim życiu rodzinnym w czasach, gdy mieszkali z ojcem, podkreślając, że był wybitnym wydawcą i miał mnóstwo słabości jako rodzic. Mówili też o rozwodzie oraz charakterze i obecnym życiu ich matki. Victoire z kolei opowiedziała im o swojej matce Geraldine, ale przyznała, że nie potrafi sobie wyobrazić życia Geraldine bez Erica, ojczyzna, który, jak Victoire podkreślała, jest jej „prawdziwym” papą. Jeszcze trudniej było jej wyobrazić sobie matkę jako nastoletnią dziewczynę zaangażowaną w przelotny romans z dwudziestokilkuletnim Vennem.

- To jest *trop dommage*, że dowiaduję się o nim dopiero teraz - powiedziała. - Teraz, gdy jest już za późno.

- O nie - zaprotestowała Posy. - Brompton to szpital światowej sławy, nie porzuciliśmy jeszcze nadziei.

- Cóż - westchnęła Victoire - opowiedzcie mi coś więcej. Czy pozostawał w dobrych stosunkach z waszą matką?

- Nie bardzo. Prawdę mówiąc, nienawidzą się nawzajem, ale chyba to było całkiem szczęśliwe małżeństwo, dopóki nie pojawiła się Kerry - odpad Rupert.

- Och, biedna Kerry! - zawołała Victoire. - Muszę ją ucisnąć. Czy ona się obudzi? Och, i biedne maleństwo, biedny, mały, osierocony chłopiec.

Tak, pomyślał Rupert, to Victoire ma wszystkie dobre odruchy, a Posy jest po prostu dziwką. I jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało, właśnie w tym momencie do oczu Posy napłynęły łzy.

Omówili czekającą ich następnego dnia wycieczkę do Saint- Jean- de-Belleville. Posy wiedziała, że nigdy nie można liczyć na niezmacną radość. Na wspaniałą myśl o tym, że wybiorą się gdzieś razem z Emile'em, padał teraz cień obecności Victoire. Na szczęście Victoire powiedziała, że nie wybierze się z nimi na lunch, ponieważ woli pojechać do szpitala i zobaczyć swojego nieznanego ojca. Posy zastanawiała się, czy Victoire w pełni zdaje sobie sprawę ze stanu, w jakim on się znajduje. To głęboka, bardzo głęboka śpiączka, praktycznie stan wegetatywny, ale być może Victoire nie brała pod uwagę takich ostateczności, jak koma; może potrafi przebić się przez śpiączkę. Najwyraźniej była osobą obdarzoną niezwykłą pogodą ducha, a może po prostu reagowała w ten sposób, ponieważ nie wiązały jej z ojcem żadne osobiste uczucia - jak by mogło być inaczej? - i w rzeczywistości nie przejmowała się jego stanem.

Posy zauważyła, że Victoire nie zachowuje się jak kobieta, która po przyjeździe dobrze przyjrzała się swemu mężowi, chociaż Posy widziała, że ona go uwielbia i pożąda, i starała się ze wszystkich sił nie pokazywać takich samych uczuć po sobie. Oczywiście nie chciała, żeby Victoire dowiedziała się, co zaszło między nią a Emile'em, ale jeszcze bardziej nie chciała, żeby Rupert się czegoś domyślił - i tak już był wobec niej bardzo krytyczny. Wiedziała, że nie ma szans na żaden ukradkowy uścisk z Emile'em gdzieś później, w korytarzu. Zastanawiała się, czy to kazirodcze cudzołóstwo ściągnie na ród Vennów jakąś tragiczną klątwę. Czy też postępowała jedynie zgodnie z wyrokami losu, które zapadły już dawno, zapoczątkowane przez zdrady jej ojca? Czy wszyscy byli przeklęci jak w greckim dramacie? Ale w którym? U Ajschylosa? Z jakiegoś powodu łzy znowu napłynęły jej do oczu.

Amy poczuła, że nie ma siły na dalsze kontakty towarzyskie, i poszła po kolacji do swojego pokoju, po czym włączyła telewizor. Umknął jej sam początek filmu, jaki pojawił się na ekranie, ale najwyraźniej chodziło o jakąś bajkową historię albo dramat kostiumowy. Mężczyzna o wyglądzie arystokraty rozmawiał na tle pięknego *chateau* z kobietą, która wyglądała jak guwernantka przebrana w męski kostium. Wszystko wyglądało bardzo elegancko i po europejsku, w każdym

razie na tyle, że dało się oglądać przez kilka minut. Arystokrata miał na sobie buty do jazdy konnej i na jego widok Amy przypomniały się jej wyobrażenia związane z postacią barona. Mężczyzna i kobieta patrzyli w stronę podnóża zamku, gdzie pojawiła się grupa pięciu ślicznych, młodych kobiet w dziewczęcych fartuszkach. Szofer po kolei pomagał im wysiąść z dużego samochodu, odbierając od każdej z nich walizkę. Dziewczęta śmiały się do siebie nawzajem. Cięcie. Na ekranie pojawiło się głęboko skupione spojrzenie arystokraty spoglądającego na piękne młode kobiety. Guwernantka posłała mu porozumiewawczy uśmiech, a on uśmiechnął się do niej i ucisnął jej dłoń. Dziewczęta wnieśli swoje walizki do *chateau*.

Cięcie. Scena na trawniku. Dziewczęta siedziały teraz na małych płóciennych składanych stołeczkach, z pędzlami i pudełkami farb. Jedna z dziewcząt pozuje innym w białej sukience ozdobionej błękitną szarfą. Guwernantka pokazuje im pocztówkę przedstawiającą obraz Gainsborough, a modelka naśladuje gesty postaci. Guwernantka przerzuca swoje pocztówki i nakazuje im teraz przyjąć nowe pozy, *apres Watteau*. Tyle można było zrozumieć, nie znając francuskiego, choć Amy sądziła, że już nieco lepiej rozumie to, co słyszy, i potrafi wyróżnić *merci*, a *bientôt* oraz kilka innych zwrotów.

Guwernantka pokazuje dziewczętom fotografię przedstawiającą klasyczny akt, który mają teraz naśladować. Dziewczęta ze śmiechem zaczynają zdejmować ubrania. Teraz są nagie. Dwie z nich stają na głowie, a ich krocze znajduje się na poziomie wzroku innych dziewcząt i kamery. Dziewczęta stojące na ziemi zaczynają czesać włosy łonowe dziewcząt stojących na głowie. Guwernantka z fotografią z ręką domaga się od nich wyjaśnień. Chce wiedzieć, co robią. Bardzo dobre pytanie, nad którym Amy także zaczęła się zastanawiać. "*Pas de poil*", mówią. Amy sprawdza słowo *poil* w swoim słowniku: płaszcz, grzywa, włosy łonowe. Dziewczęta wskazują na obraz marmurowych nimf, które także nie mają włosów łonowych. Ze swojego okna baron obserwuje pożądliwie, gdy nagie dziewczęta przyjmują pozy z tableau widocznego na pocztówce.

Amy ze zdumieniem sprawdziła godzinę i kanał - to jeden z głównych kanałów, a nie jakiś płatny. Pornografia! Dzieci w całej Francji mogą to oglądać! Nagle poczuła się zaszokowana, a nawet zakłopotana

i szybko wyłączyła telewizor. Nie uważała siebie za jakąś świętoszkę, ale przecież Kip mógł w tym momencie oglądać ten film w swoim pokoju! Szalenie niepokojące dla nastoletniego chłopca. A poza tym mogą dołączyć jej do rachunku jakąś opłatę za pornografię. Jakie to dziwne, że Francuzi pozwalają, by takie programy nadawano w najlepszym czasie antenowym. Ale oczywiście to są Francuzi. Czego się po nich właściwie spodziewała?

CZEŚĆ TRZECIA

# Ś N I E G

*Etre ou ne pas etre. Telle est la question.*

- William Shakespeare, *Hamlet*

*Je suis ici envoyee de par Dieu... pour  
vous bouter hors de toute la France.*

- Jeanne d'Arc, list do księcia Bedford

## ROZDZIAŁ 23

Amerykanie często ze zdumieniem odkrywają, że europejskie Alpy są bardziej postrzępione, wynioślejsze, piękniejsze, bardziej dzikie i niedostępne niż ich najbardziej majestatyczny łańcuch, Góry Skaliste. W Ameryce powszechnie uważa się, że Alpy są łagodne, pagórkowate i stare. Amy sama w to wierzyła, dopóki nie zobaczyła ich na własne oczy. Jak wyczytała w hotelowej broszurze, Alpy jedynie pod jednym względem ustępują Góróm Skalistym: nie są od nich wyższe. Zupełnie jakby cały kontynent europejski zaczynał się w jakimś niższym punkcie, jak gdyby zapadł się pod ciężarem tysiącleci. Alpejskie łańcuchy górskie w rzeczywistości wypiętrzyły się później niż Góry Skaliste i Sierra Nevada, stąd ich ostrzejsze, bardziej niezdobyte szczyty, stałe lodowce i rzeki lodu, jakich nie spotyka się w Górach Skalistych.

Z materiałów promocyjnych Amy dowiedziała się także, że dolina Valmeri należy do systemu czterech dolin, wrytych między potężnymi szczytami leżącymi wzdłuż granicy szwajcarsko-francuskiej. W wyższych partiach gór śnieg leży tu od listopada do maja albo czerwca, latem jarami i rozpadlinami płyną strumienie; obraz alpejskiej idylli uzupełniają dzika roślinność i małe zwierzęta. Latem krowy, czasami wyposażone w dzwonki na szwajcarską modłę, wyprowadza się z uroczych wiosek na górskie pastwiska. Ludzie mieszkali tutaj od tysiącleci. Całkiem niedawno w warstwie prehistorycznych lodów, która ukazała się na powierzchni, znaleziono szczątki wędrowca z epoki kamiennej, razem z opończę i zniszczonymi sandałami.

Uczestnicy wycieczki narciarskiej zorganizowanej przez Amy mieli właśnie pokonać te rozległe połacie śnieżne. Rupert zszedł na śniadanie



już ubrany w strój narciarski, mówiąc sobie, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ojciec jeszcze tego dnia, koło południa, znajdzie się w Londynie. Ponieważ małym samolotem służb ratunkowych mógł lecieć razem z nim jedynie personel medyczny, pan Osworthy, na własne życzenie, wracał do Anglii rejsowym samolotem z Genewy, żeby zdążyć powitać samolot ratunkowy w Londynie. Posy i Rupert mieli jechać później, wieczorem albo nawet następnego dnia rano. A na razie, ponieważ i tak nie będą mogli kręcić się wokół łóżka ojca, gdzie tylko przeszkadzaliby sanitariuszom i pilotom w ich pracy, Rupert bez najmniejszych wyrzutów sumienia postanowił spędzić ostatni dzień pobytu we Francji na nartach. Ich rola i tak dobiegła końca.

- A jednak - zauważył - to trochę dziwne, kiedy pomyślę, że wyjeżdżam stąd z pewnym żalem.

- Tak, nasz ostatni dzień - lamentowała Posy, rozmyślając o tym, jak dary losu są zawsze przemieszane i na radość zawsze pada cień przecucia ich ulotnej natury.

Posy nie mogła się przyznać, czemu na myśl o wyjeździe ogarnia ją taki smutek, ale jej ton nie uszedł uwagi Ruperta. Zjadł swoją grzanekę i spoglądał przez okno sak jadalnej na coraz bardziej rozjaśniający się szczyt Mount Benoit, przesłonięty przez niewielką chmurę. Czy pojawiała się, zapowiadając szary dzień, czy też właśnie odpływała, pozostawiając niebo błękitne i czyste przed ich planowaną wyprawą do Saint-Jean-de-Belleville?

- Zatrzymasz się w szpitalu? - spytał Posy, ponieważ pragnął, aby znalazł się tam jednak jakiś przedstawiciel ich rodziny, nawet jeśli to nie będzie on. - Możesz odprowadzić ojca i wrócić tutaj. Potem, kiedy wrócę z gór, gdzieś koło piątej, wyruszymy do Londynu.

Jednak tym razem błędnie ocenił skalę jej zaangażowania. Razem z Emile'em i Robinem Crumleyem zamierzała spotkać się z bratem i pozostałymi narciarzami na lunchu. Umówiła się z nimi, że pojedą tam jej samochodem.

- Nie mogę ich zawieść - uśmiechnęła się.

W szpitalu rodzina będzie więc reprezentowana przez Victoire.

- Tak bardzo chciałabym spędzić ranek w szpitalu z moim dopiero co odnalezionym ojcem, nim przyjdzie pora odtransportowania go

do samolotu. - Victoire bawiła się ze swoim nowym małym braciszkiem Harrym pod czujnym spojrzeniem opiekunki.

- Będę do niego mówiła - obiecała rodzeństwu. - Na jakimś poziomie na pewno usłyszycie. Opowiem mu o jego pierwszych wnukach i zagram mu na flecie. Tylko pomyślcie, ma wnuczki starsze od swego najmłodszego dziecka! Podobno muzyka może przeniknąć nawet do umysłu pogrążonego w najmroczniejszych ciemnościach.

O dziewiętej trzydzieści Amy, Kip, Rupert i Marie-France Chatigny-Dove stawili się u podnóża wyciągu Equeriel, czekając na Paula-Louisa, który miał być ich przewodnikiem. Książę obudził się z bólem głowy i zrezygnował z wyprawy. Joe Daggart, który także miał jechać z nimi, pojawił się, ale tylko po to, by powiedzieć, że nie może - musiał pojechać z Amerykanami prowadzącymi śledztwo. Dwaj wojskowi, których Amy widziała poprzedniego wieczoru, ubrani teraz w białe kombinezony, czekali na Daggarta przy skuterze śnieżnym, ale sami nie podeszli, żeby się przywitać.

- Naprawdę nie powinno się tutaj pozwalać jeździć na skuterach - zauważyła Amy. - Myślę, że w naszych parkach narodowych są zakazane.

- Te zaliczają się do pojazdów ratunkowych - wyjaśnił Daggart. - Na pewno nie wolno tu jeździć na zwykłych skuterach śnieżnych. Nie jestem natomiast taki pewny co do amerykańskich parków narodowych.

- Europejczycy nie są zbyt uciążliwi na hałas - powiedziała Amy. - Te wszystkie klaksony, skutery i vespy... - Ledwo to powiedziała, uświadomiła sobie, że zachowała się trochę nietaktownie.

Pozostali uczestnicy wycieczki nie wspomnieli o hałaśliwych rzeczach, z jakimi na pewno mieli do czynienia w Stanach, ale mina Marie-France świadczyła o tym, że Amy wykazała się brakiem wrażliwości. A przecież Amy nie chciała, żeby ten dzień zamienił się w jakiś ciąg szowinistycznych sporów.

- Niemal tak bardzo jak Amerykanie - dodała pospiesznie, starając się naprawić swój błąd.

Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu będzie jedyną Amerykanką w grupie innych osób - nie licząc Kipa. Jednocześnie

czuła się bardzo swobodnie, przynajmniej na stoku narciarskim miała wrażenie, że jest na właściwym miejscu. Przeciwnie niż podczas lekcji gotowania czy przy stole w jadalni, choć wcale się tym wtedy nie przejmowała.

Swoją radość z pobytu w hotelu Croix St. Bernard przypisywała: A) obecności wielu osób, które potrafią mówić po angielsku, nawet jeśli na ogół wolą tego nie robić, co niestety nie sprzyjało jej nauce francuskiego; B) ogólnemu poziomowi życzliwości i dobrego wychowania, jakie przejawiali goście hotelu, nawet Francuzi, wbrew temu, co się słyszało na ich temat; C) szczęśliwemu trafowi, że znalazła się wśród naprawdę sympatycznych, interesujących osób. Nawet brat angielskiej siostry, który prezentował do tej pory typowo brytyjską kombinację dystansu i uprzejmości, zaczynał sprawiać na niej wrażenie atrakcyjnego, zwykłego faceta, a do tego całkiem nieźle jeździł na nartach. Pomyślała, że powinna przedłużyć narciarską część swoich małych wakacji, nim pojedzie do Paryża na spotkanie czekających ją tam przygód.

Wszyscy mieli nadzieję na doskonałą pogodę i piękny dzień. Spozza nielicznych chmur zaczęło się wyłaniać jednolicie błękitne niebo, wkrótce powinno pojawić się słońce, śnieg był idealny, w nocy spadła świeża warstwa lekkiego puchu. W swoich jasnokolorowych kombinezonach wyglądali wszyscy jak kosmonauci, którzy właśnie wylądowali na jakiejś białej planecie, albo sportowcy przed startem w igrzyskach olimpijskich. Zwłaszcza Kip, w kurtce z przezroczystą kieszonką na karnet na wyciągi oraz licznymi pętlami, z których zwiisały elementy wyposażenia; miał mocne, zniszczone rękawice oraz porysowane buty, jak u zaprawionego bywalca stoków.

Sliczna Amerykanka Amy była wyjątkowo spokojna i pewna siebie. Budziła w Rupercie pewną nieufność od czasu spotkania w pokoju pana Osworthy'ego, gdzie zadała kilka celnych pytań. Jej głos, choć bez wątpienia nie taki straszny jak głosy innych amerykańskich kobiet, także miał wyraźnie amerykańską intonację. W ogóle Rupert odnosił się z dystansem do biznesmenek, zgodnie z tym, co się na ich temat zawsze słyszało, mimo że jako narciarka wydawała mu się wyjątkowo miła i bardzo kobieca. Madame Chatigny-Dove również sprawiała

miłe wrażenie spokojnej i kompetentnej. Jeśli chodzi o narciarskie umiejętności pań, będzie można coś powiedzieć na ten temat, dopiero gdy wszystko się zacznie, zupełnie jak w tenisie, kiedy po raz pierwszy gra się z jakimś nieznanym. Zdecydowanie uspokajająco działała na niego natomiast obecność Paula-Louisa, przystojnego i małomównego, mocno opalonego Francuza o radosnym usposobieniu, który podczas przedstawiania ich sobie dotknął rękawicą rękawicy Ruperta niczym bokser salutujący przeciwnikowi przed walką.

- Dzięki, że zaprosiłaś mnie na tę wycieczkę. - Rupert uśmiechnął się do Amy. - Na pewno byłoby mi żal, gdybym z wami nie poszedł.

- Och, nie ma za co dziękować - odpada.

Kiedy już wszyscy byli gotowi, wyruszyli w drogę i wyciągi krzesełkowe wyniosły ich wysoko w stronę nieba. Aby dotrzeć do Saint-Jean-de-Belleville, należało pokonać promenadę, jak eufemistycznie nazywano trasę o długości około trzydziestu kilometrów, zaczynającą się na szczycie lodowca, położonego ponad tysiąc metrów ponad nimi, a następnie wiodącą skomplikowanym szlakiem złożonym z wyciągów krzesełkowych i *telecabines* prowadzących w górę oraz ekscytujących tras zjazdowych wśród skalnych grani w stronę najdalszej z dolin. Wcześniej pokazano ją Rupertowi na mapie, ale teraz, gdy zdał sobie sprawę z wchodzących w grę wysokości i długości trasy, przeżył moment niepokoju, czy jego umiejętności narciarskie nie okażą się za słabe, by mógł nadażyć za pozostałymi, i czy warunki terenowe nie będą dla niego za trudne.

- *Ooh-la-la, que c'est beau* - powiedziała Marie-France do Ruperta, z którym dzieliła krzesełko wyciągu. Spoglądała w stronę lśniących szczytów rozciągających się przed nimi jak ubite białko jajek w wielkiej misie.

- Tak - przyznał - absolutnie piękne; człowiek czuje się taki mały, coś w tym rodzaju.

Była wyraźnie pod wrażeniem, że Anglik może dawać wyraz podobnym uczuciom, i radośnie poklepała go po kolanie.

- *Oui, c'est super-beau* - powiedział Paul-Louis do Amy, której ani na moment nie spuszczał z oczu jako swojej głównej klientki, choć starał się mieć na oku ich wszystkich niczym troskliwy pasterz.

Amy odkrzyknęła do nich, gdy kołyszac się, wędrowali w przestrzeni, że nigdy nie widziała niczego, co mogłoby się równać z tymi wspaniałymi białymi szczytami pośród chmur, niezbadanymi i objętymi na poczynania ludzi. O to właśnie chodziło w narciarstwie, żeby wspólnie z innymi podziwiać ekstatyczne piękno, przypominając sobie o znikomości człowieka. Żałowała, że nie potrafi zareagować na ten nadmiar piękna w jakiś oryginalniejszy i śmielszy sposób. Poczowała się w tym momencie strasznie ograniczona; jakie to tragiczne, że nie urodziła się poetką albo jakąś twórczą osobą, która wiedziałaby, co zrobić z przepełniającymi ją emocjami. Ogarnął ją podziw dla Robina Crumleya, który próbuje wyrazić to, co niewyrażalne. Jeszcze raz obiecała sobie, że przeczyta jego wiersze.

Kip wydawał się nieswój i zamknięty w sobie. Nieustannie rozmyślał o chwili, gdy Kerry odzyskała wczoraj przy nim świadomość. Nikt poza nim tego nie widział i nikt mu nie wierzył; zupełnie jak gdyby tylko dlatego, że jest młodszy, nie wiedział, co widzi na własne oczy! Poza tym nadal przygnębiała go myśl, że to on spowodował lawinę, która przysypała Kerry, i martwił się, że nie sprawdził dziś rano, co się dzieje z siostrą. Powinien zawrócić i pojechać na nartach do szpitala. Może należało wziąć ze sobą Harry'ego, żeby jeszcze raz ją zobaczył? Może teraz, gdy stopniała część chłodu skuwającego jej mózg, usłyszałaby głos swojego dziecka? Kiedy się zorientują, że to on spowodował lawinę?

Jego towarzysze ze zdumieniem zauważali, że Kip od czasu do czasu, nie wiadomo dlaczego, zjeżdżał z nartostrady i krzyczał coś głośno w głąb wąwozów. Wydawało się, że chodzi o coś więcej niż o chłopięcy nadmiar energii. A Kip próbował się zorientować, czy może samym głosem poruszyć masy śniegu.

- To właśnie tu lawina z Valmeri zaskoczyła narciarzy, popatrzcie tam, widać pełno połamanych gałęzi i zgiętych drzew. - Paul-Louis wskazał na drugą stronę zbocza.

Amy zastanawiała się, w którym miejscu stali ci nieszczęśliwi ludzie i w jaki sposób ich odnaleziono pod ogromnymi zwałami śniegu wypełniającego zagłębienie widoczne po prawej. Czy sama nie przejeżdżała właśnie tędy? Na widok tego miejsca poczuła jakiś niezrozumiały lęk.

Narciarstwo jest jednym z najbardziej samotnych zajęć; narciarz myśli jedynie o następnej muldzie albo kącie nachylenia zbrocza do chwili, gdy znajdzie się na dole trasy, gdzie czekając w kolejce do wyciągu, może dołączyć do swoich towarzyszy, wymienić z nimi spostrzeżenia i podzielić się radością. Siedząc na wyciągu krzesółkowym i kołysząc się w mroźnej przestrzeni, też można chwilę porozmawiać, ale najczęściej dopasowuje się wtedy gogle albo poprawia coś u buta. Następne kilometry pokonali bez trudu, zadowoleni ze swoich umiejętności, zwłaszcza gdy okazało się, że Kip wołał zostać razem z nimi, co musiało oznaczać, że ich poziom go nie przerażał. Na stokach od północnej strony zdarzały się lekko oblodzone miejsca, ale posuwali się naprzód w dobrym tempie, ciesząc się piękną scenerią, szczypiącym mroźnym powietrzem i odgłosem swoich nart. Widoczność była dobra, jeśli nie liczyć momentów, gdy lekka mgiełka przesłaniała poranne słońce, jednak szybko rozwiewał ją wiatr. Obok nich śmigały małe grupki francuskich dzieci w swoich *monitrices*, niczym leśne trolle pod wodzą Królowny Śnieżki.

- Zaczęły się zimowe wakacje - wyjaśniła Marie-France.

Niestety Amy upadła aż dwa razy i Paul-Louis radośnie za każdym razem podchodził do niej w górę zbrocza, żeby jej pomóc przy wstawaniu. Marie-France także się przewróciła, natomiast Rupert dzięki swojemu spokojnemu, weekendowemu stylowi jazdy zdołał uniknąć wszelkich przykrych niespodzianek. Z przyjemnością czuł, jak jego narty przy każdym kolejnym skręcie posuwają się z większą pewnością, a kolana nabierają coraz większej elastyczności. Prawdę mówiąc, był z tego bardzo zadowolony. Jeszcze tydzień i wróciłyby do pełnej formy, a może nawet poczyniłby postępy. Poczucie odzyskiwania nieco zapomnianych talentów zrodziło w jego umyśle całą serię pytań na temat przyszłości. Czy rzeczywiście chce spędzić resztę życia w City, zajmując się dalej tym co ostatnio, czyli obligacjami? Może powinien przynajmniej przerzucić się na kontrakty terminowe? Albo wrócić do filozofii i wieść życie dające czas na narty i inne podobne zajęcia, życie wspianiałe i aktywne, w którym nie zabrakłoby poezji i pięknych dziewczyn, jak Amy, albo wspianiałych Francuzek, jak madame Chatigny-Dove? Obie wydawały mu się o wiele inteligentniejsze

i sensowniejsze niż raczej dość banalne dziewczyny, z którymi chodził ostatnio w Londynie, czy nawet te, które spotkał tutaj w Valmeri. Odkrył bowiem całe gniazdo angielskich dziewcząt w miasteczku, dokąd chodził po kolacji. Wszystkie nazywały się Henrietta albo Lavinia i najczęściej były już poumawiane z instruktorami narciarskimi, ale wydawały się wesołe i przyjazne. Stanowiły przynajmniej jakąś namiastkę środowiska ludzi w jego wieku, a poza tym w odróżnieniu od hotelowych gości łatwo było nawiązać z nimi kontakt. Wypijał kilka piw, czasem trochę tańczył albo wdawał się w jakąś obiecującą rozmowę, a potem przypominał sobie o ojcu i wracał smutny do hotelu.

Jednak piękno narciarstwa polega też na tym, że nie da się podczas jazdy rozmyślać o nadziejach i życiowych decyzjach, tylko o nartach, zbozcu, ułożeniu ciała, równowadze, kolanach i odciążaniu kostek. Rupert jechał teraz szybciej niż poprzednio, choć nie tak szybko jak Kip. Przez kilka godzin niestrudzenie posuwali się na wschód przez górskie doliny, w górę kolejkami i wyciągami, a potem znowu w dół nartostradą, a czasem i poza trasą, na skróty. Wreszcie Paul-Louis kazał im zatrzymać się na szczycie jakiegoś zbocza i wskazał przed siebie. W dole ujrzeli malutką ostrą wieżyczkę kościoła w Saint- Jean-de-Belleville i dym unoszący się z kominów kamiennych domków, niewielkich budowli niemal nieodróżnialnych od skalistych głazów, wśród których przycupnęły przykryte śniegiem. Polecono im cieszące się dobrą opinią bistro L'Edelweiss, w którym obsługa hotelu Croix St. Bernard zawczasu telefonicznie zamówiła dla nich stół.

Ponieważ przez cały ranek jeździli z entuzjazmem, lekko rywalizując ze sobą co do tempa, na widok miasteczka i obietnicy lunchu oraz rozpościerającego się przed nimi ewidentnie łatwego długiego zbocza prowadzącego do restauracji wszyscy zgodnie wydali z siebie radosny okrzyk. Rupert jechał teraz znacznie szybciej niż Amy, która widząc przed sobą miasteczko, zwolniła, jakby w obawie, że coś mogłoby zagrozić jej bezpiecznej podróży na zasłużony posiłek. Spłynęli w dół do miasteczka, zostawiając za sobą na śniegu eleganckie, symetryczne, łukowate ślady, świadectwo ich gładkich rytmicznych skrętów i coraz mocniejszych ud.

## ROZDZIAŁ 24

Posy ze swoimi towarzyszami wyjechała z hotelu koło jedenastej, zamierzając najpierw zatrzymać się w szpitalu w Moutiers - tamtędy wiodła droga z doliny w stronę Saint- Jean-de-Belleville - żeby zobaczyć ojca i podrzucić Victoire. Ponieważ samolotu spodziewano się dopiero po południu, byli zaskoczeni, gdy już o tej porze dostrzegli koło łóżka Venna grupę mężczyzn w zielonych kombinezonach, którzy omawiali po niemiecku problemy związane z transportem pacjenta podłączonego do urządzeń podtrzymujących życie.

- Ten człowiek żyje tylko dlatego, że jest podłączony do sztucznego płuca - wykrzykiwał do nich po raz setny miejscowy lekarz. - To jest skandalicznie bezwstydy spisek, w którym chodzi tylko o to, żeby oddał swój ostatni sztuczny oddech w Anglii. - Być może miał nadzieję, że ta anglofobiczna tyrada sprowokuje szwajcarskich sanitariuszy do sprzeciwu wobec podstępnych angielskich manewrów.

Widząc, że transport chorego nabiera realnych kształtów, Emile poczuł w imieniu Victoire całkiem niebezinteresowny przypływ irytacji na myśl, że w ten sposób jego żona straci swoje dziedzictwo, i zdecydowanie stanął po stronie lekarza: tego człowieka nie należy zabierać do Anglii. Posy przyznała mu rację i sanitariusze, przyzwyczajeni do pochwał i pospiesznych zachęt ze strony ludzi, którym pomagali, poczuli się zmieszani i przygnębieni niespodziewanym sprzeciwem ofiary.

- Powinniście zaprotestować u tego angielskiego prawnika albo u tej Amerykanki, żeby nie mieli wątpliwości, że przejrzeście ich cyniczny podstęp i zdajecie sobie sprawę z ich hipokryzji - powiedział



doktor Lamm do Emile'a i Posy tonem takiego rozgoryczenia, że Emile uznał to jedynie za wyraz jego zranionej dumy zawodowej. Emile, prawdę mówiąc, miał ambiwalentne uczucia w sprawie tego, jak powinien spędzić poranek. Jednocześnie cieszył się na górską wycieczkę i pragnął zostać na miejscu, żeby interweniować w interesie Victoire, która w końcu była jego żoną.

Rozwiązanie pojawiło się samo. Okazało się, że sanitariusze nie pomyśleli wcześniej o pewnym urządzeniu, niezbędnym w generatorze prądu w ambulansie, który miał przewieźć Venna do sąsiedniego miasta Albertville, gdzie znajdowało się jedyne lotnisko w okolicy. Urządzenie miało być sprowadzone rankiem z Genewy, ale wyglądało na to, że nie uda się przygotować chorego do wyjazdu wcześniej niż późnym popołudniem. Posy i Emile z ulgą pomyśleli, że nie będą musieli rezygnować z przyjemnej perspektywy wspólnego lunchu poza granicami doliny i że w tym czasie mogą pojawić się kolejne przeszkody opóźniające transport. Może Venn w cudowny sposób się obudzi?

- Czy nie sądzisz, że wygląda lepiej? Zupełnie jakby wiedział, że jedzie do domu - powiedziała Posy.

Z lekkim poczuciem winy odjechali właśnie w chwili, gdy w szpitalu pojawił się pan Osworthy, i ruszyli zaśnieżoną drogą do Saint-Jean-de-Belleville na spotkanie z narciarzami - Amy, Rupertem, Paullem-Louisem i Marie-France Chatigny-Dove. Posy dręczona jakimś niedobrym przeczuciem posłała ojcu na pożegnanie długie spojrzenie, tak na wszelki wypadek. Żadne z nich nie chciało wypowiadać na głos obaw, jakie przepełniały ich myśli.

Victoire usiadła obok Venna. Przyglądała się przez dłuższą chwilę twarzy nieznanego i nie znalazła żadnego podobieństwa do siebie. Mimo to próbowała wzbudzić w sobie żal, że ominęła ją szansa zawarcia bliższej znajomości z tym człowiekiem. Wyjęła flet i usiadła obok łóżka ojca. Czuła pełną życzliwości troskę, jaką okazałaby każdemu choremu, ale była rozczarowana, że ta spoczywająca w bezruchu postać, której zawdzięczała swoje biologiczne istnienie, nie wzbudzała w niej żadnych innych emocji. Pogodziła się z faktem,

że jest jej ojcem. Musiała. Gdyby jej ojcem był ktoś inny, sama byłaby kimś innym.

Myślała o tym z pewnym zdumieniem, wiedząc, że to są rozważania właściwe dla okresu dzieciństwa - ale po prostu wcześniej nie przychodziły jej do głowy. Poczucie, że tak niewiele brakowało, a byłaby kimś zupełnie innym, napełniło ją uczuciem szczęścia, że jest właśnie sobą. I nie miało sensu rozmyślać nad tym, że człowiek mógłby być kimś jeszcze lepszym pod pewnymi względami; miała na względzie dolegliwości kręgosłupa i kształt nosa. Mimo że pod wpływem tych myśli nie poczuła się głębiej związana z panem Vennem, zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, by mu pomóc. Kiedy sanitariusze sprawdzali jego stan, omawiali różne kwestie i czekali na brakujący element wyposażenia, odegrała ojcu adagio z *Andromache* Lully'ego.

Dla Amerykanki, do tego pochodzącej z miasta, jak Kerry Venn, która wychowała się w Portland w Oregonie, muzyka rozbrzmiewająca w de, wszechobecna w amerykańskich windach i domach handlowych, stanowiła integralny element świadomości. Dlatego też kiedy kilka godzin później zaczęła odzyskiwać przytomność, usłyszenie jakiejś melodii nie było nowym, świeżym doznaniem. Nie tylko ją słyszała, ale nawet znała. To było *Sheep May Safely Graze*. Słyszała ją w głębi umysłu, melodia grana na flecie zastępowała jej myśli, momentami wypełniała całą świadomość, dopóki elementy doznania, jakim były dźwięki muzyki, nie połączyły się w jej umyśle w pewną całość. Pomysłała, że to jakiś sen, ale potem oddzieliła samą siebie od tego snu i zaczęła czuć pod sobą łóżko, na którym leżała, i lekki koc, którym była przykryta. Uświadamiała sobie, że leży w łóżku i że dobiegają do niej prawdziwe dźwięki.

Otworzyła oczy. Sufit. Coś krępowało jej ruchy, coś zakłuło ją boleśnie na grzbiecie obu dłoni, coś przyczepionego do jej ramienia. Jakaś plastikowa rurka, albo coś takiego, między nogami. A więc szpital, ale skąd ta piękna muzyka, która pasowała raczej do tej drugiej strony jakiejś ogromnej pustki, skąd, jak jej się zdawało, właśnie wróciła? Muzyka urwała się i zobaczyła nad sobą czyjąś piękną uśmiechniętą twarz.

- *Superbe* - powiedział głos - ona się budzi.

Zobaczyła nad sobą inne twarze. Na chwilę odpłynęła z powrotem tam, gdzie była poprzednio, a potem znowu znalazła się tutaj. Ktoś owinał coś wokół jej ramienia, na czyjaś prośbę ścisnęła czyjaś dłoń.

- *Oui, oui, oui* - powtórzyła pielęgniarka. - *Elle serre la main.*

Na czyjaś prośbę Kerry posłusznie otworzyła oczy. Pielęgniarki uśmiechnęły się do siebie, a siostra Benedicte poszła zawołać lekarza, ponieważ to do niego należała decyzja, kiedy można odłączyć urządzenia podtrzymujące życie chorego w śpiączce. Chora najwyraźniej budziła się i wkrótce nie będzie potrzebowała rurki do oddychania, monitora pracy serca i całej reszty. Będzie mogła mówić, ich cierpliwość zostanie nagrodzona. Ta radosna wiadomość dotarła nawet do sanitariuszy, którzy przygotowywali się do przetransportowania na nosze pogrążonego w śpiączce męża tej kobiety razem z całą skomplikowaną aparaturą i rurkami. Na moment porzucili swoje zajęcie, by po kolei zaglądać jej w oczy, które posłusznie otwierała i zamykała na komendę.

- *Bienvenue, madame* - powiedział ktoś wyraźnie poruszony. Rozległy się inne głosy mówiące: - *Bon, Kerry, bon.*

Usiłowała jeszcze raz odnaleźć wzrokiem tę pierwszą twarz, taką piękną, taką przyjazną. Ponownie rozległy się radosne tony fletu i ktoś pogładził ją po włosach, znowu usłyszała męskie głosy. Próbowwała unieść głowę, ale nie mogła. Uświadomiła sobie, że coś boleśnie blokuje jej gardło, ma tam głęboko wetknięte jakieś urządzenie, coś twardego jak patyk, usiłowała więc sięgnąć, żeby to wyciągnąć.

- Środek uspokajający - zarządził jakiś głos. - Do jutra nie możemy wyjąć tych rurek, dopiero kiedy będziemy mieli pewność. Może dzisiaj późnym popołudniem. Do tego czasu lekki środek uspokajający. Na razie nie musi mówić.

- Teraz szybko dojdzie do siebie - powiedział inny głos.

- Biedna kobieta - mówiły do siebie pielęgniarki w trakcie skomplikowanej operacji transportowania Venna na nosze, mając na myśli jej *calvaire*, kiedy się obudzi i zorientuje, że jej męża zabrano do Londynu.

- Pomyślcie, jacy szczęśliwi będą pozostali - rzekła Victoire, odkładając flet. - Właściwie pomyślałam, że powinnam była pojechać

do Londynu razem z panem Osworthym. Widzę teraz, że mój ojciec potrzebował więcej muzyki; jego żona i tak miała już się sama obudzić.

Rozległy się inne głosy omawiające tę kwestię. Kerry słyszała część słów, to odzyskując, to tracąc świadomość. Ktoś pomanipulował przy jej kroplówce i wkrótce zapadła w głęboki sen.

Było już po pierwszej. Miasteczko Saint- Jean-de-Belleville składało się z szarych, porośniętych mchem kamiennych domów, mocnych, przysadzistych i odpornych na lawiny, usytuowanych w wąskim parowie niewielkiego, w tej chwili skutego lodem strumienia. Amy była zachwycona. Bistro Edelweiss leżało po drugiej stronie śnieżnej płaszczyzny, u podnóża trasy zjazdowej, ruszyli więc w jego stronę, albo idąc na nartach, albo niosąc je na ramieniu, po czym umieścili je w stojaku przed wejściem do kamiennego budynku. Właściciel czekał na nich z informacją, że ich towarzysze już niedawno przybyli. W głębi niszy przy oknie zobaczyli stół nakryty na osiem osób, przy którym Posy, Emile i Robin nalewali sobie z dzbana miejscowego białego wina. Zostawili Victoire w szpitalu i w odpowiedzi na niespokojne pytania Ruperta mogli potwierdzić, że najprawdopodobniej transport jego ojca przebiegnie bez zakłóceń.

Uczestnicy wycieczki samochodowej powitali narciarzy z podziwem i gratulacjami zabarwionymi lekką zazdrością. Pomachali do Amy, zachęcając ją, żeby zajęła miejsce koło Robina Crumleya, naprzeciwko Emile'a i Posy, którzy siedzieli obok siebie. Amy wydało się, że emanuje z nich jakaś zażyłość. Paul-Louis usiadł z drugiej strony Amy i nalał jej kieliszek wina.

- Nie dam ci za dużo - ostrzegł ją - moi narciarze muszą bezpiecznie wrócić od domu.

*Monsieur le proprietaire* zaproponował kilka miejscowych specjalności: *tartelette*, fondue, raclette oraz likier zrobiony z owoców miejscowej rośliny; pokazano im jakiś krzak rosnący w donicy koło okna. Jeśli chodzi o wybór menu, Amy zdała się na Paula-Louisa, który oświadczył, że wszyscy wezmą raclette, a do tego zieloną sałatę i więcej wina.

„I jak było? Coście robili?” - dopytywali się pozostali, ale wszystkie poranki miło spędzone na nartach wydają się bardzo do siebie

podobne i trudno o nich ciekawie rozprawiać. Rupert opowiedział w imieniu narciarzy, jak umiał najlepiej, o ich wyczynach w oszałamiająco stromych skalnych rynnach i na rozległych powierzchniach lodowca. Wkrótce zachwyt słuchaczy wzrósł jeszcze bardziej, gdy pojawiło się urządzenie do przygotowywania raclette. Na stole stanęło coś w rodzaju imponującego elektrycznego opiekacza, pod którym mieli stapać kawałki sera na gotowanych ziemniakach, jak zademonstrował im kelner.

Amy zachwycała się wielonarodowym zróżnicowaniem swojej grupy. W Palo Alto, choć oczywiście każdy przede wszystkim stanowił odrębną jednostkę, jej przyjaciele i koledzy byli do siebie bardzo podobni, bardzo amerykańscy, z wyjątkiem trzech przybyszów z Indii. Anglik, pan Crumley, dzielnie podejmował walkę z żywiołami. Pomyślała, że choć nie jeździ na nartach i wydaje się dość kruchej budowy, przypuszczalnie ma w żyłach krew brytyjskich polarników. Francuzka Marie-France jest taka elegancka, szczupła i nieustraszona, choć ktoś powinien jej doradzić, żeby używała filtra przeciwsłonecznego, podobnie zresztą jak cudownie atletycznie zbudowany Paul-Louis, choć opalenizna należała w jego wypadku do ryzyka związanego z zawodem. Między nią a Paulem-Louisem nic szczególnego chyba się nie działo, ale dał jej wiele naprawdę cennych wskazówek na temat tego, jak wizualizować sobie muldy. Paul-Louis, Marie-France i Emile, choć jako Francuzi należeli do różnych światów, sprawiali wrażenie, jakby coś ich łączyło, o czym świadczyły żarty na stronie na temat Francuzów i lekka nieufność wobec wypowiedzi i zamiarów Anglików oraz identyczna reakcja na to, co wydarzyło się następnie. Amy zauważyła również, że Posy zachowuje się niespokojnie w towarzystwie siedzącego obok niej Francuza, mimo że był jej szwagrem, ale Amy potrafiła to zrozumieć. Czasami sama czuła się w jego towarzystwie nieswojo.

Kiedy wszyscy skupili się na instalowaniu maszyny do raclette, ciszę górskiego miasteczka zakłócił nagle agresywny odgłos głośnych dźwięków, bez wątpienia silników spalinowych jakichś pojazdów, które warcząc i dławiąc się, zajechały pod okna restauracji. Rozległy się jakieś męskie głosy, a potem zapach benzyny przeniknął do wnętrza

przytulnej sali drewnianego bistro. Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka weszło ośmiu mężczyzn w kombinezonach i hełmach, bez wątpienia Amerykanów, i to tych samych, których widziano odjeżdżających na skuterach śnieżnych razem z Joem Daggartem.

- *Mon Dieu* - powiedział Emile. - *Quel ennui*. Co za pech.

- Przynajmniej jeśli są tutaj, to nie hałasują swoimi maszynami na zewnątrz - zauważyła Posy.

- Tak, są bardzo hałaśliwi - przyznała Marie-France i spojrzała w stronę mężczyzn, którzy głośno rozmawiali.

- Na szczęście mężczyźni. Prawdziwe utrapienie to restauracja pełna hałaśliwych Amerykanek, są takie... Och, oczywiście nie ty, Amy - zmiygotwał się Robin Crumley.

- Na szczęście jestem tu tylko jedna - odezwała się Amy dość cierpko, ale i ona była rozczarowana widokiem rodaków, ponieważ ich obecność wyraźnie rozwiała delikatny alpejski urok eskapady i ogarniające ją poczucie wielkiej przygody z dala od domu; oczywiście za nic nie przyznałaby się do tego pozostałym.

- Na Boga, nie miałem ciebie na myśli - tłumaczył się Robin.

- Usiłują się zorientować, co spowodowało lawinę - powiedziała Amy. - Czy nie mają prawa do tego, żeby zjeść lunch?

- Próbują się zorientować, w jaki sposób nie spowodowali lawiny - oświadczył Emile.

- Co właściwie ma pan na myśli? - spytała Amy.

- Och, naprawdę nic, ale czy rzeczywiście muszą tu być? Ameryka „często jest w naszych myślach”, ale lepiej, kiedy Ameryka jest w naszych myślach niż w naszych restauracjach, czy też, chyba nie trzeba dodawać, na naszym niebie.

- A le jakie właściwie ma pan zastrzeżenia? - dopytywała się Amy, niemniej nie uzyskała odpowiedzi.

Pojawienie się nowych przybyszów spowodowało, że w małej restauracji nagle zrobiło się za ciasno. Trzeba było pozostawiać ze sobą stoły, przyniesiono dodatkowe krzesła. Nowy stół dla Amerykanów stanął z konieczności tak blisko stolika Amy, że wszyscy jako ludzie dobrze wychowani musieli sobie skinąć na powitanie. Jednak ta przyjazna postawa najwyraźniej nie obejmowała Joego Daggarta, który

usiadł w drugim końcu stołu i starał się, aby jego towarzysze nie domyślili się, że zna kogokolwiek z pozostałych gości restauracji.

Wszyscy Amerykanie byli przystojni na sposób wojskowy, z krótko ostrzyżonymi włosami i piegowatymi twarzami. Jeden z nich ku wyraźnej przykrości Amy i rozkoszy jej towarzyszy powiedział:

- Howdy.

- Howdy - odparli zgodnie Europejczycy, ze stosownie serdecznymi minami.

Emile powiedział coś po francusku, żeby zabawić pozostałych Francuzów, ale nie próbował niczego wyjaśniać. Amy postanowiła popracować mocniej nad swoim francuskim, może po przyjeździe do Paryża weźmie prywatne lekcje. Pomyślała, że Emile jest naprawdę okropnym człowiekiem, sarkastycznym i nieprzyjaznym, choć może nie przyszło mu do głowy, że Amy nie mówi po francusku. Siostra Ruperta także chyba niewiele zrozumiała.

- Źle, jeśli starają się zbadać sprawę, i źle, jeśli tego nie robią - powiedziała Amy, mając na myśli śledztwo w sprawie lawiny. - W każdym razie zgodnie pańskimi poglądami.

Emile wyjaśnił swoje zastrzeżenia.

- Chodzi tylko o to, że ich bezpośrednia obecność źle wpływa na nasze wyobrażenia o ich „wspaniałości”. Wielkie mocarstwo, kiedy mu się przyjrzeć bliżej, traci przypisywaną mu złowrogą moc, więc przestajemy się go bać. Wielkie mocarstwa są skuteczne, kiedy ich nie widać. Potężna instytucja w swojej spersonifikowanej postaci zamienia się w... kilku osobników na śnieżnych skuterach albo grupę pożądlivych księży.

- Amy nie bardzo potrafiła zgadnąć, o co mu właściwie chodzi.

- Sądzę, że to samo można powiedzieć o Bogu - wtrącił się Robin.

- Nabożny lęk i nieobecność dobrze do siebie pasują.

- Jak rozumiał to Bóg, tam, gdzie chodzi o utrzymanie władzy, bezpośrednia obecność nie jest najlepszą strategią - przyznał Emile.

- Cóż, wydaje mi się, że po prostu starają się współpracować w sprawie ustalenia rzeczywistych przyczyn powstania tej lawiny

- mówiła dalej Amy. - Współpraca to pożyteczna idea społeczna.

- Z ich uśmiechów domyśliła się, że jej wypowiedź zabrzmiała za poważnie i nieco drętwo.

- Niewiele społecznych ideałów przeżyło przekład z abstrakcyjnych formuł na użyteczne zastosowania - oświadczył Emile. - W abstrakcyjnej postaci są pożyteczne, w praktyce sprowadzają się do sprawiania kłopotów.

- A więc uważa pan, że nie powinniśmy wprowadzać w życie społecznych ideałów z obawy przed tym, żeby ich nie zniszczyć, tak? - powiedziała Amy, którą na moment zainteresował prawny aspekt zagadnienia.

- Ale z oczywiście należy je stosować, lecz nie oczekiwać za wiele. Należy zdawać sobie sprawę z praktycznych trudności.

- Ale czemu miałyby się to odnosić do obecności i nieobecności? Zgodnie z pańską argumentacją, powinien pan być wyrozumiały wobec ich śnieżnych skuterów albo mojej pomocy w transporcie powietrznym.

Emile spojrział na nią ostro i powiedział:

- Tak sądzę.

Właśnie w tym momencie wniesiono wielkie półmiski ziemniaków, kawałków wołowiny i plasterków sera i wszyscy zajęli się podstawianiem małych talerzyków z serem pod powierzchnię opiekacza, a następnie zdrapywaniem sera na pozostałe składniki potrawy, co dawało ciągnący się, lepki, tłustawy i rozkosznie pachnący rezultat. Amerykanie siedzący przy sąsiednim stole z podziwem przyglądali się ich poczynaniom i zaczęli z przyjaznymi uśmiechami nachylać się w ich stronę.

- Powiedzcie, jak się nazywa to coś, co jecie? - spytał jeden z nich.

Paul-Louis wyjaśnił, co to takiego, i Amerykanie zamówili to samo danie dla siebie.

- Myślę, że są *charmats* w tych swoich białych *combinaison* - powiedziała Marie-France, rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę Amerykanów. - W każdym razie na pewno to nie ci mężczyźni spowodowali lawinę.

- Jutro będziemy w Anglii - powiedziała nagle Posy między jednym a drugim kęsem sera *i grison*. - To wszystko jest jak jakiś sen.

Amy pomyślała, że to dość banalne spostrzeżenie, ale była zaskoczona ponurym tonem głosu młodej kobiety. Pomijając problemy



prawne, czy nie powinni się cieszyć, że ich ojciec został bezpiecznie przewieziony do Anglii i znalazł się pod opieką specjalistów, królewskich konsultantów, i najnowszych zdobyczy wiedzy medycznej?

Paul-Louis ponownie napełnił ich kieliszki winem, pomijając Emile'a, który sam musiał przysunąć ku niemu swój kieliszek.

- *Oh, excusez-moi, monsieur.* Myślałem, że... wie pan, ze względu na pańską religię...

Emile uśmiechnął się sardonicznie, zdając się mówić: a jakaż to, jak pan sądzi, jest moja religia?

Paul-Louis popatrzył na niego z przerażeniem i zaczerwienił się, jak gdyby ktoś go uderzył.

- Zawsze będę wspominała ten lunch - Posy ciągnęła towarzysko neutralny temat, zastanawiając się mimochodem, jaką właściwie religię wyznaje Emile.

- Podobnie jak ja. - Robin Crumley posyłał w stronę Amy, jak jej się zdawało, dość niestosownie romantyczny uśmiech, a może tylko ona to zauważyła. Starąła się usilnie nie reagować, ograniczając się do swojego bezosobowego amerykańskiego uśmiechu.

Rupert ze zrozumieniem pomyślał o smutku Posy, tak bardzo przypominającym jego własny, jaki ogarniał go na myśl o tym, że na chwilę zakosztowali nieograniczonej wolności i życia w luksusowym hotelu - rzecz przyjemna sama w sobie, niezależnie od szpitalnych obowiązków związanych z ojcem. Odtąd jego nudna praca w City i butik Posy będą wydawały im się jeszcze bardziej banalne i przygnębiające. Musiał przyznać, że upodobanie do przyjemności wybitnie nie sprzyja chęci poświęcania się.

Dla Amerykanów przygotowano kolejną porcję składników raclette, rozdano im długie widelce i na ich stole pojawiły się dwa urządzenia, które następnie podłączono do prądu. Jednak w chwili gdy w gniazdku znalazła się wtyczka drugiego z nich, obydwa opiekacze na obu stołach zawarczały i zgasły. Pogasły także światła i ucichła muzyka. Gdzieś musiały wyskoczyć korki. Goście siedzący przy stoliku Amy, którzy zdążyli nasycić pierwszy głód, jedynie westchnęli z zalem, ale od stołu Amerykanów rozległ się jeden wielki okrzyk zawodu. Właściciel restauracji pospiesznie gdzieś pobiegł i przez chwilę trwała

ogólna krzątanina, trzymająca gości w nastroju niepewności zdaniem Amy o wiele dłużej, niż trwałoby to Stanach, gdzie ktoś po prostu poszedłby włączyć korki.

- Ojciec pewnie jest już w powietrzu - mówiła dalej Posy w półmroku. - Podobnie jak pan Osworthy. W tej chwili są już może w Londynie, a my jesteśmy tutaj.

Wydawało się, że jej słowa nie wymagają odpowiedzi. Pojawił się kelner z dzbankiem jakiegoś przejrzystego płynu; jak wyjaśnił, to miejscowe *gennepi*, żeby mogli łatwiej przetrwać nieoczekiwaną przerwę w posiłku, w czasie gdy ser zastygał im na talerzach. Głodni Amerykanie życzliwie zaczęli się dopytywać, co się dzieje, i jeden z nich zaoferował pomoc w naprawie.

- Idź, Panie Bezpiecznik - zawołali jego towarzysze.

- Tak, pan Venn znajduje się już w powietrzu, dzięki panie Hawkins - rzekł Emile. - Poza zasięgiem niegodnych praw Francji.

Posy i Rupertowi nie w smak było przypomnienie o tym aspekcie podniebnej podróży ojca.

- Muszę przyznać, że nie do końca byliśmy przekonani, że ojciec powinien polecieć... w tym stanie - zwrócił się Rupert do Amy. Przy czym słowo „przekonani” wypowiedział tonem wskazującym, że chodzi o słowo „szczęśliwi”. Nie byliśmy całkiem szczęśliwi, że ojciec musi polecieć, mieliśmy co do tego mieszane uczucia.

- Kolejny przykład jednostronnej skłonności Amerykanów do wtrącania się w cudze sprawy bez względu na konsekwencje, jakie to może mieć dla innych - mówił dalej Emile.

- Dlaczego więc po prostu nie powiedział pan, że nie chce, aby go gdziekolwiek zabierano? - spytała Amy, znowu czując, że ktoś na nią napada, zmęczona już tym tematem, którego ten człowiek najwyraźniej nie potrafił porzucić. - Nie rozumiem tej całej powściągliwości w sprawach ostatecznych. Próbowałam jedynie pomóc. Wasz prawnik, pan Osworthy, jak sądzę, jest przekonany, że można go uratować.

Dopiero teraz zaczynało do niej docierać, że być może oni wcale nie chcieli, żeby ich ojciec został uratowany. Jakaż była naiwna, że o tym nie pomyślała. Oczywiście! Wspominali coś o jakichś szczegółach prawa międzynarodowego i teraz dopiero zrozumiała,

że szlachetny pan Osworthy musiał pokonać opór zbuntowanej grupy zawiedzionych niedoszłych spadkobierców. Ale jeśli tak, to tym bardziej szanowała ich uprzejmą powściągliwość, która nakazywała im milczenie; powściągliwość będąca, jak skądinąd wiadomo, narodową cechą Anglików, której przypuszczalnie, nawet gdyby chcieli, nie potrafiliby przełamać.

- Ogólnie rzecz biorąc, Amerykanie są ludźmi życzliwymi, więc próbują pomóc - wtrącił się Robin; albo miał na myśli Amerykanina, który starał się naprawić korki, albo próbował się zrehabilitować za swoją poprzednią uwagę o kobiecych głosach.

- Nikt w ogóle nie dba o moją siostrę - odezwał się nagle Kip. Czując na sobie ich zdumione spojrzenia, mówił dalej, jękając się. - Wczoraj odzyskała przytomność. Nikt o niej w ogóle nie wspomina, równie dobrze mogłaby być jakimś wielkim kawałkiem sera, równie dobrze mogłaby nie żyć.

Zaskoczeni zaczęli protestować.

- Ależ ona jest w całkiem dobrym stanie. Wszyscy się o nią martwimy...

- Harry także. Harry jest osobą, wiecie... jest małym dzieckiem i nie wie, co się dzieje...

Amy, chociaż darzyła Kipa sympatią, zaliczała go do kategorii nastoletnich chłopców, czyli istot nieznanych i nieprzeniknionych. Teraz jednak zobaczyła go w nieco innym świetle. Już wcześniej wspominała o swoich obawach, ale nie zwracała na nie uwagi, ponieważ nie wiedziała, co mogłaby w tej sprawie zrobić. W tym momencie dostrzegła w jego oczach namiętne przekonanie, głębię uczuć oraz niepewność. Inni pocieszająco wymamrotali, że myśleli o Kerry przez cały czas, była w takim dobrym stanie, nie miało sensu, żeby ją przенosić, i tak dalej.

- Jeśli Kerry ma jakieś szanse, to przede wszystkim ją należało zabrać od Londynu. Tak właśnie robią w filmie *M.A.S.H.*, przewożą helikopterami tych, którzy mają największe szanse - powiedział Kip.

Amy zrozumiała, że zupełnie niewłaściwe pojmowała dotąd całą sytuację; nie zwracała należytej uwagi na Kerry, wierzyła w przytaczane przez Kipa pocieszające uwagi lekarzy w sprawie stanu jego siostry.

- Myślę, że wszyscy zasłużyliśmy na te trzeźwiące słowa krytyki - oznajmił Emile, ale była to jedyna *mea culpa*, w dodatku wątpliwej szczerości.

Widząc, że oczekiwanie na naprawę elektryczności wydłuża się coraz bardziej, pozostali Amerykanie podnieśli się od stołu, aby pomóc Panu Bezpiecznikowi w poszukiwaniu przyczyn awarii. A ponieważ żaden z towarzyszy Amy nie znał się na elektryczności, siedzieli wszyscy biernie, ze smutkiem wpatrując się w zastygłe kawałki zimnego sera na talerzach. Mimo kąśliwych uwag Emile'a między oboma stolami zawiązała się nic pewnej sympatii, zwłaszcza między Amerykanami a madame Chatigny-Dove, która siedziała najbliżej i od czasu do czasu podawała im ziemniaki i korniszony.

- Żeby utrzymać was przy życiu - powiedziała, śmiejąc się załotnie.

W końcu ponownie rozbłysło światło i opiekacze zaczęły się rozgrzewać. Amerykanie wrócili do stołu, z niedowierzaniem kręcąc głowami na myśl o prawdziwie bizantyjskim systemie kabli, z jakim nigdy wcześniej nie mieli do czynienia. Wdzięczny właściciel restauracji obsługiwał ich z przesadną uprzejmością, napełniając im duże kieliszki ognistym likierem sosnowym. Gdy ser na talerzach stopniał, ożywiły się rozmowy. Marie-France i Rupert podjęli przerwana konwersację z Amerykanami, którzy potwierdzili, że badają warunki śniegowe i programy zapobiegania lawinom w tym rejonie.

- Usuwanie szkód - powiedział jeden z nich.

Amy pomyślała, że nie dość jasno dali do zrozumienia, iż nie mają nic wspólnego z lawinami. Zauważyła, że Kip z wielką uwagą przysłuchiwał się ich słowom.

Kiedy skończyli jeść i ze stołów zabrano urządzenia do raclette, kelner z typowym uśmiechem, z jakim kelnerzy zwykle proponują desery, zaferował *sorbets* oraz *tartes au pommes*. Amy z ulgą przyjęła fakt, że po tych ilościach sera nie musieli jeść kolejnego dania z serem, choć przyzwyczała się już do nich i potrafiła teraz odróżnić brie od camemberta. Po deserze przyszła pora na kawę i kolejne szklanecki miejscowego *gennepi*. Zaczęła się trochę niepokoić, że zrobiło się późno, ale pozostali najwyraźniej nie zamierzali jeszcze wstawać

od stołu. W końcu Paul-Louis przestał wyglądać przez okno, może uznał, że już dawno minęła pora, kiedy powinni wyjść z bistro, jeśli mieli wrócić do hotelu na nartach. Amerykanie poprosili o rachunek, zapłacili i zeszli na dół do toalety, głośno tupiąc ciężkimi butami do jazdy na skuterze śnieżnym, po czym wyszli na górę i opuścili bistro, a po chwili uruchomili swoje hałaśliwe pojazdy. Kip powiedział, że chciałby spojrzeć na ich sprzęt, i poszedł za nimi. Paul-Louis nawet nie próbował zachęcać swoich podopiecznych do wyjścia.

Hałas skuterów śnieżnych ponownie zakłócił spokój alpejskiej doliny. Emile wywrócił oczami, spoglądając na Posy i Ruperta. Teraz Paul-Louis dał kelnerowi znak, że prosi o rachunek. Na moment wszyscy poczuli zwykłą chwilę niepokoju związaną z rachunkiem. Było ich siedmioro i nie wszyscy z nich byli klientami Paula-Louisa, więc Amy miała nadzieję, że nie przyszło mu do głowy, że powinien za wszystkich zapłacić ze swojej skromnej pensji. Gdyby była z nim sama, chętnie zapłaciłaby za nich oboje, jak to zwyczajowo dzieje się między klientem a instruktorem, jednak na widok pewności siebie, z jaką pomachał w stronę kelnera, ogarnęły ją obawy, że dał się ponieść odruchowi francuskiej gościnności. Na szczęście pozostali mężczyźni na pewno w porę się zreflektują i położą swoje karty kredytowe na stole, jak uczyniliby to Amerykanie.

Jednak nic takiego się nie stało. Pozostali wierzili się i zapinali swoje swetry. Tylko Rupert powiedział:

- Pozwól, że... - zatroskanym tonem, któremu nie towarzyszył żaden gest w stronę kieszeni.

Zupełnie jakby wszystkich ogarnęła jakaś niemoc, nie wykluczając Paula-Louisa, który na widok kelnera kładącego przed nim wielki rachunek zrobił tępą minę człowieka stawiającego oszczędności całego życia na jakiegoś konia na wyścigach. Taka chwila niewypowiedzianej walki, zarówno wewnętrznej, jak i towarzyskiej, zwykle trwa zaledwie ułamek sekundy, jednak wydawało się, że upłynęły całe eony, nim Amy wyjęła kartę kredytową i umieściła ją na tacy. Ten gest sprowokował poruszenie wśród towarzystwa.

- Och, nie, nie, pozwól mi, może się podzielimy, dzięki - zupełnie jakby wszyscy nagle uwolnili się spod władzy jakiejś złowrogiej siły,

która wcześniej kompletnie ich sparaliżowała. Posy wciągnęła na siebie swój czerwony sweter i poszła do łazienki. Amy miała nadzieję, że nie przekroczyła limitu na karcie po swoich poważnych wydatkach na pokrycie kosztów lotniczego transportu Wenna do Londynu. Ale nie.

Amy oczywiście nie miała nic przeciwko temu, żeby zapłacić za lunch, ale jeden szczegół odrobinę ją zaniepokoił: czemu inni zgodzili się na to bez żadnego sprzeciwu? Najwyraźniej orientowali się, że ją na to stać, co oczywiście nie było wielkim sekretem, jednak poczuła się nieswojo, że wszyscy o tym wiedzą. Dziwne, bo przecież z radością zapłaciła rachunek, to była dla niej drobnostka. Miała nadzieję, że nie staje się jakąś paranoiczką na punkcie pieniędzy i że nie opanowuje jej skąpstwo, jak to się często dzieje z bogatymi ludźmi.

Kelner przyniósł im całą stertę kurtek. Przez okna restauracji widać było jedynie, że niebo wyraźnie pociemniało, ale kiedy wyszli na zewnątrz, padał gęsty śnieg.

- Teraz jest już za późno, żeby jechać na nartach - oświadczył Paul-Louis. Być może pozwolił im siedzieć tak długo w restauracji, ponieważ wiedział, że nie będą w stanie wrócić z powrotem na nartach. A może sam tak to zaplanował w obawie, że nie starczy im sił, by wrócić z powrotem, albo doszedł do wniosku, że mają dość jak na jeden dzień. - Będzie lepiej, jeśli wróćcie wahadłowcem - miała na myśli niewielki górski autobus, który jeździł okrężną trasą, przywożąc narciarzy i pracowników hoteli do miejsca, z którego wyruszyli.

Amy poczuła ulgę. Podobnie jak pozostali wypić sporo wina i jałowcowego likieru.

Poza tym był jeszcze jeden problem. Kip gdzieś zniknął, a z nim jego deska snowboardowa, co wskazywało, że wyruszył samotnie, albo razem z Amerykanami, do hotelu tym samym szlakiem, którym przyjechali rano. Paul-Louis zmarszczył brwi, a na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju, choć jedynie pokręcił głową, jak gdyby w geście bezradności wobec niefrasobliwego postępku młodego Amerykanina. Najwyraźniej wahał się, co powinien teraz zrobić. W ciągu zaledwie kilku godzin napadało o wiele więcej śniegu, niż się spodziewali, do tego zerwał się zimny wiatr, wiejący popołudniami przez cały tydzień, i droga lśniła od lodu.

Paul-Louis uznał, że Posy nie powinna w tych warunkach prowadzić samochodu.

- W każdym razie nie bez łańcuchów. Może pani wrócić po samochód jutro.

- Musimy dziś wieczorem jechać do Londynu - zaprotestowała Posy.

Paul-Louis nadal się zastanawiał, czy powinien pojechać szukać Kipa, czy zostać, żeby pomóc pozostałym.

- Odprowadzę pani samochód, mademoiselle - zdecydował w końcu. - Nie mogę pozwolić, by zrobiła to pani sama. To moja wina, że pozwoliłem państwu jeść tak długo. Ale i tak nie będzie pani w stanie dziś wieczorem wyjechać z Valmeri, mademoiselle.

Posy z wdzięcznością wręczyła mu kluczyki, choć w głębi ducha zarezerwowała sobie prawo do wcześniejszego wyjazdu, jeszcze dzisiaj, jeśli będzie miała na to ochotę. Paul-Louis zadzwonił do narciarskich służb ratunkowych, żeby zawiadomić ich, że jeden chłopiec jedzie samotnie trasą do Valmeri, po czym pokazał pozostałym, gdzie mają czekać na autobus.

- Pojadę z Paulem-Louisem - powiedział Rupert - na wypadek jakichś problemów z samochodem.

## ROZDZIAŁ 25

Niewielki mikrobus wiozący narciarzy i pracowników hotelowych mimo złej pogody przybył o oznaczonej porze. Towarzysze Amy czuli się najedzeni i zrelaksowani, ale wstawili swoje narty do specjalnego bagażnika i wdrapali się do środka z poczuciem lekkiego rozczarowania, jak gdyby żałowali, że nie wrócą do domu na nartach. Autobus był już dość zatłoczony, pełen narciarzy i pokojówek ubranych w sukienki do pracy oraz praktyczne kurtki i pantofle, rozmawiających wesoło między sobą w jakimś dość ostro brzmiącym lokalnym dialekcie. Posy i Marie-France mogły usiąść, gdyż mężczyźni ustąpili im miejsca, ale Emile, Robin i Amy musieli stanąć z przodu, obok kierowcy. Kołysząc się i wpadając na siebie, już po chwili zarazili się nastrojem wesołości, jaka najwyraźniej zdążyła opanować pozostałych pasażerów. Było jasne, że kierowca starał się szybko pokonać trasę, przypuszczalnie w obawie, że w nasilającej się śnieżycy nie zdąży zabrać wszystkich chętnych. Mimo fatalnych warunków drogowych ani na chwilę nie zmniejszył prędkości, choć coraz mocniej zarzucało nimi na zakrętach i wraz z każdym poślizgiem pasażerowie wybuchali coraz głośniejszym śmiechem.

Jednak już po kilku minutach mikrobus z jakimś sennym rozmysłem zaczął ślizgać się po całej szosie, zarzucając tyłem niczym pies otrząsający się z wody, i momentami stawał bokiem, jakby znalazł się na ruchomym transporterze. Pasażerowie wpadali na siebie miotani po całym wnętrzu pojazdu, po czym nagle poczuli, że wylądowali w ogromnej zaspie, a za oknami mają jedynie niebieskawy mrok. Wszystko to rozegrało się w dziwnie wydłużonej chwili całkowitego



milczenia. Natychmiast rozległy się okrzyki, kierowca wołał „*Ca va?*” - zwrot, który, jak Amy zdążyła już się nauczyć, oznaczał „Czy wszystko w porządku?” - na co odpowiadano mu „*Ca va, ca va*” z wnętrza pojazdu. Jakieś dziecko zaczęło płakać. Kierowca przepchnął się obok pasażerów, którzy leżeli oparci o drzwi wejściowe, żeby spróbować otworzyć boczne suwane drzwi, co też udało mu się bez trudu. Śnieg z zasy dostał się do środka.

Najwyraźniej zjechali z drogi i wpadli do rowu wypełnionego miękkim śniegiem, który ich uratował, a zarazem uwięził. Mikrobus znalazł się może z metr poniżej powierzchni jezdni, ale należało go najpierw odkopać, zanim ruszy z miejsca. Przypuszczalnie trzeba go będzie w końcu wyciągnąć na szosę. Względny spokój, z jakim pasażerowie zareagowali na to wydarzenie, wskazywał, że takie wypadki są tu na porządku dziennym. Wyglądało na to, że najpierw będą musieli sami odkopać sobie drogę do wyjścia, jednak na razie Amy głównie zaniepokoiła się tym, że kierowca ponownie zapalił silnik i zostawił go na wolnych obrotach, chociaż rura wydechowa na pewno była zablokowana przez śnieg. Czy oni nie słyszeli o tlenku węgla? W tej chwili nie mogła jednak im niczego wyjaśniać, zresztą pocieszyła się, że jakoś nigdy nie słyszała, żeby pasażerowie alpejskiego autobusu zginęli w zaspie z powodu zatrucia tlenkiem węgla. Prawdopodobnie niepotrzebnie się niepokoi.

- *Restez-la, restez-la* - uspokoił ich kierowca.

W tym czasie mężczyźni zdołali jakoś wygramolić się przez okna i poradzili lekko ubranym pokojówkom, żeby zostały w środku razem z dziećmi. Amy w ślad za Marie-France wysiadła, ale po chwili wróciła do środka, czując, że jedynie przeszkadza mężczyznom, w tym Emile'owi i Robinowi, którzy gołymi rękami odgrzebywali śnieg z boków pojazdu. Z ulgą usłyszała, że silnik w końcu zgasł i kierowca nie próbował zapalić go ponownie. Zrobiło się bardzo zimno.

Plemienne formy współpracy czasami bywają dość egzotyczne, jak choćby te praktykowane przez plemiona alpejskie, czemu Amy przyglądała się z wielkim podziwem. Odkopywanie samochodu trwało jakieś czterdzieści minut, po czym mężczyźni uznali, że droga jest wystarczająco odśnieżona, kierowca ponownie zapalił silnik i mężczyźni wrócili

do środka pojazdu. Rozległy się wesołe głosy dające wyraz zadowoleniu z pracy zespołowej i dzielnie spełnionego męskiego obowiązku. Francuskie pokojówki chwalały mężczyzn, po czym, ku zdumieniu Amy, chwyciły ich zgrabiałe ręce i wsuwały pod swoje kurtki, a nawet pod bluzki, żeby je ogrzać. Mężczyźni radośnie dziękowali paniom, czemu towarzyszyły salwy nieprzyzwoitego śmiechu, również kobiet, które śmiały się mimo chłodnych dłoni dotykających ich piersi.

- *Ici, pauvres hommes* - mówiły, krzyżując ręce na piersi, żeby lepiej objąć zziębnięte dłonie.

Amy ze zdumieniem zobaczyła, że Robin Crumley pod wpływem zbiorowej radości wykonał gest, jakby zamierzał wsunąć dłonie pod jej kurtkę. Odsunęła się gwałtownie, wzdrgnęła i odwróciła od niego. Po chwili pożałowała swojej reakcji, ogarnęło ją uczucie wstydu, że zachowała się tak pruderyjnie, tak odmiennie niż Francuzki. Jakie to amerykańskie, że nie potrafiła dopasować się do tej dziwnej sytuacji. Crumley zrobił minę pełną urażonej niewinności, jakby chciał powiedzieć, że opacznie zrozumiała jego gest. Poczuła, że jej twarz zrobiła się równie czerwona jak jego uszy.

Wkrótce jednak okazało się, że mikrobus nie zdoła jednak ruszyć z miejsca. Kierowca wezwał pomoc i poprosił pasażerów, żeby wyszli na jezdnię, skąd będą ich odbierać samochody ratownicze. Amy nie bardzo rozumiała, czemu nie pomyślano o tym wcześniej, ale być może jakiś miejscowy kodeks nie pozwalał pasażerkom na opuszczenie mężczyzn w chwili, gdy odkopywali pojazd ze śniegu. Kiedy tak czekali na szosie w śnieżnej zamieci, Amy, mocno ściskając narty i przytupując w ciężkich butach, żeby się rozgrzać, martwiła się zarówno bezpieczeństwem Kipa, jak i swoim zachowaniem wobec Robina Crumleya. To prawda, jego odruch był dziwny - ale teraz doszła do wniosku, że starał się po prostu naśladować, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi, miejscową formę galanterii albo demonstrację zdrowego pożądanego. Być może jej reakcja brała się nie tyle z purytanizmu (specyficzna wada amerykańska?), ile z urażonej próżności (skłonność powszechna?). Była urażona i zaszokowana, że ktoś w jego wieku i tak kruchej postury mógł poczuć się uprawniony do podobnych gestów. Widocznie uznał, że ona tak bardzo tego potrzebuje, iż pozwoli się

obmacywać komuś takiemu jak on. Przypuszczalnie jednak nie miało to być obmacywanie, ale jedynie ogrzanie dłoni, bowiem równie dzielnie jak pozostali mężczyźni odgarniał śnieg i podobnie jak oni musiał szybko ogrzać zgrabiące ręce. Patrzyła na ten mały epizod jako na dowód swoich wad. Jej zachowanie było niewybaczalne i świadczyło o tym, że nie potrafi wznieść się do poziomu ducha wspólnoty, przejawiającego się w radosnych zachowaniach tutejszych mieszkańców. Nieważne, pomyślała, własne wady można starać się wyeliminować; w przyszłości będzie miłsza dla Robina.

Baron Otto chętnie odpowiedział na apel wzywający ochotników mających prywatne samochody z łańcuchami na kołach, aby pospieszyli na pomoc pasażerom i hotelowym gościom z mikrobusu, który wylądował w rowie. Miał właśnie za sobą kłótnię ze swoją wybuchową żoną Fennie, która z pochodzenia była Amerykanką, choć wychowała się w Niemczech, w rodzinie wojskowej, i cechowała się amerykańską bezpośredniością. Zawsze uważał, że w tym oderwaniu od ojczystego kraju należy upatrywać przyczyny jej chronicznego niezadowolienia i napadów zazdrości. Nie do końca rozumiejąc zarówno amerykański, jak i niemiecki sposób patrzenia na różne sprawy, zwykle opacznie pojmowała niemal wszystko, co robił. Na przykład teraz zupełnie błędnie odczytała listę jego paryskich kontaktów zaczynając się od wpisu „Geraldine C, 10.00”, dopatrując się w niej notatki na temat jego paryskich randek, co było interpretacją zgoła nieracjonalną, zważywszy na to, że spotkanie się w tym charakterze ze wszystkimi wymienionymi na niej osobami wymagałoby, jak pomyślał ze złością, ikry biseksualnego ogiera („Antoine de Persand, 14.00”). Jednak Fennie była święcie przekonana, że Paryż jest kwintesencją występku, a wszyscy mężczyźni są niewierni.

Amy zdawała sobie sprawę z tego, że baron Otto uparł się, żeby zabrać właśnie ją, i była mu wdzięczna, choć początkowo jechały z nimi jeszcze dwie pokojówki, które wysiadły wkrótce przy jakimś hotelu stojącym przy drodze. Baron dość długo przymocowywał jej narty do bagażnika swojego mercedesa combi i polecił jej, żeby usiadła obok niego na przednim siedzeniu.

- Panno Hawkins, musi być pani zmęczona. Po tym wszystkim, co pani przeszła...

- Niezupełnie. Przejechaliśmy na nartach jedynie do Saint-Jean-de-Belleville, a potem zjedliśmy długi lunch.

- Wypadek nie był zbyt stresujący? - spytał, myśląc o jej uroczych dołeczkach w policzkach.

„Och, baronie Otto, nie jestem wcale taka krucha”, chciała za-protestować. Zawsze miał o mej jak najgorsze mniemanie, zresztą być może dotyczyło to w ogóle wszystkich Amerykanów, ludzi, którzy ignorują znaki ostrzegawcze, wywołują lawiny, mówią wyłącznie po angielsku i szybko się męczą. Nie potrafiła samej sobie wyjaśnić, dlaczego zależało jej na opinii tego lekko zwalistego Austriaka z jasnymi alpejskimi oczami psa husky.

- Nie, nie - powiedziała. - Nikt nie został ranny.

- Może więc moglibyśmy... To niedaleko... bardzo chętnie poka-załbym pani nasz domek, prawdziwą górską chatę, jeśli nie miałyby pani nic przeciwko krótkiej wycieczce?

Amy, poddając się duchowi przygody, któremu ulegała od rana, zawiesiła wszelkie domysły na temat możliwego znaczenia tej pro-pozycji.

- Bardzo chętnie zobaczę domek - powiedziała.

Baron jechał gdzieś przez kilka minut, po czym zaparkowali u stóp wysokiej, zaśnieżonej skarpy, obok ścieżki ledwo widocznej w gęstniejącym mroku późnego popołudnia.

- Będziemy musieli podejść pieszo kawałek, podjazd nie został jeszcze odśnieżony.

Wysiadając, Amy pośliznęła się w swoich butach narciarskich. Baron podał jej ramię i niezdarnie podreptała obok niego w stronę odległego światła świecącego na kamiennym ganku jakiegoś domu. Jego architek-tonicznego uroku mogła się jedynie domyślać - ostry, spadzisty dach, ozdobne okapy, na ganku drewniane donice, w których latem pewnie rośło geranium, do tego duże nowoczesne okna i masywne drzwi, które baron otworzył jednym z kluczy znajdujących się na potężnym kółku. O czym właściwie świadczą rozmiary męskiego breloczka do kluczy? Amy poczuła, że musi być zmęczona, skoro zaczyna mieć głupie myśli.

- Moja żona jest pewnie na swoich zajęciach.

Informacja o nieobecności żony stanowiła klasyczny wstęp, który powinien ją zaniepokoić i ostrzec, ale Amy nie zwróciła na nią uwagi.

- Oto jesteśmy - oświadczył baron, dotykając włącznika światła, które dyskretnie rozjaśniły pokój. Sofy w stylu rustykalnym, w jednym końcu antresola, na ścianach makaty w jasnych barwach, stwarzające wygodny, nawet jeśli typowo górski wystrój wnętrza, atmosferę przypominającą jakieś condo w Aspen albo Vail. Lampa zrobiona ze starej maślnicy i stolik do kawy ze starych sanek. Jelenie rogi. Czy to przejaw amerykańskiej alpejskiej wiosek czy raczej Amerykanie zapożyczyli ten kiczowaty, ale autentyczny wystrój wnętrza? Powoli docierało do niej, że nie musi rozstrzygać takich pytań.

- Oczywiście nie może mieć pani w tej chwili wyobrażenia, jak wygląda widok z okien za dnia - powiedział, dotykając innego guzika, dzięki czemu rozsunęły się zasłony przy ogromnych oknach. - To jeden z większych domków, ale nawet te najmniejsze mają wszystkie luksusy. Proszę usiąść, proszę usiąść!

- Och, jestem trochę przemoczona - powiedziała, ale mimo to usiadła.

- Może drinka? Możemy wypić tutaj aperitif. Przypuszczam, że chciałaby pani zobaczyć kuchnię i tak dalej.

Amy niezbyt pociągało oglądanie kuchni, ale wiedziała, że stanowią element jej programu samodoskonalenia i że powinna zacząć się interesować tymi wszystkimi rzeczami, które będą niezbędne do gotowania, powiedzmy, homara albo potraw *au gratin*.

- Tak, oczywiście! - powiedziała, podnosząc się znów.

Baron poprowadził ją do drzwi znajdujących się w głębi salonu, pod antresolą.

- Czego miałyby pani ochotę się napić?

- Czy ma pan może *gennepi*? - odpowiedziała, przypominając sobie nazwę rozkosznego miejscowego likieru, który popijali w Saint-Jean-de-Belleville. Jednak z miny barona domyśliła się natychmiast, że czegoś takiego raczej nie należało się spodziewać w jego barku. A może takich rzeczy nie piło się o tej porze? Im więcej człowiek wiedział, tym więcej miał okazji do towarzyskich nieporozumień. Choć z drugiej strony,

nawet jeśli poprosiła o niewłaściwy alkohol, z pewnością to nie było jakieś poważne *faux pas*.

- Campari, a może martini? Gin?

- Poproszę gin - wybrała najbardziej znaną nazwę.

- Wszystkie domki mają amerykańskie lodówki Amana, płytę do gotowania Miele i niemiecką zmywarkę do naczyń, wszystko urządzenia najnowszej generacji - mówił baron, otwierając lodówkę.

Amy zamierzała właśnie sformułować jakieś inteligentne pytanie na temat płyt do gotowania, gdy oboje zdali sobie sprawę z tego, że ktoś wchodzi do kuchni. Odwrócili się i zobaczyli na progu jakąś kobietę w wieku barona, w spodniach i w swetrze z golfem. Byłaby nawet ładna, gdyby nie jej gniewne spojrzenie.

- Och, mój Boże, Otto, czy to nie nazbyt bezczelne? Widzę, że nie powinnam była nic mówić, bo tylko cię zachęciłam, żebyś sprowadzał je do domu. - Miała amerykański akcent z lekko cudzoziemską intonacją, jaką Amy słyszała w mowie innych Amerykanów mieszkających długo w Europie, jak choćby księżna Mawlesky.

- Tak, to prawda - przyznał Otto ponuro. - Ale nie sądzę, żebyśmy musieli kontynuować tę rozmowę w obecności panny Hawkins.

- Panna Hawkins. A gdzie to spotkałeś pannę Hawkins? - spytała, jak gdyby Amy tam w ogóle nie było. - Nieważne, i tak nie mam ochoty się tego dowiadywać.

- Panna Hawkins, moja żona Fennie.

Amy, zmieszana z powodu zakłopotania barona i gniewu jego żony, spojrzała na niego ze współczuciem i uśmiechnęła się przyjaźnie do Fennie.

- Odwołało moje zajęcia, czego nie wzięłeś pod uwagę - mówiła dalej Fennie.

- Przywozłem pannę Hawkins z myślą o tobie. Jest twoją rodaczką z...

- Myślałeś, że nie będzie mnie w domu do ósmej.

- ...Tyle dzisiaj zamieszania, Fennie, ludzie czekający na drodze, wypadki. Panna Hawkins uczestniczyła w wypadku mikrobusu z hotelu Croix St. Bernard.

- Na szczęście, jak widzę, nic jej się nie stało.

- Chyba powinnam już wracać. Dziękuję, że pokazał mi pan ten śliczny domek.

Gniewna Fennie obdarzyła teraz Amy wymuszonym uśmiechem. Baron, który nadal wyglądał jakby był zakłopotany, powiedział, że powinni najpierw skończyć drinki.

- Fennie, czego byś się napiła?

Amy wyobraziła sobie barona w Palo Alto albo raczej w Woodside, gdzie panowały bardziej kowbojskie klimaty, w wysokich butach i bryczesach, w których wyglądałby całkiem nieźle, masywny, mocno zbudowany mężczyzna. Lato w Woodside, zima tutaj, w jego górskim domku, mnóstwo czasu na nartach i w towarzystwie Europejczyków. To była bardziej obiecująca fantazja niż wszystkie wizje z udziałem poważnego i odpowiedzialnego Paula-Louisa. Tym bardziej szkoda, że ma taką żonę. Spojrzeli na siebie z baronem i oboje odczytali w swoich oczach to samo zakłopotanie i pożądanie. Amy uświadomiła sobie, że mogłaby bardzo poprawić jego nastrój. Fennie usiadła cała spięta na krześle i wzięła od swojego męża gin z lodem. Wyglądało na to, że ma bardzo dobrą intuicję, i nie rezygnowała z drobnych uszczypliwości, kiedy powoli sączyli drinki.

Kip, zakłopotany swoim wybuchem podczas lunchu, zostawił resztę gości w bistro i wsiadł do gondolki, która nadal optymistycznie wysyłała swoje niewielkie eliptyczne kapsuły w górę śnieżnej zamieci. Jednak na szczycie doszedł do wniosku, że widoczność jest za słaba, i ruszył w dół najlepiej widocznymi trasami w stronę Meribel, gdzie gromadziły się kursujące między dolinami mikrobusy i autobusy w oczekiwaniu na narciarzy zjeżdżających ze stoków, po czym wsiadł do jednego z nich i pojechał prosto do Moutiers. W szpitalu trafił akurat na moment wielkiego podniecenia towarzyszącego przebudzeniu się Kerry. Myślał o niej przez cały dzień i teraz widział, że to musiała być chyba telepatia, ponieważ najwyraźniej nastąpiła jakaś zmiana w jej stanie. W pierwszej chwili przeraził się, że to zmiana na gorsze, ale kiedy podszedł bliżej, czując lekkie mdłości, z wyrazu twarzy lekarza i pielęgniarek zorientował się, że jest zgoła przeciwnie.

- Czy ona się budzi?
- Tak, rzeczywiście!
- Czy wszystko z nią w porządku?
- Och, jest w bardzo dobrym stanie! - przyznała jedna z pielęgniarek.

Kip nagle rozpłakał się i mimo zawstydzenia nie mógł powstrzymać łez. Nie potrafił opanować dziecięcego łkania, zupełnie jakby był Harrym. Stał obok łóżka Kerry, łkając i śmiejąc się jednocześnie.

- Hej, Kerry, w porządku. Kerry! - wołał ze śmiechem i łzami. Victoire, która także była w sak, uśmiechnęła się do niego.
- Ktoś ją chronił, *elle avait une protectrice* - powiedziała pielęgniarka i ucisnęła Kipa.
- Też tak myślę - dodała śliczna Victoire.
- Kiedy będzie mogła mówić? Kiedy będę mógł z nią porozmawiać? - Otarł oczy z łez i złapał oddech.
- Mów do mej już teraz, tyle że ona ci nie odpowie.
- Ale czy mnie rozumie?
- Tak, tak - zapewniła go Victoire zadowolona na widok szczęścia tego chłopca. - Zanim będzie mogła się do ciebie odezwać, muszą usunąć jej te rurki. Za dzień albo dwa.

Kip, nagle bardzo zmęczony, opadł na jedno z krzeseł stojących w sak, z jego butów narciarskich ściekał topniejący śnieg. Musi porozmawiać z Kerry, nawet jeśli nie może mu odpowiedzieć, i uspokoić ją co do Harry'ego. Zaczął swój tak dobrze znany monolog, powtarzając to wszystko, o czym opowiadał jej przez cały tydzień, że u Harry'ego w porządku, wszystko w porządku...

- Biedna kobieta - szeptały pielęgniarki. - Nie wie jeszcze, że jej mąż został zabrany do Angleterre.

- Kiedy będzie mogła usiąść i rozmawiać? - spytała Victoire jedną z pielęgniarek, siostrę Benedicte. - To takie interesujące patrzeć, jak ktoś wraca do życia, ale takie jest działanie muzyki, jak wiemy z opowieści o Orfeuszu, Apollo *aussi* i jego związkach z Eskulapem. - Przysunęła sobie krzesło i usiadła obok łóżka Kerry.

Kerry próbowała lekko obrócić głowę, żeby popatrzeć na Victoire, jak gdyby pragnęła widzieć rzeczy i słyszeć słowa, które do niej



mówiono, dzięki którym była coraz bardziej tutaj, po tej stronie, gdziekolwiek to było.

- Być może nigdy sobie nie przypomni, ludzie zwykle nie pamiętają ciosu, który ich powalił, lecz jedynie to, co działo się chwilę wcześniej, to, co do niego prowadziło, a czasami nie pamiętają niczego, co się zdarzyło na długo przed wypadkiem. To zależy od siły uderzenia - powiedziała pielęgniarka.

## ROZDZIAŁ 26

Robin Crumley poczuł ogromną ulgę, znalazłszy się z powrotem w hotelu, po przeżyciach tego popołudnia, które pod każdym względem potwierdziło jego głęboką nieufność do śniegu. Czuł, że w jego sercu panuje zamęt. Żeby zakochać się w pięknej, bogatej, młodej Amerykance! I jaka szkoda, doprawdy, że przytrafiło mu się to tak późno. Ludzie zwykle przeżywają takie rzeczy jako nastolatki. Znalazł się w bardzo niekorzystnym położeniu! Jakże teraz żałował swojego raczej aseksualnego, intelektualnego, nawet narcystycznego, samotniczego życia, w którym działo się niewiele, jeśli chodzi o kontakty z osobami obu płci, poza jakimś przypadkowym spotkaniem od czasu do czasu... Co gorsza, to zauroczenie spadło na niego podczas pobytu we Francji, czyli w kraju, w którym jego poezja była zasadniczo nieznaną i którego mieszkańcy lekceważyli wspaniałą angielską literaturę. Znalazł się wśród ludzi, którzy zadawali się słuchaniem słów Szekspira w przekładzie i nie przeskadzało im, że Marek Antoniusz mówi do Juliusza Cezara "*Bonjour, monsieur*", zamiast „Hail, Caesar”, i inne tego rodzaju absurdy. Wśród narodu, który potrafił przyznać swoją Legion d'Honneur angielskim autorom romansów; narodu, który uważa Barbarę Cartland za równie dobrą pisarkę jak Elizabeth Bowen, a Jerry'ego Lewisa za artystę nie gorszego od Oliviera.

Jednak Amerykanka Amy przejawiała tak świeżą inteligencję, że na pewno wiele by skorzystała z wszechstronniejszego kontaktu z literaturą. Była tak żałośnie niezorientowana. Młoda angielska dziewczyna Posy wiedziała znacznie więcej o literaturze; to wystarczy za komentarz na temat amerykańskiej edukacji. Na hotelowej papeterii zapisał

z pamięci, wahając się od czasu do czasu nad jakimś wersem, dwa ze swoich wierszy z myślą o tym, żeby sprezentować je później Amy w barze. Gdyby przeczytała je dziś wieczorem, mogliby jutro o nich porozmawiać, a przy okazji mógłby wyjaśnić niektóre poetyckie zasady, jakimi się kierował, opowiedzieć coś o tradycji terza rima - nie był pewien, jak daleko sięgała amerykańska wiedza szkolna w sprawach poezji. Niektóre zagadnienia mogły w sposób naturalny sprzyjać erotycznej, a w każdym razie romantycznej atmosferze. Po namyśle postanowił, że poprosi w biurze o zrobienie kopii. Podaruje ją inteligentnemu Francuzowi o imieniu Emile, który najwyraźniej interesował się poezją i na pewno potrafi docenić przyzwoitą kopię wiersza napisanego własnoręcznie przez poetę.

Podszedł do okna, żeby zamknąć okiennice ze względu na chłód przenikający przez drewniane ramy okien i skute lodem szyby. Na zewnątrz migotały światła miasteczka, a padający śnieg wydawał się zaróżowiony od neonowego blasku świecącej nazwy pobliskiego lodowiska. W dole zauważył Amy, która dopiero teraz przyjechała do hotelu i wysiadła właśnie z samochodu niemieckiego agenta handlu nieruchomościami - to na pewno on wcześniej zabrał ją na drodze z miejsca wypadku mikrobusu. Mężczyzna zdejmował jej narty z bagażnika samochodu. Amy przytupywała z zimna, oboje śmiali się. Po czym, Robin nie bardzo mógł uwierzyć własnym oczom, mężczyzna oparł narty o zderzak swojego auta i zaczął ją całować. Czapka spadała jej na ziemię. Podniosła ją i ponownie odwróciła się w jego stronę. Pocałowali się jeszcze raz. Robin pospiesznie, z bijącym sercem zatrzaskał okiennice. Spojrzał na zegarek. Dopiero teraz wróciła do domu, półtorej godziny później od niego. W tym czasie mogła robić najróżniejsze rzeczy.

Kiedy Rupert dotarł do hotelu, w aparacie telefonicznym w jego pokoju migało małe czerwone światełko. Wiadomość z Londynu albo coś na temat Kipa. Wcześniej powtórzył sobie parę razy, że zawiadomili alpejskie służby ratunkowe, by poszukano chłopca. Nie spiesząc się więc, rozebrał się najpierw z wilgotnego ubioru narciarskiego i dopiero potem, zgodnie z instrukcją, wykręcił numer operatora. W recepcji odezwał się Christian Jaffe.

- Ma pan *un message* - powiedział Christian Jaffe. - Proszę zadzwonić do pana Osworthy'ego do Londynu pod ten numer.

Rupert pospiesznie i w przerażeniu zapisał podany numer i poprosił Jaffe'a, żeby go wykręcił.

- Och, Rupercie - odezwał się Osworthy natychmiast. - Niestety mam niedobłą wiadomość.

- Nie udało mu się? - powiedział Rupert.

- Tak mi przykro. Prawdę mówiąc, udało mu się dotrzeć do Londynu, ale nie udało mu się przeżyć po przybyciu do Brompton. Jego mózg, wybaczyć, to raczej dość szokujące, jego mózg zaczął puchnąć i najwyraźniej nie można było nic na to poradzić. Już po wszystkim.

- Rozumiem - powiedział Ruper wstrząśnięty, mimo że był przygotowany od kilku dni na taką ewentualność. - Zawiadomię Posy. Powie pan mojej matce?

- Rozmawiałem już z nią. Pytałem, co chciałaby teraz zrobić.

- Ale to, zdaje się, nie od niej zależy, prawda?

- Obecna pani Venn znajduje się w stanie, w którym nie może podejmować żadnych decyzji. Prawdę mówiąc, uważam, że to wy, czyli jego dzieci, musicie zdecydować. Twoja matka powiedziała, że nie ma w tej sprawie zdania.

- Tak, no cóż, pozwoli pan, że nie odpowiem od razu, jeszcze nie całkiem to do mnie dotarło. Gdzie on teraz jest?

- J a k rozumiem, to pytanie praktyczne, a nie metafizyczne. W kostnicy szpitala Brompton, czeka na przewiezienie do miejskiej kostnicy.

- W tej chwili tutaj jest straszna śnieżycza. Nie możemy dziś wieczorem ruszyć do Londynu. Mamy nadzieję, że wyjedziemy jutro rano i dojedziemy do Londynu jutro po południu - powiedział Rupert. Zbierało mu się na płacz, ale czuł też ulgę, że nie musi wyruszać w śnieżną ciemność, skoro w tej chwili i tak nie miało to już większego znaczenia.

- Zawiadom tego francuskiego jegomościa, masz jego numer? - zaproponował Osworthy.

- Monsieur Delamera, tak.

- Zadzwoń do ciebie później, Rupercie. Mam jeszcze kilka spraw do omówienia, ale wiem, że teraz wolałbyś zostać sam - powiedział Osworthy i wyłączył się.

Rupert przez chwilę pozostał w pokoju, po czym wyszedł, żeby poszukać Posy. W holu minął Emile'a Abbouda - przyzwoity gość, ostatecznie odkopywał mikrobus ze śniegu razem z innymi, jednocześnie dowcipnie komentując całą sytuację. Pomyślał, że powinien powiedzieć Abboudowi o ojcu, żeby ten mógł przekazać wiadomość swojej żonie, ale doszedł do wniosku, że postąpiłby nielojalnie wobec Posy, gdyby Victoire dowiedziała się pierwsza.

Posy była w swoim pokoju i miała łzy w oczach, na twarzy rozmazany tusz do rzęs, jak gdyby już usłyszała smutną wiadomość. Może Osworthy do niej zadzwonił. Zdziwił się więc, gdy okazało się, że najwyraźniej o niczym nie wie.

- Co? - zawołała gniewnie, widząc, że to Rupert stanął w drzwiach.
- Słyszałaś?
- Nie, a co?
- Ojciec umarł.

Złość zniknęła z jej twarzy, ustępując wyrazowi sceptycyzmu niedowierzania.

- Jak mógł umrzeć podłączony do tych wszystkich urządzeń? Co się stało?

- Dzwonił Osworthy. Powiedział, że to obrzmienie mózgu. Mogę wejść?

- O nie... tak... przepraszam. Cholera. - Łzy znowu napłynęły jej do oczu. Czemu płakała wcześniej, jeśli nie chodziło o ojca? - Cholera, nie spodziewałam się tego. A ty? Po tym wszystkim. To znaczy to był tylko tydzień, ale wydawało się... myślałam, że z tego wyjdzie.

- Otarła pięścią oczy. - A ty nie?

- Nie wiem. Chyba nie byłem zaskoczony. Myślę, że im dłużej to się ciągnęło, tym mniej wierzyłem w to, że on przeżyje.

- Matka już wie?

- Tak, ale jeszcze z nią nie rozmawiałem.

- Co można powiedzieć? Kurczę, cholera. Biedny ojciec.

- Wiem - szepnął Rupert.

Siedzieli, wdychając smętnie, i wymieniali od czasu do czasu jakieś słowo, czekając, aż żal dotrze do nich z pełną siłą, co na pewno wkrótce się stanie.

- Musimy wyjechać rano - powiedziała Posy. - Czy matka chce, żebyśmy wrócili dzisiaj?
- Nie rozmawiałem z nią.
- Racja.
- Myślę, że powinniśmy zawiadomić Victoire.
- Nie wiem, czy potrafię zjeść razem z nimi dzisiaj kolację - powiedziała Posy. - Jeśli nie dam rady, po prostu wezmę coś do pokoju.
- Przyjdź - rzekł Rupert zdecydowanie.

Posy płakała wcześniej w swoim pokoju, ponieważ nieoczekiwanie Emile ją objął, co ożywiło wszystkie uczucia, jakie z pewną dozą pogody ducha usiłowała trzymać z dala od siebie przez całe popołudnie. Kiedy wrócili do hotelu po wypadku mikrobusu, przemoczeni, pachnący wełną, wszedł razem z nią do holu, odprowadził ją do drzwi i pocałował namiętnie na progu jej sypialni. Pocałował ją namiętnie, z żalem popatrzył jej głęboko w oczy i położył jej ręce na piersiach, jakby chciał je zapamiętać. Odepchnęła go i zaczęła płakać. W tym momencie, jak na dżentelmena przystało, zatroszczył się o jej uczucia. Co się stało? Mógłby jakoś pomóc?

- Po prostu przykro mi, że wyjeżdżam - wyjaśniła, opanowując się. Nie miała ochoty zrażać go widokiem zapłakanej twarzy. - Lepiej, kiedy się nie ma takich dobrych wspomnień, ten hotel, nasze wspólne chwile... Wszystko wydaje mi się teraz o wiele gorsze, nie wspominając nawet o biednym ojcu. To, co się stało z ojcem, po prostu symbolizuje wszystkie rozczarowania mojego życia. - Uświadomiła sobie, że zabrzmiało to egoistycznie i melodramatycznie, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- Ile masz lat, Posy? - spytał Emile. - Dwadzieścia jeden, dwa?

- Dwadzieścia dwa - przyznała. - Ale czuję się stara jak na swój wiek i potrafię przewidywać przyszłość. Widzę, że nigdy nie będę miała tego, czego pragnę. Czy w ogóle warto żyć w tej sytuacji? - Pomyślała zaskoczona, że to dość gorzkie pytanie, i łzy znowu napłynęły jej do oczu.

- Skąd możemy wiedzieć, czego pragniemy? Pamiętasz to stare powiedzenie, zdaje się, że to był jakiś Anglik - Oscar Wilde? - który powiedział, że w życiu są dwie tragedie: nie mieć tego, czego się pragnie, i mieć to, przy czym to drugie jest gorsze.

- Nie chcę wiele, chcę tylko móc robić coś interesującego, nie ponad to, czego chcą wszyscy. I jeszcze miłości.

- Miłość i ciekawe życie to przypuszczalnie o wiele więcej niż to, co się zwykle ludziom przytrafia. - Emile wydawał się teraz mniej zainteresowany jej stanem ducha, a bardziej odwieczną kwestią filozoficzną. - Oczywiście, że cię kocham, Posy. Człowiek musi kogoś kochać, żeby się z nim kochać, kochanie musi coś znaczyć.

Posy wyczuła tu problem z przekładem: *love*, jak w zwrocie „*J'aime coca-cola*” albo „*J'aime ma VW...*” - to słowo miało w języku francuskim jakiś zagadkowo odmienny, wyraźnie lżejszy charakter.

- Wiem, że nie znamy się nawzajem dość dobrze, żeby się kochać. Wiem, że nie mogę powiedzieć, że cię pragnę, nie budząc twoich obaw.

Westchnęła, żałując sentymentalnego brzmienia swoich ciężkich angielskich słów. Rzeczywiście dostrzegła jakiś cień niepokoju na jego twarzy, gdy pocałował ją ponownie, mówiąc, że zobaczą się znowu przy kolacji. Nie odpowiedział ani słowem na jej smutne małe wyznanie.

W drodze do pokoju Amy baron Otto śmiało kroczył wraz z nią przez hotelowy hol, prosto do windy. Być może jako osoba dobrze znana w hotelu mógł liczyć na to, że nikt go nie zauważy; a może właśnie miał nadzieję, że wiadomość o tym dotrze do Fermie. Wziął od Amy klucz, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Amy, która przejechała na nartach czterdzieści kilometrów, pocąc się pod swoim kombinezonem narciarskim, była cała przesiąknięta zapachem tytoniowego dymu, który przywierał nawet do osób niepalących już po paru minutach spędzonych we francuskiej restauracji albo barze. Powiedziała, że musi wziąć prysznic.

- Nie, nie - zaprotestował baron. - *Ne te lave pas.*

- Co?

- Tak napisał Napoleon do Józefiny. Jego najślawniejsze zdanie.

- Podeszedł, żeby ją objąć.

- Chyba musisz mi to wyjaśnić.

- Napisał do niej podczas jednej ze swoich kampanii, że wraca do domu i żeby się nie myła. Na pewno lubił... lubił...

- No tak - rzekła Amy, przypominając sobie ogólnie jakieś sceny z dawnych filmów z Anną Magnani, na których przesiąknięte potem kobiety szły do włoskich stodół z robotnikami rolnymi, zmysłowy naturalizm, na ogół niezbyt ceniony w Palo Alto, a także, jak przypuszczają, również w Niemczech lub w kulturze latynoskiej.

Baron sam pachniał wspaniale jakąś wodą kolońską, miał silne różowe ciało, z dużym członkiem entuzjastycznie wystającym z gniazda złotych włosów. Na ten widok jej entuzjazm wyraźnie się ożywił. To, co wydaje się obce i niepokojące, można łatwo sprowadzić do radosnej zażyłości, wystarczy tylko zdjąć ubranie. Uświadomiła sobie, że już wcześniej ogarnęła ją jakaś tęsknota za domem, albo coś takiego, i że to coś więcej niż tylko pragnienie, aby być miłą dla barona.

Sam baron najwyraźniej znalazł się we władaniu namiętności, choć Amy nie była pewna, czy pobudzonej przez nagie ciało Amy, czy raczej przez pragnienie, aby dopieć swojej żonie. Przypuszczalnie jedno i drugie. Z przyjemnością pomyślała, że jednak rozumie to i owo na temat ludzkiej natury, niezależnie od narodowych różnic. Rozplotła warkocz i rozpuściła włosy.

Jeśli poczuła jakieś rozczarowanie, robiąc to z baronem, to jedynie dlatego, że nie było w tym nic szczególnie arystokratycznego ani austriackiego. Same znane elementy - rozbieranie się, pocałunki, gra wstępna, sprawa antykoncepcji, sam akt, szczytowanie (najpierw ona, potem on, jakby mieli za sobą lata praktyki), wszystko raczej dość krótkie, ale zadowolające. Było nawet coś dodatkowo ekscytującego w poczuciu, że znalazła się nieco przygnieciona przez tak dużego, żeby nie powiedzieć, ciężkiego mężczyznę; coś solidnego, coś środkowoeuropejskiego. Wyglądały naprawdę wspaniale w czarnym, skórzanym, długim płaszczu albo w koszuli z falbankami, jakie nosił dumy arystokrata w filmie pornograficznym. Pod wpływem tych obrazów skończyła nieco szybciej, niż mogłaby bez nich. Podobało jej się, że ludzie nie muszą przeproszać za swoje fantazje seksualne ani nawet ich ujawniać.

Później wykąpali się i napili szampana z minibaru w jej pokoju. Była już prawie dziewiąta. Miała za sobą naprawdę długi dzień.

- Moglibyśmy zamówić coś do pokoju - powiedziała Amy - ale przypuszczam, że czekają na ciebie w domu?



- *Nem.* Nie, nie. Menu, jakie można wziąć do pokoju, jest dość ograniczone, a poza tym dziś wieczorem w jadalni mają w karcie specjalnego karpia z Jeziora Lemańskiego. Zostanę na kolacji i będę się do ciebie umizgiwał, jak gdybyś była moją klientką. Nikt nie dostrzeże w tym nic dziwnego.

Amy z pewnym zaskoczeniem poczuła lekkie rozczarowanie, słysząc te słowa. Wolałaby raczej zjeść kanapkę w pokoju, ale dzielnie rozczesała włosy i zaczęła się przygotowywać do kolacji. Baron z podziwem przyglądał się jej toalecie.

Po całym dniu spędzonym w szpitalu Victoire wróciła do hotelu akurat w porze kolacji, na którą razem z Emile'em umówili się rano z rodzeństwem Vennów na ósmą trzydzieści. Była w doskonałym nastroju i szła lekko niczym jakiś leśny duszek, choć przez cały dzień przebywała w posępnym świetle igieł i kroplówek. Odzyskanie przytomności przez Kerry ponownie pobudziło jej naturalną skłonność do odczuwania szczęścia mimo stanu, w jakim znajdował się jej świeżo odnaleziony papa. W swoim pokoju, przez drzwi od łazienki radośnie opowiedziała Emile'owi, który właśnie brał prysznic, o cudownym przebudzeniu Kerry, radości Kipa i dobrych perspektywach jego siostry na dojście do pełni sił.

- Z pewnością to nie jest cudowne, skoro lekarze przez cały czas spodziewali się, że się obudzi. Lepiej byłoby powiedzieć „szczęśliwie”.  
- Emile jak zwykle krytycznie skomentował jej hiperbolę.

- Chociaż na pewno się zmartwi, kiedy się dowie, że jej męża wysłano do Londres. Jutro z nami porozmawia. Na razie nie może mówić, ponieważ ma w gardle rurki.

Posmutniała dopiero, gdy w barze przed kolacją usłyszała od Posy i Ruperta smutną wiadomość z Londynu na temat swojego papy.

- Mamy złą wiadomość, Victoire.

Oczywiście od razu się domyśliła, patrząc na ich twarze.

- Och nie.

- „Nie udało mu się”, jak to ujął pan Osworthy - powiedział Rupert.

Przeciwieństwo hiperboli. Nie udało mu się. To zdanie zaczęło brzmieć tak, jakby chodziło o moralne niepowodzenie samego Venna.

Victoire w pierwszym odruchu chciała pobiec do małego Harry'ego, który już, podobnie jak ona, nigdy nie pozna swojego ojca. Ale Harry o tej porze pewnie leżał już w swoim łóżeczku. We czwórkę usiedli w rogu sali barowej, czekając na kolację i popijając whisky, z nieco sprzecznymi pragnieniami. Posy i Rupert, pogrążeni w żalu i smutku, woleliby raczej nie rozmawiać o ojcu. Victoire pragnęła mówić tylko o nim. Emile był nieco znudzony tematem ojca, choć niczego takiego nie sugerował i wydawał się niezbyt zdziwiony wiadomością o jego śmierci.

- Nie powiedział do mnie w życiu ani jednego słowa - westchnęła Victoire z zadumą nad tą niefortunną okolicznością. - Prawdę mówiąc, nigdy mnie nie widział. - Jakie to szczęście, że w ogóle przyjechała do Valmeri, na pewno za sprawą jakiejś opatrności, była tego pewna; może chodziło to, żeby miała okazję poznać swoje przyrodnie rodzeństwo, które wspominało teraz jej ojca. Słuchała uważnie.

- Ojciec był w porządku, kiedy byliśmy mak - mówiła Posy. - Ale był bardzo skupiony na sobie. Miał te swoje zabawki, ciągle o nich myślał i przez cały czas chciał się nimi bawić. Nic tylko łodzie, konie, nowe samochody, a Pam miała tylko starego mini morrisa, w którym musieliśmy się tłoczyć na tylnym siedzeniu. Jeździła tym samochodem przez piętnaście lat.

- Przez jego biuro przewinęło się wiele, naprawdę wiele ślicznych młodych kobiet, ale zwykle pracowały bardzo krótko - powiedział Rupert.

- Nie powinniśmy mówić o nim źle - wtrąciła Posy. - Ale to takie trudne.

- Nigdy nie był skapy, jeśli chodzi o pieniądze, nawet wobec Pam po rozwodzie, jeśli coś wyskoczyło.

- Podobno był wydawniczym geniuszem. Tak mówi moja matka, która śledziła jego działalność wydawcy - odezwała się Victoire.

- Interesował się gotowaniem. Był świetnym kucharzem - mówiła dalej Posy. - Bardzo lubił jeść i doskonale znał się na winach.

- Nawet nie wiedziałem, że potrafi jeździć na nartach - powiedział Rupert. - Nasza rodzina nigdy nie jeździła na narty w wakacje. Ale może to ma coś wspólnego z Kerry. Jej brat jest świetnym narciarzem.

- Kto jej powie, co się stało? - spytała Victoire. - Biedna kobieta. Wiecie, że obudziła się dzisiaj? - Wreszcie jakaś dobra wiadomość.

- W szpitalu pewnie nie słyszeli o ojcu. Chyba że pan Osworthy do nich zadzwonił, ale wątpię. Czemu miałyby to zrobić?

- Lepiej, żeby najpierw nabrała sił - stwierdził Rupert. - Lekarz powinien zdecydować, co jej powiedzieć.

Wszyscy się zgodzili z tą opinią. Jutro rano w drodze do Anglii zatrzymają się w szpitalu, żeby pożegnać się z Kerry, i wtedy powiedzą lekarzowi o śmierci ojca. A może do tej pory sam Osworthy zawiadomi już doktora Lamma.

- O nie! Jutro Londyn, straszny pan Osworthy, straszne następstwa, pogrzeb i w ogóle wszystko! - zawołała Posy, nie przejmując się, co pomyśli o tym Emile. Na pewno uzna ją za jakąś paskudną ponuraczkę, ale jakie to miało znaczenie, skoro i tak nigdy więcej się nie zobaczą. Wiedziała, że nie powinna myśleć o Emile'u w chwili, gdy powinna skupić się na ojcu. Jednak nie mogła się powstrzymać, żeby na niego nie zerkać, i raz przyłapała go na tym, jak na nią patrzy. Siedział obok Victoire z jakimś szczególnym wyrazem potulnej nieobecności albo rezygnacji.

Posy potrafiła sobie wyobrazić samą siebie w rok żony Emile'a, który na pewno byłby bardzo kłopotliwym mężem, ze skłonnością do zdrad i kosztownych hobby - czy nie przypominał odrobinę ojca? Ale za to zamiast zajmować się kredytami w sieci butików, byłaby żoną francuskiego intelektualisty i mieszkałaby w Paryżu. Potrafiłaby wiele znieść, aby utrzymać tę godną pozazdrosczenia pozycję, ale ponieważ pozycja żony Emile'a była już zajęta przez Victoire (jej siostrę!), Posy miała wrażenie, że jakaś bezlitosna rzeczywistość zamyka wszelkie możliwe drogi ucieczki przed jej wyobraźnią. Nawet jej umysł nie mógł swobodnie wędrować bez przeszkód. Wiedziała, że użalanie się nad sobą to niegodne uczucie, niestosowne zwłaszcza w świetle tego, co stało się z biednym ojcem, mimo to poddała mu się bez oporu.

A teraz czuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa z powodu wyrzutów sumienia, że pojechała z innymi na lunch, zamiast zaczekać w szpitalu i odprowadzić ojca na samolot, przynajmniej spojrzeć jeszcze raz na jego twarz. Odesłali go niczym bagaż, z ufnością powierzając go

opiece innych, i przestali o nim myśleć. To prawda, że przez wiele dni wpatrywała się w jego szarą pustą twarz, ale nie spisała się w kluczowym momencie ostatecznego odjazdu. Nie powinni go byli nigdzie wysłać; może to podróż samolotem spowodowała obrzmienie. Razem z Rupertem powinni byli się przeciwstawić panu Osworthy'emu i jego awatarowi, tej wścibskiej Amerykance Amy. Jakże byli łatwowierni, sądząc, że szpital Brompton dawał jakąś nadzieję. Francuski lekarz od początku miał rację... Nie powinni byli przyjmować propozycji pomocy od tej Amerykanki.

Czuła kłębiące się emocje. Jak nieistotna wydaje się miłość w porównaniu ze śmiercią. Ojciec nie żyje! Czy wiedział, że umiera? Miał jakiś ostatni moment świadomości? A może był świadomy przez cały czas? A jeśli tak, to być może pewną pociechę przyniosło mu to, że ona, Posy, przez cały tydzień siedziała u jego łóżka. Chwyliła się nadziei, że w jakiś sposób dotarło do niego to jej oddanie.

## ROZDZIAŁ 27

Znajdując pocieszenie w swoim towarzystwie, Posy i Rupert chwilę dłużej posiedzieli w jadalni nad deserem. Emile pożegnał się wcześniej, aby, jak powiedział, zostawić ich osobistej żałobie. Victoire została z dwojgiem świeżo poznanego rodzeństwa - idealnie taktowna, nieudająca, że znała ojca, ale okazująca smutek stosowny do okoliczności.

- Przynajmniej połączył nas troje. Myślę, że by tego pragnął. Jestem pewna, że był człowiekiem, który chciałby umrzeć właśnie tak, jak to się stało, aktywnie, jak mężczyzna. Nie chciałby miesiącami leżeć w śpiączce, może z uszkodzonym mózgiem; lekarz powiedział, że nie mogą wykluczyć zmian w mózgu. - Do głowy przychodziły jej różne inne pocieszenia.

Rupert czuł się zmęczony jazdą na nartach, ale został dłużej ze względu na Posy i dlatego, że nie chciał być sam. Rozumiał, że Posy cierpi bardziej niż on - proporcjonalnie do swojego gniewu na ojca, gniewu większego i dotkliwszego niż jego własny. Jego smutek był łagodniejszy, bardziej osobisty i nie potrafił sam sobie wyjaśnić jego natury. Miał poczucie utraty, żałował tych kilku minionych lat, gdy nie utrzymywali z ojcem bliższych kontaktów. Ale przynajmniej nie oddalili się od siebie tak bardzo, jak to się stało z bardziej wybuchową Posy, zwłaszcza po pewnej gwałtownej kłótni.

Wyglądało jednak na to, że Posy pograżyła się teraz w bezbrzeżnym smutku, zupełnie jakby cierpiała z powodu jakiegoś fundamentalnego zaburzenia ładu w świecie, kosmicznej katastrofy, która dotykała ją osobiście.

Poza tym oboje mieli też inne powody do zmartwień. Choć wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, żadne z nich nie poruszyło przykrego tematu testamentu. Nie wspominali o tym, że ojciec umarł w Londynie, a zatem cały jego majątek, jakikolwiek by się okazał, zgodnie z jego wolą przejdzie na Kerry i Harry'ego, a nie na któreś z nich zgodnie z napoleońskimi wyobrażeniami o ładzie społecznym.

Zauważyli, że do jadalni przyszła na kolację Amy Hawkins z jakimś masywnym, różowym mężczyzną, później, niż to miała w zwyczaju. Wydawała się beztraska, a nawet szczęśliwa, zupełnie nieświadoma ich cierpienia.

Amy z baronem nie sądzili, by ich późne pojawienie się na kolacji mogło mieć jakieś znaczenie. Amy zaczęła ostatnio jadać o dziewiątej, czasem nawet dziewiątej trzydzieści. Po części dlatego, że Harry leżał w tym czasie już w łóżeczku, ale głównie dlatego, że biura w Kaliforniu zaczynały pracę o dziewiątej albo dziesiątej tamtejszego czasu i jej współpracownicy zaczęli dzwonić do niej o siódmej po południu tutejszego czasu. W rezultacie niekiedy aż do dziewiątej (*vingt-et-une heures*) siedziała przy telefonie, załatwiając sprawy związane z byłą firmą, po której zostało więcej niezłatwionych problemów, niż ktokolwiek się spodziewał. Poza tym zajmowała się swoimi finansami, rozmawiała z rodzicami oraz usiłowała skontaktować się z pośrednikiem, który miał sprzedać jej kalifornijskie mieszkanie, albo po prostu wysłuchiwała najnowszych plotek.

Kiedy weszli z baronem do jadalni, połowa sak była już pusta. Amy nie zauważyła Kipa, co nadal przyprawiało ją o pewien niepokój. Ale może zjadł kolację wcześniej? Zaskoczyło ją, że Posy i Rupert, tak przyjaźnie nastawieni do niej przez cały dzień i podczas lunchu, siedzieli teraz ponurzy i smutni i ledwo skinęli głowami.

Amy sądziła, że po stosunku mężczyźni zwykle obojętnieją, ale baron przeciwnie, zachowywał się z niezwykłym ożywieniem i podawał jej ślimaki ze swojego widelca, demonstrując taki stopień zażyłości, że zaczęła się rumienić z zażenowania na myśl, iż ktoś mógłby to spostrzec. Powoli zaczynało do niej docierać, że popełniła okropny błąd.

Rupert wrócił do swojego pokoju po kolacji, obawiając się samotności i nieuchronnych rozmyślań o ojcu, więc niemal podskoczył,

gdy niespodziewanie rozległo się pukanie do drzwi. To był Kip, cały i zdrowy. Rupert odetchnął z ulgą, choć Victoire wspominała, że widziała go w szpitalu.

- Mam nadzieję, że nie jest za późno - rzekł Kip. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że moja siostra się dzisiaj obudziła. Pojechałem tam na nartach po południu i wszyscy byli strasznie podekscytowani. Miała otwarte oczy i ścisnęła moją dłoń i w ogóle.

- Victoire mówiła nam - odpad Rupert. - Wspaniała wiadomość, oczywiście. Czy pan Osworthy o tym wie?

- Nie mam pojęcia.

- Nic jej już nie grozi?

- Chyba nie. Wszyscy wydawali się bardzo zadowoleni, ale ona nie może jeszcze mówić. Ma jakąś rurę w gardle.

- Słyszałeś, że mój ojciec umarł w drodze do Londynu?

Kip zamrugał oczami.

- Nikt mi nie mówił - powiedział. - W szpitalu nic o tym nie wiedzą.

- Może nikt im tego nie przekazał - rzekł Rupert.

- To smutne - odpad Kip, myśląc, że to pech dla starego Adriana, który był dla niego całkiem miły. Biedna Kerry. Ktoś będzie musiał ją powiadomić. Pomyślał, jakie to będzie dla niej straszne, kiedy się obudzi i usłyszy taką wiadomość.

- Zadzwoń rano do pana Osworthy'ego i przekażę mu dobrą wiadomość o twojej siostrze.

- Czy wróciliście z tego miasteczka bez problemów? Szukałem Amy, ale nie było jej w pokoju.

- Musieliśmy wrócić do domu mikrobusem.

- Czy Amy wie o Adrianie?

- Nie sądzę.

- Może już wróciła, to jej powiem - oświadczył Kip.

Miał nadzieję, że nie będzie na niego wściekła, ale cały ten lunch strasznie go wkurzył. Wszyscy ignorowali Amy albo byli dla niej niemili, a potem pozwolili, żeby za wszystko zapłaciła. Paul-Louis był dobrym narciarzem, ale nie okazał się dobrym przewodnikiem, a poza tym nikt ani słowem nie wspomniał o Kerry lub choćby o Adrianie.

Amy wreszcie pożegnała się z Ottonem w hotelowym holu i odprowadziła go do wyjścia; z jego ponurej miny widać było, że zaczął się zastanawiać nad jakimś niewinnym wyjaśnieniem swojego późnego powrotu, które zadowoliłoby jego żonę. Ze swojej strony Amy starała się powiedzieć mu dobranoc w możliwie prosty i nieskomplikowany sposób, który nie sugerowałby, że liczy na dalsze atencje z jego strony. Po prostu przyjazne pożegnanie ludzi światowych i dobrze wychowanych, jak we francuskich filmach. Ponieważ w holu byli wystawieni na spójrzania innych, jedynie uścisnęli sobie dłonie. Po powrocie do pokoju Amy solidnie zmęczona opadła na łóżko, co było jak na nią dość niezwykłe, ale nie miała sobie tego za złe. Przez kilka godzin jeździła na nartach, przeżyła autobusowy wypadek, a potem była świadkiem rodzinnej kłótni, kochała się z baronem i zjadła obfitą kolację. Jutro zastanowi się, czy te rozmaite zajęcia, głównie lekkomyślne, można uznać za życie we właściwym tego słowa znaczeniu. Zawsze uważała, że ludzie odpowiadają za swoje życie - jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz - czy będą wiedzieli, jak żyć w sposób zaangażowany, z pożytkiem dla innych, czy zdołają ułożyć sobie sensowną i dającą zadowolenie egzystencję z tego, co człowiek dostaje od losu. Imponująca sterta obrusów poskładanych na stojaku bagażowym zachęcała do refleksji.

Jednak tego wieczoru potrzebowała przede wszystkim solidnej dawki snu. Dopiero kiedy wczołgała się do łóżka - świeżo poślanego, gdy jadła kolację, i z małymi czekoladkami na poduszce - zauważyła czerwone światełko pulsujące niecierpliwie na stojącym obok aparacie telefonicznym. Zważywszy na porę dnia, była to przypuszczalnie wiadomość z Kalifornii. Przez chwilę wyobrażała sobie, że dzwoni Sigrid, by jej powiedzieć o krachu na giełdzie oznaczającym, iż została bez grosza - czyżby kara za tak miło spędzony dzień? Ale to był pan Osworthy, który zadzwonił z Londynu z wiadomością, że podjęta tego dnia heroiczna akcja ratunkowa zakończyła się niepowodzeniem i pan Venn po przylocie do Londynu nieodwołalnie zmarł.

Amy nie miała zwyczaju niepotrzebnie czynić sobie wyrzutów, ale rzeczywiście pożałowała teraz swojego udziału w tej aferze. Pomyślała nawet, czy nie została w ten sposób ukarana za oddawanie



się egoistycznym przyjemnościom w luksusowym hotelu albo za wtrącanie się w sprawy Vennów. Będzie musiała opanować skłonność do odczuwania poczucia winy, ilekroć sprawi sobie jakąś przyjemność lub odda się lenistwu. Oczywiście, że śmierć pana Venna nie była żadną karą dla niej! Działała z całą ufnością pod wpływem szlachetnych pobudek, pragnąc pomóc Kipowi i jego siostrze. Jakie to smutne dla ich wszystkich, również dla angielskiego rodzeństwa i francuskiej córki, która jest żoną wstrętnego Emile'a. Jutro złoży im kondolencje.

- Przypuszczam, że szanse były niewielkie - powiedziała do pana Osworthy'ego.

- Tak, pewnie tak - odpad. - Szkoda, że od razu nie zabrano go do Brompton.

Czy Amy trafnie usłyszała w tym lekką nutę przygany, czy jedynie samokrytyki?

- Zrobił pan wszystko, co w pańskiej mocy - zapewniła go. - W końcu ten człowiek został przysypany przez lawinę.

Kiedy ponownie zapadała w sen, ktoś zapukał do drzwi, może z ręcznikami albo w sprawie minibaru, choć do tej pory w Croix St. Bernard nie miała do czynienia z tego rodzaju hotelowymi utrapieniami.

- Nie teraz - powiedziała głośno i kategorycznie.

- A my?

To był głos Kipa, więc wstała z łóżka. Włożyła frotowy szlafrok i wyjrzała przez drzwi. Kiedy go zobaczyła, nagle nie wytrzymała, chwyciła go za ramiona i mocno potrząsnęła.

- Gdzie byłeś? Nigdy więcej nie waż się zrobić czegoś takiego! - usłyszała swój wysoki, piszczący głos. - Wszyscy tak bardzo się o ciebie martwiliśmy. Biedny Paul-Louis! O czym ty właściwie myślałeś, ty mały durniu, to było takie bezmyślne... - Dopiero słysząc swoje własne słowa, pojęła, jak bardzo przez cały czas przejmowała się zniknięciem Kipa po lunchu. Poczowała się teraz jak jakaś paskudna wiedźma. Biedny chłopak, zaraz się rozpłacze, a jednocześnie uśmiechał się do niej radośnie.

- Chciałem ci tylko opowiedzieć o Kerry - wyrzucił z siebie. - Obudziła się.

W tej sytuacji to Amy musiała go przeprosić i uściśnęła go serdecznie, przypominając mu, jak wspaniale się zachowywał wobec Kerry. Kiedy słyszał te pochwały, wydawał się taki zadowolony, że po raz pierwszy przyszło jej nagle do głowy, iż być może trochę się w niej podkochuje.

W końcu Kip poszedł do siebie i Amy jeszcze raz położyła się do łóżka. Nie chciało jej się spać; ogarnęła ją nagła potrzeba, żeby zadzwonić do Sigrid albo do Forresta, albo do swoich rodziców. Chciała z kimś porozmawiać. Czuła się taka samotna w tym procesie samodoskonalenia się. Od przyjazdu w Alpy była niczym szpieg albo człowiek w przebraniu, który nie może rozmawiać o swojej prawdziwej sytuacji życiowej i ogranicza swoje kontakty z innymi do jałowych towarzyskich konwersacji i jednego seksualnego incydentu. Ale czy w takiej sytuacji nie znajdowali się wszyscy hotelowi goście? Każde z nich było tutaj wyjęte ze swojej przeszłości, wszyscy żyli jedynie terażniejszością, pokazując tylko tyle swojego prawdziwego ja, ile to było niezbędne. Prawdę mówiąc, życie hotelowego gościa jest wypełnione samotnością.

W nocy obudziła się z myślą, że rano powie Vennom, jak bardzo jej przykro z powodu śmierci ich ojca i jak żałuje swojego udziału w całej sprawie. Ale coś jeszcze ją rozbudziło. Zaczęło do niej docierać, że przespała się z baronem! Co za idiotyczny pomysł! O czym ona właściwie myślała? Zmusiła się, żeby ponownie zasnąć i zapomnieć o tym wszystkim do jutra.

## ROZDZIAŁ 28

Chociaż wydawało jej się, że już nie zmrużyła oka tej nocy, obudziła się przekonana, że w snach męczyła ją jakaś dziwna fantazja. Coś leżało na jej piersi i uciskało ją, uśmiechając się złośliwie. Natychmiast przypomniała sobie, o co chodzi - spała z niemieckim agentem handlu nieruchomościami, prawie zupełnie jej nieznanym, i intuicja podpowiadała jej, że czekały ją teraz kłopotliwe następstwa. Przede wszystkim jego biedna żona - nie ulegało wątpliwości, że baron jest niepoprawnym kobieciarzem.

Poczłapała do łazienki, zastanawiając się, co ją właściwie do tego skłoniło, i przypomniała sobie wyjaśnienie, które w nocy wydało się całkiem rozsądne i w pewnym sensie uwalniało ją od poczucia winy. Podczas lunchu wyraźnie zrobił na niej wrażenie i spodobał jej się przystojny Francuz występujący w telewizji, Emile; chyba już wcześniej odrobinę się w nim zadurzyła, może w momencie, gdy odmówił zabicia homara. Tak, była podniecona, chciała pójść z nim do łóżka i przeniosła to erotyczne pragnienie na barona. Poza tym, oczywiście, współczuła temu biednemu człowiekowi z powodu jego żony. Ale zdecydowanie na tym koniec; kiedy udaje nam się wytropić słabość, możemy ją przezwyciężyć. Jednak mimo wszystko wczorajszy dzień był naprawdę wspaniały, niezwykle alpejskie krajobrazy, kraina nieskazitelnej piękna, towarzystwo Europejczyków, zagadkowych, a jednak w jakiś sposób znajomych.

Przy śniadaniu podeszła od razu do stolika Vennów, żeby powiedzieć im, jak jej przykro z powodu ich ojca. Siedzieli w milczeniu, Rupert w stroju narciarskim, Posy jakby zagniewana i nieco wymięta,

francuska siostra uprzejma i opanowana. Widać było wyraźne podobieństwo rodzinne, na ich przystojnych twarzach malował się podobny rodzaj pewności siebie. Jego - to znaczy Emile'a - nie było, więc nie miała okazji sprawdzenia swojej teorii, zgodnie z którą przespała się z Ottonem dlatego, że spodobał jej się ten Francuz.

- Tak, to bardzo smutne. - Rupert podniósł się na jej widok. - Może usiądziesz?

Amy zawahała się i usiadła, po czym przysunęła swój kubek w stronę kelnera, który przechadzał się po sak z dzbankiem kawy.

- Wiedzieliśmy, że to było nieuchronne - dodał.

Posy uniosła wzrok z otchłani swojego przygnębienia, w którym nieruchomo wpatrywała się w swój talerz, i skinęła lekko. Victoire uśmiechnęła się słodko.

- Lekarze nigdy nie byli zbyt optymistyczni - powiedziała.

- Może nie należało go przewozić - Amy zdecydowała się poruszyć ten wątek. - Po prostu sądziłam... Bardzo mi przykro z powodu mojego udziału w tej sprawie. - Niełatwo przyszło jej przeproszać za coś, co zrobiła w dobrej wierze, a zresztą wątpiła, czy rzeczywiście to podróż spowodowała śmierć pana Venna, ale skąd można wiedzieć?

Mniej więcej to samo wymamrotali uprzejmie i pocieszająco Posy i Rupert. Skąd można było wiedzieć? Doceniała ich chłodną brytyjską uprzejmość w sytuacji, gdy mogła się spodziewać się wyrzutów.

- To takie amerykańskie, pragnienie pomocy - powiedziała Victoire przyjaznym tonem. - Macie długą tradycję ratowania Europejczyków!

Mimo to Amy miała nieodparte wrażenie, że w głębi duszy są przekonani, że przewiezienie ich ojca go zabiło - za dużo wstrząsów, może odłączono jakieś urządzenie lub za często go podnoszono i opuszczano; i właśnie za to wszystko była odpowiedzialna, ponieważ gdyby nie ona, nigdzie by nie poleciał. Zwłaszcza że nie prosili jej o pomoc.

Posiedziała jeszcze kilka minut, po czym wstała, nie chcąc dłużej zakłócać ich żałoby. Kiedy szła przez hotelowy hol do swojego pokoju, żeby przebrać się w strój narciarski, do recepcji podszedł jakiś mężczyzna z ogromnym bukietem. Róże i poinsecje; te drugie to aluzja do pory roku, a róże przypuszczalnie do wiosny, która wkrótce nadejdzie, albo nastroju czyjegoś serca. W tym momencie jej

własne serce zamarło. Córka państwa Jaffe siedząca w recepcji przyjęła kwiaty ze stosowną miną wyrażającą aprobatę dla faktu, że wśród ich gości znalazła się osoba zasługująca na tak kosztowny elegancki hołd. Osoba, która ma romans. Obawy Amy okazały się uzasadnione. Dziewczyna przeczytała wizytówkę dołączoną do bukietu i spojrzała w jej stronę ze znaczącym uśmiechem. Pojawiła się pokojówka, obie jeszcze raz odczytały kartkę, a potem pokojówka zabrała kwiaty.

Kiedy Amy przebierała się w swoim pokoju, rozległo się pukanie do drzwi i weszła pokojówka, niosąc kwiaty w wazonie przygotowanym przez pannę Jaffe oraz liścik od Ottona. Na kopercie Amy zobaczyła to, co zapewne musiała wcześniej dostrzec rodzina Jaffe - herb barona, czy też co tam to było: mały złoty okrąg z gwiazdą pośrodku oraz inicjałami O.S.; ci, którzy je znak, wiedzieli, że należą do niego. Pokojówka uśmiechnęła się do niej serdecznie. Amy niespecjalnie się przejęła; może pomyśleli, że kupiła górski domek? Jednak na jej policzki wypłynął jej rumieniec zażenowania i niepokoju. O nieszczęsna, czemu to zrobiła? Choć oczywiście w swoim czasie wcale nie było to takie niemiłe.

Rankiem pielęgniarki pomogły Kerry usiąść na łóżku.

- Tak jest lepiej. Usunięto pani te rurki, biedna madame Venn.

Nie pamiętała, kiedy wyjęto je z gardła, ale to musiało być nocą albo wtedy, gdy spała pod działaniem środków uspokajających. Czuła, że teraz może myśleć składowiej, jak gdyby ktoś nacisnął odpowiedni przycisk. Niedawna przeszłość jawiła jej się jako czarna dziura, ale zagłębiając się w przeszłość, widziała wyraźne wspomnienia po drugiej stronie: pobyt w Valmeri, hotel, Harry i Kip, Adrian w stroju narciarskim koloru khaki i ciemnoniebieskich butach. Hotel, a potem czarna pustka, w trakcie której coś musiało się zdarzyć. A potem ten szpital. Gdzie są Adrian i Harry? Wydało jej się dziwne, że nie ma obok niej nikogo oprócz rozpromienionej pielęgniarki, która mówiła, że wszystko będzie dobrze i że na lekka dni przeniosą ją do innej sak.

- Gdzie jest moje dziecko? Gdzie jest mój mąż? - zawołała.

Pierwsze słowa, jakich można się spodziewać z ust żony i matki; pielęgniarki pokiwała głowami z satysfakcją.

- Są bezpieczni, bezpieczni. Harry wkrótce tu będzie, żeby się z panią zobaczyć. Pani mąż jest w innym szpitalu, madame. Zabrano go do specjalistów w Londynie.

Kerry skupiła się na próbie odzyskania pamięci wspomagana przez pielęgniarkę, która nakłaniała ją, żeby starała się przypomnieć sobie, co zaszło, tak jak się zachęca osobę sparaliżowaną do poruszania kończynami: „proszę spróbować, i jeszcze raz”. Niektóre wspomnienia same w końcu do niej wróca, powiedział lekarz, ale starając się je sobie przypomnieć, może przyspieszyć proces naprawy neuronów z tych zamrzniętych komórek... I rzeczywiście przypomniała sobie, że jeździli na nartach. W pierwszej chwili wydało jej się, że to bardzo dużo.

- Jeździliśmy na nartach!

Pielęgniarki radośnie powitały te słowa okrzykami, tak, tak, a potem co?

Po śniadaniu Rupert zadzwonił do pana Osworthy'ego, aby mu powiedzieć, że Kerry odzyskała przytomność. Osworthy przyjął wiadomość z wyraźną ulgą.

- Szczerze mówiąc, gdyby nie doszła do siebie, byłyby kłopoty, ustanowienie opieki na dzieckiem, wykonanie testamentu...

- Będę się z nią widział później. Dziś rano wyruszamy do Londynu, ale zatrzymamy się w szpitalu, żeby się przedstawić Kerry. Powinniśmy być w Londynie dziś wieczorem.

- Byłbym bardzo zobowiązany, Rupercie, gdybyś mógł z nią porozmawiać. Jeśli może mówić, chętnie się bym dowiedział, jak ona sobie wyobraża... no wiesz, formalności. I czy będzie się czuła na tyle dobrze, żeby wkrótce tu przyjechać. Byłbym wdzięczny, gdybyście zatrzymali się tam nieco dłużej, tak abyście mogli jej pomóc tutaj przyjechać - oświadczył Osworthy. - Powinna mieć kogoś przy sobie, a jeśli chodzi o nabożeństwo, wolelibyśmy poczekać do chwili, aż ona tu przyjedzie. Myślę, że gdybyście przy niej zostali, to byłby akt prawdziwej wielkoduszności, ale oczywiście nie macie obowiązku się z nią spotykać. Ale można pokryć koszty waszego pobytu z majątku ojca, jeszcze jeden dzień albo dłużej, gdybyście chcieli tam pobyc. W innym wypadku będę musiał sam do mej przyjechać, a mam tutaj sporo

do zrobienia. Zadzwoń do doktora Lamma, chcę mu powiedzieć o Adrianie. Oczywiście będzie się puszył.

- Porozmawiam z Posy - obiecał Rupert. - Ale pewnie odpowie, że jej zdaniem powinniśmy raczej być z matką. Jeśli chodzi o mnie, na pewno nie mam nic przeciwko temu, żeby spędzić tutaj jeszcze jeden dzień, skoro i tak nie można już nic zrobić dla ojca.

- A może Posy wróciłyby do Londynu, żeby zająć się matką, a ty zostałbyś w Valmeri? Wierz mi, Rupercie, widywałem już wcześniej takie sytuacje. Oboje z Posy możecie żyć w przyjaźni i harmonii z wdową po waszym ojcu albo wdać się z nią w niepotrzebne konflikty. Jeśli między wami wszystko się dobrze się ułoży, Kerry może uznać, że sprawiedliwość wymagałaby w odpowiedni sposób podejść do kwestii spadku... mam na myśli pamiątki po Adrianie i różne rzeczy, jakie ojciec zapewne chciał wam pozostawić. W przeciwnym razie zatroszczy się wyłącznie o swoje dziecko, kropka. Takie sprawy są często kwestią dyplomacji i dobrej woli.

- Chce pan powiedzieć, że powinniśmy być dla niej mił, ponieważ inaczej nie da nam ani grosza?

- Nie wydaje mi się, żeby to były moje słowa. Oczywiście przyjaźń i harmonia są nagrodą same w sobie.

- Zobaczę, jak wygląda sytuacja z Kerry, i zadzwonię do pana - odparł Rupert.

Zdaniem Posy powinni być w tym momencie razem ze swoją matką, która niewątpliwie czuje smutek po śmierci swojego byłego męża; uczucie całkiem naturalne, nawet jeśli w pewnym sensie bezprawnie wkraczające na teren żałoby jego obecnej żony. Posy nie wspomniała o tym, że sama nie chce ani dnia dłużej przebywać w pobliżu Emile'a i Victoire.

- Gdybyśmy byli w Anglii, wszystko byłoby łatwiejsze. Musielibyśmy coś upiec, nakarmić ludzi, rozdawać drinki. Tutaj nie mamy nic do roboty poza rozmyślaniem o ojcu - powiedziała do Ruperta w samochodzie, kiedy jechali do szpitala zobaczyć, co się dzieje z Kerry.

Na miejscu oboje namacalnie odczuli fakt śmierci ojca, patrząc na pustą przestrzeń na oddziale intensywnej opieki, gdzie poprzednio

leżał; pustkę, której nie sposób było nie zauważyć z korytarza. Nawet jego łóżko gdzieś zniknęło. Pielęgniarki krzątały się teraz wokół bohaterki Kerry, którą przeniesiono z sak intensywnej opieki do zwykłej saki szpitalnej i posadzono na łóżku w pozycji półsiedzącej. Miała na sobie żółtą koszulę szpitalną i uśmiechała się, dziękując wszystkim zdartym szeptem za ich dobroć. Posy i Rupert zobaczyli ją po raz pierwszy w życiu - jeśli nie liczyć jej bezwładnego ciała, na które spoglądali przez miniony tydzień.

Opuchlizna z jej twarzy nieco już zeszała, ale zostały otarcia, mimo to Kerry wyglądała zapewne mniej więcej tak jak przed wypadkiem. Rupert dostrzegł w jej rysach coś bardzo amerykańskiego, co w niczym nie przypominało elegancji ich matki, ale pewnie byłoby czymś niesprawiedliwym oceniać ją w tych okolicznościach. Była młoda, ale poza tym wydawała się mało prawdopodobną kandydatką na femme fatale, która uwiodła ich ojca. Ot, po prostu młoda kobieta o raczej przeciętnej urodzie, z jasnobrązowymi włosami i piegowatą skórą, dość wysoka, jakieś metr siedemdziesiąt pięć, wyższa niż ojciec. W tym momencie była blada, miała zmętniałe spojrzenie i zapadnięte policzki, ale nie zanosilo się, żeby nawet po powrocie do formy objawiła się jako piękność; ujrzał w niej zwykłą młodą kobietę prowadzącą zdrowy styl życia. W powietrzu oprócz szpitalnego zapachu unosiła się jakaś woń, jak gdyby Kerry wydzielała z siebie słodkawą truciznę, które wtłaczano w nią przez poprzedni tydzień.

Wszyscy interesowali się chorą, która przebudziła się ze śpiączki, dopiero co wróciwszy z tamtej strony, i podobnie jak to się dzieje tuż po przebudzeniu się ze snu, może w tych pierwszych chwilach świeżo odzyskanej świadomości zdoła jakoś utrwalić wspomnienie tego, co tam widziała. Może istnieje jakiś środek pozwalający uchronić te obrazy przed rozplynięciem się w plamie światła oślepiającego oczy, które otwierają się w rzeczywistym pokoju, wśród rzeczywistych odgłosów. Może takim środkiem jest mowa - pytania i odpowiedzi. Gdzie byłaś? Co widziałaś? Czy widziałaś Boga, a przynajmniej tunel? Jakieś wspomnienie zaczęło z coraz większą siłą klarować się w pamięci Kerry, jak gdyby bezpośrednio wzmacniane przez płyny wsączające się do jej ramienia. Obraz rozjaśniał się, nabierał



wyraźniejszych konturów, kształtował na nowo. Razem z Adrianem jeździli na nartach. Z jakiegoś powodu odwrócili się i wtedy w górze zbrocza, ponad nimi, zobaczyli jakąś postać - kobietę, tego była całkiem pewna - która miała na sobie coś metalowego, albo stała za czymś metalowym, i na moment oślepił ich odblask. Kerry zaczęła niepewnie o tym opowiadać.

- Jakieś światło albo promień; może dlatego się odwróciliśmy. Miała na głowie hełm i w uniesionej ręce trzymała coś jakby włócznię albo miecz.

- Mężczyzna czy kobieta? - spytała pielęgniarka.

- Kobieta, ponieważ miała długie włosy i wiatr zasłonił nimi jej twarz. - Obraz nagle nabrał żywej wyrazistości, niemal czuła wiatr szarpiący wtedy włosami tamtej kobiety i zakrywający jej twarz. Wskazywała na coś, pokazywała, miała w ręku włócznię. Kerry poczuła, że to ważne, że powinna trzymać się tego wspomnienia; wydawało się o wiele ważniejsze niż pytanie, gdzie są teraz Adrian i Harry. Widziała wokół siebie radosne spojrzenia, pełne aprobaty, więc wiedziała, że nic złego nie mogło im się przytrafić.

Kiedy Posy i Rupert podchodzili w stronę łóżka Kerry, siostra Benedicte szeptem poinformowała ich o tym, co się stało: madame Venn zdołała przypomnieć sobie coś, co zdarzyło się tuż przed lawiną; ujrzała jakiś obraz albo ostrzeżenie, a może widziała rzeczywistą przyczynę lawiny. Kiedy będzie mogła mówić więcej, poznamy wyjaśnienie.

- Czy możemy z nią porozmawiać?

- Ale nie za długo, jest jeszcze słaba - ostrzegła ich pielęgniarka.

- Madame Venn, są tutaj pani krewni.

Podeszli do łóżka.

- Jesteśmy Posy i Rupert. Nie spotkaliśmy się dotąd... - zaczął Rupert. - Dzieci Adriana. Właśnie przyjechaliliśmy, aby ci powiedzieć, jak się cieszymy, że czujesz się lepiej. - Od razu zrozumiał, że to lekarz będzie musiał przekazać jej złą nowinę o ojcu. On sam nie potrafiłby tego zrobić.

- Och - powiedziała Kerry słabym głosem. - Widzieliście Harry'ego? Wasz mały braciszek, wiecie, wasz mały przyrodni brat.

- Tak, uroczy chłopiec - odparł Rupert. - Był razem z nami w hotelu.

- To znaczy nie z nami, nie w tym sensie, że się nim opiekowaliśmy - sprostowała Posy.

- Mój brat Kip... - mówiła Kerry.

- Oczywiście Kipa też poznaliśmy. Myślę, że przyjadą cię zobaczyć dziś rano.

Kerry odwróciła głowę, żeby coś powiedzieć do pielęgniarki.

- Tam ktoś był. Myślę, że ona wskazywała na Adriana - dodała.  
- On nie żyje, prawda?

- Nic nam o tym nie wiadomo, madame - odpowiedziała pielęgniarka.

- Och, dzięki Bogu... Miała w ręce ten swój miecz, albo włócznię, i wskazała nią na Adriana. Wtedy tego nie rozumieliśmy, ale teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że ona ostrzegała Adriana.

Siostra Benedicte dotknęła ramienia Ruperta i gestem poprosiła ich, żeby cofnęli się kilka kroków.

- Trochę nam opowiadała. Tuż przed lawiną spojrzała za siebie i zobaczyła jakąś kobietę w zbroi albo z tarczą i z jakąś bronią, którą wskazywała w ich stronę. Jest tego całkiem pewna - wyszeptała.

- J a k i e t o d z i w n e .

- Tak, dziwne. Jeśli tam był ktoś jeszcze, musiała porwać go ta sama lawina, ale nie zgłoszono niczyjego zaginięcia.

- Czy ona sądzi, że ta tajemnicza postać spowodowała lawinę?

- Wydaje się, że jej zdaniem ta postać ich ostrzegała. Dowiemy się więcej, kiedy jej umysł zacznie działać sprawnie.

- Pani Venn, proszę nam opowiedzieć o tym, co widziała pani tuż przed lawiną.

- Odwróciłam się... i tam była jakaś kobieta... bardzo daleko, z włócznią albo lancą skierowaną w stronę Adriana. Cała lśniła srebrzyście w promieniu światła, jak gdyby miała na sobie zbroję. To było bardzo wyraźne. Aha, i trzymała tarczę. Coś było na niej napisane, ale nie pamiętam co.

Właśnie w tej chwili do sak wpadł Harry przyprowadzony przez Kipa i przykuł uwagę Kerry. Kip uśmiechał się rozpromieniony na myśl

o radości Kerry. Harry rzucił się w stronę matki tak gwałtownie, że pielęgniarki musiały go złapać i unieść, stawiając ostrożnie na łóżku Kerry. Łzy popłynęły jej po policzkach, gdy uśmiechała się na widok dziecka. Wszyscy stojący wokół jej łóżka, nawet Posy i Rupert, poczuli, że oczy im wilgotnieją.

Siostra Benedicte odprowadziła Ruperta i Posy w stronę poczekalni.

- Dla nas to wygląda jak Joanna d'Arc - powiedziała. - Ona sama tego nie mówi. Ale najwyraźniej to nie Najświętsza Panienska. - Widząc, że nic nie rozumieją, dodała: - Chodzi o wizję madame Venn. Wydaje nam się, że mogła to być Joanna d Arc.

Siostra Benedicte czuła niegdyś powołanie jako *religieuse*, choć za nim nie poszła. Zasadniczo odnosiła się bardzo krytycznie do miejscowych pogłosek i opowieści o zjawach i cudach - jakie regularnie pojawiały się w Alpach i nigdy nie zasługiwały na poważniejsze traktowanie - jednak w tym wypadku było coś intrygującego w doświadczeniu Kerry Venn. Benedicte widziała na własne oczy, że ta pacjentka przez cały tydzień leżała w stanie śpiączki, a w dodatku przypuszczalnie nie była nawet katoliczką, więc Benedicte miała pewność, że tym razem nie ma mowy o jakiejś manipulacji pod wpływem religijnych przesądów. Mimo że racjonalne wyjaśnienia wydawały się najbardziej prawdopodobne, nie należało ignorować pewnych zagadek; umysł nie musi wszystkiego rozumieć.

- Oczywiście nie jesteśmy pewni. Ona opisuje tę scenę tak, jak ją sama ujrzała, i ten obraz wydaje nam się bardziej podobny do jakiegoś nadprzyrodzonego zjawiska, choć oczywiście mogła to być także realna osoba.

Posy i Rupert, z minami, jakich można się spodziewać po angielskich sceptykach, zaczęli pojmować, że siostra Benedicte najwyraźniej uznała, że Kerry miała jakąś wizję postaci Joanny d'Arc albo została nawiedzona przez świętą. W oczach Kerry rzeczywiście było coś nienaturalnego, jakiś blask sugerujący niezwykle doznania, ale bez wątplenia to było jedynie następstwo lekarstw albo śpiączki.

W jakimś sensie mieli nadzieję, że Kerry usłyszała już o śmierci ich ojca. Ale ponieważ pielęgniarki zaprzeczyły temu w ich obecności, wydawało im się czymś jeszcze trudniejszym powiedzenie jej o tym właśnie w tym momencie, gdy z radością trzymała w ramionach swojego synka, ścisła brata i starała się sobie przypomnieć, co widziała tuż przed wypadkiem. Odciągnawszy siostrę Benedicte w głąb korytarza, Rupert wyszeptał wiadomość o śmierci ojca. Pielęgniarka nie wydawała się specjalnie zaskoczona i wyraziła jedynie całkiem konwencjonalne współczucie, po czym ukradkiem zajrzała do sak, w której leżała Kerry. Rupert miał wrażenie, że być może odczuwała nawet pewną satysfakcję z tak ponurego zakończenia lotniczej akcji ratunkowej, skoro zabrano go spod jej opieki.

- Ona wie. Na jakimś poziomie to rozumie - powiedziała siostra Benedicte.

- Niemniej ktoś musi jej o tym powiedzieć - nalegał Rupert.

- Oczywiście. Może trochę później, kiedy będzie silniejsza. Zrobi to pan? Czy może lekarz?

- Prawdę mówiąc, wcale jej nie znamy...

- A więc lekarz, *bien sur*. Ale, wie pan, to bardzo interesujące, to, co widziała tuż przed wypadkiem.

Zgodnie przyznali, że najważniejsze jest teraz, aby Kerry w pełni odzyskała pamięć, dla swojego spokoju wewnętrznego, żeby nie przerażała jej w nieskończoność czarna dziura zionąca w jej pamięci; a wtedy będzie mogła sobie z tym poradzić i żyć dalej, pogodzona z faktem śmierci Adriana.

Kiedy rozmawiali z pielęgniarką, podszedł do ich doktor Lamm.

- Słyszał pan, doktorze, że pan Venn nie przeżył podróży do Londynu? - wyszeptała do niego siostra Benedicte.

Kto chciał, usłyszał w jej głosie oczywistą nutę satysfakcji.

Doktor Lamm prychnął nerwowo.

- A jak mógł przeżyć? Był już martwy, zanim opuścił Francję. Jego mózg nie wykazywał żadnych oznak aktywności przez trzy dni.

W ponurej ciszy zamyślili się nad sensem tych słów, szaleństwem planu ratunkowego, kruchością ludzkich nadziei, które popchnęły ich do działania, oraz decydującą rolą pieniędzy, które przeważały

na rzecz zwycięstwa jednego z punktów widzenia nad drugim - ponieważ ktoś zapłacił za ten samolot.

Posy i Rupert odnotowali wtedy, niewiele o tym myśląc, że - jak to ujął lekarz - ich ojciec był już martwy we Francji. Pograżeni w żalu nadal nie pozwalali sobie rozmawiać o tym, co przypuszczalnie i tak w nich tkwiło, czyli o tym, że fakt, iż ojciec umarł w Anglii, miał ogromne znaczenie dla Harry'ego i świeżo uratowanej Kerry - bo to oni odziedziczą wszystko, i oczywiście, w negatywnym sensie, dla nich samych - ponieważ nie dostaną ani grosza.

- To takie smutne ze względu na małego chłopca. Nie będzie pamiętał swojego ojca - doktor Lamm zwrócił się do Ruperta. - Chce pan, żebym jej o tym powiedział? Wolałbym zostawić to państwu.

- Gdyby mógł pan jej o tym powiedzieć, doktorze... - odparł Rupert.

- Ona i tak już o tym wie - wtrąciła się siostra Benedicte. - *Elle l'a senti.*

Doktor Lamm, najwyraźniej niezadowolony ze swojej roli, z poważną miną wszedł do pokoju chorej i podszedł do jej łóżka.

Kerry przyjęła wiadomość ze spokojem.

- Tak, rozumiem - powiedziała. - Taki był sens tego, co zobaczyłam.

Rupert nabrał odwagi, by podejść bliżej, i wyjaśnił jej, że pan Osworthy zajął się przygotowaniem ceremonii pogrzebowej w Londynie. Oboje z Posy zostaną w Valmeri, żeby razem z nią pojechać na pogrzeb, gdy tylko lekarze na to pozwolą. Jakie to smutne, że oni wszyscy mieli...

W tym momencie doktor Lamm dał Rupertowi znak, że chce z nim ponownie zamienić kilka słów. Chodziło o to, że Kerry będzie wymagała długiej rekonwalescencji. Ma pęknięte ramię i kilka żeber, niepokojący brak odruchów, jaki obserwowali, kiedy była nieprzytomna, wynikał z obrażeń kręgosłupa; głębokie urazy zagoją się dopiero po kilku tygodniach.

- Obie ofiary lawiny zostały potraktowane jak buty w suszarce bębnowej - powiedział lekarz, choć zdaniem Ruperta nie była to najszczęśliwsza metafora.

Ciesząc się, że mogą na chwilę oderwać myśli od śmierci, trójka starszych dzieci Venna w szpitalnym holu z uśmiechem komentowała wizję Kerry. Była doprawdy zaskakująca.

- Co mogłaby tam robić kobieta z włócznią? - zastanawiała się Victoire.

- Te plastikowe spodki do zjeżdżania wyglądają jak tarcze - powiedziała Posy. - To przypuszczalnie był ktoś z takim spodkiem.

- Albo ktoś na skuterze śnieżnym - dorzucił Rupert - lub w obcisłym srebrzystym kombinezonie. Może ciągle tam leży przysypany śniegiem?

- Tak, jeśli naprawdę był tam ktoś oprócz nich, na pewno został porwany przez tę samą lawinę - stwierdziła Posy, zastanawiając się nad śmiercią w zwałach lodu i lekkomyślną brawurą ludzi próbujących mierzyć się z siłami natury.

Nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, zamiast wyruszyć do Londynu, wrócili do hotelu Croix St. Bernard.

Późnym popołudniem Rupert, zgodnie z instrukcjami pana Osworthy'ego, żeby spytać Kerry o uroczystości pogrzebowe, pojechał sam do szpitala i ponownie wszedł do jej pokoju, przeciskając się przez niewielki tłumek ludzi, tym razem nie pracowników szpitala, lecz osobników z notatnikami. Kerry wyglądała mniej więcej tak samo, była blada, ale siedziała wyprostowana na łóżku. Pielęgniarka szepnęła, że Kerry spała po lunchu i szybko nabiera sił i ochoty do życia, choć są pewne obawy co do jej kręgosłupa. Przyznała też, że jest trochę za bardzo zaabsorbowana ludźmi, którzy ciągle zagląдают do jej pokoju, by posłuchać, jak opowiada o świętej Joannie, i być może nie całkiem dotarła do niej wiadomość o śmierci męża.

- Przykro mi, że muszę poruszyć tę sprawę - powiedział Rupert do Kerry - ale czy ojciec kiedykolwiek wspominał o tym, czego sam by chciał? Chodzi o pogrzeb. Kremacja? Zostawił jakieś instrukcje?

Kerry popatrzyła na niego niezbyt przytomnie, apatycznie.

- Poczyniliśmy wstępne przygotowania. To znaczy pan Osworthy poczynił. Kremacja w Londynie, kiedy będziesz mogła podróżować, potem sama zdecydujesz, co zrobić z prochami - mówił dalej Rupert.

- Kim jest pan Osworthy? - spytała Kerry.

- Prawnikiem ojca z Londynu.

- Anglia! Nic z tego - oświadczyła Kerry. - Mieszkamy we Francji!

Tu jest całe nasze życie. Harry będzie chciał odwiedzać grób ojca, kiedy urośnie; nie chcę, żeby musiał jeździć do Anglii.

- Cóż, popioły będziesz mogła przywieźć tutaj.

- Nie zniosłabym myśli, że Adrian został spalony - powiedziała Kerry i łzy napłynęły jej do oczu. - Myślę, że powinien zostać pochowany w Saint-Gond, tak jak należy, na cmentarzu. Będę musiała o tym pomyśleć. - Zaczęła płakać, co wszystkim wydało się całkiem zrozumiałe, i pielęgniarki wyprosiły gości z sali.

- Jeśli teraz jest taka apodyktyczna, co będzie, kiedy uprzytomni sobie, że jest kobietą dość zamożną. Takie są moje doświadczenia z Amerykanami: kategoryczni, nieznoszący sprzeciwu, pozbawieni kulturalnych norm, które podpowiadałyby im, jak mają się zachować - oświadczył Osworthy.

- Zamożną?

- Myślę, że powinienem powiedzieć, że majątek waszego ojca okazał się większy, niż sam się spodziewałem. Niektóre inwestycje, bardzo udane transakcje, trochę natchnionych spekulacji. Wolałbym raczej nie wchodzić w szczegóły, dopóki nie będę miał okazji przyjrzeć im się dokładniej, za dzień albo dwa. Jest także kilka drobiazgów, których nie doceniłem wcześniej. Ale nic, co miałyby coś wspólnego z wami. I tak Kerry dziedziczy, jak mówiłem. Jednak możecie być pewni, że wam też coś zostawił.

Choć Posy i Rupert oswoili się już ze swoją stratą, nie mogli zapobiec temu, by ich nadzieje nie ożyły na chwilę, choćby tylko dlatego, że jakiś testamentowy zapis osłodziłby im gorzki fakt utraty ojca. Nie mając nic, na co mogliby czekać z nadzieją, w otępieniu, jakie następuje po czyjejś śmierci, mogli tylko pogрузić się w żałobie, czekając na moment, w którym ich nieciekawe codzienne życie ponownie się o nich upomni.

## ROZDZIAŁ 29

W poniedziałkowy poranek Pamela Venn ze swojego londyńskiego mieszkania przy Maida Vale, W9, zadzwoniła do Paryża do Geraldine Chastine.

Mimo że nie była zasmuconą wdową, podczas weekendu wielokrotnie rozmawiała z panem Osworthym i od niego dowiedziała się niepokojących wiadomości na temat testamentu zmarłego byłego męża. Pam była głęboko niepokieszona, choć nie we własnym imieniu, ponieważ niczego się nie spodziewała, ale w imieniu Ruperta i Posy, a zwłaszcza Posy. Kerry i Harry mieli odziedziczyć wszystko, tak, jak się spodziewano, jednak na szczęście Adrian zostawił Rupertowi przyzwoity zapis. Osworthy nie mógł jej powiedzieć ile, póki nie poinformował samego Ruperta, ale chodziło o pięciocyfrową sumę, z tych niższych.

- Jest jednak pewna niezręczna sytuacja, Pam - powiedział Osworthy. - Posy zostawił znacznie mniej.

- Mniej? - powtórzyła Pam.

- Niestety.

Pamela była rozczarowana. Ale oczywiście nie powinna się dziwić. Posy kłóciła się z ojcem, przeciwstawiała mu się i wyśmiewała jego plany małżeńskie. A ten mściwy człowiek ją za to ukarał! Zniewaga Posy leżała jej na sercu bardziej niż niesprawiedliwość, jaka spotkała oboje jej dzieci. Po przeszło dwudziestu latach wspólnego życia, gdy były mniej lub bardziej posłusznym potomstwem, zostały w końcu potraktowane w ten sposób! Chętnie powiedziałyby sobie, że stało się tak pod wpływem jego nowej żony, tej wyrachowanej Amerykanki,



ale w głębi serca wiedziała, że Adrian postąpił zgodnie z własną naturą, starając się ukarać i upokorzyć ludzi, którzy mu się sprzeciwiali, a nade wszystko wojowniczą Posy, mimo że tak bardzo potrzebowała pieniędzy. Rupert, jako człowiek pracowity i flegmatyczny, prędzej czy później zarobi swoje dziesiątki tysięcy funtów, ale perspektywy Posy malowały się niezbyt optymistycznie i pod każdym względem znajdowała się w gorszym położeniu. Serce aż rozboleło Pamelę na myśl o krzywdzie, jaka spotkała jej buntowniczą córkę.

- A co z drukarnią, winnicami? - spytała Osworthy'ego. - Jak się domyślam, to także przypadnie żonie.

- Tak, zgodnie z jego wolą. Przekazałem francuski aspekt sprawy naszemu oddziałowi w Paryżu, ponieważ są pewne formalności, których trzeba tam dopełnić.

Formalności. Mgliste wspomnienia spadkowych procedur z powieści Balzaka, notariuszy i pozbawionych skrupułów podstępnych krewnych jeszcze bardziej popsuły jej humor. Najlepiej byłoby jakoś miłosiernie zapobiec temu, aby Posy dowiedziała się o decyzji swojego ojca, ponieważ na pewno poczułaby się bardzo zraniona. Pam wolałaby raczej wyrównać tę różnicę z własnej kieszeni, ale niestety nie miała żadnych pieniędzy.

Ciągle ją to dręczyło i w końcu zadzwoniła do Posy, która nadał przebywała w hotelu Croix St. Bernard, żeby poprosiła Victoire (nieznana córka, już samo to było zdumiewającym odkryciem!) o numer telefonu jej matki. Może ta kobieta będzie jeszcze bardziej niezadowolona z tego, w jaki sposób potraktowano jej córkę - i jak zawsze była traktowana, chyba że podstępny Venn przez cały czas wiedział o istnieniu Victoire i potajemnie ją rozpieszczał, posyłał prezenty w dniu urodzin i tak dalej, dbając o jej potrzeby kosztem Posy. Pam potrafiła sobie coś takiego wyobrazić, ale intuicja podpowiadała jej, że będzie miała sojuszniczkę w kobiece, której dziecko Adrian także zlekceważył.

Geraldine Chastine na szczęście mówiła doskonale po angielsku, była serdeczna, a nawet ciepła w telefonicznej rozmowie z Pam. Dwie porzucone kobiety szybko wykuły pewną więź na resentymentach żarzących się przez ponad trzydzieści lat - ponieważ owe uczucia nie

były skierowane przeciwko sobie nawzajem. Geraldine poczuła się nieco mniej oburzona, kiedy uprzytomniła sobie, że istniała niewielka szansa, że Venn nigdy nie słyszał o istnieniu Victoire - a przynajmniej tak wynikało ze słów Pam.

- Posłałam mu list, ale być może nigdy go nie dostał. W końcu trzydzieści lat temu poczta na pewno nie była równie niezawodna jak dziś i wrócił do Anglii, zanim zorientowałam się... W każdym razie nie sprzeciwiał się umieszczeniu jego nazwiska na świadectwie urodzenia.

Z szybkich obliczeń Pam wynikało, że w chwili poczęcia Victoire ona sama była już żoną Adriana Venna. Na szczęście świadomość tego faktu nie mogła już jej zranić.

Jednak z jeszcze innego, znacznie ważniejszego powodu była zadowolona, że zadzwoniła do Geraldine. Dowiedziała się, że Geraldine wcale nie jest taka pewna, czy Venn, niezależnie od swojej woli zawartej w angielskim testamencie, rzeczywiście może po prostu przekazać swojej młodej żonie *chateau*, winnicę i całą resztę francuskiego majątku.

- Istnieją przecież prawa! Człowiek nie może mieć w tym kraju majątku i zostawić swoich dzieci bez grosza.

- Naprawdę? - Pam poprosiła ją o wyjaśnienia i w jej sercu zaświtała nadzieja, że niesprawiedliwe pominięcie Posy i Ruperta w angielskim testamencie być może zostanie naprawione we Francji.

- Zadzwoniłam już do kogoś, kto spełnia rolę naszego rodzinnego prawnika i mógłby zaangażować się w tę sprawę. A przynajmniej zadzwoni do angielskiego adwokata - wyjaśniła Geraldine. - Obaj przedyskutują tę sprawę.

- Ale on umarł tu, w Anglii. - Temu nie można było zaprzeczyć.

- Tak czy inaczej w tej chwili monsieur de Persand jedzie już do Valmeri. Powiedział, że w żadnej mierze nie ma nic przeciwko temu, żeby spędzić dzień albo dwa w górach i omówi sytuację z twoimi dziećmi i z Victoire - powiedziała Geraldine.

- To cudowne - odrzekła Pam entuzjastycznie. - Mam nadzieję, że kiedyś przyjadę do Paryża, Geraldine, jeśli mogę cię tak nazywać.

- Tak bardzo bym tego chciała! Możesz się zatrzymać u nas albo znajdę ci jakiś hotel w pobliżu. Myślę, że powinnaś przyjechać dość szybko - odparła Geraldine.

- Nie ruszajcie się z miejsca - Pamela poinstruowała Posy i Ruperta przez telefon. - Tutaj i tak nie macie nic do zrobienia ani dla niego, ani dla mnie. Chciałabym, żebyście zostali i porozmawiali z francuskim prawnikiem Victoire, jakimś Antoine'em de Persandem.

Tego popołudnia Emile pojechał do szpitala, by na własne oczy zobaczyć kobietę, która miała tak zdumiewającą wizję, że zaczynano już o tym rozmawiać w hotelu. Wokół łóżka chorej zastał niewielkie zgromadzenie nieznanomych i pracowników szpitala. Kerry mówiła, jak gdyby odpowiadała na swoje pytania.

- To nie była jakaś wizja, tylko prawdziwa kobieta. Nie widziałam w tym nic nadprzyrodzonego. Jakaś kobieta w zbroi. Nie mówię, kim była, to wy nazywacie ją Joanną d'Arc. Oczywiście mam swoje przypuszczenia. Ale to było realne, ona naprawdę tam stała...

- Joanna d'Arc, akurat, już to widzę, kupujecie to? - powiedział Kip do Victoire, która przyjechała do szpitala z samego rana.

Uśmiechnęła się uprzejmie, marszcząc brwi.

- Nie - przyznała.

Emile tak samo.

- Może to była Marianna? - zaproponowała Victoire po chwili.  
- Symbol Francji? A może któraś z miejscowych świętych? Ale musi nam sama o tym opowiedzieć.

Pojawił się doktor Lamm i pielęgniarki wyprosiły dziennikarzy oraz burmistrza na korytarz. Emile jako komentator telewizyjny od razu dostrzegł, że wydarzenie miało w sobie spory potencjał. To mógł być news i z tą myślą zagłębił się w tłum ludzi zgromadzonych na korytarzu przed salą, żeby porozmawiać z mieszkańcami miasteczka, którzy przyszli posłuchać słów Kerry. Pierwsza osoba, ku której się zwrócił, przedstawiła się jako członkini Towarzystwa Świętej Dziewicy Orleańskiej, zainteresowanego wszelkimi widzeniami, legendami i pamiątkami związanymi z wojowniczą świętą.

- Dotychczas nie była kojarzona z tym regionem, ale jej pojawienia się notowano na coraz szerszym obszarze i już od dawna nie ograniczały się do terenów wokół Orleanu - powiedziała.

- *Sans doute, madame*, święta na pewno broniła całego terytorium Francji, choć trudno powiedzieć, czy przed Anglikami - to znaczy biednym panem Vennonem - czy też amerykańskimi samolotami - rzekł z uśmiechem Emile, któremu ta gorączka wokół świętej Joanny wydawała się całkiem zabawna.

Jakiś reporter z miejscowej gazety przyznał, że istotnie, święta mogłaby kierować się takimi motywami. Przyszedł tu, by opisać całe wydalenie, i rozmawiał przez jakiś czas z doktorem Lammem na korytarzu przed pokojem Kerry. Sam dziennikarz uważał, że święta pojawiła się w tym momencie, ponieważ - zważywszy na jej wojskowe koneksje - odpowiedziała na obecność obcych samolotów wojskowych i jednostek NATO, które wywierały wpływ na zbiorową podświadomość miejscowej populacji, zwłaszcza teraz, w okresie zamieszania na arenie międzynarodowej. Emile przemileczał własne obiekcje, że przecież Kerry znajdowała się w stanie śpiączki i nie mogła wiedzieć o czyjejkolwiek wojskowej obecności oraz że jako cudzoziemka nie miała dostępu do zbiorowej podświadomości Francuzów, która choćby podprogowo mogłaby wyczuwać gromadzenie się ciemnych chmur wojny na światowym horyzoncie.

Nie był zaskoczony, gdy wczesnym popołudniem zobaczył ekipę CNN.

Siedząc razem z Joem Daggartem i Paulem-Louisem przed telewizorem w sak barowej, po wyczerpującym dniu na stokach, Amy ze zdumieniem zobaczyła na ekranie Emile'a Abbouda, który udzielał wywiadu CNN. Razem z reporterem stał na de olśniewająco białych alpejskich szczytów i błękitnego nieba, co stanowiło prawdziwie wiosenny widok, jakiego nie miała okazji zaobserwować podczas tego ponurego tygodnia styczniowej pogody. Na zbliżeniu pokazano prosty drewniany krzyż wyłaniający się z zasy śniegu. Obaj mężczyźni rozmawiali o miejscowych górskich tradycjach - ukazywaniu się świętych i duchów postaci historycznych nawiedzających okolice w okresie świąt. Amy uważnie obserwowała, czy nie dostrzeże u siebie oznak podniecenia na widok mężczyzny, który popchnął ją w objęcia barona, ale nie czuła niczego poza zainteresowaniem i podziwem dla jego telewizyjnej swady. Emile naprawdę dobrze się prezentował przed kamerami.

- Profesor Emile Abboud z Ecole Superieur des... hm, można to przełożyć jako „nauki polityczne”. Czy to prawda, panie profesorze, że świętą Joannę widziano w tych okolicach po raz pierwszy? - Dziennikarz mówił żartobliwym tonem zarezerwowanym przez reporterów CNN dla wiadomości lżejszego kalibru na temat dziwnych plemiennych zwyczajów, pogańskich świąt i uroczych zwierząt.

- Tak, generalnie rzecz biorąc, nie jest kojarzona z tym regionem - powiedział Emile. - Zwykle ogranicza się do terenów wokół Orleanu, gdzie żyła, walczyła i zmarła. Ale jeśli teraz pojawiła się tutaj... przypuszczam, że to przejaw globalizacji.

W telewizji harmonijne rysy Emile'a były jeszcze bardziej urzekające, jego uśmiech przypominał uśmiech aktora filmowego, a francuski akcent był wyraźniejszy niż wtedy, gdy rozmawiało się z nim osobiście. Amy poczuła dobrze znane podniecenie, ale surowo je stłumiła.

- Czy to ma jakieś znaczenie, że ukazała się Amerykance?  
Emile zastanowił się chwilę.

- To, że jej ofiarą był Anglik, doskonale zgadza się z tradycją. Wiadomo, że diabeł przybiera postać osób pobożnych. Cóż byłoby stosowniejszego w wypadku Joanny, jak zwrócić się przeciw Anglikom oraz ich awatarom, Amerykanom?

- Czy to może być mistyfikacja?

- Albo forma zbiorowej hysterii. Wizja nasuwa kilka pytań: Czy istnieje coś takiego jak zbiorowa podświadomość? Czy młoda pani Venn z Ameryki ma dostęp do naszej, francuskiej? Na czym polega mechanizm sprawiający, że widzimy coś, czego nie ma w rzeczywistości? Czy chodzi o sugestię, czy o coś materialnego, widocznego tylko dla oczu niektórych? Osób obdarzonych specjalną intuicją? Takie pytania padały zawsze, na przykład przy okazji seansów spirytystycznych z udziałem mediów w dziewiętnastym wieku. Zawsze mówiono o oszustwie, złudzeniu, współpracy kogoś, kto rozpaczliwie pragnie w coś wierzyć, z kimś, kto dla swoich ukrytych celów gorąco pragnie, by ludzie w to wierzyli. Jednak w tym wypadku mamy deklarację osoby, która nie ma żadnych powodów, by w coś wierzyć lub nie wierzyć; to jest bezinteresowne świadectwo, najwyraźniej prawdziwa relacja.

- Czy Watykan próbował zweryfikować to zdarzenie? - spytał dziennikarz CNN.

- Watykan? Nie, szczerze w to wątpię, zwłaszcza że pani Venn nie jest katoliczką.

- A co pan sądzi na temat oskarżeń, że to amerykańskie samoloty spowodowały niedawne katastrofalne lawiny w tych okolicach?

- Zdaje się, że w tej sprawie toczy się śledztwo - odpad Emile.

- Dziękujemy, profesorze Abboud, że poświęcił nam pan swój czas - zakończono rozmowę w CNN.

- Abboud wie, że jeśli tu były jakieś samoloty, to francuskie. Takie są nasze wnioski. Powiedziałem mu o tym osobiście, francuskie albo brytyjskie, wspólne przedsięwzięcie ludzi z SST, którzy zbudowali concorde'a - oświadczył Daggart.

- Czemu więc nie mówią tego głośno? Jak zwykle łatwiej zwać wszystko na Amerykanów - powiedziała Amy.

- Problem polega na tym, że nie mamy pewności, czy samolot w ogóle może spowodować lawinę. Sprawa wcale nie jest przesądzona - ostrzegł ją Joe. - Nie wiemy nawet, czy tu były jakieś samoloty, choć niektórzy świadkowie tak twierdzą. Na razie nie mieliśmy jeszcze wglądu w plany lotów Francuzów ani Amerykanów.

Tego wieczoru w górnym holu hotelu ponownie zorganizowano cotygodniowy koktajl powitalny. Goście, którzy mieszkali w hotelu już ponad tydzień, poczuli się niemal zblazowani - Amy pamiętała podobne uczucie z czasów, gdy jako zaprawiona w bojach biwakowiczka z pobłażaniem patrzyła na świeżo przybyłych uczestników obozu, którzy zjawiali się w czystych ubraniach i swoimi poważnymi minami sygnalizowali gotowość do współpracy. Podobnie jak przed tygodniem zaczęła od rozmowy z Amerykaninem Joem Daggartem, ale tym razem jako osoba nieco szerzej znana mogła poruszyć kilka wspólnych tematów z innymi osobami z grona pogodnych, bogatych europejskich narciarzy, jak Marie-France Chatigny-Dove albo księżę Mawlesky. Nie przyszło jej do głowy, żeby wspominać w rozmowie z kimkolwiek o sprawach Doliny Krzemowej, i przestała się już zdumiewać tym, do jakiego stopnia ci wszyscy ludzie w ogóle nie przejmują

się kwestiami oprogramowania; to był zupełnie inny świat. Ale teraz mogła rozmawiać z nimi o skandalicznych postanowieniach Brukseli albo o procesach zbrodniarzy wojennych przed trybunałem haskim.

- Amy, moja najdroższa - powiedział Robin Crumley, biorąc ją za ręce. - To takie smutne, kiedy się pomyśli, że jutro z samego rana wyjeżdżam razem z państwem Mawlesky. Jeśli chodzi o mnie, wracam do Londynu. Ale powiedz mi, kiedy będziesz w Paryżu, to przyjadę, żeby cię zobaczyć. Dzięki kolei Eurostar to tylko trzy godziny. Nie możemy pozwolić, żeby nasza przyjaźń umarła.

Amy poczuła prawdziwą wdzięczność, słysząc, że nazwano ją przyjaciółką znanego brytyjskiego poety, i uśmiechnęła się do Robina, mimo że jego entuzjazm był nieco krępujący i że wciąż pamiętała, jak niegrzecznie potraktowała go w hotelowym mikrobisie. Podała mu numer telefonu madame Chastine, ponieważ sama nie miała pojęcia, gdzie będzie mieszkać w Paryżu.

Baron Otto także niezawodnie zjawił się u jej boku, wygłaszając radosne banały w rodzaju "*boucle noire* był dzisiaj całkowicie *glacee*", w których nie potrafiła doszukać się żadnego podwójnego dna, jeśli istotnie kryły w sobie taką intencję, oraz rzucając jej znaczące spojrzenia, przeznaczone wyłącznie dla niej. Miała gorącą nadzieję, że nie zamierzał obdarzać jej przesadnie wielkim zainteresowaniem, bo mogłoby to zwrócić na nich powszechną uwagę. Wbrew sobie czuła, że łącząc ją z baronem jakaś zażyłość, i obawiała się, żeby rzecz nie wyszła na jaw. Ulżyło jej, że klótniwa Frau Otto nie przyszła na przyjęcie.

Amy była niezbyt zadowolona, gdy po południu baron dołączył do niej i Paula-Louisa podczas lunchu w jednej z malutkich górskich restauracji rozsianych po rozległych stokach. Pojawił się w tyrolskim kostiumie - wełnianych pumpach oraz zielonych skarpetach - i widać było, że jej szuka. Jeździł na nartach turystycznych, posługując się imponującym telemarkiem, co mogli zaobserwować przez panoramiczne okna restauracji, patrząc, jak sunął w dół zbocza, po czym wkroczył do środka, wydając z siebie entuzjastyczne serdeczne pomruki. Amy była nieufna, ale zachowywał się nienagannie. Mimo to kiedy pomyślała o atrakcyjnych młodych mężczyznach, jak Paul-Louis czy nawet Rupert Venn - postrzegła go teraz w nieco innym świetle, odkąd zauważyła,

jak Marie-France spogląda na niego podczas lunchu - poczuła się ponownie zakłopotana na myśl o tym, co przydarzyło jej się z baronem. Niemniej nie zamierzała niczego żałować, taką przyjęła zasadę.

Jednak teraz podczas koktajl party jego ciepłe spojrzenia wydały jej się niemal interesujące. Rozmyślała o baronie przez cały dzień, zastanawiając się na przykład, czy często sypia ze swoimi klientkami, ile ma lat i czy był dobrym uczniem w szkole. Nie licząc mglistych erotycznych pragnień sprowokowanych prawdopodobnie przez Emile'a, nadal nie bardzo potrafiła sobie wyjaśnić, w jaki sposób w ogóle doszło do tego, że przespała się z Ottonem - czy to za sprawą jego niespodziewanych namiętnych deklaracji, czy raczej otaczającej go aury wielkiego świata, a może jego strasznej żony? Albo wszystkich tych rzeczy naraz? Niemniej nie zamierzała niczego żałować - to była zasada, która miała obowiązywać w życiu, jeśli w ogóle są jakieś zasady. W pewnym momencie przyszło jej do głowy, że może miałyby jednak ochotę na mały domek w Alpach, ale oczywiście to było niedorzeczne. Z drugiej strony, mogłaby do niego przyjeżdżać każdej zimy, powiedzmy na miesiąc, i wynajmować go przez resztę roku. Ona i Otto mogliby... Ale nie, nawet go nie lubiła. Musiała jednak zapisać mu na plus, że nie poruszał już więcej tematu nieruchomości.

Amy miała teraz inne, pilniejsze zamartwienie. Podczas koktajlu rozmawiano o wizji Joanny d'Arc, jaką tuż przed zejściem lawiny miała siostra Kipa, pani Venn. Amy obejrzała krótki reportaż CNN z Emile'em w rok głównej, po czym w barze ktoś przed przyjęciem przełączył telewizor na Euronews, gdzie dwukrotnie powtórzono sekwencję materiałów o lawinie, a następnie pokazano posągi i stare ryciny przedstawiające Joannę d'Arc; znaczenie tych obrazów wydawało się oczywiste, nawet jeśli nie znało się francuskiego. Po raz pierwszy Amy zaczęła się zastanawiać, gdzie ona sama była tamtego popołudnia, kiedy zeszła lawina.

Bezpośrednim impulsem do tych rozmyślań było coś, co zauważyła nieco wcześniej, jeszcze z samego rana. Gdy po śniadaniu wychodziła z pokoju w stroju narciarskim, nagle zobaczyła w lustrze własne odbicie w promieniu słońca, który wpadł przez okno, i wzdrygnęła



się zaskoczona. Ujrzała obraz czegoś lśniaco srebrzystego, co teraz, kiedy się nad tym zastanawiała, wyglądało niemal jak zbroja; ją samą można było wziąć za Joannę d'Arc. Oczywiście to niedorzeczność, żeby to mogła być ona, niemniej coś takiego przyszło jej do głowy.

- Alternatywna teoria dla teorii amerykańskich samolotów - dobiegły ją czyjeś słowa.

- Amerykański spisek polegający na wykorzystywaniu miejscowych przesądów, żeby odwrócić uwagę od samolotów - dorzucił ktoś inny.

- Jeśli ktoś widział kogoś w górze zbocza, ta osoba niemal na pewno zginęła w tej samej lawinie - powiedział następny rozmówca.

Tym razem Amy ucieszyła się, ponieważ ona sama nie zginęła. A więc to jednak nie mogła być ona.

Emile Abboud pojawił się teraz osobiście wśród gości koktajlu, otoczony przez grupkę wielbicieli - ludzie zachowują się tak idiotycznie na widok każdego, kto występował w telewizji - i jak usłyszała, miał ponownie komentować całą sprawę dla CNN, obok swoich zwykłych występów w dyskusji przy okrągłym stole na Antenne Deux. Oba kanały interesowały się rosnącym zaciekawieniem opinii publicznej postacią Dziewicy Orleańskiej, która tak tajemniczo objawiła się w Alпах.

- Stany Zjednoczone nie mają żadnej kobiecej ikony - mówił właśnie Emile do swoich admiratorów.

Amy przysunęła się bliżej.

- A Statua Wolności? - odezwała się *princesse* Mawlesky. - Statua Wolności jest kobietą.

- Tak, to prawda, ale dostali ją z Francji. Liberte, Egalite - cnoty są zawsze rodzaju żeńskiego, przynajmniej w językach romańskich, jeśli nie w życiu, ponieważ te słowa są rodzaju żeńskiego. Ameryka ma ikonę Wują Sama, chociaż nie umiem powiedzieć, bo nie jestem Amerykaninem, czy ma ona równie potężne działanie emocjonalne jako symbol, jak, powiedzmy, święta Joanna lub Matka Boska.

Amy pomyślała o kościstej postaci w spodniach w paski, wysokim cylindrze i z dość rzadką brodą - kto to był? W każdym razie na pewno nie stanowił budzącego żywe emocje uosobienia patriotyzmu, jeśli nie liczyć poczucia winy i obowiązku: „Wuj Sam cię wzywa”. Ale jakoś nigdy nie czuła, żeby chciał czegoś akurat od niej.

- Nie potrzebujemy żadnego symbolu, wokół którego mielibyśmy się skupiać - Amy nie mogła powstrzymać się przed tą uwagą, choć wtrącała się w ten sposób w ogólną rozmowę.

- Skupiacie się wokół swoich prezydentów, nawet jeśli są łajdakami. Choć oczywiście muszę przyznać, że żaden z nich nie był takim łajdakiem jak francuscy prezydenci. - Emile i pozostali roześmiali się radośnie.

- Felix Faure - powiedział ktoś.

- Mitterrand.

- Poza tym oni są protestantami - wtrąciła się madame Marie-France Chatigny-Dove. - Mam na myśli Amerykanów.

- A co to ma z tym wspólnego? - zdziwiła się Amy.

- Katolicka tradycja modlitw do Matki Boskiej przyzwyczaiała Francuzów do matriarchalnych postaci, które otaczają szacunkiem. Kraje anglosaskie są bardziej macho - wyjaśnił Robin Crumley. - John Bull, Wuj Sam.

- Tak naprawdę wcale nie skupiamy się wokół naszych prezydentów - zaprotestowała Amy. - Jedyne połowa ludzi tak robi. W każdym razie w tym samym czasie. We Francji zapomina się o tym. Myślicie, że wszyscy jesteście tacy sami.

- Szczerze mówiąc, słyszy się takie głupie rzeczy na temat Ameryki. To znaczy we Francji - powiedziała Victoire. - Różne błędne wyobrażenia, na przykład że psy tam nie szczekają. Naprawdę coś takiego słyszałam.

Spojrzała na Amy, jak gdyby czekała na jej zapewnienie, że to nieprawda. Jednak Amy uniesiona patriotycznym oburzeniem nie zamierzała niczego prostować. Niech sobie myśli, że psy nie szczekają w Ameryce.

- Buffon sądził, że psy w Ameryce nie szczekają, a ludzie są otepiali z powodu klimatu - oświadczył Emile. - Czy nie jest to zatem prawdą?

- On żartuje. Oczywiście wiemy, że to bardzo głupie - szybko dodała Victoire.

- Biedna Amy, Francuzi są tacy nieokrzesani w sprawach Ameryki - włączył się baron Otto. - Nie zwracaj na nich uwagi. - Obdarzył

swoich francuskich przyjaciół uśmiechem światowca i posłał Amy jakiś teutoński ukłon.

- Potrafimy być bardzo surowi także wobec samych siebie - powiedział Emile.

- Francja zaczęła od przysięgania nam wiecznej przyjaźni - przypomniła im Amy. - Lafayette nadał nawet swojemu dziecku imiona po Jerzym Waszyngtonie. Pomagał naszej rewolucji.

- Ściśle biorąc, Francuzi pomagali amerykańskim rewolucjonistom, żeby narobić kłopotów Brytyjczykom, a nie z powodu sympatii. Och, oczywiście wiem o sympatii między Waszyngtonem a Lafayetteem, ale wszystkie świadectwa dowodzą, że Waszyngton tak czy inaczej był niezwykłym człowiekiem. Ostatnio Francja zapewne była niewierna, ale są zawsze po temu jakieś powody, jak w małżeństwie. Nieporozumienia, konflikt charakterów - mówił Emile. - Kto może rozstrzygnąć, które z dwojga małżonków jest bardziej winne? My oczywiście obwiniamy was za wasze banały, za waszą wulgarność, za komercyjne sukcesy waszych filmów...

Żeby zarzucać jej wulgarność - tego Amy nie mogła już znieść.

- Uratowaliśmy was dwukrotnie!

- Na tym polega wasza wina. - Emile uśmiechnął się. - Tego właśnie nie możemy wam wybaczyć.

- Myślisz, że coś jest między nimi? - wyszeptał Robin Crumley do Emile'a, gdy pozostali goście odeszli nieco dalej.

- O kim mówisz?

- Teutoński jegomość i Amy.

- Nie widzę nic specjalnego. A czemu?

- Jakiś rodzaj zażyłości?

- Obchodzi cię to?

- Bardzo. Nie można na to pozwolić, żeby takie dziewczęta były narażone na działania osobników, którzy chcą je wykorzystać. Na jej widok ożywają wszystkie moje rycerskie odruchy. A on to łajdak polujący na jej fortunę.

- Chyba jednak się mylisz, Crumley, jeśli chodzi o jej pieniądze. Jakoś nie widać tego po niej. Popatrz na madame Renan albo na chorwacką

piękność: biżuteria, popołudnia spędzone u fryzjera. To są prawdziwe *poules de luxe*. Nic takiego nie zauważyłem u *l'Americaine*. To po prostu samotna dziewczyna szukająca towarzystwa mężczyzn.

- Miliony, mój drogi, przyjrzyj się uważnie.

Emile spojrzął jeszcze raz i wzruszył ramionami.

- Nie jestem specjalistą - powiedział.

Ale, jak sam musiał przed sobą przyznać, chyba uległ tej sugestii, ponieważ rzeczywiście zaczął wyczuwać coś w jej obojętności wobec mody i osobistych ozdób, co mogło oznaczać pieniądze - chyba że chodziło jedynie o beznadziejny amerykański brak szyku i elegancji. Tak czy inaczej nie miało to dla niego żadnego znaczenia, ale mimo to zaczął o niej myśleć. Postanowił otrząsnąć się z tych oznak zainteresowania.

Rozejrzał się wokół, szukając wzrokiem Victoire, żeby pójść z nią na kolację. Przez całą rozmowę stała tuż obok niego, ale teraz gdzieś zniknęła.

Victoire pobladała. Nagle wszystko zrozumiała. Zobaczyła w jego spojrzeniu, kiedy patrzył na Posy, a może w wymianie ich spojrzeń, coś, co znała aż za dobrze, i wiedziała niezachwianie, całą sobą, że coś między nimi zaszło. Od początku, od swojego przyjazdu do Valmeri, zauważyła, że Posy ciągle wpatruje się w Emile'a, ale Victoire była przyzwyczajona do tego, że ludzie tak się na niego patrzą, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Sama uwielbiała go ze względu na jego urodę; oczywiście nie była to jedyna przyczyna jej uwielbienia, ale to przyjemne mieć coś, czego inni pragną. Nauczyła się, że trzeba za to płacić - nikt nie mógłby się oprzeć nieustannym zachwytom, jakich świat najwyraźniej nie szczędził Emile'owi. Chodziło nie tylko o pragnienia seksualne, ale różne inne rzeczy, posady, kontakty, i była dumna z tego, że Emile jest nieprzekupny i nigdy nie dawał się skusić takim propozycjom. Nie robił niczego za pieniądze, nie był skorumpowany czy wyrachowany, nie musiał. Ale teraz cena była za wysoka. Emile wymienił z Posy spojrzenia, które rezerwował dla kogoś, z kim poszedł wcześniej do łóżka, spojrzenia dla kogoś, kto znał jego dotyk, jego *sexe*... Och, nie mogła nawet o tym myśleć.

Pierwszym objawem tego przeczucia był fizyczny, przeszywający dreszcz, który przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa i chwycił ją za gardło. Owinęła mocniej ramiona szalem jak osoba, która nagle zatrzęsła się z zimna. Na szczęście z powodu skurczu w gardle nie mogła krzyknąć z oburzenia w jakimś upokarzającym proteście, więc jej pragnienie, by wrzeszczeć albo rzucić się na Posy, uzewnętrzniło się w wypiekach na twarzy. Najwyraźniej nikt nie zauważył zamiany, jaka w niej zaszła.

To było nie do zniesienia, że los w tak podstępny sposób igrał z jej uczuciami: w ciągu zaledwie kilku dni obdarzył ją nową siostrą, po czym sprawił, że jej mąż zdradził ją z tamtą osobą. Nie, to nie tak, na odwrót: została obdarzona siostrą, ale siostrą, która będzie polować na jej męża. Wszystko, co kiedykolwiek myślała o Emile'u, który zapewne, jak wszyscy mężczyźni, nie zawsze był jej wierny, stanęło teraz na głowie. Z goryczą pomyślała, że los zesłał jej nieznanego rodzica, może nawet jakieś pieniądze, i dwoje rodzeństwa, przyrodniego brata i siostrę, których była gotowa pokochać, a wraz z nimi zatruty podarunek złamanego serca i splątanej z nimi przyszłości.

Serce Victoire tłuło się jak oszalałe. Perfidny Albion. Tacy właśnie byli Anglicy, okropni Anglicy, z ich fatalną higieną osobistą, wątpliwą moralnością, podejrzanymi praktykami w interesach, beznadziejną inżynierią... Ze też jej przyrodnia siostra okazała się takim potworem, który spiskował przeciwko niej! Szalona wściekłość kipiała w niej jak para pod pokrywką czajnika, aż szumiało jej w uszach, po czym para uszła, a jej miejsce zajął smutek złamanego serca. Pewna, że każdy potrafi odczytać z jej twarzy to, co odkryła przed chwilą, wymamrotała coś i niepewnym krokiem poszła do damskiej toalety, mówiąc sobie, że może to wszystko jest tylko wytworem jej wyobraźni. Może Emile - w końcu jest jedynakiem - obdarza po prostu braterskimi uczuciami biuściastą zaróżowioną Posy. Ale wiedziała, że to nieprawda. Spojrzał na tamtą tak, jak zawsze patrzył na nią, z uczuciem, jak na swoją kobietę, jak jakiś mormoński patriarcha albo wódz afrykańskiego plemienia - choć w jego wypadku zapewne nie można wykluczyć kulturowych wpływów jego rodziców żyjących tyle lat w Senegalu. Czegoś takiego nie można mieć mu tak całkiem za złe.

Przychodziły jej na myśl złośliwe wyobrażenia. Jaka paskudna musi być Posy nago, z wielkimi sinymi piersiami, ogromnymi fioletowymi sutkami, prawdopodobnie z silnym angielskim zapachem... owiec, ryby z frytkami, sadzy, pociągów, wymiocin, jakie kiedyś poczuła w British Museum, gdy w dzieciństwie zabrano ją do Londynu. Nienawidziła wtedy tych ich zimnych pomieszczeń, flanelowych prześcieradeł, herbaty z fusami, tłustych kotletów, za słodkiej czekolady, brązowych zębów, piskliwych głosów... co oni tak naprawdę mają, *les Anglais*, oprócz Szekspira?

Siadła na stołku przed lustrem i starała się złapać oddech. Widziała, że jakaś kobieta patrzy na nią z niepokojem - to była ta Amerykanka Amy, ubrana w sukienkę koktajlową, która przyszła po chusteczkę higieniczną. Spojrzała na nią zatroskana i spytała:

- Czy wszystko w porządku?

Victoire poderwała się i uśmiechnęła promiennie. Zaczęła szukać w torebce błyszczyku do ust.

Amy, która czuła dotąd większą sympatię do Posy niż Victoire, obdarzyła teraz tę najwyraźniej czymś mocno przygnębioną Francuzkę swoim współczuciem. Lubiła Posy, ponieważ była taka angielska i uroczo chaotyczna, poza tym podziwiała jej gęstwinę kręconych loków. Victoire zaś była nienaganną, nieco onieśmielającą elegancką blondynką, dobrze mówiącą po angielsku, a jej promienne uśmiechy zdradzały jakąś głębszą duchowość. W tej chwili jednak dostrzegła, że Victoire także cierpi, najprawdopodobniej chodziło o śmierć ich ojca. Poczuli się poruszona i żeby ją pocieszyć, dotknęła jej ramienia i wymamrotała słowa współczucia.

- O tak, to takie smutne, biedny papa. Nawet go nie znałam - odezwała się Victoire. - Bardzo smutne. Po prostu mnie to przytłoczyło. Nieważne. Nie chciałam, żeby Rupert i Posy widzieli mnie w tym stanie, to byłoby dla nich jeszcze trudniejsze.

Oczywiście jutro z samego rana wyjadą z hotelu, pomyślała. Emile pojedzie razem z nią, co do tego nie miała wątpliwości. Nie powie nikomu ani słowa o swoich straszliwych przeczuciach. Powie, że muszą wrócić do dzieci. Nie musi już teraz decydować, czy kiedykolwiek jeszcze o tym wspomni.

Amy objęła ją serdecznie. Jakie to smutne, naprawdę, i jacy dzielni są ci wszyscy, którzy muszą żyć dalej. Obserwowała Victoire; wydawała się taka naturalna, opanowała łyżę, pomalowała usta lekkim błyszczkiem, wygładziła brwi i rzęsy malutką szczoteczką, poprawiła włosy i szal, nałożyła odrobinę perfum na skronie, płatki uszu, nadgarstki oraz między czwartym i piątym palcem każdej dłoni, starając się w tym czasie pogodnie omawiać kwestię doskonałego karpia, jakiego podano wczorajszego wieczoru w tutejszej restauracji. Amy starannie zapamiętała wszystkie szczegóły toalety Francuzki.

Kip czekał razem z Harrym przy ich stoliku, kiedy Amy przyszła na kolację. Harry zaczął ostatnio cieszyć się na widok Amy i wyraźnie na nią czekał, sygnalizując radość uderzaniem łyżeczką o tacę przy swoim wysokim krzeselku. Amy, szczerze mówiąc, nie miała ochoty przyznać się przed Kipem, że postanowiła nieco wcześniej wyjechać z Valmeri - z różnych powodów, choć żadnego z nich nie potrafiła wyraźnie nazwać. Madame Chastine powiedziała jej, że mieszkanie, choć oczywiście jeszcze niegotowe, mogło już jej służyć, więc jak Amy sama sobie to wyjaśniała, u podłoża tej nagłej potrzeby wyjazdu do Paryża kryło się między innymi pragnienie, żeby znaleźć się na miejscu i osobiście nadzorować proces urządzania wnętrza oraz podejmowania odpowiednich decyzji. Każdego dnia rozmawiała teraz przez telefon z Geraldine albo z jedną z dekoratorek, Amerykanek o imionach Tammy i Wendi, które pytały o wszystko. Czy odczuwa wyraźną niechęć do jakiegoś koloru, na przykład odcienia błękitu, jaki można znaleźć w Grand Trianon? Do jakiego stopnia pragnie zachować wierność stylowi siedemnastego wieku? Czy myśli raczej o epoce przejściowej, w stronę Ludwika XVI? Niektórzy ludzie uważają, że styl Ludwika XIV jest trochę ponury - co o tym sądzi?

Nie zawsze знаła odpowiedź na te pytania, ale nie chciała, żeby inni za nią decydowali. Chciała osobiście przyjrzeć się różnym wariantom i szczegółowo je omówić. Poza tym nie powiedziała niczego w rodzaju „koszty nie mają znaczenia”, choć te kobiety najwyraźniej skądś wynioskowały, że tak się sprawy mają. Wydatki rosły i pewność, z jaką wydawały jej pieniądze, przekonane, że ona to zaaprobuje, budziła jej

zastrzeżenia. Nie wiedziała, jak o tym powiedzieć madame Chastine, by nie wypaść na osobę nieufną albo krętaczkę. Starając się nie ulegać przesadnym niepokojom, posunęła się jednak do przejrzenia ogłoszeń z działu nieruchomości w „International Herald Tribune”, by zorientować się, ile co może kosztować. Zauważyła, że używano w nich wyrażen, które w Ameryce uchodziłyby za politycznie niepoprawne: „niedaleko kościoła” albo „sklep w zasięgu spaceru” (a nawet „dumb waiter”<sup>\*</sup>). Najwyraźniej świadomość tutejszych mieszkańców nie obejmowała tego, że nie wszyscy chodzą do kościoła, nie wszyscy mogą spacerować i że praca w restauracji nie jest czymś, z czego można sztydzić. Być może są mniej wrażliwi z powodu swoich historycznych zaszczości.

Innym powodem skłaniającym ją, jak sądziła, do wyjazdu, był czuły tembr głosu barona, który powiedział półszepem, gdy wychodziła z koktajlowego przyjęcia:

- Niestety mam dzisiaj proszoną kolację. - Jak gdyby od niego oczekiwała, że będzie zdawał jej sprawę ze swoich zajęć!

Obawiała się uwikłania. Przypomniała sobie o bukicie. Musi jednak powiedzieć Kipowi, że wyjeżdża. Będzie zawiedziony, ale przynajmniej może się pocieszyć tym, że jego siostra dochodzi do zdrowia i wszystko wkrótce wróci do normy. Kip nie przyjął jej słów ze spodziewanym optymizmem. Wydawał się przerażony.

Każdy gość przechodzący po kolacji przez hotelowy hol musiał zauważyć wysokiego łysiejącego Francuza o imponującej postawie, stojącego przy recepcji. Towarzyszyła mu bardzo piękna kobieta w mocno zaawansowanej ciąży, obraz rzadko widywany w ośrodkach narciarskich. Mężczyzna wypełnił niewielkie formularze wiadomości przeznaczonych dla innych gości, które następnie córka państwa Jaffe wetknęła do kilku przegródek. Posy, przechodząc obok, zobaczyła, że w jej przegródce znajduje się nowa wiadomość. Pomyślała z nadzieją, że to od Emile’a, który następnego dnia rankiem miał wyjechać do domu, podobnie jak oni. Jednak na kartce znalazła jedynie suchy tekst:

<sup>\*</sup> Dosł. „durny kelner”; tu idiomatycznie: mała winda towarowa (np. do transportu potraw z kuchni do jadalni).



*M. Antoine de Persand, de la part de Madame Chastine and Madame Crawford Venn, voudrait parler avec Mile. Posy Venn. Téléphonez ch. 40, s'il vous plait.*

Posy poszła od razu odszukać Ruperta, żeby zastanowić się wspólnie, czego może chcieć od niej ten człowiek. Świeżo przybyła para udała się prosto do sali jadalnej, najwyraźniej zachwycona tym, że znaleźli się w śnieżnych Alpach i czeka na nich wspaniała kolacja. Ani na moment nie spuszczała z siebie oczu.

Tego wieczoru po kolacji w miejscowym kościele miało się odbyć uroczyste nabożeństwo przy świecach w intencji ofiar niedawnych lawin. Amy, która wcześniej nie miała takich planów, zmieniła zdanie i poszła razem z innymi, traktując to jako gest współpracy wpływający z lojalności wobec Kipa oraz jej znajomości z Vennami. Mały kościół z malowniczą wieżyczką przebudowano wewnątrz w bardziej nowoczesnym stylu w czasach, gdy wznoszono centrum turystyczne. Na tle ceglanej ściany za ołtarzem, na jasnym drewnianym krzyżu widniała wychudzona postać Chrystusa; do tego gustowne ławy w kolorze wiązki i abstrakcyjne witraże zaprojektowane przez kogoś pozostającego pod wpływem Mondriana. Ludzie wchodzili cicho i siadali w ławach po obu stronach środkowej nawy, w której każdy z nich dostawał do ręki świecę. Amy miała nadzieję, że ktoś da jakiś znak zrozumiały bez względu na narodowość, kiedy należy ją zapalić. Przypuszczała, że to kościół katolicki, pierwszy tego rodzaju, w jakim była w życiu.

W tłumie uczestników nabożeństwa rozpoznała wielu hotelowych gości, którzy przyszli w butach *apres-ski* i ciepłych ubraniach, wnosząc ze sobą zapach wełny i wilgoci. Dostrzegła barona Ottona wraz z żoną. Usiadła daleko za nimi. Weszło rodzeństwo Vennów i wszyscy usiedli w drugiej i trzeciej ławce, za ławą przeznaczoną dla rodzin innych ofiar katastrof. Victoire była razem z Harrym, Kipem i panem Abboudem, za Posy i Rupertem. Amy ucieszyła się, że tym razem nie wykluczali Harry'ego i Kipa, co świadczyło o tym, że w rodzinie Vennów nastąpiła zgoda. Jednak wydawało jej się dziwne, że nie usiedli wszyscy razem.

Czekali dość długo w chłodnym kościele. Najwyraźniej należało pozostać w wierzchnim okryciu, choć Amy zauważyła, że Posy Venn

zrzuciła swoje. W końcu pojawił się jakiś ksiądz w uroczystych szatach, skinął im głową i zaczął mówić poważnym głosem. Mogła sobie wyobrazić jego słowa: modlitwy za dusze zmarłych, dziękczynienia za zachowanie pozostałych przy życiu. Wśród zgromadzonych rozlegały się głosy odpowiedzi, ale z padających nazwisk osób, z powodu których się tutaj zgromadzono, rozpoznała jedynie nazwisko Adriana Venna. Mimo swojego ogólnie negatywnego stosunku do religii (zgodnie z poglądami księcia Kropotkina) i faktu, że nie znała języka, w którym odbywało się nabożeństwo, Amy była poruszona ogólnym nastrojem powagi i na chwilę zagłębiła się w rozmyślenia o ryzyku śmierci. Poczwała wdzięczność, że osobiście uniknęła niebezpieczeństw, na jakie sama nieopatrznie narażała się w górach. Wiedziała, że słusznie postanowiła wcześniej wyjechać i nie kusić dłużej losu. Kiedy nadeszła chwila zapalania świec, Amy, podobnie jak inni niepalący (sami Amerykanie?), musiała zwrócić się o ogień do kogoś siedzącego obok. Paul-Louis wyciągnął w jej stronę rękę z zapaloną zapalniczką.

- Pay, pay, pay\* - mówili ludzie wokół. Osobliwa litania, ale nie taka nierealistyczna, jeśli zważyć na towarzyszące życiu poczucie winy i powinności.

- Pokój - rzekł Paul-Louis.

Och. *Paix, paix, paix*. Zawstydziała się, że zrozumiała słowo *paix* jako „pay”.

- Nie byłaś jeszcze u mnie - powiedział do niej, kiedy wychodzili z kościoła. - Jesteś może teraz wolna?

Amy westchnęła. Poczwała lekką pokusę, ale było za późno. Dlaczego czekał z tym tak długo?

- Dzisiaj muszę wrócić do hotelu - odpada. - O dziesiątej mam telefon z mojego biura. Ale wcześniej możemy pójść na drinka. Ja stawiam! - Po czym, nie chcąc wykluczać z góry wszelkich przyszłych możliwości, dotknęła jego ramienia i dodała: - Będę często przyjeżdżać do Valmeri.

W jasno oświetlonym przedsionku Amy, która miała na sobie kurtkę od swojego kostiumu narciarskiego, poczuła się jak w aureoli

\* *Ang. pay - płać.*

srebrzystego światła. Wszyscy musieli zauważyć, że w tym *lumiere* lśniła niczym jakaś zjawa w zbroi. Rozglądając się wokół, żeby sprawdzić, czy baron Otto zauważył, że wychodzi z Paulem-Louisem, zobaczyła wyraz zaskoczenia na jego twarzy. Najwyraźniej przypomniał sobie - a tylko on o tym wiedział - że jeździła na nartach tamtego popołudnia, gdy zeszła lawina.

A potem madame Chatigny-Dove wypowiedziała to na głos:

- Doprawdy, mademoiselle, sama mogłaby być pani Jeanne.

Amy w tym samym momencie poczuła, że to prawda. Czuła, że wszyscy na nią patrzą, słyszała szmer głosów, które wzięła za wyraz szoku, a nawet - czy sobie to tylko wyobrażała? - potępienia. W uszach rozbrzmiewał jej gniew Europejczyków zwrócony przeciwko niej, Amy Hawkins. Przywarła do Paula-Louisa i uciekła.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, próbowała się uspokoić i uporządkować myśli. Nie miała wątpliwości, że powinna wyjechać z Valmeri, choć wiedziała, że wyjazd do Paryża byłby odrobinę przedwczesny. W ciągu tych kilku dni zdążyła już się zorientować, że trzeba się nauczyć nic nie robić; to była cenna umiejętność i jazda na nartach stanowiła właśnie rodzaj leniwego sposobu spędzania wolnego czasu, jakiego jeszcze nie opanowała. W Paryżu postanowiła poświęcić więcej czasu na lektury.

Oczywiście ten okres nieróbstwa kiedyś się skończy. Będzie miała swoją fundację, swoją pracę nad propagowaniem idei wzajemnej pomocy. Ale spędzając na razie czas tutaj w Europie i ucząc się tego i owego, mogła nauczyć się trochę więcej. Na pewno francuskiego oraz niemieckiego metodą Crackesa, z nauczycielem, gdyż zorientowała się już, że gdy człowiek uczy się sam, często opuszcza lekcje. A może powinna także wziąć lekcje dykcji lub panowania nad głosem? Odnotowała kilkakrotnie wzmianki na temat głosów amerykańskich kobiet i odkąd sama zaczęła zwracać na to większą uwagę, zrozumiała, co ludzie mają na myśli. Nie miała pojęcia, czy sama mówi tym ostrym, trochę za głośnym tonem. Co nie znaczy wcale, że wysokie, nienaturalne, śpiewne głosy Europejek brzmią jakoś wspaniale; zazwyczaj budziły jej irytację, choć madame Chatigny-Dove miała w głosie interesujący seksowny tembr.

W ulubionym barze Paula-Louisa Les Neiges powiedziała mu, że będzie musiała odwołać swój *abonnement* na następny tydzień.

- *Mais*, Amy, właśnie zaczynałaś dochodzić do formy - powiedział zawiedziony.

Amy zapewniła go, że będzie często przyjeżdżała do Valmeri i wczasu wyśle mu e-mail. Był naprawdę cudowny. Nie mogła przy okazji nie zadać mu pytania, dlaczego dopiero teraz zaproponował jej wizytę u siebie.

- Bardzo mi się podobasz, Amy... - odpad.

- Tym gorzej że - hm - nie dałeś nic po sobie poznać. - Uśmiechnęła się z żalem. - Czemu tego nie zrobiłeś?

- Mogę być z tobą szczerzy?

- Tak, chciałabym wiedzieć. Jeszcze nikt nie odrzucił moich najbardziej otwartych zalotów. Prawie nikt.

- Nie wiedziałem, że wyjeżdżasz tak szybko.

- Tak, ale?

- Cóż, rozmawiamy ze sobą... to znaczy instruktorzy narciarscy, opowiadamy sobie różne rzeczy i oni wszyscy mówią, że lepiej nie pieprzyć się z amerykańskimi dziewczynami, ponieważ one zaraz myślą, że chcesz się z nimi ożenić.

Amy roześmiała się. Czy to może być prawda? Brzmiało jak jakieś wielkie międzynarodowe nieporozumienie, ale skąd mogło się wziąć?

Podczas cowieczornej pogawędki z Sigrid Amy opowiedziała jej o zamieszaniu wokół Joanny d'Arc i o srebrzystym połysku swojego kosztownego szarego *combinaison* Boegnera.

- Czy to mogłam być ja? Ale to niemożliwe. Chyba wiedziałabym, że tam jest jakaś lawina. Lawiny są strasznie głośne; pokazują je w nieskończoność w telewizji. Tego dnia niczego nie słyszałam, było cicho jak w grobie.

- Amy - powiedziała Sigrid głosem bardzo poważnym - nie mów o tym nikomu. Obiecay mi. To niezwykle ważne. Rozumiesz co mówię? Ani słowa.

Amy rozumiała. Czasami zapominała o tym, jak bardzo zmieniała się jej sytuacja i jak łakomym stała się teraz kąskiem dla różnych oskarżeń.

## ROZDZIAŁ 30

W szpitalu pojawili się przedstawiciele alpejskich służb ratowniczych i zachęcali Kerry, żeby spróbowała jeszcze sobie coś przypomnieć. Pomogłoby to im ustalić, czy przypadkiem pod śniegiem w miejscu wypadku nie leży ktoś jeszcze, na przykład kobieta, którą Kerry widziała wtedy na zboczu, albo coś, co wyjaśniałoby jej wizję. Wstępnie doszli do wniosku, że lawina rozpoczęła się gdzieś między Venami a postacią znajdującą się powyżej nich i zamierzali zabrać na miejsce katastrofy psy oraz sonar, żeby poszukać jeszcze jednej ewentualnej ofiary.

Emile, zafascynowany zamieszaniem wokół świętej, zaczął rozmawiać z mieszkańcami doliny, przedstawicielami kleru i psychiatrami, zaciągając ich ze sobą przed kamery stacji telewizyjnych. Omawiał teraz owoce własnych dociekań z innymi ekspertami i dziennikarzami, którzy włączali magnetofony, ilekroć Kerry zaczynała mówić.

- Wskazała w naszą stronę włócznią, zwłaszcza na mojego męża, a potem usłyszeliśmy niski dźwięk, jakby łoskot, i coś zaczęło poruszać się w naszą stronę.

Opowieść Kerry nabierała szczegółów, w miarę jak rozmówcy prosili ją, żeby sobie jeszcze coś przypomniała. Emile'a zaintrygowały te coraz bardziej rozbudowane wersje, zwłaszcza to, do jakiego stopnia najwyraźniej obejmowały treści zawarte w pytaniach zadawanych nieszczęsnej kobiecie. Odrzucił przypuszczenie, że Kerry po prostu świadomie manipuluje dla swoich celów całą sytuacją i doszedł do wniosku, że jej mózg pod wpływem śpiączki znalazł się w stanie, w którym wszystko, co jej zasugerowano, stawało się elementem jej

wspomnień. Dzięki temu zarówno „Paris Match”, jak i „L'Express” odkrywały w jej wypowiedziach coraz to nowe informacje wskazujące niezbicie, że chodziło o Joannę d'Arc, zwłaszcza detale dotyczące zbroi. Kiedy spytano Kerry, czy znajdowała się na tyle blisko opisywanej przez nią postaci, by mogła dostrzec na jej zbroi jakieś świadectwa obrażeń znane z historycznych przekazów na temat świętej, powiedziała:

- Byłam dość daleko, ale wydaje mi się, że widziałam coś takiego, jakiś znak ponad piersią.

Triumfalne spojrzenia dziennikarzy: powszechnie wiadomo, że Joanna odniosła ranę klatki piersiowej. Logo sprzętu sportowego, pomyślał Emile.

- Tak, rzeczywiście wierzę w to, że człowiek znajdujący się na progu śmierci może doświadczać pewnych spostrzeżeń, które są prawdziwe, nawet jeśli nie można ich nigdy powtórzyć. Sama wizja blaknie, kiedy odzyskuje się świadomość, ale pamięć, że coś się widziało, pozostaje bardzo wyraźna. To wyjaśnia, dlaczego ludzie tak rozpaczliwie usiłują odtworzyć albo uchwycić ten moment jasnej wizji... - mówiła Kerry dla „L'Express”.

Kerry z samego rana powiedziała Rupertowi, że zmieniła zdanie i ustąpi w sprawie pogrzebu ojca. Nadal jest przekonana, że nie powinien pozostać w Anglii, ale teraz, gdy sama może już myśleć wyraźniej, przyznaje, że trzeba coś zrobić, a przecież ona nie jest w stanie nic uczynić. Poprosiła Ruperta, aby zawiadomił pana Osworthy'ego, że nie sprzeciwia się już kremacji w Anglii. Prochy należy następnie przywieźć do niej, do Francji, gdzie je pochowa albo będzie przechowywała, albo rozsiej.

- W końcu święta Joanna też została spalona - powiedziała dość zagadkowo i raczej, w opinii Ruperta, niezbyt stosownie. - Harry i tak jest za mały, żeby cokolwiek pamiętał - dodała.

Kiedy wreszcie rozstrzygnięto tę ostatnią sprawę, Posy i Rupert mogli nareszcie wyruszyć do Anglii, gdzie mieli reprezentować Kerry, i oczywiście siebie samych, podczas uroczystości - czy kremacja

jest rytuałem? ceremonią? Posy nie wiedziała, jak to opisać. Jedno z nich będzie musiało następnie przywieźć popioły z powrotem. Panu Osworthy'emu, sądząc po brzmieniu jego głosu przez telefon, wyraźnie ulżyło. Niewątpliwie znajdował się pod presją szpitala, żeby jak najszybciej zabrać ciało ojca z kostnicy szpitala Brompton, nalegał więc, aby się pospieszyli.

Posy pomyślała, że to może lepiej, że już wyjeżdżają. Walczyła nie tylko z nieznośną tęsknotą i żalem, ale także z wyrzutami sumienia. Starła się ich nie czuć, ilekroć znajdowała się w towarzystwie Victoire - przyjmowały wtedy postać wstydu, że zdradziła swoją piękną nową siostrę. W towarzystwie Emile'a przyjmowały postać pożądania oraz poczucia, że i tak nie ma dla niej żadnej nadziei. Wystarczyłoby jej, gdyby mogła go czasami widywać... gdyby kiedyś, w przyszłości, miała szczęście i mogła jeździć do Paryża na koszt Rahni Boutique. Jeszcze nigdy za nikim tak strasznie nie tęskniła jak teraz za Emile'em; ta tęsknota trzymała się jej jak jakaś wysypka.

Przed wyjazdem, zaplanowanym na popołudnie, mieli spotkać się na krótką rozmowę z monsieur de Persandem. Victoire wiedziała o nim tyle, że jest przyjacielem jej rodziców i przypuszczalnie matka poprosiła go o udzielenie jakiejś rady w sprawie przysługujących im praw - jej, Harry'emu, Posy i Rupertowi - w sytuacji, gdy papa zmarł w Anglii, gdzie wszystko wygląda zupełnie inaczej. Zaproponował spotkanie o jedenastej w jadalni.

Rupert postanowił, że najpierw pójdzie na narty. Z całą pewnością to był jego ostatni dzień na Bóg raczy wiedzieć jak długo. Schylając się nad swoimi nartami na skraju ścieżki wiodącej z hotelu do wyciągu, zobaczył Robina Crumleya, który ze swoimi przyjaciółmi, księciem i księżną Jakimiśtam, wsiadał właśnie do taksówki. Portier łądował do bagażnika ich walizki. Po chwili z hotelu wyszła Amy w towarzystwie Kipa i kiedy zaczęli przypinać swoje deski, dostrzegł ją Crumley i gwałtownie pomachał.

- Amy, Amy, *a bientôt a Paris! A bientôt!* - zawołał.

Posłała mu swój uroczy uśmiech z dołeczkami i uniosła rękę w rekawiczce. Nadal machał do niej przez tylną szybę taksówki, która odwoziła ich na stację. Rupert także mu pomachał.

Wrócił wpół do jedenastej i na dobre oddał narty. Persand siedział przy stoliku na cztery osoby w opustoszałej jadalni. Co ciekawe, kobieta towarzysząca mu podczas kolacji poprzedniego wieczoru - sądzili, że to madame de Persand - siedziała przy innym stoliku, czytając „International Herald Tribune” i nie przywitała się z nimi. Może z powodu ciąży nie miała ochoty zadawać się z nieznanymi przed lunchem, a może chodziło o to, że spotkanie miało być dyskretne i dotyczyło prywatnej kwestii testamentu ojca. Tym razem nie było z nimi Kipa i Harry'ego. A także, naturalnie, nie było Kerry.

Zamówiwszy dla nich kawę i croissanty, monsieur de Persand wygłosił krótką przemowę.

- Madame Chastine i madame Crawford Venn - tej ostatniej nie miałem okazji poznać - zaproponowały, abym wyjaśnił państwu pewne szczegóły związane z procedurą, jaka następuje po śmierci kogoś, kto posiada majątek we Francji. *Notaire* pana Venna w miasteczku Saint-Gond polecił już, aby opieczętowano *chateau* z myślą o przeprowadzeniu tam inwentaryzacji. To właśnie dzieje się w tej chwili. Ponieważ madame Venn obecnie nie przebywa w *chateau*, jest to normalny środek zapobiegawczy, zawsze istnieje bowiem niebezpieczeństwo włamania albo płądrowania na odległej prowincji.

Nie musiał dodawać, że „chodzi o to, aby nikt z was niczego sobie ze wzięł przy okazji”, ale Posy i Rupert tak właśnie zrozumieli jego wyjaśnienia. Victoire poruszyła się nerwowo i zacisnęła usta w typowo galijski sposób, lekko obrażona.

Ponieważ nie mieli zamiaru płądrować *chateau* i nie wiedzieli, w jaki sposób to wszystko miałyby mieć z nimi coś wspólnego, skinęli jedynie głowami, lekko zdumieni. Wydawało się, że to byłaby dość przykra sytuacja dla Kerry, gdyby zamierzała wrócić do domu i przekonała się, że jest zapieczętowany. Rupert zwrócił uwagę na ten punkt, ale Persand wzruszył ramionami.

- Razem z *notaire*, maitre Lepage'em, napisałem już do trybunału Conseil d'Etat z prośbą o wszczęcie niezbędnej procedury spadkowej. Będą podatki do zapłacenia i to jest dla państwa najpoważniejszy problem.



Tylko Victoire zaniepokojona zmarszczyła brwi. Posy i Rupert, przekonani, że to ich nie dotyczy, poczuli lekką satysfakcję, że to jednak Kerry będzie musiała zapłacić podatki, a nie oni.

- A zatem mamy do czynienia ze znacznym majątkiem - ktoś mógłby powiedzieć: kłopotliwym majątkiem - w sytuacji, gdy po równo dziedziczy kilku spadkobierców. Będą musieli państwo się zastanowić, czy chcą go sprzedać, a jeśli nie, to w jaki sposób zamierzają państwo go utrzymać i komu powierzyć odpowiedzialność prawną. Nie wiem jeszcze, czy madame Venn - obecnej madame Venn - przysługuje *usu-fruit*, to znaczy czy ma prawo pozostać w posiadłości do końca swoich dni. Jeśli nie znajdzie się francuski testament, rzecz wcale nie musi być taka oczywista. Naturalnie niemowlę będzie miało udział w spadku razem z państwem i żaden sąd - ani nikt z państwa, jak myślę - nie odmówi jej prawa do pozostania w posiadłości w celu opieki nad dzieckiem. Jednak w wypadku sprzedaży... Jak państwo widzą, są tutaj sprawy, które trzeba będzie rozstrzygnąć. Słyszałem, że w grę wchodzi także komercyjne wydawnictwo? Kto będzie nim kierował?

- Chwileczkę - odezwał się Rupert. - Nie bardzo rozumiem.

- Chodzi o to, że jedni spadkobiercy będą chcieli sprzedać posiadłość, drudzy woleliby ją zatrzymać, inni będą chcieli wykupić pozostałych i tak dalej. Najgorsze, co może się zdarzyć w tej sytuacji, to wrogość i spory. Szczerze doradzam, aby działali państwo jak najbardziej zgodnie i *amicales*, jak to tylko możliwe.

- Ale ojciec nie pozostawił nam swojego *chateau* - powiedziała Posy. - To oczywiste.

- *Chateau* znajduje się we Francji, a tym samym podlega prawom francuskim, mademoiselle. To jest zupełnie oczywiste. O losie francuskiej posiadłości przesądzą prawa obowiązujące we Francji. - Po czym zaczął wyjaśniać niektóre z postanowień francuskiego prawodawstwa, delikatnie zwracając ich uwagę na kwestię, do której odnosi się francuskie prawo zatytułowane pierwotnie „Loi de 12 Brumaire, An II”, z roku 1793, choć później uzupełniane, na mocy którego córka nieślubna także bierze udział w podziale majątku.

Innymi słowy, francuski majątek ich ojca przechodzi na jego dzieci. Zamilkli ze zdumienia - na jego dzieci, a więc na nich. Poprosili

Persanda, żeby jeszcze raz im to powtórzył i wyjaśnił. Ten zdumiewający obrót fortuny albo zatruty podarunek, czymkolwiek miało się to okazać, zaskoczył ich tak kompletnie, że w pierwszej chwili wszyscy osłupieli.

- O mój Boże, mój Boże - zajęczała Posy. - A więc to prawda? Jesteśmy bogaci?

- Bogaci? - powtórzył ostrożnie pan de Persand. - Tak bym tego nie nazwał. Same podatki będą ogromne. Ale będziemy więcej wiedzieli na ten temat po konsultacjach z przedstawicielami angielskich służb skarbowych.

Słyszac te słowa, Rupert, mimo całego smutku wywołanego śmiercią ojca, pojął nagle, jak ogromny dar otrzymał właśnie od losu. Oprócz *chateau* odziedziczył powołanie! Przejmie wydawnictwo ojca! Ten akt synowskiej miłości rozwiąże wszystkie jego życiowe problemy. Zawsze zdradzał upodobanie do książek, a dzięki swojemu świeżo zdobytemu doświadczeniu w świecie finansów, nawet jeśli nie było zbyt rozległe, zyskał poczucie oswojenia się z interesami, a przynajmniej przekonanie, że mógłby się nauczyć zawodu wydawcy. Nawiązałby współpracę z Delamerem, który zajmowałby się innymi aspektami skromnego imperium stworzonego, jak się okazało, przez ojca. To wszystko miało głęboki sens. Poczul ulgę i przypływ miłości do ojca.

Im więcej Rupert o tym myślał, tym bardziej podobała mu się wizja życia wydawcy - była fascynująca. Wyobrażał już sobie przyszłe życie, mieszkanie na południu Francji, w rejonie praktycznie zarezerwowanym dla Anglików. Jedyne problem mogła stanowić Kerry, która przypuszczalnie sama wolałaby kierować wydawnictwem, i naturalnie miała do tego większe prawo. Nie miał pojęcia, czego chciała Kerry, jakie były jej nadzieje i upodobania, lecz nie sądził, by Amerykanów pociągały tego rodzaju niepewne humanistyczne przedsięwzięcia. Ale i tak, niezależnie od tego, jakie były ich moralne zobowiązania, to oni, nie Kerry, mieli odziedziczyć wszystko i decydować. Zdumiewający obrót fortuny sprawił, że zaczął z niekłamanym podziwem myśleć o Francji. W tym momencie Victoire powiedziała:

- *Bien sur!* Tak będzie najlepiej. Jeśli o mnie chodzi, nie mam wątpliwości, że wykazemy się wszyscy wzorową współpracą.

Po czym oddaliła się szybko po zakończeniu rozmowy, niemal się nimi nie żegnając, do tego stopnia chłodna, że jakakolwiek współpraca wydawała się mało prawdopodobna.

- Zapieczętowane? Nie może nawet zamieszkać w swoim domu?  
- powiedział nieco później przez telefon pan Osworthy, wyraźnie zmartwiony losem Kerry. - Francuzi traktują wdowy przerażająco, to praktycznie sati.

Nie dał po sobie poznać, czy w jakiegokolwiek mierze ucieszył się ze względu na Posy i Ruperta.

Rupert był zachwycony, ale jego siostra po rozmowie z monsieur de Persandem poszła do siebie, żeby sobie popłakać, czując zarazem ogromny smutek i ulgę. Przez całą rozmowę zbierało jej się na płacz, dokuczał jej ucisk u nasady nosa, aż rozbolała ją głowa. Wiedziała, że zaraz się rozpłacze i będzie płakać przez cały tydzień, ale kiedy doszła do swojego pokoju, nic takiego się nie stało. Ogarnęło ją dławiące poczucie beznadziei; tragiczna śmierć ojca, głupota życia, kompletna ruina jej własnego życia, nagły dar w postaci *chateau* - rosnące napięcie w zatokach i z tyłu głowy przyprawiało ją o nieznośny ból, który jednak nie chciał się rozpuścić we łzach.

Jakie to dziwne, żeby angielska dziewczyna została uratowana przez mądrość Napoleona - jeśli to rzeczywiście chodziło o Napoleona, po Hitlerze najgorszego z tyranów, jacy usiłowali podbić ich świętą wyspę. Poleżała chwilę na łóżku, wstała, położyła sobie na czoło mokry ręcznik, z którego ciekło do uszu, wzięła kąpiel i dopiero wtedy, kiedy jej łzy, jak gdyby pod wpływem sugestii, zaczęły stapiać się z szumem wody z kranu, rozpłakała się, ogarnięta jednakowo smutkiem i radością. Postanowiła, że zostanie w pokoju aż do chwili odjazdu, żeby uniknąć jakichkolwiek spotkań, zwłaszcza z Emile'em. Kiedy Rupert zadzwonił do niej o czwartej, powiedziała, że źle się czuje i leży w łóżku. Nie była chora, była tylko rozbita.

- Chora? Ale musimy jechać.

-Wiem.

- Więc kiedy będziesz gotowa?
- Pojadę pociągiem.
- Nie, nie. Zaczekam, aż poczujesz się lepiej.

Zorientowała się, że nie ma sensu opóźniać tego, co nieuchronne.

- Będę gotowa o piątej.
- Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebowała - powiedział. - Możemy porozmawiać w samochodzie. Właściwie o co chodzi?
- Nie wiem - odpada.

Ale wiedziała dobrze - to była beznadzieja życia. Biedny ojciec nie żyje, odszedł w stanie duchowej nierównowagi, ponieważ zmarł poróżniony ze swoją córką. Biedny Emile, który nigdy nie dowie się, jak namiętnym oddaniem mogłaby go obdarzyć; i biedna Posy, sama na zawsze, skazana na udrękę siostrzanych wizyt, gdy będzie musiała go widywać, spotykać jego żonę, jego dzieci... Zaczęły jej przychodzić do głowy inne scenariusze. Na przykład śmierć Emile'a w jakiejś imponującej lawinie lub w wypadku drogowym i słodka Francuzka Victoire odbierająca jego martwe ciało... Gwałtowne fantazje napływały same, nieproszone, ale usiłowała stawiać im opór i nie czerpać z nich radości.

Biedny Osworthy, spodziewając się, że Posy i Rupert wrócą do Londynu późnym wieczorem, rozmyślał nad nieuchronną eksplozją. Niestety to właśnie on będzie musiał powiedzieć Posy Venn, w jaki sposób ojciec potraktował ją w swoim testamencie. Adrian umieścił w nim pewien kodycyl, którego on osobiście nie nadzorował i z pewnością doradzałyby, aby z niego zrezygnować. Tak, zdecydowanie sprzeciwiał się zemście zza grobu i aż za często widywał sytuacje, w których nawet ci, którzy je tam umieścili, szczerze żalowali dodatkowych zapisów wprowadzonych pod wpływem nastroju chwili. Venn zrobił źle. Kapryśny ojciec, zamiast pamiętać o swoich pierworodnych dzieciach, myślał tylko o zemście, a raczej o własnej urazie, czymś żalnym, czego zawsze należy się wystrzegać. Ostatecznie to przecież nie byli lordowie, nie chodziło o przekazanie nazwiska. Wielokrotnie zdarzało się, że dziewczyna była inteligentniejsza i bardziej zasługiwała na lepsze potraktowanie niż brat - może akurat nie w tym wypadku,

ale czasami tak się zdarza. Na szczęście angielskie dziewczęta muszą być przygotowane na to, że dostają mniej niż ich bracia. W końcu to zupełnie naturalne, nawet jeśli niesprawiedliwe.

Amy razem z Kipem zrobili sobie szybki przejazd do Meribel i z powrotem. Amy jechała na nartach, Kip śmigał przed nią albo wokół niej na desce. Podczas postojów lub na wyciągu omawiali niedawne wydarzenia. Odkąd podjęła decyzję o wyjeździe z Valmeri, miała wrażenie, że narty stały się lżejsze, a skręty przychodzą jej z niezwykłą łatwością. Wiedziała, że musi powiedzieć Kipowi o swoich planach wyjazdu, co stanowiło niezbyt radosną perspektywę. Usłyszawszy o jej zamiarach, Kip po pierwszym szoku odzyskał równowagę i spokój. Nie miał pojęcia, co teraz z nim będzie, ale wierzył, że skoro Kerry poczuła się lepiej, może wszystko się jakoś ułożyć.

Przysłuchując się jego słowom, Amy zaczęła uświadamiać sobie jego obawy. Kiedy Kerry się obudziła, szalenie się ucieszył i poczuł ogromną ulgę, ale wkrótce ponownie zalała go fala niepewności. Powinien wrócić do szkoły w Kalifornii, ale nikt nie wspominał słowem o jego biletach lotniczych ani o tym, kiedy będzie mógł pojechać. Nikt nie proponował, że zajmie się przyszłością Harry'ego. Było oczywiste, że Kerry nie jest gotowa, żeby wrócić do domu - nie mogła jeszcze nawet chodzić i lekarze rozpoznawali w jej ciele kolejne urazy albo uszkodzone organy. Poza tym nie miała nawet prawa wejść do własnego domu. Kip powiedział Amy, że zgodnie z nowym planem zaproponowanym tego ranka przez lekarzy Kerry miała pojechać do Paryża do kliniki dla rekonwalescentów. Ale jemu nikt nie powiedział, co ma ze sobą zrobić. Nie znosił tego, że ciągle uskarża się Amy na swój los, lecz ona zawsze miała jakieś dobre pomysły.

Powiedziała, że zastanowi się nad tym. Spytała go, co sądzi o tej dziwnej francuskiej historii, o tej wierze w Joannę d'Arc. Kerry tak naprawdę nigdy nie mówiła, że widziała wtedy tę świętą, ale teraz przypisywano jej takie słowa. Amy i Kip zastanawiali się nad różnymi możliwościami.

- Poza tym wydaje mi się, że to ja wywołałem lawinę - powiedział nagle Kip z głębokim przekonaniem. - To niewykлучzone. Jeździłem

tam na górze, ponad nimi, na desce. Przymuszczałnie właśnie ją zobaczyła Kerry, jest trochę lśniąco zielona od dołu, kiedy się ją podnosi. Byłem wtedy razem z nimi, kiedy powiedzieli, że chcieliby zjeść lunch w Arbre de Pin, a ja zaproponowałem, że wrócę do pokoju i zajmę się Harrym. Pojechałem wyciągiem na górę, żeby móc zjechać na dół do hotelu, i wtedy przejeżdżałem szlakiem snowboardowym, który biegnie właśnie tamtędy.

- To nie mogłeś być ty. A co z włócznią? - spytała. - To był ktoś z kijkami narciarskimi.

- Ale robiłem mnóstwo hałasu. Krzyczałem i wrzeszczałem. To mogło spowodować lawinę.

Amy nienawidziła samej siebie za to, że poczuła ulgę na myśl o innych możliwościach spowodowania lawiny. Poza tym pozostawała ewentualność, że ta Joanna d'Arc, kimkolwiek naprawdę była, została porwana przez lawinę i leżała teraz zamarznięta pod śniegiem.

- Prawdę mówiąc, równie dobrze to mogłam być ja, w srebrnoszarym kombinezonie, wymachująca kijkiem - zapewniła go Amy.

Wracając do hotelu na lunch, natknęli się na francuskiego prawnika, który wedle słów Kipa przyjechał z jakąś misją dotyczącą Harry'ego. Wychodził właśnie z piękną kobietą w ciąży i Emile'em Abboudem; wszyscy troje nieśli rakiety śnieżne. Amy szybko wyjaśniła swoją rolę jako przyjaciółki Kipa i niemal jego prawniczki, i wspomniała o swoich niepokojach dotyczących Kipa, jego szkoły oraz decyzji, jakie trzeba podjąć w tej sprawie. Oboje z Kipem ze zdumieniem dowiedzieli się z wyniosłych i skąpych odpowiedzi monsieur de Persanda, że od wczoraj, kiedy to Kerry i Harry byli głównymi spadkobiercami fortuny Venna, sytuacja radykalnie się zmieniła. Dzisiaj Kerry nie miała żadnych praw do tego, by przebywać w *chateau*, a małym sierotą Harrym najwyraźniej nikt się nie przejmował, choć oczywiście będzie dziedziczył razem ze swoimi przyrodnimi siostrami i bratem. Ten nowy człowiek ewidentnie nie zamierzał zająć się zorganizowaniem opiekunki dla dziecka w Paryżu ani powiedzieć, jakie mają być losy Kipa. Sprawy Kipa wydawały się całkowicie poza sferą jego zainteresowań.

- Jeśli Harry ma swój udział w spadku, czy nie można w jakiś sposób wyasygnować z góry trochę pieniędzy na jego utrzymanie?

- To są kwestie, które należy omówić z *notaire* - odpad Persand. - To na nim będzie spoczywał obowiązek zajęcia się praktyczną stroną zagadnienia.

- Kto nim jest?

- Naprawdę nie rozumiem, czemu się pani tym wszystkim interesuje, madame.

Amy była u kresu cierpliwości.

- Kip jest czternastoletnim chłopcem, który całkowicie zależy od swojej siostry. Myślę, że to przerażające, w jaki sposób wszyscy go tutaj traktują.

- Niestety te praktyczne szczegóły nie są przedmiotem moich zainteresowań - oświadczył monsieur de Persand. - Rozumiem, że siostra Kipa czuje się lepiej i będzie mogła sama zdecydować, co pragnie zrobić. Nie reprezentuję tu rodziny, jedynie nieformalnie służę radą jako przyjaciel matki madame Abboud.

Amy zaczęła się na serio zastanawiać, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Geraldine, ale zrozumiała znaczenie tonu de Persanda. Nie ulegało wątpliwości, że Kip powinien zostać w Europie, dopóki Kerry nie wyzdrowieje. Może znajdzie się jakaś szkoła, do której mógłby chodzić w Paryżu; najlepiej położona niedaleko miejsca, gdzie Kerry będzie wracać do zdrowia. Pomysł miał swoje dobre strony - na pewno Kipowi nie zaszkodzi kontakt z francuską edukacją. Może powinna wynająć nauczyciela dla siebie i dla Kipa. Nie rozumiała, czemu wszyscy są tacy obojętni w sprawie Harry'ego i biednego, dzielnego Kipa.

Jednak niewdzięczny Kip najwyraźniej nie był zadowolony z jej rozmowy z monsieur de Persandem.

- Po prostu myślisz o mnie jak o czternastoletnim chłopcu, tak? - zapytał ją, kiedy weszli do środka.

- W porządku, masz prawie piętnaście lat i nigdy nie będę jeździła na nartach tak dobrze jak ty. Szanuję cię, OK? - Starła się mówić żartobliwie, ale nagle uświadomiła sobie, jak bardzo naładowane emocjami były jego słowa.

Podczas telefonicznej rozmowy z panem Osworthym opowiedziała mu o nabożeństwie, po czym wróciła do sprawy Kerry, która nie może teraz wrócić do *chateau*. Osworthy potwierdził, że to prawda. Był wściekły.

- Zapieczętowany, robią spis inwentarza. To pod wpływem nalegań obu matek, Pam Venn i madame Chastine, które działają w interesie swoich dzieci.

- O tak, znam madame Chastine - powiedziała Amy, wciąż zdumiona, jak bardzo wszystko się ze sobą wiąże w Starym Świecie, zupełnie inaczej niż w Kalifornii.

Amy pomyślała, że wspólna kolacja z Abboudami może się przysłużyć rozwijaniu związków międzyludzkich. Posy i Rupert pojechali już do Londynu, pozostali mieli wyjechać nazajutrz. Tego ostatniego wieczoru miała więc jedyną szansę nawiązania jakichś kontaktów między Abboudami a Kipem i Harrym. Może Abboudowie poczują się odpowiedzialni za dalsze losy Kipa i zaproszą go do siebie w Paryżu, a przynajmniej uznają istnienie rodzinnej więzi między Victoire a Harrym. Amy robiła to dla dobra Kipa, ponieważ w innym wypadku na pewno nie chciałaby przebywać w towarzystwie niemiłego pana Abbouda; dobrze przynajmniej, że jego żona była uroczą i śliczną. Jak mogła, choć przez chwilę, mieć sobie za złe, że wdała się w niefortunną przygodę z baronem pod wpływem zainteresowania tą próżną osobowością telewizyjną?

Abboudowie przyjęli jej zaproszenie i spotkali się z nią w barze o ósmej trzydzieści, elegancko ubrani. Wcześniej nie widziała ich razem, jednak musiała przyznać, że stanowili niezwykle malowniczą parę, ona jasna i anielska, on ciemny dla kontrastu. W ich towarzystwie Amy poczuła się niemal nieswojo, z trudem opanowała natrętne pragnienie, żeby wyobrazić sobie, jak wyglądają razem w łóżku. Przez chwilę siedzieli razem z Harrym i Kipem, który jadł precle i oliwki; po czym mademoiselle Walther zabrała Harry'ego, a oni poszli na kolację.

Tego wieczoru miał dołączyć do nich także Joe Daggart. Amy zaczęła się obawiać, że może to być niefortunne połączenie gości przy kolacji: sztywni paryżanie, amerykański nastolatek, tajemniczy Joe i ona. Chciała jednak konsekwentnie wytrwać w swoim postanowieniu,



pamiętając o konieczności kontaktowania ludzi ze sobą. Jeśli jej plany się powiodą, biedny Kip będzie potrzebował znajomych w Paryżu. Po drugiej stronie sali dostrzegła niesympatycznego paryskiego prawnika i jego żonę w ciąży, przypuszczalnie cieszących się ostatnimi chwilami beztroski, zanim przytłoczą ich obowiązki rodzicielstwa.

Joe Daggart, który czekał już przy stole, podniósł się, kiedy weszli do jadalni. Wyglądało na to, że zna Emile'a.

- Czy mogę przedstawić moją żonę, Victoire? Joe Daggart - powiedział Emile. - Dziś po południu Daggart opowiadał nam o śledztwie w sprawie lawiny.

- Jednak samoloty? - spytała Amy z nadzieją, że tak właśnie było.

- Ale nie amerykańskie - powiedział Daggart. - Sądźmy, że samoloty, jakie ludzie rzekomo słyszeli, to francuskie albo angielskie maszyny budowane w ramach wspólnego projektu SST, ale Francuzi nie chcą tego potwierdzić. SST nie powinny przelatywać nad terenami lądowymi. Pozostaje jeszcze do zbadania, czy jakiś samolot może w ogóle wywołać lawinę. Na pewno mógłby to zrobić odgłos przekraczania bariery dźwięku, ale nikt niczego takiego nie słyszał, a narciarze sami powodują więcej lawin niż samoloty. Szczerze mówiąc, myślę, że teoria z samolotami to bujda.

- Jeszcze jeden wygodny sposób, żeby winić o wszystko USA - zgodziła się z nim Amy. Usiłowała sobie przypomnieć, czy widziała albo słyszała jakieś samoloty tego feralnego popołudnia. Ale wtedy padało. Jak ludzie mogli cokolwiek zobaczyć?

- Myślę, że najlepsza teoria, jaką dotąd wysunięto, to przypuszczenie francuskich górskich służb ratunkowych, że Vennowie sami spowodowali lawinę. W chwili wypadku znajdowali się tuż pod nawisem na stromym zboczu, które pokonywali trawersem, zamiast zgodnie z linią spadku. Sami prosili się o lawinę.

- *Desolee*, musimy jutro z samego rana wracać do Paryża i zostawić to wszystko - powiedziała nagle Victoire. - *Maman* mówi, że powinniśmy... dzieci...

Emile popatrzył na nią z wyraźnym zaskoczeniem, jak gdyby usłyszał o tych planach po raz pierwszy. Kiedy Amy starała się później odtworzyć przebieg tej kolacji, przypominała jej się głównie wymiana

słów z tym kłótliwym człowiekiem. Czemu w ogóle wydawało jej się, że Abboud jest atrakcyjny? Zwracając się do niej, spytał w pewnym momencie.

- Czytała pani jakąś francuską książkę?
- Oczywiście. - Za kogo on ją ma?
- Miałem na myśli jakąś książkę po francusku.
- Cóż, w przekładzie.
- Jaką?
- *Les misérables*.
- Ale potem czy zanim zobaczyła pani sztukę?
- Nie widziałam sztuki.
- I to jedyna książka?

Amy zastanowiła się chwilę.

- *Trzej muszkietierowie*.
- Coś jeszcze?
- Nie sądzę - przyznała. - Ale nie czytam wiele literatury.
- *Le comte de Monte Cristo*?
- Widziałam film - westchnęła, dodając: - *Opowieść o dwóch miastach* - zanim przypomniała sobie, że to nie jest francuska książka. Ale miała w zapasie jeden triumfalny tytuł. - Czytałam de Tocquevle'a! No cóż, po angielsku. - Bo tak rzeczywiście było.

Otworzył oczy nieco szerzej ze zdumienia, a może z niedowierzania. Chętnie dowiedziałyby się, czemu ją o to wypytuje. Dopiero później przyszło jej do głowy, że powinna go spytać, jakie książki on czytał po angielsku, jeśli w ogóle jakieś czytywał.

Po kolacji Abboud pożegnał się, mówiąc, że musi zamienić kilka słów z de Persandem, który niedawno otrzymał nominację na jakieś stanowisko rządowe, chyba wiceministra finansów. Jako dziennikarz, Emile chciał poznać jego opinię w pewnej sprawie dotyczącej polityki międzynarodowej. Amy razem z Victoire i Joem poszła z powrotem do baru. Pianista, który wcześniej grał melodie z filmów, zaczął teraz grać dla własnej przyjemności jakiś utwór z repertuaru muzyki klasycznej, co zwróciło myśli Amy ku muzyce. Ogarnęła ją bezradność: poza literaturą francuską musi poznać jeszcze cały świat muzyki. O Boże, ale był ogromny. Rozbrzmiewające dźwięki fortepianu z jakiegoś

powodu przywiódł jej na myśl nazwisko Szopena. Czy to z powodu tych emocjonalnie nabrzmiałych akordów lewej ręki? Może jednak nie była taka beznadziejna. W Paryżu zacznie intensywnie chodzić na koncerty i nauczy się odróżniać przynajmniej dzieła Szopena spośród ogromu innych dzieł muzycznych.

- Anglicy przepadają za Berliozem. - Victoire wskazała głową w stronę pianisty. - Pasuje do ich prymitywnej, dzikiej natury, jaką ukrywają za swoją uprzejmą fasadą. Nie sądzę, żeby komponował na fortepian, przypuszczalnie to transkrypcja jakiegoś innego kompozytora.

W sali barowej pojawił się baron w towarzystwie żony i jakiejś bogatej niemieckiej pary z Bremy. Amy słyszała, jak rozmawiają przy drugim końcu baru po niemiecku. Otto raz czy dwa posłał jej czułe i znaczące, ale dyskretne spojrzenie. Srebrne guziki jego lodenowej marynarki połyskiwały w świetle płomieni kominka. Amy oblewała się gorącym rumieńcem na wspomnienie tamtego zawstydzającego wieczoru.

- Nauczyłaś się angielskiego tutaj, we Francji? Ile miałas lat, kiedy zaczęłaś się uczyć? - zwróciła się do Victoire.

- Uczyłam się jako dziecko w szkole, ale *maman* nalegała, żebym poza tym w wakacje jeździła do Anglii. Mieszkałam u angielskiej rodziny.

Tak, trzeba się uczyć języków od dziecka, pomyślała Amy.

- Mówisz idealnie po angielsku - powiedziała.

- Och, nie, dziękuję, robię *beaucoup de* błędów.

Niespodziewanie usłyszeli głos Emile'a Abbouda docierający do nich z ekranu telewizora; jego kolejne gościnne wystąpienie w CNN, ewidentnie z taśmy, ponieważ sam mówiący siedział obok nich w barze. Jego słowa miały jakąś niezwykłą trafność:

- Na tym polega piękno potężnego symbolu, że jego treść się zmienia i może oznaczać różne rzeczy w różnych czasach, także dziś. Joanna ma dla naszych czasów bez wątpienia zupełnie inne znaczenie niż w swojej epoce. Mogłaby teraz oznaczać, na przykład, opór wobec zalewu kultury anglosaskiej albo wobec narastającej potęgi płci żeńskiej.

Amy spojrzała znad swojego drinka w stronę Emile'a, który wrócił właśnie do baru i przysłuchiwał się swoim słowom, jakby oceniał swój występ.

- Czytał pan Maksa Webera? - spytała go po zakończeniu audycji.

- Je go zdaniem religia jest wynalazkiem nieświadomości wyrażającym nasze obawy i lęki. Ale jaki lęk może wyrażać święta Joanna d'Arc?

- Lęk przed obcym najeżdźcą - powiedział Emile.

Pomyślała, że przed opuszczeniem Valmeri powinna zrobić jeszcze jedno. Pakując tego wieczoru swoje rzeczy przed wyjazdem, zwinęła swój srebrzysty *combinaison* Boegnera, wepchnęła go do torby na pranie i włożyła do kosza na śmieci, ale się nie mieścił. Czując się niemal jak przestępca, zeszła na dół i wyszła na zewnątrz, by włożyć go do jednego z ogromnych zbiorników na śmieci, jakie miasteczko ustawiło dla wynajmujących pokoje licznych turystów, którzy sami sobie gotowali i wytwarzali istne góry śmieci.

## ROZDZIAŁ 31

Amy wolałaby odbyć czterogodzinną podróż pociągiem do Paryża samotnie, czytając książkę albo pracując na laptopie. Miała wiele listów do odpisania, sprawy związane z interesami, niewiele też posunęła się w lekturze *Czerwonego i czarnego*. Jednak na prośbę Kipa zgodziła się pojechać w jednym przedziale razem z nim, Harrym, mademoiselle Walther, Kerry i pielęgniarką opiekującą się Kerry. W Paryżu na Gare de Lyon miał czekać na nich jakiś ambulans, aby od razu zabrać Kerry do prywatnej kliniki pod miastem wskazanej przez doktora Lamma. Po Amy i pozostałych wyjdzie na dworzec Geraldine Chastine.

Zarezerwowano miejsca w hotelu dla Kipa, mademoiselle Walther i Harry'ego na poziomie wygod, jakie zdaniem prawników będą dla nich odpowiednie, to znaczy dość podstawowym. Geraldine zastanawiała się przez moment, co będzie odpowiednie dla Amy, i postanowiła umieścić ją na kilka dni w Bristolu do czasu, nim w jej mieszkaniu pojawią się najpotrzebniejsze meble, łóżko, krzesła i sprzęty kuchenne - choć nadal będzie trwał proces dobierania eleganckich dodatków. Mimo wczesnej godziny i panującego mroku Amy poczuła przypływ optymizmu i z niecierpliwością czekała, aż obróci się kolejna strona w księdze jej życia.

Rozsiedli się wygodnie na siedzeniach z całym spokojem towarzyszącym jeździe pociągiem - jakże odmiennym od udręki podróży samolotem, pomyślała Amy. Kerry wydawała się zmęczona i milcząca, może nie była jeszcze gotowa do takiego wysiłku. Rzadko otwierała oczy, obdarzone jakąś dziwną świetlistością, i kładąc głowę

na oparciu, robiła minę osoby zbolącej. Amy przedstawiła się, ale Kerry najwyraźniej nie była zainteresowana tym, z kim ma do czynienia, i nie miała ochoty na jakąkolwiek rozmowę, nawet z Kipem. Nie odpowiadała na przyjazne pytania Amy. Jak się czuje? Jej zbolące milczenie zdawało się mówić: A jak według ciebie mogę się czuć? Czy cieszy się, że znajdzie się w Paryżu? „Nie bardzo” - to były jedyne słowa, jakie wypowiedziała podczas całej podróży. Tymczasem Kip, który siedział obok Amy, był niezwykle podekscytowany i bardzo rozmowny. Amy odłożyła książkę. Wolałaby poczytać i zastanowić się nad możliwym znaczeniem dni, jakie spędziła w Valmeri. Czy coś zyskała? Straciła? Nauczyła się? Ale zamiast tego cierpliwie wysłuchiwała, z całą sympatią, rozważań Kipa na temat europejskiego narciarstwa, szczególnych wyzwań dla snowboardzistów i tego, jak sobie wyobraża Paryż.

Jednak ledwo zdążyli opuścić Moutiers, gdy pociąg zwolnił i w końcu stanął, po czym po kilku konwulsyjnych szarpnięciach całkowicie znieruchomiał i zapadła ciemność. W mroku rozległ się jakiś głos, który oznajmił, że wkrótce światła znowu się zapalą, co też rzeczywiście nastąpiło, i że ogrzewanie zacznie działać, co nie było prawdą. Chociaż wcześniej w przedziale było gorąco, teraz natychmiast zrobiło się zimno. Amy, która siedziała obok okna, przycisnęła czoło do lodowatej tafli, wbijając wzrok w ciemność, ale zdołała jedynie dostrzec zarys jakiegoś zbocza i usłyszała rozlegające się wokół głosy mężczyzn stukających czymś w śniegu.

Mademoiselle Walther zabrała Harry'ego na spacer po korytarzu. Amy próbowała opanować lekką irytację, jaka ogarnęła ją na myśl, że musi siedzieć w przedziale. Przypomniała sobie, że pociąg, nawet jeśli utknął, stanowił cudowny wynalazek, wyraz zbiorowego ducha i skuteczności, i jako taki przedstawiał sobą doskonały przykład wzajemnej pomocy. To samochód, jako wyraz egoistycznego indywidualizmu, zrujnował Amerykę. Kto wynalazł pociąg? Czy też maszynę parową, jeśli już o to chodzi? Robert Fulton? A może to był parowiec? Watt? Przyszły jej do głowy nazwiska innych wynalazców. Eli Whitney: przędzarka do bawełny. Jaki był pożytek ze szkoły, jeśli człowiek nieuchronnie zapominał najprostsze rzeczy, o jakich go tam uczono?

Miała nadzieję, że te wszystkie dobrze znane nazwiska po prostu spoczywają zmagazynowane w jakimś innym obszarze jej mózgu, chwilowo zablokowane przez francuskie słowa i zwroty w rodzaju *Defense de fumer*, na co i tak nikt nie zważał i wszyscy palili.

W coraz większym chłódzie zaczęła sobie przypominać wydarzenia ostatnich dni. Doszła do wniosku, że oprócz niefortunnej przygody z Ottonem popełniła błąd, wtrącając się w sprawy pana Venna. Nauki, jakie otrzymujemy od życia, trzeba sobie przyswoić, a nie jedynie przyjmować do wiadomości. W tym wypadku nauczka była taka, że nawet jeśli ma się pieniądze pozwalające rozwiązać jakiś problem, należy osobiście mu się przyjrzeć, aby mieć pewność, że postąpiło się właściwie. Mogła sama zasięgnąć informacji na temat stanu pana Venna i nie zdawać się na powierzchowne, życzeniowe opinie innych, zabarwione nadzieją, przekupstwem albo narodowymi uprzedzeniami. Gdyby, na przykład, porozmawiała z lekarzem, mogłaby od razu zorientować się, jak się sprawy mają, i dostrzec, jak widziała to teraz, że Osworthy chciał wywieźć umierającego Venna dla swoich powodów. W porządku, przyswoiła sobie tę lekcję.

Spoglądając w swoje odbicie w mrocznej szybie, widziała, że wygląda dokładnie tak samo jak dziesięć dni temu, a jednak była bogatsza o doświadczenia i wnioski, które wówczas leżały poza jej zasięgiem. Musiała jeszcze zrozumieć pewne sprawy, których sens wciąż jej umykał. Czy chodziło o kwestie o charakterze intelektualnym, czy może raczej miało to coś wspólnego z sercem? Czy miały jakiś związek z Europą, czy też na drodze do tych upragnionych odkryć stało coś związanego z Kalifornią? Może Paryż przyniesie jakąś odpowiedź. Mimo tych wyrzutów pod własnym adresem nabrała otuchy na myśl o czekających ją przygodach.

CZEŚĆ CZWARTA

# PARYŻ

*Jeśli chodzi o szczęście, ma tylko jedno zastosowanie,  
umożliwia istnienie nieszczęścia.*

- Albert Camus

*Na osobiste zbawienie mogą liczyć ci,  
którzy pragną zbawienia powszechnego.*

- Mikołaj Bierdiajew



## ROZDZIAŁ 32

„Mamemimomumy, mamemimomumy...” - Amy wyśpiewywała tę frazę na różną nutę, dopóki nie zadowoliła swojej nauczycielki April Stanton, kolejnej członkini czegoś, co powoli zaczynała nazywać na swój użytek „Paryską Mafią Amerykanek” Geraldine Chastine. W domu powinna przećwiczyć jeszcze serię „ohm” i „ehm”, które miały wyleczyć ją z niefortunnego tembru głosu, budzącego najwyraźniej irytację Europejczyków, choć April zapewniała ją, że akurat w jej głosie nie słychać tej nieszczęsnej przypadłości. Amy spodziewała się, że jej nauczycielem będzie Francuz, jakiś biedny profesor albo chociaż ktoś mieszkający na poddaszu; jednak April mieszkała w haussmanowskiej kamienicy, dzielnica szesnasta, a jej mąż był bankierem inwestycyjnym.

W drodze do domu Amy poszła przez Pont d'Alma, a potem wzdłuż Rive Gauche. Paryż wydawał się ciepły w porównaniu z Valmeri. Nie było śniegu, a z otworów wentylacyjnych i kanalizacyjnych unosiły się kłęby pary wydzielającej się z ogromnego podziemnego świata rozpościerającego się pod miastem. Można by się spodziewać, że wokół tych miejsc będą się zbierać bezdomni, by się ogrzać, ale jak wyjaśniła jej Geraldine, „w Paryżu praktycznie nie ma bezdomnych, och, jeśli nie liczyć kilku kloszardów, którzy uparcie trzymają się swojego sposobu życia na peronach metra i nikogo nie zaczepiają”. Po kilku tygodniach spędzonych w stolicy Francji to właśnie z tymi społecznymi wyrzutkami Amy utożsamiała się najbardziej; wydawali jej się równie samotni i zagubieni jak ona.

Wiele drobnych spraw poszło w Paryżu nie tak i powoli zaczynały ogarniać ją wątpliwości, które podkopywały jej zwykle tak pogodne

usposobienie, wbrew wcześniejszym nadziejom, że odzyska dobry humor, gdy tylko tutaj się znajdzie. Nie znaczy to, że ludzie byli dla niej niemili. Oczywiście, że starali się być tak mił, jak tylko mogli, a nawet jeszcze bardziej, co sprawiało, że zaczynała się zastanawiać, czy ta sympatia nie ma czegoś wspólnego z jej pieniędzmi. Jakoś jednak nie mogła się zmusić, żeby w to naprawdę uwierzyć. Obok rozmaitych trosk związanych ze szkołą gotowania, nauką języka, lekcjami głosu i francuskimi przyjęciami martwiły ją co najmniej trzy inne ważniejsze sprawy, no, może cztery.

Po pierwsze, chodziło o fale niepokoju docierających z Kalifornii. Okazało się, że jej komputer i faks wylądowały ostatecznie w salonie, ponieważ właśnie tam założono gniazdko telefoniczne. I choć najwyraźniej obrażały Tammy swoją utylitarną brzydotę, musiały stanąć na pięknym *bureau* w stylu Ludwika XIV, całkiem dobrej osiemnastowiecznej kopii. Amy nie rozumiała, dlaczego firma telefoniczna nie mogła umieścić gniazdka w innym pokoju, ale najwyraźniej rzecz była niewykonalna.

Kiedy po raz pierwszy podłączyła faks, niemal natychmiast zaczął wypływać przesyłane przez Sigrid wycinki z „New York Timesa” na temat grożącego wybuchu wojny. Obok nich Amy zobaczyła jakiś artykuł z „San Jose Mercury News” poświęcony jej samej, opatrzony jej starą fotografią i streszczający opowieść o Joannie d’Arc. Podkreślano w nim uporczywe utrzymywanie się alpejskich przesądów, rozdmuchanych teraz po to, by ukryć militarne przygotowania, i przypadkowo powiązanych z osobą niczemu niewinnej menedżerki z Bay Area, Amy Hawkins, oskarżonej o coś w imię tajemniczych geopolitycznych rozgrywek, których sens trzeba dopiero wyjaśnić. Amy nie słyszała dotąd, żeby wysuwano wobec niej jakiegokolwiek oskarżenia, ale ta dziwna informacja miała w sobie coś z efektu projekcji wewnętrznych wibracji jej obaw, które jakimś cudem dotarły na biurko redaktora kalifornijskiej gazety. Starła się nie myśleć o tej niepokojącej wiadomości, ale nie mogła całkiem wyrzucić jej z pamięci.

Po drugie, jakaś narastająca i niezbyt jasna niewygodność w kwestii pieniędzy. Mieszkanie okazało się bardzo ładne, wygodne i Amy była z mego zadowolona. Mieściło się na drugim piętrze, bez windy, choć oczywiście Amy windy nie potrzebowała.

- Chodzi o to, że za te pieniądze można by się jednak spodziewać jakiejś windy - powiedziała potulnie do Tammy.

- Naprawdę, Amy, nie można mieć wszystkich amerykańskich wygod, jeśli chce się mieszkać w siedemnastowiecznej kamienicy - oświadczyła Tammy, jak gdyby Amy była jakąś prostytutką z Beverly Hills.

Zasłony z szarego jedwabiu, niezwykle obfite, naśladowały kolor paryskiego nieba. Przez cały czas jej pobytu w Valmeri dzwoniły do niej Tamy albo Wendi, zadając rozmaite pytania, na przykład co myśli o kolorze szarym albo o jedwabiu. „Świetnie, w porządku, może być”, mówiła i dopiero teraz pozwalała sobie na nieśmiałe spostrzeżenie, że przy tej szarej pogodzie jakiś radośniejszy kolor mógłby robić lepsze wrażenie.

- To prawdziwie kalifornijski sposób myślenia - stwierdziła Tammy. - Ale szczerze mówiąc, niebieski i żółty wcale nie wyglądają tak dobrze w Paryżu. To sprawa światła.

Do tej pory wszystkie zderzenia z tą nieznaną kulturą łagodziły interwencje Geraldine Chastine albo jej licznych znajomych Amerykanek, które wydawały się takie troskliwe i przyjazne, co Amy początkowo przypisywała prostemu faktowi, że była ich rodaczką. Następnie nadszedł jednak rachunek od Tammy na czternaście tysięcy euro za jakieś krzesła, „usługi” oraz dziesięć procent. To zwróciło jej uwagę na pewien aspekt, z którego wcześniej nie zdawała sobie sprawy, czyli interes. Zrozumiała, że nikt nie zabiera jej ze sobą na zakupy tylko dla własnej przyjemności.

Mimo to wiedziała, że jej samej nigdy nie starczyłoby wiedzy i doświadczenia, żeby wybrać akurat te konkretne krzesła, które skądinąd wyglądały dość pospolicie, a w każdym razie nie tak, jak człowiek wyobrażał sobie francuskie krzesła, czyli z połączanymi nogami i kwiecistym obiciem. Te miały oparcia obite czarną skórą i podłokietniki z jasnego drewna, a do tego były „podpisane”. W ogóle jej się nie podobały. Rachunek od Tammy przygotował ją na kolejne rachunki, jakie niechybnie dostanie od ludzi, którzy byli tak pomocni w ostatnich tygodniach.

Poza tym martwiła się o Kipa. Dopiero po kilku dniach udało się znaleźć dla niego szkołę pod Paryżem, może niezbyt wygodnie

położoną, jeśli chodzi o odległość od kliniki Kerry, ale na szczęście chodziło jedynie o krótką podróż RER, czymś, co istnieje tutaj obok pociągów, autobusów i metra. Amy żałowała, że nie ma auta. Z rozkoszą wsiadłaby do swojego audi i popędziła nocą przez miasto, wolne od samochodów; Bóg jeden wiedział, gdzie one się podziwiała.

Niemniej chodzenie pieszo po mieście miało w sobie coś ekscytującego. Podziwiała piękno każdej ulicy, sposób, w jaki budynki przylegały do siebie albo wyrastały ponad kamiennymi brukami niczym surowi starcy. Dostojny Luwr po drugiej stronie mostu, St. Germain, Deux Maggots - nazwy, które wydawały się jej znajome dzięki procesowi jakiejś tajemniczej osmozy, choć nigdy nie studiowała geografii Paryża. Mimo to musiała pracować nad utrzymywaniem swojej uwagi i zachwytu na odpowiednim poziomie, ponieważ jej myśli odpływały czasem w stronę Palo Alto, rynku finansów, a nawet spodziewanego dziecka jej brata. Miała nadzieję, że nie zamieni się w jedną z tych smutnych zawodowych ciotek, które nie mają własnego życia.

Może powinna w jakąś sobotę pojechać razem z Kipem do *chateau* w Fontainebleau i przyjrzeć się, jakiego koloru są tamtejsze zastony. Biedny Kip został raczej dość bezlitośnie umieszczony w Ecole Bilingue w Wersalu, szkole z internatem i niewielką liczbą uczniów, która zgodziła się przyjąć go na kilka tygodni, dopóki jego los się nie rozstrzygnie, albo do końca semestru. Amy, choć starała się na bieżąco dowiadywać, co się z nim dzieje, nie miała dłużej wpływu na decyzje dotyczące jego przyszłości. Jednak często z nim rozmawiała, niemal każdego wieczoru, i wiedziała, że liczył na powrót do swojej starej szkoły w Kalifornii. Amy z podziwem patrzyła na Kipa; tak dzielnie opiekował się małym Harrym, a teraz musi radzić sobie w obcym języku, w obcym kraju. Usiłowała przywołać wspomnienie siebie samej w wieku czternastu lat i niczego nie mogła sobie przypomnieć, oczywiście poza tym, że była niespokojna i nieszczęśliwa i chciała za wszelką cenę wyrwać się z Ukiah.

Los Kipa w następnym semestrze zależał od tego, w jakiej sytuacji materialnej znajdzie się Kerry po nieoczekiwanej śmierci męża. Czy będzie ją stać na opłacenie szkoły Kipa w Ameryce? A może byłoby dla niego lepiej, gdyby wysłano go do Anglii, gdzie mieli więcej szkół

z internatem i przebywałyby bliżej niej. Oczywiście w grę wchodziły jeszcze szkoły w Szwajcarii, choć te stanowiły zwykle miejsce zesłania dla zaniedbanych dzieci przedstawicieli amerykańskich koncernów pracujących za granicą albo rozwiedzionych europejskich bogaczy, względnie dla kłopotliwych uczniów, którzy wcześniej zaliczyli wszelkie możliwe amerykańskie szkoły, jakie tylko zgodziły się ich przyjąć.

Amy martwiła się, że jeszcze nie widziała się z Kerry. Mówiła sobie, że to dlatego, że Kerry była taka zdystansowana w pociągu i sprawiała wrażenie, jakby nie miała ochoty więcej widzieć na oczy ani jej, ani w ogóle nikogo. Ale Amy wiedziała, że to była jedynie marna wymowa. Może obawiała się, że Kerry uświadomi sobie, że to ją, Amy, widziała wtedy na zboczach?

Prawdę mówiąc, zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle powinna była przyjeżdżać do Paryża. Życie w tym mieście wydawało się nieco trudniejsze i nie przypominało tego w hotelu Croix St. Bernard, gdzie wszystko było łatwe, ludzie sympatyczni, pod ręką jedzenie i rozrywki. Tutaj musiała radzić sobie sama, choć miała urocze mieszkanie, jakie ta grupa miłych kobiet wyczarowała dla niej zdumiewająco szybko. I miała w notesie sporo numerów telefonicznych - przyjaciele Geraldine, przyjaciele przyjaciół, Tammy, klinika Kerry, jej lekarz, nauczycielka francuskiego, Szkoła Kucharska Etoile, o której wszyscy mówili, że jest doskonała, a lekcje prowadzone są po angielsku. Mimo to czuła się nieco osamotniona. Niemniej warto było dążyć do osiągnięcia siły wewnętrznej, a droga do tego celu wiodła przez samotność. Przypominała sobie, że nie doświadczała samotności od czasu... cóż, właściwie nigdy do tej pory nie doświadczyła samotności i wcale jej się nie podobała. Po raz pierwszy, i to było jej główne zmartwienie, obawiała się, że całe to przedsięwzięcie zmierzające do samodoskonalenia może zakończyć się fiaskiem.

## ROZDZIAŁ 33

Posy z pewnym niepokojem zorientowała się, że coś jest nie w porządku, gdy po przyjeździe do Londynu okazało się, że pan Osworthy ciągle marudzi i kręci na temat sytuacji prawnej w Anglii. Wreszcie oboje razem Rupertem zostali wezwani do biur kancelarii Osworthy, Park, and George, rzetelnej firmy prawniczej w Mayfair, gdzie mieli usłyszeć, jakie dziedzictwo zostawił im ojciec - ostateczną ocenę ich wartości i miejsca, jakie zajmowali w jego sercu.

Pan Osworthy zaczął od słów:

- Wygląda na to, że Anglia uznaje, iż ostatnia wola i testament jej obywatela, zmarłego niedawno Adriana Venna, nie przedstawia problemów prawnych i że zmarły zgodnie ze swoją wolą pozostawił wszystko żonie, w tym posiadłość we Francji, niewielki obraz artysty Bonnarda oraz londyński dom przy Randolph Avenue - ten ostatni może stanowić przedmiot sporu, bo sprawy tej nie uregulowano po rozwodzie pana Venna z panią Pamelą Venn, której dom został prawnie przyznany - oraz pewien portfel akcji. Gdyby ostatnie słowo należało do Anglii, pani Kerry Venn mogłaby się spodziewać, że wedle stanu na dziś odziedziczy ponad milion funtów, przy założeniu, że naród francuski zgodziłby się, aby należne podatki, jakie po śmierci właściciela zostały nałożone na posiadłość we Francji, stanowiącą niestety główną część majątku Venna, zapłacono w Anglii. Ta kwestia będzie jeszcze przedmiotem negocjacji; między oboma krajami istnieją porozumienia w sprawach podatkowych.

A więc Kerry dostała wszystko, tak jak się spodziewali. Posy była na to przygotowana. Rahni Boutique, i nic tylko Rahni Boutique.

Nie ulegało wątpliwości, że oboje z Rupertem nie mają na co liczyć. Powtarzała to sobie przez cały czas w drodze z Francji i przyzwyczaiała się już do myśli, że dostanie niewiele albo nic. Mówiła sobie, że cierpienie po śmierci ojca musi mieć całkowicie bezinteresowny, a nawet uszlachetniający charakter jako harmonijne uczucie, które niczemu nie służy poza byciem w zgodzie z samą sobą, z własnymi wyobrażeniami na temat ojca oraz z nim, jeśli mógł ją w jakiś sposób słyszeć.

Jednak pan Osworthy na tym nie skończył, a jego mięsista twarz wydłużyła się pod wpływem jakiegoś zmartwienia. Chodziło głównie o kwestie dotyczące różnic prawnych między Anglią a Francją, jednak na koniec dotarł wreszcie do delikatnego tematu dziedzictwa Posy.

- Oczywiście, tak jak wam powiedziałem, w swojej ostatniej woli wspominał o was obojgu. Rupert dostanie dziesięć tysięcy funtów. Posy... cóż, niestety nie wygląda to równie dobrze.

- Po prostu niech mi pan powie - odezwała się Posy i mimo woli ogarnęły ją złe przeczucia.

- No cóż, twój ojciec był angielskim dżentelmenem w starym stylu i najwyraźniej uważał, że powinien pamiętać przede wszystkim o najstarszym synu, ale nie zapomniał i o tobie, do wysokości dziesięciu funtów, co stanowi zwyczajowy sposób uznania w testamencie twojej pozycji jako prawowitej spadkobierczyni i córki... Nie miał wielkiej fortuny w Anglii, jedynie trochę akcji, rzeczy tego rodzaju...

- Zostawił mi dziesięć funtów?

Posy widziała, że Rupert z panem Osworthym przyglądają się jej uważnie, wypatrując oznak napadu szału albo nerwowego załamania. Choć chciała powiedzieć: „A niech cię cholera weźmie, ojczu”, i „Niech pana diabli wezmą, panie Osworthy”, podziękowała mu z godnością. Po prostu w tym momencie nie czuła jeszcze miazdzącej siły tego ciosu, może się go zresztą spodziewała. Ostatnio los obchodził się z nią tak bezlitośnie, że kolejna krzywda jedynie potwierdziła niesprawiedliwą naturę swoich kaprysów. Poczowała się niezwykle lekka, jak ktoś, kto nic nie waży i nie ma w świecie żadnego znaczenia, niczym przelotny wietrzyk, który nie robi żadnego wrażenia, albo jedynie negatywne, na swoim ojcu, na Emile'u, na kimkolwiek... Jak gdyby nigdy się nie urodziła. A więc spadek w wysokości dziesięciu

funtów nie mógł jej zranić, choć trudniej będzie jej walczyć z rozgoryczeniem. Wiedziała, że ono niszczy ludzką duszę i jeśli pozostawić je samemu sobie, rozrasta się niczym rak. Ojciec miał tak destrukcyjną władzę zza grobu, że zdołał zbrukać ich wszystkich poczuciem beznadziei i nieufności.

Rupert także czuł się zbrukany we własnych oczach, ponieważ zareagował nie najlepiej, a w każdym razie tak mu się wydawało, na propozycję, jaką wcześniej złożyła mu matka, z góry uprzedzona przez pana Osworthy'ego o nierównym potraktowaniu Posy i Ruperta w testamencie ojca. Obwiniał za to, co się stało, bezduszną nudę handlu obligacjami, która wywierała negatywny wpływ na jego charakter; ciekawe, że koledzy uważali to zajęcie za dziko ekscytujące. Jeszcze zanim Posy dowiedziała się o testamencie ojca, Pamela podzieliła się z Rupertem swoim pomysłem, żeby rozdzielić jego spadek, dziesięć tysięcy funtów, na dwie równe części i nie mówić Posy o tym, ile ojciec naprawdę jej zostawił, oszczędzając jej smutnej wiedzy na temat decyzji ojca.

Pamela wyłożyła synowi swoje rozumowanie:

- Powiemy po prostu, że zostawiał każdemu z was po pięć tysięcy. Posy nie musi się dowiedzieć, co tak naprawdę znajduje się w testamencie. Z czasem spłacę ci twoje pięć tysięcy, na razie nie mam pieniędzy, Rupe. Ostatecznie wyjdiesz więc na swoje. Mógłbyś coś takiego zrobić? Boję się o Posy. Tak bardzo się tym przejmie. - Wiedziała zdumienie i rozczarowanie na jego twarzy.

Rupert był zawstydzony swoim wahaniem, a jednocześnie nie mógł matce wybaczyć, że złożyła mu taką propozycję. Nie mógł oprzeć się refleksji, że Posy mogła przewidzieć, że tak to się właśnie skończy, kiedy postanowiła przeciwstawić się ojcu. Choć oczywiście nikt się nie spodziewał, że ojciec niespodziewanie umrze.

- Mogłabym sprzedać dom - powiedziała Pam. - I tak jest dla mnie za duży.

- Boże, Pam, może jeszcze coś wymyślisz, żebym poczuł się naprawdę jak gówno?

Jednak nawet mimo obietnicy matki, że spłaci mu jego część spadku, nie mógł zmusić się do tego, żeby podzielić się pieniędzmi z Posy.



Pomyślał, że będą mu potrzebne od razu na rozkręcenie interesu wydawniczego. Zwlekał, zastanawiał się, i w końcu odmówił.

Po spotkaniu z panem Osworthym Rupert przy herbacie opowiedział Posy o propozycji matki i o własnej moralnej katastrofie. Mimochodem rzucił coś w rodzaju luźnej propozycji, że gdyby Posy kiedykolwiek potrzebowała pieniędzy, mógłby jej pożyczyć, ale tak czy inaczej upłynie wiele miesięcy, zanim zobaczą jakąkolwiek gotówkę, czy to będzie dziesięć funtów, czy dziesięć tysięcy. Rupert ewidentnie czuł się niedobrze z tym, że zachował się tak marnie, a zarazem miał za złe Pam, że postawiła go w sytuacji bez wyjścia. Pameli z kolei wydawało się, że jej dzieci zgodnie obwiniają ją o coś, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego ojciec ich opuścił, znalazł sobie Kerry i zniknął na dobre z ich życia.

Myśl, że odziedziczyła część *chateau* we Francji, przynosiła Posy pewną pociechę, w każdym razie na tyle, by mogła zachować się wobec Ruperta z godnością w sprawie angielskiego spadku.

- I tak wołałabym raczej umrzeć niż wziąć te cholerne pieniądze.
- Cóż, pięć tysięcy, nie wiem, na co chciałabyś je przeznaczyć, ale... gdybyś ich kiedyś potrzebowała, mógłbym...

Mimo to z *chateau* także wiązały się pewne problemy, dokładnie tak, jak to przewidywał elokwentny monsieur de Persand. Jeśli kiedykolwiek trafią się jej jakieś pieniądze na własne plany (sklep z antykami, sklep z kaszmirowymi szalami, mały dom w Chelsea...), będzie musiała sprzedać swój udział. Co by jej przyszło z kawałka rozpadającego się zamku? Rupert z kolei miał nadzieję, że uda się zatrzymać *chateau* i będzie mógł poprowadzić wydawnictwo ojca, co byłoby idealną ucieczką od pańszczyzny, jak zaczął nazywać swoją pracę w City. Przypuszczał, że ich macocha Kerry życzliwie spojrzełaby na taką propozycję, choć nikt jeszcze z nią na ten temat nie rozmawiał. Wołałby więc zachować swoje dziesięć tysięcy funtów na pokrycie podatków, jakie trzeba będzie zapłacić we Francji, żeby nie musieli sprzedawać *chateau* - w tej sprawie miał więc zupełnie przeciwne interesy niż Posy.

W ciągu następnych kilku tygodni Posy wydawała się wyraźnie zgaszona, była o wiele mniej kłótniwa i chępliwa niż zwykle. Nigdy nie

widział jej w takim stanie. Rupert rozmawiał o tym z Pam. Początkowo przypuszczali, że Posy przesadnie reaguje na śmierć ojca, jak gdyby była jedyną osobą, którą dotknęło nieszczęście. Czy Rupert także nie stracił ojca? W końcu każdy musi kiedyś przez to przejść - nie była jakimś wyjątkiem. Mimo to mieli wrażenie, że opłakuje ojca, jak gdyby jego śmierć symbolizowała wszystkie nieszczęścia jej życia - choć Rupert nie widział w jej życiu większych katastrof: była atrakcyjna, miała odpowiedzialną pracę, dyplom Cambridge. Raz nawet pod wpływem współczucia nachylił się przez stół i objął ją ramieniem. Czując jej sztywne, napięte ciało, zaczął się zastanawiać, czy nie martwiła się czymś więcej niż tylko śmiercią ojca. Może była chora albo na skraj załamania nerwowego?

Może rzeczywiście tak było, myślała sama Posy. Po powrocie do Anglii żyła w stanie jakiegoś zawieszenia. Jeździła codziennie do pracy w Rahni Boutique przy Kings Road, gdzie siedziała w małym dusznym pokoiku na drugim piętrze, zajmując się księgowością, a od czasu do czasu stawała za ladą na dole, wywołując zdumienie wśród klientów swoim oksfordzkim akcentem. Jej wyobraźnię opanowały pieniądze, jakie uzyskała po sprzedaży *chateau*; pieniądze, które zaczynały symbolizować wolność, jakiej nigdy nie zazna, jeśli ich nie będzie miała. Wiedziała, że powinna czuć się szczęśliwa jako współwłaścicielka *chateau* oraz przedmiotów znalezionych w skrytce bankowej ojca, ale nawet ta odmiana fortuny nie mogła uwolnić jej od tępej rozpacz i ciężkiego smutku, jakim niedawne wydarzenia zasnuły jej życie.

Im wyraźniej dostrzegała, że śmierć i rozczarowania stanowią nieodłączny element życia, tym ważniejsze dla jej przyszłości wydawały się pieniądze i tym usilniej zaczynała wierzyć, że jej się należą. Perspektywa odziedziczenia pieniędzy, nawet tych zapisanych dziesięciu funtów, wypuklała całą mizериę jej realnej życiowej sytuacji, czyli nudnej pracy i braku prawdziwej miłości - jeśli nie liczyć tej, którą musiałaby głęboko ukrywać - oraz przygnębiającej pustki, w jakiej zmierzała w stronę wieku średniego. Na myśl o tym zalewało ją poczucie żalu nad samą sobą, co wzmacniało jej przekonanie, że musi koniecznie zdobyć udział w spadku, a potem

odmienić swoje życie, nawet jeśli to oznaczało pokrzyżowanie planów Ruperta.

Posy pojechała metrem ze swojego mieszkania przy Portobello Road do terminalu na Waterloo Station, skąd odchodził pociąg Eurostar, po drodze zmagając się z walizką na kółkach, którą musiała wciągnąć po schodach podczas przesiadki na Piccadilly Station. Jeszcze raz zadzwoniła do matki, żeby się upewnić, czy Pam nie zmieniła zdania i czy na pewno nie żałuje, że to ona wyrusza w tę świętą (słowo opatrzone ironią) wyprawę do Francji, wioząc prochy ojca. Zadanie przewiezienia prochów spadło na Posy, ponieważ Rupert nie mógł już brać więcej zwolnień w pracy, a wszyscy troje uznali, że byłoby raczej nieestosowne, gdyby to Pam dostarczyła je wdowie po ojcu. Posy wyczuwała u Pam i Ruperta lekką nieufność, jak gdyby obawiali się, że mogłaby sprofanować prochy ojca - na przykład wrzucić je do klozetu.

W poczekalni Eurostaru kupiła „Vogue'a” oraz „Pariscope” i mimo że czekało ją trudne zadanie, poczuła lekkie podniecenie na myśl o Paryżu. Na chwilę porzuci świat Rahni Boutique i rzucił się w wir przygód, z dala od Anglii, zakosztuje francuskiego jedzenia i może nawet zdoła zobaczyć Emile'a. Zapowiedziano przybycie pociągu. Tocząc walizkę w stronę ruchomych schodów, zobaczyła przed sobą znajomy zarys pleców - wysoki mężczyzna, wąskie ramiona, długa szyja, siwe włosy z dziwnym, różowawym odcieniem, wymięty płaszcz - bez wątpienia Robin Crumley, poeta, który podobnie jak ona zmierzzał do Paryża, z „Financial Timesem” pod pachą.

- Hej, cześć! - zawołała, przyspieszając lekko kroku, żeby się z nim zrównać. - Widzę, że nie mogą nas na długo zatrzymać z dala od croissantów i ślimaków.

- Hej! Jak to miło! Miss Venn! Posy! - odpad z niezwykłą serdecznością, zapewniając ją, że w żadnej mierze mu nie przeszkadza i będzie zachwycony, jeśli usiądą razem. Posy nie dawała po sobie poznać, że niewiele wie na temat obyczajów poetów podczas podróży koleją - czy zwykle są bardzo rozmowni, czy pogrążeni w myślach?

Po drodze opowiedziała mu o swoich paryskich planach, nie wspominając jednak o ponurej przeszłości. On oświadczył, że zamierza

spędzić weekend z państwem Desmarais, uroczymi Francuzami, których odwiedza czasami latem w Dordogne. Tym razem wszyscy wybierają się na jakąś sztukę Pintera wystawianą po francusku w Paryżu. Poza tym miał nadzieję, że uda mu się podczas pobytu w Paryżu spotkać z tą Amerykanką Amy Hawkins, którą wszyscy poznali w Valmeri. Czy Posy ją pamięta? Oboje zaczęli wspominać lunch w Saint - - Jean-de-Belleville i jego następstwa, śnieżne zasy i akcję ratunkową. Pomyśleć, że było to tak niedawno, a wydawało się już tak odległe w czasie, odkąd znaleźli się w Anglii, gdzie wszystko wygląda zupełnie inaczej. Kupili niedużą butelkę czerwonego wina i kanapki w wagonie restauracyjnym i rozmawiali przy lunchu.

- Co pan sądzi na temat Wordswortha? - spytała. - Czy sławny współczesny poeta cokolwiek mu zawdzięcza? Wydaje mi się, że słyszę echa Wordswortha w niektórych pańskich wierszach, choć oczywiście dominuje w nich pański własny głos.

- Och, Wordsworth to moja największa inspiracja. Zwłaszcza *Preludia* - powiedział Crumley, myśląc, co za rozkoszna młoda kobieta z tej Posy. Tutaj wydawała mu się o wiele ładniejsza i swobodniejsza, uwolniona od napięć związanych ze stanem jej biednego ojca. - To Wordsworth nas wyzwolił, pod pewnym względem.

- Chodzi o język?

- Prosta dykcja, medytacyjny wers...

Zgodził się z nią, że ojciec potraktował ją w testamencie skandalicznie, choć próbowała przedstawić to w żartobliwym świetle, i naprawdę się ucieszył, że Posy może liczyć na swoją część spadku obejmującego posiadłość na południu Francji. Bez wątplenia przyniesie jej to trochę grosza - może nawet pół miliona, przed opodatkowaniem.

- Nic tak nie pasuje do kobiety jak posiadanie - powiedział, próbując naśladować Wilde'a, a może Shawa, i tylko po części mówiąc żartem.

Przejrzał ceny francuskich nieruchomości. Posy uznała, że jest niezwykle sympatyczny, wcześniej nie zauważyła, że jest taki miły. Widziała, że sam ma za sobą jakieś trudne przejścia; nie mówił jakie. Jej sympatię wzbudziły nawet jego postrzępione mankiety. Sławny wybitny poeta, ale zupełnie bez grosza, coś jak D.H. Lawrence; istniało

nawet między nimi pewne podobieństwo - chuda długa szyja i marnie ostrzyżone włosy.

Nazajutrz Pamela Venn i Trevor Osworthy także wybrali się do Paryża. Osworthy zamówił dla nich wszystkich pokoje w niewielkim Hotel de Lille, zaproponowanym przez Geraldine - niedaleko od niej oraz od mieszkania Amy - gdzie, jak sądzili, zainstalowała się już Posy. Pamela, jeśli nie liczyć wizyt w muzeach i zakupów, nie miała żadnych paryskich planów poza spotkaniem z Geraldine oraz ewentualnym uczestnictwem w ceremonii, jaką jej dzieci i wdowa zorganizują z myślą o Adrianie. W Londynie odbyła się jedynie prosta kremacja, ale powstrzymali się z organizowaniem żałobnego nabożeństwa z uwagi na to, że Kerry na pewno chciałaby w nim uczestniczyć. Mimo to ukazały się pochlebne nekrologi w „Timesie” i „Guardianie”, w tym drugim z fotografią. Pam wycięła dodatkowe kopie nekrologów dla Kerry.

Minęło wiele lat, odkąd ostatnim razem była w Paryżu - od tamtej pory dokonano zmian w Luwrze i umieszczono na jego dziedzińcu szklaną piramidę, która stanowiła teraz znak rozpoznawczy miasta. Tak dawno tam nie była! Zdumiewała się, widząc, jak wiele rzeczy się nie zmieniło, i niecierpliwie cieszyła się na myśl o *cassoulet* i *confit de canard* oraz o przyzwoitym camembercie.

- Tak, sery są bardzo dobre - przyznał Osworthy.

W pociągu zwierzył się Pameli, że czekały go spotkania z przedstawicielami francuskich służb skarbowych, podczas których będą próbowali pogodzić różnice między angielskim a francuskim prawem spadkowym. Osworthy był niemal pewny, że wszystko ostatecznie sprowadzi się do tego, że od majątku znajdującego się we Francji trzeba będzie zapłacić francuskie podatki, a od angielskiego angielskie i że oba kraje zgodzą się przymknąć oko na aktywa Venna znajdujące się w drugim kraju. Na razie jednak zarówno Francja, jak i Anglia najwyraźniej uważały, że powinny opodatkować cały majątek Adriana. Osworthy przyznał, że zdumiewają go niektóre francuskie pomysły, ale dzięki istniejącym między oboma państwami porozumieniem w sprawach podatkowych wszystko uda się pomyślnie załatwić. Na szczęście Adrian w sensie prawnym zachował Anglię jako miejsce

stałego zamieszkania, inaczej Francuzi chcieliby opodatkować także jego angielski majątek. Wyglądało na to, że w istniejącej sytuacji uda się jednak tego uniknąć.

Zgodnie z wyjątkowo dziwnym postanowieniem francuskiego prawa Victoire, nieślubne dziecko Venna, miała we Francji dziedziczyć na równych lub prawie równych prawach z Posy i Rupertem, choć Venn nie wspomniał o niej w testamencie i nawet nigdy jej oficjalnie nie uznał. Pan Osworthy był szczerze wzburzony.

- Coś takiego nie mogłoby zdarzyć się w Anglii, chyba że zmarły wyraźnie by sobie tego życzył, ale Adrian z pewnością nie miał takiego zamiaru - niewykluczone, że nawet nie wiedział o istnieniu tej kobiety. Doprawdy, jakaś dziwaczna francuska logika rewolucyjna, która nagradza ludzi za to, że są dziećmi zrodzonymi z miłości. Tylko Francuzi mogli coś podobnego wymyślić!

Choć w głębi duszy przyznawał, że idea uprzywilejowania dzieci zrodzonych z miłości ma sentymentalny urok, był głęboko wzburzony całkowitym zignorowaniem przez francuskie prawo jednoznacznych życzeń Adriana zawartych w testamencie, zgodnie z którymi jego majątek ruchomy i nieruchomy miał przejść na żonę i najmłodsze dziecko, nie licząc dziesięciu tysięcy dla najstarszego syna i dziesięciu funtów dla Posy. Czy można wyobrazić sobie coś bardziej jednoznacznego i, doprawdy, sensowniejszego? W grę wchodziła kwestia opłacenia w przyszłości wychowania i wykształcenia malutkiego Harry'ego. Kerry mieszkała w *chateau*, to był jej dom. Rupert nie potrzebował tych pieniędzy, był dorosły, miał pracę, niezależne życie.

- Nie, Adrian źle to wszystko wymyślił. - Pamela nie zgodziła się z tą opinią.

Osworthy czuł się w obowiązku zadbać, by Kerry Venn nie została pozbawiona tego wszystkiego, co Adrian w tak oczywisty sposób zamierzał zostawić swojej ukochanej żonie. Nawet jeśli nie mógł skłonić Posy i Ruperta, żeby zgodzili się z jego poglądem, mógł przynajmniej uświadomić im etyczny aspekt sytuacji.

- Szczerze mówiąc, Posy i Rupert powinni zrzec się swojego udziału na rzecz Kerry i Harry'ego.

- Co za niedorzeczny pomysł! - zawołała Pamela.

- Ale nawet gdyby tak się stało, nie mamy żadnego wpływu na tę zupełne nieznaną francuską córkę - kobietę, która nawet nie znała Venna, a teraz ma prawo do jego majątku.

Osworthy wiedział o trapiącym Ruperta niepokoju, że gdy Posy dowie się o mściwym dziesięciofuntowym zapisie w testamencie ojca, będzie należała na sprzedaż *chateau*. To był następny problem wywołany przez francuskie prawo dotyczące podziału majątku między czworo spadkobierców. Zamiast sensownego angielskiego zwyczaju, który pozostawiał majątek w całości poprzez przyznanie go najstarszemu synowi, prawo francuskie przewidywało, że w wypadku niezgody co do tego, czy zachować posiadłość, należało ją sprzedać, a pieniądze podzielić. Jaka szkoda! Rupert i Harry, jako mężczyźni, na pewno zachowaliby się rozsądnie. Rupert pragnął pójść w ślady ojca i pokierować wydawnictwem, nawet jeśli nie miał pojęcia o wydawaniu książek. Kerry zostałaaby w *chateau* i wychowywała Harry'ego. Jednak przyszłość zależała od postawy Posy i Victoire, a żadna z nich nie była w najmniejszym stopniu zainteresowana ani *chateau*, ani wydawaniem książek. Mimo to obie mogły domagać się swojego udziału i w sytuacji, gdy nikt ze spadkobierców nie miał pieniędzy na wykupienie pozostałych, tak prawdopodobnie się stanie.

Osworthy zastanawiał się, czy gdyby Rupert dał Posy połowę, a nawet całość swoich dziesięciu tysięcy funtów, ona nadal chciałaby sprzedać swój udział w *chateau* - i przewidywał, że wtedy również nie zmieniłaby zdania. Dziesięć tysięcy to za mało, żeby mogła się utrzymać lub zmienić swoje życie. Szkoda. Jeśli posiadłość pójdzie na sprzedaż, Harry i Kerry zostaną bez domu, a wydawnictwo trzeba będzie zamknąć albo przenieść - posunięcie skomplikowane i prawdopodobnie niewykonalne. Gdyby Rupert musiał gdzieś indziej płacić czynsz, nie mógłby osiągnąć zysków, ale mógłby odnieść sukces, gdyby wydawnictwo zostało tam, gdzie jest. Wszystkie argumenty przemawiały za tym, żeby zatrzymać *chateau*, nawet jeśli był ogromny i zniszczony, jego utrata zaś zaszkodzi niemal wszystkim. Niewielka szansa kryła się w możliwości, że angielski spadek Kerry okaże się na tyle pokaźny, że po zapłaceniu tutejszych podatków będzie mogła wykupić Posy i Victoire. Jednakże wątpił, by starczyło jej na to pieniędzy.

## ROZDZIAŁ 34

Amy miała za sobą tydzień zajęć w szkole gotowania, które upewniły ją, że nie była to umiejętność leżąca poza zasięgiem jej możliwości, a nawet wzbudziły w niej przekonanie, że mogłaby nabrać upodobania dla *patisserie* oraz *puree* - jej *gougere* (pierwsza lekcja) okazało się przepyszne i to samo można było powiedzieć o jej *veloute de chou-fleur*. Wprowadzono ją w tajniki zup *creme*, *legumes* oraz zasad *rotisserie*, które bynajmniej nie oznaczało obracania czegoś na rożnie, ale po prostu pieczenie przy użyciu termometru mierzącego temperaturę w piekarniku i drugiego do mierzenia temperatury mięsa, co także nie okazało się dla mej za trudne. Czy to możliwe, że ta cała kulturalna wyższość Francji opierała się na onieśmiałej aurze tajemnicy, za którą, jak się teraz okazywało, kryło się w istocie tak niewiele? Z niecierpliwością myślała już o niewyobrażalnie skomplikowanych umiejętnościach, jakimi będzie mogła się popisać po skończeniu pełnego pięcioletniego kursu, i wręcz nie mogła się doczekać zaskoczenia, jakie ujrzy na twarzach rodziców i przyjaciół, kiedy wróci do domu.

Nieco inaczej przedstawiała się sprawa języka francuskiego. W tej dziedzinie czuła się mocno opóźniona, choć jej nauczycielka zapewniała ją, że i tak jest lepsza od wielu Amerykanów i nie tak beznadziejna jak Chińczycy i Japończycy, którzy w ogóle nie potrafili go opanować. Nawet jeśli uchwycili zasady gramatyczne, nie byli w stanie niczego poprawnie wymówić. Amy miała przynajmniej wyraźny amerykański akcent, który inni potrafili zrozumieć. Jej nauczycielka francuskiego, mademoiselle Godrion, nie pojmowała, że te pochwały



sprawiły Amy głęboką przykrość i były obraźliwe dla jej azjatyckich przyjaciół. Amy naprawdę chciała brzmieć jak Francuzka, a nie jak Amerykanka. Chciała mówić w sposób nieodróżnialny od Francuzów i w jakiś tajemniczy sposób wraz z językiem chciała przyswoić sobie podstawowe zasady ich kultury, które nadal wydawały się jej całkowicie nieprzeniknione.

Teraz jednak powoli zaczynało do niej docierać, że nic takiego się nie stanie. Zawsze będzie brzmiała jak Amerykanka. Poza wymową również gramatyka stawiała jej pewien opór i na razie nie mogła się spodziewać, że odważy się odezwać na targowisku albo podczas spotkań towarzyskich, choć była przecież osobą pogodną i lubiącą ludzi. Niemniej z mademoiselle Godrion szło jej całkiem nieźle. (*Bonjour, mademoiselle. Comment allez-vous?*). Opanowywała umiejętność czytania, codziennie przedzierając się przez strony „Figaro” i „Pariscope”, ale nie potrafiła uwolnić się od poczucia, że te wszystkie osiągnięcia nie są warte włożonego wysiłku, ponieważ nie czekały na nią żadne specjalne odkrycia, a choćby nawet gdzieś istniały, ona sama nie była na nie gotowa.

Robin Crumley i Posy Venn spędzili popołudnie w małym hotelu przy rue de Lille - w łóżku, gdzie Posy pokazała Robinowi parę rzeczy, jakich sama nauczyła się od Emile'a, choć oczywiście nie wspomniała o tym. Co za niespodzianka, okazało się, że Robin nie jest gejem, choć wypowiadał się mgliście na temat natury swoich dawniejszych doświadczeń. Kiedy zupełnie naga siedziała na nim, jego twarz wyrażała rozmarzony zachwyt; poza tym miał bardzo przyzwoitą erekcję. Prawdę mówiąc, rzeczywiście jeszcze zanim się poznali, czytała kilka jego wierszy i niektóre z najpiękniejszych wersów potrafiła nawet przywołać z pamięci.

W pociągu był całkiem uległy, a nawet dość chętny jak na kogoś, kto wydawał się żyć ponad czy poza seksem, w ogóle nie interesował się żadną ze wspinających Francuzek w hotelu Croix St. Bernard i trzymał się towarzystwa swoich przyjaciół, zaszuszonej pary europejskich bogaczy, chociaż był od nich znacznie młodszy. Okazało się, że ma czterdzieści osiem lat, choć Posy sądziła, że jest nieco starszy. Po raz

pierwszy kochali się jeszcze w pociągu, pod wpływem wspólnie wypitej butelki czerwonego wina, co zmusiło ich do szukania, wśród chichotów, schronienia w wagonowej toalecie. Na szczęście jechali Eurostarem, więc była większa i czystsza niż zwykłe toalety w pociągach. Rezultat był niezbyt zadowalający, choć w sensie technicznym osiągnęli sukces, to znaczy skończyli cały akt, nawet jeśli cała rzecz była trochę niewygodna i pospieszna, bo ktoś próbował wejść do środka, szarpiąc za klamkę. Zapowiadał się obiecujący romans.

Robin był absolutnie zachwycony, że Posy zaproponowała taki sposób spędzenia popołudnia. Dostrzegał teraz z niemal bolesną jasnością, że głęboko zaniedbał wiele aspektów swojego życia. Poprzedniego dnia po przyjeździe na Gare du Nord zadzwonił do madame Desmarais i wymówił się z wizyty u niej, po czym pojechał z Posy do Hotel de Like, gdzie pan Osworthy zarezerwował dla niej pokój. Od tego momentu nie wychodzili z łóżka i jego nastrój osiągnął wyżyny niemal histerycznego zachwytu. Naprawdę, wagina miała w sobie coś!

Pojawienie się Posy w jego życiu wzbudziło prawdziwą burzę pytań o zasadniczym znaczeniu, dotyczących zwłaszcza uczuciowych potrzeb ludzkiego serca, które pragnie miłości. Oczywiście, że tego właśnie pragnie, i proszę, oto zjawiła się ona, piękna niczym panna, które obsługiwały rycerzom przy Okrągłym Stole, kiedy tak się pochyla, by wsunąć jego koszule do hotelowego worka na brudy, albo wypełnia kwit do pralni niczym dobrze zorganizowana, doskonała sekretarka. Jakie to niezwykle i ekscytujące, że pragnie właśnie jego, tym bardziej że jako kochanka była namiętna jak kotka - oto kobieta prawdziwie niezwykłych możliwości.

Ostatnio ogarniało go znużenie życiem, ale teraz zaczynał powoli tracić to poczucie. Z czasem mogłoby go całkowicie opuścić, to była kwestia punktu ciężkości. Przez chwilę bawił się grą słów: ciężenie, powaga i przyciąganie ziemi. Ziemia sama jest metaforą mrocznej siły przyciągania naszego seksualnego ja. Naprawdę nie przywiązywał dotąd wystarczającej wagi do dionizyjskiej strony swojej natury, nazbyt uprzywilejowując olimpijską.

Z państwem Desmarais zamierzał spotkać się później, kiedy się już u nich zatrzyma. Przypomniał Posy, że tego wieczoru jest zaproszony

na koktajl party wydane na cześć Amy Hawkins przez Geraldine Chastine, matkę jej przyrodniej siostry. Na pewno Posy także dostała zaproszenie.

- Tak, ale nie idę. Ty idź, ja nie chcę. Nic chcę więcej widzieć żadnego z nich - powiedziała Posy i położyła się z powrotem na łóżku, zastanawiając się, co powinna teraz zrobić. - Poszukam dla nas innego hotelu. Moja matka i Osworthy zatrzymają się tutaj, co będzie dla nas krępujące.

Victoire razem z Nike i Salome zjawiła się u Geraldine o czwartej, obie dziewczynki przyszły w sukienkach w szkocką kratę i baletkach. Uściskały swoją babcię. Geraldine od razu zauważyła, że Victoire ma wilgotne, zbolałe spojrzenie, jej włosy, zawsze takie puszyste, były przyklapnięte, a oczy zmrużone, z wyrazem jakiegoś zdecydowania. Przyniosła ze sobą walizkę. Nie spieszyła się z wyjaśnieniami, jak gdyby czekała na lepszy moment, ale zabrała ten niewielki bagaż do swojej dawnej sypialni, używanej przez Geraldine jako gabinetu, w którym trzymała dokumenty związane z interesami, papiery do pakowania prezentów i przechowywała ubrania czekające na swoją porę roku. Znowu kłopoty z Emile'em, pomyślała Geraldine.

- *Allez, les enfants, regardez la tele das le bureau de grand-papa.*

Obie dziewczynki, prawie w tym samym wieku, popatrzyły na siebie lekko zaniepokojone i posłusznie odeszły, wytężając słuch.

- *Maman*, rzuciłam Emile'a - wyszeptała Victoire. - Widzę teraz, że to się nigdy nie zmieni. Niektóre kobiety potrafią znosić to... to, co ja musiałam znosić, ale nie ja. Nie chcę, żeby dziewczynki widziały, jak ich matka staje się zgorzkniałą ofiarą. Chcę... chcę się z nim rozstać!

A to co znowu? Czemu właśnie teraz, po, wydawałoby się, tak udanej wycieczce do Valmeri, która przyniosła Emile'owi iście wspańiały *suite*? Albowiem po powrocie z Valmeri Emile wyraźnie poczuł wiatr w żaglach. Jego częste występy telewizyjne w sprawie Joanny d'Arc oraz fakt, że już wcześniej, po debatach przy okrągłym stole, miał niemałe grono wielbicieli, skłoniły Antoine'a de Persanda, który sam niedawno został wiceministrem w rządzie, do zaproponowania Emile'owi roli rzeczownika prasowego ministra. Stanowisko należące

do administracji rządowej otwierało przed Emile'em fascynujące perspektywy wpływów, awansu, a nawet lepszych zarobków. Oficjalnie ogłoszono wiadomość o objęciu przez niego nowej posady.

Geraldine domyślała się, że przypuszczalnie to perspektywa odziedziczenia pieniędzy zachęciła Victoire do tej nagłej manifestacji poczucia niezależności - choć wcale nie otrzyma wiele, jeśli Geraldine trafnie oceniała sytuację. Na pewno nie dość, by mogła się z tego utrzymać do końca życia bez innych dochodów. Zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób ma to wytłumaczyć niepraktycznej córce. Gdyby tylko Victoire bardziej przypominała Amy! - nie mogła powstrzymać się przed gorzką refleksją.

- Wiem, że Emile będzie musiał mi pomagać. Mężczyźni muszą utrzymywać swoje dzieci. Oczywiście, że muszą. Niczego mu nie odpuszczę. Wszystko będzie w porządku. To była trudna decyzja, *maman*, ale wiem, że mam rację... - i tak dalej w tym samym stylu.

Geraldine poczuła się lekko zirytowana upartym brakiem rozsądku u swojej niegdyś takiej słodkiej i cierplivej córki. Jak brzmi to zagadkowe amerykańskie wyrażenie? Robak... coś o robaku.

Dzwonek do drzwi. To na pewno honorowy gość, Amy Hawkins, która zapowiedziała, że przyjdzie wcześniej, by pomóc w przygotowaniach. Geraldine spojrzała na zegarek i zrezygnowała z dalszej dyskusji z Victoire.

- Nie trzeba się spieszyć, *ma chérie*, to skomplikowane: mężczyźni, małżeństwo. Będziemy musiały o tym porozmawiać.

Amy słyszała, że Francuzi rzadko zapraszają do swoich prywatnych domów Amerykanów i innych cudzoziemców, była więc poruszona gestem Geraldine, która postanowiła wydać na jej cześć przyjęcie. Chciała koniecznie mieć jakiś swój wkład w przygotowania, ale Geraldine odmówiła tak zdecydowanie, że zapanował między nimi pewien impas do chwili, gdy Amy mogła ostatecznie zapłacić za szampana, którego Geraldine zamówiła i kazała do siebie przysłać.

Amy cieszyła się na myśl, że ponownie zobaczy swoich przyjaciół z Valmeri: na pewno słodką Victoire, może również irytującego Emile'a, a nawet Robina Crumleya, który zapowiedział się z Londynu.

Cieszyła się, że ujrzy jakieś znajome twarze wśród wielu nieznanych jej gości zaproszonych przez Geraldine. Oczywiście Amy nalegała, aby zaproszenie nie ominęło także Kipa. Jego siostra nadal przebywała w klinice, dokąd Amy na razie jakoś nie dotarła. Wiedziała, że powinna zobaczyć się z Kerry, dla dobra Kipa i z powodu zwykłej amerykańskiej solidarności, ale nie mogła się przemóc. Kerry była taka chłodna, taka zmęczona w pociągu... Amy musiała przyznać przed samą sobą: nie lubiła Kerry. Czyniła sobie wyrzuty z powodu tego ewidentnego braku współczucia i usiłowała sobie wyobrazić siebie na jej miejscu.

Tego wieczoru miała włożyć olśniewającą francuską czarną sukienkę, którą kupiła pod naciskiem Geraldine. W kwestii ubrań Amy zachowywała się z całkowitą uległością, ponieważ Geraldine najwyraźniej uwielbiała wyprawy na zakupy. Przypuszczalnie Victoire nie dostarczała jej okazji do takiego rodzaju przyjemności, gdyż ubierała się elegancko, ale skromnie. Ubrania potrafiły być tutaj bardzo kosztowne. Oczywiście Amy wiedziała o istnieniu sukienek za cztery tysiące dolarów, ale w Palo Alto ich nie widziała. Z pewnością były w San Francisco - Yves St. Laurent i tym podobne marki, które można spotkać wszędzie. Amy zdecydowanie oświadczyła Geraldine, że zamierza kupić tylko jedną taką sukienkę, wytworną i prostą, którą będzie mogła nosić wiele razy. Ze zdumieniem usłyszała, że sukienka, którą kupowały, jest z drugiej ręki, i to w takim eleganckim sklepie, w Palais Royal, w którym sprzedawano wyłącznie czarne sukienki. Dwa tysiące dolarów!

- Ale to jest Balenciaga - wyjaśniła Geraldine.

Kiedy Amy przejrzała w wyobraźni swoją szafę w Kalifornii, uswiadomiła sobie, że obie sukienki, jakie tam wiszą, także są czarne.

- Wygląda na tobie olśniewająco i dobrze leży - powiedziała Geraldine.

Teraz było już za późno na rozważania, czy posłuchać rady Geraldine, która kazała jej obciąć włosy. Amy odmówiła, ale zaczęła się zastanawiać, czy w jej włosach rzeczywiście nie ma czegoś beznadziejnego, skoro wzbudzały tak żywe niezadowolenie osoby w zasadzie obcej. Zastanawiała się także, dlaczego Geraldine tak się o nią

troszczy. Nie chodziło chyba wyłącznie o jej pieniądze. Zaczynała dostrzegać, że Geraldine zależało na wprowadzeniu Amy we francuskie towarzystwo, jak gdyby była jej córką. Może jej prawdziwa córka Victoire nie spełniała nadziei Geraldine na towarzyski sukces - wydawała się zbyt słodka i za mało światowa.

Poprzedniego dnia razem z Geraldine poszły na lunch do wspianiałej restauracji o trudnej do wymówienia nazwie Carre des Feuillants. Uwagę Amy zwróciło towarzystwo pięknie ubranych ludzi siedzących przy sąsiednim stole. Przez chwilę wyobrażała sobie, że jest kimś takim jak oni, swobodnie mówi po francusku, bez wysiłku omawia menu, wie, czego się spodziewać. Wszystkie kobiety ubrane były w suknie od znanych projektantów i nosiły szale. Mężczyźni także byli znacznie bardziej eleganccy niż Amerykanie. Mieli ciemne garnitury, to znaczy pasujące do siebie spodnie i marynarki, do tego dobrze dobrane krawaty, kołnierzyki nieco wyższe, niż widywała w domu, oraz idealnie ostrzyżone włosy. Amy zauważyła, że robi jednak pewne postępy, przynajmniej na poziomie świadomości, skoro potrafi dostrzegać takie subtelne różnice kulturowe jak kołnierzyki, choć wcale nie była pewna, czy myślenie o takich sprawach ocenia jako rzecz godną szacunku. Geraldine także zerknęła w ich stronę. Kiedy jedna z kobiet podniosła się i poszła w stronę łazienki ("*toilettes*", jak jej nakazano mówić, choć brzmiało to trochę zbyt otwarcie), Amy ze zdumieniem usłyszała, że pozostali goście przy stole przeszli na angielski z ciężkim teksaskim akcentem.

- *Bien sur*, Amerykanie. A co myślałaś? Żaden Francuz nigdy nie poszedłby do *toilettes* w środku posiłku - zauważyła Geraldine. - A poza tym ta biżuteria... - Przewróciła oczami, jak gdyby w biżuterii tamtych kobiet było coś w zupełnie oczywisty sposób niefrancuskiego; Amy wydawała się całkiem w porządku.

W Valmeri Amy wielokrotnie słyszała, co ludzie mówią o głosach Amerykanek. Martwiło ją trochę, że sama nie potrafiła tego czegoś usłyszeć, ale miała nadzieję, iż dzięki lekcjom śpiewu to coś zniknie z jej głosu. Miała także inne pomysły w sprawie samodoskonalenia się, ale często nawet jej, osobie, która praktycznie sama zorganizowała

całą korporację, wydawało się niemożliwe, żeby to wszystko zrealizować. Na szczęście Geraldine, Tammy i pozostałe kobiety miały znajomości i zdołały znaleźć dla niej nauczycielkę śpiewu równie łatwo jak szkołę gotowania i nauczycielkę francuskiego.

Geraldine zaprosiła na ten lunch jeszcze dwie inne Amerykanki. Amy z miejsca je znenawidziła: Dolly Martin i Elaine Deutz, dwie zadbane amerykańskie rozwódki zbliżające się do czterdziestki, które niedawno przyjechały do Francji z bardzo do Amy podobnych powodów, a ponadto liczyły, że uda im się znaleźć francuskiego męża. Dolly pochodziła z Connecticut, Elaine z Redwood City. Obie zostały przyjaciółkami i protegowanymi Geraldine, nosiły eleganckie kostiumy oraz buty na wysokim obcasie i nakładały perfumy we francuskim stylu. Dzięki temu Amy uświadomiła sobie, że Geraldine tak naprawdę nie rozumiała Amerykanów. Gdyby ich rozumiała, pojęłaby, że ona, Amy, nie może mieć nic wspólnego z tymi wesołymi i w opinii Amy kompletnie durnymi kobietami, które poza tym były strasznymi snobkami na punkcie innych Amerykanów mieszkających w Paryżu.

- Poznałam cudownego chłopca, odpowiedzialnego za kwiaty w Georges Cinq. Ma budżet w wysokości pięćdziesięciu tysięcy euro miesięcznie. Poza tym po cichu układa kwiaty dla Dany Whittaker. Tyłko sobie wyobraź! Naprawdę Francuzi nie mają pojęcia, kto jest kim.

- Czy zostałeś już zaproszona do ambasady? Obrazy są w porządku, ale przystawki naprawdę banalne.

- Roachesowie mają *chateau*, ale to jest jedynie dziewiętnastowieczne *chateau*.

- Och, można by się założyć, że zrobiła szkołę gotowania Etoile i może nawet potrafi przyrządzić *terrine de foie gras*. Ale nadal nie umie ugotować jajka.

W dniu lunchu z Geraldine ponownie wypłynęła sprawa Joanny d'Arc. W następstwie jakichś tajemniczych procesów francuska prasa wydobyła skądś stare zdjęcie prasowe Amy, fotografię zrobioną w chwili sprzedaży Dootelu. Amy stała na niej nieco z tyłu, za Benem i Forrestem, i wszyscy trzymali w rękach jakieś papiery uśmiechnięci szeroko. Francuski podpis głosił: „Dziedziczka fortuny firmy telekomunikacyjnej

zamieszana w alpejską tragedię". Podobnie jak w amerykańskiej notatce prasowej przypomniano o grożącym jej cywilnym procesie, informując jednocześnie, że w tej sprawie „toczy się śledztwo”.

Natychmiast zadzwoniła do Sigrid, a potem do Londynu, do pana Osworthy'ego, żeby się dowiedzieć, co to wszystko znaczy. Osworthy pocieszył ją, że nie słyszał o procesie, w który ktoś z nich byłby zamieszany. Nawet gdyby jednak pojawiło się jakieś oskarżenie, on na pewno nie ma z tym nic wspólnego. Przypuszczalnie jej nazwisko wypłynęło, ponieważ to ona wynajęła samolot do przewozu Venna. Dochodzenie stanowi zapewne rutynową procedurę przy takich wypadkach, zwłaszcza jeśli pamiętać, ile uwagi prasa i telewizja poświęcały Adrianowi Vennowi jako jednemu spośród ofiar wymienionemu z imienia i nazwiska. Amy najbardziej zirytowało to, że nazwano ją dziedziczką jakiejś fortuny, choć przecież sama zarobiła te wszystkie pieniądze. Ale nie sposób było tego sprostować, podobnie jak innych prasowych doniesień.

- Amy, czy jesteś pewna, że nic ci tam nie grozi? Czy oni... nie napadają na Amerykanów? Co tam się dzieje?

- Gdzie?

- W Paryżu. Tam gdzie jesteś. Wojna... czytałaś chyba te straszne teksty, jakie się tutaj ukazują.

- Naprawdę? Nie. Wszystko jest w porządku - zaprotestowała Amy. Co, u licha, Sigrid właściwie czytała?

Ponieważ Amy nigdy wcześniej nie odwiedzała Geraldine, nie wiedziała, czego się spodziewać. Była nieco rozczarowana, choć może należałoby raczej użyć słowa „zaskoczona”. Mieszkanie Geraldine było duże i wygodnie umeblowane antykami, ale Amy nie dostrzegała wspaniałości, jakie sobie wyobrażała, myśląc o francuskich wnętrzach. Zobaczyła pokoje nieco wyższe niż normalnie, beżowe zasłony i dywan od ściany do ściany oraz współczesny stolik do kawy w salonie. Jedynie żyrandol w jadalni i szafa z jasnego orzechowego drewna mówiły „Francja” wystarczająco głośno jak na potrzeby Amy; reszta równie dobrze mogła oznaczać „Nowy Jork” albo „Londyn” (co nie znaczy, że spędziła wiele czasu w którymś z tych miast). Zauważyła jednak,



że obrus z ciężkiego płótna, pozbawiony znaków herbowych, mógł śmiało pochodzić z kolekcji samego eksperta, Herr Hoffmannstucka. Wyglądał, jakby od wieków spoczywał pod jakąś starożytną prasą do prasowania obrusów, zanim znalazł się w posiadaniu Geraldine. Amy usiłowała sobie wyobrazić wyprasowanie go żelazkiem, ale przekraczało to możliwości jej wyobraźni.

Ponownie rozległ się dzwonek do drzwi. Świeżo przybyłym okazał się Emile Abboud, z pewnością zięć bardzo mile widziany i najwyraźniej podziwiający Geraldine. Amy zauważyła ich czułe powitanie, pełne wzajemnego zrozumienia, zupełnie nieprzypominające znanych z sitcomów stereotypowych relacji teściowej i zięcia. Być może Emile ma jakąś pozytywną stronę swojej natury; zawsze trzeba być przygotowanym na zmianę opinii o kimś, kogo wcześniej się surowo osądziło. Geraldine pospiesznie podeszła do niego, zanim zdążył wyjść z przedpokoju.

- Emile - powiedziała - jest tu Victoire z dziewczętami.

Spojrzeniem wskazała mu, gdzie należy się spodziewać Victoire. Przybiegły dwie olśniewająco ciemnowłose dziewczynki i rzuciły mu się w ramiona i nawet wynajęty na ten wieczór barman odwrócił się, żeby mu się przyjrzeć. Nie sposób było nie zauważyć małego zamieszania, jakie wywoływał wszędzie, gdzie się pojawił, podobnie jak to było w hotelu Croix St. Bernard.

- Nie ma o czym mówić - odezwała się Victoire do Geraldine i Emile'a, stając za plecami matki. - *Rien a dire.*

- Salome i Nike, *les enfants, allez a la cuisine, je viendrai vous donner a manger* - powiedziała ponownie Geraldine.

Dwie małe dziewczynki jeszcze raz posłusznie pobiegły do innego pokoju. Emile oddalił się bez słowa w stronę baru, który zainstalowano w jadalni. Geraldine powiedziała do Victoire coś, czego Amy nie dosłyszała, choć było to proste zdanie po francusku, które mogła zrozumieć.

- Oczywiście, że go kocham *maman*, on jest *l'homme de ma vie.*

- Więc spróbuj zrozumieć mężczyzn, *cherie...*

- *Non, maman.* Można wybaczyć jedynie mężczyźnie, którego się nie kocha - oświadczyła Victoire.

Amy zorientowała się, że doszło do jakiegoś dramatycznego spięcia między Geraldine a Abboudami, i postanowiła dyskretnie wycofać się w stronę swojego płaszcza. To najlepszy moment, by pójść po kwiaty, o których zapomniała po drodze. Nie powinna przysłuchiwać się rodzinnej scysji, choć może chodzi jedynie o to, że Emile się spóźnił, mimo że proszono go, aby przyszedł wcześniej. Jego uwikłanie w domową kłótnię przypomniało jej, że Emile jest mężczyzną żonatym. Z tego, co Amy dowiedziała się od Geraldine podczas lunchu, finansowa sytuacja Emile'a i Victoire była teraz całkiem obiecująca - on miał nową pracę, a ona dostanie trochę pieniędzy z *chateau* i *vignoble*, nieoczekiwany łut szczęścia. Amy szybko wyszła na klatkę schodową, słysząc za sobą podniesiony głos Geraldine, która usiłowała przemówić córce do rozsądku.

Na ulicy kupiła tulipany i przez dwadzieścia minut oglądała różne rzeczy na wystawach okolicznych sklepów z antykami, w których ceny były tak wysokie, że nawet nie warto o nich wspominać. Za nic nie weszłaby do żadnego z tych antykwariatów ani też nie miała najmniejszej ochoty na te dziwne stoły z nogami zakończonymi jakimiś szponami albo lustra ze skrzydłami. Pochodzące, jak wiedziała, z czasów Napoleona. Dziwne, że człowiek, który odegrał tak złowrogą rolę w historii, mógł tak znacząco i niefortunnie odcisnąć się na stylu dekoracji wnętrz. Pan Abboud na pewno potrafiłby to jakoś wytłumaczyć.

Kiedy wróciła z ogromnym bukietem, okazało się, że napięcie już minęło, pojawiło się za to wielu nowych gości witanych przez Geraldine oraz wynajętą na tę okazję pokojówkę, której Geraldine chwilę wcześniej pokazała, jak posługiwać się domofonem. Amy także kręciła się w okolicach drzwi, uważając, że jako bohaterka wieczoru powinna dopilnować, aby przedstawiono ją wszystkim nowo przybyłym. Nadeszły Tammy i Wendi oraz Elaine Deutz, ta z lunchu, a później jej przyjaciółka Dolly Martin.

Zjawił się także pan Osworthy, a wraz nim kobieta, którą przedstawiono jej jako panią Pamelę Venn - najwyraźniej matka Ruperta i Posy. Pamela Venn i Geraldine od razu zapalały do siebie sympatią. Jedna mocno zbudowana i taka angielska, z pięknymi białymi włosami

i kwiecistą, nieco za długą sukienką; druga zręcznie ufarbowana i ubrana w jeden z szytych na miarę kostiumów, sprzedawanych w butiku za Madeleine. Umówiły się, że zjedzą razem lunch w środku tygodnia.

- Ale miałam taką nadzieję, że poznam Posy i Ruperta! - zawołała Geraldine.

Osworthy i Pamela wyjaśnili, że Rupert przyjedzie do Paryża na weekend. Nie wspomnieli ani słowem, że martwią się trochę o to, gdzie się podziewa Posy. Powiedzieli jedynie, że miała przyjechać poprzedniego dnia, przywożąc prochy Adriana, ale nie zastali jej w hotelu. Nie można wykluczyć, że wybrała się już z prochami do wdowy po Adrianie. Obie kobiety stosowną miną zaznaczyły, jak bardzo jest im obojętny los tych prochów. Pam opowiedziała o oburzającej zemście Adriana na buntowniczej Posy, zapisie testamentowym wysokości dziesięciu funtów.

- Dzięki Bogu coś takiego nie może wydarzyć się we Francji - powiedziała Geraldine.

Amy nie uświadamiała sobie wcześniej, że Emile zajmuje się polityką, co wyjaśniałoby jego nieustanne szowinistyczne krytyki kierowane pod adresem USA. Sama wielokrotnie słyszała w Valmeri, jak wygłaszał dogmatyczne analizy wydarzeń historycznych, które zawsze wypadały na niekorzyść Amerykanów. Innym razem, mówiąc o jakimś odznaczeniu, powiedział:

- Oczywiście to coś znaczy. To brytyjski medal. Tylko Amerykanie rozdają orderzy za to, że ktoś się w ogóle pofatygował na front.

Amy nie podobało się wtedy, że Robin Crumley nawet nie próbował zaprotestować.

Właśnie w tym momencie Emile, przechadzając się po salonie, wygłaszał w odpowiedzi na czyjeś pytanie kolejną diatrybę na swój ulubiony temat.

- Myśli pan, że Amerykanie dopiero teraz źle postępują? Można sięgnąć pamięcią do czasów wojny w Algierii - ta wojna naprawdę wybuchła z winy Amerykanów. Po inwazji w roku 1942 rozdawali ulotki nawołujące do wyzwolenia ludów skolonizowanych. Nie chcę przez to powiedzieć, że odmawiam prawa do wolności *un peuple colonise*, ale to było bardzo niefortunne, doprowadziło do frakcyjnych podziałów i zapoczątkowało procesy polityczne, na które Algieria nie była jeszcze

przygotowana. A do tego stanowiło kolejny cios we francuską armię, która rzekomo była sojusznikiem USA.

Amy chętnie stanęłaby w obronie Ameryki, ale nie miała zielonego pojęcia o wojnie w Algierii, nigdy o niej nie słyszała.

- *Tiens*, nie wiedziałem, że jesteś Algierczykiem - powiedział ktoś do Emile'a, na co ten zmarszczył brwi.

- Prawdę mówiąc, nie jestem.

Amy pomyślała, że Victoire byłaby idealną żoną polityka, jest taka opanowana i kulturalna, i niezainteresowana Algierią ani medalami. Amy spróbowała sobie wyobrazić samą siebie w roli żony polityka. Chyba żadne mniejsze wyzwanie nie byłoby warte trudu bycia żoną. Nagle poczuła, że to jest właśnie coś, czego najbardziej pragnie na świecie. Czy Victoire wiedziała, jaka jest szczęśliwa, że może odgrywać taką rolę?

Amy nie spodziewała się, że zobaczy tu barona Ottona von Scheussla, który widocznie także należał do licznego grona znajomych zdumiewającej Geraldine. Wzdrygnęła się lekko na widok jego dobrze znajomej twarzy budzącej kłopotliwe skojarzenia. Ucałował jej dłoń i stuknął obcasami.

- Odprowadzę cię domu - wyszeptał z niedostrzegalnym skinieniem w stronę drzwi. - Kiedy tylko będziesz mogła stąd wyjść.

- Och, nie, będę musiała tu chyba zostać do końca - przypomniała mu Amy, ale obiecał, że i tak na nią zaczeka.

Stwierdziła, że w nieco perwersyjnym sensie jest zadowolona, że go widzi. Ich wspólne chwile, nawet jeśli ich potem żałowała, oznaczały przynajmniej, że baron jest jej przyjacielem. Znowu ogarnęło ją poczucie głębokiego osamotnienia, wrażenie samotności w tłumie. I choć nie miała skłonności ani do introspekcji, ani do użalania się nad sobą, uświadomiła sobie, że nawet jeśli fortuna tak bardzo jej sprzyja, coś stale jej umyka. Ale nie miała pojęcia, co to takiego.

Można było pomyśleć, że przyjaciele Geraldine zgromadzeni w jej salonie stanowią prawdziwe uosobienie Francji: ożywieni, szczupli ludzie, uperfumowane kobiety z idealnymi torebkami, mężczyźni w garniturach i w krawatach. *Cravate*, pomyślała Amy, mężczyźni

w Palo Alto w ogóle ich nie nosili i może dlatego każdy krawat robił na niej wrażenie czegoś szalenie europejskiego i eleganckiego. Wielu mężczyzn miało w klapie marynarki niewielkie odznaki albo malutkie czerwone wstążeczki. Odgłosy rozmów składały się w sumie na inne wrażenie, niż dawałoby pomieszczenie pełne Amerykanów, inne nawet od międzynarodowego szmeru gości hotelu w Valmeri mówiących kilkunastoma językami w barze po kolacji.

Jakiś Francuz pocałował ją w dłoń. A więc nadal ludzie to robią! Zasady wzajemnej pomocy obowiązujące we Francji nakazywały przywiązywanie dużej wagi do uprzejmości, która wydawała się emanować intensywnie z wszystkich przyjaciół Geraldine. Amy dostrzegła francuskiego prawnika, z którym usiłowała porozmawiać w Valmeri - Antoine'a de Persanda - i który z jakiegoś powodu interesował się sprawami dzieci Venna, a okazał się tak niechętny do pomocy Kipowi i Kerry. Spoglądał na nią z pewnym zaskoczeniem, jakby nie potrafił dopasować jej do rok honorowego gościa przyjęcia Geraldine, i ewidentnie nie kojarzył jej z kłopotliwą cudzoziemką, która wtrącała się w Valmeri w nie swoje sprawy. Mimo to z całą galanterią skłonił się nad jej dłoń. Oczywiście w swojej olśniewającej sukience czuła się kimś zupełnie innym niż kobieta w stroju narciarskim, jaką widział poprzednio. Obok niego stała jakaś pani w jego wieku, którą Amy widziała pierwszy raz w życiu.

- Czy jego żona urodziła już dziecko? - Amy spytała Geraldine.  
- W Valmeri była w mocno zaawansowanej ciąży.

Geraldine zastanowiła się sekundę.

- Hm, pewnie masz na myśli Clare. Rzeczywiście słyszałam, że jest w ciąży. To jego kochanka. Czy dziecko jest Antoine'a, czy jej męża... o tym się nie mówi.

Amy zauważyła w pewnym momencie, że Victoire co jakiś czas z zacisniętymi ustami spogląda na Emile'a, który zagłębiał się w poważną rozmowę z Antoine'em de Persandem albo perorował otoczony przez eleganckie panie, albo, jeśli akurat z nikim nie rozmawiał, stał zamyślony lub konferował na stronie ze swoją teściową. Nie ulegało wątpliwości, że Geraldine tylko częściowo jest myślami przy swoim przyjęciu, ponieważ równie intensywnie pochłaniało ją coś zupełnie

innego, może coś związanego z nową pracą jej zięcia. Przypuszczalnie wywołuje ona jakieś niesnaski w rodzinie i jest źródłem napięć obserwowanych wcześniej przez Amy. Ale to były tylko jej przelotne wrażenia, kiedy patrzyła na Emile'a idącego przez salon. Niczym zgodny polityczny tandem Victoire i Emile pracowali w przeciwległych końcach pomieszczenia i na widok drugiego każde z nich od razu wkraczało na jakieś świeże terytorium. Amy zauważyła, że Emile i Victoire nie zmienili ze sobą dotąd ani słowa - idealny zespół działający w milczącej harmonii.

Geraldine starała się trzymać blisko Amy i niestrudzenie przedstawiała ją wszystkim gościom niczym jakaś wiktoriańska matka; w każdym razie tak to wyglądało w oczach Amy, która wolałaby raczej schować się w kącie i porozmawiać z Kipem. Żle się czuła w roli bohaterki wieczoru. Pamiętała, że bogata amerykańska dziewczyna stanowi typowy element francuskich wyobrażeń, a może nawet francuskich doświadczeń, o krzykliwej wulgarności lekko tylko maskowanej dobrocią serca i pieniędzmi. Momentami czuła niejasną obawę, że może sama pasować do tego obrazka. Mimo to francuscy goście Geraldine prześcigali się wobec niej w uprzejmościach i kilkoro z nich zaprosiło ją do swojego *chateau*, wiejskiego domu albo na wycieczkę w ulubione malownicze miejsce. Amy nie miała ochoty wyjeżdżać z Paryża, ale musiała przyjąć kilka zaproszeń. Nie budziły w niej sprzeciwu, tylko lekkie niezadowolenie, że jej przyszłość wypełnia się licznymi wizytami. Wszyscy Francuzi dla odmiany chcieli zobaczyć Las Vegas - co za szczęście, że ona tam nie mieszka! - jednak żaden z nich nie wspominał o pragnieniu odwiedzenia Palo Alto, jakkolwiek chyba słyszeli coś o Stanfordzie i Dolinie Krzemowej.

Amy zauważyła, że przedstawiając każdego Anglika, Geraldine zaczynała od wyrażenia "*nos amis les Anglais*", nasi przyjaciele Anglicy, które wypowiadała tonem wskazującym niezbitcie, że Anglicy cieszyli się mniejszą sympatią nawet od Amerykanów. Niemniej wydawało się, że Geraldine jest autentycznie zachwycona faktem, że może przedstawić sobie nawzajem tak wybitne postaci literackie, jak Estelle d'Argel i Robin Crumley. Nazwisko tego ostatniego utkwiło w pamięci Amy dzięki skłonności do zapamiętywania nazwisk umieszczonych pod

niewielkimi fotografiami uczestników paryskich przyjęć, zwykle związanych z modą, zamieszczanymi na frontowych stronach „Vogue'a” albo „L'Officiel”. Nie bardzo potrafiła zrozumieć, czemu dobrze ubrani Francuzi uczestniczyli w nieustannych komercyjnych przyjęciach organizowanych przez firmy kosmetyczne z myślą o promocji „Mystere, *le nouveau parfum de...*” albo tłoczyli się, żeby kupować diamenty! Sama była na jednym z takich przyjęć przy placu Vendôme. Doprawdy, skąd ten pomysł Geraldine, że ona, Amy, mogłaby w ogóle pomyśleć o zakupie diamentu, ale datek w wysokości 250 dolarów przeznaczony na restaurację starych wiatraków wydawał jej się ideą wystarczająco szlachetną, by nie musiała go żałować.

Estelle i pan Crumley mogli zapewne bez trudu spotkać się wielkim świecie literatury, ale tak akurat się nie stało. Żadne z nich nie przejawiało najmniejszej świadomości istnienia drugiego, choć uśmiechali się do siebie życzliwie.

- Oczywiście, że nigdy nie czytałam ani słowa z jego wierszy - powiedziała później Estelle. - *Un Anglais et un poet?*

Robin, choć powiedział: „Co za zaszczyt, madame”, wydawał się równie nieubłaganie niezorientowany. Dzieliła ich ogromna przepaść narodowości, gatunku literackiego i płci, ponieważ pisarze mężczyźni rzadko czytają dzieła swoich koleżanek po piórze, biednych istot skazanych na walkę o uwagę w cieniu mężczyzn, którzy ścigają się ze sobą, pędząc ku wielkości niczym wspaniale żaglowce. Poza tym poeci nie czytają prozy i vice versa. Nie trzeba dodawać, że powieści Estelle nigdy nie zostały przełożone na angielski, choć jakiś zapalony uczeń Robina przetłumaczył jego wiersze na francuski i rozsyłał do francuskich gazet, które od czasu do czasu publikowały jeden albo dwa.

Natomiast Emile i Robin Crumley byli zachwyceni swoim ponownym spotkaniem. Wymienili pocałunki w oba policzki i pokleпали się po ramionach, co Amy wydało się dość dziwne jak na zachowanie mężczyzn, a już na pewno nie angielskie, niezależnie od francuskich zwyczajów czy włoskich filmów, gdzie mężczyźni się całowali.

- Emile, mój drogi! Jak miło cię widzieć. Przynajmniej wszyscy jesteśmy w miejskich strojach, *alors*, jak to mówicie. I Amy taka odmieniona, przeobrażona z alpejskiego duszka w tę *mondaine* istotę,

jaką tutaj widzimy! Ech, szczerze mówiąc, jak wspaniale być *en ville* - pamiętasz naszą śnieżną eskapadę? Mogliśmy zginąć, ludzie dziesiątkami giną podczas zimy, spadają w przepaść, zamarzają z wyczerpania. Niewiele brakowało!

- Crumley, wyglądasz bardzo dobrze! Kiedy tu przyjechałeś?

- Wczoraj. Tak, tak, rzeczywiście czuję się świetnie. Dobrze mi służy cieplejszy klimat Paryża - przyznał Robin. Wydawał się emanować życzliwą sympatią do wszystkiego, co francuskie, i wielkomięską pogodą ducha. - Popatrz na Amy, jej też miasto służy.

Emile zdążył już zwrócić na to uwagę. W miękkim świetle lamp salonu Geraldine z Amy rzeczywiście promieniowało coś, czego wcześniej u niej nie dostrzegął. Być może ośrodek narciarski ma jakieś usredniające działanie, które znika w bezlitośnie antyegalityarnym świetle Miasta Świąteł. Tutaj jej uroda jaśniała, a nawet lśniła pełnym blaskiem. Pomyślał, że wolałby, aby się nie odzywała, ale ona sama instynktownie zdawała sobie sprawę z tego, że powinna mówić jak najmniej. Uśmiechała się i zamieniała kilka nieśmiałych słów z każdym z gości. Prezentowała się całkiem nieźle. Doprawdy, Crumley - gdzie on się podział? - okazał się całkiem bystry jak na Anglika. Jakie to przenikliwe z jego strony, że dostrzegł w Amerykance ogromne pieniądze. Wbrew sobie Emile poczuł się nieco oszołomiony.

Podobno te bogate dziewczęta są zawsze niespokojne i nieszczęśliwe i trudno im dogodzić, więc może Crumley lepiej zrobił, dla własnego dobra, że dał za wygraną. Jednak patrząc na nią, Emile nie zauważył oznak niepokoju. Otrząsnął się z rozmyślań i tak miał inne sprawy na głowie: męczące zachowanie Victoire - które zresztą pewnie wkrótce jej przejdzie - oraz początki międzynarodowego kryzysu, który będzie musiał odpowiednio przedstawić prasie. Mimo to uprzejmość nakazywała, by i on porozmawiał z dziedziczką amerykańskiej fortuny.

- Podoba się pani Paryż? Jak pani spędza tutaj czas?

Uśmiechnęła się do niego skromnie.

- W poniedziałek, środę i piątek lekcje francuskiego, we wtorek i czwartek szkoła gotowania, każdego popołudnia *visite guidee, musees*



- rozmaite *musees* każdego popołudnia oprócz wtorku, gimnastyka między piątą a szóstą... Mam nadzieję, że uda mi się jeszcze dorzucić lekcje fortepianu - powiedziała jedynie w połowie żartem.

- Pani życie przypomina pierwszy akt opery, w którym *jeune fille* chodzi do krawców, fryzjerów, na lekcje muzyki i uczy się kilku słów po francusku - młoda kobieta, którą inni starają się wydać za męża.

- To nie moja historia - powiedziała Amy.

- J a k i więc jest cel tych wszystkich starań?

Amy była zaskoczona. Czy doskonalenie samego siebie nie jest oczywistą cnotą?

- Cóż... chodzi o to, żeby każdego dnia być lepszym pod każdym względem. To amerykańska obsesja. - Świadomie użyła strasznego słowa na „a”, które, jak zauważyła wcześniej, działało na niego jak czosnek na wampira. Ale tym razem nawet się nie skrzywił.

- Czy pani projekt osobistego doskonalenia się nie polega raczej na dogadaniu sobie? Człowiek nie musi mieć idealnych mięśni brzucha i wszechstronnej wiedzy na temat tajników *patisserie*. Większość z nas musi nauczyć się żyć ze swoimi wadami albo po prostu pracować nad nimi podczas weekendów.

- A b s .

- Co?

- Tak mówimy na mięśnie brzucha, „abs”.

- Tak. To amerykańska obsesja. A poza tym i tak nie to chodzi.

- Ach tak, my, Amerykanie, jak zawsze nie wiemy, o co chodzi. Zaczynam to rozumieć. - Mówiła ironicznym tonem, który jednak nie brzmiał zbyt przekonująco. - I tak nie robię tego dla siebie - dodała. Ale czy rzeczywiście?

- Naprawdę? A więc dla kogo?

- Dla innych. Pragnienie, żeby być możliwie najlepiej poinformowanym i w najlepszej formie, to gest współpracy ze światem.

- Albo zwykła próżność przebrana za protestancką cnotę.

- Praktyki wielu religii obejmują ćwiczenia fizyczne: posty, stanie na głowie - powiedziała Amy. - W mojej religii to są brzuszki.

- Religia własnego ja.

Był naprawdę nieznośnie sentencjonalny, ale tym razem miała wrażenie, że przynajmniej stara się być przyjazny, tylko po prostu nie wie, jak to zrobić.

Ktoś przedstawił sobie Robina Crumleya i Pamelę Venn. Jeśli chodzi o wiek, bliżej mu było do niej niż do jej córki, ale nie zastanawiał się nad tym dłużej. Pomyślał, że jest całkiem atrakcyjna - miło zobaczyć, jak Posy będzie kiedyś wyglądać.

- Oczywiście miałem przyjemność poznać Posy i Ruperta w Valmeri - powiedział. - Bardzo inteligentna dziewczyna, robi duże wrażenie.

- To było dla nich takie trudne - odpada Pamela. - Jestem bardzo dumna z nich obojga - dodała.

Robin przez moment kompletnie nie wiedział, o czym ona mówi, póki sobie nie przypomniał: no tak, pewnie chodzi o śpiączkę ojca, tego łajdaka, który potraktował Posy tak okropnie.

- Tak się cieszę, że pana poznałam - mówiła Pamela dalej. - Zdaje się, że mamy wspólną przyjaciółkę, Drusillę Able, szefową Towarzystwa Czytelniczego w Północno-Zachodnim Londynie. Wiem, że niedawno miał pan wspaniały wieczór autorski w Regents Park Mechanics Hall...

- Hm, tak, rzeczywiście - przyznał Robin, choć nie bardzo mógł sobie przypomnieć to wydarzenie i nie miał zielonego pojęcia, kim jest Drusilla Able.

Kip opowiadał Emile'owi o swojej szkole o wiele bardziej szczegółowo, niż Emile miał na to ochotę.

- Ale nie jest tam tak źle. Jest mnóstwo Amerykanów. Chciałbym jednak w przyszłym roku wrócić do Oregonu. Należę do drużyny narcyarskiej. Gdybym wrócił teraz, miałbym tylko jeden miesiąc sezonu, ale na razie powinienem zostać tutaj, z Kerry. Czuję się lepiej, lecz bardzo powoli dochodzi do siebie... - Podał wiele innych szczegółów na temat rekonwalescencji Kerry, a nawet stanu jej umysłu. Z jego słów wynikało, że jest bardzo zaabsorbowana swoją nadprzyrodzoną wizją.

Emile ze zdumieniem dowiedział się od Kipa, że Kerry umieszczono w Clinique Marianne, znanym ośrodku odwykowym i zakładzie psychiatrycznym, który zyskał sławę w czasach Cocteau. Czy w jej chorobie kryło się coś więcej niż to, o czym mówiło się otwarcie?

Czy raczej po prostu klinika oferowała wygody (a nawet luksusy dla bogatych klientów) oraz dodatkowe miejsce dla małego Harry'ego i jego opiekunki? Emile mógł z łatwością wyobrazić sobie prywatne apartamenty chorych i przyjazną obsługę legendarnej kliniki - rzecz całkiem zrozumiała przy tamtejszych stawkach - i zaczął się zastanawiać, czy Amerykanka zapłaciła i za to, czy też pieniądze pochodziły z masy spadkowej majątku Venna. Sam nie miał zamiaru poruszać tej kwestii, ale ktoś powinien się tym zainteresować, przypuszczalnie angielska rodzina, i to dość szybko. Kip dalej ochoczo opowiadał Emile'owi o swoim życiu, jednak najwyraźniej starał się unikać Amy Hawkins, choć korzystał z jej wspaniałości. Emile zauważył, że gdy Amy rozglądała się w poszukiwaniu Kipa, chłopak odwracał wzrok albo patrzył w ziemię. Amy także to zauważyła.

Emile pomyślał, że życie w zamknięciu, w jakiejś szkole w Wersalu, musi być trudne dla Kipa. Tutaj chłopak najwyraźniej czuł się bardzo dobrze wśród znajomych twarzy, jak Rupert i Crumley i Amy Hawkins. Emile wiedział, że Amy niefortunnie zaangażowała się w sprawę przewiezienia ojca Victoire, ale nie wiedział, aż do chwili, gdy wyznał mu to Kip, że to ona załatwiła mu szkołę i zaproponowała, że sfinansuje jego podróż do Ameryki, gdyby chciał wrócić do swojej poprzedniej szkoły.

Wszyscy, a zwłaszcza Amy, z pewnym zaskoczeniem zorientowali się, że paryżanie nadal interesują się Joanną d'Arc, przy czym jej rzekome pojawienie się traktowane jest jako „psychotyczna aberracja”, autentyczne „nawiedzenie” albo „amerykańska agresja”. Każde z tych sformułowań padało *entre guillemets*, jak gdyby mówiący obawiali się, że mogą dokonać błędnego wyboru wśród tych ewentualności, zważywszy na to, jak bardzo nieprawdopodobne wydawało się to całe zdarzenie. Przeglądając amerykańską prasę, Amy śledziła narastającą falę protestów głównie w Waszyngtonie, ale i w Kalifornii, na temat braku przejrzystości w poczynaniach rządu dotyczących działań militarnych. Miało to zagrażać obecnie nawet Europie, o czym dobitnie świadczyła alpejska tragedia. Pod wpływem niewielkich demonstracji rzecznik prasowy Białego Domu wydał oświadczenie, w którym zdecydowanie zaprzeczał, jakoby amerykańskie samoloty znajdowały się kiedykolwiek

w pobliżu Alp, nie mówiąc już o tym, żeby przelatywały na tyle nisko, by spowodować lawinę. Protestujący odpowiedzieli swoim oświadczeniem, w którym dawali wyraz niedowierzaniu, i wysuwali hipotezę o planowanej eskalacji wojny na Bliskim Wschodzie albo na Bałkanach.

Podobne stanowisko zajmowała poważna prasa francuska, przewidując przypadkowe amerykańskie interwencje zbrojne, może nawet w Europie - do tego stopnia nie ufano politykom zza oceanu. Jednocześnie większość gazet lewicowych przypuszczała, że dojdzie do niezgodnej z prawem współpracy francuskiego rządu z nikczemnymi Amerykanami. Popularna prasa francuska skupiała uwagę bardziej na opowieściach o ukazaniu się Joanny d'Arc niż na dyskusjach o politycznym znaczeniu tego faktu. Przy okazji poświęcono wiele tekstów „zagadce Alp” oraz utrzymującym się tam przesądom, które symbolizowały narodowe aspiracje Francuzów. „Postać ukazująca się umysłowi osoby wybranej, czyli świadka, ma równie wielkie znaczenie także dla nas pozostałych”, zawyrokował ojciec Ruiz, szanowany duchowny z Lyonu. Geraldine zgromadziła kilka wycinków na ten temat, które Amy ze słownikiem w ręku pracowicie tłumaczyła na własny użytek.

- Święta Joanna, cokolwiek byśmy sądzili na temat jej materialnej obecności, nadal zachowuje siłę inspirującego symbolu swoją odwagą i szczerością, wiarą w siebie - mówił Emile w małym kręgu wielbicieli.

Jeśli chodzi o Joannę d'Arc, pan Osworthy miał dla Amy dobrą wiadomość znaną w „Le Monde”.

- Nikogo tam nie było pod śniegiem, w każdym razie nikogo nie znaleźli. Nie wykluczają jednak ponurej niespodzianki na wiosnę.

- Dobra wiadomość - ucieszyła się Amy, zastanawiając się, czy w podtekście nie chciał przez to powiedzieć, że zwłaszcza ona z ulgą słyszy, iż nikt inny nie zginął w tym miejscu. - Skąd mogą o tym wiedzieć?

- Chyba sondują teren albo badają za pomocą fal radiowych. Ale jest także jedna zła wiadomość, a przynajmniej powód do niepokoju. Zadzwoń jutro do pani w tej sprawie. Zdarzyło się coś dość paskudnego, coś w związku z Kerry i Kipem. Zadzwoń jutro z samego rana.

- Dobrze, ale co? Może mi pan powiedzieć teraz.

- Kerry zachowuje się dziwnie, wojowniczo, jest nieszczęśliwa po śmierci męża.

- Całkiem naturalne.

- Porozmawiamy o tym rano.

Amy postanowiła poszukać Kipa.

- Kultura amerykańska to oksymoron - mówi Emile do kogoś po angielsku. - Żeby nie wiem jak bardzo jej pragnęli i żeby nie wiem jak bardzo puste było bez niej ich życie - stąd ich obsesja na punkcie pieniędzy - nie ufają kulturze w sensie europejskim. Pomyślcie tylko, jak nieludzko potraktowali swojego najbardziej błyskotliwego pisarza, zapomnianego geniusza Poego.

Amy nigdy wcześniej nie słyszała, żeby Poe był najbardziej błyskotliwym amerykańskim pisarzem. Ten sam Poe, który napisał *Serce oskarżycielem*? To prawda, że nadal pamiętała to opowiadanie ze szkoły podstawowej, czego nie można raczej powiedzieć o większości innych opowiadań. Postanowiła poprosić Sigrid, żeby znalazła jej jakąś biografię Poego i przysłała FedExem.

O dziewiątej goście zaczęli się rozchodzić. Amy zaczekała, aż wszyscy pójdą, żeby gorąco podziękować Geraldine, a zwłaszcza powiedzieć dobranoc Victoire, do której czuła pewną sympatię od chwili, gdy zobaczyła jej łzy w hotelowej toalecie dla pań. Tego wieczoru, podobnie jak wtedy, Victoire była cudownie opanowana i taka *soignee* („zadbana”), po prostu śliczna. Ale podobnie jak wtedy coś ją dręczyło, mimo że idealnie odgrywała rolę córki pani domu (*jeune filie de la maison*), pozostawiając mężowi zadanie rozmawiania z poważnymi politykami i biznesmenami.

Obie córki Victoire, zupełnie inaczej niż dzieci w Stanach, stanowiły uosobienie jakichś francuskich wyobrażeń na temat dzieciństwa. Podstawiały swoje małe twarzyczki dorosłym do pocałowania i mówiły "*Bonsoir, madame*" jako pełnoprawne uczestniczki przyjęcia. Amy z podziwem patrzyła na to, że nie odprawiono ich do domu z jakąś opiekunką, a one dobrym zachowaniem odwzajemniały zaufanie, jakim obdarzali je dorośli. Choć za sprawą Harry'ego Amy zwracała teraz na dzieci większą uwagę niż wcześniej, nie była pewna,

co właściwie o nich myśli, i z przyjemnością odnotowała swój odruch szczerzej sympatii do tych ślicznych, małych, ciemnych aniołków. Rodzina Abboudów zdawała się uosabiać jakiś nie tyle amerykański, ile może bardziej platoński ideał tego, czym powinna być rodzina: zięć biorący udział w rodzinnej uroczystości, nawet jeśli odbywała się na cześć jakiejś przyjaciółki teściowej. W niedzielne popołudnie w Palo Alto faceci oglądaliby mecz futbolowy.

- Tak się cieszę, *bien sur*, i dziękuję ci za śliczne tulipany. Ale czy rzeczywiście myślałaś, że nie mamy dość kwiatów? - spytała Geraldine.

Kip nadal unikał Amy, więc postanowiła wreszcie sama go o to zapytać.

- Czemu chowasz się przede mną?

- Wcale nie - odparł.

- Chodzi o Kerry, tak? - spytała, przypominając sobie, co przed chwilą usłyszała od Osworthy'ego.

- Nic na to nie poradzę, że ona zachowuje się dziwacznie - powiedział wymijająco.

Amy nie naciskała. Pan Osworthy sam jej wszystko wyjaśni. Zależało jej na tym, żeby po przyjęciu zaprosić Kipa na kolację. Domyślała się, że chętnie pobędzie poza swoją szkołą z internatem tak długo, jak pozwalał regulamin, a ponadto chciała go odrobinę pocieszyć. No i obawiała się propozycji Ottona, który zamierzał odprowadzić ją do domu. Oczywiście Otto czekał na nią na zewnątrz, ale nawet jeśli był niezadowolony, widząc Kipa u jej boku, nie dał tego po sobie poznać i wziął ją pod rękę, rozmawiając z nimi obojgiem. Zjedli w *brasserie* na Ile Saint-Louis. Kip sprawiał wrażenie, jakby czuł się nieswojo - może chodziło o obecność barona - i jadł dość pospiesznie. Amy wiedziała, że musi być samotny w szkole, gdzie nie mógł porozmawiać nawet z Harrym. Powściągliwie opowiadał o swoich lekcjach francuskiego i o problemach związanych z faktem, że młodzi ludzie w jego wieku we Francji byli bardziej zawansowani w matematyce niż on, choć znacznie mniej w informatyce. Wreszcie zwierzył się z części swoich obaw na temat Kerry.

- Nie pozwalają jej wrócić do domu - powiedział Kip. - Chodzi o jej *chateau*, w którym mieszka. Mówią, że nikt nie może nawet wejść do środka.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie będzie należało do niej. Dostaną je Posy i pozostali. Może pozwolą jej w nim zostać, ale to zależy od tego, czy Adrian coś podpisał, czy nie.

- Czy Harry nie dostanie swojego udziału? Nie mogą go tak po prostu wyrzucić na ulicę. Poza tym wydali mi się sympatyczni i nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Amy głęboko zszokowana. - Pozwól, że się zorientuję. - Może Posy i Rupert nie zdają sobie sprawy z tego, że Kerry nie ma dokąd pójść. - Zadzwoń do pana Osworthy'ego. Przypuszczalnie po prostu o tym nie pomyślał.

O jedenastej wsadzili Kipa do metra. Otto odprowadził Amy do domu przez dziedziniec Luwru i przez Pont Royal. W czarnej wodzie rzeki odbijały się światła innych mostów. Jakiś *bateau-mouche* omiół ich swoimi potężnymi reflektorami. Otto wszedł razem z nią na górę, co jej nie zaskoczyło i nawet w pewien zabawny sposób zgadzało się z jej nadziejami. Choć wcale nie zamierzała pójść z nim do łóżka, jego znajoma twarz wśród morza szczupłych, zadbanych francuskich twarzy gości Geraldine - z dobrym makijażem i starannie przystrzyżonymi brodami - z jakiegoś powodu działała na nią pokrępiająco. Sama czuła się samotna. Otto z podziwem mówił o jej nowym mieszkaniu w lekko profesjonalnych kategoriach.

- Hm, okna na północ, ale będziesz miała słońce od południa, w kuchni i w sypialni. Poza tym to dobrze, że sypialna nie jest od strony nabrzeża. Całkiem ładny kolor, jak to nazywasz?

- Błękit - powiedziała Amy. - Po francusku jakoś inaczej. To kopia koloru z Grand Trianon.

- Musimy porozmawiać - odezwał się nagle, gdy z szacunkiem spoglądali na tę tak starannie przemyślaną i tak autentyczną barwę.

- Może drinka? - zaproponowała Amy. - Usiądź, proszę...

- Chodzi o Fennie - zaczął, kiedy już usiedli. - Moją żonę. Jak wiesz, bywa bardzo trudna. Nie bardzo widzę, w jaki sposób moglibyśmy ciągnąć to dalej, ty i ja. W przyszłości będzie przyjeżdżała ze mną

do Paryża... Prawdę mówiąc, jest tu nawet teraz, w Hotel de Louvre. Powiedziałem jej, że mam spotkanie w interesach... Ale poczułem, że muszę cię zobaczyć, zanim za bardzo się zaangażujemy. Bardziej się zaangażujemy.

Amy, zaskoczona, zaczęła protestować, że nie czuje się zaangażowana, ale wydało jej się to nietaktowne, a nawet nie do końca prawdziwe. Teraz, kiedy Otto sam to wykluczył, poczuła, że w pewnym sensie czekała na to, iż pójdzie z nim jeszcze raz do łóżka podczas jednej z jego wizyt w Paryżu, nie mówiąc już o zimowych miesiącach w Valmeri. Widziała przed sobą przyszłość, a w niej od czasu do czasu ich wspólne wieczory, czemu towarzyszyły godne zaufania porady w sprawach nieruchomości, a nawet jakiś górski domek... W końcu był jedyną osobą, która się do niej zbliżyła. Miał na sobie swój płaszcz w barwie lodenowej zieleni ze srebrnymi guzikami. Uśmiechnęła się, żeby ukryć sprzeczne uczucia, i powiedziała, że rozumie. Baron Otto pojaśniał, widząc, że nie będzie żadnej sceny, i zgodził się nawet napić po kolacji *gennepi*, które Amy przywiozła ze sobą z alpejskich wakacji.

- Oczywiście pozostaniemy serdecznymi przyjaciółmi i zrobię wszystko, co będę mógł, żeby ci pomóc w kwestii nieruchomości albo innych porad. Jestem cały twój - powiedział.

Kiedy wyszedł, zaczęła rozmyślać - choć może właściwym określeniem byłoby „pograżyła się w rozmyślaniach” - o baronie, przyjęciu u Geraldine, różnych elegancko ubranych osobach, przystawkach z nadziewanych jajek przepiórczych i łososiem na kawałku tostu, a zwłaszcza o tym, w jaki sposób nie mogła rywalizować, nawet gdyby jej na tym zależało, z małżeństwem Ottona. Miała nadzieję, że pewnego dnia zrozumie tę osobliwą instytucję, jaką było małżeństwo, z jego zazdrościami i zaborczością, uczuciami, których sama nie znała i na razie nie pragnęła poznać. Może na tym polegał jej problem - jeszcze nigdy nie czuła, żeby ktoś złamał jej serce albo choćby drasnął.

Niemniej - mężowie. Co za zgraja! Miała nadzieję, że Victoire, która jest taka miła, zdoła poradzić sobie ze swoim przystojnym, kłopotliwym, kłótlwym i przypuszczalnie - jak Otto - niewiernym mężem. Słyszała nieraz o europejskich mężczyznach zdradzających swoje żony i jeśli sądzić na podstawie przykładu Ottona, Emile'a,



Venna i francuskiego prawnika, marna opinia, jaką się cieszą europejscy mężowie, była całkiem uzasadniona. Mimo to oni wszyscy sprawiali wrażenie, jakby kompletnie niczym się nie przejmowali. Jej koledzy z Palo Alto, którzy zdradzali swoje żony, cierpieli, chodzili do psychiatrów, publicznie omawiali swoją udrękę i w końcu brali rozwód - pod wpływem jakiejś amerykańskiej, protestanckiej postaci superego, które nie pozwalało im tak po prostu bezkarnie łamać przyjętych zasad. Czy w ogóle miało sens wychodzenie za mąż?

A jednak to paryskie spotkanie z baronem budziło w niej jakiś niepokój. Albowiem jeśli żałowała, że nawet nie zaczęła romansować ze swoim instruktorem narciarskim Paulem-Louisem, jeszcze bardziej przygnębiające było to, że ktoś ją porzucił po jednym spotkaniu. Tak jakby pierwsza próba nie wypadła dla niej pomyślnie albo ona sama okazała się dla niego nazbyt amerykańska; jakby brakowało jej jakichś podstawowych erotycznych umiejętności lub odpowiedniego nastawienia. A może krótka przygoda z baronem w pewnym sensie wypadła za dobrze i okazali się aż nazbyt zgodni, jak małżeństwo?

Amy nigdy nie wątpiła w swoją seksualną atrakcyjność, ale teraz zaczęła się obawiać, że z powodu jakiejś kulturowej przepaści i narodowych różnic, z których znała jedynie tradycję swojego kraju, stosunek seksualny stawał się czymś zupełnie innym w różnych krajach. Pomyślała o tych dziwnych japońskich sztychach, na których kompletnie ubrani mężczyźni wtykają swój organ wystający ze zwojów kimona w ukryte otwory w ciałach innych osób - czy to była rzeczywistość, czy wytwór artystycznej konwencji? Pomyślała o telewizyjnym filmie, w którym nagie francuskie dziewczęta stały na głowie. Albo o filmie Almodóvara wyświetlanym w studyjnych kinach Palo Alto, na którym bohaterka przeżywa akt seksualny, zwisając na sznurze od bielizny. Czy było w tym coś specyficznie hiszpańskiego, czy nie?

A może nawet jeszcze gorzej - zmroziły ją kolejne myśli - może Otto po prostu uświadomił sobie, że nigdy nie zamierzała kupić domku narciarskiego w górach? Nie sądziła, by coś mogło ją zranić uczuciowo - na pewno to było niemożliwe - niemniej te wszystkie myśli budziły w niej niepokój i przysparzały jej zmartwień. Martwiła się na przykład, że przygoda z Ottonem jakoś nie poruszyła jej emocjonalnie.

Tak, dręczył ją jakiś trudny do określenia erotyczny zamęt. Nie wybiła jeszcze północ i jej mieszkanie wydało jej się nagle za ciasne. Ogarnęło ją jakieś poczucie uwięzienia, ale nie chciała nad tym rozmyślać, żeby uniknąć konieczności skonfrontowania się ze swoją ambiwalencją na temat pomysłu, jakim był jej pobyt w Paryżu. Włożyła płaszcz i wyszła na dwór popatrzeć na widok w górę i w dół Sekwany, tak jak to często robiła ostatnio. Uwielbiała to, że w Paryżu kobieta może po nocy spacerować bez obaw, zupełnie inaczej niż w Palo Alto. Nie potrafiła litycznie zbyt niepoprawnych, by mogła wprost się do nich przyznać. W Paryżu często czuła, że musi cenzurować pewne obszary swojej świadomości, aby uniknąć jednoznacznych ocen Ameryki, na które nie była jeszcze gotowa.

Stojąc na Pont du Carrousel, spoglądała ponad czarnym nurtem rzeki na łuki światła kolejnych mostów po obu stronach niczym na jakieś senne zwierciadlane odbicie, nieskończenie powtarzające się w kolejnych lustrach - to był bez wątpienia jeden z najwspanialszych widoków na świecie. Czy piękno otoczenia stanowiło pozytywną wartość, jak współpraca, dla której społeczeństwo powinno ponosić zbiorowe koszty? Francuzi najwyraźniej uważali, że tak. Księżę Kropotkin, jak sobie przypominała, niezbyt interesował się pięknem.

W pewnym momencie poczuła raczej, niż zobaczyła, że ktoś zbliża się w jej kierunku, po czym dostrzegła Emile'a Abbouda, który szedł ku niej szybkim krokiem od strony mieszkania Geraldine, w płaszczu z postawionym kołnierzem i z wełnianym szalikiem zawiniętym wokół szyi. Uniósł dłoń w geście powitania. Było coś niepokojącego w tym spotkaniu znajomego w środku nocy, w Paryżu, zwłaszcza że to był Abboud, którego niedawno widziała na łonie rodziny. Mimo swego przekonania o bezpieczeństwie paryskich ulic poczuła lekki skurcz lęku, jak gdyby mógł jej coś zagrozić. A może to było poczucie winy, jak gdyby została na czymś przyłapana?

- *Bonsoir, mademoiselle* - powiedział. - *Est-ce que la soiree vous a plu?* - mówił po francusku, nie troszcząc się o to, czy go rozumiała.

- *Oui* - odpada Amy. - Bardzo. Mam nadzieję, że nie było wiele talerzy, powinnam była zostać... Wspaniałe przyjęcie. - Ale głupio

to zabrzmiało! Oczywiście Geraldine miała pomoc i sama niczego nie zmywała. Co za banalna uwaga.

- Nie, ona uwielbia wydawać przyjęcia. - Przeciągająca się chwila milczenia.

- Ach, to dobrze.

Nagle wzięła ją pod rękę.

- Czemu pani tutaj stoi? Chodźmy napić się koniaku albo zjeść jajka.

Dziwne połączenie. Amy bezwolnie poszła za nim, w stronę St. Germain, rue de Saints-Peres i zastanawiała się, dlaczego z nim idzie. I co on właściwie tu robi?

- Ona zna mnóstwo Amerykanek - powiedziała Amy. - Myślę, że chciała, żebym poczuła się jak w domu.

- Tutaj, Cafe Flore.

Weszli do środka kawiarni, która wciąż była zatłoczona mimo północy, i usiedli na tarasie pod baldachimem. Emile zamówił dwa koniaki, nie pytając nawet, czego by się napiła. Amy zastanawiała się, czy w ogóle powinna tu zostać, skoro nieostrożnie poruszyła temat swoich rodaków, który na pewno sprowokuje go do kolejnych krytyk. Znowu będzie musiała bronić swojego kraju, nawet jeśli po części zgadzała się z wieloma uwagami, jakich Emile na pewno sobie nie podaruje. Tego wieczoru we Flore było mnóstwo Amerykanów, ale także kilka starych Francuzek wpatrzonych w swoje *pastis*, zupełnie jak na obrazie, który niedawno widziała w muzeum, przedstawiającym kobietę w zieleniach wpatrującą się w swój absynt. Razem z Emile'em popatrzyli na siebie. Przypuszczalnie tak jak ona zastanawiał się, czemu się tu właściwie znaleźli albo co teraz mają powiedzieć. Nagle poczuła, że to wcale nie takie złe znaleźć się w środku nocy z przystojnym Francuzem w kawiarni - na pewno pasowało to w jakimś stopniu do jej wyobrażeń o Europie. Czemu zawsze miały nią takie sprzeczne uczucia? A może sprzeczność bardziej sprzyja rozwojowi niż pewność?

- Czy zna pan dzieła księcia Kropotkina? - spytała wreszcie, bo żaden inny temat nie przyszedł jej do głowy.

- *Oui*, tak, czemu pani pyta?

Amy była zaskoczona. Choć często próbowała wspominać o Kropotkinie, po raz pierwszy spotkała kogoś, kto w ogóle o nim słyszał.

- Wydaje mi się interesującą postacią.

Zaczęła mu pospiesznie opowiadać o swoim przekonaniu, że należy propagować idee Kropotkina.

- A więc jest pani anarchistką. Myślałem, że raczej kapitalistką - powiedział.

Chodziło mu o jej osobistą sytuację czy o amerykański sposób życia w ogóle? Poczwała niepokój.

- Naturalnie wzajemna pomoc to dobry pomysł, współpraca ma swoje zalety, ale potrzebne są także zasady - dodał.

- Och, oczywiście - zgodziła się z nim, choć przemknęło jej przez myśl, że współpraca sama jest jakąś zasadą. O czym on mówi? - Tam, na moście, było tak pięknie. Usiłowałam sobie przypomnieć, co on mówił o pięknie.

- Powiem pani. Mówił, że piękno jest ideą przemyślaną w szczegółach. - J a k i e to zaskakujące, że Emile wiedział coś takiego! - Mogę nawet to zilustrować. Wyglądała dziś pani bardzo pięknie u Geraldine - podobno takich rzeczy nie mówi się Amerykankom, ponieważ uważają, że w ten sposób obraża się ich poważny stosunek do życia. Ale chcę przez to powiedzieć, że gdy usłyszałem od Kipa o pani dobroci wobec niego, zacząłem dostrzegać pani piękno. Wcześniej moje idee zaćmiły mi wzrok. Dziwnie było uświadomić sobie to wszystko. Ale czemu zajmowała panią akurat ta abstrakcyjna idea?

- Pomyślałam wtedy, że za sposobem, w jaki Francuzi traktują brzegi rzek i mosty, kryje się przekonanie - choć może lepszym słowem byłoby założenie - że powinny być piękne; coś, czego nie mamy w naszym kraju. Zwykle na brzegach rzek stawiamy fabryki.

Czyżby Emile powstrzymywał się przed jakąś kolejną kulturową zniewagą?

- Powiniennem panią przeprosić. Nie doceniałem tego, do jakiego stopnia pomaga pani Kipowi. Słyszałem, że to pani wysłała go do szkoły w Wersalu.

- Tak, a co?

- To także wspaniałomyślne.

- Och, jestem pewna, że zwróci mi pieniądze - powiedziała Amy.  
- A jeśli nie, każe mu strzyc trawnik albo coś w tym rodzaju. - Pan

Osworthy nie był całkiem pewny, jak w praktyce wygląda sytuacja Kipa i czy Kerry w ogóle jest jego prawną opiekunką.

- Mówi się, że Amerykanie mają trochę niefrasobliwy stosunek do pieniędzy.

- Nie ja. Jestem bardzo skrupulatna - odpada. - Pewne rzeczy po prostu są ważne, jak na przykład szkoła.

- Nie traktowałem tego jako zarzutu.

- Naprawdę? To by znaczyło, że po raz pierwszy powiedział pan do mnie coś, co nie było... Dlaczego Kip mnie unika? Prawie się do mnie nie odzywa.

- Myślę, że jest zawstydzony zachowaniem swojej siostry.

Ale Amy nie wiedziała, na czym polega zachowanie Kerry. Sama poczuła się zawstydzona, że jeszcze nie poszła jej odwiedzić, a to przypomniało jej, jak nierozważnie pomogła przewieźć pana Venna do Anglii.

- Zresztą to raczej ja powinnam pana przeprosić. Przykro mi w związku z tym, co stało się z ojcem pańskiej żony. Mam wrażenie, że to moja wina.

- Zagadki kultury. Francuz powiedziałby: „to nie moja wina”.

- Zauważyłam - stwierdziła Amy. - Często mówicie: *ce n'est pas ma faute*, wtedy gdy my uważalibyśmy, że grzecznie byłoby powiedzieć: „to moja wina”, nawet jeśli sądzimy, że jest inaczej. Ale ja naprawdę myślę, że to moja wina.

- *En fait*, to był błąd angielskiego prawnika, a pani zachowała się wspaniałomyślnie i altruistycznie.

Nie potrafiła na to odpowiedzieć.

- Ma pan nową pracę - odezwała się wreszcie.

- Tak, dodatkową pracę. Zachowałem moje poprzednie zajęcia.

Ale ponieważ nie wiedziała, na czym polegały te inne zajęcia, i ten wątek szybko się urwał.

- *En fait*, muszę przyznać, że czasami ku memu zaskoczeniu okazuje się, że myliłem się w niektórych sprawach - powiedział.

Patrząc na niego, Amy jakoś nie mogła uwierzyć, by często musiał przyznawać się, że się mylił. Ludzie zawsze będą się starali iść mu na rękę. Ale ona nie będzie. Widziała, że próbuje być miły; nie

potrafiła wyjaśnić, dlaczego czuła się coraz bardziej niezręcznie, choć rozmowa była banalna i życzliwa.

- Chyba za bardzo zależy mi na tym, żeby mieć jak najgorsze zdanie o Amerykanach - mówił dalej.

- Tak, zauważyłam. Czy w rzeczywistości zna pan ich wielu?

- Szczerze mówiąc, poza panią prawie nikogo. - Roześmiał się. - Jeśli nie liczyć zachłannych przyjaciółek Geraldine, tych *decoratrices* i *facilatrices*... One naprawdę umacniają moją jak najgorszą opinię o Amerykanach. Ale pani w pewnym stopniu ją poprawia.

- Jednak nie do końca - powiedziała Amy, przypominając sobie różne rzeczy, jakie powiedział w Valmeri.

- Ogólnie rzecz biorąc, tak. To właśnie usiłuję pani powiedzieć. Patrząc na panią, dostrzegłem, że nie jest pani taka jak inni, że jakoś pani ponad nich wyrasta.

- W żadnym wypadku. - Amy poczuła ukłucie irytacji w imieniu swoich rodaków. - Właśnie w tym punkcie się pan myk. Jestem po prostu zwykłą Amerykanką, jestem całkowicie typowa. Może powinien pan jeszcze raz przemyśleć swoje poglądy na nasz temat i zastanowić się nad swoim zwyczajem opatrywania ludzi etykietkami. Ale przypuszczam, że wolałby pan raczej, żeby mu pogratulować jego cudownej elastyczności, skoro zdołał pan zmienić opinię na mój temat...

Słyszała samą siebie perorującą dalej w duchu namiętnej patriotycznej tyrady, aż zobaczyła na jego twarzy wyraz zdumienia, po czym uniósł się uprzejmie ze swojego krzesła, gdy nagle po prostu uciekła od tego okropnego, choć przystojnego człowieka.

Emile odprowadził ją wzrokiem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie znalazł się w końcu w jakimś niebezpieczeństwie.

## ROZDZIAŁ 35

Amy spała niespokojnie, przewracała się na łóżku i po przebudzeniu nadal czuła się dziwnie poruszona wydarzeniami minionego dnia, choć z pozoru wszystko wydawało się takie miłe - przyjęcie, mnóstwo interesujących nowych francuskich znajomych, nawet przyjazne gesty ze strony niechętnego i wrogo dotąd nastawionego Emile'a Abbouda. Oczywiście czuła się zraniona z powodu historii z baronem, ale szybko uświadomiła sobie, że co innego zabarwiało jej burzliwe sny; ten drobny epizod był jedynie niewielkim ciosem dla jej dumy, niczym więcej. Nie, niepokój miał coś wspólnego z Emile'em Abboudem i ich dziwnym spotkaniem o północy. Nie powinna była zachowywać się wobec niego tak niegrzecznie; w końcu jest zięciem Geraldine, która może od niej oczekiwać uprzejmości.

Trochę niesłusznie na niego wczoraj napadła, przecież miał trochę racji, jeśli chodzi o Amerykanów. Kiedy myślała o Elaine i Dolly albo Tammy i Wendi, wiedziała, skąd mogły pochodzić jego złe wrażenia na temat jej rodaków, nawet jeśli były niesprawiedliwe. Zgoda, starał się prawić jej komplementy, a nawet zachowywać się przyjaźnie, jednak jego poglądy - jeśli mówił szczerze - że ona sama nie przypominała zwykłych Amerykanów, w istocie obrażał typowych Amerykanów, takich jak ona. Niewykluczone, że po prostu Emile jako emisariusz całej rodziny Vennów miał przekazać, że wybaczone jej smutne zakończenie podróży Venna do Londynu.

Ale to nie wokół Vennów krążyły jej myśli, lecz wokół samego Emile'a. Nie zapomniała podniecenia, jakie ogarnęło ją, kiedy spotkała go po raz pierwszy - ani uczuć, jakie towarzyszyły jej, ilekroć

widywali się od tamtej pory. A do tego potrafił cytować z pamięci księcia Kropotkina - jedyny człowiek na świecie, który podzielał jej entuzjazm. To przykre, że taka inteligencja była udziałem człowieka, który nienawdził takich ludzi jak ona. Jakże pragnęła teraz zasłużyć się czymś w jego oczach.

Mimo swoich buńczucznych zapowiedzi Posy musiała jednak ponownie spotkać się ze swoim rodzeństwem w sprawie *chateau*, choć tak bardzo obawiała się tej rozmowy. Trevor Osworthy zaproponował biuro paryskiego oddziału jego firmy Osworthy, Park, and George, ale Francuzi jak zwykle chcieli postawić na swoim i nalegali, żeby spotkanie odbyło się w *bureau* Antoine'a de Persanda. Był on teraz wiceministrem gospodarki i miał gabinet w pałacu rządowym przy rue Solferino, całkiem luksusowy jak na urzędnika państwowego, z obrazami Chagalla i Corota wypożyczonymi z publicznych muzeów oraz dostojnymi meblami Meisnera.

- Tylko we Francji - oświadczył Osworthy sentencjonalnie, jak zawsze gdy mówił o społecznych zjawiskach w tym kraju - tylko we Francji urzędnicy mogą zagrabić skarby narodowej kultury dla własnej korzyści. Francuzi, mimo tej ich rewolucji, są naprawdę uległą rasą. Bez wątplenia ich energia i błyskotliwość przepadły pod ostrzem gilotyny, nic dziwnego, że nie stawiali oporu niemieckiej okupacji. A do tego tyłu tu księży.

Posy nie miałyby nic przeciwko temu, by wpaść przy okazji na Emile'a, który podjął już swoje obowiązki w ministerstwie. Zastanawiała się, czy zadziała teraz na nią jego dawna magia, odkąd Robin wkroczył w jej życie. Ale Emile, wiedząc, że jego żona i Posy znajdują się w tym samym miejscu, wolał trzymać się z dala i został tego dnia w swoim gabinecie w gmachu Sciences Po; w rezultacie obie były rozczarowane. Posy i Victoire pragnęły poddać się próbie spotkania z Emile'em, by potwierdzić swoje głębokie przeświadczenie, że już kompletnie im na nim nie zależy, czego były pewne, i cieszyć się poczuciem, że mają opatrność po swojej stronie i wszystko z czasem dobrze się ułoży. Uznały, że niemal warto przeżyć chwilę udręki, aby z przyjemnością stwierdzić uwolnienie się



od destrukcyjnych emocji. Poza tym Victoire nie miała najmniejszej ochoty oglądać Posy, choć Posy nie miała nic przeciwko spotkaniu z Victoire.

Osworthy zaprosił na spotkanie Posy, Ruperta i Victoire, sam wystąpił w imieniu małego Harry'ego oraz wdowy po Vennie, która wciąż była zbyt słaba, aby opuścić bezpieczne mury Clinique Marianne, będącej skądinąd miejscem całkiem przyjemnym, jak sam miał okazję się przekonać. Poza tym pojawił się także Delamer, plenipotent Venna, oraz francuski *notaire*, monsieur Lepage z Saint-Gond. Rupert i pan Osworthy ucieszyli się na widok Posy. Unikała wszelkich kontaktów z rodziną przez cały tydzień i trochę się o nią martwili.

Osworthy powiedział im, że ostatecznie doszedł do porozumienia z francuskimi służbami skarbowymi, które sprowadzało się do tego, że skoro większość majątku Venna znajdowała się we Francji, również większość podatków trzeba będzie zapłacić we Francji. Jednak inne podatki należy zapłacić w Anglii, od jego tamtejszego majątku, który, o zgrozo, obejmował również dom Pameli Venn, jako że nigdy nie został we właściwy sposób na nią przepisany. Francja zgodziła się powściągnąć swoje zainteresowania tam, gdzie chodziło o angielski majątek zmarłego.

- Pamela była naprawdę bardzo źle reprezentowana, biedactwo. W pewnym sensie sam jestem odpowiedzialny, bo jako adwokat Adriana działający przeciwko niej niespecjalnie interesowałem się wtedy jej sprawami. Oczywiście wina leży po stronie jej prawnika.

Teraz było mu przykro, ale nic nie dało się zrobić, chyba że uda się przekonać urząd skarbowy, że chodzi jedynie o zwykły błąd dotyczący rejestracji i że dom od dawna nie wchodzi w skład majątku Venna. Bóg świadkiem, że nikt nie próbował nikogo oszukiwać.

- Przynajmniej jedno mogę sobie policzyć jako swoją zasługę. Udało mi się udowodnić, że Bonnard został zakupiony w Londynie i nie będziemy musieli zapłacić od niego podatku, pod warunkiem że obraz wróci do Anglii i nigdy jej nie opuści. Francuzi chcieli oczywiście go zatrzymać na poczet podatków.

Rupert i monsieur Delamer popatrzyli na niego kompletnie zdumieni. Nawet monsieur de Persand wydawał się zaskoczony.

- Powiedział im pan o Bonnardzie?

- *Mon Dieu*, czy pan jest głupcem, człowieku? - zawołał Delamer.

Zaczęli miotać pod adresem Osworthy'ego obelżywe słowa - tylko tak można to określić - kiedy usłyszeli, że włączył obraz do masy spadkowej, choć tak zręcznie i, jak sądzili, bezpiecznie, ukryli go przed oczami francuskich urzędników skarbowych. Jednak Osworthy nie chciał uciekać się do żadnych matactw.

- Pamiętam, kiedy Adrian go kupił - oświadczył monsieur Delamer.

- Tak bardzo go kochał, tak bardzo chciał, aby jego mały synek...

- To się nazywa ukrywanie aktywów - powiedział pan Osworthy. - Metoda często stosowana przez ludzi, którzy zamierzają się rozwieść. Przypominam panom, że to nielegalne. Nie jestem pewien, jakie mogłyby się pojawić roszczenia Pameli Venn wobec majątku zmarłego, gdyby wyszło na jaw, że te rzeczy znajdowały się w jego posiadaniu w chwili rozwodu.

- A zatem - wtrącił się szybko Persand, pragnąc uniknąć wybuchu jakichkolwiek zadawnionych sporów związanych z rozwodem - skoro dokonano już inwentaryzacji oraz szacunkowej wyceny majątku, mamy dwie kwestie do rozpatrzenia. Wycena *chateau* na dwa miliony osiemset tysięcy euro wydaje się stosunkowo niska. Na rynku można by osiągnąć nieco więcej, choć nie tak wiele, jak wtedy, gdyby *chateau* był mniejszy, ładniejszy i w lepszym stanie. Ale niższa wycena pozwoli obniżyć podstawę opodatkowania.

- Posiadłość ma wartość dla Harry'ego jako jego dom - mówił dalej - oraz jako siedziba dwu przedsiębiorstw, Icarus Press i Winnicy. Te dwie *affaires* także zostały wycenione. Wydawnictwo przynosi obecnie straty, co pozwoli zmniejszyć spodziewany podatek od całej posiadłości. Winnica przynosi zysk, po odliczeniu akumulacji kapitału od wyposażenia. Nawiasem mówiąc, we Francji to spadkobiercy płacą. Obowiązek spoczywa na każdym z państwa z osobna. Przypuszczam, że w Anglii jest inaczej.

- Tak, w Anglii podatki zostałyby spłacone z całej masy spadkowej, a spadkobiercy dostaliby to, co zostało - oświadczył Osworthy tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, który z systemów uważał za bardziej racjonalny.

- Gdyby cały majątek został upłynniony, każdy ze spadkobierców otrzymałby około sześciuset pięćdziesięciu tysięcy euro, co po opodatkowaniu dałoby około trzystu osiemdziesięciu tysięcy. Innymi słowy, każde z państwa będzie musiało zapłacić około trzystu tysięcy euro podatku, niezależnie od tego, czy państwo sprzedadzą, czy zatrzymają budynek i oba przedsiębiorstwa. Madame Abboud, pani udział jest nieco mniejszy z powodu kary, jaką prawo nakłada na nieślubne dzieci. Zgodnie z filozofią francuskiej rewolucji, co było także jej wielkim triumfem, dzieci zrodzone z wolnych związków uczuciowych nie powinny ponosić konsekwencji swojego pochodzenia, miłość nie powinna napotykać ograniczeń martwej ręki Kościoła albo państwa, miłość rodzicielska nie powinna podlegać ograniczeniom prawnym, dziewczęta i chłopcy powinni być traktowani jednakowo...

Słuchacze byli nieco zaskoczeni namiętym tonem, jaki pojawił się w jego głosie. Oczywiście zauważyli w Valmeri, że miał wkrótce zostać ojcem albo już nim został.

- Na nieszczęście - kontynuował - wprowadzono później pewne poprawki i jedna z nich przewiduje, że dziecko zrodzone ze związku pozamałżeńskiego nie powinno otrzymywać równego udziału w spadku, ponieważ narodziło się z pewną krzywdą dla swojego rodzeństwa - dotyczy to pani, madame Abboud. Pani ojciec był najwyraźniej żonaty z madame Pamelą Venn w chwili pani poczęcia.

Posy i Rupert zamyślili się nad tym kolejnym dowodem niewierności ojca i jego nieodpowiedzialności, ale nie byli zaskoczeni. Victoire poruszyła się poirytowana.

- Chce pan powiedzieć, że gdyby moi rodzice oboje byli wolni, dziedziczyłabym tak samo jak pozostali, ale skoro papa był żonaty, muszę zapłacić rodzeństwu za krzywdę, jaką stanowiło dla nich moje narodzenie się?

„Choć przecież to ja zostałam przez nich skrzywdzona”, mówiła jednocześnie jej mina, co zaniepokoiło Posy. Czemu Victoire jest taka zdystansowana, czyżby Emile wyznał jej prawdę o tym, co się stało? Ale niezależnie od tych obaw wiadomość miała w sobie dla Posy coś bajecznie cudownego. Nawet ogromne rozmiary czekających ją podatków przynosiły jej pewną ulgę, ponieważ oznaczały, że Rupert za

nic na świecie nie zdoła zgromadzić takiej masy pieniędzy, by mógł ją wykupić lub choćby zapłacić swój udział w podatkach. Będzie więc musiał otrzeźwieć i zgodzić się na sprzedaż; nie tylko ona będzie winna, że się tego domaga.

Ale Rupert z pewnością nie z takim rozwiązaniem wiązał wszystkie swoje nadzieje.

- Możemy sprzedać winnicę, to dochodowe przedsięwzięcie obejmujące ziemię, więc powinniśmy trochę na tym zarobić, a następnie wykorzystać pieniądze na spłacenie podatków. W ten sposób uratujemy zarówno *chateau*, jak i Icarus Press. Będę kierował wydawnictwem razem z moją siostrą - siostrami - jako inwestorami. Oczywiście Harry także dostanie swój udział i będzie mógł mieszkać w *chateau* ze swoją matką. Możemy wszyscy tam zamieszkać. - Zegnaj, Anglio, kraino ponurych deszczów i rynku obligacji.

- Czemu miałabym się na to zgodzić? - spytała Posy.

- Miałabyś dla siebie kawałek *chateau*, własne mieszkanie, albo coś w tym rodzaju, i byłabyś partnerką w wydawnictwie.

- Pan de Persand właśnie powiedział, że wydawnictwo przynosi straty. Ojciec prowadził je dla własnej przyjemności.

- Ten pomysł wydaje mi się całkiem rozsądny - oświadczyła Victoire. - Mogłabym zamieszkać w *chateau*. To byłoby wspaniałe dla dziewcząt. Oczywiście nigdy tam nie byłam, ale jestem pewna, że byłoby cudownie, także dla madame Venn i jej synka.

Nagle zafascynowała ją myśl o mieszkaniu w Prowansji, z dala od Emile'a, gdzie mogłaby zorganizować anglojęzyczne grupy zabaw dzieci, tak jak to robiła w Paryżu, i grać na flecie, a dzieci miałyby mnóstwo świeżego powietrza, nie takiego jak paryskie, nasycone ołowiem. Poza tym rodzice mogliby jej trochę pomóc. Nie zamierzała w żadnej sprawie zgadzać się z okropną Posy.

- Zdaje się, że zyski wydawnictwa raczej nie wystarczą na pokrycie kosztów utrzymania siedmiu osób, jeśli dobrze liczę. Zwykle przynosi straty - powiedział pan Osworthy.

Wszystkich na moment pochłonęła romantyczna wizja przyszłego życia w ubóstwie i wspólnej pracy w zimnym, ogromnym, wiejskim *chateau* z przeciekającym dachem. Nie wzbudziło to niczyjego

zachwytu poza Victoire i Rupertem. Osworthy miał własne wyobrażenia na temat przyszłości wdowy po Vennie i Harry'ego, ale myślał raczej o stosownym zainwestowaniu jej udziałów i jakimś małym, ale miłym mieszkaniu na przedmieściach Londynu, coś nie za drogiego, w rodzaju Purley. Zresztą powinna podjąć jakąś pracę, gdy tylko Harry pójdzie do szkoły, bo trudno byłoby jej się utrzymać z dochodu od tych około trzystu pięćdziesięciu tysięcy, nawet gdyby je zainwestowała.

- Mam nadzieję, że nie sprzedacie posiadłości - odezwał się monsieur Delamer. - To była miłość jego życia. Adrian włożył w nią tyle pieniędzy i energii; winnica radzi sobie całkiem dobrze, znacznie lepiej niż na początku, i z czasem...

- Przykro mi, ale wezmę pieniądze - oświadczyła Posy. - Jeśli to oznacza sprzedaż, trudno. Ale chyba inaczej nie udałoby się tego zrobić.

Wiedziała, że kładzie kres nadziejom innych, ale nie potrafiła uwierzyć, że byliby do tego stopnia niepraktyczni, by naprawdę chcieć zamieszkać wszyscy razem w sypiącym się *chateau*: wdowa po ojcu, przyrodni braciszek, do tego ducha ojca włączający się po posiadłości, troje źle dobranego rodzeństwa i paskudne dziewczynki Emile'a. Osiem osób, wliczając w to ducha ojca, mieszkających w czymś, co chyba trudno byłoby nazwać średniowiecznym zamkiem z blankami. Pewnie to źle utrzymana siedemnastowieczna budowla otoczona winnicą, w płaskiej okolicy, z jedną wieżą i kilkoma rozpadającymi się budynkami gospodarczymi - dokładnie w stylu beznadziejnych ruin, jakie zaślepieni Anglicy zwykle kupują na południu Francji. Będzie o wiele lepiej dla Ruperta, jeśli uwolni się od tych rojeń. Zresztą i tak nie ma talentu wydawcy, więc uratowanie go od tych nieszczęść to jej obowiązek.

- Wydawnictwo właśnie wychodzi na prostą, myślę, że można tak powiedzieć, prawda? - mówił dalej Delamer. - Choćby w imię pamięci o Adrianie powinniście spróbować...

Antoine de Persand powstrzymywał się od jakichkolwiek komentarzy. Niemniej nadmienił, że choć nie jest specjalistą podatkowym, jeśli nie liczyć pewnych aspektów krajowej polityki fiskalnej, wiadomo powszechnie, że w wypadku niezgody między spadkobiercami zawsze dochodzi do sprzedaży majątku. Jedyne sposoby, aby tego uniknąć,

polega na tym, aby pozostali spadkobiercy - Harry, Rupert i Victoire - wykupili udział Posy i w jakiś sposób zapłacili podatki. Jak to zrobią, to już zależało od nich. Sprawę należało powierzyć *notaire*, monsieur Lepage'owi, i to możliwie jak najszybciej.

Victoire owinęła ramiona szalem.

- To byłoby *trop triste*, gdybyśmy dopuścili do utraty przez rodzinę takiego pięknego *chateau*. Jeśli zajdzie taka potrzeba, jestem gotowa do poświęceń, by do tego nie dopuścić.

- Nigdy go nie widziałas - przypomniała jej Posy.

- *Non*, ale mam szacunek dla *patrimoine*, dla historii. Przypuszczalnie można by zrobić tam *relais*, mały hotel...?

Osworthy po raz pierwszy zorientował się, że obie siostry za sobą nie przepadają. Wyraźnie widział, że nie miało sensu dłużej wałkować całej sprawy w tym momencie. Nie ulegało wątpliwości, że chwilowo nastąpił całkowity impas, przy czym on sam skłaniał się ku stanowisku Posy. Nie miał pojęcia, co postanowi ostatecznie Kerry Venn w imieniu Harry'ego, skoro sama została okrutnie pozbawiona spadku przez francuskie prawo. Jednocześnie wcale nie miał pewności, czy głos Victoire powinien liczyć się tak samo jak pozostałych, zważywszy na dziwaczne francuskie prawa dotyczące „dzieci miłości” pochodzących z cudzołóstwa, na mocy których jej udział w spadku był nieco mniejszy. To dziwne, że pozostali spadkobiercy zaakceptowali jej obecność tak potulnie, choć nic o niej nie wiedzieli. Czy nie należałoby przynajmniej zrobić testu DNA?

- Powinni państwo porozmawiać z madame Venn i dowiedzieć się, czego sobie życzy dla swojego synka - dodał monsieur de Persand.  
- Może będzie chciała wrócić do Ameryki. Zdaje się, że Amerykanie zawsze wracają do Ameryki.

- Wprost przeciwnie - powiedział pan Osworthy. - Wydaje się, że nigdy nie wracają, gdy tylko posmakują życia na obczyźnie. W Londynie wręcz roi się od nich.

- Razem z Posy porozmawiamy na temat naszych możliwości - rzekł Rupert ponuro.

Powoli wzbierała w nim wściekłość na Posy. O co, u diabła, jej chodzi? Czemu po prostu nie chce posłuchać o innych możliwościach?

Trochę się o nią martwił. Wiedział, że przeżywa depresję, i proszę, do czego to doprowadziło; zrobiła się wojownicza i wygląda na zmęczoną. Pożałował, że Pam nie może tego wszystkiego usłyszeć.

- Niczego nie będziemy omawiać - odpada Posy. - Przykro mi, ale chcę wziąć swoje pieniądze. To dla mnie niezwykle szczęście i może wszystko zmienić w moim życiu. Poza tym jakoś nie widzę, jak mógłbyś tam żyć po tym wszystkim, co się wydarzyło. Lepiej na tym wyjdiesz, jeśli weźmiesz gotówkę.

- Najwyraźniej w ogóle ci to nie przeszkadza, że rujnujesz życie pozostałym dzieciom ojca. Nigdy cię nie obchodziło, kogo możesz zranić.

Oboje zaczęli czynić sobie inne niepohamowane wyrzuty. Osworthy i monsieur de Persand z pewną fascynacją słuchali tego namacalnego potwierdzenia swoich obaw, podręcznikowego wręcz przykładu kłótni między spadkobiercami.

- Stop, *arretez*, jesteście okropni! - zawołała Victoire i zaczęła gwałtownie łkać. - Nigdy nie powinnam była przyjeżdżać, żeby zobaczyć tego człowieka. *Comme je savais. Les Anglais*, „*Mefiez-vous des Anglais*”. Żałuję, że was w ogóle spotkałam.

Jej cierpienie zaniepokoiło wszystkich mężczyzn, Posy pozostała niewzruszona. Victoire, która zawsze wydawała się taka promienna i opanowana, odpychała ich teraz gwałtownie, gdy podawali jej chusteczki i próbowali pocieszających gestów. Pan Osworthy z gniewnym spojrzeniem, jak u oda, płonącym za soczewkami jego okularów, podniósł się, pożegnał uściskiem dłoni z Rupertem i skinął głową, wskazując, że powinni szybko, dyskretnie odejść; porozmawiają później. Angielskie rodzeństwo wstało, Rupert pocałował Victoire w oba policzki, Posy wycofała się w stronę drzwi.

- Chodźmy coś zjeść - zaproponował Rupert Posy, gdy szli wzdłuż nabrzeża.

- Nie mogę, mam coś do zrobienia. Zobaczmy się później - powiedziała Posy, pragnąc za wszelką cenę uniknąć osobistej rozmowy z Rupertem.

- Musimy o tym porozmawiać. Może tutaj.

Weszli do małego bistro i usiedli w rogu. Rupert zamówił *pate* i sałatkę. Posy, poddając się temu, co nieuchronne, *entrecôte Bearnaise*.

- W ogóle nie muszę o niczym rozmawiać - oświadczyła Posy.  
- To jasne. W żaden sposób nie zdołamy spłacić miliona funtów podatków.

- Euro. To nie tak źle.

- Euro. Wiesz, że nie mamy żadnego wyboru. Chodzi tylko o to, jak szybko się z tym oswoisz. Nie mamy najmniejszych szans na znalezienie miliona euro.

Rupert potrafił poznać, kiedy Posy stawała się nieustępliwa, i przyznał, że ma rację, nie miało sensu się dalej spierać. Ale jednocześnie nie mógł tak tego zostawić. Ogarnęło go przemożne pragnienie, żeby znaleźć jakiś sposób na uratowanie *chateau*. Chociaż podczas niedawnej wizyty w posiadłości, przy okazji sprawy *coffre*, był przerażony stanem budynku, jego ogromnymi rozmiarami i groźbą konieczności strzyżenia żywopłotów, teraz czuł się tak, jak gdyby zmagali się z Posy o najważniejszą rzecz w jego życiu. Może dlatego, że to miejsce tak bardzo go potrzebowało, a on jego, dał się teraz ponieść bez reszty fali synowskiej miłości.

- Nie możesz przynajmniej spróbować zastanowić się, co to dla mnie znaczy?

- Rupert! Nie jestem przeciwko tobie. Jestem realistką. Nasza rodzina będzie musiała... to znaczy my będziemy musieli zapłacić milion funtów rządowi Francji. Ojcowskie przekleństwo! Czy ty w ogóle nie słuchałeś pana Osworthy'ego?

- Czemu zawsze musisz być taką dziwką? Nie możesz choć raz zachować się inaczej? Jak myślisz, Posy, dlaczego ojciec cię ukarał? Czy myślisz, że zrobiłby to, gdybyś po prostu zachowywała się jak normalna, sympatyczna istota ludzka? To była kompletnie nie twoja sprawa, z kim chciał się ożenić.

- Boże! Nigdy nie wypowiadałam się na temat tych jego żalonych eskapad, nigdy. Po prostu projektował na mnie swoje wyrzuty sumienia. Czemu to ja zawsze mam być kozłem ofiarnym? Czemu moja rodzina mnie nienawidzi? - Mówili teraz podniesionymi głosami, mieli rozpalone policzki. - Zawsze byłeś takim głupim osłem.



- Oszczędź mi swojego dramatyzowania.

Kelner pochylił się nad ich stolikiem.

- Jeden z gości pyta, czy nie mogliby państwo kontynuować tej rozmowy na zewnątrz?

Jakaś para przy sąsiednim stoliku przyglądała się im uważnie, pragnąc zobaczyć, jak zareagują na tę wiadomość.

- Nie ma potrzeby jej kontynuować. - Posy podniosła się. - Rupert, jesteś bogatym bratem, zapłać rachunek.

Chwyliła swój płaszcz z wieszaka na ścianie i wyszła, po drodze mocując się z rękawami przy przeciskaniu się przez obrotowe drzwi.

Około siódmej zabręczał telefon Amy. Dzwoniła Sigrid z Kalifornii.

- Jezu Chryste, Amy - powiedziała. - Przylatuję do ciebie jutro po południu. To znaczy dla mnie po południu, u was to dzisiaj. Będę we wtorek rano twojego czasu.

- Ale dlaczego, co się stało? - Ton głosu Sigrid wskazywał, że sprawa jest naprawdę pilna.

- To ty mi powiedz! - odpada Sigrid. - Co tam się dzieje? Nie mówiłaś mi o niczym takim.

- Powiedz mi raczej, o czym my właściwie rozmawiamy?

- Sprawa sądowa. Dzisiaj po południu zadzwoniła twoja firma ubezpieczeniowa, żeby mi powiedzieć, że to zdecydowanie wykracza poza ich zobowiązania. Czy korzystałaś tam z jakiejś pomocy?

- Co? Nie. Sprawa sądowa? Dlaczego?

- Karen Adelaide Venn oskarża cię o dręczenie jej męża. Nie widziałam papierów, nie wiem, mówią, że chodzi o trzydzieści milionów dolarów!

Takiej niedorzeczności Amy nie mogła potraktować poważnie, niemniej poczuła lekki skurcz w żołądku.

- Ona myśli, że to ja byłam Joanną d'Arc?

- Chodzi o przewiezienie jej męża do Anglii.

Kiedy Sigrid opowiadała jej dalej całą historię, Amy zastanowiła się chwilę, po czym dała pokaz swojego legendarnego opanowania w warunkach stresu.

- Nie sędzę, żebym była winna Vennowi obowiązek opieki. Nie widziałam tego człowieka na oczy. Wątpię, żeby taki pozew się utrzymał w sądzie, nawet tutaj. To raczej pan Osworthy powinien się martwić, on i szpital w Moutiers.

- Tak, ale pieniądze, Amy. Masz teraz duże pieniądze.

Ach, cholera, pomyślała Amy. Cholera, cholera. Miała plany na ten dzień: Musee Marmottan, potem lunch z kimś, kto ją zaprosił wczoraj, mademoiselle Fouquet, poza tym chciała zastanowić się nad Emile'em i innymi sprawami, a tu nagle coś takiego. Cholera, cholera. A w dodatku niesprawiedliwość.

- Sigrid, na razie nie przyjeżdżaj. Wolę najpierw sama się temu przyjrzeć. Złożono pozew? Gdzie?

Pozew nie został jeszcze formalnie wniesiony, na razie wybierają miejsce.

- Och, cholera - powiedziała Amy. - Zadzwoń do ciebie później.

Miała numer telefonu do hotelu pana Osworthy'ego. Oczywiście to o tym napomykał wczoraj i z tego powodu Kip czuł się nieswojo. Jego siostra oskarżała osobę, która tak bardzo mu pomogła. Była dopiero dziewiąta rano i Osworthy jeszcze nie wyszedł z hotelu, siedział w jadalni. Recepcjonista poszedł go poszukać.

- Tak, obawiam się, że to prawda - potwierdził Osworthy. - Jak to mówią, żaden dobry uczynek nie uchodzi bez kary. Przypuszczam, że nie powinniśmy się dziwić. Musimy pamiętać o skłonności Amerykanów do procesowania się w sądach. Och, przepraszam, oczywiście nie mam pani na myśli. Nie znam jeszcze szczegółów, ponieważ jestem tutaj. Pozew najwyraźniej złożono w Londynie, powołując się na fakt, że tam nastąpiła szkoda, ponieważ Venn umarł w Londynie. Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób w jej stanie mogła działać tak szybko.

- Biedna kobieta jest przygnębiona. Trudno się dziwić, że postanowiła zaatakować. Chce mieć winnego. Swoją drogą, co za suka - powiedziała Amy i dopiero teraz poczuła, jak ogarnia ją wzburzenie.

Oboje uznali, że powinna zobaczyć się z Kerry, zorientować się, kim są jej prawnicy, i potraktować rzecz poważnie. Amy powtórzyła,

że nie jest za nic odpowiedzialna, ale w powietrzu zawisła niewypowiedziana myśl, iż Osworthy prawdopodobnie był, razem z lekarzami i być może ludźmi ze służb ratowniczych. Kerry mogła z powodzeniem wytoczyć proces przynajmniej komuś z nich. A poza tym to była Francja. Kto wie, jakie dziwne prawa tu obowiązują? Amy poczuła jakiś dyskomfort - nie, to było coś więcej; ogarnęło ją przemożne pragnienie powrotu do domu. Jeszcze raz przemknęło jej przez myśl, że bycie kimś bogatym wcale nie jest takie łatwe i że związane z tym komplikacje, jeśli chodzi o właściwe podejście do życia, mogą ją przerosnąć. Ale to była jedynie przelotna obawa. Poradzi sobie z tym. Choć wiedziała, że powinna zobaczyć się z Kerry, znowu odsunęła to od siebie.

## ROZDZIAŁ 36

Geraldine Chastine odnosiła się do Pameli Venn z wielką sympatią, niemal jakby była jej siostrą, i zorganizowała dla ich obu kilka przyjemnych rozrywek. Przyznała, że chętnie wychodzi teraz ze swojego mieszkania, które wydawało jej się zatłoczone, odkąd wprowadziły się tu Victoire, Nike i Salome. Biedny Eric, po tylu latach spokoju należnego ludziom w średnim wieku zupełnie nie potrafił zaadaptować się do stałej obecności małych dzieci.

Geraldine okazała się niezwykle pomocna, kiedy Pamela wyznała, że niepokoi się o Posy. W hotelu spytano rano Pam, gdzie jest Posy, mademoiselle bowiem dwa dni temu zostawiła w recepcji jakąś paczkę i powiedziała, że po nią wróci. Może zapomniała i pojechała do Angletterre? To proste pytanie zmroziło Pamelę. Posy była niezależną dziewczyną i nie było nic niezwykłego w tym, że chadza swoimi drogami i że zwłaszcza teraz, w obliczu nieprzyjemności związanych ze spadkiem, stara się unikać matki i Ruperta. Ale żeby przez dwa dni nie wrócić do hotelu? Nawet gdyby spotkała jakiegoś olśniewającego Francuza swoich marzeń, na pewno wracałaby do swojego pokoju, by się przebrać albo przespać.

- *Non, non* - zaprotestowała madame. Nie widziała jej w ogóle, wymeldowała się dwa dni temu.

Pam zwierzyła się Geraldine ze swoich trosk i wyznała, że Posy wydawała się jej ostatnio trudna i przygnębiona i że potrafi być lekomyślna. Poza tym jest nieobeznana z życiem we Francji. Geraldine pocieszała ją, dzieląc się z nią spostrzeżeniami na temat młodych kobiet oraz samej Victoire, która zapewne w tym momencie łkała

gdzieś w mieszkaniu rodziców albo snuła się po nim bez celu jak jakaś uczennica, najwyraźniej zostawiając Geraldine i Ericowi na głowie opiekę nad dziećmi. Geraldine i Pam współczuły sobie nawzajem.

- Nie rozumiem, czemu nie miałyby wrócić do swojego mieszkania - uskarżała się Geraldine. - Emile przecież już tam nie mieszka. W pierwszej chwili pomyślałam, że Victoire potrzebuje naszego moralnego wsparcia, ale teraz widzę, że siedzi u nas ze względu na naszą opiekę nad dziećmi. Bo najwyraźniej nie chodzi jej o moje porady i wsparcie! Ignoruje je spokojnie.

Paczka pozostawiona przez Posy w recepcji była podłużnym kartonowym pudełkiem, które zawierało prochy Adriana. To przerażające odkrycie oznaczało, że Posy wbrew swojej obietnicy wcale nie zawiozła ich do Kerry Venn. Pam postanowiła zastanowić się z Rupertem, co powinni teraz zrobić, ale żadne z nich nie miało dobrego pomysłu. W końcu Rupert zgodził się zaopiekować pudełkiem i obiecał zawieźć je Kerry. Pam pod wpływem niepokoju o Posy zadzwoniła nawet do pana Osworthy'ego, który jednak nie widział się z nią od czasu spotkania w biurze Persanda w poniedziałek. Nie miał też żadnych pomocnych hipotez.

- Posy jest w bardzo złym nastroju - zapewniał matkę Rupert. - Ojciec, a potem to wszystko. Nie wiem dokładnie, co ją tak dołuje. Na pewno spadek. Po prostu nas unika.

Pam nie miała nic do dodania wobec takiej analizy. Zostawili Posy wiadomość w hotelowej recepcji i postanowili zaczekać.

Posy nadal nie dawała znaku życia. Wraz z każdym kolejnym dniem Pamela Venn martwiła się o nią coraz bardziej i nawet zastanawiała, czy nie zatelefonować do wdowy, do kliniki, i spytać, czy Posy tam nie dzwonka albo nie przyszła. Ale jakoś nie mogła się na to zdobyć, nie miała ochoty na rozmowę z nową panią Venn. Tak naprawdę nie sądziła, żeby Posy wpadła w jakieś poważne tarapaty, co za niemądry pomysł. Niemniej im częściej rozmyślała nad wydarzeniami minionych tygodni, które upłynęły pod znakiem śmierci i rozczarowania, i nad wielką finansową niepewnością czekającą jej dzieci, tym bardziej niepokoiła się, że Posy mogła zrobić coś pod wpływem impulsu. Wołała

sobie nie wyobrażać, co takiego. Oczywiście niedorzeczne było przypuścić, że rzuciła się do Sekwany, ale na świecie nie brakowało seryjnych morderców lub handlarzy żywym towarem. Do tego dochodziły jeszcze francuskie więzienia, w których nie sposób się porozumieć i które były w jej przekonaniu jedynie odrobinę mniej prymitywne niż więzienia w Turcji czy w Argentynie. Nie należało także zapominać o nagłej chorobie - Posy mogła leżeć w jakimś francuskim szpitalu, a tutejsze szpitale są tylko nieco mniej niebezpieczne niż więzienia. Pamela wolała nie zwierzać się ze swoich obaw Rupertowi, aby nie wyglądało, że obarcza go odpowiedzialnością za stan umysłu Posy. Naprawdę niełatwo było poradzić sobie z tymi wszystkimi napięciami w rodzinie. O ileż prościej wyglądałoby to wszystko, gdyby nie cholerny Adrian.

W tym czasie Rupert usiłował znaleźć jakiś sposób uniknięcia sprzedaży posiadłości. *Chateau* i wydawnictwo wydawały mu się teraz całą jego przyszłością. Z każdym dniem w jego umyśle winnice stawały się zieleńsze, jedyna wieża ojcowskiego zamku bardziej majestatyczna, płytką wyschnięta fosa zamieniała się w srebrny staw pełen ryb i lilii wodnych, a wydawnictwo jawiło się jako narodowy skarb bezinteresownie służący sztuce. Całość schedy po ojcu tworzyła pomnik ku czci jego pamięci i bezpieczną przystań dla najbliższych, ukochanych osób. Rupert nie miał wątpliwości, że Posy gdzieś się ukrywa, by uniknąć rozmowy na ten temat, bo wstydzi się tego, iż pragnie zniweczyć ten idealny, pobłogosławiony przez opatrność plan.

Rupert pamiętał, że matka wspominała o sprzedaży swojego domu. Czy zrobi tak, jeśli się okaże, że dom nie został właściwie na nią przypisany - co mogło być łatwym do naprawienia przeoczeniem prawnym sprzed lat. Rozmawiali na ten temat luźno. Niewykluczone, że dom w sensie prawnym nigdy nie był jej, ale jeśli jednak należał do niej, i tak zamierzała go sprzedać, jak wyznała mu podczas jednego ze spacerów wokół Luwru albo wzdłuż Avenue Montaigne. Rupert nigdy nie wybrały się z nią na zakupy, gdyby te sprawy spadkowe tak bardzo nie leżały mu na sercu, ale sama Pam nie była przekonana, czy sprzedaż jej domu rzeczywiście stanowi jakieś rozwiązanie. Pewnie wystarczyłoby to na pokrycie zobowiązań podatkowych jednego,

może nawet obojga jej dzieci, ale skąd Victoire i Harry mieli wziąć pieniądze na spłatę swoich? Pamela uświadomiła sobie, że razem z Posy i Rupertem będzie musiała wrócić do Anglii. Rupert ma swoją pracę w banku, a Pamela swoje normalne życie. Nie mogli w nieskończoność mieszkać we francuskim hotelu, nawet jeśli było to całkiem wygodne. Pam czuła się rozdarta przez swoje obowiązki wobec dzieci i nadal martwiła się o Posy - coś jej podpowiadało, że córce nic nie jest, ale mimo to szalała z niepokoju.

- Będziesz musiał pojechać z urną do Kerry - powiedziała do Ruperta. - Ja na pewno tego nie zrobię.

- Pan Osworthy powinien się tym zająć. Tak byłoby najwygodniej - odpad Rupert. - On tu zostaje. Możemy mu zostawić... pudełko... tutaj, w hotelu.

Uznali, że tak będzie najlepiej.

- Czy przypadkiem nie miałaś jakiejś wiadomości od swojej siostry? - spytała Geraldine córkę po rozmowie z Pamelą. Ale Victoire odpada, że nie. Uważała, że Posy zamieszkała gdzieś razem z Emile'em, ale wolała nie dzielić się tymi obawami z matką. Pewnego popołudnia Geraldine wspomniała o Posy w rozmowie z Emile'em, który akurat wpadł zobaczyć się z dziećmi.

- Nie mają pojęcia, co się z nią stało. Zniknęła z hotelu. Zostawiła prochy swojego ojca w recepcji!

Emile wprawdzie nic nie wiedział, ale poczuł przelotne ukłucie niepokoju. Zawsze bardzo lubił osoby, z którymi sypiał. Przypomniał sobie wzburzenie Posy i jej smutek w Valmeri i miał nadzieję, że pod wpływem rozpaczyny nie zrobiła czegoś niemądrego. Zastanawiał się, czy powinien opowiedzieć o wszystkim Geraldine. Potrafiła trafnie odczytywać ludzkie uczucia, zwłaszcza kobiece, i przypuszczalnie powiedziała mu coś pocieszającego. Ale odłożył to na później, postanawiając zaczekać jeszcze kilka dni.

Mimo grożącego jej procesu Amy wróciła do zwykłego rytmu codziennych zajęć. Poza fotografiami w gazecie na szczęście nie pojawiły się żadne nowe reperkusje wydarzeń w Alpach. Mimo to nie potrafiła

oprzeć się wrażeniu, że wieść o jej pieniądzach wpływała na to, jak ludzie patrzyli na nią w Paryżu - i przedtem w Alpach - podczas towarzyskich spotkań, na które zabierała ją albo po prostu wysyłała Geraldine. W miarę jak poszerzał się krąg jej znajomości, sama Amy dostawała teraz coraz liczniejsze zaproszenia na snobistyczne koktajle dobroczynne, wernisaże lub przedstawienia teatralne. Ciągłe gdzieś była; nie mogła już po prostu pójść do kina albo zjeść hamburgera.

Nie mogła także uwolnić się od poczucia, że Geraldine tak naprawdę wcale nie jest z niej zadowolona mimo potulnej gotowości do współpracy z jej strony. Być może Geraldine ją lubiła, ale pod względem ogólnej prezencji Amy nie spełniała oczekiwań. Geraldine zmuszała ją do rozmaitych "*soins de visage*" albo woskowania nóg (*Jambe entiere*), choć doprawdy trudno było wcisnąć te zabiegi w napięty harmonogram kursów i spotkań towarzyskich. Na własną rękę Amy stosowała metodę podpatrzoną u Victoire, kładąc perfumy między palcami dłoni oraz palcami u stóp, bo czemu nie?

Amy z pewnością nie była pierwszą Amerykanką, która czuła, że nie potrafi dorównać ideałowi kobiecości obowiązującemu we Francji. Tammy i Wendi mówiły jej, że nadal ogarnia je to samo poczucie zawstydzenia, choć mieszkały w Paryżu prawie czterdzieści lat. Amy po cichu uważała, że jeśli obiektywnie przyjrzeć się Francuzom, wielu z nich wcale nie wygląda lepiej niż Amerykanie poza tym, że są szczuplejsi. Ubrania, jakie widywała na ludziach jadących do pracy albo obsługujących ją w sklepach, zwykle przypominały jej takie same nieco niedopasowane spódnice i spodnie albo marynarki oraz te same płaszcze z ubiegłego roku, jakie nosiliby Amerykanie.

Ale przyłapywała się też na tym, że i jej Amerykanie wydawali się trochę dziwni, kiedy zauważyła któregoś z nich na ulicy albo dobiegły ją odgłosy ich rozmów. Mieli zwykle na sobie zbyt swobodne stroje, w zbyt jaskrawych kolorach. Sama ubierała się teraz starannie, nawet idąc do Monoprix, jak gdyby spodziewała się, a nawet miała nadzieję, że wpadnie tam na kogoś znajomego. W sumie owe różnice kulturowe wciąż ją onieśmiały, czuła się pogubiona i pragnęła wrócić do domu, choć jednocześnie pogardzała sama sobą z tego powodu. Zauważyła, że ostatnio często dzwoni do rodziców - byli tym faktem



autentycznie zdumieni. Jednak rozmowy z nimi tylko wzmacniały chęć pozostania we Francji, bo przywoływały wspomnienie Ukiah, SUV-ów i autostrad, czyli tego wszystkiego, za czym z pewnością nie tęskniła. Kochała swoich rodziców, ale mniej więcej w wieku dziesięciu lat postanowiła, że stanie się kimś zupełnie innym niż oni i będzie wiodła niezwykłe życie. Kiedy nieco dorosła, zrozumiała, że nie zna odpowiedzi na pytanie, czym miałoby być owo życie, choćby dlatego, że wciąż wiedziała za mało. Jej definicja życia zaczynała nabierać kształtów dopiero teraz, gdy otworzyły się przed nią wszystkie możliwości, i właśnie dlatego musiała zostać we Francji.

Kiedy minął tydzień cudownej separacji od dotychczasowego życia, Posy uległa i zadzwoniła do domu. Po powrocie do Anglii Pamela Venn zastała na automatycznej sekretarce wiadomość od córki: czuje się dobrze, podróżuje i będzie w kontakcie z monsieur de Persandem w sprawie swojej sytuacji prawnej, ma nadzieję, że matka znalazła paczkę w hotelu i przeprosza, że sama się tym nie zajęła. Pamela nie musiała się więc dłużej niepokoić, ale Rupert miał mniej powodów do radości. Niestety mimo wielogodzinnych rozmów z bankierami w Londynie i Paryżu oraz przedzierania się przez księgi rachunkowe winnicy i wydawnictwa nadal nie znalazł żadnego realnego planu uratowania *chateau* - widocznie nikt nie widział w nim korzystnej inwestycji. Wyglądało, że nie sposób będzie uniknąć sprzedaży.

## ROZDZIAŁ 37

Amy spoglądała z okna swojego mieszkania na Sekwanę i malujący się przed jej oczami obraz monochromatycznych szarości i brązów, nagich drzew i wody w kolorze błota, scenę w *grisaille*. Nauczyła się tego słowa, oglądając barwione węglem drzewnym rysunki w Luwrze, które trafnie oddawały rzeczywistą paletę barw tutejszej przyrody o tej porze roku. Może w marcu nigdy nie świeciło tutaj słońce, ale powiedziała sobie, że to niewielka cena za przyjemność wzbogacenia swojego słownika o taki termin jak *grisaille*. Jednak nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek będzie miała okazję go używać.

Patrzyła dokładnie na to miejsce, gdzie spotkała Emile'a. W ostatnich dniach nieustannie o nim rozmyślała. Usiłowała być spokojna, ale nie potrafiła. Wracała pamięcią do ich rozmowy w Cafe Flore i żałując swojego grubiaństwa, przywoływała w myślach jego słowa, ton i wyraz twarzy. A potem w nagłym przypływie *esprit de l'escalier* przypomniała sobie wszystkie niefortunne wyrażenia, jakimi sama się wtedy posłużyła.

Przypuszczalnie to jego nieoczekiwane przyjazne zachowanie nie było, wbrew jej nadziejom, wyrazem erotycznego zainteresowania nią samą - po prostu wypowiadał się jedynie bardzo życzliwie o jej charakterze. O ile pamiętała, nikt nigdy nie prawił jej komplementów z powodu charakteru. Ludzie zwykle odczuwają do siebie sympatię pod wpływem bardziej powierzchownych impulsów związanych z wyglądem - dokładnie tych samych, które mogłyby wyjaśniać jej zaciekawienie Emile'a. Nie mogła już dłużej przed sobą ukrywać, że spośród osób spotkanych we Francji tylko z nim tak naprawdę

chciała porozmawiać, nie mówiąc już o pójściu do łóżka. Tak. A jednocześnie musiała sobie powiedzieć, że niestety, ze wszystkich mężczyzn, jakich spotkała we Francji, właśnie on, człowiek, który ją najbardziej pociągał, należał do tego typu niebezpiecznych osobników, przed jakimi przestrzegali ją ciotki, matka oraz obfita literatura poświęcona tragediom bogatych dziewcząt: żonaty, niewierny, a do tego cudzoziemiec. Być może w końcu wreszcie dotarła do sensu swoich francuskich doświadczeń.

Wszyscy uważali, że jest atrakcyjny, nawet ministrowie tutejszego rządu, czemu więc ona miałaby sądzić inaczej? A jednak odrzuciła jego przyjaźń, jego przeprosiny i jego życzliwe słowa, choć przypuszczalnie nie było w nich nic romantycznego, nawet jeśli wspomniał o pięknie... Zastanawiała się, czy sam podzielał pogląd, że piękno to idea przemyślana w szczegółach, ponieważ jednocześnie to była definicja charakteru. Niemal zakręciło jej się w głowie od gwałtownych wyrzutów sumienia. Potrafiła zepsuć każdy swój związek - z instruktorem narciarskim, z baronem, a teraz z jedynym mężczyzną, na którym jej naprawdę zależało. I tak jak pożądanie przybiera na sile, kiedy je sobie uświadamiamy, tak samo ona potępiała teraz samą siebie coraz gwałtowniej. Zrzurowała sobie życie grubiańskim zachowaniem wobec jedynego mężczyzny we Francji, którego pragnęła, i to niepowodzenie symbolizowało całkowite niepowodzenie wszelkich jej tutejszych wysiłków. W istocie - porażkę. Nigdy nie będzie pragnęła rzeczy, które mogłaby mieć, i nie będzie mogła mieć tego, czego pragnie, nawet gdyby wiedziała, co to takiego. Jakie to amerykańskie, powiedziałyby Emile.

Mimo to Amy usiłowała wyleczyć się ze swojego zauroczenia Emile'em - ponieważ tak musiała to nazwać - rozmyślając o jego nieustannej krytyce Amerykanów, opartej najwyraźniej na kompletnej niewiedzy, oraz o jego podejrzanym znajomości dzieł oświeconych myślicieli społecznych, jak Kropotkin. Czy był komunistą? Nigdy nikogo takiego nie spotkała, ponieważ tacy ludzie nie istnieli w północnej Kalifornii, choć oczywiście na licznych miejscowych uniwersytetach zdarzali się marksiści, tak jak zdarzali się dekonstrukcyjniści albo zwolennicy nowego historycyzmu. Ale gdyby był

komunistą, przypuszczalnie nie mógłby pracować dla konserwatywnego francuskiego rządu.

Cóż, nawet nie próbowała zrozumieć francuskiej polityki, rzecz sama w sobie niemożliwa, tak jak nie sposób było wierzyć we francuskie przesady religijne. Słyszała, że w Valmeri urządza się teraz wycieczki do miejsca, gdzie stała Joanna d'Arc.

Zadzwoniła do Paula-Louisa ciekawa najświeższych wiadomości o Joannie. Powiedział, że ponad sto osiemdziesiąt osób zdecydowało się już na mrozącą krew w żyłach wyprawę ratrakiem, jaką oferowała jego Ecole de Ski Francaise, dwadzieścia pięć euro od osoby. Jednak samej świętej nikt ponownie nie widział.

Zadzwoniła także do Joego Daggarta. Nie miał żadnych wiadomości o Joannie d'Arc, ale poinformował ją przyjaznym tonem, że pewne niemieckie miasteczko złożyło petycję o przeniesienie tamtejszej amerykańskiej bazy lotniczej, powołując się na alpejskie lawiny jako dowód swoich twierdzeń, że hałasy amerykańskich samolotów C-5 Galaxy zrujnowały im życie.

- Valmeri nawet nie leży na trasie przelotów tych maszyn - powiedział Joe. - Ale wciąż jeszcze nie wiemy wszystkiego.

Mimo przekonania, że nic jej nie grozi w sensie prawnym, Amy niepokoiła się codziennymi telefonami Sigrid, a teraz także od pracowników firmy prawniczej z San Francisco zajmującej się jej problemami. Potwierdzili, że rzeczywiście złożono pozew w imieniu Kerry. Rozmawiali już z kolegami z europejskiego oddziału, zastanawiając się, kto powinien reprezentować ją we Francji, jeśli nadal zamierza tam pozostać, choć uważali, że rozsądnie byłoby wrócić do domu.

- Wracaj, Amy. Wszyscy poczuliśmy się spokojniejsi, gdybyś wróciła do domu.

Niezależnie jednak od swojej ostatecznej decyzji w kwestii wyjazdu Amy postanowiła posłuchać sugestii Geraldine i ostrzyć włosy. Nie ścinała ich od czasu szkoły średniej, odkąd nauczyła się zaplatać warkocz, spoglądając za siebie na własne odbicie w lustrze. Zawsze myślała, że z długim warkoczem jest jej do twarzy, a w każdym razie inni zawsze potwierdzali to przypuszczenie. Zdecydowała już się na kilka innych posunięć, zdaniem Geraldine nieodzownych, jeśli chciała zostać

kobietą prawdziwie *soignee* - na przykład na masaż papierem ściernym, *gommage*, słowo, które bardzo przypominało francuski wyraz oznaczający szkodę: *dommage*. Geraldine zwykle miała rację we wszystkim, więc może Amy powinna także ustąpić co do włosów.

Nie miała wrażenia, że udaje jej się realizować swoje plany. Nie czuła się osobą mądrzejszą i bardziej kulturalną, choć w Valmeri poprawiła technikę jazdy na nartach. Owszem, potrafiła ugotować zupy *creme*, ale nigdy nie będzie umiała mówić po francusku. Nadal pociągała ją myśl o domu, a negatywne aspekty pozostania we Francji przeważały nad pozytywnymi: A) w nieco ponad miesiąc naraziła się na proces sądowy; B) przyczyniła się do ludzkiej śmierci; C) miała, albo wkrótce będzie miała, złamane serce; D) tak naprawdę nie miała z kim porozmawiać i nie robiła żadnych postępów w tych umiejętnościach, które poprzednio wydawały jej się takie godne pożądanía, a okazywało się, że nie ma w nich nic, czego nie mogłaby się nauczyć w domu. Ona sama nie zmieniła się ani trochę! Ale czy człowiek może zauważyć, że się zmienił? Czy też zmiana stanowiła raczej pewien wewnętrzny proces, niedostrzegalny dla osoby, która mu podlega? Miała nadzieję, że tak właśnie jest i że jednak zmieniła się odrobinę... Tak, powinna wrócić do domu. I powinna zobaczyć się z Kerry.

Kiedy ostatecznie podjęła decyzję w tych sprawach, ogarnęło ją niemal radosne poczucie ulgi. Urządzi ogromne przyjęcie - niech Geraldine zastanowi się, jak to zrobić - wyda mnóstwo pieniędzy i wyjedzie. Nigdy nie będzie musiała więcej myśleć o *grisaille* i *gouache*, albo jeszcze lepiej, na stałe przyswoi sobie pożyteczne terminy z historii sztuki oraz mnóstwo innych terminów, zdecydowanie poprawi swoje umiejętności narciarskie - i będą odtąd służyły jej na zawsze. Nie zmarnowała ani chwili! A jednak wiedziała, że za tą radością z podjęcia właściwej decyzji kryło się poczucie nieszczęścia, być może najbardziej intensywnego - niemal jedyne-go, jakie kiedykolwiek miała okazję poznać, bo życie nie dawało jej dotąd większych powodów do zmartwień. Czyżby znalazła się w końcu w tyglu bolesnej rozpacz, z której wyłoni się subtelniejsza, bardziej przenikliwa postać jej charakteru, pełna głębokiego zrozumienia - dojrzałość? Cóż, miała taką nadzieję - że z tego poczucia

nieszczęścia, ogarniającego ją co chwila i doprowadzającego niemal do płaczu, wyniknie jednak w końcu coś pozytywnego.

Dla Posy nadeszły czasy oszałamiających rozkoszy. Po scenie z Rupertem i panem Osworthym Posy i Robin schowali się najpierw na kilka dni w nieco obskurnym hotelu niedaleko Gare du Nord, dopóki nie nadeszło zaproszenie Bette Maricheval do odwiedzenia w jej domu na wsi. Potem spędzili kilka dni w rozkosznej, porośniętej dzikim winem oberży w Normandii. Teraz wrócili do Paryża, by wypełnić ślubowanie Posy, że złoży hołd Napoleonowi u jego grobu. Do końca tygodnia mieli do swojej dyspozycji mieszkanie Maisie de Contelanne - luksusowy apartament w szesnastej dzielnicy, gdzie mogli wylegiwać się do późna, nieniekajeni przez dyskretną pokojówkę, oraz ucinać sobie drzemkę, kiedy tylko przyszła im ochota. Poza tym trochę zwiedzali, bez większego entuzjazmu, a wieczorami szli na jakieś spotkanie towarzyskie. Krąg francuskich znajomych Robina był niemal tak rozległy, jak angielski i z pewną przyjemnością obserwował ich reakcje, gdy pojawiał się z panną Venn. Powoli zaczynało do niego docierać, że panie domu nie były całkiem zadowolone z widoku Posy u jego boku, ale przynajmniej bawiło go zdumienie, jakie widział na ich twarzach.

- Przyjeżdżałem do Paryża od czasów szkolnych, a mimo to jakbym nigdy tu nie był - zauważył w pewnym momencie, patrząc z zamysleniem na Posy.

Wydawała mu się taka piękna, taka świeża, zaróżowiona i kwitnąca, prawdziwe uosobienie dziewczyny przechadzającej się wśród żywopłotów - gdyby takowe rosły w siódmej dzielnicy Paryża. Jeśli przy okazji nie mógł się powstrzymać przed myślą o jej rodzinnym *chateau*, to tylko dlatego, że wyobrażenie Posy jako *chatelaine* wydawało mu się takie ekscytujące. Mogłaby się wiele nauczyć o ogrodach i o różach - dwa tematy, w których sam osiągnął już tak wiele w swojej twórczości. Często cytowano jego wersy na temat róży. Oczywiście oboje z Posy nie mieszkaliby w zamku, ale w wiejskim domku albo w jego mieszkaniu przy Kensington Road. Widział już ją, jak podgrzewa mleko i układa kwiaty w prostym niebieskim wazonie - scena jak spod pędzla

Matisse'a, w podstawowych barwach błękitu, czerwieni i żółci. A do tego była taka młoda! W końcu jej apetyty okazały się większe niż jego, o ile już tak się nie stało. Nieważne, niewykluczone, że pożądanie, które rozkwitło dość późno, będzie trwało dłużej niż jesienne chryzantemy albo astry.

- Och, Robin - upomniała go Bette Maricheval podczas swojego środowego przyjęcia. - W głębi serca zawsze wiedziałam, że wybierzesz ostatecznie angielską różę. Ale jako *Francaise* i pani domu muszę przyznać, że jestem rozczarowana. Prawdę mówiąc, postawiłam już na tobie krzyżyk. Powiedziałam sobie: jest stracony. - Uśmiechnęła się do Posy, by pokazać, że w żadnej mierze nie chciała być wobec niej niegrzeczna. - Nawet nie pomyślałam o tobie w kontekście przyjęcia u Longchampów, które kiedyś tak bardzo uwielbiałaś...

Robin aż nazbyt wyraźnie dostrzegał, że jego krąg francuskich znajomości wkrótce się skurczy; przez chwilę zastanawiał się nad nader względnymi zaletami *la vie mondaine* na kontynencie i zaletami domowych wygod w Anglii, przy czym wyższość tych ostatnich nie ulegała wątpliwości. Niemniej czemu Francuzi nie mieliby pokochać jego ślicznej dziewczyny w uroczej sukience w kwiaty oraz - o czym sam wiedział, nawet jeśli oni tego wiedzieć nie mogli - w staniku z czerwonej koronki pod spodem i takich samych podwiązках?

Taki przystojny, choć szczupły, mówiła sobie Posy. Musi przybrać na wadze, trzeba będzie się nim trochę zająć. Podobno ma szansę na tytuł Poety Laureata przy następnej nominacji. Posy uwielbiała przyglądać się Robinowi, kiedy myślał. Była zaskoczona tym, jak bardzo miłość potrafi wszystko zmienić. Najwyraźniej nie miało znaczenia, kogo się kocha, ponieważ prawie już zapomniała, że jeszcze kilka dni temu była zakochana w Emile'u. Sama miłość ją odmieniła, podobnie jak nagle odmieniła jej sposób patrzenia na Robina. Zupełnie jak w elektronicznie wygenerowanym obrazie na monitorze policyjnego komputera jego twarz przekształciła się z wychudzonej i nieco podstarzałej we wrażliwą i przystojną, w rozkwicie. Co tam Emile. Może wystarczy zakochać się w jednym mężczyźnie, żeby stać się bardziej otwartą na zalety następnego? Może miłość jest po prostu stanem wrażliwości lub podatności na bodźce jak u świeżo wyklutych

kaczą? Czy wrażliwość na bodźce jest tym samym co chęć, żeby się „odbić od dna” po miłosnym zawodzie? Nieważne, widziała wyraźnie, że ma to swoje dobre strony, ponieważ uczucia w obu wypadkach były takie same: intensywna radość z powodu przebywania w towarzystwie ukochanego i bezwarunkowy podziw. Dzięki temu nagle przekształci się w kogoś dobrego i znajdzie się u boku człowieka, którego dzieła wzbudzały podziw i uwielbienie, a w dodatku, dzięki Bogu, były po angielsku. Chociaż pożądanie odgrywało pewną rolę w jej niemal już zapomnianej miłości do Emile'a, w jej uczuciach dla Robina także nie brakowało pożądania, a intelektualnie były bardziej wymagające. To tyle.

Posy udała się z obiecaną pielgrzymką do grobu Napoleona, mądrego autora praw, które zapewniały jej spadek wbrew woli ojca. Spoglądając w dół na *tombeau* cesarza, nie mogła powstrzymać się od myśli o prochach ojca zostawionych w hotelu i o tym, że wolała uniknąć nieprzyjemnego i smutnego obowiązku przekazania ich jego żonie. Wiedziała, że zwlekała z tą wizytą, ale zbyt wiele nieoczekiwanych wydarzeń stanęło na przeszkodzie. Zresztą Rupert równie dobrze mógł sam się tym zająć. Poza tym prochy to nie był ojciec; to tylko garstka popiołu bez życia.

Pomyślała, że pod pewnymi względami istniały podobieństwa między ojcem a Napoleonem. Przypuszczalnie byli tego samego wzrostu i ojciec miał w sobie coś z optymizmu, jaki cechował cesarza Francuzów, z jego wytrwałości i odwagi. Może taki charakter sam w sobie nie jest czymś najgorszym. Ogarnęło ją pragnienie przebaczenia ojcu i miłość do niego obok świadomości, że odziedziczyła niektóre jego cechy. Czy skremowali Napoleona, czy też rzeczywiście został tu pochowany? Niezobowiązująco pomyślała, że byłoby najlepiej, gdyby mogła rozsypać prochy ojca właśnie tutaj, na grobowiec Napoleona, ale niestety zostawiła je Rupertowi.

Amy pogrążona w myślach także zmierzała w stronę Musee de l'Armee. Odkąd postanowiła, że wróci do Kalifornii, odczuwała pilną potrzebę, aby zobaczyć wszystko, co powinna, jak gdyby już nigdy nie miała takiej szansy w przyszłości. Umówiła się zatem z jedną



z przyjaciółek Geraldine na specjalną wycieczkę z przewodnikiem wśród historycznych armat oraz na czwartkowy wykład o Austerlitz.

Paradoksalnie, jej nagłe zainteresowania dziejami Francji wpływały z coraz większej ciekawości, jaką budziła w niej historia Ameryki. Zupełnie jakby podjąwszy decyzję powrotu do domu, poczuła, że musi lepiej poznać miejsce, do którego zamierzała się udać. Poszła obejrzeć grób Lafayette'a i małą wersję Statuy Wolności, ponieważ nigdy nie widziała tej wielkiej w Nowym Jorku. Odwiedziła także dwa amerykańskie muzea, gdzie obejrzała niezbyt interesujące gabloty ze zniszczonymi mundurami z czasów rewolucji, trójgraniaste kapelusze, małe torebki noszone przez damy w czasach Jeffersona, mocno podarte flagi oraz manierki i menażki używane przez amerykańskich żołnierzy podczas I wojny światowej. Oglądane przedmioty niezbyt poruszały jej wyobraźnię, ale rzeczywiście poczuła przypływ patriotyzmu na myśl, że taki potężny kraj mógł tak wspaniale się rozwinąć z nader skromnych początków.

- Bondżer - powiedział ktoś do niej na ulicy, gdy zatrzymała się na rogu przy czerwonych światłach.

Zobaczyła przed sobą parę zawstydzająco ubranych ludzi; ich otyłe ciała, spodnie w kratkę i sportowe buty jednoznacznie zdradzały Amerykanów. Jednak to dziwne słowo „bondżer” mogło pochodzić z jakiegoś zupełnie innego języka.

- Bondżer. Bondżer, bondżer. - Patrzyli na nią. Ale dlaczego? Wołała nie nawiązywać z nimi kontaktu wzrokowego na wypadek, gdyby jednak okazali się Amerykanami. Kiedy odeszli, usłyszała, jak kobieta mówi:

- Widzisz, są tacy aroganccy i niegrzeczni, nawet nie zareagowała. Dokładnie tak, jak wszyscy mówią. Nienawidzą Amerykanów, choć sami mieszkają w głupim, małym, socjalistycznym kraju, w którym mnóstwo ludzi nawet nie ma samochodu.

Amy poczuła falę głębokiego wstydu. Och, mój Boże, pomyślała, oni mówią o mnie. Mówili do mnie *bonjour*. Myślą, że jestem Francuzką i zachowuję się jak typowo niegrzeczna Francuzka!

- Och, przepraszam - podbiegła w ich stronę. To byłoby niesprawiedliwe, gdyby pozwoliła im myśleć źle o Francuzkach na podstawie

swojego zachowania. - Byłam taka zatopiona w myślach. Nie zorientowałam się, że mówią państwo do mnie.

Popatrzyli na nią zdumieni; teraz oni czuli się zakłopotani, że usłyszała ich ta Francuzka, która najwyraźniej idealnie mówi po angielsku, niemal jak Amerykanka, i która - zaczynało to do nich docierać - oczywiście była Amerykanką.

- Czy mogę państwu jakoś pomóc? - spytała Amy. - Mieszkam tu niedaleko...

Porozmawiali przez chwilę. Amy objaśniała im drogę, po czym poszła dalej przed siebie, aż nagle zobaczyła Emile'a Abbouda, który wsiadał do taksówki przed Invalides. Widziała, że ją dostrzegł i dyskretnie do niej pomachał. Serce zabiło jej mocniej. Przypuszczalnie przyglądał się całej scenie i na pewno pomyślał, że ci grubi ludzie to jej najlepsi przyjaciele. Rodacy zawsze będą źródłem upokorzenia dla podróżnika, niezależnie od kraju, ale w tym wypadku rzecz była wyjątkowo fatalna. Najwyraźniej nie było końca jej udrękom. Gdyby tylko wiedziała, na czym polega jej przestępstwo. Aha, ale to właśnie jest amerykańskie: nie wiedzieć, na czym polega twoje przestępstwo.

Amy przyzwyczyła się już do tego, że turyści w Paryżu, krążący stale wokół kilku zabytków, nieuchronnie wpadają na siebie, nie była więc zbyt zaskoczona, gdy po drugiej stronie okrągłego szybu kryjącego na dnie trumnę biednego cesarza dostrzegła Robina Crumleya i Posy Venn, którzy, podobnie jak ona, spoglądali w dół na sarkofag. Była jednak zaskoczona tym, że zobaczyła ich razem. Podobnie jak Emile pomachali do niej i po kilku minutach Amy podeszła do miejsca, w którym stali. Zauważyła, że wcześniej trzymali się za ręce, ale na jej widok puścili dłonie i uściskali ją radośnie, pytając, jak minął jej tydzień.

- Byliśmy w Normandii. Przykro mi, że nie przyszedłam na przyjęcie u matki Victoire, ale nie bardzo mi to pasowało - wyjaśniła Posy. - To znaczy chciałam powiedzieć, że nie czułam się dobrze.

- Oczywiście było bardzo miło - odparła Amy. - Przyszło mnóstwo Francuzów, ale ponieważ praktycznie nie potrafię powiedzieć ani słowa... - Zgodnie uznali, że to bardzo przyjemne, że mogą teraz swobodnie, jako Anglosasi, porozmawiać po angielsku bez poczucia wstydu, skoro wokół nie ma żadnych znajomych Francuzów.

Spojrzenie Posy padło na książkę, którą Amy miała ze sobą. Nosiła ją wszędzie, żeby czytać w autobusach.

- Widzę, że czytasz *Czerwone i czarne* - powiedziała Posy. - To taka nieprawdopodobnie francuska historia, nie sądzisz? Nawet jeśli się ją czyta po angielsku. Absolutny triumf hipokryzji.

- Zawsze obawiałam się, że to nasza amerykańska specjalność - odparła Amy. Nie zabołała jej wzmianka Posy, że czyta nie po francusku.

Amy zauważyła, że Posy i Robin najwyraźniej są w bardzo dobrych stosunkach. Posy ciągnęła Robina za rękaw, opierała się na jego ramieniu albo spoglądała na niego, szukając potwierdzenia swoich słów. Wszyscy troje wymienili numery telefonów komórkowych.

Kiedy Robin i Posy odeszli, Amy jeszcze chwilę stała u grobu Napoleona, rozmyślając nad różnymi historycznymi wydarzeniami i zastanawiając się, czy to rozsądne zwracać na nie przesadną uwagę. Czy człowiek rzeczywiście jest skazany na powtarzanie straszliwych błędów przeszłości, jeśli nie miał ich stale w pamięci? Niezależnie od obecnych poczynań jej ojczyzny i minionych błędów jej przodków i tak nie miało to wszystko większego znaczenia, ponieważ nie mogło złagodzić jej poczucia osamotnienia i żalu nad sobą. Były to emocje tak dla niej nowe, że nie potrafiła sobie z nimi poradzić - zupełnie inaczej niż ludzie, którzy byli do nich przyzwyczajeni i mogliby po prostu pójść na krótki spacer. Zarówno biografia Napoleona, jak i związek między Robinem a Posy dowodziły skłonności fortuny do nagłych odmian ludzkiego losu, czy to na dobre, czy na złe. Ale widok nieruchomego grobowca skrywającego na wieki szczątki niegdyś tak żywotnego cesarza nie dawał Amy żadnych podstaw do przypuszczeń, że i jej los może się odmienić i że zazna jeszcze kiedyś szczęścia.

Robin i Posy zostali zaproszeni do de Ditraisonów na koktajl party. Madame de Ditraison wspomniała w rozmowie z Robinem, że wszyscy byliby zachwyceni, gdyby przed kolacją odczytał na głos kilka swoich poematów, najlepiej jakieś przekłady z francuskiego. Robin, który był przyzwyczajony do, jak to ujął, śpiewania w zamian za kolację, ochoczo przyjął propozycję. Podobnie jak każdy poeta nie miał absolutnie nic przeciwko czytaniu na głos.

Jednak kiedy już się znaleźli wśród złocen i bieli salonu - zdaniem Posy raczej przeładowanego ozdobami - Posy przysłuchując się słowom Robina, poczuła zarazem miłość, podziw oraz głębokie pragnienie, by stamtąd uciec - ale nie było dla nich ucieczki, ponieważ czekała ich kolacja.

Była zdeprymowana pełnym poczucia wyższości tonem pobjaźnienia, z jakim francuskie panie wychwalały jej sukienkę w kwiaty, mówiąc: Jakie to angielskie!", „Zupełnie jak ogród!", „*J'adore* Laura Ashley" albo „Jakie oryginalne".

Zdeprymowała ją także treść wiersza czytanego przez Robina i będącego przekładem jakiegoś utworu Baudelaire'a o martwym kobiecym ciele leżącym na poboczu i dziobanym przez wrony. Bez wątplenia to była medytacja na temat śmiertelności, ale podobnie jak sama śmiertelność wiersz był szokujący:

„Yes, such shall you be, O queen of heavenly grace,  
Beyond the last sacrament,  
When through your bones the flowers nad sucking grass  
Weave their rank cerement,"\*

intonował Robin, spoglądając na przysłuchujących mu się z uwagą dobrze ubranych ludzi, którzy stali wokół niego z kieliszkami szampana w dłoni.

Cóż, pomyślała Posy, było coś cudownego w tym, jak lekki głos Robina nabierał podczas lektury dźwięczności i autorytetu. Francuzi kiwali głowami z powagą, w skupieniu pragnąc uchwycić pośród niezadarnych angielskich słów francuskie akcenty starego wiersza.

- Wyborne - oświadczyła madame de Ditraison, kiedy skończył.  
- A teraz zapraszam do stołu!

Podczas kolacji Posy mogła jedynie rzucać błagalne spojrzenia Robinowi, ponieważ posadzono ją między dwoma Francuzami, którzy

**\* W polskim przekładzie Mieczysława Jastruna ten fragment wiersza *Padlina* brzmi:**

**„Tak! Taką będziesz kiedyś, o wdzięków królowo,  
Po sakramentach ostatnich,  
Gdy zjeździesz pod ziół żywnych urodę kwietniową,  
By gnić wśród kości bratnich".**

(W: Baudelaire, *Kwiaty zła*, *Wybór. PIW*, Warszawa 1958, s. 54).

na przemian mrugali do niej nadzwyczaj przyjaźnie, jednak zrezygnowali po pierwszych próbach nawiązania z nią uprzejmej rozmowy po angielsku. Usiłowała przywołać w pamięci jakieś francuskie zdanie albo dwa, żeby odpowiedzieć na poziomie, ale przypomniała sobie jedynie wersy francuskiej poezji.

- *Ou sont les neiges d'antan?* - powiedziała do monsieur Brikela siedzącego po prawej, w nadziei, że potraktuje to jako wstęp do rozmowy o Villonie. Ale jedynie popatrzył na nią zdumiony i odwrócił się do francuskiej damy siedzącej obok.

- Ach, *nos amis les Anglais* - rzekł monsieur Requart siedzący u lewego boku Posy.

Niewykluczone, że Robina także ogarnęło, może po raz pierwszy, wrażenie pewnej obcości wśród francuskich *amis*, ponieważ kiedy wracali do domu, powiedział:

- Posy, powinniśmy pomyśleć o przyszłości.

Posy zgodziła się z nim bez namysłu, a kiedy później się nad tym zastanowiła, poczuła, że wszystko, co wyobraża sobie teraz na temat przyszłości, jest lepsze od tego, co myślała o niej dawniej.

Dwa razy w tygodniu Kip miał prawo spotkać się poza szkołą z osobą pełniącą rolę rodzica, pod warunkiem, że wróci przed jedenastą wieczorem, więc tego dnia Amy zaprosiła go do kina i na kolację. Choć często rozmawiali przez telefon, chciała osobiście go zapewnić, że nie wini go za postępowanie Kerry, a poza tym chciała po prostu zobaczyć jego dobrze znaną twarz Amerykanina, nawet jeśli był taki młody.

Kip nadal zachowywał się z rezerwą, jak podczas przyjęcia u Geraldine, co wynikało pewnie z zawstydzenia sądowym pozwem Kerry. Amy zamierzała poruszyć ten temat, aby wiedział, że ona nie martwi się tą całą historią, podobnie jak jej prawnicy. Rzeczywiście tak było. Nawet jeśli Kerry może wytoczyć jakąś sprawę szpitalom, nie ma szans wygrać z Amy w sądzie. Musiała także powiedzieć Kipowi, że wyjeżdża z Paryża i wraca wkrótce do Kalifornii. Trochę się tym martwiła, ponieważ Kip był emocjonalnie od niej uzależniony i najwyraźniej ją lubił, czemu trudno było się dziwić, skoro biedny chłopak znalazł się tak bardzo sam na świecie.

- Co weźmiesz? *Croque-madame*? To zwykle zamawiasz. Czy coś innego?

- *Croque-madame* - zgodził się Kip.

- Musimy porozmawiać o twojej przyszłości. Niedługo wracam do Kalifornii. Czy chcesz jechać razem ze mną i chodzić w nowym semestrze do swojej starej szkoły? Czy wolisz tutaj zostać? Jeśli zostaniesz, będziesz musiał się nauczyć francuskiego i całej reszty.

- Czemu jedziesz? Myślałem, że trochę tutaj posiedzisz. Masz tu mieszkanie i w ogóle...

- Och, chyba przyszła pora, żebym ruszyła dalej i zajęła się swoim życiem. - Amy wygładziła serwetę (*serviette*).

- Chodzi o pozew Kerry, tak? Ale to popieprzone.

- To nie twoja wina! Poza tym nie dlatego wyjeżdżam. Chyba dlatego, że jestem Amerykanką i powinnam mieszkać w Ameryce. Mam fundację i chcę się nią zająć... - Nie mogła mu powiedzieć o jeszcze jednym powodzie. Czemu miałyby obarczać kogoś w jego wieku swoimi obawami co do erotycznych i intelektualnych kłopotów, jakich niechybnie mogła się tu spodziewać?

- To nie tyle Kerry, ile jej prawnicy - odparł Kip. - Oni ją do tego zmuszają.

- Wiem - zapewniła go Amy, choć dziwiło ją, czemu Kerry wzięła sobie nowych prawników, skoro miała przecież pana Osworthy'ego. Kim są ci nowi prawnicy? Sigrid wiedziała.

- Myślę, że nie powinni byli organizować nabożeństwa za Adriana bez Kerry - mówił dalej Kip.

- Naprawdę? Nie wiedziałam o tym. Myślałam, że była tylko kremacja. Nie zaczekali, aż twoja siostra wydobrzeje?

- Kerry chciała powiedzieć parę słów podczas uroczystości. Ja też chciałem coś powiedzieć. O tym, jaki Adrian był. Miły. I dobry dla mnie. Naprawdę mi go szkoda.

- Hm, jestem pewna, że był miły.

- I zabawny, rozśmieszał ludzi. Przyrządzał francuskie potrawy - *cassoulet* i jakąś francuską duszoną pieczeń. Kerry właściwie nie potrafi niczego ugotować. Żałuję, że wyjeżdżasz!

- Wiem. Sama mam mieszane uczucia - przyznała Amy.

- Wolałbym, żebyś kupiła to pieprzone *chateau*, Amy. Masz chyba mnóstwo pieniędzy. Czemu nie chciałybyś mieć ładnego francuskiego *chateau*? Właśnie takie rzeczy kupują bogaci ludzie.

- No tak, właśnie tego mi trzeba, francuskiego *chateau*. - Amy roześmiała się zaszokowana tym, że wiedział o jej majątku, choć oczywiście to była prawda.

- Poza tym to byłoby ekstra. Mógłbym tam przyjeżdżać na święta Bożego Narodzenia albo na wakacje. I mogłabyś mieć konia.

- Nie chcę konia.

- Jak to właściwie jest być bogatym? - spytał Kip.

Amy zastanowiła się chwilę. Nie miała pojęcia. Właściwie, wolała nie myśleć o związanych z tym emocjach, połączeniu przyjemności i poczucia winy, albo o niechybnie czekających na nią obowiązkach. Próbowwała zachowywać się, jak gdyby w jej życiu nic się nie zmieniło, a wyjazd do Europy był elementem ucieczki przed świadomością bogactwa. Szybko zmieniła temat - spytała Kipa o najświeższe nowiny, jak gdyby była jego krewną. Jak się miewa Harry? Jak przebiega rekonwalescencja Kerry? Z przykrością dowiedziała się, że Kerry już nigdy nie będzie chodziła normalnie.

- Powinnaś się z nią zobaczyć, Amy. Nikt jej nie odwiedza poza mną. Rupert i Posy nawet tam nie zajrzeli, w ogóle nikt oprócz pana Osworthy'ego. Mademoiselle Walther wróciła do Valmeri, jest jakaś nowa opiekunka, Farad, i Harry tęskni za mademoiselle Walther. Na pewno ucieszyłby się na twój widok. Harry ma uczucia, tak jak wszyscy.

- Nie musisz zawsze prawić mi morałów. Pójdę do niej - powiedziała Amy. - Wiem, że powinnam.

Nocą spłynął na nią jeden z tych momentów jasnowidzenia, jakie zdarzają się nam tuż po przebudzeniu ze snu. Oczami wyobraźni ujrzała doskonały plan, zupełnie jakby sama go wymyśliła. Było to rozwiązanie tak doskonale zgadzające się z jej osobistymi pragnieniami i zasadami społecznymi, wręcz podręcznikowy przykład wzajemnej pomocy, tak oczywisty, że aż się zdziwiła, czemu sama wcześniej nie wpadła na to, ani ona, ani nikt inny. Na szczęście zrobił to Kip. To on

podsunął jej myśl, że powinna kupić *chateau*. Cóż, zależy, jaka będzie cena... W ten sposób będzie można osiągnąć kilka celów naraz: Rupert mógłby prowadzić swoje wydawnictwo, a Victoire robić to, na co miałyby ochotę, Posy dostałyby swoją część pieniędzy a mały Harry mógłby biegać po łąkach i korytarzach. Chyba są tam jakieś korytarze?

W wyobraźni widziała dalsze korzyści. Wydawnictwo jako dogodna okazja do ogromnych odpisów podatkowych. Przy pewnej dozie szczęścia wydawnictwo mogłoby zwrócić koszty osobowe, choć zysk był raczej mało prawdopodobny - musiałyby przejrzeć książki - a więc nie byłoby bieżących wydatków... Oczywiście postawiłaby pewne warunki - Kerry musiałyby wycofać swój pozew, który i tak był skazany na niepowodzenie, a w zamian za to odzyskałyby wspaniałe miejsce zamieszkania dla swojego dziecka.

*Chateau* za kilka milionów euro było i tak zdecydowanie tańsze niż wiele, jeśli nie większość domów w Palo Alto w Kalifornii, było nawet groteskowo tanie - no i kto nie marzyłaby o *chateau*? Kusząca myśl. Wzięłaby dla siebie apartament w wieży, w którym zatrzymywałaby się podczas swoich wizyt - miała nadzieję, że tam będą wieże, może nawet fosa. Oczywiście powinna pojechać i obejrzeć dom, ale właściwie wiedziała, że już podjęła decyzję, nawet nie musiała tam jechać. A gdyby tak wypuścić na rynek jakieś produkty, może linię kosmetyków robionych z winogron albo naczynia stołowe zdobione herbem? Przyjeżdżałaby tam do czasu do czasu, doroczna wycieczka do Francji do odpisania w kosztach. Ta myśl osładzała jej świadomość, że wraca do domu, i niemal przynosiła ulgę w jej udreće z powodu głupiego zadurzenia się w Emile'u Abboudzie i ogólnego poczucia, że została pokonana przez Francję. Obie te spraw były w jakiś sposób ze sobą powiązane.



## ROZDZIAŁ 38

Clinique Marianne, zajmująca kilkuhektarowy zalesiony teren między Saint-Cloud a Wersalem, mieściła się w imponującym dziewiętnastowiecznym budynku z kolistym podjazdem od frontu oraz w przylegających do niego stajniach. Cały teren okalały solidne ogrodzenia ograniczające swobodę ruchu tych pacjentów, którzy wymagali tego rodzaju ograniczeń. Instytucja, będąca czymś pomiędzy domem wariatów a luksusowym ośrodkiem wypoczynkowym, przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat służyła, za pewną opłatą, ludziom psychicznie wypalonym, na skraju załamania nerwowego albo zmęczonym życiem. Amy wsiadła do taksówki przy końcowej stacji kolei RER, z niepokojem myśląc, że w końcu jednak spotka się z Kerry Venn w dość niezręcznych okolicznościach. Wyrzucała sobie, że gdyby była osobą normalną, odpowiedzialną i uprzejmą i pojechałaby zobaczyć się z Kerry na samym początku, uniknęłaby pewnie tej sprawy sądowej. Ale teraz nie miało już sensu udawać, że składa wizytę zatroskana losem rodaczki, co jako osoba przyzwoita powinna zrobić już dawno.

Wyglądało na to, że nie szaleństwo było przyczyną długiego pobytu Kerry w tej instytucji, ponieważ recepcjonistka w holu Clinique poinformowała Amy, że pani Venn spaceruje w ogrodzie ze swoim dzieckiem i na pewno ucieszy się z gościa. Amy weszła do przestronnego ogrodu, trochę zaniedbanego o tej porze roku, w którym dostrzegła świeżo posadzone bratki i narzędzia ogrodnicze leżące na schodach.

W głębi, za rozległym pasem nagiej ubitej ziemi, stanowiącym, jak już Amy zdążyła się zorientować, nieodłączny element francuskich

wyobrażeń o ogrodzie, zobaczyła szczupłą, dość wysoką kobietę z małym dzieckiem - to był Harry, jeśli się nie myliła - popychającym jakąś zabawkę na kółkach. Ta kobieta, Kerry, była jakoś dziwnie wykrzywiona, jedno ramię miała wyżej niż drugie, nogi dziwnie poskręcane. Jakie to straszne! W pociągu siedziała, więc Amy tego nie zauważyła. Czy zawsze była kaleką? Ale nie, przecież jeździła na nartach.

Podeszła z myślą, że może powinna po prostu udawać, że jeszcze nie słyszała o pozwie.

- Dzień dobry! - Amy wiedziała, że sprawia sympatyczne wrażenie, nie budzi obaw i zwykle ludzie witają ją uśmiechem, była więc zaskoczona, gdy Kerry popatrzyła na nią niechętnie i kwaśno. - Jestem Amy Hawkins. Spotkałyśmy się w pociągu. Przykro mi, że tak późno składam pani wizytę. Mam nadzieję, że Kip przekazał pani moje życzenia? To taki sympatyczny chłopiec. Zostaliśmy przyjaciółmi...

- Tak, wspominał o pani.

- Harry także.

Amy z wdzięcznością zobaczyła, że Harry ją zauważył i biegł teraz do niej z szerokim uśmiechem, wyciągając swoje małe rączki. Pochyliła się, by go pocałować, naprawdę zachwycona, bo najwyraźniej ucieszył się na jej widok, choć wiedziała, że po prostu wszystkie jego skojarzenia z jej osobą miały coś wspólnego z jedzeniem. Ale sympatia, jaką okazywała Harry'emu, nie zmasała wrażenia wrogości na twarzy Kerry. Amy zauważyła teraz, że Kerry pod swoją luźną bluzką jest obandażowana w talii i że jedną nogę ma nieco sztywną, więc kiedy podeszła, aby podnieść Harry'ego, utykała i wyraźnie krzywiła się z bólu.

- Czy ma pani tutaj kogoś do pomocy przy Harrym?

Kerry wzięła dziecko na rękę.

- Tak, przychodzi pewna kobieta.

- Jak długo, lekarze mówią...?

- Mówią, że już zawsze będę tak chodzić. Chyba że w przyszłości zrobię sobie jakąś operację.

- Czy nie brakuje pani - Amy zaczęła się zastanawiać, czego Kerry mogłaby potrzebować - książek, czegoś do czytania? Mogę pójść do angielskiej księgarni. Proszę mi powiedzieć.

- Wiem, że przyszła tu pani z powodu sprawy sądowej. Przypuszczam, że chce pani, żebym z niej zrezygnowała - odparła Kerry. Zakłopotana być może swoim wojowniczym tonem odwróciła się.

Amy usiłowała znaleźć jakąś dobrą odpowiedź. Oczywiście, nie mogła zaprzeczyć, że chciała, aby Kerry wycofała pozew. Ale chodziło nie tylko o to. Czuła także współczucie i żal z powodu swojego niewłaściwego zachowania, a także przerażenie na myśl o potędze śnieżnej lawiny, która zmaltretowała ciało tej kobiety, odebrała jej męża i skazała ją na życie w tym stanie.

- Oczywiście wolałabym, aby tak się stało - przyznała Amy - ale rozumiem sytuację prawną. Niemniej przyszłam złożyć wizytę i dowiedzieć się, jak się pani miewa.

- Czy pani wie cokolwiek na temat mojej sytuacji? - spytała Kerry i nie czekając na odpowiedź, zaczęła szeroko opowiadać o tym, jak ją potraktowały straszne dzieci Adriana, o sprzedaży *chateau*, o inwentaryzacji. - We Francji żona jest po prostu niczym, śmieciem, liczą się tylko dzieci, ale wszystko, co Harry ma dostać, to głównie mnóstwo podatków i długi. To jest jakieś policyjne państwo, które samo decyduje, komu przyznać spadek. Nie mogę nawet wejść do własnego domu.

Amy nie miała o tym wszystkim pojęcia. Widziała jednak jasno, że Kerry zaliczyła ją do grona osób, które zrobiły jej krzywdę.

- Briggs, Rigby, Denby, Fox mówią, że mam wielką sprawę do wygrania.

Amy zachowała dla siebie odpowiedzi, które przysły jej do głowy, ale nie mogła powstrzymać się od tonu pewnej nagany.

- Na pewno czuje się pani szczęśliwa, że wyszła z tego cało - powiedziała.

Kerry, skupiając się na swoich rozczarowaniach, najwyraźniej nie doceniała swojego ogromnego szczęścia.

- O tak, jasne. Czuję, że święta Joanna się o mnie zatroszczyła. Jakbym mogła tego nie czuć? To zapewne ona wezwała zespół ratunkowy. Jakaś kobieta do nich zadzwoniła, żeby nas odkopali. Ktoś, kto wiedział, gdzie nas przysypało. Oczywiście, że to cud.

Amy zauważyła teraz, że Kerry nosi jakiś religijny medalion, przypuszczalnie przedstawiający świętą Joannę. Czy Kerry została

nawiedzoną wyznawczynią Joanny d'Arc? Jeszcze raz spróbowała pojednawczego tonu.

- Chciałabym coś z panią omówić. Mój pomysł polega na tym, że kupiłabym *chateau*, to znaczy pani *chateau*, ale potem mogłaby pani w nim zamieszkać razem z Harrym i z pozostałymi. - Zaczęła opowiadać o swoich planach związanych z *chateau*, wydawnictwem i winnicą.

- Och, proszę! Niech pani stanie na ziemi! Musiałabym być szalona, żeby zamieszkać z dziećmi Adriana. Niech pani popatrzy, co oni mi zrobili! Naprawdę kompletnie mnie nie obchodzi, co się stanie z nimi, z wydawnictwem albo winnicą. Chciałabym tylko móc zamieszkać w moim domu. Tak. Zobaczymy, co się stanie, kiedy sprawa znajdzie się w sądzie.

Amy zamierzała właśnie przeprosić ją za swoją rolę w wysłaniu Venna do Londynu, ale przypomniała sobie o radach Sigrid i zrezygnowała. Nie mogła jednak powstrzymać się przed oschłą uwagą:

- Chyba nie ma pani wielkich szans na wygranie tej sprawy. Ale czas to pokaże.

Po czym wyszła możliwie jak najszybciej, zaszokowana swoimi błędnymi wyobrażeniami o Kerry. Jakie to dziwne, że Kip może kochać tę okropną kobietę! Ale kiedy się już uspokoiła, próbowała wyobrazić sobie, jak sama by się czuła na jej miejscu.

Tego samego wieczoru Geraldine zabrała Amy, Wendi i Tammy do Comedie Francaise. Niestety sztuka była po francusku, jednak Amy jakoś to zniosła, marząc o tym, że pewnego dnia będzie taka sama jak obie pozostałe Amerykanki, które najwyraźniej potrafiły ze zrozumieniem śledzić przebieg akcji. A na razie, skoro nie mogła niczego zrozumieć, pograżyła się w rozmyślaniach, które napawały ją coraz większym niepokojem. Na tle rytmicznych deklamacji *Phedre* w jej głowie rozlegał się chór głosów samokrytyki i wyrzutów sumienia: wtrącanie się w losy pana Venna, nieprzykładanie się do nauki francuskiego, niegrzeczne zachowanie wobec Emile'a Abbouda, odkładanie wizyty u Kerry Venn, prawdopodobne wywołanie lawiny... Wśród tych przewin najbardziej dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu grubiaństwa wobec Emile'a.

Pod wpływem nalegań swojej nauczycielki francuskiego zaczęła czytać (po angielsku) *Czerwone i czarne* Stendhala, jak jej mówiono, jeden z podstawowych tekstów ich kultury. Książka niezbyt ją wciągała, zresztą i tak nie przepadała za powieściami, ale jej uwagę przykuła postać madame de Renal, która mówiła coś w rodzaju: „O, ja nieszczęsna, jestem bogata, ale co mi z tego?”. Początkowo Amy uważała, że madame de Renal jest po prostu głupia i samolubna, skoro nie czuje się szczęśliwa, mając tak wiele powodów do szczęścia, i w głębi duszy zalecała jej poświęcenie się działalności dobrotocznej. Ale czy to było takie proste? Przecież ona sama, Amy, spełnia swoje marzenia, a mimo to wcale nie jest szczęśliwa i w dodatku nie wie dlaczego.

Poczuciu, że żyje w powieści Stendhala, sprzyjało kilka innych wydarzeń. Na przykład Geraldine, siedząca obok niej na widowni, przed chwilą czuła się strasznie nieszczęśliwa z powodu, który wydawał się Amy bardzo francuski, choć nie umiała powiedzieć dlaczego. Zupełnie jak w powieści, gdzie bohaterka Matylda zmusiła matkę do pójścia do opery „mimo niestosownego położenia łoża, jaką zaoferował im jakiś skromny przyjaciel rodziny”. A przyjaciel Geraldine, reżyser sztuki, miał ponoć zostawić dla nich bilety w kasie, ale okazało się, że nie ma tam żadnych biletów odłożonych na jej nazwisko. Geraldine zaczęła się domagać biletów, Tammy i Wendi nie widziały w tym nic nadzwyczajnego, lecz Amy skurczyła się w sobie.

- Musiał zaistnieć jakiś błąd. Proszę sprawdzić, „madame Chastine...”. Proszę więc przyprowadzić pana Eliasa. Rozmawiałam z nim nie dalej jak dziś rano.

Ale nie dało się znaleźć pana Eliasa, nie było także wolnych miejsc, jeśli nie liczyć jakiegoś odległego *balcon*.

- To niemożliwe, *balcon*? - oburzała się Geraldine. - Ktoś mógłby nas zobaczyć.

Literatura była przewodniczką życia. W końcu jednak usiadły na balkonie, ale Amy nadal wyczuwała gniew promieniujący z Geraldine. No cóż, każdy byłby zakłopotany, gdyby zaprosił przyjaciół do teatru i okazało się, że nie ma biletów, nie było w tym nic specyficznie francuskiego... Mimo to uważała, że nie warto skupiać uwagi

na czymś tak błahym, jak miejsce w teatrze i cierpieć z tego powodu. Jej własne cierpienie miało o wiele głębsze korzenie.

Podczas kolacji po teatrze Geraldine przeprosiła za to, że narażiła je na nieprzyjemną scenę i w dodatku musiały siedzieć na balkonie! Wyjaśniła, że powodem jej niezwykłego podenerwowania była jak zwykle Victoire. Tammy i Wendi skinęły ze zrozumieniem, ponieważ nie od dziś słuchały o nieszczęściach Victoire. Wyglądało na to, że separacja Victoire i Emile'a przebiegała całkiem gładko i jak dotąd obyło się bez żadnych kłótni, zwrotów akcji czy wybuchów namiętności, jakie zwykle towarzyszą zerwaniu. Rzecz była już chyba przesądzona.

- Może stoi za tym jakaś idea kismet, wywodząca się z północnoafrykańskich korzeni Emile'a - wyjaśniła Geraldine. Czuła się rozgoryczona faktem, że żadne z nich nie próbuje utrzymać tego związku. - W Ameryce macie doradców małżeńskich. Mam nadzieję, że ten pomysł przyjmie się i u nas. Zapłaciłabym za nich, żeby spotkali się z kimś takim, ale wiem, że oboje, każde z osobna, odmówią. On przychodzi, wcześniej zapowiada się przez telefon, i zabiera dzieci na spacer, ale nie próbuje niczego naprawić. Podobnie Victoire. Kiedy słyszy, że Emile ma przyjść, wychodzi. A teraz on chyba ponownie zamieszkał w ich mieszkaniu, więc ona nie wróci do domu.

- Pewnie chodzi o pieniądze - domyślała się Wendi. - Czuje się bardziej niezależna, odkąd odziedziczyła spadek. Wie, że nie musi teraz znosić tego wszystkiego, co znosiła dawniej.

- Ale ona nie ma żadnych pieniędzy! W każdym razie nie wcześniej niż sprzedadzą *chateau*, a do tego jest winna państwu ponad trzysta tysięcy euro i powinna je zapłacić dość szybko, władze są *impitoyable*. Obawiam się, że ona po prostu nie może już wytrzymać jego poczucia wyższości. Nawet ja, choć go uwielbiam, widzę, że traktuje ją, jak gdyby była najgłupszą dziewczyną na świecie. Nie mówiąc już o tym, jaki z niego kobieciarz... to prawdziwy *cavaleur impenitent*.

Amy z nagłą uwagą zaczęła się przysłuchiwać tym rewelacjom. Geraldine opisała Emile'a jako niepoprawnego *cavaleur*, co Amy początkowo wzięła za jakieś odniesienie do jego umiejętności jeździeckich; doprawdy dziwny zarzut, jeśli akurat to Victoire miała

mu za złe. Jednak dość szybko zrozumiała, że chodzi o coś innego, i postanowiła sprawdzić to wyrażenie w słowniku, choć jako metafora wydawało się raczej oczywiste.

- Victoire jest niepoprawną romantyczką i kompletnie nie zna się na mężczyznach. Jednak myślę, że to tylko część problemu - mówiła dalej Geraldine. - Zakochała się w swoim pomysłe, żeby zamieszkać w Prowansji z tymi Anglikami, swoim nowym bratem i siostrą, w *chateau* Adriana Venna. Mówi o tym, jakby to był jej prawdziwy dom, jak gdyby nigdy nie była szczęśliwa z Erikiem i ze mną. Po tych wszystkich latach, kiedy była taka przywiązana do Erica. To dla niego bardzo przykre...

Wendi i Tammy, jako Amerykanki, najwyraźniej brały stronę Victoire. Podzielały jej przekonanie, że współczesna kobieta nie powinna znosić takich prowokacji, jakich nie szczędził jej Emile. Victoire - taka pryncypialna, taka urocza, taka buntownicza - miała rację, że wreszcie trzyma się swoich zasad i pragnie zachować szacunek dla siebie samej. Emile, niepoprawny kobieciarz, zaczyna nabierać pewnego znaczenia we francuskim panteonie, ale z pewnością nie jest człowiekiem, z którym warto żyć w małżeństwie.

- Lepiej nadaje się na „przyjaciela” niż na męża - zawyrokowała Wendi. - Po prostu Victoire znalazła się na niewłaściwym miejscu.

- Powinna mu powiedzieć, że z nimi koniec - podsumowała rzecz Tammy. - Ona jest taka piękna, na pewno zaraz sobie kogoś znajdzie, tak jak ty kiedyś, nie zapominaj o tym.

Amy zauważyła, że Geraldine nie lubi, żeby przypominać jej o nieprzyjemnym epizodzie z przeszłości, którego owocem była sama Victoire.

Przyjaciółki Geraldine dalej filozofowały w ten sposób, Amy zaś dostrzegła z całkowitą jasnością coś, co nie przynosiło jej chluby: najwyraźniej od pewnego czasu żywiła nadzieję, że interesujący i przystojny Emile oraz romantyczna Victoire się rozstaną. Wstrzymywała oddech, przysłuchując się opowieści Geraldine, ponieważ sama była nim szalenie zainteresowana. Wiedziała, że nie powinna źle życzyć jego małżeństwu. Czuła się rozdarta między wyrzutami sumienia a pragnieniem włączenia się do dyskusji, żeby podtrzymać tę rozmowę i wypowiadając jego imię, poczuć się w pewien sposób z nim związana.

- Emile ma swoje wady, ale jest dowcipny - mówiła dalej Geraldine - i jestem pewna, że potrafi być bardzo zabawny w sytuacji intymnej. Oczywiście Victoire nic nie opowiada na ten temat. Tak bym chciała, żeby Victoire była bardziej... sama nie wiem, bardziej wyrachowana.

Czy kobiety mają prawo oczekiwać od mężczyzn, żeby byli zabawni? Taka myśl nigdy nie przyszła Amy do głowy. Czy to był typowo francuski pomysł? Od amerykańskich mężczyzn z pewnością oczekiwano, że będą silni, odpowiedzialni i zamożni; w ostatnich latach coraz częściej zaczęto domagać się od nich także wrażliwości oraz umiejętności mówienia o swoich uczuciach - to ostatnie budziło w Amy pewne zastrzeżenia. Kiedy ludzie zaczynają opowiadać o swoich uczuciach, inni się nudzą. Poza tym taka rozmowa zachęca do egotyzmu i w jakiś sposób narusza zasady wzajemnej pomocy, choć tego akurat Amy nie przemyślała bliżej. Nie, wolała, żeby mężczyźni rozmawiali na konkretne tematy, a nie mówili o sobie, i sama też wolała mówić o konkretnych sprawach. Amy obwiniła kobiety za przepaść między sposobem rozmawiania kobiet i mężczyzn. To była wina kobiet, że mężczyźni zwykle rezerwowali mówienie o interesujących ich sprawach na spotkania z innymi mężczyznami. A jednak te kobiety rozmawiały teraz o pewnym bardzo interesującym temacie. O Emile'u.

- Wiem jedno - oświadczyła Geraldine, kiedy Tammy i Wendi już się z nimi pożegnały. - Anglosaskie kobiety są bardzo *complexee* na punkcie swojej kobiecości. Wszystkie czujemy, że kobiety są lepsze od mężczyzn, *bien sur* - naprawdę jesteśmy bohaterkami - ale czemu tak bardzo się o to martwić? To całe rozdzieranie szat na temat macierzyństwa albo dylemat, czy pracować, czy zostać w domu... Nie mówię o tobie, Amy, mam na myśli inne Amerykanki, *et les Anglaises aussi*. Choć Szwedki już nie tak bardzo... Widziałam to wiele razy. Na szczęście Tammy i Wendi mieszkają tu już na tyle długo, że zdążyły na ogół przewyciężyć swoje uprzedzenia na temat roli kobiet, ale to zdumiewające, do jakiego stopnia zachowały amerykańskie odruchy.

Idąc razem z Geraldine do swojego domu, przez Luwr, Amy poruszyła kwestię *chateau*, mówiąc początkowo, że zna kogoś, kto byłby



zainteresowany kupnem jakiejś wiejskiej posiadłości we Francji; czy dom Victoire by się do tego nadawał?

- Powiedziałam przyjacielom, że mogłabym pojechać i się rozejrzeć. Gdzie to jest? Czy tam dochodzi pociąg? - spytała Amy.

- Dowiem się - odparła Geraldine, ale nie dała się nabrać na jakichś amerykańskich przyjaciół Amy.

- Prawdę mówiąc, chodzi o mnie - powiedziała Amy. Widziała, że Geraldine i tak się zorientowała, a poza tym nie lubiła kłamać. - To ma pewien sens; z rozkoszą kupiłabym jakąś nieruchomość we Francji, w której spędzałabym lato. A Vennowie mogliby tam prowadzić wydawnictwo, wszystko, czego by chcieli. - Przedstawiła Geraldine zarys swojego pomysłu.

- Na pewno powinnaś zobaczyć ten dom, ale może okazać się nieco większy, niż chciałybyś przełknąć. Czy tak brzmi to amerykańskie wyrażenie? - Geraldine nie wyglądała na osobę zachwyconą jej pomysłem. Dziwne, bo Amy wydawało się, że akurat ona będzie zadowolona.

- Tak, czasem nagryzamy więcej, niż możemy przełknąć - powiedziała Amy.

- Tak - powtórzyła Geraldine. - Te stare domy z przeciekającym dachem...

Serce zabiło jej mocniej z niepokoju, gdy uświadomiła sobie, że gdyby Amy udało się spełnić swoje zamierzenia, Victoire będzie miała jeszcze mniej powodów do zgody z Emile'em. Zastanawiała się, jak powinna zachować się w tej sytuacji lojalna matka - czy powinna pomóc Victoire, czy też raczej jej przeszkodzić? - i zgodnie z własnymi wyobrażeniami na temat dobra córki uznała, że powinna przede wszystkim odwieść Victoire od podejmowania wszelkich nieprzemysłanych pomysłów z udziałem Vennów, *chateau*, anglojęzycznych grup zabawowych i całej reszty. Ale oczywiście to oznaczało, że Amy nie może się w to zaangażować - także dla jej własnego dobra. Po co jej stary dom z przeciekającym dachem i najeżone trudnościami współżycie z zasadniczo nieznanymi i nieprzeniknionymi Anglikami. Nawet gdyby udało jej się pozbyć Vennów i drukarni, zostanie z jakąś ruiną, bez wątplenia w bardzo złym stanie, o wiele za dużą jak na jedną

osobę, i tak dalej. Wprawdzie Geraldine nie widziała *chateau* Venna, ale miała doświadczenia z budowlami tego rodzaju. Wygłosiła kilka zastrzeżeń w tym duchu, jednak Amy dała już się porwać przekonaniu o sensowności, a nawet błyskotliwości swojego pomysłu.

- Oczywiście postawię pewne warunki. Na przykład Rupert będzie musiał wnieść finansowy wkład w wydawnictwo, wejdziemy w spółkę. Winnica? Przyjrzę się temu. Znam się na interesach, to nie jest filantropia. Dopilnuję, żeby przynosiła zysk.

Geraldine wbrew odruchom serca obiecała, że zadzwoni do Antoine'a de Persanda i dowie się, co Amy powinna teraz zrobić. Pospiesznie zatelefonowała do Persanda następnego dnia rano i otrzymała nazwisko miejscowego *notaire*, monsieur Lepage'a, oraz Delamera, człowieka, który prowadził winnicę i miał zająć się przygotowaniem na przyjazd Amy. Według Persanda to wszystko wyglądało na idealny przykład amerykańskiej zachłanności i nieodpowiedzialności, przymiotów, którym może nie był całkiem przeciwny, ale im nie ufał. Miał także znacznie poważniejsze zastrzeżenia.

- Przygotuję, co trzeba, ale szczerze mówiąc, żal mi, kiedy widzę, jak te wspaniałe stare posiadłości przechodzą w ręce cudzoziemców. Zwłaszcza Anglosasów. Anglicy wykupili już połowę południowej Francji, a teraz pojawiają się tłumy Amerykanów. Ta katastrofalna polityka podatkowa...

Geraldine cierpliwie wysłuchiwała długiej tyrady Persanda na temat przynębiającej polityki fiskalnej francuskich władz, co zmuszało prawowitych spadkobierców do sprzedawania swojego dziedzictwa korzystającym z okazji cudzoziemcom. Na szczęście, jak podkreślał, być może sam wkrótce będzie mógł wywierać pozytywny wpływ na pewne aspekty sytuacji wzbudzającej w nim tak krytyczne uwagi. Miał nadzieję, że do tego dojdzie.

Amy miała pojechać na południe w środę; maitre Lapage zarezerwuje dla niej pokój w hotelu, na wypadek gdyby chciała zatrzymać się na noc. W *chateau* w tym momencie nie działało ogrzewanie i wyłączono wodę, więc nocleg na miejscu nie wchodził w rachubę.

Geraldine w przypływie intryganckiego niepokoju (przymiotnik był jej własny) zadzwoniła jeszcze do kilku osób, poszukując wsparcia dla

swego głębokiego przekonania, że Amy nie powinna kupować *chateau* Venna. Czuła pewne obawy na myśl, że musi pokrzyżować nadzieje Victoire, i jednocześnie żywiła przekonanie, że córka mogłaby ułożyć sobie szczęśliwe życie poza małżeństwem, jeśli taki był wyrok losu. Nie umiała do końca ocenić głębi gniewu Victoire na męża, ale widziała, że Victoire nie jest szczęśliwa, mieszkając w domu z nią i z Erikiem. Zaczęła zachowywać się jak osoba niedojrzała, zależna, nerwowa i niespokojna, zupełnie niepodobna do siebie samej.

Poza tym Victoire nie zdradziła matce, na czym polegała ostatnia kropla, która przepełniła czarę jej goryczy i sprawiła, że straciła cierpliwość do Emile'a. Geraldine domyślała się, że chodziło o zdradę, może jedną zdradę za dużo, coś, o czym duma Victoire nie pozwalała jej wspominać.

- To było tyle różnych rzeczy, *maman*. Współczesne kobiety nie są takie jak w twoim pokoleniu...

Kiedy Victoire zaczynała mówić w ten irytujący sposób, czyniąc aluzje do jej wieku, Geraldine traciła chęć do rozmowy i z miejsca znikało między nimi zaufanie sprzyjające zwierzeniom. Mimo to Geraldine była pewna, że Victoire kocha Emile'a i że gdyby udało się wszystko naprawić, wróciłaby do niego. Jego zachowanie pozostało nieprzeniknione. Najwyraźniej nie znalazł żadnej nowej partnerki ani też jej nie szukał, był nieodmiennie promienny, kiedy przychodził odwiedzić dziewczynki, i w sumie wydawał się nieco potulniejszym mężem niż wtedy, gdy mieszkali razem. Geraldine nie miała wątpliwości, że pragnie w ten sposób pokazać nadzieję, że między nią a Victoire wszystko jeszcze się ułoży.

Najpierw zadzwoniła do Pameli Venn. Co myśli o pomysle Amy? Geraldine była rozczarowana postawą biernej akceptacji ze strony Pameli.

- Och, Amerykanie zawsze marzą o zamkach, przecież nie mają ich u siebie w kraju. Ciągłe ktoś rozbiera jakiś angielski zamek i przewozi za ocean. Ale kiedy przychodzi do kwestii utrzymania i rzeczywistych problemów związanych z kanalizacją, większość zmienia zdanie. W sumie to cudowne, że znalazł się kupiec na posiadłość - powiedziała Pam. - Czemu miałyby być w tym coś złego?

- Ona nie chce usuwać stamtąd dzieci. Wynająłaby im dom z powrotem na dobrych warunkach albo pozwoliła z niego korzystać, jeżeli będą o niego dbali. Może wejdą w jakąś spółkę w interesach i wtedy dzieci zostaną współwłaścicielami... Nie jestem pewna. Obawiam się jednak, że gdy Victoire poczuje, że ma pieniądze, tym chętniej wyjedzie z Paryża i nigdy sobie nie uświadomi, jakim szaleństwem jest porzucanie męża i skazywanie dzieci na życie bez ojca. Nie potrafi myśleć perspektywicznie!

- Jakie to wspańiałomyślne! Myślę, że to zupełnie niezwykła szansa.

- Ona postrzega samą siebie jako jakąś wybawicielkę, Joannę d'Arc, czy kogoś takiego... - Geraldine nie potrafiła ukryć w swoim głosie niepokoju i dezaprobaty.

- Wiem, że Posy po prostu chce tych pieniędzy. Rupert? Prawdę mówiąc, nie widzę go w roli wydawcy, ale nigdy mu nie powiem, że nie powinien spróbować, jeśli ona zaproponuje mu wydzierżawienie drukarni. To byłoby cudowne.

Pam była głęboko przekonana, że Rupert ma bardzo dobrą pracę w City, i zdawała sobie sprawę ze sprzeczności kryjącej się w jej niechęci do tego, żeby ją porzucił na rzecz tego samego życia w południowej Francji, które niegdyś jako żona Adriana uważała za całkiem przyjemne.

Inni rozmówcy Geraldine mieli zastrzeżenia. Tammy i Wendi sądziły na przykład, że to za wielkie przedsięwzięcie jak dla samotnej kobiety, z czasem Amy sama się o tym przekona, i tak dalej. Jednak słysząc wokół siebie względnie życzliwą aprobatę dla pomysłu Amy, Geraldine poczuła się osamotniona w swojej dezaprobacie i po pewnym namyśle zadzwoniła jeszcze do dwu osób. Najpierw do Emile'a.

- Byłabym wdzięczna za twoją poradę, *mon grand*. Opowiadałam ci o najnowszym marzeniu Victoire, żeby zamieszkać na wsi ze swoim nowym rodzeństwem. Tymczasem *chateau* Venna musi zostać sprzedane, jeśli miałyby dostać swój udział. Ale o tym już wiesz. Teraz jednak niepokoję się, że moja amerykańska przyjaciółka Amy postanowiła kupić posiadłość i oddać im ją w użytkowanie, żeby każde z nich mogło robić w niej to, na co ma ochotę. Brat będzie

prowadził wydawnictwo, wdowa i dziecko zamieszkają z powrotem u siebie i tak dalej.

- Jednak - mówiła dalej - nie uważam, żeby to był dobry pomysł, choć nie ode mnie to zależy. Myślę oczywiście o Amy, chciałbym uchronić ją przed tym pochopnym impulsem - bo to musi być jakiś nagły impuls; pomysł podsunął jej ten młody chłopiec. Nie wiem nic o jej finansach, ale rozumiesz, jak bardzo mi zależy, żeby Victoire w końcu przejrzała na oczy, jeśli chodzi o wasze małżeństwo. Będzie to o wiele mniej prawdopodobne, jeśli wyjedzie z Paryża i zabierze dzieci na południe. Wydaje mi się, że to jest jakiś straszny pomysł dla wszystkich zainteresowanych.

- Chyba nie mam już żadnego wpływu ani na moją żonę, ani na *l'Americaine*. Szczerze mówiąc, obie myślą o mnie jak najgorzej. Amerykanka nie ma żadnych powodów, żeby myśleć o mnie dobrze, ale to bolesne, kiedy w ten sposób traktuje człowieka jego własna żona.

- Jestem pewna, że ciebie by posłuchała - odparła Geraldine. - Zadzwoń do niej. Po prostu jej wyjaśnij, że to jakaś ruina z duchami albo że trzeba położyć nowy dach. Powiedz jej, że kupno tego domu to nie jest dobry interes dla samotnej kobiety.

Potem zadzwoniła do Ottona von Scheussla.

- Pamiętasz moją młodą przyjaciółkę Amy? Wydałam na jej cześć przyjęcie w zeszłym tygodniu. Mam wrażenie, że będzie potrzebował porady fachowca.

Opowiedziała mu o niemądrym pomysle Amy i podsunęła myśl, że impulsywna Kalifornijka może potrzebować opinii specjalisty, dzięki czemu mógłby przy okazji zaproponować jej jakąś inną posiadłość. Żaden agent nieruchomości nie zignorowałby takiego wyzwania.

- Podaj mi nazwisko tamtejszego *notaire*. Może sam znajdę kogoś, kto szuka tego rodzaju nieruchomości, ale muszę uzyskać więcej informacji - zapewnił ją Otto. - Porozmawiam z panną Hawkins. Myślę, że ci Amerykanie często nie wiedzą, w co się pakują.

## ROZDZIAŁ 39

Amy wyjechała pociągiem z Gare de Lyon cała podekscytowana, zatopiona w marzeniach, by zrobić coś naprawdę wspaniałego, niezależnie od tego, jak będzie wyglądało *chateau*. Wiejska posiadłość we Francji! Mogłaby w niej nawet założyć siedzibę Fundacji Wzajemnej Pomocy. Czy tam będzie basen? Monsieur de Persand, taki opryskliwy przy pierwszym spotkaniu, teraz okazał się bardzo pomocny. Zadzwoił do *notaire*, który będzie czekał na stacji kolejowej, i zamówił dla niej miejsce w hotelu, żeby mogła dobrze rozejrzeć się po miasteczku i okolicy oraz zobaczyć *chateau* o różnych porach dnia i wieczorem. Cena? Sigrid nie chciała uwierzyć, że dom przy tak niskiej cenie może przedstawiać jakąkolwiek wartość. Poza tym miała poważne obiekcje, czy warto kupować nieruchomość za granicą w obliczu nadciągających cieni wojny i szalejących konfliktów na arenie międzynarodowej. Jednak Amy nie zwracała uwagi na te ostatnie zastrzeżenia.

- Amy, po prostu wyjeżdż stamtąd. Sytuacja zmienia się tak szybko.
- Daj spokój, wszystko jest w porządku.

Po wyjeździe z Paryża jej oczom ukazał się płaski, przyjazny krajobraz otwierający się przed nią z podwójną prędkością w porównaniu z ruchem niewielkich samochodów widocznych na autostradach. Zaskoczyła ją prostota miasteczek i lokalnych stacji, które mijali tak błyskawicznie, że nawet nie zdążyłyby odczytać ich nazw. Na wysypiskach migały sterty starych opon i złomowanych samochodów - zupełnie jak w Ameryce albo jakimkolwiek innym kraju. Pojawiły się pagórki i pojedyncze skupiska skał, czasem w oddali dostrzegała

dostojny akwedukt z rzymskimi łukami, mijali linie wysokiego napięcia i jakieś ruiny leżące na szczycie każdego większego wzgórza. Na widok każdej z ich robiło jej się ciepło na sercu. Ile tu zamków! Jeden z nich będzie należał do niej. Kto wie, może wystarczy kupić jakąś posiadłość, żeby zapomnieć o przygnębiających wadach charakteru i tęsknotach serca - i kto to mówił: ona, która nigdy nie myślała o nieruchomościach.

Ułożyła w głowie listę przewag cywilizacji francuskiej nad amerykańską i na odwrót: Francja miała pociągi, *fromage frais*, a do tego śmieci wywożono tu każdego dnia... Ameryka miała Quaker Oats, sklepy były otwarte w niedziele... Przyjemny senny nastrój, w jakim się znalazła, przerwało nagle przybycie do celu. Jakiś głos obwieścił, że pociąg zatrzymuje się na stacji tylko minutę. Amy chwyciła swoją małą walizkę i wyskoczyła z pociągu.

Maitre Lepage i monsieur Delamer stali obok siebie na peronie i wypatrywali wysokiej amerykańskiej blondynki. Amy była niemal jedyną osobą, która wysiadła z pociągu, więc obaj Francuzi podszli i przedstawili się z wielką pewnością siebie. Maitre Lepage był okrągławy i nosił kamizelkę zrobioną na drutach, monsieur Delamer szczupły i dość przystojny, miał na sobie jesionkę. Bez wątplenia obaj byli zachwyceni pojawieniem się przypuszczalnego nabywcy na tak wczesnym etapie procesu sprzedaży nieruchomości.

- Bardzo dziękuję, że pozwolili mi panowie przyjechać tak niespodziewanie - powiedziała.

- *Merci d'etre venue* - odparli.

Spytali, czy ma ochotę na kawę. Czy chciałaby zostawić walizkę w hotelu? Ostatecznie pojechali od razu do *chateau*, jak o nim myślała, choć oni w swojej starannej angielszczyźnie woleli nazywać je „domem pana Venna”. Posiadłość znajdowała się na skraju miasteczka Saint-Gond. Amy zdążyła już na dobre zapomnieć o dawnym pomysle, żeby dowiedzieć się czegoś o swoich europejskich korzeniach, ale teraz przyszło jej do głowy, czy przypadkiem jej przodkowie nie pochodzili z jakiegoś podobnego miejsca: niewielkie kamienne domy ze stiukami i dachami pokrytymi dachówką, podwórza obrośnięte dzikim winem, do tego strumień płynący przez środek miasteczka

oraz młyn - prawdziwy obrazek wiejskiego życia z dziecięcych puzzli. Zauważyła kilku zażywnych obywateli stojących przed frontem *mairie* i jakąś dwójkę starszych mężczyzn, którzy rozmawiali przed uroczym małym hotelem, gdzie miała nocować. Przy bliższym wejrzeniu dostrzegła także inne oznaki miejskiego życia - sklep z antykami, butik z bielizną La Perla, *patisserie*, biuro handlu nieruchomościami.

Dom, czy też *chateau*, z pewnością nie potwierdził wyobrażeń Amy na temat zamku. Prostokątna dwupiętrowa budowla miała mansardowy dach pokryty łupkowymi dachówkami oraz w jednym rogu wieżę, która wydawała się starsza od reszty budynku. Od razu przyszły jej na myśl postaci Gatsby'ego i Williama Randolpha Hearsta, Amerykanów, którzy mieli zamki, ikony zachłanności i złudnych snów o potędze. Na szczęście *chateau* Venna było nieco mniejsze niż niektóre rezydencje zbudowane niedawno w okolicach Palo Alto, a i cena była niższa - całkiem skromna jak na dziewczynę w jej sytuacji; w istocie to był bardziej duży dom niż zamek. Jego skromne rozmiary przyniosły jej pewną ulgę.

- Wieża pochodzi z czternastego wieku, reszta z siedemnastego - wyjaśnił maitre Lepage. - Druga wieża się zawałiła.

Wszędzie widać było wyrastające drobne chwasty. Mury wieży wydzielały zapach wilgotnego kamienia. Historia! Dom sprawiał dość ponure wrażenie, ale Amy od razu wiedziała, że go kupi. Nieważne, jak wyglądał w środku. Czy może być bardzo zniechęcający? Maitre Lepage wyciągnął klucze i poszli po zwirowym podwórzu w stronę drzwi.

Amy przeszła przez pokoje, jakby poruszała się we mgle, pokój za pokojem. Żaden nie wyglądał ładnie, niektóre były puste, bez mebli, w innych panował bałagan, z krzesel i ram obrazów zwiisały małe karteczki zostawione przez urzędników skarbowych. Przez wysokie okna wpadało wietrzne, marcowe światło; w kominkach nie widziała śladów popiołu czy węgla. W rogu jadalni dostrzegła zabawki Harry'ego i brzydki stół, kuchnia była pusta i duża, w niezliczonych sypialniach leżały paczki pełne książek - niesprzedane egzemplarze publikacji wydawnictwa, wyjaśnił Delamer. Do tego kilka pokoiów biurowych, gabinet Adriana Venna, jego książki. Po raz pierwszy miała okazję zobaczyć, jak mieszkał Adrian Venn, kiedy jeszcze znajdował się wśród żywych,



spoglądał na obrazy wiszące na ścianach, czytał gazetę leżącą wciąż na parapecie, przystawał przy oknie, żeby popatrzeć na swoją winnicę. Ciekawe, czy to dziwne wrażenie, jakie odnosiła, świadczy o obecności jego ducha? Gdyby wierzyła w duchy, musiałaby chyba tak powiedzieć - w końcu żył kiedyś tutaj i na pewno przebywa tu albo duch Venna, albo jednego z wcześniejszych mieszkańców *chateau*, którzy, podobnie jak Venn, zmarli niezadowoleni i niepokodzeni z losem. Czuła wilgotny powiew jego obecności przez ramy przeciekających okien.

Ona oczywiście zajmie wieżę, Harry wróci do siebie, Kerry (ta straszna) do swoich dawnych pokoi, Rupert i Victoire - o tym już sami zdecydują, to nie zależało od niej. Nie zamierzała jeszcze raz popełnić tego samego błędu i nie będzie wtrącać się w ich życie. Po prostu stworzy im okazję do tego, żeby mogli kontynuować działalność wydawnictwa i winnicy. Poszła za oboma mężczyznami do biura winnicy, po czym przez szopę i niewielkie pomieszczenie, w którym sprawdzano smak wina, przeszli do niskiego współczesnego budynku, w którym znajdowała się drukarnia. Jako osoba kompetentna w dziedzinie administracji nie dostrzegła żadnych znaków ostrzegawczych, które wskazywałyby na czekające ją trudności. Po raz pierwszy w życiu ogarnęła ją ten szczególnie rodzaj pożądania, jakie wzbudzają nieruchomości.

Monsieur Delamer zarezerwował dla Amy w hotelu stolik na lunch. Zaniosła walizkę na górę, obmyła twarz i zeszła do małego baru połączonego z salą jadalną. Na dole czekali już na nią pan Delamer i maitre Lepage, popijając coś przy barze, jednak jej spojrzenie całkowicie pochłonęła nowa postać, która nieoczekiwanie ukazała się w drzwiach: do hotelu wkraczał właśnie baron Otto, prezentujący się niemal komicznie po teutońsku w swoim lodenowym płaszczu z błyszczącymi guzikami i austriackim zielonym kapeluszu. Chociaż w Alpach wyglądał całkiem naturalnie, tutaj wydawał się postacią z operetki.

Był równie zaskoczony jak ona, ale zarazem zachwycony, witając ją ciepło, choć oficjalnie - panno Hawkins! - po czym ceremonialnie przedstawił się maitre Lepage'owi, z którym był umówiony na spotkanie. Oczywiście przyłączy się do nich podczas lunchu. Chętnie obejrzy *chateau* po lunchu; może i panna Hawkins będzie miała ochotę jeszcze raz odwiedzić posiadłość.

Podczas lunchu stopniowo zaczęło ogarniać ją poczucie niepokoju. Czemu właściwie baron chciał obejrzeć *chateau*? O ile jakimś zbiegiem okoliczności nie przysłała go Geraldine, żeby udzielił Amy porad specjalisty, najwyraźniej pojawił się tu jako deweloper działający na rynku nieruchomości. Wizja szkół, hoteli, ośrodków wypoczynkowych i luksusowych apartamentów przekształconych w weekendowe kondominia do wynajęcia niemal całkowicie odebrała jej apetyt na smakowite *blanquette de veau*. Uświadomiła sobie, że jej obawy związane z *chateau* były silniejsze niż wspomnienie krótkiego związku z Ottonem. Czyżby chęć posiadania miała jednak zatriumfować nad uczuciem?

Po południu wróciła do *chateau* w towarzystwie notariusza, maitre Lepage'a i barona, który z drobiazgowym zainteresowaniem zbadał następnie wszystkie korytarze i zakamarki, kręcąc głową i krytycznie odnosząc się do wszystkiego, co dostrzegła. Niepokojące zacieki i plamy wilgoci skierowały jego uwagę w stronę dachu; ona sama ich nie dostrzegła. Miał też zdumiewający dar odkrywania stłuczonych szyb oraz ścian pękających aż do podłogi. Amy z uwagą oglądała przez okno, jak częściowo wspiął się na dach, i powstrzymywała odruch, by przytrzymać go za poję koszuli.

- Brakuje bardzo wielu dachówek - ogłosił po powrocie.

Maitre Lepage przyznał, że są pewne zaniedbania, ale, jak podkreślał, nie w jakimś niebezpiecznym stopniu. Amy miała wrażenie, że wszystkie reakcje Ottona były negatywne - kręcił głową nad archaiczną instalacją elektryczną w części budynku, brakiem właściwych kaloryferów, które zainstalowano w latach trzydziestych, oraz wiekiem pieca do ogrzewania. Ona sama cieszyła się, że w ogóle jest jakiś piec. W wieży, która miała należeć do Amy, zauważył, że przez sufit widać wpadające promienie światła. Wydawał się całkowicie niepodatny na urok głównej klatki schodowej i maleńkiej kaplicy.

- Kilka kilometrów stąd jest jednogwiazdkowa restauracja - powiedział do Amy pod koniec popołudnia. - Proponuję, żebyśmy nie jedli w hotelu. Przyjechałem samochodem.

Amy rozpoznała jego auto, wciąż jeszcze z bagażnikiem do nart na dachu, pochłapane topniejącym śniegiem.

- Mam znaczne doświadczenie z takimi starymi domami - oświadczył po kolacji. - Wiem, czego szukać, i doradzałbym, abyś trzymała się od tego z daleka. Amy, ten dach...

- To bardzo miłe z twojej strony, że rzuciłeś okiem na dom - odparła.

- Sam dach wymaga ogromnych nakładów. Myślę, że za te pieniądze mogłabyś znaleźć coś o wiele atrakcyjniejszego. Na rynku jest mnóstwo znacznie lepszych domów; sam mogę podać kilka adresów. Powinnaś obejrzeć inne podobne nieruchomości, zamiast po prostu brać to, co ci wpadło w ręce. Myślę, że to nie jest żaden interes.

- Jestem pewna, że powinnam się przyjrzeć innym domom - przyznała Amy.

- Poza tym, Amy, jako twój przyjaciel mogę ci coś doradzić. To nie jest rzecz, którą mogłaby się zająć jedna osoba. Ja sam mam grupę specjalistów, pracowników budowlanych, więc mógłbym się podjąć remontu. Ale ty, nie znając Francji... Szczerze mówiąc, to szaleństwo.

- Bez wątpienia masz rację - powiedziała głęboko przekonana, że baron ma rację, jednak serce tym bardziej zdecydowanie mówiło jej, że powinna kupić *chateau*.

- To okropny pomysł. Więcej wina?

- Dziękuję.

- Poza tym żaden bank nie pożyczy ci na to pieniędzy. W każdym razie nie bez biznesplanu. A propos, czemu chcesz kupić ten budynek? - Amy nie potrafiła odpowiedzieć i zaczęła się zastanawiać, jakie plany ma Otto na po kolacji. W końcu przyjechał tu bez Fennie. - A twój budżet? Hipoteka? Indywidualne warunki? Czego się spodziewasz?

- Może jeśli cena będzie właściwa...? Pomyślałam, że z powodu dachu zaproponuję mniej, niż wynosi cena wywoławcza - powiedziała.

- Co o tym sądzisz?

- Oczywiście z reguły zalecałbym takie postępowanie, ale nie w tym wypadku. Rzadko zdarza się *chateau* tak bardzo pozbawione uroku. Za nic nie chciałbym, żebyś popełniła błąd, kupując je niezależnie od ceny.

Czy to możliwe, że Otto mówił szczerze? Może wcale nie chciał *chateau* dla siebie, żeby przerobić je na szkołę, klinikę albo mały hotel? Może chciał po prostu uchronić ją przed kupnem tego domu? Musiała przyznać, że w dotychczasowych kontaktach zawsze był wobec niej życzliwy. Chociaż przywiązała się już do swoich wyobrażeń postaci barona jako światowego, zamożnego europejskiego arystokraty, przypuszczalnie był jedynie sympatycznym, lekko otyłym, wrażliwym biznesmenem... jeśli to nie był oksymoron. Znowu poczuła przypływ sympatii do niego. Mimo to, kiedy wracali do hotelu, Amy zaczęła się zastanawiać, jak uniknąć czyhających na nią niezręczności, bo choć nie potrafiła sformułować żadnych istotnych zastrzeżeń wobec kolejnego małego *tete-d-tete* z baronem, chciała zdecydowanie uniknąć takiej ewentualności. Powie mu, jak bardzo ją zranił tego wieczoru po przyjęciu na jej cześć. Jednak wszystkie troski Amy zniknęły wobec bezbrzeżnego zdumienia, jakie ją ogarnęło, gdy wychodząc wraz z baronem z małego zwirowanego parkingu na tyłach hotelu, ujrzała nagle Emile'a Abbouda, który właśnie wysiadał z taksówki.

Wizyta Emile'a na pewno miała coś wspólnego z *chateau* i posiadłością. Wydawał się zaskoczony i chyba niezbyt zadowolony, rozpoznawszy barona z przyjęcia u Geraldine, jeśli nie z Valmeri. Z pewnym zakłopotaniem uprzytomniła sobie, że w oczach Emile'a wyglądało to, jakby spędzała razem z baronem romantyczny weekend w małej wiejskiej gospodzie. Oblała się rumieńcem, kiedy wyobraziła sobie, co na pewno sobie pomyślał.

- Tak, muszę omówić pewne spawy z miejscowym *notaire* - powiedział. - A ty?

- Przyjechałam zobaczyć, hm, czy nie da się zainwestować w *chateau* - odparła.

- Inwestycja wydaje się czysto purytańskim usprawiedliwieniem. Czy nie możesz po prostu czegoś chcieć i to kupić?

- Nie rozumiem, czemu zawsze mówisz o mnie i moim charakterze tak, jakby wszyscy Amerykanie byli purytanami i wszyscy byli tacy sami. Czy kiedykolwiek byłeś w Ameryce?

- Na pewno nie - odparł Emile.

- Ja byłem - wtrącił się Otto. - Kilka razy w Nowym Jorku i raz na Florydzie.

- Powiem im, żeby dali mi coś do jedzenia, jeśli nie jest za późno - oświadczył Emile. - Przyłączycie się do mnie? Może weźmiecie jakiś *digestif*? Przypuszczam, że już jesteście po kolacji?

Amy, widząc, że nadarza się okazja na uniknięcie sam na sam z baronem, chętnie się zgodziła. Widok Emile'a ożywił wszystkie wnioski na jego temat, które prześladowały ją przez ostatnie tygodnie, podobnie jak seksualny zamęt i niepokojące poczucie, że był jedyną osobą, z którą chciałyby się zaprzyjaźnić. Zajęli stoik w barze i Emile wezwał gestem madame barmankę/kucharkę. Otto i Amy zamówili brandy. Otto wręczył Amy jej kieliszek z małej tacy kelnerki gestem niemal władczej pewności siebie. Amy marzyła, żeby już poszedł do swojego pokoju i zostawił ją samą z Emile'em, do którego jak zwykle zdążyła palnąć coś wojowniczego - i wobec którego, co rozumiała całkiem jasno, chciała w istocie być bardzo miła. Chciała pójść z nim do łóżka. Istniała na to jakaś szansa?

- Wszystko się rozpada, ruina, katastrofa - Otto zaczął opisywać *chateau*, wyrażając przypuszczalnie swoją profesjonalną opinię na temat stanu budynku, choć równie dobrze mógł to być opis zamętu panującego w jej umyśle. Otto postanowił kontynuować rozwlekłą rozmowę o nieruchomościach.

- Powinniśmy zamówić butelkę z tamtejszej winnicy, ale nie wiem, jak się nazywa - powiedział Emile. Jeszcze raz wezwał kobietę, wdając się z nią przy okazji w żartobliwą rozmowę po francusku, z której Amy nie zrozumiała ani słowa.

- Zastanawiam się, czy księżę Kropotkin pochwaliłby twój pomysł kupienia *chateau* i zainstalowania tam spadkobierców Venna. Trochę przypominałoby to anarchizm w stylu Godwina, ale bardziej monarchię - oznajmił Emile z uśmiechem.

Jego słowa i uśmiech roztopiły jej serce. Wiedziała, że o to mu właśnie chodziło, aluzja do księcia była aż nazbyt czytelna. Poczowała przytyw radości i paniki, mniej więcej w równych proporcjach.

- Mam nadzieję, że Amy go nie kupi. Odradzałem to jej zdecydowanie - powiedział Otto.

Łowca fortuny, pomyślał z irytacją, patrząc na Emile'a i odczytując, jak sądził, nieskomplikowaną rozgrywkę Francuza: chce namówić Amy do kupienia *chateau*, żeby jego żona mogła tam zamieszkać. A przy okazji przypuszczalnie chciałby przespać się z Amy - w jakim innym celu przyjechałby tutaj, do małego hoteliku na prowincji? Bezwstydny. Otto poczuł, jak budzi się w nim jego rycerska natura, naturalny element *metier* człowieka trudniącego się handlem nieruchomościami, i jak odżywają jego uczucia do Amy.

Oczywiście, że go nie kupię, pomyślała Amy. Zimne pokoje, cegły, fosy, to nie dla mnie. Nagle ujrzała całkiem jasno, czego pragnie, a czego *chateau* nigdy jej nie zapewni. Wszystko pójdzie nie tak, podobnie jak w innych wypadkach, gdy próbowała pomóc. A jednak ta chwila realizmu i samowiedzy - czy mogła doprowadzić do innych odkryć? - zamiast przynieść jej rozczarowanie, dała jej poczucie wyzwolenia i radości, mówiąc jej jednocześnie, że serce ma swoje skłonności, których lepiej nie lekceważyć, nawet jeśli czasami trzeba je przewyciężyć. Tak bardzo całą sobą pragnęła Emile'a, że to się mogło skończyć złamanym sercem, zalewem gorących uczuć, smutku, namiętności. Była coraz bardziej podekscytowana.

- Mieszkanie we wspólnocie stanowiło przyjętą formę wzajemnej pomocy, ale Kropotkin chciałby, żebyśmy wspólnie posiadali zamieszkiwaną nieruchomość, a to już byłoby za dużo - powiedziała. - Na to jestem za bardzo kapitalistką.

Idź spać, baronie Otto. Również Emile spoglądał z pewnym zniecierpliwieniem na barona, który właśnie zamawiał kolejne piwo. Otto ze swej strony zaczął reagować dość chłodno na paplaninę Emile'a i Amy, najwyraźniej zirytowany obecnością Francuza i nieco nią skonfundowany, jak gdyby chodziło o pojawienie się hałaśliwego psa albo niegrzecznego dziecka.

- *Grand ou demi?* - spytała kelnerka.

- *Grand.* - Baron zaczął rozprawiać na temat stanu dachu oraz problemów z osuszaniem terenu wokół starych fos, nawet całkiem wyschniętych. Amy nie mogła się skupić, jej myśli stale krążyły wokół Emile'a. Dla zabicia czasu zaczęła przechadzać się w wyobraźni z pokoju do pokoju, przez całe *chateau*.

Otto pomyślał, że nigdy nie zostawi Amy na pastwę tego bezwzględego oszusta. Amerykanie są tacy naiwni i ambitni, zawsze przeceniają swoje siły. Amerykanki zawsze dają się wykorzystywać przez mężczyznę tego pokroju.

- Same rury, niemal całkowicie z ołowiu, pięćdziesiąt tysięcy euro na początek. - Otto nie mógł się powstrzymać przed osobistymi wspomnieniami na temat Amy, takiej ślicznej istoty, którą sam, jak dobrze pamiętał, zadowolił całkiem satysfakcjonująco. - Nie mówiąc już o rynkach, które powinny być wykładane miedzią... Amy, chyba jesteś zmęczona. Nie powinnaś trzymać nas wszystkich na nogach. Możemy porozmawiać o tym jutro.

- Och, nie. Nic mi nie jest, po prostu zastanawiałam się, czy poprosić o następny kieliszek... - zaprotestowała.

Emile nalał jej następny kieliszek.

- Geraldine także ma nadzieję, że wszystko się dobrze ułoży dla Vennów, i dla twojej żony, i dla wszystkich - powiedziała. - Czy widziałeś drukarnię? Te piękne stare maszyny i staromodne czcionki? Jest coś romantycznego w takim artystycznym druku...

- Ależ skąd, mam wrażenie, że moja teściowa podziela raczej przekonanie barona - odparł Emile. - Uważa, że zrobiłabyś błąd, kupując ten dom, i najwyraźniej przypuszcza, że mam dar perswazji i zdołam cię od tego odwieść.

- Wydaje mi się, że chyba masz. - Amy uśmiechnęła się najsłodziej, jak tylko umiała, z dołeczkami na policzkach.

- Chciała, żebym cię od tego odwiódł.

- Dokładnie tak, madame Chastine jest zaniepokojona, że mogłabyś popełnić błąd - zgodził się z nim baron.

- Choć myślę, że powinnaś go kupić, jeśli cię na to stać. - Emile uśmiechnął się.

Wszystko to wydawało się takie skomplikowane. Myślała, że Geraldine popiera jej pomysł.

- Czy rzeczywiście poprosiła, żebyś tu przyjechał?

- Geraldine uznała, że powinienem z tobą porozmawiać - przyznał Emile ogólnikowo.

- Powiedziałem jej, że wpadnę i obejrzę dom - dodał baron.

- Przyjechaliście tutaj tylko z względu na mnie? - Poczują, że to wszystko ją irytuje. Przecież potrafi sama podejmować decyzje.

- Chciałem zobaczyć to miejsce. Zresztą Persand także uważał, że powinienem przyjechać, skoro i tak muszę zobaczyć się z *notaire*. Persand jest przeciwny kupowaniu przez Amerykanów nieruchomości we Francji - powiedział Emile. - W tym punkcie chyba się z nim zgadzam. Ale są Amerykanie, których człowiek chciałby widywać częściej.

Obaj mężczyźni, korzystając z tego zręcznego sformułowania, uśmiechnęli się do Amy promiennie. Emile nigdy wcześniej nie spotkał się z takim połączeniem urody, fortuny i oświeconych poglądów społecznych, nie mógł więc mieć sobie za złe, że jest olśniony. Gdyby tylko zdołał pozbyć się tego Austriaka.

Łowca majątku, pijawka, naprawdę pożałowania godny typ, myślał Otto.

Sprawa wyglądała beznadziejnie, Amy wiedziała, że obydwoj będą nawzajem pilnować siebie aż do północy.

- Dobranoc! - powiedziała, podnosząc się od stołu. - Dziękuję wam bardzo. To naprawdę słodkie z waszej strony. - Miała nadzieję, że Emile uchwycił sens jej spojrzenia. Uśmiechnęła się jeszcze raz i odeszła.

- Ma pan ochotę na cygaro? - zwrócił się baron do Emile'a.

Wkładając koszulę nocną w swoim pokoju, Amy zastanawiała się, czy w ogóle z tego wszystkiego nie zrezygnować. Europa! - gdzie mogła zachowywać się tak, jak miała na to ochotę. Niezwykle podekscytowana zastanawiała się, co powinna zrobić, jeśli mimo wszystko to baron zastuka do jej drzwi. Nie sądziła, żeby tak się stało. Jej narastające podniecenie było czymś więcej niż zwykłym požądaniem, ogarnęło ją jakieś poczucie, że znajduje się na krawędzi albo na rozstaju dróg, nie mając pojęcia między czym a czym. Już wcześniej jednak miewała takie przebłyski samoświadomości splatające się w jakiś silny fundament, na którym mogła polegać, nie zastanawiając się wiele nad nim w przyszłości.

Na szczęście to Emile zastukał do drzwi. Skromnie odsuwając się na bok, mimo woli spojrzała w głąb korytarza, jak gdyby spodziewała



się, że zobaczy tam Ottona skradającego się na palcach w stronę jej pokoju, zupełnie jak w oglądanej za sprawą Geraldine sztuce Feydeau, jednym z niewielu przedstawień teatralnych, które zdołała zrozumieć - ludzie skradający się korytarzem z butami w dłoni albo chowający się pod łóżkiem. Emile wszedł i wziął ją w ramiona.

Po pewnym czasie, gdy żadne z nich nie mogło już niczego zapagnąć - sformułowanie Stendhala - Emile powiedział:

- Próbowałem zrozumieć, w jaki sposób się w tobie zakochałem - w pewnym sensie. Może chodziło o otaczającą cię aurę tajemnicy, a może o fascynację twoim obcym plemieniem, ale prawdę mówiąc, to było wtedy, kiedy zobaczyłem, jak zatroszczyłaś się o parę jakichś grubych Amerykanów przed Invalides. Nie, nie „w pewnym sensie”, kompletnie się w tobie zakochałem. Zależało ci na tym, żeby uratować honor Francuzów. A właściwie to było jeszcze wcześniej. Pewnego razu w Valmeri, gdy przysłaś z rozpuszczonymi włosami na kolację. Pamiętasz? To wtedy po raz pierwszy zobaczyłem twoje piękno.

Amy pamiętała dobrze; to było tego wieczoru, gdy spała z baronem. Najwyraźniej więc Geraldine miała rację, jeśli chodzi o włosy, podobnie jak we wszystkim innym, a także wtedy, gdy mówiła, jaki zabawny potrafi być Emile sam na sam, o czym właśnie miała okazję się przekonać.

- Cóż, oczywiście zauważyłem cię wcześniej, podczas tego lunchu, a nawet jeszcze wcześniej. W końcu trudno cię nie zauważyć - mówił dalej Emile.

Amy była bardzo zadowolona, słysząc jakiegokolwiek pochwały z ust istoty tak doskonałej.

- Jeśli chodzi o mnie, to było wtedy, gdy nie chciałeś zabić homara - wyznała. - Ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam. Dopuściłam to do świadomości, dopiero kiedy usłyszałam, że Victoire cię zostawiła - widzisz, jaka jestem skrupulatna. I jak myślisz, powinnam obciąć włosy?

- Może do ramion - przyznał, jak gdyby przedtem się nad tym zastanawiał.

W tym momencie poczuła, że naprawdę ma do czynienia z Francuzem, przedstawicielem zupełnie innego plemienia.

- Nie sądzisz, że dla nas jest już za późno? - spytała. - Wracam do Kalifornii. - Łzy napłynęły jej do oczu, co ją zaskoczyło. Emile przytulił ją i pocałował namiętnie. Amy przywarła do niego, ale zachowała jakąś iskrę instynktu samozachowawczego, żeby chronić swoje serce. Wyczuwała w nim podobną ostrożność.

- Musisz wracać?

- Tak, nie czuję się we Francji u siebie.

- Zapewne nie bardziej niż ja. Oboje jesteśmy cudzoziemcami. To nasza szansa.

- Powinieneś wrócić do swojego pokoju. Kiedy jesteśmy razem, wszystko robi się jeszcze trudniejsze - powiedziała.

Ale został do rana - w końcu nie sposób było się temu oprzeć. Oboje uznali, że to, co robią, nie ma żadnego znaczenia i nie będzie miało wpływu na ich decyzje w realnym życiu.

- Na czym polega twój tajemniczy sekret? - spytał Emile w pewnym momencie.

Chyba nie do końca wiedziała, co właściwie miał na myśli; dla siebie samej była nieznośnie przezroczysta. Domyślała się, że mogło chodzić o jej pieniądze. To była jedyna rzecz, o której nie mogła rozmawiać, coś jak wstydlivy sekret.

Nie byli całkiem pewni, czy przypadkiem nie słyszeli barona - albo kogoś innego - pod drzwiami nad ranem, ale ktokolwiek to był, musiał słyszeć dobiegające ze środka głośne okrzyki i jęki.

## ROZDZIAŁ 40

Po powrocie do Paryża Amy przez kilka dni snuła się po mieście jakby we śnie, wędrowała przez Ogród Luksemburski albo przez Bon Marche, nie patrząc na nic, pogrążona w rozmyślaniach, niepewna, co ma zrobić. Chwilami ogarniała ją panika na myśl o powrocie do Palo Alto. Pewnego razu zaczęła nagle łkać w Monoprix, aż dostała czkawki. Wiedziała, że czeka ją nieciekawa i ponura przyszłość. Już nigdy nie zobaczy Emile'a - miała za sobą miłość swojego życia. W nadchodzących latach nie zdarzy się nic, na co warto byłoby czekać, jeśli nie liczyć dobrych uczynków, ale te nie sprawiały jej takiej przyjemności, jak powinny. Czy jej nieszczęście było względne tylko dlatego, że wcześniej nie miała w życiu większych zmartwień? Rozzalała się nad sobą, aż łzy napływały jej do oczu na myśl, że już zawsze będzie na zewnątrz, wykluczona, że swoim bogactwem sama skazała się na rolę osoby, która nie zasługuje na żadną pociechę. Komu byłoby jej żal, jednej z najszcześniejszych osób na ziemi?

Wiedziała, że tak naprawdę nie chce żadnego *chateau*. To był głupi pomysł. Nie czuła się żadną *chatelaine* ani nawet Europejką, nawet nie zadbała dotąd o to, żeby umeblować swoje mieszkanie w Kalifornii. Jej prawdziwe ja nie pasowało do samotniczego życia w wieży. Czy jej się to podobało, czy nie, była Amerykanką z Palo Alto. *Chateau* stanowiłoby jedynie obciążenie, coś niedopasowanego do jej zainteresowań i zdolności, swego rodzaju pretensjonalną ucieczkę od prawdziwego życia. Pomyślała o swoim koledze Benie, który mieszkał na krańcach świata, w rozległych pustkowiach Patagonii, i o jego zagubionym, zgaszonym spojrzeniu, gdy przyjeżdżał do Kalifornii; ostatnio coraz rzadziej.

Na czym polega subtelna różnica między znudzeniem a depresją? Czy całe narody mogą ulegać depresji? Być znudzone? Chodząc ulicami Paryża i patrząc na szczuplejsze ciała Francuzów i Francuzek, rozmyślała o ich dłuższym życiu i zadawała sobie pytanie: czy byli mniej znudzeni niż Amerykanie? Czy to dlatego, że spacerując, mogli obserwować rzeczy z poziomu ludzkiego wzroku zamiast tkwić zamknięci w samochodach? A może i oni czuli się uwięzieni, ograniczeni brakiem możliwości poruszania się?

Oczywiście nie zapomniała o rozczarowaniu, jakie jej decyzja przyniesie Victoire, Rupertowi, Posy, Kerry i Harry'emu, a nawet jej samej, ale kiedy już ją podjęła i postanowiła, że nie kupi *chateau*, zrobiło jej się lżej. Udało jej się pokonać zjawę wielkiego zimnego budynku z przeciekającym dachem, mającą jak wyrzut sumienia w jej świadomości, a może nawet w podświadomości, gdzie jakiś pierwotny gen posiadania nieruchomości nadal niepokojąco dochodził do głosu w jej snach. Postępowała wbrew swoim zasadom wzajemnej pomocy, nie chcąc zrobić czegoś w tak oczywisty sposób służącego powszechnemu dobru.

Mimo zapewnień Emile'a, że jego teściowa będzie zadowolona z porzucenia przez nią idei kupna *chateau*, Amy z lekkim niepokojem wyjaśniała Geraldine przyczyny swojej decyzji.

- Baron Otto radzi, żeby nie kupować. Wszyscy mówią, że to byłoby niemądre - usprawiedliwiała się.

Geraldine już o tym wszystkim wiedziała - rozmawiała przez telefon z Emile'em, z baronem Ottonem, ze skonsternowaną Pamelą i zrozpaczonym Rupertem. Spytała Emile'a, czy to on namówił Amy do wycofania się z tego pomysłu.

- J a ? Nie, ja z nią o tym nie rozmawiałem - oświadczył, niezbyt odbiegając od prawdy.

- Jestem pewna, że czynisz słusznie - powiedziała Geraldine do Amy. Poczowała ulgę, ale nie chciała, żeby jej zadowolenie rzucało się w oczy.

- Mam mieszane uczucia. Wyobrażam sobie, że tyle osób mogłoby żyć tam szczęśliwie, mały Harry, Victoire... Pod wieloma względami potrafiłabym to sobie wyobrazić...

- Jestem pewna, że już tęsknisz za domem - powiedziała Geraldine. - Musi tam być ślicznie, te wszystkie palmy i plaże.

Pomyślała, że tak naprawdę Amy wcale nie wygląda na osobę, która tęskni za domem. Otaczała ją teraz jakaś nowa aura będąca połączeniem wewnętrznego blasku i smutku. Geraldine wolałaby jeszcze na kilka miesięcy zatrzymać ją w Paryżu. Najwyraźniej Amy znajdowała się u progu jakiejś decyzji i wahała się, co ma zrobić, ale przypuszczalnie zdecyduje się na powrót do prostego, wręcz barbarzyńskiego życia w Kalifornii; opowiadała na przykład Geraldine o jedzeniu na wynos.

- Niezupełnie - odparła Amy, myśląc o autostradach, Burger Kingu, stacjach benzynowych, ruchu, pilotach do otwierania drzwi od garażu, sfrustrowanych Salwadorczykach strzygących żywołoty, wojnie, religijnych fundamentalistach z kościołów w kształcie litery A, z winylowymi ścianami i tym całym gniewie, złości i brzydocie, które czekały na nią w domu. Pomyślała o Ukiah z czasów swojego dzieciństwa, zapyłonym, gorącym, w którym można było wszędzie jeździć na rowerze, i o dzisiejszym Palo Alto. Ale nie sposób było od tego uciec, można było jedynie próbować stać się kimś lepszym, będąc tam, gdzie się jest. Korzenie to nonsens. Ileż trudu sobie zadała, żeby odkryć tę prostą i raczej dość banalną prawdę.

- Będziesz tutaj często przyjeżdżała, masz tu swoje mieszkanie - zapewniała ją Geraldine. - Victoire wcale nie będzie rozczarowana tym, że nie zamieszka w *chateau* - i tak by tam nie zamieszkała. Postanowiła wrócić do męża, o czym ci donoszę z radością. Kto wie, może częściej słucha moich rad, niż mi się wydaje. *A mon age*, zdaje się, że wiem to i owo o życiu.

Amy nie bardzo wiedziała, co myśleć tej nowinie. Zasadniczo wierzyła w wartość takich stabilnych relacji społecznych, jak małżeństwo. Geraldine zaczęła dzielić się z nią swoimi poglądami na ten temat.

- Wiem, że to coś konwencjonalnego - zapewniała Amy. - Ale czyż ludowa mądrość nie sprowadza się do tego, że ta instytucja kryje w sobie doświadczenie pokoleń? - Podkreśliła, że mówi to wszystko z myślą o Victoire.

Geraldine z ulgą, choć lekko zdumiona, dowiedziała się, że Victoire postanowiła pogodzić się z Emile'em i wrócić do ich wspólnego życia na dawnych zasadach. Podejrzała, że nie bez znaczenia były tu sukcesy Emile'a podczas przyjęcia na cześć Amy. Victoire nie mogła nie zauważyć, jak brylował, taki przystojny, wśród wielbicieli. Antoine de Persand, wschodząca gwiazda na firmamencie francuskiej polityki, rozmawiał z nim jak równy z równym, a najbardziej znakomici z jej gości traktowali go z szacunkiem. Miał szanse na karierę i lepsze zarobki.

Geraldine zauważyła, że Amy jaśnieje jakimś nowym światłem, całkiem odmieniona, jakby znalazła się w tym niezwykłym stanie świadomości, który często oznacza, że dana osoba jest zakochana. W każdym razie metamorfoza Amy najwyraźniej nie miała nic wspólnego z nieruchomościami. Naturalnie Geraldine nie chciała być wścibska, ale widząc na twarzy dziewczyny tę promienną aurę, nie mogła oprzeć się ogólnym refleksjom na temat miłości. Jednocześnie uważnie obserwowała swoją słuchaczkę, by sprawdzić, czy Amy rozumie, że i ona mogłaby skorzystać z macierzyńskiej mądrości Geraldine.

- Victoire jest taka idealistyczna. Często lekceważy najwyklesze sprawy, które przesadzają o trwaniu miłości - mówiła. - Wystarczą stare recepty: negliż, światło świec, nie należy nie doceniać ich znaczenia. Równie ważne są perfumy. A nawet, ośmielę się to powiedzieć, pewna zmiana, od czasu do czasu, pozycji seksualnych. Powiedziałabym, że fizyczna miłość jest podstawą wszystkiego. - Zaczęła rozprawiać o kobiecych sztuczkach i kapryśnej naturze erosa, który tak szybko umyka, czując najdrobniejsze znużenie.

Amy niezbyt interesowały kobiece sztuczki, w istocie odnosiła się do nich krytycznie. Tym bardziej że mądrości Geraldine nie wykraczały poza to, co można wyczytać w każdym piśmie dla kobiet. Cemu w ogóle Geraldine opowiada jej takie rzeczy? Przez chwilę Amy zaniepokoiła się, czy przypadkiem Geraldine nie odgadła jej sekretu związanego z Emile'em i nie chciała jej ostrzec, zniechęcić opisami szczęśliwego życia, jakie czeka Victoire i Emile'a w ich uperfumowanym małżeńskim łóżu. Ale Geraldine najwyraźniej nawet nie wiedziała, że Emile pojechał do Saint-Gond, więc bez wątpienia mówiła

jedynie jako bezinteresowna przedstawicielka swojego pokolenia, która odczuwa potrzebę przekazania cennych informacji młodszym kobietom wkraczającym w świat.

Snując swoje refleksje, Geraldine pomyślała, że być może innym wyjaśnieniem widocznej odmiany w nastroju Amy, czemu towarzyszyła modna fryzura - dzięki Bogu pozbyła się tego warkocza Heidi - jest ulga, jaka ogarnęła ją na myśl o powrocie do Kalifornii. Geraldine nie była pewna, czy może zaliczać Amy do swoich sukcesów. Dwa prawdziwe osiągnięcia, jakimi mogła się poszczycić, obejmowały małżeństwo amerykańskiej rozwódki z Francuzem, choć tylko jedno z tych małżeństw przetrwało. W porównaniu z tym, co tak naprawdę osiągnęła Amy? Niemniej była inteligentna i spostrzegawcza i przypuszczalnie zmieniła się nieco pod wpływem tych kilku miesięcy spędzonych we Francji. Wyglądała teraz bardziej elegancko w swoich nowych strojach, najwyraźniej potrafiła docenić znaczenie sztuki i dobrej kuchni, a poza tym podobno przeczytała kilka książek! Geraldine podsłuchiwała nawet, jak używa słowa *grisaille* na określenie francuskiej pogody.

Ostatecznie uznała, że najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem obecnego szczęścia Amy było jednak to, że dziewczyna się zakochała, i nagle przyszło Geraldine do głowy, że tym kochankiem może być baron Otto! To na pewno on! Oboje byli w Valmeri, a teraz w Saint-Gond; Otto posłusznie na prośbę Geraldine pojechał na południe obejrzeć *chateau*. Na pewno nie proponowała mu, żeby Amy uwiódł. Ale może Otto dostrzegł w jej przyszłości jakiś domek narciarski? Geraldine pomyślała, że to nieco irytujący pomysł, ale postanowiła nie pytać go o to później. W końcu to problem Amy, co robiła, z kim spała i co kupiła.

Oczywiście źródłem promiennej radości Amy była miłość, sama nie miała co do tego wątpliwości, ale chodziło także o ulgę, że wreszcie rozstrzygnęła sprawę miłości i znalazła obiekt uczuć dla swojego serca. Ogarnęła ją wdzięczność dla losu, że miała już za sobą najważniejszy dramat swojego życia. Jeśli od czasu do czasu w jej emocjach górę wzmą samotność, poczucie nieszczęścia i nieznośne udręki pożądania, cóż, wtedy poleci do Paryża. Właśnie tej świadomości zawdzięczała

swój promienny wewnętrzny spokój. Przebiła się do jakiejś ostrej krawędzi, zabołało ją i będzie cierpiała - kto wie, czy ta nowa intensywność uczuć nie była w końcu właśnie tym, po co tu przyjechała?

- Wyglądasz wspaniale, jak nigdy dotąd - powiedziała Geraldine.
- I to właśnie w chwili, gdy zrobiłam z ciebie paryżankę. Jaka szkoda, że nie zostaniesz na dłużej.



## ROZDZIAŁ 41

Amy postanowiła, że menu jej pożegnalnego przyjęcia będzie się składać z malutkich *tacos* z kawiozem, *enchiladas* z homara, *nachos*, *quesadillas*, krwistej, pieczonej wołowiny z chili, wielkich krewetek marynowanych w sosie z limonek, szampana i *margaritas*. Geraldine taktownie dodała pewne elementy do *hors d'oeuvres* i zaproponowała dwie wersje chili. Dla tych - niemal wyłącznie Francuzów - którzy nie przepadali za ostrymi przyprawami, będzie chili bez samej przyprawy chili, przypominające bardziej *boeuf bourguignon* z fasolą. Jeśli chodzi o muzykę, Amy zdecydowała się na mariachi. Poza tym przywiozła dwa swoje obrusy, które kelnerzy właśnie rozkładali pod jej okiem, aby przykryć długi bufet; ich śnieżna doskonałość i dystygowane monogramy budziły skojarzenia z czcigodną tradycją gościnności.

Biały statek „Elba” stał na kotwicy u brzegu Sekwany, połączony z nabrzeżem metalowym trapem i ozdobiony linami oraz kamizelkami ratunkowymi. Słabe popołudniowe słońce już zachodziło, ale wciąż było dość ciepło. Geraldine wiedziała, do kogo zadzwonić, żeby wynająć to *bateau-mouche*, które miało opuścić przystań jachtową Henri IV o dziewiątej trzydzieści i popłynąć podczas kolacji okrężną trasą wokół wspaniałych pomników architektury stojących wzdłuż Sekwany, wydobywając je z mroku potężną baterią reflektorów omiatających kamienne brzegi. Dla Amy to była niemal metafora jej francuskiej przygody - ciemna nieprzenikniona rzeczywistość momentami rozświetlana błyskami zrozumienia.

O dziewiątej na pokładzie *bateau* zaczęli pojawiać się jej paryscy znajomi. Sama była zaskoczona, jak wiele osób zdążyła poznać w ciągu tych

kilku miesięcy, wliczając w to nauczycieli śpiewu, gotowania i innych umiejętności, amerykańskie doradczynie, Francuzów, którzy ją zaprosili do siebie, przyjaciół Geraldine i cały klan Vennów - albowiem Pamela i Rupert mieli ponownie zawitać z Londynu, co było teraz takie łatwe dzięki pociągowi Eurostar. Przybył także kontyngent z Valmeri: Joe Daggart, księżę i *princesse* de Mawlesky oraz madame Chatigny-Dove. Niewykluczone, że baron Otto będzie przejazdem w mieście.

Goście zgromadzeni na pokładzie stanowili atrakcyjną, a nawet elegancką grupę ludzi, którą Amy w wyobraźni zestawiała ze swoimi przyjaciółmi w domu. W jakim świetle ich teraz ujrzy? Odmienionych? Czy i oni dostrzegą w niej jakąś odmianę? Nieważne, przyjęcia są wyrazem zasady wzajemnej pomocy w jej najprzyjemniejszym wydaniu, gdy ludzie starają się sprawić sobie nawzajem przyjemność i każdy gość swoją obecnością składa hołd życiu towarzyskiemu. Amy witała rozmaite Amerykanki, które pomagały jej w różnych sprawach, przybyłe ze swoimi francuskimi mężami. Spodziewała się Geraldine i Erica, a wraz z nimi Victoire; w sumie jakiejś setki osób.

Jako jedni z pierwszych pojawili się Posy Venn i Robin Crumley. Weszli na pokład, trzymając się za ręce, on niemal przystojny w marynarskim błękitnym blezerze, ona w kurtce i białych spodniach. Prawie nie zauważyli Amy, tak bardzo byli sobą zaabsorbowani, ale z radością szybko do niej podeszli, kiedy ją dostrzegli.

- Nie uwierzysz - oświadczył Robin, całując ją w oba policzki jak Francuz - ale chcemy ci powiedzieć, że zamierzamy się pobrać. Dowiadujesz się o tym jako pierwsza! Wkrótce ukaże się zawiadomienie. Napisałyśmy do „Timesa”.

Rzeczywiście wydawało się, że emanują jakąś radością nowożeńców, co potwierdzało zaskakującą nowinę. Tak jak się spodziewali, Amy była szczerze zdumiona. Zdaje się, że po raz pierwszy znaleźli się w swoim towarzystwie podczas lunchu w Saint-Jean-de-Belleville? Zastanawiała się, czy potrafiłaby sobie wyobrazić samą siebie w roli żony Robina Crumleya, ale zdecydowanie przerastało to możliwości jej umysłu. Doszła do wniosku, że Robin i Posy nie słyszeli o jej planach w związku z *chateau*, więc nie przeżyli rozczarowania będącego udziałem Victoire i Ruperta, gdy zmieniła zdanie.

- Musicie ogłosić to dziś wieczorem. Zaręczyny to znacznie przyjemniejsza okazja niż pożegnanie - powiedziała Amy, kiedy odeszli uśmiechnięci w stronę Emile'a, który nie przyszedł razem z Victoire i Geraldine, ale osobno, i teraz stał przy relingu, spoglądając poważnie na fale rzeki. Być może, pomyślała Amy, czuł się równie samotny jak ona. Prawie nie ośmielali się spoglądać na siebie z obawy, że ktoś mógłby dostrzec ich uczucia.

- Abboud, stary druhu! Niezbadane są wyroki opatrności, jak człowiek zawsze słyszy. Posy i ja zamierzamy się pobrać! Czegóż więcej można sobie życzyć od romantycznej eskapady - jutro jedziemy do Monako, wiesz, jednym z tych cudownych francuskich pociągów. Wysłailiśmy zawiadomienie do „Timesa”. Za kilka dni zobaczysz je na własne oczy...

- Gratulacje, Crumley. Bardzo inteligentny wybór. - Emile ścisnął dłoń Robina ze szczerą sympatią. Bez trudu dostrzegał w Posy dzielną matkę Anglików i potrafił sobie wyobrazić małe zaróżowione blond szkraby, Posy robiącą sweterki na drutach, przygotowującą *rifle* albo jakąś inną potrawę z ich dziwnej kuchni. Była idealna dla Crumleya, idealna dla każdego. Uścisnął Robina i ucałował Posy w oba policzki z godną podziwu swobodą i autentyczną serdecznością.

Victoire podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Amy nie mogła nie zauważyć tego zaborczego gestu. Victoire objęła Posy i pocałowała ją.

- Chciałabym ci coś wyznać. Och, na pewno pomyślisz, że jestem idiotką - wyszeptała do Posy. - Ale naprawdę jestem idiotką.

- Nie mów głupstw - powiedziała Posy życzliwie. Nie było w niej nic idiotycznego. O czym ona mówi? Victoire odciągnęła ją na bok, żeby przejść się z nią po pokładzie; właśnie w tym momencie obsługa zaczęła zdejmować liny cumownicze i hałas silników zagłuszył ich rozmowę.

- Wiem, że byłam chłodna i zachowywałam się jak wariatka, ale to już minęło. Przez cały czas myślałam - będziesz się śmiała - że ty i Emile coś do siebie czujecie. Byłam taka wściekła! Na ciebie i na Emile'a, ale zwłaszcza na Emile'a. Pomyślałam, dosyć *tego, j'en ai assez*. Nawet *maman* nie mogła przemówić mi do rozsądku. Musiałam ci

teraz o tym opowiedzieć, żeby oczyścić atmosferę. To dlatego byłam dla ciebie taka okropna, kochana Posy, czy możesz mi wybaczyć?

- Ależ nie ma czego wybaczać! - odparła Posy z entuzjazmem po niedostrzegalnej niemal chwili wahania. - Oczywiście szalenie lubię Emile'a, ale ty jesteś w końcu moją siostrą. Chcę, żebyś była szczęśliwa.

Pomyślała, że Bóg przypuszczalnie nie porazi jej na miejscu, ponieważ w tym momencie mówiła szczerze. Oprócz Robina ze wszystkich świeżo poznanych osób najbardziej kochała Victoire. Zawsze będzie czuła pewien dystans wobec Emile'a, ale nie na tyle, by mogło to zaszkodzić rodzinnym stosunkom; może tliła się w niej iskierka mściwości... Wiedziała jednak, że spotykając Robina, miała wielkie szczęście, które położyło kres jej udręce i uratowało od katastrofy. O mały włos, a byłaby się zakochała w dwulicowym północnoafrykańskim uwodzicielu. O ileż lepiej poślubić sławnego angielskiego poetę, artystę, intelektualistę, uczonego, którego wszędzie przyjmowano z otwartymi ramionami; a do tego jest w niej zakochany i wkrótce będzie jej mężem. Macierzyństwo! Dziecko! Będą często jeździli do Francji, gdzie Robin ma takie niesłychane znajomości, i być może wykorzystają jej spadek, żeby kupić coś małego w Dordogne albo Midi. Albowiem prędzej czy później ktoś kupi *chateau* i będzie miała te pieniądze. Posy czuła się absolutnie szczęśliwa.

Pamela Venn i Rupert wbiegli na kładkę tuż przed dziewiątą trzydzieści, gdy łódź powinna właśnie odbić od brzegu. Każde z nich miało drobną sprawę do załatwienia. Rupert przyjechał do Paryża z nadzieją, że uda mu się namówić Amy do zmiany zdania na temat *chateau*. Wiedział, że ma niewielką szansę, ale jeśli nie uda mu się jej przekonać, spróbuje ją nakłonić, by zainwestowała w Icarus Press. Amy z pewnym zaskoczeniem zobaczyła tuż za nimi Kerry Venn, która weszła na kładkę, podpierając się laską, pochylona na bok niczym zwisająca gałąź. Na nogach miała metalowe obręcze i wspierała się na ramieniu Kipa. Amy osobiście nie zapraszała Kerry, ale powiedziała Kipowi, że jeśli chce, może ją ze sobą przywieźć, pod warunkiem, że jej pozew przeciw Amy dla zachowania twarzy ograniczy się do jakiejś niedużej sumy.

- Ona musi czasem wyjść - powiedział Kip do Amy. - Siedzi w tej klinice przez cały czas i przychodzą do niej ci szaleni ludzie od Joanny d'Arc. Stała się ich boginią czy kimś podobnym.

- Ich świętą - poprawiła go Amy.

Ale kim byli ludzie od Joanny d'Arc? Zastanawiała się, czy grozi im teraz jakaś niezręczna sytuacja albo nawet scena, gdy Kerry spotka się z Pamelą Venn, której odebrała dom. Albowiem w sprawie swoich pozostałych procesów Kerry reagowała podobno niezwykle emocjonalnie; skoro nie może mieszkać we własnym domu, postanowiła zająć dom Pameli Venn, który w świetle prawa należał teraz do niej. Amy sama miała to i owo z Kerry do załatwienia - sprawę procesu - ale nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia pojawienie się Kerry na przyjęciu będzie przypominało przybycie złej wróżki na chrzciny Śpiącej Królowej. Wszyscy goście zebrani na pokładzie w taki czy inny sposób zareagowali na jej widok z przygnębieniem, choć być może była to tylko reakcja na widok biednej kobiety tak bardzo pokrzywdzonej przez los i takiej dzielnej.

W tym momencie Kerry spoglądała na innych z wyrazem pewnej gotowości do towarzyskich kontaktów; być może starała się pokazać z lepszej strony z powodu wspaniałomyślności Amy, która postanowiła zabrać Kipa ze sobą do Kalifornii. Kip wróci do swojej starej szkoły, ale co najważniejsze, Squaw Valley leży zaledwie kilka godzin od Palo Alto, więc będą mogli się nawzajem odwiedzać i Amy będzie miała na niego oko jako swojego rodzaju zastępcza siostra. Kerry nie rozmawiała z nikim i usiadła na krześle stojącym na dziobie statku, zamierzając podziwiać cudowne widoki wzdłuż brzegów rzeki.

Rupert Venn zdołał odciągnąć Amy na bok, żeby ją spytać, czy mógłby się z nią spotkać i pokazać jej biznesplan. Zamierzał zainwestować swój spadek w wydawnictwo, które chciał przenieść z *chateau* do jakiegoś innego miejsca we Francji, ale potrzebował partnera. Może pokazać jej wyliczenia. Amy powiedziała, że chętnie z nim o tym porozmawia. Wyobrażała sobie, że Icarus Press mogłoby wydać pięknie wydrukowane kopie *Pomocy wzajemnej* Kropotkina i bez wątplenia wiele innych godnych uwagi tytułów.

Rupert i jego matka rozmawiali już z Kerry Venn w kilku sprawach. Wiedzieli, że mają niewielką szansę na to, by zmienić jej zdanie w kwestii londyńskiego domu, choć Pam nie porzuciła jeszcze nadziei. Na razie Trevor Osworthy usiłował uporządkować sytuację pod względem prawnym. Poza tym Pamela była jednak ciekawa, jak wygląda młodsza pani Venn. Podobnie jak Geraldine. W rozmowie z Kerry poruszyli jeszcze jedną delikatną kwestię. Przywieźli ze sobą prochy.

Niemal w milczeniu wielka łódź wypłynęła z przystani i zaczęła sunąć powoli wzdłuż brzegu Sekwany w stronę pierwszego z pięknych mostów. Goście przez kilka minut stali na pokładzie, ale ponieważ zrobiło się zimno, wkrótce postanowili zjeść na dół, żeby usiąść do kolacji. W centralnej kabinie ustawiono stoły wzdłuż okien, dzięki czemu wszyscy uczestnicy kolacji mogli podziwiać piękne widoki. Amy żałowała, że muzyka mariachi - choć tak ślicznie grali *Cielito lindo* i *La cucaracha* - nie pasowała do niesamowitego splendoru podnóży katedry Notre Dame, wydobywanych z mroku przez światła reflektorów. Niemniej goście z sympatią odnosili się do Meksykanów, albo tylko udawali, a ich barwne kostiumy i sombrero bez wątpienia podkreślały aurę przepychu i bogactwa Nowego Świata, jaką Amy chciała wyczarować jako symbol nastroju, z jakim żegnała Europę. Oczywiście to było kłamstwo. Robiło jej się coraz ciężiej na sercu, kiedy patrzyła na Emile'a i myślała o Palo Alto. Podobnie jak Pamela Venn w pewnym sensie była teraz bezdomna, nie pasowała ani tu, ani tam, jeśli w ogóle kiedykolwiek tam pasowała.

Powinna była postawić karteczki z nazwiskami na małych stolikach. Wołałaby mieć koło siebie Emile'a, Kipa i Geraldine, ale ponieważ ludzie siadali wedle własnego uznania, udało jej się jedynie umieścić przy swoim stole Geraldine, Victoire, Joego Daggarta, straszną Dolly i jakąś inną kobietę, którą widziała pierwszy raz w życiu. Kip siedział przy sąsiednim stole ze swoją siostrą, Emile'em, mężem Geraldine oraz jakąś francuską parą, której nazwisko zdążyła zapomnieć.

Amy nie mogła patrzeć na Victoire, nie czując lekkiego ukłucia w sercu, ale trudno było mieć jej cokolwiek za złe, widząc jej słodczy, śliczne błękitne oczy i niepodejrzliwą naturę. Amy powiedziała sobie,

że szanuje Emile'a za to, iż nie porzucił żony i dzieci, i ten szacunek był niemal równie ważny oraz bardziej tajemniczy niż miłość. Starą się nie czuć żalu, że codzienne rozczarowania życia z Emile'em pozostaną udziałem Victoire, ale było jej ciężko.

Z ochotą porozmawiała natomiast z Joem Daggartem, ponieważ miał trochę nowych wiadomości: mimo narastających napięć między Stanami Zjednoczonymi a Francją, i choć Stany oficjalnie zaprzeczały swojej roli w spowodowaniu lawin we francuskich Alpach, rząd USA postanowił jednak wypłacić odszkodowanie niektórym ofiarom. Niemniej, jak powiedział Daggart, nie miało to nic wspólnego z samolotami. Ktoś widział amerykańskie skutery śnieżne na grani ponad miejscem, gdzie lawina porwała Vennów, i wysunął oskarżenie. On też był wtedy w grupie na śnieżnych skuterach, przyznał Daggart.

- Nie ma mowy, że to my spowodowaliśmy lawinę, ale rzeczywiście jakaś kobieta zadzwoniła do górskich służb ratunkowych ze swojej komórki. Przedstawiła się jako baronowa von Schteussel i jeździła po drugiej stronie doliny. Widzieliśmy lawinę z góry, stamtąd, gdzie staliśmy na grani na naszych skuterach śnieżnych. Nie mogliśmy zjechać na dół i sami nie mieliśmy odpowiedniego sprzętu do szukania ofiar, ale potwierdziłem to, co powiedziała im tamta kobieta: dwie osoby pod śniegiem, jak się okazało, zasypane stosunkowo płytko.

- Nie pojechaliście im na pomoc? - spytała Amy bezbrzeżnie zdumiona.

- Nie - przyznał Joe. - Nie mieliśmy sprzętu i była niewielka szansa, że ich odzyskamy. Zawodowcy znaleźli ich znacznie szybciej. Ale jestem pewny, że to nie my poruszyliśmy śnieg w górze. Tam, gdzie staliśmy, nawis był nietknięty. Musieli to zrobić sami.

- Czemu tam byliście? - spytała Victoire.

- Szukaliśmy elementów wraku, czegoś, co należało do naszego programu satelitarnego i jak sądzono, wylądowało właśnie tam.

- Czy Kerry i Harry dostaną odszkodowanie? - dopytywała się Amy.

Daggart odparł, że prowadzi negocjacje w tej sprawie. Wdowa powinna coś dostać, ale nie sądził, żeby wpłynęło to na jej plany

wyjazdu do Anglii. Postanowiła, że Harry powinien zostać wychowany na Anglika, jak jego ojciec. Z drugiej strony znajdowała się pod ogromną presją wyznawców Joanny d'Arc, którzy domagali się, żeby jako ich symbol i cenna, znacząca postać została we Francji, może więc jeszcze zmienić zdanie.

- Cieszę się, że dostaną trochę pieniędzy. Ameryka w końcu zawsze zachowuje się jak należy - powiedziała Amy, choć była teraz tego nieco mniej pewna niż dawniej.

- Chętnie się z tobą zgodzę - przyznał Joe Daggart wyraźnie bez ironii.

Po deserze - lody czekoladowe - odsunięto stoły i ludzie zaczęli tańczyć. Amy zauważyła, że Rupert i Posy oraz ich matka i Kerry Venn wyszli razem na pokład.

- Niech Kerry to zrobi - odezwała się Posy, pomagając Kerry rozpakować paczkę.

- Powinniśmy chyba coś odczytać albo coś powiedzieć, jak sądzę, Posy? - dodał Rupert.

- Mogłabym powiedzieć wiersz Robina *Go to the Dark Starling* - odparła. Zegnaj, ojcze, powiedziała do siebie w duchu.

- Zróbmy to w milczeniu i niech każdy zatopi się w swoich myślach - postanowiła Kerry.

Po chwili otworzyła pudełko i nagle wyrzuciła jego zawartość za burtę. Zaczęli gwałtownie mrugać, gdy wiatr sypnął im w oczy małymi kłującymi drobinkami, ale wkrótce zmyły je łzy. Rupert rozejrzał się, szukając wzrokiem Pameli, która obserwowała ich z pewnej odległości i pomachała ręką na znak, że jest razem z nimi. Zegnaj, ojcze, powiedział Rupert do siebie.

- W porządku? - zwróciła się Kerry do Posy i Ruperta.

- Tak - odparli.

Posy żałowała, że nie ma z nimi Robina. Zawsze potrafił z takim wyczuciem coś powiedzieć, ale był pogrążony w ożywionej dyskusji z Emile'em.

Korzystając z osłony muzyki i tańca, Emile i Amy znaleźli dla siebie chwilę na pospieszny ukradkowy seks w czymś, co wyglądało



na kabinę nawigatora. Ich namiętność dowodziła, że nie tak łatwo będzie im się pożegnać na zawsze.

- Wyjeżdżamy z Kipem we czwartek. - Amy westchnęła.

Uśmiechnęli się smutno. Oboje nie wiedzieli, co ich czeka, ale też nie do końca wierzyli, że los mógłby okazać się aż tak nieżyczliwy, aby na zawsze rozdzielić dwoje kochanków tak doskonale pod każdym względem do siebie dobranych i cieszących się wyraźną sympatią fortuny. Czyż jednak w końcu przyjdzie im ponieść karę - utracić miłość swojego życia? Jeśli tak miało być, nie poddadzą się łatwo: majątek wydany na bilety lotnicze, łązy, stypendium w Instytucie Hoovera dla Emile'a, potajemne finansowe wsparcie Amy dla niektórych jego projektów, namiętna, gwałtowna miłość w motelach San Jose albo w hotelach Prowansji - albo w nowym domu Amy w Tahoe, niedaleko szkoły Kipa. Widzieli już swoją przyszłość, przypuszczalnie nie doceniając tego, do jakiego stopnia przez następne lata ich myśli będzie zajmować pożądanie narastające wraz z problemami, jakie będą musieli przezwyciężyć, aby je zaspokoić. To nie wyglądało najgorzej.